

Nadkomisarz MARCIN ZAKRZEWSKI powraca!

MIECZYSŁAW GORZKA



LILLIE

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

MIECZYŚŁAW GORZKA

LILIE

POWIEŚĆ KRYMINALNA



Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Motto

CZĘŚĆ PIERWSZA. ZABÓJSTWO

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

CZĘŚĆ DRUGA. OFIARY

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

CZĘŚĆ TRZECIA. ZABÓJCA

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Redakcja
Małgorzata Starosta

Korekta
AMałgorzata Podlewska

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie wykorzystane na okładce
©*Aleshyn_Andrei/Shutterstock*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022
© Copyright by Mieczysław Gorzka, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67343-80-0



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 25 19
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Zbrodnia to niesłychana,
Pani zabija pana.
Zabiwszy grzebie w gaju,
Na łączce przy ruczaju.
Grób lilią zasiewa,
Zasiewając tak śpiewa:
„Rośnij kwiecie wysoko,
Jak pan leży głęboko;
Jak pan leży głęboko,
Tak ty rośnij wysoko”.

Adam Mickiewicz, fragment ballady *Lilie*

CZĘŚĆ PIERWSZA

ZABÓJSTWO

1.

– Niech to jasna cholera! – krzyknął komisarz Wiktor Wiktorski na widok pierwszych kropli deszczu rozbijających się o szybę.

Przez chwilę pomyślał, że to może być niedobra noc. Tym bardziej, że nie wiedział dokładnie, co się tam, do ciężkiej cholery, stało. Telefon od jednego z sąsiadów, Marczaka, ponurego gościa z brodą, którego nigdy nie darzył wielką sympatią, brzmiał enigmatycznie. Ktoś poszedł na bagna do Kamiennego Lasu, nie wrócił, sąsiedzi organizują poszukiwania i dobrze by było, żeby policja też o tym wiedziała.

Jeszcze raz walnął pięścią o kierownicę, aż zabolalo. „Dobrze by było, gdyby policja też o tym wiedziała” – przypomniał sobie słowa tego pieprzonego ponuraka i z jego ust popłynął cały stek najgorszych przekleństw. Jeszcze się z tym sukinsynem policzy. Zawsze sobie obiecywał, że wreszcie któregoś dnia mu się zechce, zakręci się w wiosce i zbierze dowody na to, że Marczak pędzi bimber i sprzedaje go w całej okolicy. Jeśli ktoś zaginął na bagnach, to policja musiała o tym wiedzieć jako pierwsza i organizować poszukiwania, a nie być jedynie poinformowaną.

Skręcił z głównego traktu w prawo i jechał teraz pełną dziur, utwardzoną drogą prowadzącą skrajem wioski do najdalej położonego domu Bernatowiczów. Włączył wycieraczki, ponieważ spływające po przedniej szybie grube krople deszczu ograniczały widoczność. Jeszcze tego brakowało, żeby wpieprzył się radiowozem do rowu. Tym bardziej, że słońce już zachodziło i zaraz robi się ciemno.

– Pieprzona jesień – warknął, zapominając na chwilę o najbardziej nielubianym mieszkańcu wioski. – Dopiero parę minut po szesnastej, a już robi się ciemno. Jak tu żyć normalnie w takich warunkach?

Przyhamował na widok poziomego uskoku biegnącego przez całą szerokość drogi. Amortyzatory zajęczały, kiedy przednie koła podskoczyły na przeszkodzie, co tylko pogłębiło irytację policjanta. Już myślał o czymś innym. Znowu poczuł się staro, a wraz z tym uczuciem przychodziło zawsze zniechęcenie. Mógłby już dawno rzucić tę parszywą robotę i przejść na emeryturę. Niedługo stuknie mu pięćdziesiąt pięć lat, może czas nareszcie zacząć korzystać z życia, więcej czasu spędzać z rodziną albo na rybach nad jeziorkiem, zamiast tarabanić się po zaniedbanych gminnych drogach i użerać z ludźmi. A oni nigdy przecież nie lubili i nie szanowali policji, kultywując nastawienie do stróżów porządku jeszcze z czasów słusznie minionych, gdy Policja była Milicją Obywatelską. Brak zaufania i unikanie wszelkich kontaktów. I to cholerne, wysrane chyba z mlekiem matki, przekonanie, że policjantowi nie można nic zdradzić, bo człowiek natychmiast staje się kapusiem. Dobrze, że przynajmniej tutejsi mieszkańcy uznawali go za swojego. Bo przecież on się tu urodził, tu chodził do szkoły i wszystkich znał. Jego młodzi koledzy z komendy mieli o wiele gorzej.

Myśli Wiktorskiego wróciły do Marcza. Cholerny buc. Obiecał sobie znowu, że kiedyś się postara, udowodni mu nielegalny handel gorzałką i skonfiskuje tę całą fabrykę bimbrową. Chodziły słuchy, że ma dwa baniaki na zacier, każdy o pojemności tysiąca litrów. Jeśli to była prawda, to nie w kij dmuchał. W szopie tego starego buraka odchodziła produkcja jak, nie przymierzając, w Polmosie. Zaraz jednak Wiktorskiemu, jak zwykle, przeszła cała złość. Bo po co ma robić komuś złośliwie koło dupy? Marczak to kawał sukinsyna, ale tutejszy, znany, przewidywalny, nikomu krzywdy nie robi. A że handluje nielegalnie bimbrem? No cóż, ludzie w tych podłych czasach muszą mieć jakieś rozrywki, a tak naprawdę jego to nie powinno obchodzić. Nikt oficjalnie nie napisał donosu, że Marczak to bimbrownik. Po co pozbawiać ludzi w całej gminie dostępu do taniego alkoholu? I do tego dobrej jakości. Żeby sami zaczęli pędzić jakieś świństwo albo kupować zabarwiane nie wiadomo czym i pewnie bardziej szkodliwe dla zdrowia sikkacze w markecie? Marczakiem powinna zająć się skarbowka za niezapłaconą akcyzę i inne cholerne podatki. A jak się nie zajmuje, to już ich pro-

blem. Wiktorski nie miał zamiaru wpięprzać się między wódkę a zakąskę. Mało miał swoich problemów?

Na przykład teraz – kogo lichy pognało na bagna w taką paskudną pogodę? Chyba tylko szalenię mógł wpaść na pomysł, żeby po listopadowych ulewach chodzić do lasu. Tam od razu zacierała się granica i trudno było określić, gdzie kończy się twardy grunt, a zaczyna się już zdradliwe bagnisko. Nawet wśród tutejszych mieszkańców niewielu było takich, co to znali w miarę bezpieczne ścieżki prowadzące przez bagno do jeziora, a jeszcze mniej odważyłoby się zapuścić na nie po ulewnych deszczach. A teraz kogoś tam poniosło. Szlag by to jasny trafił!

Przerwał rozmyślania, gdy dojechał do posesji Bernatowiczów. Brama była otwarta, więc wjechał z rozpędem na podwórze i zaraz przyhamował, rozglądając się za miejscem do parkowania. Stało tu już kilka samochodów należących do mieszkańców wioski i musiał wcisnąć się między starego passata a cis, przy samym ogrodzeniu. Nagle poczuł się dumny z tutejszych. Proszę, wystarczył jeden sygnał, że ktoś potrzebuje pomocy, a natychmiast zjawili się tu prawie wszyscy mieszkańcy Kamiennej. Może na co dzień większość z nich była ze sobą skłócona, nie lubili się, czasem sądzili, ale w sytuacji kryzysowej bez wahania ruszali sąsiadom z odsieczą. Wiktorski miał nadzieję, że chociaż w niewielkiej części procentuje teraz jego prawie trzydziestoletnia praca dzielnicowego w tym okręgu.

Kamienna była dziwną wioską. Przede wszystkim była niewielka i nie miała zwartej zabudowy, jak w sąsiednich miejscowościach. Tylko jedenaście domów rozrzuconych po całej okolicy, z dala od głównej szosy, połączonych ze sobą polnymi drogami lepszej lub gorszej jakości. Gdy deszcz popadał porządnie, do niektórych gospodarstw nie dało się dojechać przez kilka dni. Idealne miejsce, jeśli ktoś szukał spokoju z dala od cywilizacji. Nie musiał rzucać wszystkiego i wyjeżdżać w Bieszczady, wystarczyło wybudować się w Kamiennej. Tyle że w ciągu ostatnich lat pojawiła się tu tylko dwójka nowych mieszkańców. Właśnie doktor Jakub Bernatowicz z żoną Izabelą. A i to pewnie wyłącznie dlatego, że oboje pochodzili z sąsiednich miejscowości i tutaj ciągle mieszkała ich najbliższa rodzina.

Dlatego od razu zostali uznani za swoich i łatwo wkomponowali się w tu-tejszą społeczność.

A ludzie tu byli trudni jak cholera. Nie lubili obcych, każdy był zapatrzonym w siebie indywidualistą, dbającym tylko o własne interesy. Stary policjant miał wrażenie, że każdy strzeże jakiejś mrocznej tajemnicy. Bywało, że niektórych, jak na przykład starego Gąsowskiego, nie widywał rok albo dwa. I nikt z sąsiadów nie wiedział, co się z nim dzieje. Więc co kilka miesięcy robił objazd wszystkich mieszkańców Kamiennej, żeby chociaż sprawdzić, czy jeszcze żyją.

Często zastanawiał się, dlaczego w Kamiennej było inaczej niż w miejscowościach położonych nieopodal, takich jak Brodno, Rzeczyca czy znajdujący się trochę dalej Szczepanów. Dochodził wtedy do wniosku, że to chyba przez te cholerne bagna w lesie przy wiosce. Bagna w Kamiennym Lesie, jak nazywano to miejsce, pewnie od nazwy wioski. Wieś położona była między starym a nowym korytem Odry. W dalekiej przeszłości jakaś naturalna katastrofa spowodowała, że główne koryto tej wielkiej rzeki przesunęło się około półtora kilometra na północ, a po starym, w Brodnie, pozostał staw ciągnący się od północnej strony wzdłuż wioski. To między tym stawem a Odrą, na podmokłym i kapryśnym terenie częściowo porośniętym lasem, wybudowano jeszcze przed wojną kilka gospodarstw, które teraz nazywały się Kamienną. Przed II wojną światową, za czasów niemieckich, wioska nazywała się Stein, co znaczy „kamień”. Nie wiadomo, dlaczego władza ludowa zmieniła nazwę na Kamienną. Ktoś źle przetłumaczył albo specjalnie zmienił, teraz już nikt nie pamiętał.

Ludzie tu byli twardzi, skryci i uparci. Pewnie lata mieszkania z dala od innych, na terenach, gdzie wiecznie stała woda, nawet gdy przez kilka miesięcy nie padał deszcz, zmieniły ludzi w ponurych dziwaków. A może to jakieś wyziewy z bagien źle na nich wpływały? Kto to wie? Przecież nikt tego nie sprawdzi.

Deszcz rozpadał się na dobre. Komisarz Wiktor Wiktorski wysiadł z samochodu, z bagażnika wyciągnął gumowce, włożył je, na głowę wcisnął czapkę z daszkiem, na plecy zarzucił kurtkę przeciwdeszczową z wielkim

kapturem. Miał jeszcze sztormiak, ale na razie z niego zrezygnował, ponieważ ograniczał ruchy. Może jak deszcz będzie większy. Do kieszeni wcisnął mocną latarkę, z drugiej wygrzebał papierosy, zapalił jednego i dopiero teraz rozejrzał się po posesji, na której stała willa Bernatowiczów.

Od razu dostrzegł grupkę mężczyzn skupioną wokół faceta z brodą, stojącą pod dachem wiaty zbudowanej zaraz przy basenie. „Niech poczekają”, Wiktorski uśmiechnął się pod nosem. „Niech wiedzą, kto tu jest najważniejszy i kto podejmuje kluczowe decyzje”. Zaciągnął się jeszcze raz papierosem i niespiesznie ruszył w ich stronę.

Deszcz rozbijał się o kaptur. To będzie cholernie ciężka noc. A swoją drogą, doktor Jakub Bernatowicz był bardzo zamożnym człowiekiem. Willa robiła wrażenie, do tego dwa garaże, basen, zabudowania gospodarcze. Żyć nie umierać. Aż dziw, że tego wszystkiego dorobił się, zaglądając kobietom między nogi. Tak przynajmniej mówili w Kamiennej i okolicznych wioskach. Bernatowicz był ginekologiem i prowadził we Wrocławiu własny gabinet albo jakąś klinikę. Co bardziej złośliwi mówili też, że dorobił się majątku na nielegalnych skrobankach i pewnie kiedyś dopadnie go za to kara boska. Ci mniej złośliwi kpili, że pani Izabela jest najbardziej nieszczęśliwą kobietą w okolicy, bo jak jej mąż napatrzy się na tyle kobiet w pracy, to pewnie później już na nic nie ma ochoty. Jeszcze inni mówili, że wprost przeciwnie, gdzieś przecież musi swoje żądze rozładować. Ale to było tylko takie głupie gadanie, bo przecież w sumie praca była jak każda inna, ktoś to musiał robić. Generalnie jednak Bernatowicze byli poważani i traktowani jak miejscowi celebryci. O ile w takiej zabagnionej dziurze jak Kamienna można mówić o celebrytach. Wiktorski pamiętał, ile było gadania, gdy doktor pierwszy raz pierwszy zamówił firmę ogrodniczą, żeby zadbała o zieleni przy domu po zimie. Pogadali, pogadali i spowszedniało. No bo kto bogatemu zabroni?

Dom był rozświetlony jak choinka w Boże Narodzenie, co natychmiast nie spodobało się Wiktorskiemu. Stary pies czuł nosem, że coś złego wisi tu w powietrzu i nie jest to tylko zgniły zaduch od bagien, kiedy za długo padają deszcze. Tu się wydarzyło coś bardzo złego i ponure miny czeka-

jących na niego w milczeniu mężczyzn, w świetle żarówki pod dachem wiaty, jakby potwierdzały jego podejrzenia. Niektórzy palili, inni tylko patrzyli z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtek. Nawet ten burak, Marczak, wydawał się zdenerwowany, bo drapał się ciągle po zarośniętym policzku i przestępował z nogi na nogę.

Kilka metrów przed nimi Wiktorski przystanął i spojrzął w kierunku oświetlonego tarasu willi. Na ławie siedziała zapłakana Izabela Bernatowicz, paliła papierosa i kiwała się w przód i w tył, jakby miała atak choroby nerwowej. Jej plecy okrywał gruby koc, a obok siedziała Marczakowa i obejmowała ją ramieniem. Policjant popatrzył Izabeli w oczy. Jej spojrzenie mówiło, że nie jest dobrze. Dwie inne kobiety stały w salonie i patrzyły ponuro przez szybę okna. Pewnie chciałyby pomóc, jednak Marczakowa je przegoniła i sama próbowała uspokoić gospodynię. „Oj, niedobrze” – pomyślał komisarz i rzucił niedopałek pod nogi. „Czyżby to doktor poszedł na bagna? Jakie licha go tam pognało, przecież był stąd i wiedział, że tam nie wolno chodzić po deszczu. Niedobrze”.

Policjant wspiął się po dwóch stopniach prowadzących pod dach, zdjął kaptur, skinął wszystkim głową w milczeniu i uchylił czapki. Odpowiedziały mu pomruki i kiwnięcia głowami. A więc czekali na niego, żeby to on podjął decyzję, co dalej. Bardzo dobrze, po latach wreszcie zrozumieli, że po to tu jest. Żeby podejmować trudne decyzje i dbać o ich bezpieczeństwo. Nie dało się ukryć, że poczuł się mile połączony.

– Nie spieszyłeś się, komendancie – rzucił niezbyt przyjaźnie Marczak.

– Trzeba było szerzej gębę otworzyć i powiedzieć więcej, a nie tylko półsłówka – odgryzł się policjant. – Kurwa, od tego są telefony, żeby się komunikować. A ty, Marczak, ciągle jakbyś telegram przez telefon pisał.

Rozległy się krótkie śmiechy i zaraz umilkły. Marczak jeszcze bardziej spochmurniał, a policjant, nie patrząc na niego, stanął pośrodku zgromadzonych, żeby wiedzieli, kto teraz przejmuje dowodzenie, i zapytał:

– No dobrze, co tu się stało?

– Niech Marczak mówi – rzucił ktoś. Wiktorski poznał sąsiada spod je-dynki, Makarewicza, który przyszedł tu z dorosłym już synem.

Janek Makarewicz stał trochę z tyłu i najwyraźniej był lekko przestraszony. No i nie dziwne, skoro nieczęsto zdarzało się takie pospolite ruszenie. Wiktorski pamiętał, że ostatni raz wszyscy zebrali się kilka lat temu, kiedy na bagna pogalopował spłoszony koń Ruciaków spod siódemki. Tylko że wtedy nie było tylu chętnych do pomocy, a i konia nie dało się uratować. Połamał nogi gdzieś w bagnie i trzeba było go uspić. Potem dwa dni nie mogli go wyciągnąć, tak go bagno wessało. Dopiero Marczakowi udało się podjechać starym ursusem i wyrwali nieszczęsne zwierzę ze śmierdzącej mazi. To właśnie dlatego nikt normalny się tam nie zapuszczał, a ci, co ryzykowali przejście do znajdującego się w głębi stawu, robili to tylko latem, kiedy było sucho.

– Tyle wiem, co mi pani doktorowa powiedziała – mruknął facet i znowu podrapał się po czarnej szczecinie na policzku. – Ze dwie godziny temu to było, jak się pokłócili i doktora Bernatowicza jakieś szaleństwo chwyciło. Podobno krzyczał, że na niczym mu już nie zależy, ma wszystko w dupie. – Marczak wyraźnie się zawahał. – No, może tak nie powiedział, ale sens ten sam. No i pobiegł do tego cholernego lasu, jak jakiś szaleniec. Pani Iza pobiegła za nim, ale już go nie zobaczyła, a dalej sama bała się iść, bo wody pełno i nie wiadomo, gdzie stały łąd. Ot i tyle wiemy.

– Czyli dwie godziny już go nie ma – podsumował komisarz.

– Na to wychodzi...

– A dlaczego zwlekała tak długo?

– W szoku pewnie była. Minęła godzina, zanim do mojej zadzwoniła, a żona potem przez kwadrans nie mogła zrozumieć, o co jej chodzi. Jak już zrozumiała, zaraz wszystkich zebrałem, żeby zacząć poszukiwania. Tylko ten cholerny deszcz zaczął padać i ciemno już się zrobiło. No i nie wiemy, co robić.

– Dobrze, że do mnie zadzwoniliście. – Komisarz powiódł spojrzeniem po twarzach zgromadzonych mężczyzn.

Było ich dwunastu, pewnie wszyscy z Kamiennej, którzy akurat byli zdrowi i mogli pójść do lasu w taką pogodę.

– Jak tyle czasu minęło, to i kilka minut teraz nie zaszkodzi. – Wiktorski wzorem Marczaka podrapał się po zmarzniętym policzku, tylko on był gładko ogolony i na skórze zostały czerwone ślady. – Pogadam najpierw z panią Izą, a wy się zastanówcie, kto dobrze zna tamtejsze ścieżki, i podzielcie się na grupy po trzy osoby. No i linę załatwcie, powiążemy się, żeby łatwiej było się ratować w razie nieszczęścia.

– Liny mam w samochodzie – rzucił właściciel passata, Grzegorz. – Zaraz przyniosę.

Marczak popatrzył w górę, jakby chciał przeniknąć sufit i spojrzeć w czarne deszczowe niebo. A może wsłuchiwał się tylko w miarowy szum kropel rozbijających się o gonty? Chłopy były dobrze przygotowane na deszcz. Wszyscy mieli nieprzemakalne kaptury i gumowce, a w dłoniach ściskali latarki. Byli gotowi na akcję, lecz brakowało kogoś, kto by zarządził wyjście do lasu. Pewnie się bali, ale i tak pójda, bo tu przecież chodzi o ludzkie życie. Do tego poważanego obywatela wioski. Jak za koniem poszli, to pójda też za doktorem.

Policjant zostawił ich i poszedł w kierunku tarasu, nie oglądając się. Najważniejsze było ustalenie dokładnie, w którym miejscu Bernatowicz wbiegł do lasu.

Doktorowa siedziała w takiej samej pozycji, w jakiej widział ją wcześniej. Tylko nie paliła już papierosa. Ktoś wcisnął jej w rękę szklaneczkę ze złotym płynem, pewne whisky albo koniakiem, żeby ją trochę rozgrzać, uspokoić i przywrócić do przytomności. Kiedy Wiktorski był o dwa kroki od niej, spojrział pytająco na Marczakową, a kobieta tylko skinęła głową, że można. Policjant przyciągnął krzesło, postawił je przed Izabelą i usiadł odwrotnie, kładąc dłonie na jego oparciu.

– Dobry wieczór, pani Izo – odezwał się spokojnie. – Organizujemy poszukiwania pani męża. Tylko musi nam pani trochę pomóc. Proszę mi opowiedzieć, jak było, i najważniejsze, w którym miejscu on do tego lasu wszedł. Widzi pani, deszcz pada, jest już ciemno i na bagnach robi się niebezpiecznie. Pomożemy, ale nie chcę dobrych ludzi narażać. Musi mi pani dokładnie opowiedzieć, co się stało.

Bernatowiczowa pociągnęła duży łyk ze szklanki, przełknęła, krzywiąc się, a potem pokiwała głową. Najwidoczniej już otrząsnęła się z szoku. Mimo to głos nadal miała drżący i niepewny.

– Pokłóciliśmy się. O inną kobietę. On mnie zdradzał. Kuba mnie od lat zdradzał. – Kobieta wyrzucała z siebie słowa z widocznym trudem. – Rozumie pan, komendancie? Przeżyłam szok, nie wiedziałam, co mam robić. To tak, jakbym szła po kruchym lodzie i ten lód załamał się pode mną na samym środku jeziora. Nikogo wokoło do pomocy, a ja w lodowatej wodzie. Przecież tu jest mój dom, który budowałam przez lata. Sama, bo jego wiecznie nie było. Bez przerwy pracował, ciągle przyjmował pacjentki i rozwijał klinikę. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Ja nie byłam o niego zazdrosna.

Zrobiła przerwę i wypła alkohol do dna. Marczakowa natychmiast uzupełniła szklankę niemal do pełna.

– Nie spodziewałam się. Nie przypuszczałam. Był dobrym mężem i nigdy nie dał mi powodu do podejrzeń. Naprawdę.

Komisarz dał się jej przez chwilę wygadać, ale czas gonił, więc musiał skierować jej zwierzenia na właściwe tory.

– I co się dzisiaj stało?

– Znalazłam w jego telefonie takie rzeczy, że... – Głos się jej załamał i znowu upła duży łyk alkoholu.

– I co było dalej?

– Zrobiłam mu awanturę, nazwałam go zdrajcą i wtedy w nim coś pękło. Wpadł w szal, myślałam, że mnie zabije. Zwzywał mnie od najgorszych idiotek i kurew. Powiedział, że to ja zniszczyłam mu życie i ma mnie już dość. Potem wpadł w jakiś amok. Chodził po domu i wyżywał się na meblach, rzucał nożami; przestraszyłam się i schowałam w kącie, a z nim było coraz gorzej. Jakby dopadł go obłąd. Wreszcie powiedział, że już na niczym mu nie zależy, na życiu też, wybiegł z domu, tak jak stał, i pobiegł w kierunku lasu. Chwilę mi zajęło, zanim się otrząsnęłam.

– Widziała pani, czy na pewno poszedł do lasu? – upewnił się Wiktorski.

– Tak, patrzyłam za nim przez okno. I nie wyszedł – dodała, uprzedzając jego następne pytanie. – Ubrałam się i pobiegłam za nim. Na skraju lasu wołałam, ale już nie odpowiedział.

– W którym miejscu wszedł do lasu?

– Biegł miedzą, między tymi dwoma polami u nas, za płotem. Tam mamy taką małą furtkę w ogrodzeniu – wyjaśniła Izabela. – Nigdzie nie zbaczał. Tam wszedł na bagna.

– Kiedy to było? – zapytał jeszcze Wiktorski.

– Ze dwie godziny temu...

Sześć godzin wcześniej.

Jakub Bernatowicz wstał wyjątkowo późno i oznajmił żonie, że tego dnia nie ma umówionych wizyt i nie jedzie do kliniki. Ma sporo pracy przy domu przed zimą i ma zamiar się tym zająć. Izabela ucieszyła się, że cały dzień spędzą razem, postanowiła, że zrobi na obiad pierogi, za którymi Kuba przepadał, a potem kto wie? Skoro jej mąż nie będzie tak zmęczony jak zwykle, gdy wracał późno po całym dniu w klinice, może spędzą ze sobą kilka miłych chwil na kanapie? Może obejrzą razem jakiś serial na Netfliksie i otworzą butelkę dobrego wina? Kiedy wykupili dostęp do tej platformy, umówili się, że będą na bieżąco oglądać wszystkie najlepsze seriale. Tak się składało, że oboje lubili dobre kryminały, a takich tu nie brakowało. Tylko że Kuba nie dotrzymał obietnicy. Ledwo obejrzelili razem pierwszy sezon *Domu z papieru*, a on już się wykpił od oglądania, tłumacząc się zmęczeniem i brakiem czasu. Więc ona oglądała seriale sama, czasem popijając wino, jak miała podły nastrój. A takie podłe nastroje zdarzały się jej coraz częściej. Miała wrażenie, że mąż jej unika, wymawiając się pracą. Ale może to było tylko złudzenie? On zarabiał pieniądze, ona nimi gospodarowała i je wydawała.

Dom, w którym mieszkali, zaprojektowała sama. Kiedyś była architektem, zanim nie zrezygnowała z pracy. Po co miała pracować, skoro klinika jej męża przynosiła bardzo duże dochody? Więcej pieniędzy nie potrzebo-

wali, na wszystko było ich stać. Na wakacje na Pacyfiku, wycieczkę do Japonii, nowe volvo z salonu. Spełniali wszystkie swoje zachcianki. Wreszcie mieli już wszystko, pomysły na nowe zakupy się skończyły i po pewnym czasie, kiedy Iza zmęczyła się przesiadywaniem w domu pod lasem, zaczęła się zastanawiać, po co im te pieniądze, skoro przestali mieć prywatne życie. Jej męża nigdy nie było w domu, kiedy go potrzebowała. Wszystkim musiała zajmować się sama. Była coraz bardziej sfrustrowana, więc ucieśliła się, kiedy ni stąd, ni zowąd oświadczył, że ma wolne.

Na śniadanie przygotowała omlety, które – jak nigdy – zjedli razem, w pidżamach, przy kuchennym stole. Potem pili kawę, wylegując się na sofie w salonie. Rozmawiali jak za dawnych czasów, śmiali się, wrócił stary Kuba, uśmiechnięty i pełen energii. Później ona poszła posprzątać w kuchni, a on długo brał prysznic w łazience. W pewnym momencie nawet się trochę zaniepokoiła. Przestała słyszeć wodę już dawno, a on ciągle nie wychodził. Usłyszała piknięcie jego telefonu, dochodzące z łazienki, ale po namyśle doszła do wniosku, że się przesłyszała. Przecież nie zabrałby aparatu do łazienki. Jednak po kolejnych kilku minutach, kiedy nie wychodził, zaczęła szukać jego telefonu po domu. Nigdzie go nie było. Sprawdziła wszystkie miejsca, w których zazwyczaj go zostawiał, i nie znalazła. Wtedy jeszcze się nie zaniepokoiła.

Jakub nie wiedział, że Iza go obserwuje, więc gdy wyszedł z łazienki, nie ukrywał całej gamy nieznanych jej uczuć malującej się na jego twarzy. To była radość, rozbawienie, szczęście, jakiś dziwny błysk w oczach i jakby rozmarzenie. Przed drzwiami łazienki przystanął nagle, jakby wrócił do rzeczywistości, spojrzał nieprzytomnie na żonę, mruknął coś i poszedł do swojego pokoju. Iza patrzyła za nim coraz bardziej zdziwiona i zaniepokojona. Nie знаła go takiego. Byli małżeństwem od dziesięciu lat i nie zauważyła, żeby zachowywał się tak dziwnie. Nagle wpadła jej do głowy myśl: „Co on robił w łazience?”. Minęło jeszcze kilka minut i Kuba wyszedł z pokoju ubrany w dres, odwiesił szlafrok w łazience, potem wszedł do kuchni, nie patrząc na żonę. Był słabym aktorem i jeśli chciał coś przed nią ukryć, zachowywał się zupełnie odwrotnie, więc od razu zwrócił na siebie jej uwagę.

Stał przy ekspresie do kawy, nucąc coś pod nosem. Nucił tylko wtedy, gdy był zdenerwowany i starał się to ukryć.

– Coś się stało? – zapytała.

Spojrzał na nią przelotnie i znowu skupił się na obserwowaniu dwóch strumieni kawy wpadających do filizanki. Miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, mimo swoich trzydziestu sześciu lat był wysportowany, miał sylwetkę w kształcie litery V, ani grama tłuszczu. Zawsze dbał o wygląd, regularnie chodził na siłownię, w weekendy biegał po lasach i nie stronił od prac domowych. Rąbał drzewo do kominka, układał je w drewni, przekopywał ogródek, kosił trawniki, tylko jesienią i wczesną wiosną wynajmowali firmę, która zajmowała się sprzątaniami ogrodów. Kuba zawsze powtarzał, że prace domowe wpływają na kondycję lepiej niż siłownia. Miał czarne, krótko ścięte włosy, ciemną karnację, mocny zarost, który nawet świeżo po goleniu wyraźnie malował mu się na policzkach i brodzie, i ciemne oczy, które Iza tak lubiła. Chyba właśnie w tych oczach na początku się zakochała, w ich mądrości, życzliwości, tłącej się ciągle gdzieś w głębi radości, którą czasem zastępował mrok, kiedy Bernatowicz był zły albo smutny.

– Nie, nic – odpowiedział szybko.

Zaraz jednak zmienił zdanie. Usiadł z filizanką kawy na wprost niej przy kuchennym stole.

– Chociaż właściwie tak. Niestety, zmieniły mi się plany, są jakieś kłopoty w klinice i niezbędna będzie moja pomoc. Muszę pojechać do pracy. Ale tylko na kilka godzin – dodał szybko, widząc jej rozczarowanie. – Wrócę po południu, więc niewiele stracę, jeszcze zdążę coś zrobić wokoło domu.

– Co ty mówisz, o szesnastej robi się ciemno, a na popołudnie zapowiadają deszcz.

– A, to zajmę się tym kiedy indziej – zbagatelizował jej słowa.

W Izabeli narastały złość, rozgoryczenie i żal. Słowa z trudem przeciskały jej się przez gardło.

– Myślałam, że skorzystamy z okazji i ten dzień spędzimy razem. Wiesz, kiedy ostatni raz miałeś wolne i robiliśmy coś razem? Ja już nie pamiętam. Masz świadomość, że siedzę w pustym domu i tylko patrzę, jak za oknem robi się ciemno? Jestem już trochę zmęczona tym, że ciągle cię nie ma.

Dopił szybko kawę i uśmiechnął się do niej szeroko. Znowu miała wrażenie, że jest nieszczerzy.

– Nie przesadzaj, kochanie. Rzeczywiście, ostatnio w klinice jest dużo pracy. Wiesz, rozbudowujemy budynek, trzeba wyposażyć nowe gabinety, a z tym jest wielkie zamieszanie. Oferty, rozmowy, negocjacje, wreszcie umowy. To mnie strasznie stresuje i męczy. Ja się nie bardzo do tego nadaję, a jednocześnie to konieczność, żeby klinika osiągnęła szczyt swoich możliwości. No i ostatnio pacjentek jest jakby więcej. Zresztą to jest problem całej służby zdrowia. Kiedy przyszła pandemia, ludzie nagle przestali przychodzić do lekarza. A teraz znowu zaczęli. Wiesz, ile jest z tego problemów?

Słuchała go w ponurym milczeniu. To był cały Jakub. Bajerować to on potrafił, a do tego był mistrzem w rozwadnianiu poważnych tematów. Nawet największe problemy umiał w kilku zdaniach zredukować do nic nieznających błahostek i ona zawsze łapała się na to. Teraz postanowiła, że nie odpuści tak łatwo. Tym bardziej, że narastał w niej jakiś trudny do zdefiniowania niepokój.

– Kuba, dom i żona też są ważne – powiedziała poważnie. – Rozwiniesz klinikę i będziesz pracował jeszcze więcej? Myślałam, że firmy buduje się po to, żeby mniej pracować. Żeby zatrudnić ludzi i delegować na nich uprawnienia.

– Wiesz, to tylko w teorii jest takie proste. – Uśmiechnął się promiennie, bo wprowadziła rozmowę na grunt, na którym czuł się pewnie. – Wiesz, jak ciężko jest znaleźć kompetentnych i odpowiedzialnych pracowników? Wszystkim trzeba zajmować się samemu.

– Kuba, nie zmieniaj tematu, mieliśmy spędzić ten dzień razem. – Pownownie wezbrały w niej żal i złość. – Zrobiłeś mi nadzieję, a teraz znowu

mnie wystawiasz, znowu przegrywam z twoją pracą. Wiesz, jak się z tym czuję?

– Kochanie, nie przesadzaj, to się już niedługo skończy i będziemy mogli być ze sobą dłużej. – Próbował się uśmiechnąć, ale wyszło jakoś nieszczęrze.

Gniew w niej narastał i nagle się przestraszyła, że powie kilka słów za dużo. Z trudem przełknęła gorycz i rozczarowanie.

– Dobrze, jedź – wyszeptała.

Jakub spróbował popatrzeć jej w oczy.

– Wszystko w porządku? – Wstał i sięgnął do jej policzka, ale odtrąciła jego dłoń ze złością.

– Jedź! – rozkazała.

Bez słowa odwrócił się i wszedł schodami na piętro, gdzie miał garderobę. Po chwili usłyszała skrzypienie desek podłogowych nad głową. Była na niego wściekła. Jak zwykle w ostatnim czasie. Znowu zostanie w tym domu sama, na zewnątrz na dobre rozgościł się listopad, wszędzie jest szaro, a wilgoć od tych cholernych bagien wciskała się w każdy kąt, niosąc ze sobą nieprzyjemny chłód. Bardzo by chciała położyć się koło swojego ukochanego mężczyzny, przykryć się kocem i chłonąć jego ciepło. Tylko tyle i aż tyle. Czy naprawdę wymaga od niego zbyt wiele? Po raz kolejny zastanowiła się, czy nie zmienić czegoś w swoim jałowym życiu i nie wrócić do pracy. Była dobrym architektem, wciąż miała znajomości, pewnie udałoby się jej załapać do prywatnej firmy. Mają przecież dwa auta, mogłaby, tak jak Kuba, dojeżdżać do Wrocławia, wracałaby tak samo jak on, nie musiałaby siedzieć sama na tym pustkowiu.

Postanowiła, że od razu zacznie badać temat. Może powinna powiedzieć o tym Jakubowi? Nie, po co. Po prostu zakomunikuje mu, że wraca do pracy, i nie będzie wtedy miał nic do gadania. Po pierwsze nie będzie jej odwoził od tej decyzji, do czego miał wyjątkowy talent, a po drugie taka decyzja na pewno da mu do myślenia. I nie będą już na niego czekać ciepłe posiłki. Będzie musiał sam coś sobie organizować. Tak robi – podjęła decyzję.

Ciągle było słycać kroki na górze. Ubierał się. Zachciało jej się siku i poszła do łazienki. Kiedy siedziała na toalecie, jej wzrok padł nagle na wiszący na wieszaku szlafrok męża. A raczej na wybrzuszoną kieszeń. Zapomniał wyciągnąć telefon. Sięgnęła po aparat. Nagle poczuła, jak serce jej przyspiesza i zaczyna tłuc się w piersiach. Podeszła do drzwi i cicho przekręciła zamek. Nie może jej teraz zobaczyć. Niepokój przerodził się w strach. Wahala się tylko przez moment. Widziała kiedyś, jak Kuba odblokowuje go, kreśląc literę zet. Tak zrobiła i ekran się rozjarzył. Tknięta dziwnym podejrzeniem, odszukała folder z wiadomościami, zajrzała do środka i świat zawałił jej się w jednej chwili.

Osunęła się po kaflach na ścianie i usiadła na podłodze, nie mogąc zebrać myśli. To było straszne, jakby wpadła do lodowatego, cuchnącego zgnilizną błota, a to błoto zaczęło ją bezlitośnie wsysać w głębię. Straciła oddech, z oczu popłynęły łzy. Jej poukładany świat rozsypał się, jej idealny mąż okazał się podłym oszustem i zdrajcą. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, zamiast pograżać się w rozpacz, poczuła, jak wracają jej siły. Zawsze lepiej funkcjonowała w sytuacjach stresowych. Im było gorzej, tym szybciej i rozsądniej myślała, tym łatwiej było jej podejmować ważne decyzje. Nie zmieniło tego nawet bycie przykładną żoną w domu pod lasem. Uważnie zaczęła czytać wiadomości w telefonie Jakuba i sama się sobie dziwiła, że reaguje z takim opanowaniem. Jakby cała sytuacja nie dotyczyła jej, tylko kogoś zupełnie innego.

A było co czytać. Kiedy zamknął się w łazience, korespondował z Anną K. Iza nie miała zielonego pojęcia, kim jest ta lafirynda. Może jedną z jego pacjentek? Poczuła narastające mdłości, z trudem przełknęła ślinę, czując, jak śniadanie pomieszan z kwasami podchodzi jej do gardła.

Z wiadomości, które jej mąż wymienił z kochanką, jasno wynikało, że tego dnia naprawdę zamierzał zostać w domu. To ona namówiła go na spotkanie obietnicą miłości francuskiej, pozwolenia na kilka klapsów, aż wreszcie, przekomarzając się, zeszli na temat seksu analnego. Na to też Jakub dostał niczym nieograniczoną zgodę. Wysłała mu zdjęcia swojej cipki,

potem nagiego biustu, który ta dziwka na pewno sobie powiększyła za grubą kasę, a on odpowiedział jej zdjęciem swojego penisa w erekcji.

Ta kropla przepelniła czarę. Iza na kolanach podpełzła do muszli i zwymiotowała. Kilkanaście sekund dyszała ciężko z oczami pełnymi łez, potem wytarła usta papierem toaletowym, spuściła wodę i odpęzła na swoje poprzednie miejsce. O dziwo, poczuła w sobie jeszcze większą siłę. Czym cipka tej zdziry różniła się od tysięcy innych, które w pracy oglądał jej mąż? W czym była ładniejsza od jej cipki? Jeszcze raz obejrzała tamto zdjęcie. Wściekłość narastała. Nie będzie głupią kurą domową, nie da się oszukiwać, nie da się skrzywdzić, nie będzie przez nich cierpiała jak jakaś idiotka.

– Skurwysyn – wyszeptała bezgłośnie.

Już ona im pokaże. Jemu i tej jego wywłóce z silikonowymi cyckami. Może miała też powiększone usta i wyglądała jak glonojad? Może świetnie się dla niego prezentowała, kiedy patrzył na nią z góry, gdy na kolanach robiła mu loda?

Zagryzła wargi do krwi, pozbywając się z wyobraźni widoku ich skotłowanych, spoconych nagich ciał i szczegółów anatomicznych. Uderzyła się kilka razy pięścią w głowę, aż zabolalo. Nie, nie będzie ofiarą, jeszcze im pokaże. Jeszcze temu zakłamanemu sukinsynowi pokaże, że z nią trzeba się liczyć, a ta dziwka zapłaci za zniszczenie jej życia.

Wstała i zakręciło jej się w głowie. Przytrzymała się ściany. Usłyszała kroki na schodach, a potem głos tego chuja:

– Kochanie, gdzie jesteś?

Chrząknęła i odpowiedziała, starając się brzmieć naturalnie.

– W łazience, zaraz wychodzę.

Jeszcze raz spojrziała na ekran, zapamiętała numer telefonu owej Anny K., szybko przesłała na swój telefon okraszoną zdjęciami korespondencję, po czym włożyła aparat z powrotem do kieszeni szlafroka, jeszcze raz spuściła wodę, przed lustrem doprowadziła twarz do porządku i wyszła. Na sztywnych nogach wróciła do kuchni, nie patrząc na tego dziwkarza, usiadła tam, gdzie wcześniej, i sięgnęła po swój telefon.

Jakub zmywał coś w zlewie. Nie patrzyła na niego, słyszała tylko szum wody i szcęk szklanek.

– Stało się coś? – Spojrzał na nią z niepokojem. – Błada jesteś.

Utworzyła w telefonie nową wiadomość tekstową.

– Nie, jestem zawiedziona – burknęła.

– No nie złość się już – powiedział tak słodko, że omal nie wyrzygała się na biały obrus. – Nie będę długo. Wrócę jak najszybciej, zrobimy coś dobrego na obiad, a potem otworzymy dobre wino, obejrzymy jakiś serial. Może się trochę popieścimy?

Podniosła na niego wzrok, a on pod wpływem tego spojrzenia znieruchomiał, zaskoczony. Nie była bazyliszkiem, ale w tej chwili chciała być i tę żądzę mordu musiała mieć wypisaną na twarzy, bo Jakub nic już nie powiedział.

„Będziesz mnie całował tymi samymi ustami, które wylizą cipę tej kurwy? A potem zaoferujesz mi swojego penisa, który wcześniej spenetruje wszystkie jej dziurki?” – pomyślała i aż sama przestraszyła się jadu nagromadzonego w tej myśli. „Brzydzę się tobą, chuju złamany”. Wyobraźnia podsunęła jej kolejny zły obraz. On ją już wielokrotnie całował tymi ustami, które lizaly tamtą wywłokę. Znowu zrobiło jej się niedobrze.

– Może – rzuciła zimno.

Zaczęła pisać: „Odczep się od mojego męża, kurwo, bo cię znajdę i wydrapię ci oczy”.

– No nie gniewaj się już – powiedział niepewnie. – Wynagrodzę ci.

– Na pewno.

– Idę jeszcze na górę, muszę wyprasować koszulę – oznajmił po krótkim zawahaniu.

– Idź.

Nacisnęła przycisk Wyślij.

Potem czekała. Wrócił po dwóch kwadransach. Właściwie nie wrócił, tylko zbiegł po schodach na złamanie karku i zatrzymał się na progu kuchni.

Był blady, a w jego oczach błyszczał ten mrok, który kiedyś tak bardzo ją pociągał.

Była spokojna i gotowa na wojnę na śmierć i życie.

2.

Ten pieprzony deszcz nie ustawał, jakby miał zamiar padać jeszcze wiele godzin. Kto wie, może i całą noc? Równe, grube krople bębniły o wszystkie dachy i parapety domu.

Komisarz Wiktor Wiktorski patrzył ze smutkiem na załamana kobietę. Zapalił wolno papierosa i zaciągnął się głęboko dymem. W takich chwilach nachodziły go wątpliwości. Czy Bóg naprawdę istnieje? Bo przecież Bóg jest miłością, więc gdyby istniał, nie spuszczałby takich tragedii na ludzi, nawet gdyby byli grzeszni i rozpustni. Bo przecież ich kochał i wybaczał. Dlaczego nie wybaczył teraz Izabeli Bernatowiczowej i ukarał ją podwójnie? Najpierw dowiedziała się o zdradzie męża, a potem prawdopodobnie o jego śmierci. Bo stary policjant nie wątpił, że jeśli doktor poszedł w tę pogodę na bagna, to są niewielkie szanse, żeby to zakończyło się dobrze. Mimo wszystko, nie wierząc w powodzenie wyprawy ratunkowej, musiał ją podjąć, jeśli istniał nawet cień szansy. Przecież był dzielnicowym i jego podstawowym obowiązkiem była ochrona ludzi mieszkających w jego okręgu.

– Uderzył panią? – zapytał nagle.

Izabela odruchowo zasłoniła dłonią kość policzkową, jednak komisarz zdążył się już przyjrzeć znajdującemu się tam siniakowi.

– Tak – odpowiedziała słabo. – Coś w niego wstąpiło. Jakiś diabeł.

Wiktorski spojrzał na jej szyję owiniętą szczelnie apaszką. Jednak nie na tyle szczelnie, żeby ukryć zaczerwienioną i obtartą skórę.

– Dusił panią?

Nie miała siły odpowiedzieć, tylko skinęła głową i po jej policzkach potoczyły się dwie wielkie łzy.

– Jezus Maryja! – wykrzyknęła zdjęta zgrozą Marczakowa i przeżegnała się szybko. – To nie może być!

Nie zwrócili na nią uwagi.

– Pani Izo, muszę pójść na bagna i spróbować odszukać pani męża, może nic strasznego się nie stało. Ale jeśli poszedł głębiej, to mogło się źle skończyć. Muszę, to mój obowiązek.

– Wiem – odpowiedziała wyjątkowo przytomnie. – Niech pan robi, co chce, komendancie. Tylko musi pan wiedzieć, że mi już nie zależy.

– Rozumiem.

– Jeśli pochłonęło go bagno, to nawet lepiej dla niego.

Spojrzała na niego twardo spod zapuchniętych i zaczerwienionych od płaczu powiek. Nie wytrzymała tego spojrzenia, odwrócił się i wyszedł z tarasu na deszcz.

Gdy dołączył do czekających na niego pod wiatą mężczyzn, okazało się, że Marczak się sprawił i był już podział na trzy grupy po dwie osoby i trzy osoby ubezpieczające każdą grupę z mocną latarką. Marczak wyjaśnił, że nie ma co się pchać całą gromadą, „bo z tego ino jakieś nieszczęście wyniknie, a i dobrze by było mieć kogoś na brzegu, co w razie czego z liną i światłem pospieszy albo pomoc wezwie”. Komisarz bez wahania zgodził się na jego plan. Okazało się jednak, że nie wszyscy są zdecydowani aż tak ryzykować w niepewnej sprawie. Pierwszy odezwał się mały, pomarszczony mężczyzna koło sześćdziesiątki, w za dużym płaszczu przeciwdeszczowym, Witek Tryński.

– Komendancie, coś mi się tu nie widzi – powiedział, pociągnął długiego skręta z wyjątkowo aromatycznym tytoniem i strzyknął śliną w deszcz. – Doktor nie jest głupi, żeby się na bagna pchać. Czy na pewno tam polazł?

To było pytanie, które dręczyło chyba wszystkich. Wiktorski westchnął i rozejrzał się po twarzach wpatrzonych w niego ludzi. Trzeba było zadbać o morale przed akcją.

– Słuchajcie – powiedział poważnie. – Wiecie, że chłop z babą to czasem nie mogą się dogadać i tylko problemy sobie robią.

Odpowiedziały mu ponure skinienia głowami, więc mówił dalej:

– Czasem od tych problemów i awantur to zwariować można. Jedni wpadają w szal i biją kobitę, inni zalewają się w trupa, innym nie chce się dalej żyć i za sznur chwytają, a jeszcze inni mogą na bagna w desperacji pobiec, bo tak im akurat diabeł podpowie. No i tak się tu teraz u doktorów porobiło. Wziął i pobiegł. Na pewno pobiegł, bo żona widziała, a dlaczego, to nam powie, jak go znajdziemy.

– Jeśli już go bagno nie pochłonęło – rzucił Krystian Jaceń, chudy mężczyzna po czterdziestce, który dopiero w tym roku doczekał się potomka i przeszedł cudowną przemianę z pijaka we wzorowego ojca.

– Mogło go już pochłonąć, ale my musimy to sprawdzić – przyznał policjant. – To nasz chłop, tutejszy, i nie możemy go zostawić w potrzebie. Jak go teraz zostawimy, to jeśli któryś z nas będzie miał podobne kłopoty, zwątpi, że mu ktoś pomoże. A sąsiedzi zawsze sobie pomagają. Co, źle gadam?

– Dobrze gada!

– Dobrze.

Mężczyźni pokiwali gorliwie głowami.

– To co, idziemy? – zapytał jeszcze Wiktorski.

– Komendancie, co tu gębę sobie niepotrzebnie pruć – wtrącił się Marczak. – Wątpliwości są, strach jest, ale i tak pójdziemy. Taki nasz zasrany obowiązek wobec sąsiada, ale też wobec Boga. On patrzy, widzi nasz strach, ale oczekuje, że zachowamy się jak ludzie, a nie jak banda skurwysynów.

Znowu przez grupę przeszedł szmer aprobaty. Wiktorski spojrzał z wdzięcznością na bimbrownika. Miał facet łeb na karku i za to poczuł do niego przyływ sympatii. Szturchnął go w ramię.

– A nie masz pan, panie Marczak, czegoś na rozgrzewkę? Bo jeszcze nigdzie nie poszliśmy, a dupy nam już zmarzły – powiedział i trafił w dziesiątkę, chociaż Marczak w pierwszej chwili zmarkotniał.

– Nie wiem, o czym komendant mówi – mruknął, zerkając nieufnie.

– Przecież wiem, jaka tam produkcja odchodzi u pana w szopie. – Wiktorski się uśmiechnął. – Policja policją, ale na swoich donosił nie będę. Masz coś, to daj, a jak nie, to do doktorowej pójde po flaszkę tego rudego na myszach, ale to w chuj niedobre.

– Pewnie, że mam – rozpromienił się Marczak, skoczył do auta i przybiegł z dwoma butelkami pełnymi bursztynowego płynu. – Przepalanka, miód w gębie – wyjaśnił z dumą.

Flaszki poszły w obieg, każdy z wyjątkiem Jacenia wziął po dwa łyki, nawet Janek Makarewicz. Rozkaszłał się przy tym i z trudem łapał oddech. Bo bimber był mocny, ale bardzo dobry i rozgrzewał jak trzeba. Niedopite butelki postawili na stoliku na środku wiaty.

– Będzie na powrót – zarządził Wiktorski.

– Komendancie, jeszcze mam – rzucił Marczak.

– A jak będziemy po pijanemu autem do domu wracać? – zaniepokoił się ktoś.

– Pójdiesz piechotą – odparł dzielnicowy.

– No co wy, komendancie, w taki deszcz, z bagien?

– No dobra – zgodził się Wiktorski. – Na dzisiejszy wieczór macie ode mnie dyspensę. I tak nikt z drogówki nie był tu od stanu wojennego. Tylko ostrożnie jechać, nie chcę mieć nikogo na sumieniu.

– Się rozumie – rzucił starszy z Makarewiczów.

Wyszli na deszcz i w takich grupach, na jakie ich Marczak podzielił, poszli miedzą w kierunku Kamiennego Lasu. Ćmili ostatnie papierosy, osłaniając je przed deszczem, i klęli pod nosem, kiedy gumowce zapadały się w błocie. Już tutaj ziemia była grząska i rozmokła, a co dopiero na bagnach.

Pięć godzin wcześniej.

– Napisałaś do niej wiadomość!

Głos Jakuba był zmieniony przez ściśnięte wściekłością gardło. W niczym nie przypominał samego siebie. Stał na progu kuchni, trzymając

w dłoni smartfon i przesywał ją złym spojrzeniem.

– Do tej kurwy? – Chciała powiedzieć to spokojnie, lecz można było wyraźnie usłyszeć ukryte gdzieś w środku drżenie.

– Nie mów tak o niej – warknął.

– A kim ona według ciebie jest?! – wrzasnęła niespodziewanie. – Kim jest kobieta, która pieprzy się z cudzym mężem i rozbija małżeństwo? Milczysz? To ja ci powiem. Dla mnie jest taką samą kurwą jak ta, co daje dupy za pieniądze.

– Nie bądź wulgarna!

– Ja jestem wulgarna?! – przestała nad sobą panować. – Ja? A ona nie jest wulgarna, gdy wysyła ci zdjęcie swojej pizdy i cycków? Może powiesz, że chciała uzyskać u ciebie tak popularną ostatnio w naszej służbie zdrowia teleporadę? Może inne też wysyłają ci swoje intymne zdjęcia, żebyś je zdiagnozował? To według ciebie jest w porządku? I to, że obcej babie wysyłasz zdjęcie swojego kutasa w pełnej gotowości? To też jest dla ciebie w porządku? Takie normalne, prawda?

– Zamknij się! – Teraz on stracił cierpliwość.

– Nie, to ty się zamknij! Kurwa, jaka ja była głupia, że ci ufałam. – Po twarzy Izabeli nagle łzy spłynęły obficie, jakby gromadziły się pod powiekami od dłuższego czasu i dopiero teraz znalazły drogę na zewnątrz. – Siedziałam w tym domu na zadupiu odcięta od świata i byłam dumna z tego, że mam takiego wspaniałego męża. Wszystkim się chwaliłam, jak o mnie dba, jak troszczy się o dom, jaki to on jest, kurwa, doskonały. A ten mój wspaniały małżonek pieprzy się z dziewczkami i pewnie śmieje się, jaką to ma głupią żonę, która siedzi w domu i o niczym nie ma pojęcia. Tak sobie myślałam, prawda? Może specjalnie mnie tu ulokowałeś, żeby mieć pełną swobodę. Nie zabierasz mnie do kliniki, już dawno nie byłam na żadnej twojej imprezie firmowej. Może dlatego, że tam wszyscy już wiedzą, że doktor Bernatowicz zdradza żonę, i ktoś mógłby coś niepotrzebnie chlapnąć.

Nagle ukryła twarz w dłoniach.

– Jaka ja byłam głupia – jęknęła. – Jesteś chuj złamany, jak mogłeś mi to zrobić?

– Posłuchaj, to wcale nie jest tak, jak myślisz. – Głos mu złagodniał, jakby chciał ją uspokoić.

Zerwała się z krzesła, chwyciła w dłoń filiżankę z kawą i niespodziewanie rzuciła w niego z wielkim impetem. Porcelana rozprysnęła się na ścianie kilkanaście centymetrów od jego głowy, syjąc wokół odłamkami i kropelkami niedopitej kawy. Jakub odruchowo odskoczył i zakrył twarz dłonią. Mimo to wiele kropel spadło na niego. Po białej ścianie spływały brązowe stróżki.

– Ty cholerna wariatko! – krzyknął, wycierając się rękawem. – Kurwa, mogłaś mnie trafić w twarz. Nie wzięłaś dzisiaj tabletek?

– Szkoda, że nie uszkodziłam ci tej zadbanej twarzyczki – powiedziała ze złośliwą satysfakcją. – Jakbyś dorobił się sznyty na twarzy, może miałbyś większe powodzenie u kobiet. Niektóre lubią takich męskich facetów z bliźnami.

– Anka dla mnie nic nie znaczy – powiedział szybko. – Popęlnilem błąd, omotała mnie...

– Biedny, niewinny doktor od cipek. Jakaś zła kobieta omotała go, ściągnęła go na drogę zdrady, pewnie strasznie przeżywałeś, że ja zostaję w domu, taka samotna, kiedy ty się z nią pieprzysz. Może jeszcze powiesz, że wszystkie orgazmy udawałeś? Powiedz, czym jej cipka różni się od mojej. Jest jakaś wyjątkowa? Ma coś, czego innym brakuje? A może urzekły cię jej wielkie, sztuczne cycki? Jak to jest, gdy całuje się górę silikonu, co? To musi być strasznie podniecające.

Jej mąż nagle się zmienił, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ten mrok wyszedł z jego oczu i zagościł na twarzy.

– Zamknij się już, głupia pizdo! – warknął i zrobił taki ruch, jakby chciał ruszyć na nią, lecz w ostatniej chwili się opanował. – Nie masz prawa tak o niej mówić.

– Czyli jednak to nie jest tylko przygoda, jednorazowy skok w bok. Jakub się zakochał.

– Wiesz, co ona mi daje? – Teraz miał obcą twarz, której Izabela jeszcze dotąd u niego nie widziała. – Daje mi to, czego ty mi nigdy nie dałaś. Daje mi prawdziwy seks, o którym ty nie masz zielonego pojęcia, daje mi satysfakcję, której nie miałem nigdy z tobą. W porównaniu z nią w łóżku jesteś jak kij od szczotki. Właśnie to mi daje, a mnie to jest potrzebne, bo mam dopiero trzydzieści sześć lat i nie mam zamiaru do końca życia trwać w celibacie. Już wiesz, co w niej dostrzegłem. Coś, o czym ty nie masz pojęcia i nigdy nie będziesz miała.

Iza ukryła twarz w dłoniach i oddychała ciężko, potem podniosła wolno głowę i popatrzyła na niego z taką nienawiścią, że cofnął się o krok. Miała zaczerwienioną twarz, potargane włosy i usta wykrzywione w jakimś dziwnym grymasie.

– Wynoś się – zaczęła cicho, lecz w miarę jak mówiła, jej głos podnosił się, a na końcu zamienił się we wrzask. – Wypierdalaj stąd! Pakuj się i spierdalaj z mojego domu, podły chuju! Nie chcę cię więcej widzieć, wynocha z mojego życia, nie pokazuj mi się nigdy więcej na oczy. Nie chcę cię znać, ty podły sukinsynu!

Gdyby jeszcze coś stało przed nią na stole, pewnie też w tym momencie poleciałoby w kierunku Jakuba. Jej wybuch nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Nagle stał się zimny i odpychający, jakby wreszcie nie musiał udawać przykładnego męża i pokazał prawdziwe uczucia, jakie do niej żywi.

– Zamknij się i nie rób awantur, idiotko – warknął. – Gdyby nie ja, byłabyś nikim. Dzięki mnie jesteś doktorową, masz wielki dom i kasy, ile dusza zapragnie. Wszystko zawdzięczasz tylko mnie, ty jesteś miernotą, która nawet nie potrafi znaleźć sobie porządnej roboty. Wygodnie jest nic nie robić, co? Wygodnie jest pasożytować na mężu, który wie, jak się zarabia pieniądze. Głupia kura domowa!

Iza znieruchomiała i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Te słowa zabolaly ją najbardziej. Chyba nawet mocniej niż wiadomości i zdjęcia w jego telefonie. Nie była głupią kurą domową. Była architektem,

pracowała w renomowanej pracowni, sama zaprojektowała ten dom i potem go wybudowała, a to, że nie pracowała, było ich wspólną decyzją. A teraz on wygaduje takie rzeczy. Coś zakłuło ją w piersiach, pod czaszką nastąpił jakiś niepokojący szum.

– Zejdź mi z oczu, skurwysynu – wyszeptała. – Jedź do tej swojej wywłoki i nigdy się już tu nie pokazuj.

– Nie. – Pokręcił głową. – Coś ci się pomieszało. To jest mój dom i nie mam zamiaru się z niego ruszać.

Zatkało ją. Z trudem odetchnęła i powiedziała:

– To jest mój dom. Sama go zaprojektowałam i wybudowałam. Jest mój.

– Tylko że za moje pieniądze, głupia krowo!

– Nie za twoje! – podniosła głos. – Za nasze pieniądze! Nie mamy rozdzielności majątkowej. Połowa twoich udziałów w klinice jest moja, połowa tych setek tysięcy na lokatach i w akcjach jest moja, połowa obligacji skarbowych jest moja i połowa tego domu też jest moja.

Popatrzyła mu w oczy i wytrzymała spojrzenie.

– I nie odpuszczę ci ani złotówki, rozumiesz? Drogo cię będzie ta zdrada kosztowała. A może zdrady, bo pewnie miałeś już wcześniej jakieś baby. To będą najdroższe dziwki, jakie tylko mogłeś sobie znaleźć. Można by powiedzieć, że ekskluzywne.

– Nie waż się! – ostrzegł.

– Niby dlaczego? Zażądam rozwodu z orzeczeniem o winie. Mam dowody na to, że mnie zdradzałeś. Przesłałam do siebie pewną gorącą korespondencję kochanków z dzisiejszego dnia. Będziesz musiał się ze mną podzielić majątkiem. Od razu ci powiem, że z domu nie zrezygnuję. Ja go stworzyłam, ja zostawiłam w nim serce i kawałek duszy. Nie oddam go.

– Ty cholerna krowo!

Uśmiechnęła się do niego prawie ciepło.

– No proszę, jacy faceci są pojebani... – Pokręciła głową, jakby z niedowierzaniem. – Jeszcze wczoraj mówiłeś do mnie „kochanie to, kochanie

tamto”. A dzisiaj jestem już głupią krową i do tego pewnie starą i grubą. Sztuczne cycki, które przytulasz, są od ciebie młodsze?

– Zamknij się już! – wrzasnął, aż zabrzączało szkło w szafce.

– Nie zamknę się! Oczywiście, że są młodsze i pewnie liczą na twoje pieniądze. Niektóre młode siksy szukają sobie starszych sponsorów. Bardziej sobie cenią kasę niż własną dupę, którą nadstawiają do zerżnięcia. Co masz taką dziwną minę? Powiedziała już, że cię kocha? No bardzo mi przykro, ale to kłamstwo.

Jakub zrobił dwa kroki do przodu i taki ruch ręką, jakby chciał ją uderzyć. Iza zerwała się z krzesła i spojrzała mu prosto w oczy. Dyszał z wściekłości, jego czoło pokryła warstwa potu.

– Spróbuj mnie uderzyć, to pošlę cię do pierdła na kilka lat. Ale będzie z tego afery: znany doktor pobił żonę.

Znieruchomiał.

– No jedź do tej swojej dziwki – mówiła dalej. – Przecież jeszcze niedawno leciałeś do niej jak na skrzydłach, na obietnicę analnego bzykanka.

Omali nie eksplodował. Z trudem łapał oddech, patrząc na żonę przekrwionymi oczami, jak byk niemogący się zdecydować, czy atakować czerwoną płachtę, czy od razu, na przekór zasadom, nadzieć matadora na rogi. Jednak nie zdecydował się na żadną z tych opcji. Westchnął, odwrócił się na pięcie i pobiegł na górę.

Iza stała jeszcze długą chwilę, uspokajając nerwy. Nie wiadomo dlaczego myślała wyjątkowo trzeźwo, jakby całe zdarzenie tak naprawdę było dla niej mniejszym szokiem, niż się spodziewała. Jednak nie było. Kiedy przymknęła na chwilę oczy, zatoczyła się i prawdopodobnie wylądowałaby na podłodze, gdyby nie złapała za uchwyt dwuskrzydłowej lodówki. Trzymała się i z wolna dochodziła do równowagi. Pewne było tylko to, że zrobi tak, jak mówiła. Nie cofnie się i postara się puścić swojego ślubnego w skarpetkach. Żeby dać mu nauczkę, żeby tamta wywłoka zrozumiała, że jej kochanek, „pan doktor”, nie jest tak bogaty, jak jej się to na początku wydawało.

Izabela sięgnęła do górnej szafki, gdzie trzymała paczkę marlboro na odstresowanie, po czym poszła na taras i, nie bacząc na paskudne zimno, zapaliła i usiadła na ławce pod oknem. Czowała, że to jeszcze nie koniec starcia, ale nie przypuszczała, że najbliższe godziny będą koszmarem jak z najgorszego horroru.

Bo kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

3.

Minęli wreszcie orne pole i znaleźli się na wąskiej łączce przed linią drzew. Tu też nie było lepiej, czuli, jak stopy w gumowcach zapadają się w nasiąkniętej wilgocią trawie. Gdzieniegdzie zachlupała woda. Wiktorski pomyślał, że to chyba jednak nie jest dobry czas na poszukiwania. Tym bardziej, że zrobiło się ciemno, a deszcz ciągle nacierał nowymi falami. Policjant zaczął żałować niezabrania sztormiaka. Czuł, że płaszcz przeciwdeszczowy zaczął już przeciekać w kilku miejscach. Bimber też przestawał działać.

Zatrzymali się na skraju lasu, oświetlając latarkami teren wokoło, ale nie podnosząc ich za wysoko, żeby nie oślepić innych. Po chwili wahania Marczak pierwszy ruszył za linię drzew. Wszyscy poszli za nim, ale już w bardziej zwartej grupie, starając się iść tą samą drogą co on. Kiedy tylko znaleźli się w lesie, w ich nozdrza uderzyła bijąca od bagna stęchlizna, nieprzyjemny słodkawy zapach, jakby coś tam nieprzerwanie gniło od dziesiątek lat. I pewnie tak było.

Najpierw szli między drzewami, im bliżej bagna, tym rzadziej rosnącymi. Minęli skrawek twardego gruntu porośniętego rachityczną trawą i nagle światła latarek zaczęły odbijać się w licznych bajorkach, ciągnących się poza zasięg wzroku. Na bagnach drzewa rosły o wiele rzadziej i były zupełnie niepodobne do innych. Tkwiły tu, zapuszczając korzenie w błoto, dziwnie koślawe, poprzekrzywiane, jakby cierpiały na rodzaj drzewnego paraliżu, który powykręcał im gałęzie. Zwykle w tym miejscu panowała cisza, jakby coś pochłaniało cały dźwięk, o poranku snuły się blade mgły, za to teraz jednostajnie szumiał deszcz, ale też jakby przytłumiony.

Marczak zwołał grupę na szybką naradę.

– Idziemy tak, jak się podzieliliśmy – mówił. – Ja z komendantem, Witalij z Feliksem, Krystian z Witkiem. Witalij pójdzie ścieżką przy starym

dębie. – Promień latarki skierował gdzieś w prawo. – Tamta ścieżka nawet po tym deszczu powinna być w miarę bezpieczna.

– Przejdziemy – rzucił Witalij Makarewicz. – Chodziłem tam jeszcze z ojcem.

– Tylko ostrożnie – powiedział Wiktorski, ale odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

Nie podobała mu się taka lekceważąca postawa, lecz nic nie powiedział.

– Ja z komendantem pójdziemy tutaj, po wiatrołomach – kontynuował Marczak. – Pewnie będzie ślisko, ale będziemy uważać. Krystian z Witkiem pójdą lewym skrajem. Witek dalej ma pole i pewnie nieraz tam chodził.

– Chodziłem, poradzimy sobie – rzucił szybko Tryński.

– Pamiętajcie, wiążemy się linami, dwa metry odstęp, a reszta świeci na nas latarkami. Idziemy tylko do miejsca, gdzie dociera światło latarek. Dalej może być niebezpiecznie. Gdyby ktoś potrzebował pomocy, ci, co tu zostają, wchodzą na bagna tylko do miejsca, skąd można rzucić linę. Potem ciągniemy. Jak tylko coś pójdzie nie tak, kończymy i wracamy. Jeden topielec wystarczy.

Odpowiedziała mu ciężka cisza, którą przerwał policjant.

– Nawołujemy się i każdy odpowiada – dodał. – No i wołamy doktora.

Zanim jeszcze wyruszyli, zaczęli wołać Bernatowicza. Ich głosy natychmiast ginęły w oparach bagna, tłumione przez wilgoć.

– Doktorze!

– Panie Bernatowicz!

– Halo!

Odczekali chwilę i gdy nie dobiegł ich żaden odzew, ruszyli w milczeniu, każdy na swoje stanowisko. Niedługo potem Marczak wykrzyknął hasło i wolno weszli na bagna.

Wiktorski już po kilku krokach zrozumiał, co to znaczy iść po wiatrołomie. Jego gumowce zagłębiły się po kostki w błotnistej, śliskiej mazi. Nie widział, co jest pod spodem, za to było strasznie nierówno. Twarde podłoże co chwilę nachylało się pod innym kątem, czasem bardziej, czasem mniej,

a zdarzało się, że noga napotykała nagle na dziurę i gdyby policjant był nieostrożny, pewnie wpadłby w nią aż po pachwinę. Po pięciu krokach był cały zlany potem. Marczak obejrzał się i powiedział tylko:

– Ostrożnie, komendancie, tu już niejedną kulasy połamał.

Stary policjant miał nadzieję, że nie dołączy dzisiaj do tego szacownego grona poszkodowanych. Tak się skupił na utrzymaniu równowagi, że wpadł nagle na plecy Marczaka.

– Jasna cholera! – warknął.

Zgodnie z ustalonymi zasadami mieli się zatrzymywać co kilka metrów, żeby nawoływać i obejrzeć uważnie okolicę. Na razie wyszło idealnie równo. Pokrzyczeli, potem chwilę milczeli, czekając na odpowiedź, lecz słychać było tylko przytłumiony szum deszczu i bulgotanie, jakby w paru miejscach bagno gotowało się na piekielnych ogniach. Wrażenie było niesamowite i chyba cała ekipa poszukiwawcza miała w tej chwili dreszcze strachu pełzające po plecach.

Dopiero gdy światła latarek dokładnie przeczesywały każdy zakamarek bagniska w poszukiwaniu chociaż śladu czegoś podejrzanego, komisarz uświadomił sobie, jakiego beznadziejnego zadania się podjęli. Jeśli doktor Bernatowicz naprawdę poszedł się utopić na bagna, to już dawno diabli z nim tańczą. Nie znając wielu tutejszych ścieżek, nie miał szans. Pewnie nie przeszedł pięciu kroków, jak wciągnęła go zimna i wilgotna otchłań. Kiedy zaczęła wciągać, nie było już szans na ratunek. Może przypadkowo poszedł za daleko i znalazł się w błocie.

– Idziemy – rzucił Marczak.

– Coś ci powiem, Marczak – odrzekł zasapany policjant, uważnie stawiając kroki. – Jesteś w porządku gość.

Mężczyzna idący przodem przez chwilę się nie odzywał, jakby nagle wyznaczenie stróża porządku było dla niego krępujące.

– Ty też jesteś spoko, komendancie – stwierdził cicho.

Znowu się zatrzymali, nawoływali i świecili. Bez żadnego odzewu.

Droga nagle się zmieniła. Nie było już wody, tylko lepkie błoto. Nie było też twardych gałęzi i pni drzew, tylko lekko uginająca się pod stopami gładka powierzchnia. Pewnie teraz szli wierzchnią warstwą bagna zlepioną zbutwiałymi gałęziami, gliną i korzeniami bagiennych roślin. Lepiej już chyba było iść po śliskich pniakach, przynajmniej było jakieś złudzenie trwałości. Teraz Wiktorskiemu wydawało się, że w każdej chwili powierzchnia może pęknąć, a on wyląduje po pas w błocie. Nic jednak nie mówił. Ufał Marczakowi, że ten nie zrobi żadnego głupstwa. I chyba miał rację.

– Możemy przejść tylko kawałek, dalej będzie już zbyt niebezpiecznie – powiedział nagle Marczak, zerkając na niego do tyłu.

– Rozumiem – wysapał policjant.

Znowu się zatrzymali, zakrzyczeli, a kiedy odpowiedział im tylko szum deszczu – na szczęście już chyba słabszy – zaczęli świecić latarkami po bajorkach brudnej wody, kępach traw, niskich krzewach i wystających z trzęsawiska zgniłych gałęziach. Ich wyprawa ratunkowa, już od samego początku prawie beznadziejna, okazała się nieskuteczna. Mimo to ruszyli jeszcze dalej.

Janek Makarewicz stał na skraju bagna, na wprost wielkiej kałuży wody, w której od czasu do czasu coś bulgotało nieprzyjemnie. Na początku miał stracha, że też będzie musiał iść na bagna. Co prawda dwa łyki bimbru trochę te obawy przytłumiły, niemniej ucieszył się, kiedy wyznaczono mu inną rolę.

Stał na skraju lasu, na ramieniu trzymał zwój liny i oświetlał teren ledową latarką. Mocny snop światła kierował tam, gdzie akurat świecili inni, i w ten sposób można było spenetrować dużą powierzchnię Kamiennego Lasu. Tylko że bimber przestawał działać i teraz było mu przeraźliwie zimno. Co z tego, że miał na sobie przeciwdeszczową kurtkę, skoro zdradliwe strużki zimnej wody, lejącej się z nieba, i tak znalazły sobie szczeliny na szwach i czuł, jak namakają mu bluza i sweter pod spodem. Nieprzyjemny chłód czuł już na całych plecach. Pomyślał, że jak się rozchoruje, matka

znowu zrobi mu awanturę, jakby to on był temu winien, że jest chorowity i bardziej delikatny od innych chłopców w jego wieku.

Janek spojrział w prawo, potem w lewo. Gdyby nie latarki, nie dostrzegłby dwóch mężczyzn stojących po jego obu stronach w odległości kilkadziesiąt metrów. Nagle poczuł się nieswojo. Nie wiedział, co strzeliło do głowy doktorowi, żeby tu przychodzić. Nawet jeśli jeszcze nie zapadł zmrok. On nigdy nie chciałby znaleźć się w tym miejscu. Nawet latem. Tu zawsze było ciemniej, chłodniej, bardziej ponuro. Gdy tylko przestępowało się granicę lasu, nastrój człowieka natychmiast się zmieniał, jakby te powykręcane drzewa wysysały całą radość. Wrażenie było niezwykle i nieprzyjemne.

Mężczyźni na bagnach po raz kolejny się zatrzymali, nawoływali i świecili. Janek skupił się, aby promień z jego latarki podążał tam, gdzie inne, a kiedy tamci ruszyli dalej, nagle wydało mu się, że oprócz bulgotania słyszy jeszcze inny odgłos za plecami. Coś jakby kroki. Wszystkie włosy zjeżyły mu się na głowie. Nie zdążył się odwrócić. Jakaś siła wykręciła mu rękę z latarką, która upadła pod nogi i zgasła, a on poczuł pchnięcie w plecy. Krzyknął przerażony, a zaraz potem z wielkim pluskiem wylądował w wodzie.

Po chwili po bagnach poniósł się drugi krzyk.

Cztery godziny wcześniej.

Burza przyszła kilkanaście minut później.

Izabela siedziała znowu w kuchni i próbowała pić świeżo zaparzoną kawę, chociaż żołądek miała tak ściśnięty, że z trudem cokolwiek przełykała. Wcześniej była w łazience, popatrzyła w lustro i się przeraziła. Włosy były w nieładzie, łzy zmyły tusz z rzęs i narysowały nim pod oczami niezbyt dobrze wyglądające plamy i zacieki. Chciała je zetrzeć, lecz nie miała na to siły. Ledwo zmusiła się do włączenia ekspresu.

Siedziała, a pod czaszką kłębiły jej się ponure myśli. Sama była zdziwiona, że jest w stanie myśleć aż tak racjonalnie. Ułożyła plan działania: adwo-

kat, sprawa rozwodowa, podział majątku, a potem inne życie. Lepiej zacząć od nowa, niż mieć męża, który cię nie szanuje i zdradza z inną babą. Może gdyby się o tym nie dowiedziała dzisiaj, on sam za kilka tygodni zażądałby rozwodu? Tak mogło być. Dzięki dzisiejszej awanturze przejrzała na oczy wcześniej i będzie przygotowana na każdą opcję.

Kiedy Jakub wszedł do kuchni, wydawał się dziwnie zmieniony na twarzy. Miał zaczerwienione policzki, mętne spojrzenie, jakby dosięgło go jakieś szaleństwo. Prawie się go przestraszyła. Czy on tam na górze coś wypił? Jeśli tak, to musiał nieźle pociągnąć, zawsze miał mocną głowę i tylko kilka razy w ciągu całej ich znajomości widziała go zamroczonego alkoholem. Zazwyczaj, nawet jak był pijany, zachowywał zadziwiającą trzeźwość umysłu. Tym razem wyglądał inaczej. A może na górze brał narkotyki? Ta myśl trochę ją zmroziła. Nigdy go nie przyłapała choćby na paleniu trawki, a co dopiero na wciąganiu kreski. Z drugiej strony – do dzisiaj nie wiedziała też o jego kochance. Czyżby była oszukiwana nie tylko w tej kwestii? Nic by jej teraz nie zdziwiło.

Rozglądał się chwilę po kuchni, a potem spojrział na nią z szaleństwem w oczach.

– Gdzie twój telefon? – wycharczał, jakby nie swoim głosem.

– Nie pojechałeś do dziwki? – Starła się, żeby jej dłoń nie drżała, kiedy podniosła do ust filiżankę z kawą. Udało się połowicznie.

– Nie mów tak o niej – ostrzegł.

– Może bardziej ci się podoba „wywłoka”?

Czuła, że balansuje na cienkiej linii, lecz obudziła się w niej jakaś zaczepna nuta i pchała do krawędzi. Skrzywdzona kobieta jest zdolna do wszystkiego. Ta nieoczekiwana myśl dodała jej pewności siebie. Nie da się skurwysynowi, to ona będzie górą.

– Zamknij się. Jak jeszcze raz powiesz tak o niej, to...

– To co? – przerwała mu. – Uderzysz mnie?

Jakub dyszał ciężko i jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy. Spojrzenie stało się jeszcze mniej przytomne.

– Coraz bardziej się o to prosisz – wycedził złowrogo przez zaciśnięte zęby.

Iza poczuła się nieprzyjemnie. Teraz nie chodziło już o zwykłą złośliwość i chęć dopieczenia zdrajcy. Nagle poczuła strach. W takim stanie mógł być nieobliczalny. Nigdy dotąd nie widziała u niego agresji. Może była głęboko skrywana i zaraz eksploduje?

– Tylko spróbuj mnie uderzyć, a wezwę policję – ostrzegła.

– Jesteś pewna, że zdążysz? – Na jego wargi wpełzł diaboliczny uśmiech. – I jak długo oni będą jechać na to zadupie? Myślisz, że nie zdążę ci przez ten czas porządnie wpierdolić?

Strach narastał. Odstawiła filiżankę, która zadzwoniła o podstawkę prawie jak dzwonek na przerwę.

– Nie waż się nawet tak mówić!

– Gdzie twój telefon? – powtórzył i wszedł do kuchni, lustrując uważnie wszystkie blaty, stół i parapet.

Po co mu był jej telefon? Nagle zrozumiała. Przesłała sobie jego wiadomości skierowane do Ani K., żeby mieć potem dowód przy sprawie rozwodowej. Cholerny gnojek przestraszył się, że ona naprawdę pozbawi go połowy majątku. Chodził po pomieszczeniu jak rozjuszony byk. Coraz bardziej rozjuszony. Nie wiedziała, co wypił, co wziął, z kim rozmawiał przez ostatnie kilkanaście minut. Może do kogoś dzwonił, ale wrócił odmieniony, jakby odbył naradę z samym diabłem, a ten pokazał mu najprostszą ścieżkę do agresji, wściekłości i ostatecznego upadku.

Podszedł do zlewu, wyciągnął z niego talerzyk, a potem cisnął nim o podłogę z takim impetem, że kawałki szkła rozprysły się po całej kuchni. Jednym szybkim ruchem zgarnął z blatu czajnik elektryczny. Urządzenie poleciało pod przeciwległą ścianę, Jakub w amoku porwał doniczkę z parapetu i cisnął nią przez zamknięte okno. Szyby posypały się z brzękiem w tysiącu kawałków.

– Co ty, kurwa, robisz?! – wrzasnęła, zrywając się na nogi.

Ale on jej już nie słuchał. Rzucił w nią jej filiżanką z kawą, która boleśnie ugodziła ją w ramię, a gorące resztki prysnęły jej na twarz. Cofała się w kierunku drzwi, machinalnie wycierając się dłonią.

– Gdzie, kurwa, jest twój telefon?! – wrzasnął po raz kolejny.

Wyrwał szufladę ze sztućcami i cisnął nią w kierunku kobiety. Uchyliła się, a potem rozległ się brzęk, kiedy sztućce rozsypywały się po płytkach w przedpokoju.

– Zwariowałeś?! Ochłoń, człowieku!

– Oddawaj telefon!

Rzucił się na nią. Pisnęła, odwróciła się i zdążyła zrobić tylko dwa kroki, gdy zwałił się jej na plecy. Straciła równowagę, w ostatniej chwili oparła się o podłogę rękami i kolanami, ale ciężar na plecach był zbyt wielki. Przejechała brzuchem po rozsypanych na podłodze sztućcach, które znowu zabrzęczały złowrogo. Izabela starała się uwolnić spod Jakuba i w pewnej chwili odchyliła gwałtownie głowę do tyłu, uderzając go w nos. Przeklął i puścił ją. Zerwała się na nogi. Stali w pewnym oddaleniu od siebie i dyszełli ciężko. Jakub starał się zatamować krwawienie z nosa. To chyba go trochę otrzeźwiło. Przynajmniej tak jej się zdawało. Cofała się, przerażona. Nie знаła go takiego. Nawet nie przypuszczała, że ten w sumie czuły i trochę introwertyczny facet, w którym zakochała się bez pamięci na studiach, posiada takie przerażające oblicze. Jak nie on, jakby ktoś przewrócił jego uczucia i charakter na drugą stronę, pomnożył przez minus jeden i dobro zmieniło się w zło.

– Jak oddasz mi telefon, nic ci się nie stanie – wysapał nieco spokojniej.

Nawet jego spojrzenie nie było już tak zamglone i nieprzytomne. Jakby się przebudził z napadu szaleństwa.

Iza nic nie odpowiedziała. Dusił ją strach i obezwładniała nierealność sytuacji. Ciągle była myślami gdzieś obok i nie chciała wierzyć, że to się dzieje naprawdę. Cofała się i nagle bez ostrzeżenia zerwała się do ucieczki. Wpadła w panikę. Głupią, bezsensowną panikę.

Przebiegła przez korytarz, skręciła do garażu, skąd przez drzwi w bocznej ścianie wybiegła na podwórze.

Zbierało się na deszcz, wiał nieprzyjemnie lodowaty wiatr, a ona była w samej koszulce i domowych kapciach. „Dokąd ty chcesz w takim stroju uciec, głupia?” – zapytała sama siebie, lecz nie zdążyła udzielić odpowiedzi, gdy nagle stanęła jak wryta. Przed nią stał Jakub, a jego spojrzenie było jeszcze bardziej lodowate niż wiatr.

Zanim zdążyła zareagować, uderzył ją w twarz. Zobaczyła błysk przed oczami i już leżała na ziemi. Nawet nie poczuła, kiedy upadła. Zacisnęła palce na czymś, co nagle samo weszło jej w dłoń. Ostry kamień. Oprawca nie zdążył się nad nią pochylić, kiedy rzuciła, celując w jego głowę. Nie trafiła, ale i tak odskoczył, łapiąc się za piersi.

– Głupia dziwko! – wrzasnął rozwścieczony.

Już uciekała dalej. W pierwszym kierunku, jaki jej przyszedł do głowy. Zupełnie bez sensu, do pomieszczeń gospodarczych w małej przybudówce ich domu. To ona projektowała te pomieszczenia, знаła każdy ich zakamarek. Tylko co z tego? Nie było żadnych tajnych przejść, wydrążonych w ziemi tuneli, którymi dałoby się uciec niepostrzeżenie do lasu. Schowała się za metalowym regalem z narzędziami i czekała.

Długo nic się nie działo. Wreszcie usłyszała kroki i głos męża, jeszcze sprzed drzwi.

– Dogadajmy się. – Brzmiał normalnie, prawie pojednawczo, nawet poczuła coś na kształt ulgi.

Bała się, że ją pobije. Cholernie się bała, dlatego teraz w panice zrobiłaby wszystko, czego Jakub zażąda. Odda mu ten cholerny telefon, a potem każe mu się wynosić do kochanki. Oczywiście po wszystkim zadzwoni na policję, zgłosi pobicie i uda się na obdukcję do najbliższego szpitala. Miała numer komisarza Wiktorskiego. To był porządny facet i na pewno jej pomoże.

– Iza, przepraszam – mówił tymczasem Jakub. – Skończmy tę wojnę. Dogadamy się. Chcesz rozwodu, to ja nie będę robił przeszkód. Trudno, może być z mojej winy.

Poczuła jeszcze większą ulgę. Wrócił jej Jakub, zrównoważony i przewidywalny. Równocześnie znowu poczuła się zraniona. Niechcący się zdradził. Iza nic już dla niego nie znaczyła, nawet nie próbował o nią zaważać. Z góry założył, że się rozejdą, a on pewnie zamieszka z tą swoją zdiarą. Tak, jej dotychczasowe poukładane życie właśnie dopłynęło do portu przeładunkowego. Szkoda tylko, że nie wiedziała, na jaki statek teraz trafi i dokąd popłynie.

– Iza?

Jego głos rozległ się bliżej. Był już prawie na progu budynku gospodarczego. Zaryzykowała i wyjrzała przez okienko za plecami. Miała stąd dobry widok na wejście. Zobaczyła go i nagle zdrętwiała przerażona. Panika wróciła. Jakub był już spokojny, nawet na jego ustach błędził uśmieszek, ale po co była mu siekiera w dłoni?

– Wyjdź, Iza, pogadamy.

Ale ona już nie chciała z nim rozmawiać. Zdjęła z półki z narzędziami długi, gruby śrubokręt i stanęła z boku drzwi. Wstrzymała oddech i czekała, aż Jakub wejdzie do środka. Cały czas mówił do niej łagodnie, przeszkukując inne pomieszczenia. Ze strachu na początku nie rozumiała, co mówi. Dopiero po chwili doszedł do niej niepokojący sens jego słów. Strach zmienił się w śmiertelne przerażenie. Na Boga, kim był ten człowiek, którego uważała dotąd za swojego męża?

– ... jesteś kretynką. Nie wiem, dlaczego tak długo cię tolerowałem. Może z przyzwyczajenia. Ale dość już tego. Nie będę litował się nad tobą. Czas skończyć ten epizod w moim życiu i zacząć od nowa.

Stanął wreszcie na progu pomieszczenia z narzędziami ogrodowymi. Popęłnił błąd. Może był zbyt pewny siebie? Znalazł się na tyle blisko, że mogła uderzyć. Ostrze śrubokręta zagłębiło się w jego lewym ramieniu. Wrzasnął z zaskoczenia i bólu. Ostrze siekiery głośno uderzyło o betonową podłogę. Iza chciała uciec, lecz on opanował się szybciej, niż przypuszczała. Kiedy go mijała, zdrową ręką złapał ją za włosy i pociągnął. Upadła na kolana, skoczył na nią, przewrócił na plecy i zaczął dusić. Jego dłonie zaciskały się na jej szyi niczym imadła. Po jednej płynęła krew z rany na ramieniu.

Czuła jej ciepło na skórze. Nie mogła złapać oddechu, pomyślała, że za chwilę umrze obok własnego domu, na zimnej betonowej podłodze, zamordowana przez własnego męża, u którego sprowokowała morderczy szal. Ponura ironia losu. To był jej dom, ona go zaprojektowała i nadzorowała budowę.

Wtem przyszło nagłe olśnienie. Przecież ma dwie ręce, których może użyć. Nie odciągnie jego dłoni, nie ma takiej siły, ale może go uderzyć. I uderzyła go pięścią w ranę na ramieniu. Krzyknął, a ucisk na szyi zelżał. Czując swoją szansę, zaczęła uderzać raz za razem. Wreszcie nie wytrzymał bólu, puścił ją i odskoczył, klnąc. To była dla niej jedyna szansa. Zerwała się na nogi i zaczęła uciekać. Biegła w kierunku furtki z tyłu domu, skąd przez miedzę można było dojść do Kamiennego Lasu.

Po kilku sekundach usłyszała, że ją goni. Czy miał ze sobą siekierę? Nie była pewna, ale bała się odwrócić. Za to ona była uzbrojona. Wstając, chwyciła zakrwawiony śrubokręt, leżący na podłodze, i teraz ścisnęła go niczym święty Graal.

Było jej cholernie zimno.

4.

Witalij Makarewicz szedł w parze z Feliksem Grzegorzcykiem. Puścił sąsiada przodem, a sam, przywiązany do niego liną, szedł około dwóch metrów z tyłu. Nie lubił Feliksa, mieli już za sobą kilka zatargów o ziemię, które kończyły się w sądzie, wyroki były na jego korzyść, ale sąsiad nic sobie z tego nie robił i nie było jak ich wyegzekwować. Wynajęcie prawników, którzy zajęliby się sprawą, było kosztowne, a Witalij groszem nie śmierdział. W przeciwieństwie do sąsiada. On pochodził z bogatej rodziny, stać go było na adwokata, dlatego sprawy w sądzie się ślimaczyły. Makarewicz prowadził sklep spożywczy w sąsiedniej miejscowości, lecz ludzie byli biedni, niewiele kupowali, po części na zeszyt, i dochody były z tego na tyle niewielkie, że Witalij musiał jeszcze uprawiać ziemię, żeby utrzymać rodzinę.

To był typowy spór Karguła z Pawlakiem o miedzę. Z tą różnicą, że w filmie chodziło o dwa palce, a tutaj zagarnięty przez Grzegorzcyka pas ziemi miał już prawie trzy metry szerokości. Najpierw Makarewicz nie zwrócił na to uwagi, bo zajmował się sklepem i ziemia leżała odłogiem, lecz kiedy sam zaczął prace rolne, prawda wyszła na jaw. Ale Grzegorzcyk powiedział, że ziemi nie odda, płot postawił i wybuchła awantura. Do tego jeszcze na łące koło Kamiennego Lasu należącej do Witalija wypasał krowy i zbierał siano.

Konflikt trwał już dwa lata i końca nie było widać. Nie wiadomo, dlaczego Marczak połączył ich w parę. Mógł to zrobić złośliwie, ponieważ nikt tak naprawdę nie wie, co w tym facecie siedzi, albo w zamieszeniu zapomniał o ich waśniach. Tylko to byłoby trochę dziwne, ponieważ wszyscy wiedzieli, że Grzegorzcyki i Makarewicze się nie cierpią i unikają jak ognia. Nawet na niedzielnych mszach w pobliskim Brodnie siadali od siebie jak najdalej, a potem jedni czekali, aż drudzy opuszczą świątynię, żeby się nieszczęśliwie nie spotkać w wąskich drzwiach. Ot taka wiejska rzeczywistość.

Grzegorzycy specjalnie nie zaprotestował – była to okazja, żeby się wreszcie z Makarewiczem rozmówić, bo pojawiały się ciągle nowe żale i nowe konflikty. A być może Witalij nie protestował z tego samego powodu.

Gdy tylko zagłębili się trochę w las, podążając środkową ścieżką, po mocno uginającym się podłożu skrytym teraz pod kilkucentymetrową warstwą wody i po raz pierwszy nawoływali doktora, Witalij szarpnął za linę.

– Czego tam? – Feliks odwrócił się i spojrzał niechętnie na sąsiada.

– Pogadać bym chciał.

Grzegorzycy przystanął, odwrócił się i spojrzał na niego ponuro. Makarewicz poczuł się niepewnie. Feliks był wysoki, potężnie zbudowany, kolorowe tatuaże zdobiące jego ciało wychodziły na dłonie i sięgały karku i szyi. W spojrzeniu miał dzikość, która mogła przestraszyć największego twarziela. Po chwili jego oczy złagodniały, jakby nagle się opanował. Została w nich tylko bezgraniczna pogarda. Wzruszył ramionami i poszedł dalej, prawie ciągnąc za sobą sąsiada na linie, którą przewiązany był w pasie.

– Nie mogę z tobą gadać, adwokat zabronił – rzucił.

Makarewicz odzyskał trochę pewności siebie. Chętnie spróbowałby rozwiązać swoje problemy pięściami, ale biorąc pod uwagę tężyznę sąsiada, to był kiepski pomysł. Po co ten cholerny Grzegorzycy wrócił do Kamiennej i zajął się gospodarstwem po rodzicach? Podobno wcześniej wiele lat podróżował po świecie. Mógł tam zostać już na zawsze i nie byłoby teraz problemu.

– Ale ja nie o tym. – Zająknął się i złość znowu wzięła nad nim górę.

– To o czym?

– O tym, jak mi sklep do sanepidu podpierdoliłeś i musiałem mandat zapłacić.

Akurat zatrzymali się znowu i świecili po bagnach, szukając czegoś, co mogło wzbudzić podejrzenia. Nie nawoływali, skupieni na sobie. Zresztą, inni się darli tak, że doktor wstałby z martwych, gdyby, nie daj Boże, gdzieś tu spoczywał w błocie.

– Zastanów się, Witalij. – W głosie Grzegorzycy wyraźnie zabrzmiała kpina. – Po chuj ja miałbym ten sanepid do ciebie wzywać? Czy ja nie ma innych zmartwień?

– Żeby mi całkiem życie obrzydzić – warknął Makarewicz.

Poszli dalej. Witalij wpatrywał się w plecy idącego przed nim mężczyzny z coraz większą nienawiścią. Wzruszenie ramion tamtego jeszcze bardziej go nakręciło.

– A powiedz, na co by mi to było? – dobiegło go pytanie.

– Bo złośliwa menda jesteś i pewnie dla satysfakcji własnej to zrobiłeś.

– Daj spokój, Witalij. Robisz, kurwa, ze mnie jakąś bestię z bagien. Ja nie mam czasu na takie pierdoły i nieszczęście ludzkie raczej mnie nie cieszy. A ja ci powiem, że dość się już krwi, śmierci i ludzkiej tragedii naoglądałem. Ba! Im więcej tego nieszczęścia, tym nam wszystkim się gorzej żyje.

– Tylko ty miałeś powód!

– Ale jaki powód? – zaśmiał się Feliks. – Spór o ziemię mamy, nie przeczę, ale innych zatargów z tobą nie chcę i sobie nie życzę. Ja nie lubię się pchać do gipsu bez powodu. Ty narwany jesteś, po co mi to? Sąd sądem, a życie życiem.

Makarewicz trawił jego słowa przez chwilę. Brzmiały mądrze, tylko on tej gnidzie nie wierzył i nie chciał słuchać takich słów, bo mu tylko w głowie mąciły.

– A jestem narwany, bo życie mnie tego nauczyło... – powiedział.

Przerwał na kolejny postój i ciągnął, kiedy znowu szli w głąb bagna.

– Już się nauczyłem, że żaden sąd ci sprawiedliwości nie sprezentuje. Jak sobie sprawiedliwości nie wywalczysz, to nawet jej smrodu nie poczujesz. Moja ziemia była, a ty mi ją ukradłeś, to złodziej jesteś.

– Gównno tam twoja była – warknął Feliks. – Jakbyś papiery dobre miał, to sąd w pięć minut przyznałby ci rację, a mnie w diabły posłał.

– Jeszcze mój dziad tę ziemię uprawiał!

– Bezprawnie – rzucił ironicznie sąsiad.

Makarewicza już do reszty szlag trafił. Nie świecił na bagna, nie zwracał uwagi na to, co dzieje się wokoło. Patrzył tylko na szerokie plecy Grzegorzczyka, skupiając na nich światło latarki.

– I chyba zacznę sam o sprawiedliwość walczyć – mruknął pod nosem i dodał głośniejszym głosem, ale tak, żeby nikt poza nimi go nie usłyszał. – To ja wiem, jak biegnie ta ścieżka, specjalnie cię przodem puściłem.

Feliks po raz kolejny zerknął na niego do tyłu. W jego oczach pojawiły się jakieś złe błyski.

– Pierdolisz. I co mi zrobisz?

– A jak linę odwiążę i cię tu zostawię? Myślisz, że ktoś zdąży, zanim bagno cię pochłonie?

– Tą samą drogą wrócę.

– Jesteś taki pewien?

Kiedy się znów zatrzymali, Feliks poświecił latarką do tyłu. Nie było żadnej ścieżki, szli po błocie, ich ślady już zniknęły pod wodą. Były jakieś punkty orientacyjne, lecz on nie zwracał na nie uwagi. Być może Witalij miał rację, sam mógłby nie dotrzeć na brzeg. Dotąd szedł naprzód bez wskazówek, jak iść. Skoro partner w parze nic nie mówił, znaczy się szli dobrze. Tylko czy na pewno? Może ten cholerny głupek specjalnie go gdzieś na środek bagniska wywiódł, żeby go tu zostawić. Tylko co to by była za zbrodnia, kiedy wokoło jest kilku innych facetów, w tym policjant? Ale czy Makarewicz myślał rozsądnie, czy zaślepiła go nienawiść?

– Daj spokój, Witalij, to nie ja doniosłem do sanepidu. Naprawdę. A sądzimy się, bo ta ziemia nie jest tak do końca twoja. Niech państwo rozstrzygnie, kto ma rację, w końcu obaj za coś te podatki płacimy.

– Ziemia jest moja.

– Zobaczymy.

W tej chwili coś zbulgotało niedaleko nich. Zatrzymali się, kierując w tamto miejsce światła latarek. Być może coś tam fermentowało i co jakiś czas na powierzchnię wydostawały się bąble śmierzącego powietrza.

Może to były trawy, może ptak albo dzik, a może nawet człowiek? To były paskudne bagna, najgorsze z możliwych.

Kiedy już odwrócili wzrok od tamtego miejsca, nagle z brzegu rozległ się przeraźliwy krzyk, a potem plusk. Rozpoznali głos Janka Makarewicza. Grzegorzycyk znieruchomiał nagle, jakby zmienił się w posąg. Stary Makarewicz spojrział na niego spłoszonym wzrokiem, a potem nagle uświadomił sobie, że coś jest nie tak z liną. Już nie był nią przywiązany do sąsiada. Lina leżała w błocie. Cofnął się o dwa kroki i nagle stracił równowagę. Krzyknął i plasnął plecami w bagno.

Komisarz Wiktorski, raczej domyślając się, co się stało, odwrócił się na pięcie i chciał jak najszybciej wracać, lecz Marczak go zatrzymał szarpnięciem za linę.

– Nie tak szybko, komendancie, to bagno – rzucił opanowanym głosem.

Jego spokój natychmiast udzielił się policjantowi. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo i ruszyli do brzegu.

– Co tam się stało?! – krzyknął Wiktor i obaj poświecili latarką w miejsce, skąd dobiegł pierwszy krzyk.

Zdążyli zobaczyć trzy postacie szamoczące się na skraju bagniska, a potem błysnęła latarka i rozległ się okrzyk Józka Ruciaka. Jego latarka, skierowana wprost na wracających, także błysnęła. Promień był mocny i Wiktorski musiał się zatrzymać, bo nagle przestał cokolwiek widzieć.

– Janek Makarewicz wpadł do wody! – Dobiegło do nich. – Już go wyciągnęliśmy!

– Kurwa, nie świeć nam po oczach! – odkrzyknął Marczak.

– Przepraszam. – Strumień światła skierował się w inną stronę, lecz i tak powidoki z kolorowych plam, latające im przed oczami, nie pozwalały ruszyć się z miejsca jeszcze dłuższą chwilę.

– Makarewicz, a co u was się stało?! – krzyknął komisarz, ale odpowiedź nadeszła dopiero po długich kilkunastu sekundach.

Witalij leżał plecami w bagnie i szybko się zorientował, że sam nie ma szans się wydostać z błotnistej pułapki. Plecy przykleiły się do lodowatej mokrej powierzchni, jakby ktoś wysmarował kurtkę klejem. Ręce zapadały się głęboko, nie znajdując oparcia. Do tego doszło przerażające uczucie, że jakaś potężna i nieubłagana siła zaczyna go wciągać. Szamotał się, lecz jego starania przynosiły odwrotny efekt. Kiedy to zrozumiał, nagle znieruchomiał. Nie wydobędzie się z topieli bez pomocy. Z trudem uchylił powieki i zaraz je zamknął, oślepiony światłem latarki. Grzegorzycy stał opodal nieruchomo i tylko przyglądał się mężczyźnie.

– Pomóż mi, kurwa! – jęknął Witalij.

Jego prośba pozostała bez reakcji. Przez moment miał wrażenie, że Feliks nie ma zamiaru mu pomagać. Specjalnie rozwiązał linę, może nawet go popchnął, czego teraz nie potrafił sobie przypomnieć, i czeka, aż topiel zrobi swoje. Potem powie, że lina się rozwiązała, Makarewicz zrobił nieostrożny krok w bok i pochłonęło go bagno. Nie udało się go wyciągnąć. Z prędkości i siły, jaka ciągnęła go w dół, wywnioskował, że nikt z brzegu nie zdąży mu pomóc. Dla Grzegorzycy to idealna sytuacja, nie będzie musiał już z nikim się sądzić, ziemia przejdzie na jego własność. Morderstwo idealne.

– No pomóż mi! – krzyknął, wyciągając rękę.

Nie wiedział, czy rozlewające się po jego ciele dreszcze spowodowane są zimną wodą, czy nagłym napadem strachu. Jeszcze przez jakiś czas nic się nie działo. On zastygł z wyciągniętą ręką, a Feliks świecił mu w oczy latarką i ani drgnął. Dopiero gdy Makarewicz chciał wrzasnąć o pomoc do innych, światło skierowało się trochę w bok i Grzegorzycy postąpił dwa kroki w jego kierunku.

– Nie szarp się, bo szybciej się utopisz. – W jego głosie brzmiało rozbawienie zaistniałą sytuacją.

Witalij opuścił rękę i zastygł w bezruchu. Od razu wciągające go w otchłań ciśnienie nieco zelżało.

– Teraz rzucę ci linę – mówił spokojnie sąsiad. – Chwyć dwoma rękami, ja zgaszę światło i powoli cię wyciągnę. Jakbym nie dał rady, zawołam pomoc. Nie bój się, przytrzymam cię, to się nie utopisz.

Nagle zrobiło się zupełnie ciemno, lecz Witalij był tak oślepiiony, że widział tylko mozaikę kolorowych plam przed oczami. Ktoś krzyczał.

– Witalij wpadł w bagno! – odkrzyknął Grzegorz. – Zaraz go wyciągnę!

Bardziej poczuł, niż zobaczył, jak lina upada mu na piersi. Chwycił ją i mocno trzymał. Feliks był postawny, lecz i tak siła, z jaką teraz ciągnął, zaskoczyła Witalija. Zyskał pewność, że poradzą sobie bez pomocy.

Przypomniawszy sobie o okrzyku strachu swojego syna.

– A co z Jankiem!?! – krzyknął.

– Już w porządku! – odkrzyknął ktoś z brzegu. – Musiał się poślizgnąć, ale już go wyciągnęliśmy.

W tej chwili poszukiwania doktora Bernatowicza zakończyły się i cała grupa skupiła się w miejscu, gdzie Janek wpadł do wody. Stał cały przemocony, był nienaturalnie blady i dygotał z zimna. Wiktorowskiemu zrobiło się go żal. Zresztą jego ojciec, z trudem gramolący się na stały ląd, wyglądał jeszcze gorzej. W miejscu, gdzie wpadł jego syn, była po prostu wielka kałuża brudnej wody, a stary miał styczność z cuchnącą błotnistą mazią i teraz przypominał potwora z bagien. Deszcz, który znowu przybrał na sile, powoli splukiwał zabrudzenia z jego twarzy. Witalij szybko podbiegł do Janka i chwycił go za ramiona.

– Wszystko w porządku?

Chłopak tylko pokiwał głową. Wyraźnie było słychać, jak szczeka zębami z zimna. Policjant pomyślał, że nic tu po nich. Muszą jak najszybciej wracać, żeby Janek nie dostał zapalenia płuc. W takich warunkach Bernatowicza i tak nie znajdą, zresztą nawet nie wiadomo na pewno, czy on poszedł na bagno, czy jedynie przeszedł skrajem lasu w sobie tylko znane miejsce. Niedaleko była chata starego Wasyla, trzeba było tam wcześniej sprawdzić.

Nagle Witalij Makarewicz jakby się ocknął. Twarz pod maską z błota mu stężała, a oczy się zwęziły. Odwrócił się i spojrzał na Grzegorzycyka z nienawistnym grymasem.

– Ty... ty... – On też szczękał zębami z zimna, dlatego z trudem przychodziło mu mówienie. – Chciałeś mnie zabić! Specjalnie rozwiązałeś linę, żebym się tam utopił.

Feliks popatrzył na niego autentycznie zdziwiony.

– Co ty gadasz? Zgłupiałeś? – zapytał szybko.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął Makarewicz i rzucił się na sąsiada z pięściami.

Zwarli się w krótkim starciu, w którym żaden nie zrobił drugiemu krzywdy, i już rozdzielali ich sąsiedzi. Przytrzymali rwącego się do bójkę Witalija. Grzegorzycyk rozglądał się bezradnie wokoło.

– Czego on ode mnie chce? – zapytał. – Przecież wyciągnąłem go z tego cholernego bagna!

– Chciałeś mnie zabić! – krzyczał Makarewicz.

– Co ty pierdolisz? Ja nie jestem mordercą. Po co mi wieczne potępienie, dla tych kilku arów pola? Ochłoń trochę i zastanów się!

Do akcji wkroczył Marczak. Makarewicz opowiedział mu w skrócie, co się stało, potem wysłuchał, jak to wyglądało ze strony jego sąsiada.

– Nie wiem, co się stało, że lina puściła. – Feliks rozłożył ręce, rozglądając się po wszystkich. Sprawiał wrażenie szczerze zdziwionego. – Może ją źle zawiązałem, ale przecież, jakbym chciał zabić Witalija, to nie zrobiłbym tego przy dziesięciu świadkach.

Trudno było nie przyznać mu racji. Tyle że do Makarewicza nic nie docierało. To on teraz pałał żądzą popełnienia mordu na sąsiedzie.

– Miałbyś doskonałe alibi! – krzyknął.

– Jakie alibi? – zakpił Grzegorzycyk.

Komisarz Wiktorski miał już wkroczyć do akcji, kiedy nagle stojący obok niego Jan jakby się ocknął z odrętwienia. Szturchnął go w ramię, zwracając na siebie uwagę. Policjant spojrzał na niego rozkojarzony. Gdy jednak do-

tarł do niego sens wypowiedzianych przez chłopaka słów, nagle otrzeźwiał. Odciągnął go na bok, żeby inni nie słyszeli ich rozmowy.

– Co mówisz? – zapytał ściszym głosem. – Powtórz.

– Ktoś mnie wepchnął. – Głos Janka był słaby i wyraźnie drżał, jakby struny głosowe wpadły w rezonans.

– Kto?

– Nie wiem, nie widziałem.

Wiktorski myślał szybko. Przypomniawszy sobie rozstawienie ludzi na brzegu. Zostało ich pięciu, ale tylko Janek stał w środku, pozostali z dwóch jego boków, ale w sporym oddaleniu. To mogło być nawet z pięćdziesiąt metrów. Nikogo więcej tu nie było, na pewno.

– Jesteś pewien? – zapytał szybko zaniepokojony.

– Tak. Wytrącił mi latarkę i pchnął mnie w plecy. Inaczej przecież bym nie wpadł. Stałem ze dwa metry od wody.

Do jasnej cholery, co tu się wyprawia? Wiktorski podrapał się po policzku. To na pewno nie był dobry czas ani miejsce na rozwiązywanie takich zagadek. Makarewicze byli przemoczeni i dygotali z zimna. Trzeba było szybko wracać.

– Nikomu nic na razie nie mów, dobrze? – zwrócił się do chłopaka, a ten potwierdził skinieniem głowy.

Cztery godziny wcześniej.

Izabela Bernatowicz wbiegła między drzewa i po kilkunastu krokach się zatrzymała. Nie było już gdzie uciekać. Przed nią, jak okiem sięgnąć, rozciągało się bagnisko porośnięte kępami wodnych traw, rachitycznymi krzakami i drzewami o dziwnie powyginanych gałęziach. W nozdrza uderzył ją słodkawy, nieprzyjemny zapach zgnilizny. To było przedziwne miejsce. Panowała tu nienaturalna cisza, przerywana co jakiś czas niepokojącymi dźwiękami, ale przytłumionymi, jakby dochodziły z głębin. Tu nawet czas wydawał się płynąć wolniej. Tylko nie dla Izy. Dla niej czas właśnie przy-

spieszył i gnał na złamanie karku, na spotkanie kolejnych przerażających zdarzeń.

Oparła się plecami o pień najbliższego drzewa, schowała jedną rękę za plecy i czekała, dysząc ciężko. Dopiero teraz poczuła ból kości policzkowej, pieczenie skóry na szyi, poobijane kolana i łokcie. Strach redukował myśli do tej jednej. Musi przeżyć.

Jakub Bernatowicz wpadł za nią kilkanaście sekund później. Na jej widok zatrzymał się i podniósł w górę dłonie w uspokajającym geście. Chwilę tak trwał, przyglądając się jej uważnie. Jego twarz była już spokojna, po szaleństwie nie zostało ani śladu, jakby wtedy był kimś innym, kto już odszedł i na pewno nie wróci.

– Iza, porozmawiajmy jak ludzie – powiedział. – Przestańmy już ze sobą walczyć. To nie ma sensu.

Chwilę czekał, lecz nie widząc jej reakcji, kontynuował:

– Nie ma sytuacji bez wyjścia. Jesteśmy dorośli. Porozmawiajmy, przecież się dogadamy.

Znowu nie zareagowała. Zaczął zbliżać się do niej krok po kroku. Wciąż miał uniesione dłonie i demonstrował brak wrogich zamiarów. Kilka kroków przed nią zatrzymał się na moment i spojrzeli sobie w oczy. Jego znów były normalne, nawet lekko przestraszone. To był jej stary Kuba, po mroku nie zostało ani śladu.

– Iza, przepraszam cię. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. To pewnie stres i poczucie winy. Ja naprawdę cię kocham. Ona... – zająknął się. – Anna nie ma dla mnie znaczenia. To był tylko taki głupi, szczeniacki wybryk. Wiesz, jak facet zbliża się do pewnego wieku, to mu odwala. Chce się dowartościować, a to jest strasznie głupie i naiwne. Zapomniałem, że tak naprawdę moje uczucia są cały czas z tobą, w naszym domu. Nic innego się nie liczy.

Postąpił jeszcze dwa kroki i zastygł.

– Porozmawiajmy, Iza. Przepraszam, że cię uderzyłem. Jakiś diabeł mnie opętał. Nie byłem sobą. Iza?

Patrzył na nią z coraz większym przestraszaniem i bezradnością. Może naprawdę żałował tego, co się stało w domu? Izabela z wolna się uspokajała, jej oddech się wyrównywał, poczuła się nagle ociężała i śpiąca. Stres zawsze działał na nią usypiająco. Wyciągnęła do niego rękę zachęcająco. Nie wahał się ani chwili, zbliżył się do niej i chciał ująć jej dłoń.

Wtedy jego żona jakby się ocknęła z odrętwienia. Podskoczyła do niego i drugą ręką zadała mu szybki cios narzędziem ukrywanym za plecami. Gruby śrubokręt zagłębił się w jego brzuchu aż po rękoność. Poczuła zaskakujące ciepło, kiedy na jej dłoń spłynęła obficie krew z rany. Jakub drgnął konwulsyjnie, spojrzał na nią w bezgranicznym zdumieniu, szeroko otwartymi oczami.

Teraz dla odmiany czas zwolnił. Izabeli wydawało się, że ta scena trwa i trwa, i będzie jeszcze trwała całą wieczność, dlatego musiała coś zrobić, żeby to przerwać. Wyszarpnęła śrubokręt z jego brzucha i uderzyła z całej siły jeszcze raz. Ostrze ześlizgnęło się po jednym z żeber. Wydawało jej się, że usłyszała nieprzyjemny zgrzyt, ale zaraz śrubokręt wszedł głębiej, nie napotykając już oporu, i przebił płuco. Z ust Jakuba połała się krew. Jego oczy nagle zaczęły gasnąć, odchodził gdzieś daleko. Zachwiał się, lecz ona przytrzymała go drugą ręką i przekręciła śrubokręt tkwiący między jego żebrami. Znowu drgnął i osunął się na kolana. Z ust i nosa płynęły strumienie krwi. Potem przewrócił się na bok i zgasł. Jego pozbawione blasku życia oczy patrzyły przed siebie w ciemność.

Czas stanął w miejscu i tak trwał. Nie wiadomo, jak długo trwała ta chwila, przecież nie da się jej zmierzyć, jeśli czas nie płynie. Wreszcie Izabela Bernatowicz przebudziła się z letargu, w jaki wpadł jej umysł, rozejrzała się wokoło i jej wzrok zatrzymał się na martwym mężu. Szybko oceniła swoje odczucia. Ściśnięty żołądek, mdłości i narastające przerażenie. Przez głowę przeleciał jej ciąg obrazów. Aresztowanie, proces, dożywocie i prześladowanie przez inne więźniarki w celi. Nie przeżyje tego, nie ma w sobie tyle mocy, żeby podnieść się z takiego upadku. Nie jest tak waleczna, żeby walczyć o życie w więzieniu.

Odruchowo wytarła dłoń w spodnie. „Nie – pomyślała. – Nie pójdę do więzienia. Nikt się nie dowie, ta tajemnica nigdy nie ujrzy światła dziennego”.

Popatrzyła na bagna, zastanawiając się gorączkowo. Potem znowu spojrzała na martwe ciało. Uderzyło ją coś mocno od środka. To była myśl. Nie żałowała tego, co zrobiła. Jakby było trzeba, zabiłaby go jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze. Nie było żadnych wyrzutów sumienia, raczej ulga. Należało mu się za to, że ją zdradzał, za to, że ją oszukiwał i był takim zakłamanym skurwysynem. Uświadomiła sobie, że już od dawna go nie kochała. Ich związek to był układ, oszustwo za kasę, poczucie bezpieczeństwa i spokoju w życiu. W jednej chwili to wszystko runęło, a dotychczasowy świat zniknął. Trzeba zacząć od nowa.

Rozsądek wracał. Nie pójdzie do więzienia, nikt się nie dowie. Nikt nie wiedział o ich awanturze, nikt nie widział, jak tutaj biegli, nie było świadków zabójstwa. Były tylko bagna, które roztaczały wokoło senną i nostalgiczną aurę.

Najpierw postanowiła utopić ciało Jakuba w bagnie. Zaraz jednak porzuciła ten pomysł. Przy brzegu może wcale nie zatonać, a zapuszczanie się dalej od brzegu jest niebezpieczne. Bezwładne ciało trudno będzie przenieść, a ona nie zna bezpiecznych ścieżek. Jeszcze sama się utopi. Poza tym pamiętała opowieści Marczakowej, która czasem pomagała jej w domu. Te bagna są bardzo zdradliwe. Potrafią pochłonąć swoje ofiary na wieki, ale czasem też oddają je światu. Za dzień, za tydzień, za rok, ale oddają. Nie może pozwolić, żeby ktokolwiek znalazł ciało jej męża. Rany na jego ciele mogą posłać ją do więzienia na zawsze.

Zostawiła martwe ciało i jak lunaticzka ruszyła do domu. Z komórki wzięła szpadel i niebieską plandekę, którą jej mąż przykrywał czasem drewno na opał. W kilka minut wróciła na miejsce zbrodni i rozejrzała się przytomnie wokoło. Jakub leżał dwa metry do strumienia, który płynął leniwie i znikał w bagnisku. Najbliższe drzewa i krzaki rosły kilka metrów dalej, więc kopiąc, nie natknie się na korzenie, które ciężko będzie usunąć. Rozłożyła plandekę i zaczęła kopać. Najpierw pocięła poziomą i nie za wy-

soką trawę w kostki i ostrożnie przeniosła je na jedną część rozłożonej obok plandeki. Potem zaczęła kopać. Ziemia lądowała na drugiej części plandeki, żeby nie zabrudzić traw i nie zostawić śladów po wykopanym płytkim grobie. Sama nie wiedziała, skąd ma tyle siły. Na dłoniach tworzyły się bąble, potem pękały, zamieniały się w rany, z których sączyła się krew. Ale ona na nic nie zwracała uwagi. Kopała, od tego zależało jej życie.

Kiedy wreszcie ciało Jakuba Bernatowicza spoczęło około metra pod ziemią, zasypała dół i udeptała go. Nie czuła nic, kiedy ziemia i znajdujące się pod nią ciało uginały się pod jej stopami. Jakby to nie był człowiek, tylko szmaciana, nikomu niepotrzebna lalka. Pewnie strata ukochanego psa, gdyby go miała, zaboląaby ją bardziej. Na koniec ułożyła dokładnie kostki trawy na swoje miejsce, resztę ziemi, która nie zmieściła się do dołu, wysypała do strumienia, złożyła plandekę i omiotła spojrzeniem okolicę. Cała była umazana ziemią, krwią jego i swoją, dyszała ciężko, ciałem wstrząsały drgawki. Uznała, że okolica wygląda dobrze. Ktoś postronny musiałby się mocno przyglądać, żeby dostrzec ślady po naruszeniu wierzchniej warstwy traw. Zresztą, nawet wtedy nikt się przecież nie domyśli, że w tym miejscu jest grób. Pomyślała, że na wiosnę posadzi tu kwiaty. Łączka będzie pięknie wyglądać, kiedy na zielonym tle pojawi się kępka kwiatów. Przez głowę przeleciały jej lilie. „Ale to nie teraz – zganiła się w myślach. – Teraz jeszcze jedna sprawa”.

Ukryła plandekę i szpadel w krzakach i pobiegła w górę strumienia. Lawirowała między rosnącymi tu starymi bukami, aż wreszcie dotarła do zbutwiałego ze starości drewnianego ogrodzenia. Nieco dalej, w głębi podwórka wznosiła się prawie tak samo zniszczona drewniana chata. Z kominą, nad dachem z porośniętej mchem dachówki, unosiła się rachityczna stróżka dymu. Przytrzymując się płotu, Iza dotarła do miejsca, gdzie kiedyś była furтка w ogrodzeniu. Pozostały po niej tylko zardzewiałe zawiasy. Po sekundzie waliła już pięściami do drzwi.

W środku coś stuknęło, zaskrzypiało, a potem rozległ się zniecierpliwiony głos:

– Kto tam?! Kogo lichy niesie, do diabła?

Drzwi uchylły się i stary człowiek w zniszczonym roboczym kombinzonie wpatrywał się w Izabelę. Był łysy, ale za to miał długą, siwą brodę.

– Zabiłam go. Jakub nie żyje. Mój mąż to trup – powiedziała.

Twarz starca stężała.

– Czego ode mnie chcesz? – rzucił niezbyt życzliwie.

– Jesteś moim ojcem chrzestnym – powiedziała. – Przysięgałeś mnie strzec i otaczać opieką. Potrzebuję teraz twojej pomocy i opieki.

Szybko rzucił okiem za jej plecy, chwycił ją za ramię i wciągnął do środka. Zatrzasnął drzwi i jeszcze długo wpatrywał się w małe okienko znajdujące się tuż obok. Najwidoczniej nikogo nie dostrzegł, ponieważ wrócił do kuchni i wskazał kobiecie drewnianą ławę przy stole. Usiadła, z trudem zapanowała nad zawrotem głowy, który próbował zwalić ją na brudną podłogę.

Dziad Wasyl sięgnął do stojącego na piecu okopconego czajnika i nalał gorącej wody do poobijanej blaszanej miski. Potem dolał zimnej, dodał jeszcze czegoś z butelki wyciągniętej z szafki. Postawił misę przed Izabelą na stole.

– Umyj chociaż ręce – powiedział łagodnym głosem. – Wyglądasz jak leśne straszycło.

Kątem oka uchwyciła swoje odbicie w starym, pokrytym mozaiką brązowych plam lustrze. Patrzyła na nią nieznajoma kobieta z potarganymi włosami, twarzą umazaną błotem i szaleństwem w oczach. Odetchnęła głęboko i ponownie zadrżała. Nachyliła się nad miską i nerwowo przemyła twarz, jakby chciała przywołać samą siebie. Udało się. Teraz w lustrze dostrzegła podobieństwo. Stary podał jej zużyty ręcznik i poczekał, aż się wytrze. Potem bez słowa nalał jej samogonu do szklanki i pokazał gestem, żeby wypić. Przełknęła gryzący w gardło płyn i rozkaszała się. Alkohol jednak zrobił swoje. Przyjemne ciepło rozchodziło się z żołądka.

Wasyl zapalił własnoręcznie skręconego papierosa i rozkazał:

– A teraz mów!

Opowiedziała mu wszystko ze szczegółami. W miarę jak mówiła, jego twarz tężała. Palił papierosa za papierosem, aż w izbie zebrał się obłok białego dymu, i coraz częściej przecierał łysą czaszkę albo przyglądał pożółkłą brodę. Miał pomarszczone szare dłonie pokryte starczymi plamami, a przecież nie był jeszcze bardzo stary.

– Więc nie żałujesz? – zapytał, kiedy skończyła.

– Nie.

– Tylko boisz się kary?

– Tak.

– Ktoś cię widział?

– Chyba nie.

Wasył westchnął. Sięgnął do butelki z bimbrem i nalał sobie do tej samej szklanki, z której wcześniej piła Iza. Wypił i skręcił sobie jeszcze jednego papierosa. Ręka mu przy tym trochę drżała.

– Nie martw się – powiedział cicho. – Jeśli nie było świadków, to nikt się nie dowie. Pójdiesz teraz do domu. Ale nie tą samą drogą, tylko tu na wprost, przez buczynę. Za dwie godziny, jak już się ściemni, zadzwonisz po pomoc, ale nie na policję. Wybierz jakąś sąsiadkę. Powiesz tak.

Powiedział, co ma mówić. Pokiwała głową na znak, że rozumie. Zaczynała już trzeźwo myśleć. Pewność siebie starego podziiała na nią uspokajająco.

– Ja pójdę tam, gdzie zakopałaś trupa, i posprzątam. Długo mi nie zajmie. Jeśli będziesz trzymać język za zębami, nikt się nie dowie.

Kilka minut później przedzierała się przez chaszczce porastające bukowy las, żeby dotrzeć do domu od drugiej strony. Chmury na niebie zdążyły już zgęstnieć, pociemniały i zaczął siąpić deszcz, z każdą minutą przybierający na sile. Znowu zrobiło jej się przerażająco zimno. Świat poszarzał.

Kiedy była już na tarasie domu, odniosła niepokojące wrażenie, że ktoś obserwuje ją z głębi podwórza. Przerazenie chwyciło Izę za gardło. Serce załomotało, jakby miało wyskoczyć z piersi i odlecieć. Dopadła ją przerażająca myśl, że Jakub jednak żyje i zdołał się wygrzebać z płytkiego grobu nad

strumieniem. Teraz obserwuje i za chwilę zjawi się, żeby ją zabić. Przypomniała sobie śrubokręt zagłębiający się w jego piersi, krew płynącą mu z nosa i ust, i gasnące spojrzenie. „Nie, już po nim, jest już trupem” – pomyślała, jednak strach nie minął. „To tylko szok – wytłumaczyła sobie. – To przejdzie”. Mimo to nasłuchiwała i omiatała podwórze uważnym spojrzeniem. Panowała nienaturalna cisza, którą mącił jednostajny szum deszczu i dzwonięcie wody w rynnach.

Weszła do domu, wzięła szybki prysznic, brudne ubranie wcisnęła do pralki i włączyła pranie. Minęła godzina i kilka minut, zanim sięgnęła po telefon. Teraz dopiero poczuła, jak bardzo bolą ją dłonie z pozrywanymi pęcherzami. Jeszcze się wahała, wreszcie wybrała numer do Marczakowej. To była prosta, ale rozgarnięta kobieta. Ona na pewno będzie wiedziała, co robić dalej. Co ma być, to będzie. Bitwa się rozpoczęła. Ona przeciw całemu światu. Musi być twarda jak nigdy dotąd, ponieważ od tego zależy jej życie. Spokój i opanowanie ojca chrzestnego dodały jej pewności siebie. Na pewno się uda.

Położyła się na sofie w pozycji embrionalnej i czekała.

5.

Komisarz Wiktor Wiktorski był doświadczonym gliniarzem, potrafił rozsądnie myśleć i wyciągać właściwe wnioski. Dlatego wiedział, że tego wieczoru poniósł spektakularną porażkę. Nawet nie chodziło o to, że nie znaleźli doktora Jakuba Bernatowicza. O niego był jakoś dziwnie spokojny. Może dlatego, że nie wyobrażał sobie, żeby bogaty, wykształcony i szanowany człowiek poszedł na bagna popełnić samobójstwo. To się kłóciło z jego zdrowym rozsądkiem. Porażka była innego typu. Nie sprawdził się jako przywódca grupy. Nie przewidział, że antagonizmy między sąsiadami w ekstremalnej sytuacji wybuchną ze zdwojoną siłą. Do tego nie potrafił załagodzić konfliktu. Makarewicz się wściekł. Chyba bardziej za syna niż za swoją kąpiel w bagnie.

Janek powiedział, że ktoś go wepchnął. Był tylko jeden podstawowy problem. W tamtym momencie nikogo przy nim nie było. Najpierw komisarz podejrzewał chłopaka o kłamstwo, jednak gdy zamienił słowo ze szczękającym zębami z zimna nastolatkiem, a w jego oczach zobaczył autentyczne przerażenie, zmienił zdanie. Janka naprawdę ktoś musiał wepchnąć. Po chwili analizy i rozmyślań wyszło mu, że musiał tu być ktoś jeszcze. Ktoś, kto się nie ujawnił, bo przyszedł później. Tylko kto? Byli tu wszyscy mężczyźni z Kamiennej, za wyjątkiem starego dziada Wasyla i jeszcze jednego starca, który od dekady nie ruszał się dalej niż własne podwórko. I po co ktoś miałby wpychać młodego do wody? Tu znowu przychodziło mu do głowy tylko jedno rozwiązanie. Dla odwrócenia uwagi. Tylko od czego? Czego on, policjant, który na swojej robocie zjadł zęby, łącznie z tymi sztucznymi, nie zauważył? Było tylko jedno rozsądne wytłumaczenie. Zrobił to doktor Bernatowicz. Nie chciał, żeby ktoś go zobaczył, więc wepchnął Janka do wody i odwrócił od siebie uwagę. Mógł w ten sposób oddalić się niepostrzeżenie. Ale to było trochę bez sensu. W takich okolicznościach

mógł uciec i tak nikt by go nie zauważył. W takim razie – co się stało? Cholera wie!

No i do tego awantura starego Makarewicza z Grzegorzcykiem. Wiktor-ski wiedział, że obaj toczą od lat spory sądowe i ciągle narasta między nimi niezgoda, ale nie pomyślał o tym podczas ustalania par do wyjścia na bagna. Nie, zaraz, wróć! Pary tak naprawdę ustalił Marczak, on je tylko za-twierdził. Marczak wiedział o ich sporze. Też o tym nie pomyślał albo to zlekceważył? „Muszę z nim porozmawiać na osobności” – zdecydował.

Była jeszcze jedna sprawa, na którą na razie nikt nie zwrócił uwagi oprócz niego. Lina łącząca Makarewicza i Grzegorzcyka. Witalij w złości oskarżył Feliksa o usiłowanie morderstwa. O to, że odwiązał linę i pchnął go do bagniska. Strasznie się awanturował, musieli ich rozłączyć, żeby nie doszło do rękoczynów. Witalij oskarżył go też o to, że umówił się z jakimś współnikiem, żeby ten utopił w bagnie jego syna. Dwa morderstwa zała-twiłyby spór o ziemię na jego korzyść. Makarewicz twierdził, że to był mo-tyw. I ciągle krzyczał do policjanta, że Grzegorzcyk miał motyw. W końcu Wiktor-ski wydarł się na niego, że to głównie nie motyw, bo jest jeszcze kwe-stia liny. Witalij nie wiedział, o co mu chodzi, więc tylko wybałuszył oczy zaskoczony reakcją gliniarza. Komisarz szybko wytłumaczył mu, że lina była rozwiązana z jego strony. Feliks cały czas był mocno przywiązany do swojego końca liny i szli w takiej odległości, że nie mógł rozwiązać jego ko-ńca. Wiktor-ski rzucił w złości, że może to właśnie Makarewicz ma motyw. Rozwiązał linę, a potem oskarżył sąsiada o próbę utopienia go w bagnie. Wcześniej kazał Jankowi udawać, że ktoś go wepchnął. Jeśli Grzegorzcyk zostanie oskarżony, Makarewicz na tym zyska w sporze o ziemię.

Powrzeszczeli na siebie, a potem Makarewicz zabrał przemoczonego i szczękającego zębami syna i odszedł obrażony. Po chwili wszyscy zoba-czyli światła jego auta oddalającego się połą drogą. Feliks Grzegorzcyk też się pokręcił, trochę zmarkotniały, rzucił dwa słowa pożegnania i odszedł. Po chwili wszyscy wrócili na posesję Bernatowiczów i stanęli pod wiatą przy basenie, skąd wcześniej wyruszyli. Deszcz wciąż padał, choć już nie

tak intensywnie. Wszyscy mieli ponure miny i znowu patrzyli na policjanta pytająco.

– No i, kurwa, pięknie – mruknął Wiktorski przez zęby.

Kto palił, ten zaraz przypalił sobie papierosa. Marczak puścił w obieg dwie butelki bimbrowa, ledwo napoczęte, i zaoferował, że pójdzie po następną. Nie musiał. Alkohol też jakoś nie wchodził, kiedy wszyscy byli przemęczeni, przemoczeni i mieli moralnego kaca po awanturze. Swoje jednak zdziałał. Przynajmniej zrobiło im się cieplej.

Po chwili dołączyła do nich Marczakowa z dwoma kobietami, które też były cały czas z doktorową.

– Upiłam ją i poszła spać – wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie Wiktorskiego.

– Może to i lepiej – rzucił, patrząc na wygaszone światła w domu.

– Niech się komendant nie martwi – dodała. – Będziemy jej pilnować. Już się umówiłam na dyżury z koleżankami.

Na potwierdzenie jej słów dwie kobiety, stojące z tyłu, pokiwały głowami. Policjant też skinął z wdzięcznością, ale nic nie powiedział. Marczaki dobrali się jak w korcu maku. Oboje mruki, ale w głębi serca dobrzy, uczciwi i rozsądni. „Żeby wszyscy mieli ten rozum” – pomyślał na wspomnienie awantury sprzed kilku minut.

– To co robimy? – zapytała Marczak.

– Dzisiaj już nic. Idźcie do domu. Jak się doktor nie znajdzie, jutro zgłoszę zaginięcie.

Mężczyźni rozeszli się w milczeniu, mrużąc słowa pożegnania. Kobiety też się ulotniły, Marczakowa weszła do domu i za chwilę zapaliło się światło na tarasie. Słaby poblask docierał do stołu stojącego pośrodku wiaty. Policjant zwałił się ciężko na jedną z ław.

– To ja chyba skoczę po flaszkę – rzucił Marczak, gdy zostali tylko we dwóch.

Po chwili wrócił z nową butelką, a Marczakowa przyniosła dwa kieliszki, szklanki, butelkę wody i pęto kiełbasy na zagrychę, jakby była jasnowidzem

i znała ludzkie potrzeby, zanim się dobrze wykrystalizują. A może po prostu dobrze znała swojego męża. Czyli gliniarz miał rację – dobre, zgrane małżeństwo.

Po chwili pili bimber i palili papierosy. Wiktorski miał tak zgrabiące dłonie, że Marczak musiał mu przytrzymać zapalniczkę. Pierwsze dwa kieliszki wypili w milczeniu, jeden za drugim. Przy trzecim trochę zmitrężyli.

– Co o tym myślisz, komendancie? – zagaił Marczak.

– Nie wierzę, że doktor poszedł na bagna, bo i po co? Może pani Izabeli się coś przywidziało. Pokłócili się w końcu. Emocje prowokują bardzo dziwne zachowania. Niejedno już widziałem jako policjant.

Marczak trochę się stropił.

– Chodziło mi o Witalija i Feliksa. – Zaciągnął się głęboko papierosem. – Przecież to bez sensu.

– Ano bez sensu – przyznał policjant. – Tak naprawdę, to nie wiem, co tam się stało. Przyjadę tu jutro rozejrzeć się, bo tu coś śmierdzi jak w oborze. Muszę się dowiedzieć co.

Postanowienie było mocne, jednak komisarz Wiktor Wiktorski musiał na chwilę odłożyć swoje prywatne śledztwo. Wypili z Marczakiem flaszkę, pożegnali się i rozjechali w dwie przeciwne strony. Marczak na północ, drogą prowadzącą prawie do wału Odry. Policjant pojechał na południe, do głównej szosy prowadzącej w kierunku Szczepanowa i Środy Śląskiej. Alkohol zrobił swoje, powieki mu zaciążyły. Przy samym skrzyżowaniu coś mignęło na skraju drogi. Wyobraźnia podpowiedziała mu nierealne i nieprawdopodobne obrazy, aż poczuł dreszcz przerażenia. Nie jechał szybko, lecz nieostrożnie wciśnięty hamulec przy dojeździe do głównej drogi wprowadził radiowóz w boczny poślizg, z którego nie dało się już uciec. Auto zarzuciło tyłem, prześlizgnęło się po mokrym asfalcie i z hukiem wpadło do rowu po drugiej stronie.

CZĘŚĆ DRUGA

OFIARY

6.

Cholerna zima!

Był początek lutego, a śniegu i mrozu nadal nie było widać. Pogoda przypominała środek jesieni w ekstremalnym wydaniu. Od dwóch tygodni na północnym zachodzie Europy formowały się nize i jeden za drugim mknęły na wschód, wywołując pogodowy chaos porywistym wiatrem i towarzyszącymi mu obfitymi opadami deszczu lub śnieżnej krupy.

Cholerny wiatr!

Cały las huczał. Porywy wiatru, dochodzące do stu kilometrów na godzinę, szarpały koronami drzew, łamały gałęzie i ciskały nimi między pnie, jakby dla zabawy. To nawet nie była wichura, tylko jakiś pieprzony kolejny orkan nazwany imieniem żeńskim, coraz bardziej wymyślnym, gdy kończyły się te popularne. Przebywanie w lesie w taką pogodę było diabelnie niebezpieczne. Ciągłe trzeba było zerkać w górę, czy nie leci ci na głowę walące się drzewo lub złamana gałąź. Co oni tu w ogóle robili w taką pogodę? Czy ktoś im dodatkowo płacił za narażanie życia w takich warunkach? Nie, ale i tak tu byli. Choćby cały las płonął, oni i tak teraz by tu byli. Byli policjantami z wydziału zabójstw. Ich zadaniem była eliminacja ze społeczeństwa jednostek stanowiących zagrożenie. A ten człowiek, który prawdopodobnie chował się w chacie między drzewami po drugiej stronie leśnej drogi, był szczególnie niebezpieczny.

Jerzy Madejski przez wiele lat był żołnierzem jednostek specjalnych. Uczestniczył w operacjach w Iraku i Afganistanie. Dwa lata temu przeszedł w stan spoczynku. Nic szczególnego się nie stało, po prostu skończył mu się kontrakt. Proponowano mu pracę przy szkoleniu nowych żołnierzy, jednak odmówił. Miał dziewczynę i planował się z nią ożenić. Tylko że prawdopodobnie ją zabił.

Na tym oficjalne informacje, które zdołali zebrać przez ostatnie dwa dni, się kończyły. To nie wróżyło dobrze. Facet musiał być naprawdę niebezpieczny, skoro większość danych o nim, wraz z przebiegiem służby, została utajniona. Pewnie uczestniczył w operacjach, o których nikt nie powinien jeszcze przez wiele lat usłyszeć. Państwo polskie nieświadomie wyhodowało sobie bestię, która zerwała się z łańcucha. Teraz poluje na niewinnych i w starciu z nią nikt nie ma szans. Szczególnie kobiety.

Kiedy policyjni wywiadowcy wytropili go w tej chacie i zastanawiano się nad użyciem jednostki specjalnej policji, jej dowódca miał tylko jedną uwagę. Poprosił o zawiadomienie wojska o zaistniałej sytuacji. Skoro oni go wyszkolili, niech sami się zajmą jego unieszkodliwieniem. Kapitan Rafalski dowodził oddziałem już od wielu lat, uczestniczył w wielu operacjach i skoro on tak mówił, to najwidoczniej coś było na rzeczy. Niestety, nie posłuchano go. Teraz antyterroryści w czarnych uniformach, w rynsztunku bojowym, uzbrojeni po zęby stali gdzieś tam, ukryci w lesie wokoło chaty. Rafalski też gdzieś tam był i wydawał ostatnie rozkazy przez radio. Czasem było go słychać, gdy mówił na oficjalnym kanale zastrzeżonym na tę operację. W jego głosie wyjątkowo wyraźnie słychać było napięcie i zdenerwowanie. Puszczal swoich ludzi przeciw bestii i na szczęście zdawał sobie z tego sprawę. Cały oddział był tego świadomy. Być może bestia była uzbrojona. Pistolet, nóż, jakieś narzędzia – cokolwiek. W rękach byłego członka oddziałów specjalnych nawet widelec mógł okazać się śmiertcionośną bronią i należało zachować szczególną ostrożność.

– Wchodzimy za trzy minuty – zaskrzeczał głos Rafalskiego w krótkofalówce.

Padły szybkie odpowiedzi o gotowości, a potem znowu uderzył wiatr, zagłuszając swoim wyciem i szumem drzew wszystkie inne odgłosy. Na głowę starszej aspirant Kariny Buczko posypały się drobne gałęzie. Z niepokojem spojrzała w górę. Jakby patrzyła na ocean. Tylko zamiast wody były falujące w trakcie podmuchów korony drzew.

Cholerny Zakrzewski!

To przez niego teraz tu tkwili, bojąc się, czy huragan nie strąci im nieba na głowy. Oczywiście nie miała do niego żalu o to, że, jak zwykle, był zbyt dociekliwy. Ktoś inny postępowałby standardowo, zgodnie z procedurą i kanonami prowadzenia śledztwa. Jednak nadkomisarz Marcin Zakrzewski chadzał zazwyczaj własnymi ścieżkami. To on się uparł, żeby przycisnąć Jerzego Madejskiego, którego narzeczona zaginęła kilka dni wcześniej. Co z tego, że Madejski miał doskonałe alibi? Skoro na widok policji spróbował ucieczki i poturbował trzech funkcjonariuszy, coś było nie tak. Niewinni ludzie tak nie postępują. Poszukiwania trwały całe pięć dni i teraz od dwóch siedzą w tym cholernym lesie, obserwując zrujnowaną leśną chatę i mając coraz większe wątpliwości. Czy Madejski naprawdę jest w środku? Skoro tak, dlaczego nie daje znaku życia? Czy jeszcze żyje? Dowiedzą się już za – spojrzała na zegarek – dziewięćdziesiąt sekund.

Rzuciła jeszcze okiem na miejsce, gdzie powinien stać Zakrzewski, ukryty za kępą krzaków na skraju drogi. Nie zauważyła go. Widziała za to czarne sylwetki członków grupy specjalnej, przemykające w kierunku domu. Po chwili przyglnęli do ścian, a ten z taranem stanął przy drzwiach. Szum wiatru w tym przypadku był im na rękę, zagłuszał wszystkie inne odgłosy.

I wtedy, na te ostatnie kilkadziesiąt sekund, czas jakby zwolnił. Karina jeszcze raz spojrzała z niepokojem na korony drzew. Sztorm w oceanie gałęzi przybrał na sile. Przypomniała sobie słowa swojej babci, która mówiła, że jak wieje taki wiatr, to pewnie ktoś się powiesił. Wiatr zawsze stara się złośliwie rozhuścić nieszczęśnika wiszącego na linie. To może było głupie, ale ona w tej chwili była w stanie uwierzyć we wszystko.

Drewniany domek w lesie kilka lat temu wybudowali członkowie miejscowego koła łowieckiego do spółki z nadleśnictwem, ale coś poszło nie tak. Miał służyć członkom koła, robotnikom leśnym i leśnikom, którzy zorganizowali tam imprezy integracyjne. Z tyłu znajdowała się mała polana, drewniane ławy, stoły i rożen – idealne miejsce na popijawę i degustowanie dziczyzny. Tylko że nieoczekiwanie cofnięto jakieś zgody, wybuchł konflikt i domek popadł w ruinę. Od miejscowego leśniczego dostali jego plan. Na dole było pomieszczenie kominkowe i mały aneks kuchenny, na poddaszu

sypialnia i kilka łóżek. Dlaczego Madejski ukrył się właśnie tutaj? Tego nikt nie potrafił zrozumieć. Ani nie było to miejsce nieuczeszczane przez ludzi, ani bezpieczne.

Z zamyślenia wyrwał ją okrzyk, odgłos tarana rozbijającego drewniane drzwi, wybuch granatu hukowego i okrzyki antyterrorystów. Teraz dostrzegła Marcina. Biegł w kierunku domu długimi susami z pistoletem w dłoni. Pokazał jej, żeby zaszła od drugiej strony. Mocniej ścisnęła waltera w dłoni i zrobiła, jak kazał. Już po przebiegnięciu kilkunastu kroków rozumiała, że coś poszło nie tak. Ze środka domu dobiegły ją odgłosy walki. Poważnie się zaniepokoiła; czyżby jej obawy związane z widelcem były uzasadnione? Oddział Rafalskiego to byli bardzo doświadczeni i doskonale wyszkoleni funkcjonariusze. Najlepsi z najlepszych. Tylko że teraz mogli trafić na kogoś jeszcze lepszego. Zdrętwiała, kiedy ze środka usłyszała serię z broni automatycznej. Zanim znalazła się za rogiem domu, zobaczyła jeszcze, jak Rafalski na zewnątrz pokazuje coś na migi swoim ludziom, zaczajonym przed wejściem, Zakrzewski chowa się za tablicą informacyjną, a ze środka domu wypada jeden z antyterrorystów. Poleciał jak pijany rewolwerowiec wyrzucony z baru na dzikim zachodzie i znieruchomiał na trawie. Na usta Kariny cisnęły się najgorsze przekleństwa. Być może nawet je wykrzyczała, lecz jej głos przepadł, zagłuszony przez kolejne porywy wiatru.

Zobaczyła, jak w drzwiach stanął wielki facet w granatowej kurtce i czapce naciągniętej na oczy, z karabinem odebrany jednemu z członków oddziału. Bez wahania nacisnął na spust i puścił przerywaną serię od prawa do lewa, zmuszając wszystkich do rozplaszczenia się na ziemi. Zanim zdążyli odpowiedzieć ogniem, zniknął w środku. Po chwili Karina go jednak zobaczyła. Wskoczył przez tylne drzwi i w dwóch ruchach powalił na ziemię zabezpieczającego wyjście antyterrorystę. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jak jakiś pieprzony Rambo albo niezwyciężony Bruce Willis w dwudziestej części Szklanej Pułapki. Policjant nawet nie zdążył zareagować. Take rzeczy się w realu nie dzieją. A jednak teraz widziała to na własne oczy. Jerzy Madejski, były żołnierz sił specjalnych, zaczął uciekać

w kierunku linii lasu kilkanaście metrów dalej. Karina przyklęła za rogiem budynku i złożyła się do strzału.

– Stój, bo będę strzelać!

Pieprzone procedury! Napastnik nie musiał przestrzegać żadnych, dlatego odwrócił się i posłał w jej kierunku krótką serię. Pociski odłupały kawałki drewna wysoko nad nią i drzazgi wpadły jej we włosy. Odruchowo wcisnęła głowę między łopatki. Kiedy jednak znowu się wychyliła, on zniknął już wśród drzew. Rzuciła się w pogoń. Nie była sama, słyszała ciężkie kroki za plecami. Pościg ruszył. Tyle że antyterrorysty obciążeni pełnym rynsztunkiem nie są dobrymi sprinterami i po chwili zostali w tyle. Z każdym krokiem dalej.

Karina biegła tak szybko, jak tylko się dało w tych warunkach. Buty grzęzły w miękkiej ściółce leśnej, wysokie trawy spowalniały bieg, musiała kluczyć między drzewami i krzewami. Niedługo potem i ona straciła oddech, i pomimo zdwojonego wysiłku tempo pościgu znacznie spadło. Przebiegła kolejną leśną drogę, przeskoczyła przeorany pas ziemi i znowu wpadła między drzewa. Las sosnowy się skończył, las brzoźowy porastał pagórek. Z trudem wbiegła na górę. Pomyślała, że z tego miejsca będzie miała dobry widok i na pewno zobaczy, w którą stronę ucieka Madejski. Nie przewidziała, że to będzie też bardzo dobre miejsce dla niego, żeby się na nią zaczaić. Gdy tylko się zatrzymała, na szyi zacisnęło jej się stalowe ramię, a tuż przy uchu szczęknął karabinek.

– Rzuć broń – syknął jej do ucha.

Poczuła nawet ciepło jego oddechu i jakąś jeszcze inną paskudną woń, której teraz nie potrafiła zidentyfikować, choć była przekonana, że zna ją bardzo dobrze. Dopiero po kilku uderzeniach serca przyszedł obezwładniający strach. Nie miała z nim szans, ona ledwo łapała oddech po biegu, a on nawet się nie zasapał.

Odrzuciła pistolet i jego uchwyt trochę osłabł. Nie na tyle jednak, żeby miała szansę na uwolnienie. Odwróciła głowę i z bardzo bliskiej odległości spojrzała mu w oczy. Z wrażenia aż zachłysnęła się powietrzem. Spodziewała się zobaczyć bezwzględного zabójcę, człowieka ogarniętego nieopa-

nowanym szaleństwem, zimnego i bezwzględnego żołnierza, który zbuntował się przeciw własnemu krajowi i teraz jest bestią mordującą niewinnych. Cokolwiek, ale z pewnością nie to, co w tej chwili wyzierało z jego spojrzenia. To był bezgraniczny smutek i żal. Widziała takie spojrzenia w oczach tych, którzy stracili swoich bliskich, dopadło ich nieszczęście lub ktoś ich boleśnie zranił. To nie było spojrzenie zabójcy, tylko człowieka cierpiącego. I to bardzo.

Karina zerknęła na broń ciągle skierowaną w jej twarz. Czarny otwór lufy wyglądał złowieszczo i sprawiał, że wszystko inne stawało się nieistotne. Jeszcze raz zerknęła w stalowe oczy Madejskiego. Jego spojrzenie było nieruchome. Nawet nie mrugnął. „Nie mrugają osoby mocno zaburzone, nikt normalny nie jest w stanie tyle wytrzymać” – przemknęła jej przez głowę bezsensowna myśl. Tak naprawdę miała pustkę w głowie. Jego usta się poruszyły:

– Nexus – wyszeptał.

Była tak zaskoczona, że tylko szerzej otworzyła oczy.

– Przepraszam. – To było jego następne słowo.

Była pewna, że naciśnie na spust i wszystko skończy się w tym momencie. On jednak nagle opuścił broń, odskoczył w tył i kopnął ją w pierś. Ból eksplodował niczym granat na polu bitwy. Upadła na plecy, niezdolna do najmniejszego ruchu. Szeroko otwartymi ustami walczyła o chociaż jeden malutki oddech, jednak płuca przestały jej słuchać na długie kilkanaście sekund.

Kiedy nagle wciągnęła powietrze ze świstem i otworzyła oczy, zobaczyła pochylającą się nad nią postać. Jakaś blada twarz była bardzo blisko, w oczach malował się niepokój, a może nawet i strach, przez co ich błękit pociemniał. Znała tę twarz bardzo dobrze. Spróbowała się poruszyć i zaraz jęknęła. Dobrze, że mogła już oddychać. Kamizelka kuloodporna, którą miała na sobie, przejęła część energii ciosu, ale i tak to kopnięcie powaliłoby Schwarzeneggera. Będzie miała pewnie wielki siniec pod biustem przez najbliższe dwa tygodnie.

– Tylko mnie kopnął – wychrypiała. – Gońcie go.

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski odwrócił się na pięcie i już go nie było.

Karina poleżała jeszcze chwilę, patrząc na falujący nad jej głową ocean gałęzi, i spróbowała się podnieść. Udało się za drugim razem. Wokoło nie było nikogo, tylko las i wichura. Podniosła pistolet i schowała go do kabury. Wolno wracała tą samą drogą, którą tu przybiegła. Na początku bolało przy każdym kroku, potem jakoś poszło. Ale zachciało jej się palić. Nałóg ścisnęła ją tak mocno, że aż zwolniła kroku. Nie ma papierosów. Od miesiąca próbowała rzucić. Obiecała to swojej partnerce, Justynie, i dotrzymywała słowa, choć było piekielnie trudno. A przecież już kiedyś raz rzuciła, też dla kobiety, tylko że od tamtego czasu świat wykonał kilka obrotów, a wraz z nimi jej życie zawirowało i znalazła się w zupełnie innym miejscu. Miała inne cele i priorytety, a dawne czasy wydawały jej się oazą spokoju i bezpieczeństwa.

Cholerny Zakrzewski!

To przez niego. To on wciągnął ją do pracy w wydziale kryminalnym w wojewódzkiej. A praca z nim nie należała do łatwych, przyjemnych i bezpiecznych. Tylko że Karina Buczko świetnie się odnalazła w nowych warunkach. Jak pomyślała o czasach, kiedy jeździła w patrolu z Jackiem Felmanem, zastanawiała się, jak mogła żyć tak normalnie i przewidywalnie.

Upłynęło kilka minut, zanim wróciła tą samą drogą na tył opuszczonego leśnego domku. Obeszła go z boku i przystanęła przy wejściu. Z trudem zdjęła z siebie kamizelkę, rzuciła ją na trawę i pomasaowała dłonią miejsce, gdzie wylądował but Madejskiego. Bolało przy każdym głębszym oddechu. Miała tylko nadzieję, że nic tam nie jest połamane albo pęknięte.

Wokoło prawie nic się nie działo. Czterech antyterrorystów, którym Madejski dał łupnia w domku, stało przy swojej furgonetce z ponurymi minami. Nerwowo palili papierosy, na ich twarzach było widać ślady po walce. Oj, będzie z tego straszna awantura, jak Madejski ucieknie. Czują, że wszyscy dostaną mocną zjebkę, ale na tym może się nie skończyć. Cholera, co poszło nie tak? Nie docenili umiejętności i determinacji byłego specjalsa.

Dwa radiowozy zabezpieczające teren zaparkowały na leśnej drodze na wprost chaty. Karina spojrzała na rozwalone taranem drzwi w momencie,

gdy jeden z mundurowych wybiegał ze środka z rękami przy ustach. Patrzyła, jak odbiega kilka kroków w bok, a potem wymiotuje na trawę z nieprzyjemnym jękiem. „Kurwa mać!” – jęknęła w duchu. Ten widok przypominał jej, skąd знаła ten słodkawy, duszący zapach, którym przesiąknięty był Jerzy Madejski. Ręce jej opadły, otworzyła usta i starała się oddychać głęboko, ale bardzo spokojnie, żeby nie powrócił ból w piersi.

Drugi policjant wyszedł ze środka, przyciskając chusteczkę do nosa. Odszukał ją wzrokiem, po czym podszedł szybko. Był blady, a oczy świeciły mu, jakby przed momentem walnął setkę wódki.

– Pani aspirant, musi pani tam wejść – wydukał.

Patrzyła na niego niechętnie.

– Co tam jest?

W odpowiedzi tylko pokręcił głową.

– Po co tam wchodziliście? Nie zdeptaliście śladów? – warknęła ze złością, wiedząc, że po walce, do jakiej doszło w środku, trudno było bardziej zatrzeć ewentualne ślady. – Co tam jest?

– Nie wiem, ten smród... – Mundurowy z trudem przełknął ślinę i nie dookończył.

Na wszelki wypadek Karina wyciągnęła z kieszeni chusteczkę higieniczną, przyłożyła sobie do nosa i weszła do domku. Chusteczka była nasączona delikatnym zapachem rumianku, jednak ten aromat natychmiast przegrał ze smrodem w środku. Karina знаła ten zapach. To była dusząca woń rozkładu i zgnilizny. Obeszła pokój kominkowy, zajrzała do aneksu kuchennego, potem do łazienki. Wreszcie ruszyła skrzypiącymi drewnianymi schodami na poddasze.

Wejście zabezpieczone było drewnianą klapą na haczyk. Wyciągnęła z kabury broń, lufą podważyła haczyk, a potem uniosła klapę i zaraz ją opuściła. W twarz buchnął jej taki odór, że omal sama nie zwymiotowała. Przez chwilę oddychała ustami, nie bacząc na klucie w piersiach. Przetarła rękawem załzawione oczy. Wejście tam nie będzie takie proste. Ściągnęła z głowy czapkę, przycisnęła ją do nosa i ust, pchnęła klapę, która z trza-

skiem uderzyła o belkę, i wbiegła na górę. Rzuciła tylko okiem i zaraz zbiegła na dół i wypadła przed domek, łapiąc łapczywie powietrze i wycierając oczy. Żołądek jej się gwałtownie skurczył, lecz opanowała się i nie zwymiotowała jak tamten policjant. Skupiła na sobie spojrzenia wszystkich funkcjonariuszy, ale starała się nie zwracać na nich uwagi. Zapanowała nad żołądkiem i głośno przełknęła ślinę.

– Co tam jest? – rzucił ktoś w jej stronę.

Karina zacisnęła szczęki w odruchu wściekłości, która nagle ją opanowała.

– Sam wejdz i zobacz, jak jesteś ciekawy – ledwo wycodziła przez zęby.

Nikt już się nie odezwał, ale też nikt nie zdecydował się wejść do środka. Karina zamieniła dwa słowa z mundurowym i poleciła mu zawiadomić techników. Potem, wbrew postanowieniom, poprosiła kogoś o papierosa i stała z boku, paląc nerwowo. Nie zwracała uwagi na wiatr, spadające jej na głowę drobne gałęzie, spojrzenia innych, na cały świat. Czuła tylko wściekłość i bezsilność.

Na poddaszu na łózkach leżały trzy ciała w różnym stanie rozkładu. Z tego, co zdążyła zobaczyć, to były kobiety. Jerzy Madejski był wyjątkowo brutalną i pozbawioną podstawowych ludzkich cech bestią. Dwa dni nie wychodził ze środka. Ten cały czas spędził w odorze rozkładających się ciał, którym sam już w końcu przesiąkł. Już nie tylko ubrania, skóra, lecz pewnie jego dusza też śmierdziała rozkładem i śmiercią. Może to go podniecało? Może delectował się tym zapachem i upajał złem, które wyrządził tym kobietom. Zwyrondnialec, potwór, monstrum, którego miejsce jest na samym dnie piekieł. Nie wiedziała, jak ma go określić. Stała z wygasłą na wietrze resztką papierosa w palcach, a wiatr szarpał jej czarne długie włosy, razem z czapką zsunęła jej się też gumka, która je spinała. Odwróciła się tak, żeby nikt nie widział jej twarzy.

Nagle przypomniała sobie jego smutne, cierpiące spojrzenie i dwa słowa, które wypłynęły z jego ust: „Nexus” i „przepraszam”. Miała nadzieję, że to cierpienie to były wyrzuty sumienia, chociaż prawdopodobieństwo było niewielkie. Tacy nieludzie nie mają wyrzutów sumienia. Miała nadzieję, że

Zakrzewski z Rafalskim go dopadną. Miała nadzieję, że nie przeżyje tego spotkania, skoszony serią z automatu. Może już tak się stało, a wiatr zagłuszył terkot karabinów. Miała nadzieję, lecz rozsądek podpowiadał jej, że tak na pewno się nie stanie.

Dlaczego jej nie zabił? Za co przepraszał?

Rozmyślania przerwał jej sygnał krótkofalówki zawieszonyj na pasku. Prawie o niej zapomniała. Na szczęście nie zgubiła jej gdzieś w lesie. Przez trzaski poznała głos Marcina:

– Zero jeden do zero dwa. Słyszysz mnie?

– Tu zero dwa, mów!

– Przyjdź tutaj.

– Gdzie?

– Sto metrów dalej od miejsca, gdzie cię znalazłem. Musisz coś zobaczyć. Bez odbioru.

Idąc przez las, starsza aspirant Buczko miała złe przeczucie. Co jeszcze miała zobaczyć? Co zrobiło na Zakrzewskim takie duże wrażenie? Słyszała to w jego głosie. Byli partnerami w pracy do kilku lat, ale nie tylko. Marcin, który był ciężki, jeśli chodzi o relacje międzyludzkie i niełatwo było zyskać jego zaufanie, bardzo szybko wpuścił ją do swojego życia. Prywatnie się przyjaźnili. Nigdy tego sobie nie powiedzieli wprost, lecz wiedziała, że Zakrzewski poszedłby za nią w ogień, a ona, gdyby stanęła przed taką koniecznością, zrobiłaby to samo. Partnerka życiowa Marcina musiała zaakceptować fakt, że Karina była częstym gościem w ich mieszkaniu. Bywała w bardzo różnych porach, na śniadaniu, obiedzie, na kolacji, czasem w nocy, kiedy musiała omówić z Marcinem sprawy zawodowe. Taki zawód, cholera. W wydziale zabójstw nie można było równo z fajrantem zamknąć biura i pójść spokojnie do domu. To znaczy niektórzy tak robili, ale nie Zakrzewski. On szybko wpadał w fazę śledztwa non stop i nic się dla niego wtedy nie liczyło, nieważna była pora dnia czy nocy. Karina przejęła te zwyczaje. Dlatego byli tak skuteczni i, pomimo poważnych konfliktów z przełożonymi, byli nie do ruszenia. Zresztą ostatnio w ich wydziale też dużo się zmieniło. O dziwo, na lepsze.

Znalazła go mniej więcej w tym miejscu, o którym mówił. Antyterroryści kręcili się po lesie, jakby czegoś szukali, kapitan Rafalski rozmawiał z kimś nerwowo przez telefon, a Zakrzewski stał z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie skórzanej kurtki.

W pierwszej chwili myślała, że wpatruje się w pień rosnącego na skraju lasu dużego dębu i dopiero po chwili, gdy powiał wiatr, zrozumiała, że tam jest coś jeszcze. Zrobiła kilka kroków w bok i dopiero teraz zobaczyła.

Jerzy Madejski, były żołnierz oddziałów specjalnych, wisiał na grubej gałęzi, a jego buty znajdowały się prawie metr nad ziemią. Był martwy jak kamień wyorany z pola. Przekrzywiona głowa i krew na twarzy wskazywały na przerwanie rdzenia kręgowego i natychmiastową śmierć bez męczarni. Szkoda. Mógł się, skurwiel, trochę pomęczyć.

Zakrzewski stanął obok niej.

– Chyba mamy problem. – Z trudem go usłyszała przez szum drzew.

– Ja myślę, że nasz problem właśnie się rozwiązał – odrzekła i opowiedziała mu o znalezisku na stryszku w drewnianej chacie.

Poprawił proste, trochę posiwiałe blond włosy, które, jak dawniej, znowu były przydługie jak u podstarzałego muzyka rockowego. Usta zacisnął tak mocno, że przez moment nie było widać warg. Popatrzył na nią ponuro, a w jego oczach dostrzegła jakiś niepokojący cień.

– W takim razie mamy jeszcze większy problem – podsumował jej opowieść. – Pomyśl nad tym przez chwilę, ja poczekam na Martę Mickiewicz.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Karina patrzyła na powieszzonego mężczyznę, bujanego przez wiatr. Pewnie lina, na której wisiał, skrzypiała, lecz nie było tego słychać przez wiatr. Właśnie, wiatr. Znowu przypomniały jej się słowa babci. Może w tym ludowym powiedzeniu było trochę prawdy? Ten wiatr wiał po to, żeby rozhuścić Madejskiego na gałęzi. A był taki mocny, bo Madejski był takim skurwysynem?

Zastanowiła się nad słowami Marcina i szybko przyznała mu rację. Mieli problem. Cholerny!

7.

To był trudny dzień. I męczący. Od samego rana przez trzy godziny czekali przy leśnej chacie, podczas gdy nad nimi szalała wichura i łamała gałęzie, potem gonili sprawcę, żeby znaleźć go wiszącego na gałęzi. W międzyczasie znaleźli trzy ciała kobiet w znacznym stopniu rozkładu. Mimo ciężkiej pracy przez cały dzień, włączenia do śledztwa aktualnie dostępnych śledczych i burzy mózgów na koniec, nic się nie spinało.

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski siedział w swoim pokoju za biurkiem, jedną nogę zarzucił na blat, a w rękach ścisnął kubek z gorącą kawą. Dobrze, że przynajmniej mieli w pokoju nowy ekspres i można było się napić dobrej kawy zamiast tej ciemnej cieczy o smaku oleju silnikowego z domieszką mleczka w proszku, którą pił tutaj przez lata, niszcząc sobie żołądek.

Ostatnio zaczął dbać o zdrowie. W końcu lata lecą, a on wcale nie staje się młodszy. No i teraz miał powód, żeby o siebie zadbać. Nie tylko ten wynikający z instynktu samozachowawczego i zdrowego rozsądku. W ostatnich kilkunastu miesiącach wiele się w jego życiu zmieniło. O dziwo, na lepsze, a on uwierzył, że tak już zostanie. Oczywiście nie powinien być zbyt pewny siebie, ponieważ los czeka, żeby posłać ci strzał w plecy zza węgła, gdy tylko staniesz tyłem. Jednak takie refleksje nawiedzały go coraz rzadziej i było mu z tym coraz lepiej.

Z przyjemnością pociągnął łyk kawy. Myślał, a przynajmniej starał się myśleć, logicznie. Tylko że im bardziej się starał, tym mniej logicznie wychodziło. Wreszcie się zdekoncentrował i popłynął z prądem myśli niekontrolowanych. Wtedy oczywiście wróciły demony. Jako pies gończy z wieloletnim doświadczeniem dorobił się już całej armii demonów, które często do niego wracały. I, o dziwo, nie działo się to w nocy, kiedy leżał w ciemności, nie mogąc zasnąć, i nie przychodziły w koszmarnych snach, kiedy naj-

lepiej śpi się na kilka minut przed tym, zanim rozlegnie się najbardziej znienawidzony na świecie sygnał. Dźwięk budzika. Przychodziły do niego w chwilach takich jak ta, kiedy był zmęczony, miał wszystkiego dość i znowu się zastanawiał, co on tu jeszcze robi, dlaczego nie pieprznął tej roboty i nie zajął się czymś prostszym, spokojniejszym, bezpieczniejszym, co przyniesie mu tylko satysfakcję, a nie satysfakcję połączoną z cierpieniem. Lata mijaly i tego cierpienia było coraz więcej.

Demonów było całkiem sporo i było w czym wybierać. Ostatnio jednak zauważył, że część z nich jakby wyblakła i nie robiła na nim już takiego wrażenia jak dawniej. Za to niektóre trzymały się go, jakby były rozbitkami, a on boją na środku oceanu. Może tak właśnie było? Istniały tylko w jego świadomości i nie miały gdzie odejść? Przymknął powieki i zobaczył mumię pięknej kobiety w starym tapczanie, faceta przybitego do drzewa wielkim gwoździem przez oczodół, zakrwawionych policjantów w mundurach na przydrożnym parkingu, poczuł ciepłe usta aspirant Ilony Marzec na swoich ustach, a potem zobaczył jej zdjęcie w kałuży krwi na podłodze z kilkoma pociskami w plecach. Te obrazy odchodziły i wracały, jak w jakimś koszmarnym kalejdoskopie, w który musiał ciągle zaglądać i nie potrafił się oderwać.

– Śpisz?

Trzasnęły drzwi, a potem Karina Buczko zwała się ciężko na swoje krzesło. Podniósł jedną powiekę i spojrzał na nią przekrwionym okiem. Może faktycznie zdrzemnął się, nawet o tym nie wiedząc? Ściągnął nogę z biurka i rozsiadł się wygodniej. Dopiero teraz poczuł, że zdrętwiał w tamtej pozycji.

– Nie śpię – odrzekł. – Myślę.

– Jakies efekty? – Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Niewielkie, a u ciebie?

– Jak zwykle miałaś rację, tam w lesie. Mamy cholerny problem, a ja na razie nie wiem, jak go ugryźć.

– J–jasne.

Problemem był Jerzy Madejski i trzy martwe kobiety na poddaszu leśnej chaty. Patomorfolog wstępnie określił, że przedział czasowy zgonów, o którym ostrożnie mówił jeszcze przed sekcją zwłok, to było od trzech tygodni nawet do dwóch miesięcy. Jeśli cały czas znajdowały się w nieogrzewanym domku w lesie, proces rozkładu przebiegał wolniej i dopiero sekcja zwłok miała cokolwiek wykazać. Z przyczyn obiektywnych sekcja miała zacząć się dopiero następnego dnia rano. Wstępnie tylko się dowiedzieli, że ktoś znęcał się nad ofiarami. Być może był nawet bardzo brutalny. Lekarz nic więcej nie chciał powiedzieć. Sytuacja była wyjątkowa i wołał nie ryzykować pochopnych wniosków, które mogłyby wypaczyć prowadzone śledztwo.

Ale właściwy problem leżał w tym, że Madejski wraz ze swoją narzeczoną mieszkał w Londynie. Mieli tam mieszkanie, dobrą pracę i załatwione wszystkie formalności dotyczące legalnego pobytu. Wedle słów matki zaginionej narzeczonej Madejskiego, Klaudii Kani, nie zamierzali nigdy wracać do kraju. Zmusiła ich do tego pandemia koronawirusa. Przez ciągłe lockdowny stracili pracę, Klaudia ciężko przechorowała wirusa i nagle podjęli decyzję o powrocie. Pewnie też ciągnęło ich do Polski, do rodzin i znajomych. Mieli spore oszczędności, mogliby się tutaj nieźle ustawić. Wrócili dwa tygodnie temu, a sześć dni potem matka Klaudii zgłosiła jej zaginięcie. Madejski nie mógł zabić tych trzech kobiet. Policja rzetelnie sprawdziła jego alibi. Był w tym czasie cały czas w Londynie, na pewno nigdzie się nie ruszał przez ostatnie dwa miesiące.

– Nareszcie jest trochę spokoju – powiedziała Karina i zaczęła pstrykać zapalniczką.

Odkąd rzuciła palenie, przyplątał jej się ten irytujący Marcina nawyk. Na pewno już nieraz zwróciłby jej uwagę, lecz wiedział, jak ciężko jest przestać palić. On sam nie palił już od kilku miesięcy. Uznał, że skoro jej to pomaga, on wytrzyma. Zresztą dzisiaj widział, jak wypaliła co najmniej dwa papierosy. Gdyby nie nadzwyczajne okoliczności, na pewno by ją za to opieprzył. Obiecał Justynie Kordas, partnerce Kariny, że będzie jej pilnował.

– I co? – Senność wraz z demonami odeszła na dobre. Czy to śledztwo przyprawi go o kolejne koszmary? Pewnie tak, ale teraz się tym nie zajmował. Następne do kolekcji, co w tym niepokojącego?

– Pogadajmy tylko we dwoje, bez zbędnych uszu. Chciałbym pewne rzeczy wypowiedzieć na głos i usłyszeć, jak brzmią.

To była jedna z zasad Zakrzewskiego, która zyskała popularność wśród młodszego pokolenia śledczych. Trzeba było wypowiedzieć na głos nawet najbardziej nieprawdopodobną teorię, samemu ją ocenić oraz poddać ją ocenie innych. Czasem myśli w głowie mają zupełnie inne znaczenie, niż kiedy wypowiada się je na głos. Zdarza się, że nieprawdopodobne hipotezy nabierają realizmu, a te, które miały być właściwe, okazują się pełne dziur i nieścisłości. Takie ćwiczenie logiczne zaskakująco dobrze sprawdzało się w praktyce.

– Zaczynij pierwsza – zaproponował.

Od zajścia w lesie przed południem zauważył, że jest jakaś inna niż zwykle. Przygaszona, poważna i zachowująca dziwny dystans. Po jej pociemniałych zielonych oczach widział, że coś chce mu powiedzieć, jednak w zamęcie dnia nie było na to nawet dwóch minut. Teraz nareszcie mogli szczerze porozmawiać.

Karina pstryknęła kilka razy zapalniczką i zaczęła z namysłem:

– On w tym domku siedział co najmniej dwa dni. Powiedz mi, jak normalny człowiek był w stanie wytrzymać w odorze gnijących zwłok tak długo? Jak wiem, że to był żołnierz sił specjalnych, jednak każdy chyba ma swoją granicę wytrzymałości. Nawet taki twardziel jak on.

– Jednym z objawów koronawirusa jest utrata smaku i węchu – zauważył, ale jej nie przekonał.

– To nie odpowiada mi na pytanie: po co on siedział dwa dni z trupami? Gdyby był zbrojcem, psychopatą i zabił te kobiety, mogłabym to zrozumieć. Ludzie mają różne zbrocenia. Ale wiemy oboje bardzo dobrze, że on nie zabił tych kobiet – zamilkła, pstryknęła zapalniczką i kontynuowała, nie patrząc na niego. – Stałam bardzo blisko niego. On był cały przesiąknięty odorem zgnilizny.

– Wiem, też to poczułem. Jak chyba wszyscy.

– Marcin. – Podniosła na niego smutne spojrzenie. – Wtedy w lesie nie było tak, jak to wam oficjalnie opowiedziałam.

Zakrzewski poruszył się niespokojnie w fotelu, ale nic nie powiedział. Podejrzewał coś takiego.

– On mnie złapał, unieruchomił i wycelował mi w twarz broń. Nie mów nikomu, jak było, szefostwo zaraz będzie próbowało odsunąć mnie od tego śledztwa. Mógł strzelić, jednak mam wrażenie, że ani przez chwilę nie miał takiego zamiaru. On chciał mi coś powiedzieć i powiedział. – W pokoju zapanowała taka cisza, że przez zamknięte drzwi było słychać kroki na schodach znajdujących się w głębi korytarza. – Patrzył na mnie smutno, jakby z bólem. Jak człowiek pogodzony ze swoim losem, przegrany. Wyobrażam sobie, że ktoś zdecydowany na odebranie sobie życia ma właśnie takie spojrzenie: jest zrezygnowany i wszystko mu jedno. On tak właśnie wyglądał. Powinien wiedzieć, że policja nie jest głupia i nie oskarży go o potrójne zabójstwo, bo ma alibi. Nie było go w kraju. Widział te zwłoki, na poddaszu były jego odciski palców. Musiał wiedzieć, że kobiety zmarły już dawno.

– Co ci powiedział? – Zakrzewski nie spuszczał z niej uważnego spojrzenia.

Strzeliła zapalniczką, rzuciła ją na biurko i odchyliła się w fotelu.

– Tylko dwa słowa – odpowiedziała. – Drugim były przeprosiny. Wtedy myślałam, że dopadły go wyrzuty sumienia i przeprosza za te kobiety. Teraz zrozumiałam, że on mnie przeproszał, bo miał zamiar mnie kopnąć i w ten sposób zatrzymać. Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam pierwsze słowo. – Zawahała się. – Powiedział „nexus” albo jakoś tak.

Marcin pochylił się nad blatem biurka. Trudno było mu zapanować nad grymasem zdziwienia na twarzy.

– Nexus? – upewnił się.

– Tak. Nie wiem, co to znaczy. Spróbuję wygooglować. – Sięgnęła po telefon i po chwili wzruszyła ramionami. – To nic nie znaczy. Połączenie mi-

ędzykomórkowe albo sklep internetowy.

– Spróbuj przez x – podpowiedział Zakrzewski. – Tak nazywały się androidy z książki Philipa K. Dicka Czy androidy śnią o elektrycznych owcach?. Może bardziej kojarzysz film Ridleya Scotta, Blade Runner, po polsku Łowca androidów.

Karina była jeszcze bardziej skołowana. Patrzyła na niego nieruchomo, aż wreszcie się odezwała:

– To co on chciał mi zakomunikować? Że jest takim androidem zaprogramowanym na zabijanie?

– One nie były zaprogramowane na zabijanie – wyjaśnił Zakrzewski. – Miały zastępować człowieka w ciężkich pracach na innych planetach. Były stworzone tak idealnie, że chciały żyć jak ludzie. Dlatego wróciły na Ziemię. A zabijały dopiero wtedy, kiedy dowiedziały się, że ich baterie są na wyczerpaniu i nie da się przedłużyć im życia.

– Pamiętam film. – Pokiwała głową. – Tam była taka scena, kiedy główny android, grany przez Rutgera Hauera, na chwilę przed śmiercią lituje się nad głównym bohaterem i ratuje mu życie.

Zamilkła i jej oczy rozszerzyły się, gdy nagle zdała sobie sprawę z analogii do zdarzeń sprzed kilkunastu godzin.

– Cholera! On mi darował życie tak jak android w tej scenie z filmu? Przecież to jakaś niedorzeczna fantastyczna bzdura, kicz i groteskowy romantyzm!

– Nie wiem. – Marcin pokręcił głową.

Widząc coraz większe zdenerwowanie na twarzy Kariny, dopił resztkę zimnej już kawy z kubka, wstał i rzucił jej kurtkę zdjętą z wieszaka.

– Kończymy na dzisiaj, trzeba odpocząć – zarządził. – Jutro pojedziemy do mieszkania Madejskiego, może tam coś znajdziemy.

Karina ubrała się bez słowa. Kiedy szli obok siebie pustym korytarzem budynku Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu, pomyślała, że Zakrzewski naprawdę się zmienił przez ostatnie miesiące. Kiedyś to ona by go wyciągała z pracy i nie byłaby pewna, czy się uda. Co prawda dalej anga-

zował się w śledztwo całym sobą, lecz zachowywał właściwą perspektywę. Gdy dochodzili do ściany, potrafił odpuścić, zdystansować się i spróbować inaczej. Jeszcze niedawno parł na tę ścianę i albo ona się kruszyła, albo on odnosił ciężkie rany. W przedziwny sposób sytuacja się odwróciła, to ona nie chciała wychodzić z pracy. Justyna zawsze powtarzała, że ta robota jej nie służy. Chyba naprawdę tak było, skoro zaczęła zachowywać się jak Marcin w swojej fazie śledztwa non stop. Ale co z tego, że jej nie służy, skoro ona ją uwielbia?

Karina Buczko leżała w ciemnościach i nie mogła zasnąć. Najpierw przewalała się z boku na bok, a w końcu leżała na wznak z szeroko otwartymi oczami, nie chcąc budzić śpiącej obok Justyny. Chciało jej się palić, czuła wewnętrzny dyskomfort, którego nie potrafiła zidentyfikować. Wsłuchiwała się w równy oddech śpiącej obok partnerki. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że ciągle jest w niej zakochana. Po poprzednim związku, który zakończył się zdradą i wielką katastrofą, była przekonana, że nie będzie jej łatwo zaufać komuś innemu. Tymczasem już na pierwszym spotkaniu z Justyną czuła motyle w brzuchu i zaciągnęła ją do łóżka. Kiedyś widywały się dwa, trzy razy w miesiącu, ponieważ Justyna pracowała w Warszawie, ostatnio jednak dużo się zmieniło. Zdecydowanie na lepsze. Justyna przeniosła się z powrotem do Wrocławia, Karina sprzedała mieszkanie po babci na Roosevelta i razem kupiły spory apartament w bloku niedaleko lotniska. Nareszcie mogły być ciągle razem, oczywiście na tyle, na ile pozwalała im praca. To były jedne z najszczęśliwszych miesięcy w życiu Kariny. Tylko dlaczego teraz czuła taki niepokój?

Usiadła na łóżku i spuściła nogi na podłogę. Czerwone cyfry na wyświetlaczu wskazywały pierwszą szesnaście. Cholera, nie było już szans, żeby się dobrze wyspać. Jutro będzie chodzić jak zombie, z podkrążonymi oczami i nieprzytomnym spojrzeniem. Usiadła na łóżku i wtedy cicho odezwała się Justyna:

– Co się z tobą dzieje?

Karina zerknęła na nią.

– Nic, nie mogę zasnąć – odpowiedziała zdawkowo.

– Na siedząco trudno ci będzie.

O tej porze, w ciszy nocy, dowcip wydał się nawet zabawny.

– Śpij, muszę coś sprawdzić.

Justyna tylko zamruczała, odwróciła się na drugi bok, szczerzej otuliła kołdrą i już po chwili jej oddech się wyrównał. Karina wstała, włożyła szlafrok i powlekła się do salonu. Usiadła przy stoliku stojącym w rogu i włączyła laptop. Ekran rozjaśnił mrok nocy. Już wiedziała, co ją tak niepokoiło. Ostatnie słowa Jerzego Madejskiego i uderzająca analogia do filmu Ridleya Scotta. Na YouTube ten fragment był dostępny w kilku wersjach. Krótszy, dłuższy, w oryginale, z polskim dubbingiem i z napisami. Wybrała wersję czterominutową z dubbingiem.

Oglądała, czując się nierealnie. Kiedy Rutger Hauer, z białymi włosami i zakrwawioną twarzą, w strugach ulewnego deszczu wygłaszał swoją ostatnią kwestię na chwilę przed śmiercią, poczuła ucisk w piersiach, a w oczach zebrały jej się łzy. Wytarła je rękawem i cofnęła film. Umierający android znowu otworzył usta: „Widziałem rzeczy, w które wy, ludzie, byście nie uwierzyli. Statki w ogniu w pobliżu pasa Oriona, widziałem promienie kosmiczne, jak błyszczały w ciemnościach u wrót Tannhausera. Wszystkie te chwile znikną jak łzy w deszczu. Pora umierać”¹.

Czy Madejski w ten właśnie sposób dał jej znać, że za chwilę umrze? Wspominając jego przeraźliwie smutne spojrzenie, uznała, że tak mogło być. Tylko jedna kwestia pozostawała zagadką. Dlaczego popełnił samobójstwo?

8.

Na dole trzasnęły drzwi. Otworzyła oczy i wpatrywała się chwilę w ciemności. Czy to był sen, czy ktoś właśnie włamywał się do jej domu? Pomimo że ostatnia myśl była bardzo niepokojąca, jej ciało ogarnęła niemożliwa do przewyciężenia niemoc. Nie mogła się poruszyć, nie mogła nawet mrunąć okiem. Tylko nasłuchiwała. Kiedy cisza się przedłużała, ulżyło jej, a więc to były tylko echa jakiegoś niepokojącego snu na chwilę przed przebudzeniem. Ciemności zgęstniały, powieki zaczęły jej opadać, sen ponownie wciągał ją w swój oniryczny świat.

Nie usłyszała już kroków na schodach. Nagle drzwi do sypialni otworzyły się gwałtownie, a klamka uderzyła w ścianę z głuchym szczękiem. Wielka ciemna postać postąpiła kilka kroków i skoczyła na nią. Zimne i lepkie palce zacisnęły się jej na szyi, a kolano wbiło się boleśnie w piersi. Niemoc jej nie opuszczała, nie miała siły się bronić, nawet nie potrafiła krzyknąć. Było tylko przerażenie, nad którym nie można było zapanować. Pierwotny strach, który przychodzi tylko wtedy, kiedy zdajemy sobie sprawę, że nieuchronnie nadchodzi śmierć. W nozdrzach poczuła słodkawy odór gnicia. To był smród bagien i coś jeszcze. Jakby siarka albo topiony plastik.

Otworzyła wreszcie oczy, chciała wrzasnąć, lecz ze ściśniętego wielkimi dłońmi gardła nie wydobył się nawet jeden dźwięk. Spojrzała napastnikowi prosto w twarz z bardzo bliskiej odległości. Była przerażająca. Mężczyzna miał posklejane błotem i krwią włosy, zielonkawą cerę, zgniłe wargi, które odsłaniały pożółkłe zęby udekorowane wodorostami. Kiedy otworzył usta, z gardła posypały się iskry jak z zimnych ogni. Te same ogniki odbijały się w jego czarnych, martwych oczach.

– To ja, twój mąż – wycharczał. – Trup.

Jego palce mocniej zacisnęły się na szyi, ale Izabela Bernatowicz nagle odzyskała panowanie nad ciałem i zaczęła walczyć. Szarpała się, wierzgała,

gryzła. Do jej uszu zaczęły wreszcie docierać inne dźwięki, jednak ciągle na pierwszym planie był jego skrzekliwy głos, który zdawał się coraz bardziej donośny i dudniący. Cały dom drżał w posadach.

– To ja, twój mąż. Trup. To ja, twój mąż! Trup!

Nagle otworzyła oczy, wciągnęła ze świstem powietrze do płuc i usiadła na łóżku. Sen! To był tylko sen! Koszmar, który regularnie nawiedza ją od tamtej tragicznej listopadowej nocy. Była cała zlana potem, dygotała i ciągle jeszcze jej ciało paraliżował strach. Czy to się nigdy nie skończy, czy duch jej nieżyjącego męża będzie ją odwiedzał już do końca życia? A może zjawi się też przy niej po śmierci? Wtedy dopiero będzie mógł naprawdę się zemścić.

Otarła pot z czoła, wyrównała oddech i spojrzała w okno. Świtało, lecz poranek był bardzo ponury. Wichury, jakie rzadko nawiedzały te okolice w ostatnich latach, nie ustępowały. Widziała szarpaną wiatrem koronę dębu rosnącego w rogu podwórza, zaraz za basenem, i zastanawiała się, skąd to stare drzewo bierze tyle sił, żeby bronić się skutecznie przed upadkiem. Z jednej strony widok był fascynujący, z drugiej straszny.

Wstała i poszła do łazienki, gdzie długo brała prysznic. Miała nadzieję, że woda zmyje kaca po wczorajszym wieczorze i odpędzi ból głowy. O ile z bólem mięśni i osłabieniem po wypitych dwóch butelkach wina sobie poradziła, to łupania pod czaszką nie dało się tak łatwo pozbyć. Zaparzyła dużą kawę, połknęła dwie tabletki od bólu głowy i siedziała zamyślona przy kuchennym stole. Tak jak tamtego feralnego dnia.

Tym razem jednak nie wątpiła, że jej mąż miał kochankę. A właściwie miał wiele kochanek. Kiedy zaginał, przerwano koszmarną zмовę milczenia wokoło ich małżeństwa. Znajomi zaczęli mówić prawdę. W ich opowieściach naliczyła co najmniej dziesięć kobiet, z którymi sypiał Jakub. Niektóre z nich nie wspominały dobrze tego epizodu. Podobno bywał brutalny i porywczy. Jedna z kobiet chciała nawet oskarżyć go o gwałt, ale udało mu się ją przekupić sporą kwotą w gotówce.

Izabela bardzo przeżyła te rewelacje. Na początku zerwała znajomość ze wszystkimi, którzy wiedzieli o kochankach Jakuba. Skoro nic jej przez lata

nie mówili, nie byli jej przyjaciółmi, tylko jego. Żadnej znajomości nie żałowała ani przez chwilę. Tyle tylko że to była większość jej znajomych. Została sama i coraz częściej leczyła samotność winem w długie zimowe wieczory. Trudno przyszło uświadomienie sobie, że przez cały czas ich małżeństwa żyła w świecie iluzji, gdzie nic nie było takie, jakim jej się wydawało.

Wątpliwości brały się z czegoś innego. Przez pierwsze kilka dni żyła w przekonaniu, że zabiła Jakuba w obronie własnej. Kiedy ochłonęła, zobaczyła to z innej perspektywy. Tak, kłócili się. Tak, Jakub wpadł w szal i ją pobił. To prawda, że ją dusił. Tych faktów była pewna, jednak miała problemy z oceną wszystkiego, co zdarzyło się potem. Była w szoku, prawdziwe zdarzenia myliły jej się z urojonymi, prawda mieszała się z fałszem.

Nie miała wątpliwości, że Jakub szukał jej z siekierą w dłoni. Tylko czy naprawdę miał zamiar jej użyć? Kiedy podchodził do niej na skraju bagien był już opanowany, mówił do niej łagodnie, chciał się dogadać. Czy znowu źle oceniła sytuację i wbiła mu ostrze śrubokrętu w brzuch niepotrzebnie? Czy nie było już zagrożenia z jego strony? Im dłużej nad tym myślała, tym miała coraz większą pewność. Spanikowała, zabiła go w szoku, działając nieracjonalnie.

– Boże – szepnęła. – Jak było naprawdę?

Nie czekała na odpowiedź Stwórcy. Sama wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie właściwie ocenić ostatnich chwil przed zabójstwem. Pewnie z biegiem czasu urośnie w niej przekonanie, że zabiła go bez powodu. Miała tylko nadzieję, że wyrzuty sumienia kiedyś ustąpią.

Upiła kolejny łyk kawy i wytarła łzy cisnące się do oczu. Najgorsze było jednak co innego. Żal spowodowany wyrzutami sumienia pojawił się w niej na chwilę i zniknął, a jej było dobrze z tym, że ten skurwysyn, jej mąż, leży teraz zagrzebany w błocie, gnije i jedzą go robaki. Ma to, na co zasłużył. Bała się tylko tego, że policja domyśli się prawdy albo znajdzie jakieś ślady, które zostawiła zupełnie nieświadomie, że ktoś rozsądny połączy je w jedną całość i odgadnie, jak było naprawdę.

Był jeszcze inny strach. Przed tym, że kiedyś ktoś przypadkowo znajdzie ciało, dzikie zwierzęta albo bezpańskie psy wygrzebią kości. Takie rzeczy

się zdarzają. Nigdy nie będzie już bezpieczna. Od listopada nie była w miejscu, w którym zakopała ciało. Miała nadzieję, że dziad Wasyl dobrze się sprawił i skutecznie to miejsce zamaskował.

Śledztwo trwało prawie miesiąc. Była kilkukrotnie przesłuchiwana przez policjantów i prokuratora, lecz zawsze grzecznie i z wycuciem. Widać było, że w żadnym momencie jej nie podejrzewali. Traktowano ją jak kobietę, która straciła męża w wypadku, rozpatrując sprawę wyłącznie w trzech kategoriach: wypadku bez udziału osób trzecich, samobójstwa lub ucieczki.

Tylko ten cholerny dzielnicowy, Wiktorski, ciągle się tu kręcił, jakby coś nie dawało mu spokoju. Jednak nigdy o nic jej nie zapytał, chociaż zapraszała go na kawę i gawędzili w kuchni na różne tematy. Miał okazję, ale z niej nie skorzystał. Nie wiedziała, jak to rozumieć. Podejrzewał ją czy nie? Ale nawet jemu w końcu się znudziło i od początku lutego odzyskała święty spokój.

Oficjalnie Jakub Bernatowicz został uznany za zaginionego, więc na razie wszystkie sprawy formalne pozostawały w zawieszeniu. Wspólnicy kliniki zdecydowali, że wynagrodzenie Jakuba, do momentu uregulowania spraw urzędowych, będą przelewać na konto Izy, więc miała zapewniony niezły dochód. Zresztą i tak zamierzała wrócić do pracy. W tej sytuacji niczym więcej się nie przejmowała. Tylko ona wiedziała, że Jakub nie żyje. Chociaż z czasem dopadało ją irracjonalne uczucie, że go nie zabiła, że on żyje i któregoś dnia zobaczy go w drzwiach, tak jak widywała go często we śnie. Tylko że nie będzie sypiącym z ust snopy iskier demonem, ale zwykłym człowiekiem.

Napiła się kawy i po raz kolejny odegnała od siebie tę myśl.

– Zabiłam go – szepnęła do siebie. – Nic nie jest w stanie tego zmienić. On jest trupem.

Głowa już mniej ją bolała, jednak nadal się nie ruszała, żeby ból nie wrócił. Myśli podążyły ku bardziej przyjemnym tematom.

Jakub miał dwóch braci, młodszego o dwa lata Kamila i starszego o cztery Dawida. Od pierwszego dnia znajomości z Kubą czuła, że coś jest nie tak

w ich wzajemnych relacjach. Chyba za sobą nie przepadali, była między nimi jakaś zadra, której przez lata nie potrafili się pozbyć. Zresztą może wcale nie chcieli? Nigdy do siebie nie dzwonili, mimo że mieszkali niedaleko od siebie, spotykali się tylko na rodzinnych imprezach i nawet wtedy zachowywali do siebie spory dystans. Rozmawiali, ale to były raczej rozmowy znajomych niż rodzonych braci.

Iza polubiła zawsze roześmianego i dowcipującego Kamila, zresztą on też nie ukrywał, że za nią przepada. Jednak nie była to przyjaźń ani nawet serdeczna znajomość, ponieważ Jakub skutecznie ich od siebie izolował. Kamil miał ciągle problemy w małżeństwie aż w końcu się rozwiódł, ale najwidoczniej było mu z tym dobrze, bo nie szukał nikogo na stałe. Dawid był jego przeciwieństwem. Dużo czasu musiało upłynąć, zanim Iza zrozumiała, że nie jest ponurakiem, który źle życzy otaczającym go ludziom, tylko po prostu ma taki charakter. Dopiero kiedy poznali się trochę lepiej, jeśli w ogóle można było mówić, że naprawdę się poznali przez te kilka spotkań na przestrzeni wielu lat, zmieniła o nim zdanie. Dawid był dobrym człowiekiem, tylko trzeba było do niego dotrzeć. Nigdy nie miał żony, chociaż Kamil kilka razy wspominał o jego słabości do kobiet i licznych romanсах.

Teraz, gdy zaginął Jakub, obaj bracia zaczęli ją regularnie odwiedzać. Najpierw przyjechał Dawid, oferując swoją pomoc, gdyby coś trzeba było zrobić w domu albo po prostu porozmawiać. Po kilku dniach w połowie grudnia przyjechali obaj. Iza pamiętała, że omal nie zemdląca z przerażenia, gdy Kamil wypalił na powitanie:

– Iza, ty się niczym nie przejmuj! Jakub żyje i pewnie niedługo się tu pojawi.

Na te słowa zbladła i pewnie osunęłaby się na podłogę, gdyby nie podtrzymało jej silne ramię Dawida. Kamil popatrzył na nią wtedy dziwnie, a ona udała, że to wcale nie był strach, tylko nadzieja i radość na myśl o takim rozwiązaniu sytuacji.

– Cały czas mam nadzieję – wyszeptała wtedy, uspokajając się nieco.

Kamil niczego konkretnego nie wiedział, tylko w ten sposób chciał ją pocieszyć, a ona opacznie zrozumiała jego słowa.

Teraz odwiedzali ją bardzo często. Ona polubiła te wizyty i czuła się przy nich coraz lepiej. Lubiła Kamila za jego bezpośredniość, dobry humor i wieczny optymizm, Dawida ceniła za powściągliwość, delikatność, troskę i dobroć. Byli jak olej i woda – niby nie dałoby się ich połączyć, jednak Izabela złapała się niedawno na tym, że myśli o nich obu i te myśli są coraz bardziej dziwne. Niepokojące, ale za to... przepełnione nadzieją na przyszłość.

Na początku była spięta, uważała na każde słowo, przecież to ona zabiła im brata. Oni jednak szybko przestali roztrząsać tragiczne wydarzenia w Kamiennym Lesie, nie wspominali Jakuba, jakby go nigdy nie było. Wreszcie odniosła wrażenie, że obaj zaczęli o nią rywalizować. Najpierw poczuła się z tym wyjątkowo dobrze, potem, kiedy wrócił rozsądek, przestraszyła się. Cała sytuacja skręcała w kierunku, którego nigdy by się nie spodziewała. Może by na to pozwoliła, ale gdzieś na horyzoncie już czekała katastrofa. Podświadomie czuła, że gdyby to potrwało dłużej, albo poróżniliby się o nią, albo domyślili, co się naprawdę stało z Jakubem. Obie te perspektywy były dla Izabeli równie przerażające. Mimo to nie powstrzymywała ich. Co ma być, to będzie. Problemy czasem rozwiązują się same, trzeba tylko nie ingerować i dać im czas. Może i ją jeszcze czekają w życiu piękne chwile. A jeśli zdarzy się tragedia? Trudno, taki już jej los. Nie pierwsza, nie ostatnia. Nie może się już na zawsze odizolować od wszystkich ludzi na świecie i zamknąć w psychicznej samotni. Przecież zabiła męża między innymi po to, żeby odzyskać wolność.

Komisarz Wiktor Wiktorski siedział za biurkiem w Komendzie Powiatowej Policji w Środzie Śląskiej na ulicy św. Andrzeja i w zadumie drapał się po głowie. Ciągle wracał myślami do tamtego wieczoru na bagnach. Co tam tak naprawdę się stało? Zaginął doktor Jakub Bernatowicz, jednak stary policjant czuł, że gdzieś w tym wszystkim jest drugie dno. Zdarzenia, które wtedy się rozegrały, były przykrywką dla innych, jednak im dłużej się nad

tym zastanawiał, tym gorzej szło mu dochodzenie do sensownych wniosków.

Kto wepchnął Janka Makarewicza do wody? Co tak naprawdę zaszło między jego ojcem a Feliksem Grzegorzakiem? Natychmiast po zejściu rozmawiał z Jankiem i chłopak zrobił na nim dobre wrażenie. Nie kłamał. Sam był przestraszony i nie potrafił wyjaśnić, jak znalazł się w wodzie. Był za to pewien, że został wepchnięty.

Jedną z teorii Wiktorskiego był spisek Makarewicza albo Grzegorzaka. Obaj zyskaliby na tych zdarzeniach, a przecież sądzili się od lat o ziemię i nie przepadali za sobą. Feliks mógł chcieć w ten sposób nastraszyć Makarewicza. Wynajął kogoś, żeby wepchnął Jana do wody, a sam rozwiązał linę, by stary Makarewicz też znalazł się w bagnie. Z kolei Makarewicz skorzystałby wizerunkowo, a kto wie, może i miałby szanse w sądzie, gdyby oskarżył Grzegorzaka o napaść i próbę zabójstwa. Tylko po co były te całe meczyje, skoro Makarewicz z Grzegorzakiem dwa tygodnie później zawarli ugodę, wycofali sprawę z sądu i podzielili się ziemią? Od tego czasu żyli w zgodzie. Wiktorski rozmawiał z jednym i drugim, a nawet z oboma naraz, i nie było widać, żeby żywili do siebie urazę. Jeśli to nie oni, to co, do diaska, wtedy się wydarzyło?

Zresztą to był tylko wątek poboczny. Podstawowym problemem, dręczącym go od trzech miesięcy, było pytanie, co się stało z doktorem Jakubem Bernatowiczem. Jego żona wielokrotnie szczegółowo opowiedziała policji, co zaszło między nią i lekarzem wcześniej tamtego dnia. Za każdym razem robiła to rzetelnie, wiarygodnie, nigdy sobie nie zaprzeczyła, co najwyżej dokładała szczegóły, o których zapomniała powiedzieć wcześniej. Nie było powodów, żeby jej nie wierzyć, więc śledczy uwierzyli. Trudno było jedynie zrozumieć, po co doktor poszedł na bagna. Chciał popełnić samobójstwo? Od tamtego wieczoru nie dał znaku życia. Nikt go nie widział, nigdzie nie pojawiły się dwie karty kredytowe, które miał prawdopodobnie przy sobie. Kamień w wodę. Zupełnie nic.

Wiktorski ciągle jeszcze nie wiedział, do której wersji śledczych się przychylić: do samobójstwa czy ucieczki od dotychczasowego życia. Ta druga

wersja też wydawała mu się nie mieć sensu. Bo niby przed czym miał uciekać? Zarabiał górę pieniędzy, miał żonę, miewał kochanki, żadnych konfliktów, żadnych podejrzanych interesów. Komisarz Wiktorski wiedział, że nie ma idealów, jednak nie znalazł żadnego punktu zaczepienia.

Cały czas coś go jednak dręczyło. W głowie tliło mu się podejrzenie, że Izabela Bernatowicz nie mówiła jednak całej prawdy. I dzisiaj z samego rana, kiedy tylko otworzył oczy, już wiedział, skąd wzięły się te wątpliwości. W tamtym momencie powiedziała mu, że pobiegła za Bernatowiczem do Kamiennego Lasu na bagna, po miedzy, na wprost. Tymczasem, gdy wracali z nieudanych poszukiwań, poświecił latarką w bok i zobaczył trochę już zatarte przez padający deszcz ślady w zaoranym polu biegnące na skos, w zupełnie inne miejsce, nie to, w którym szukali. W tamtej chwili, zmarznięty, przemoczony i zrezygnowany nie zwrócił na ten ślad uwagi. Zresztą to mogły być po prostu ślady zwierząt, od których roi się w pobliskich lasach. Teraz jednak przypomniał sobie o tym tropie i postanowił go sprawdzić.

Wyszedł z komendy trochę wcześniej i pojechał do domu. Nawet nie jadł obiadu, tylko przebrał się w cywilne ubranie, wziął gumowce, a po chwili wahania do bagażnika swojego prywatnego auta wrzucił jeszcze szpadel. Radiowóz za bardzo rzucał się w oczy.

Zaparkował na skraju jednej z leśnych drózek przed Kamienną i poszedł dalej pieszo. Wichura szalała w koronach drzew i kilka razy, słysząc skrzywienie i trzaski, patrzył w górę z niepokojem, czy drzewa nie walą mu się na głowę. Co za cholerny luty! Zamiast śniegu po kolana i dziesięciu na minusie, od kilku dni nie ustawały wichury i deszcze. Gdzie się podziały te piękne zimy sprzed kilku lat? „Świat parszywieje” – pomyślał, patrząc znowu z niepokojem w górę. „Może naprawdę skończy się szybciej, niż to sobie wyobrażamy”.

Do miejsca, które postanowił sprawdzić, udał się od strony lasu, a nie wioski. Nie chciał, żeby z okien domu Bernatowiczów ktoś go zobaczył. Wiedział już, że bracia doktora zagląдают często do swojej szwagierki, a to byli bystrzy faceci. Zaraz zaczęliby go wypytywać, co tam robił, a on nie za-

mierzał się z niczego tłumaczyć. Zresztą to były tylko mgliste podejrzenia i wołał je sprawdzić sam.

Przeszedł skrajem sosnowego młodnika odgrodzonego siatką leśną, na której ktoś przyczepił kartkę z eleganckim napisem: „Dzikom wstęp wzbroniony”. Uśmiechnął się pod nosem. Miejscowi leśnicy od lat walczyli ze stadami dzików niszczącymi im rozsady. Żadna metoda i żadne ogrodzenie ich nie powstrzymywały. Był ciekawy, czy ten zakaz je powstrzyma. Na pewno leśnicy wykazali się dużym poczuciem humoru.

Poszedł dalej i znalazł się na skraju bagna. Ruszył wzdłuż brzegu przez Kamienny Las, mając po lewej stronie dom Bernatowiczów za polem. Na pewno stamtąd nikt go nie zobaczy. Przystanął na moment w miejscu, gdzie prowadzili akcję poszukiwawczą. Kałuża, w której skąpał się Jan, teraz zniknęła, ale w jej miejscu było grząsko i ktoś nieostrożny mógł na dłuższej utknąć w błocie.

Wreszcie doszedł do celu swojej popołudniowej wyprawy. Długo osłaniał płomień w zapalniczce od wiatru, zanim udało mu się odpalić papierosa. Potem palił, słuchał wycia wichury i rozglądał się. W to miejsce prowadziły ślady biegnące na skos przez pole. Znajdowała się tu mała łączka, po której skraju płynął strumień zarośnięty wodną roślinnością, a dalej zaczynał się dębowy las na małym pagórku, dlatego bagno nigdy go nie pochłonęło. W ostatnich trzech miesiącach Wiktorski bywał w tym miejscu już kilka razy. Pamiętał, że za pierwszym razem zaintrygował go fragment trawy, zaraz przy zwalonym pniu drzewa, przy strumieniu. Wydawało mu się, że darń jest naruszona, jakby ktoś tu kopał. Żałował, że wtedy tego nie sprawdził. No tak, ale wtedy nie majaczyły mu w głowie takie podejrzenia. Wyrzucił papierosa, mocniej ujął szpadel i wbił go w ziemię.

Izabela Bernatowicz uznała, że nadszedł ten dzień. Od momentu, kiedy zabiła męża, wchodziła do jego gabinetu tylko, żeby poodkurzać i wytrzeć kurze. Nie zaglądała do jego rzeczy osobistych, jakby bała się tego, co może tam znaleźć. Ale tak naprawdę się nie bała. Teraz już niczego się nie bała. Nawet gdyby były tam dowody jego zrad, nie ruszałoby jej to. Zostawiła

jego gabinet nietknięty bardziej ze względu na policję. Oni tam zaglądali w jej obecności, ale skupili się na szufladach i szafkach. Nikt do niej dzisiaj nie zatelefonował, szwagrowie nie przyszli, więc mogła nareszcie w spokoju buszować po królestwie Jakuba.

Metodycznie przetrząsała książki, wysypywała zawartość szuflad, zaglądała do szafek, przeglądała papiery. Już po godzinie uznała, że doskonale się maskował. Nie znalazła nic, co mogłoby go postawić w złym świetle i już miała zrezygnować, gdy nagle zwróciła na coś uwagę. Nie chodziło o zawartość szuflad, ale bardziej o to, że było z nimi coś nie tak. Jeszcze raz usiadła przy biurku i zaczęła je kolejno odsuwać. Po chwili zrozumiała. Trzecia z czterech była płytsza od innych. Zaciekawiona wyciągnęła ją i znalazła skrytkę. Szuflada miała fałszywą tylną ściankę. W wolnej przestrzeni mąż Izy trzymał dwie grube koperty.

Zaintrygowana zajrzała do pierwszej i aż gwizdnęła. Gruby plik banknotów po sto euro, spięty gumką. Co najmniej kilka tysięcy w gotówce. „Szykowałeś się na ciężkie czasy” – pomyślała z drwiną. „Nie dożyłeś ich, skarbie”.

Drugą kopertę otworzyła tak niefortunnie, że zawartość wysypała się na podłogę. Zamarła na długą chwilę z otwartymi ustami. Wreszcie jej wargi się poruszyły. Dopiero po kilku próbach zdołała wyartykułować przekleństwo:

– Kurwa mać!

Komisarz Wiktorski stał oparty o szpadel i czuł, jak drżą mu dłonie. Wreszcie wyprostował obolałe plecy, sięgnął po papierosy i zapalił jednego. Patrzył na dno wykopanej przez siebie dziury w ziemi i czuł nieprzyjemny dreszcz na plecach. Z wolna uspokajał oddech i wreszcie zaczął rozsądnie myśleć.

Podniósł głowę i spojrzał w niespokojnie falujące korony drzew, z których ciągle sypały się drobne gałęzie. Po co on tu w ogóle przyszedł? Ryzykował zdrowiem i życiem w pogoni za swoimi podejrzeniami spowodowanymi jedynie przeczuciem. Westchnął i wrzucił niedopałek do pustego

dołu, który wykopał przez ostatnią godzinę. No cóż, przeczucia czasem wprowadzają w błąd. Splunął i zaczął zakopywać dziurę w ziemi. Po kilkunastu minutach wracał do samochodu tą samą drogą, która wyjątkowo mu się dłużyła. Rozsądek podpowiadał mu, żeby nie zajmować się więcej tą sprawą, jednak ciągle czuł dyskomfort. Coś przez cały czas mu się nie zgadzało i nie byłby sobą, gdyby nie spróbował się dowiedzieć co.

Izabela Bernatowicz siedziała w fotelu, piła wino i ścisnęła w dłoni kilkanaście kartoników. To były dowody osobiste nieznanych jej kobiet. Odstawiła kieliszek z winem i jeszcze raz zaczęła je przeglądać. Nic mądrego nie przychodziło jej do głowy. Nie miała pojęcia, skąd się tu wzięły. Wciąż była zaskoczona i coraz bardziej zaniepokojona. Czy to były kochanki Jakuba? Być może, ale nawet jeśli to były jego kochanki, dlaczego zabierał im dowody osobiste? Może to były pacjentki kliniki? Też tak mogło być, lecz po co przywoził ich dokumenty do domu i chował w skrytce w szufladzie? No i dlaczego nikt się nimi nie interesował? Odkrycie było tak niespodziewane i oszałamiające, że ciągle jeszcze nie mogła dojść do siebie. Gdzieś w środku dręczył ją niepokój, a gardło zaciskało się ze strachu.

Pierwszy dokument, pierwsze zdjęcie, pierwsze imię i nazwisko. Brunetka, długie włosy spadające na ramiona. Miała bardzo ładne, pełne usta i inteligentne spojrzenie. Kamila Jabłońska. Nic jej nie mówiło to nazwisko. Zerknęła na rewers dokumentu, był ważny jeszcze przez kilka lat. W takim razie dlaczego tu się znalazł? Następny dokument. Znowu kobieta z ciemnymi, dłuższymi włosami, kształtnymi ustami i zadziornym spojrzeniem. Julia Ornatowska. Kolejny dowód osobisty należał do Beaty Jaworskiej. Znowu ładna brunetka z długimi, prostymi włosami i lekkim uśmiechem. I kolejna, i kolejna.

Rozłożyła dowody osobiste na stoliku, przesuwając kieliszek, i przyjrzała się twarzom. Wszystkie były do siebie w jakiś sposób podobne. Kobiety o długich, ciemnych włosach, bystrym spojrzeniu, mniej więcej w tym samym wieku, między 25 a 35 lat. Co to znaczyło? Izabela Bernatowicz zrozumiała, że oto właśnie wyciągnęła na światło dzienne największą tajemnicę

jej męża. Tylko co to była za tajemnica? Chciała zachować zdrowy rozsądek, lecz wyobraźnia już podpowiadała jej ciąg złych obrazów, a ona nie mogła nad nimi zapanować.

– Nie! – powiedziała nagle głośno i myśli znieruchomiały. – Musi być inne wytłumaczenie.

Może i było, lecz ona nie potrafiła sobie go na razie wyobrazić.

9.

Wydział Kryminalny Komendy Wojewódzkiej we Wrocławiu miał od niedawna szefa z wielkimi *cojones*. Po wielu latach, przez które na stanowisko naczelnika powoływani byli ludzie, którzy kompletnie się do tego nie nadawali, bo albo nie potrafili walnąć pięścią w stół i postawić na swoim, albo walili tą pięścią za mocno i prowokowali konflikty. Zakrzewski sam często wspominał sytuację, kiedy około dwóch lat wcześniej omal nie pobił jednego ze swoich szefów, komisarza Dobrowolskiego. Skończyło się na zapasach pod biurkiem, ale tylko dlatego, że Marcin miał wtedy lewą rękę w gipsie i złamany palec w prawej. Gdyby był sprawny, dla Dobrowolskiego skończyłoby się to dużo gorzej. Oczywiście został wtedy zawieszony, było postępowanie, ale nieoczekiwanie zyskał mocnych protektorów, zarówno w Komendzie Głównej w Warszawie, jak i w Prokuraturze Krajowej. Śledztwo w sprawie obrazów malowanych ludzką krwią i grupy, która od lat organizowała polowania na ludzi, miało o wiele większą wagę niż jego nie-subordynacja. Sprawa została szybko zatuszowana i to nie on, tylko komisarz Dobrowolski niespodziewanie został młodym mundurowym emerytem. Pewnie sam był tym zaskoczony, ale Zakrzewski zarówno wtedy, jak i później miał w dupie jego ambicje i złamaną karierę. Najważniejsze było, że tamta sprawa została doprowadzona do końca, a winni zostali ukarani, co do końca nie było takie pewne. Mieli wtedy naprawdę dużo szczęścia. Ale jak to mówią komentatorzy sportowi, szczęście sprzyja lepszym.

Po Dobrowolskim przez stanowisko naczelnika przewinęło się jeszcze dwóch nieciekawych i zgorzkniałych, starych policjantów, którzy w nowym gabinecie nie zdążyli nawet porządnie zagrzać tyłkiem krzesła, a już przechodzili do historii i raczej nikt ich nie będzie wspominał na akademiach z okazji Dnia Policjanta. I nagle, około roku temu, kiedy ta cholerna chińska pandemia koronawirusa rozpętała się na dobre, zjawił się człowiek

znikąd. Podinspektor Grzegorz Łapicki przeniesiony z Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu. Spadochroniarz bez żadnych znajomości, nieuwikłany we wrocławskie układy, idealny człowiek na to stanowisko. Jedną z jego pierwszych decyzji było wyjście na wódkę z kilkoma starszymi śledczymi. Pili w barze Pod Torami na Bogusławskiego, gdzie policjanci z ich wydziału leczyli stresy i ładowali akumulatory na przyszłość. Nie wiadomo, jak to się stało, ale nowy naczelnik zalecił napięte stosunki między swoimi nowymi ludźmi. Nawet komisarz Norbert Góra, z którym Zakrzewski nie utrzymywał żadnych stosunków poza niezbędnymi, służbowymi w wersji ultra soft, przestał się na niego boczyć i znowu rozmawiali normalnie, bez przeszkadzającej im dotąd nieskrywanej niechęci. Może na zmianę zachowania Góry wpłynął awans, na który tak bardzo czekał. Kiedy zrównali się w stopniu nadkomisarza, wszystko inne powoli zaczęło odchodzić w niepamięć, nawet rękoczyn, do jakich między nimi doszło po pewnej imprezie przed wspomnianym już wcześniej barem.

W ciągu kilku pierwszych tygodni pod nowym dowództwem okazało się także, że można lepiej gospodarować zasobami ludzkimi, jest szybciej, skuteczniej i lepiej. Bardziej zaczęły się liczyć efekty niż statystyki, co bardzo Zakrzewskiemu odpowiadało.

Tego ranka nadkomisarz szedł wolnym krokiem z kubkiem kawy w dłoni i zamyślony nie zwracał na nic uwagi. Nie zauważył szefa wychodzącego z toalety. Podniósł wzrok dopiero, kiedy ten zaszedł mu drogę. Marcin był wysoki, ale Łapicki przewyższał go jeszcze prawie o głowę, a jego klatką piersiową i bicepsami nie pogardziłby goryl walczący o przywództwo w stadzie. Marcin pomyślał, że z nim nie poszłoby mu tak łatwo jak z Dobrowolskim, gdyby doszło między nimi do szamotaniny.

– Potrzebuję zamienić z tobą dwa słowa – rzucił szef i już zaczął oddalać się w kierunku swojego gabinetu.

– Idę na naradę – zaprotestował Marcin. – Jestem spóźniony!

– Poczekają na ciebie.

Zakrzewski niechętnie powlókł się za Łapickim. Doświadczenie podpowiadało mu, że taka sielanka w wydziale kryminalnym nie może trwać

w nieskończoność i być może właśnie za chwilę coś się spieprzy. Na szczęście tym razem doświadczenie było w błędzie.

Kiedy usiadł po przeciwnej stronie biurka, podinspektor Łapicki potarł dłonią łysą czaszkę i popatrzył mu prosto w oczy.

– W sumie mam dobre wiadomości – zaczął, jakby wcześniej odgadł, o czym Marcin właśnie rozmyślał. – Wiem, że od dawna mamy wakaty, ale nie chciałem przyjmować pierwszego lepszego. Do tej roboty trzeba się nadawać i nie ma tu miejsca dla młodych, niedoświadczonych i takich, co to się naoglądali seriali o genialnych śledczych z Nowego Jorku.

– J-jasne – mruknął Marcin, pociągając łyk kawy.

– Denerwujesz mnie z tym swoim „j-jasne”.

– Nie tylko ciebie. – Zakrzewski wzruszył ramionami, jakby go to w ogóle nie obchodziło.

– Mamy nowego człowieka w zespole. Przydzieliłem go do ciebie, żeby pomógł w sprawie tego żołnierza – ciągnął Grzegorz. – Przeniósł się tu z Zielonej Góry, ponieważ parę lat temu już tu pracował. Nawet z tobą.

Zakrzewski omal nie zakrztusił się kawą. Spojrzał na szefa, a potem gorączkowo zaczął przeszukiwać pamięć. Zawsze był samotnikiem, nie nadawał się do pracy nawet w parze, na palcach jednej ręki można było policzyć policjantów, którzy z nim wytrzymali dłużej. Teraz starał się ich sobie przypomnieć. Zaczynał ze Stefanem Sroką, wywodzącym się jeszcze z MO. Z nim pracował wiele lat, aż do jego emerytury. Potem była Paulina Czerny i zaraz po niej, aż do teraz, Karina Buczko. Żeby ich wszystkich policzyć, nie trzeba było nawet pięciu palców. Drwał bez dwóch też by sobie poradził. Przez chwilę jeszcze kierował zespołem śledczych, ale do tego też się nie nadawał i skończyło się tragedią. Dwa, trzy razy w roku odwiedzał grób Ilony Marzec na wrocławskich Osobowicach. Te wspomnienia sprawiły, że spochmurniał. Rzadko wspominał tamte chwile, ponieważ ciągle paraliżowała go trauma. Pewnych tragedii nie da się szybko przepracować. Do tego potrzeba czasu – i nie tygodni ani miesięcy, tylko wielu lat.

– Kto to jest?

– Poznasz go na naradzie, już tam czeka.

Unik Łapickiego tylko go zdenerwował. Wstał i spojrzał na szefa pytająco.

– Mogę już iść?

– Tak.

Marcin wyszedł, a podinspektor Grzegorz Łapicki jeszcze długo wpatrywał się w zamknięte drzwi, zagryzając wargi i kręcąc głową.

Zakrzewski szedł korytarzem, znowu nie zwracając uwagi na mijających go kolegów. Z kim jeszcze pracował? Nagle poczuł dziwny niepokój. Była jeszcze jedna osoba, lecz z niewiadomych przyczyn on ją już dawno wyrzucił z pamięci i nigdy o niej nie myślał.

Zatrzymał się na chwilę, a potem pchnął drzwi do salki konferencyjnej. Rozmowy umilkły, kilka osób przy stole spojrzało na niego ciekawie. Prokurator Marek Grabski, parę lat temu zesłany przez nowego Prokuratora Generalnego na prowincję, niedawno wrócił na takie samo stanowisko, jakie zajmował przed przeniesieniem. To była najlepsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć prokuraturze i Zakrzewskiemu. Byli przyjaciółmi od lat i wyjątkowo dobrze im się współpracowało. Właściwie wszystkie problemy Marcina zaczęły się, kiedy Grabskiego nie było we Wrocławiu.

Ekscentryczna szefowa techników uśmiechnęła się do niego szeroko. Miała chyba jeszcze bardziej niebieskie włosy, niż kiedy ją poznał, i jeszcze więcej kolczyków w uszach, nosie i brwiach, chociaż to wydawało się niemożliwe. Na jej ciele pojawiało się też coraz więcej tatuaży. No i coraz głośniej było o jej związku z prokuratorem Ireneuszem Palecznym. Marcin nie komentował tych plotek. Dlaczego ludzie po przejściach nie mieliby ułożyć sobie wreszcie życia? On sam był tego najlepszym przykładem.

W spojrzeniu Kariny Buczko dostrzegł niepokój i coś na kształt ostrzeżenia. Znali się na tyle dobrze, że nie mógł tego zlekceważyć.

Obok niej siedział nowy śledczy w wydziale kryminalnym. W pierwszej chwili Zakrzewski go nie poznał. Przez głowę przeleciała mu nawet myśl, że Łapicki się mylił. On nigdy nie pracował z tym facetem. Poznał go do-

piero po dłuższej chwili. Bo trudno go było poznać. Nosił teraz dłuższe, za-farbowane na czarno włosy, starannie przystrzyżoną czarną brodę, ubrany był w skórzaną kurtkę, džinsy i kowbojki. Był szczupły i zniknęły gdzieś czerwone plamy, które w różnych odcieniach pojawiały mu się na policzkach w zależności od sytuacji. Teraz był blady i jego twarz wyrażała niewiele uczuć.

– Cześć, Parol – powiedział cicho Marcin.

Pozostali obecni na spotkaniu obserwowali ich w napięciu. Gdyby w ostatnich minutach meczu o mistrzostwo Europy Lewandowski przygotowywał się do wykonania decydującego o wszystkim karnego, pewnie wyglądaliby podobnie. Marcin poczuł nagle falę wyrzutów sumienia. Kiedy Parol Szawczak został ranny, on był za bardzo pochłonięty śledztwem i nie miał nawet czasu odwiedzić go w szpitalu. Był raz i wtedy poznał jego siostrę. Zapomniał o koledze, kiedy dowiedział się, że siostra wywiozła go na rehabilitację do Niemiec, i chyba nigdy już o nim nie myślał. Teraz przeklinał swoje zaskoczenie.

Starszy aspirant Szawczak skinął mu tylko głową. Jego usta się poruszyły, lecz słowo powitania utknęło w gardle. Teraz dopiero Marcin zauważył, że długimi włosami przykrywa bliznę na skroni, która deformowała mu trochę kształt oka. Chirurg plastyczny musiał być fachowcem, skoro potrafił tak zamaskować skazę, że nie było jej widać od razu. Zakrzewski pamiętał, jak to wyglądało, kiedy Szawczak leżał zakrwawiony na podłodze swojego mieszkania. Teraz Parol siedział po drugiej stronie stołu, mierzył go nieruchomym spojrzeniem, które ciężko było nazwać sympatycznym. Patrzył raczej jak bokser na swojego rywala na kilka sekund przed gongiem rozpoczynającym pierwszą rundę. Taka postawa nie zapowiadała bezkonfliktowej współpracy.

Marcin usiadł i starał się skupić na czymś innym. Mimo to ciągle zerkał na Parola.

– Jesteśmy w czarnej dupie – oznajmiła Marta Mickiewicz, na co Karina tylko uśmiechnęła się pod nosem.

– Może przejdźmy do konkretów – powiedział prokurator Grabski, zerkając nerwowo na zegarek.

Tylko Zakrzewski i Szawczak nie zareagowali, jakby nie usłyszeli słów szefowej techników.

– Nasz technik zhakował telefon Jerzego Madejskiego i mamy niezły pasztet. – Rozdała wszystkim kartki z wydrukowanymi wiadomościami tekstowymi, a na środku położyła fotografię.

Twarz ładnej kobiety pokrywały sińce i zakrzepła krew, szyję okalały sine wybroczyny, półprzymknięte oczy świadczyły o tym, że w chwili robienia fotografii była już martwa.

Marcin w jednej chwili zapomniał o wszystkim. Przeczytał treść wiadomości z telefonu Madejskiego i głośno westchnął. Zawsze wydawało mu się, że w pracy policjanta widział już wszystko, i nie lubił tych chwil, gdy musiał stwierdzić, że jest inaczej.

– Czyli Jerzy Madejski też był ofiarą – stwierdziła bardziej, niż zapytała Karina.

– Tak – przyznała beznamiętnie Marta. – Moim zdaniem przebieg zdarzeń był następujący: kilka dni po ich powrocie do kraju ktoś porwał narzeczoną Madejskiego, Klaudię Kanię. Madejski tego nie zgłosił, ponieważ dostał pierwszą wiadomość. Ktoś pod pseudonimem Nexus powiadomił go, że ma Klaudię i zabije ją, jeśli Madejski zawiadomi policję. On się zgodził i czekał na dalsze instrukcje. Nexus napisał, że uwolni dziewczynę w zamian za przysługę. W ciągu kilkudziesięciu godzin miał powiadomić Madejskiego, co ma zrobić.

– Ale wtedy wszystko zaczęło się psuć – wtrącił Grabski.

– Kto nas powiadomił o zaginięciu tej Kani? – zapytał nagle Szawczak.

Marcin zerknął na niego. Co się stało z tym człowiekiem po wyjściu ze szpitala? Miał inny głos, w którym pobrzmiwały nuty pewności siebie, której Parol wcześniej nie miał za wiele.

– Zaginięcie córki zgłosiła matka – odpowiedział, nie patrząc na niego.

– I dlatego zrobił się problem – ciągnęła Marta. – Następnego dnia Nexus się o tym dowiedział. Być może nawet z naszej strony lub z innych portali, gdzie udostępniane są dane osób zaginionych, i zerwał umowę.

Marcin znalazł odpowiednią wiadomość.

Nexus: „Zawiodłeś mnie, przyjacielu. Nie dotrzymałeś umowy. Ja swoich umów dotrzymuję”. Madejski: „To nie ja zgłosiłem zaginięcie. Nic o tym nie wiedziałem. To nieporozumienie!”. Kiedy przez kilka godzin nie było odpowiedzi, Madejski napisał jeszcze: „Odezwij się, pogadajmy”.

Odpowiedź przyszła dopiero po osiemnastu godzinach.

Nexus: „Czekaj, zastanowię się”.

Marcin wyobrażał sobie, co przez ten czas musiało dziać się w głowie Madejskiego. Tym bardziej, że w tym czasie przeszukiwała go policja, a on z niczym się nie zdradził. Zakrzewski z nim rozmawiał i facet zrobił na nim dobre wrażenie. Był zatroskany i przestraszony. Z drugiej strony mówił przecież prawdę. Nie wiedział, gdzie jest jego narzeczona. Tylko że wtedy już wymienił z porywaczem te esemesy i znajdował się w stanie najwyższego napięcia.

Co sprawiło, że Marcin wskazał jego jako głównego podejrzanego? Po kilku godzinach od przesłuchania, kiedy obejrzał jeszcze raz nagranie wideo z tej rozmowy, zdał sobie sprawę, że Madejski gra i nie jest z nim szczery. To były ledwo dostrzegalne niuanse, które potrafił wychwycić nos i doświadczenie starego psa gończego. A może jednak nie chciałby wiedzieć, co siedziało ekszołnierzowi w głowie? Nie wytrzymał, kiedy przyszli do niego policjanci. Poturbował ich i uciekł.

– Potem porywacz wysłał Madejskiemu współrzędne tej chatki w lesie – kontynuowała Marta. – Kazał mu tam czekać na decyzję. „Czekaj, odezwę się” – to była przedostatnia wiadomość, jaka przyszła na telefon Madejskiego od osoby kryjącej się pod pseudonimem Nexus. Na telefonie Madejskiego jest jedno połączenie z nieznanym numerem, na dwie godziny przed tym, zanim oddział wkroczył do akcji. Rozmawiali jedną minutę i pięćdziesiąt osiem sekund. Numer na kartę, zarejestrowany w Rumunii, na tę

chwile już nieaktywny. Esemesy były wysyłane z komputera, Nexus wykorzystywał serwery w Singapurze. Nie do namierzenia.

W pomieszczeniu atmosfera nagle zgęstniała, nawet drobinki kurzu w promieniach słońca przebijającego się od czasu do czasu przez pędzone wichurą chmury i wpadającego do środka przez przybrudzone szyby od strony Podwała, krążyły jakby wolniej. O czym rozmawiali, jeśli oczywiście był to telefon od porywacza? Zakrzewski odniósł dziwne wrażenie, że nigdy się tego tak do końca nie dowiedzą. W zielonych oczach Kariny, która patrzyła na niego smutno, też zauważył tę wątpliwość. Było w nich coś jeszcze. Może rozczarowanie, że wzmianka o Nexusie nie odnosiła się jednak do sceny z filmu, tylko miała zupełnie inny wydźwięk. A może była to jednak ulga, że tak nie było.

– No i ostatnia wiadomość – powiedziała szefowa techników, jakby trochę ciszej. – To był MMS z tym zdjęciem. To jest bez wątpienia Klaudia Kania. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Dołączyłem ją do moich lilii, bo i tak tego nie zrobisz, a ja dotrzymuję słowa”. Spójrzcie na godzinę wysłania.

Wszyscy popatrzyli na nią pytająco, a tylko Karina od razu zrozumiała, co chciała im pokazać.

– Zdjęcie wysłane godzinę po tym, jak Madejski się powiesił – wyjaśniła. – Miał telefon w kieszeni kurtki.

– Kurwa mać – jęknął Zakrzewski i podrapał się nerwowo po policzku.

– Dość pokręcone – ocenił Szawczak, a na jego twarzy wciąż gościła maska bez wyrazu.

Może tak naprawdę nie była to taka zupełna obojętność i ostentacyjna demonstracja braku empatii, tylko konsekwencje neurologiczne urazu mózgu, którego wtedy doznał. Marcin chciał w to wierzyć, ponieważ Parol zaczynał działać mu na nerwy. Potrzebował wsparcia w śledztwie, które zapowiadało się nieciekawie, a nie totalnego skiszenia atmosfery w zespole.

Ciszę przerwała Karina.

– Nie ma jeszcze raportu z sekcji kobiet znalezionych w chacie, ale rozmawiałam nieoficjalnie z doktorem Musiałem. Były zgwałcone i mocno po-

bite, a potem uduszone. Miały takie same ślady wybroczyn na szyi jak Klaudia Kania na tym zdjęciu. Czyli mamy na terenie mordercę kobiet. Być może to nie są wszystkie jego ofiary. Na razie udało nam się zidentyfikować po ubiorze jedną z nich. – Położyła na stole kolejne zdjęcie. – To jest Sonia Majchrzak. Zaginęła w połowie grudnia zeszłego roku.

Karina poczekała, aż przyjrzą się fotografii, i kontynuowała.

– Można jednak już postawić tezę, że wszystkie trzy... – zająknęła się – cztery są do siebie uderzająco podobne. Długie ciemne włosy, bardzo ładne, mniej więcej w tym samym wieku, szczupłe. To może być schemat, którym kieruje się sprawca, wybierając potencjalne ofiary, ale nie możemy tego jeszcze na sto procent potwierdzić. Pracujemy nad identyfikacją pozostałych kobiet.

– Czyli wszystkie nasze wczorajsze hipotezy możemy wyrzucić do śmieci – podsumował prokurator Grabski. – Zaczynamy od zera.

– J-jasne. – Zakrzewski mruknął zamyślony. – To gruba sprawa. Potrzebujemy więcej ludzi. Pójdę porozmawiać z Łapickim, za godzinę chciałbym ściągnąć wszystkich aktualnie dostępnych śledczych w wydziale.

Narada nowo utworzonej grupy śledczej zaczęła się dwie godziny później. Udało się ściągnąć do firmy wyjątkowo dużo śledczych i przynajmniej skład osobowy wyglądał nieźle. Gorzej było z dotychczasowymi ustaleniami.

Łapicki chciał, żeby kierującym grupą został Marcin, ale ten pomysł natknął opór nawet samego zainteresowanego. Karina wzięła szefa na stronę i wyjaśniła mu, że Zakrzewski się do tego nie nadaje i jeśli nie chce mieć stanu permanentnego konfliktu w zespole, lepiej, żeby dowódcą został ktoś inny.

Marcin sam zaproponował kandydaturę nadkomisarza Norberta Góry, który sprawdzał się w tym najlepiej. Nieoczekiwanie jego poparcie jeszcze bardziej skruszyło lody między nim a Górą. Nagle okazało się, że Norbert nie żywi urazy już za nic i mogą normalnie funkcjonować. Oczywiście Marcinowi i Karinie dał wolną rękę. Wiedział, że Zakrzewski będzie i tak

działał po swojemu, bo to mu najlepiej wychodzi. Po kwestiach organizacyjnych zaczęła się prawdziwa narada.

Marcin na przemian z Kariną przedstawił fakty i dotychczasowe ustalenia. Myny śledczych rzedły z każdym wypowiedzianym przez nich zdaniem, atmosfera się zagęszczała, robiło się duszno, ktoś zaczął kaszleć, inny otworzył okno i do środka wpadło rześkie powietrze. Pomysłów nie było wiele, więc jedynie rozdzielili zadania. Kilka osób miało rozpytać znajomych Soni Majchrzak o jej życie tuż przed zaginięciem oraz jeszcze raz przyjrzeć się samemu zaginięciu. Aspirant Szawczak jako nowy w wydziale dostał mało ambitne zajęcie. Miał przejrzeć policyjne kartoteki i wyselekcjonować morderstwa z przeszłości podobne do obecnych, ustalić, co teraz robią sprawcy, i sprawdzić, kto z przestępców seksualnych w ostatnich latach wyszedł na wolność. Ktoś miał przejrzeć kartotekę zaginionych kobiet i wyselekcjonować potencjalne inne ofiary. Schemat był chyba znany, ofiary były do siebie podobne. Prokurator Grabski miał uruchomić swoje kontakty w wojsku, żeby uzyskać możliwość rozpytania wśród żołnierzy służących z Madejskim i jego dowódców.

Sobie Góra przydzielił zadanie ustalenia, co – godzina po godzinie – robił Madejski, zanim trafił do chaty w lesie. Zakrzewski dla siebie wymyślił zadanie odwiedzenia mieszkania Madejskiego i jego dziewczyny oraz rozejrzenia się w ich rzeczach. Miał tam z Kariną pojechać niezwłocznie po zakończeniu spotkania, ale najpierw zaszli jeszcze do swojego pokoju na kawę. Kofeina była mu potrzebna bardziej niż zwykle. Odkąd przestał popalać, pił jeszcze więcej kawy, choć to wydawało się dotąd niemożliwe. Nadmiar kawy źle wpływał mu na żołądek i skutek był odwrotny – zamiast pobudzenia było cierpienie z powodu kwasów w żołądku. Ale to nie było takie najgorsze i zgodne z życiową filozofią nadkomisarza: żeby iść do przodu, trzeba cierpieć.

Kilka tygodni temu przenieśli się z Kariną do trzyosobowego pokoju, lecz jak dotąd to dodatkowe biurko stało puste. Teraz zainstalował się przy nim Szawczak, chociaż nie przyniósł jeszcze żadnych osobistych rzeczy.

Nie miał nawet swojego kubka, ale teraz nie pił kawy, więc nie trzeba było organizować niczego na szybko.

Karina patrzyła w zamyśleniu na Marcina. Znowu zadziałała niepisana zasada: wątpliwości i hipotezy trzeba wypowiedzieć na głos.

– Zwykle postępowanie sprawcy jest jednorodne. Ma schemat działania, jakiś pokręcony motyw. Tutaj zachowuje się jak z rozdwojeniem jaźni. Trzy zabójstwa ewidentnie popełnione są na tle seksualnym i nagle wszystko się zmienia. Porywa Kanię i zaczyna z Madejskim jakąś przedziwną grę. Jakby ich było dwóch.

– Też o tym myślałem – zgodził się Zakrzewski. – Ale to za proste.

– Niech cię szlag trafi z tym twoim brakiem zaufania do prostych rozwiązań – warknęła Karina. – To chyba nie jest proste rozwiązanie?

– Może nie. – Zakrzewski napił się kawy i spojrzał w jej stronę. – Sprawca chce nas zmylić.

– Niby jak? – odezwał się po raz pierwszy Parol.

Zabrzmiał szorstko, co tylko upewniło Marcina, że z nim nie będzie łątwo.

– Tak naprawdę to miała być zemsta na Madejskim – powiedział.

Milczeli, więc kontynuował.

– Sprawca chciał się zemścić na Madejskim – powtórzył. – I ta zemsta miała być wyjątkowo makabryczna. Dlatego wcześniej zabił trzy kobiety, przetrzymywał gdzieś ich zwłoki i czekał, aż Madejski z dziewczyną wrócić do kraju.

– Musiałyby wiedzieć, że Madejski chce w ogóle wrócić – wtrącił sceptycznie Szawczak.

– Bo wiedział. To osoba z kręgu dawnych lub nawet obecnych znajomych Madejskiego. Może bardzo bliska. Wszystkie ofiary są podobne do Klaudii Kani, Madejski został przez sprawcę ściągnięty na miejsce, gdzie leżały zwłoki kobiet. To miała być dla niego dodatkowa kara.

– Ale czego od niego żądał sprawca? – zapytała Karina.

– Może właśnie tego, co Jerzy Madejski zrobił, kiedy zjawiliśmy się na miejscu?

Kobieta przez chwilę trawiła jego słowa, Parol przyglądał się im bez żadnego grymasu na twarzy. Jakby był myślami kilometr obok, za grubą betonową ścianą.

– Żeby popełnił samobójstwo? To by była okrutna zemsta. Miał poświęcić swoje życie, żeby ocalić narzeczoną. Bez żadnych gwarancji? – Karina kręciła głową, jakby nie mogła w to uwierzyć. – Nieprawdopodobne.

– Ale bardzo dobrze tłumaczy to, co się stało. – Marcin energicznie postawił kubek na biurku.

– To dlaczego mordercy zemsta się nie udała? – rzucił nagle Parol.

– Jak to się nie udała? – nie zrozumiała Karina.

– Przecież morderca napisał, że nie wierzy w samobójstwo Madejskiego, i zabił Klaudię Kanię. Czyli się nie udała. Morderca opracował tak wyrafinowany i brutalny plan zemsty, a na końcu wszystko się posypało.

– Wprost przeciwnie – wpadł mu w słowo Marcin. – Udało się podwójnie. Mieli zginąć oboje i tak też się stało. Sprawca narzucił Madejskiemu grę, w której on nie mógł wygrać. Ta wiadomość MMS miała być dodatkowym bodźcem dla naszego żołnierza. „Jeśli nie zdecydowałeś się wcześniej, to popatrz, co się przez ciebie stało. Twoja Klaudia nie żyje. Może zrobisz to teraz?”

– Bzdura! – warknął Szawczak. – Gdyby się dowiedział, że jego narzeczoną nie żyje, nie zabiłby się, tylko poprzysiągł zemstę sprawcy. Wyciągnąłby go choćby spod ziemi i zabił bez żadnych skrupułów. Przecież to był twardek, żołnierz jednostek specjalnych.

– Może tak, może nie. A jeśli sprawca wiedział o Madejskim więcej, niż my teraz wiemy? Może znał jego słabe strony albo jakieś tajemnice z przeszłości, o których nie mamy pojęcia. Nie zapominaj, że skazał go na dwa dni zamknięcia ze zwłokami w stanie rozkładu. Wielu ludzi zwariowałoby po takim przeżyciu. Musimy znaleźć kolegów Madejskiego z oddziału i jego dowódców. Może oni znają klucz do rozwiązania tej zagadki.

– Powinniśmy powiedzieć o tym Norbertowi – rzuciła Karina.

– Jeszcze nie. – Marcin pokręcił głową. – Zobaczymy, jak daleko zdoła się przebić w wojsku Grabski. To delikatny temat i nie chciałbym na razie, żeby wypłynął poza ten pokój. No, chyba że Góra na to wpadnie.

Kariny był pewien, ale Szawczaka już zdecydowanie mniej. Starał się więc spojrzeć mu w oczy. Nie udało się. Wzrok Parola przesunął się po suficie nad jego głową.

– Szawczak?

Teraz dopiero starszy aspirant spojrział na niego.

– Nie ma sprawy, ale chcę pojechać z tobą do mieszkania Madejskiego – powiedział nieoczekiwanie.

Marcin się skrzywił. Nie lubił być stawiany pod ścianą, nie cierpiał, jak ktoś jego kosztem ugrywał coś dla siebie. Spojrział na Karinę. Ona najwidoczniej uznała, że da mu szansę na pogadanie z dawnym kolegą w cztery oczy, bez niepotrzebnych uszu, bo powiedziała:

– Dobra. Zamienimy się. Ja pogrzebię w policyjnych bazach danych, a ty jedź.

10.

Madejski z narzeczoną wynajmowali mieszkanie w okolicach Armii Krajowej. Marcin już raz tam był, kiedy pierwszy raz rozmawiał z byłym żołnierzem. Teraz prowadził auto w sznurze pojazdów ciągnących jak horda ślimaków przez Powstańców Śląskich. Koledzy z drogówki na policyjnej częstotliwości ostrzegali wszystkich funkcjonariuszy na mieście, że w okolicach ronda wiatr złamał gałąź, która spadła na jezdnię i zatarasowała jeden pas. Zaraz zrobił się korek jak cholera. Miał sporo czasu, żeby porozmawiać z Szawczakiem, zanim wreszcie skręcili w lewo, w Wiśniową. Tylko z Parolem nie dało się porozmawiać. Pewnie automat rozwożący potrawy do stolików w nowoczesnej restauracji był bardziej rozmowny.

Mimo to Marcin na początku próbował:

- Kiedy wróciłeś do policji?
- Jakiś czas temu.
- Dlaczego do Zielonej Góry?
- Tak wyszło.
- A kiedy wróciłeś do Wrocławia?
- Niedawno.

Po kilku innych pytaniach i odpowiedziach w tym samym stylu Zakrzewski wreszcie dał sobie spokój. Zacisnął ręce na kierownicy i skupił się na prowadzeniu auta. Z Parolem coś ewidentnie było nie tak. Jakby lekarze w szpitalu naprawili kilka widocznych na pierwszy rzut oka mankamentów, ale za to spieprzyli coś pod czaszką.

Zaparkowali prawie pod samą bramą, w środku wielkiego blokowiska. Potem w milczeniu wjechali windą na siódme piętro. Szawczak nie patrzył na Zakrzewskiego, jakby w kabinie był zupełnie sam. Dopiero przed

drzwiami popatrzył na Marcina wyczekująco. Ten facet był naprawdę jakiś inny.

– Czego szukamy? – Parol odezwał się niepytany po raz pierwszy od kilkunastu minut, dlatego nie od razu usłyszał odpowiedź.

Marcin stał w przedpokoju i wciągnął w płuca zapach niewietrzonego od kilku dni mieszkania. Niby jeszcze nic nieprzyjemnego, ale już czuć było zaduch i coś jeszcze innego. Dzień wcześniej policja przeszukała mieszkanie, bez rezultatów. Zakrzewski nawet miał pretensje do Grabskiego, że podpisał nakaz. Mundurowi wpadli tu i rozpieprzyli wszystko jak spłoszone stado bawołów. Nie szukali ukrytych narkotyków, broni albo materiałów wybuchowych, a pozostawili po sobie burdel. Po całym mieszkaniu walały się ubrania, książki, papiery i inne drobiazgi. Tu trzeba było zachować zdrowy rozsądek, postępować ostrożnie, żeby nie zdeptać albo nie zniszczyć niczego istotnego. Teraz już było co najmniej za późno. Spojrzał niechętnie na Szawczaka.

– Pamiętasz, co ci kiedyś mówiłem o przeszukaniach?

– Tak.

Przynajmniej tyle.

– To masz tak zrobić.

Szawczak bez słowa zniknął w pokoju, który pełnił rolę salonu. Marcin, chcąc nie chcąc, zaglądnął do innych pomieszczeń.

Minęła godzina ciszy przerywanej tylko odgłosem kroków, szelestem kartek, szuraniem przesuwanych po podłodze krzeseł. Mniej więcej po tym czasie Marcin doszedł do wniosku, że mieszkanie nie kryje w sobie niczego, co mogłoby pchnąć sprawę do przodu. Co prawda w sypialni znalazł trochę zdjęć Madejskiego, ale liczba bardzo podobnych do siebie postaci, jaka się na nich przewijała, przyprawiała go o zawrót głowy. Madejski z narzeczoną mieli masę znajomych, bywali na dziesiątkach prywatek, na których, sądząc z ich szerokich uśmiechów i drinków w dłoniach, bawili się wyśmienicie. Nawet gdyby jedna z osób na tych fotografiach była mordercą, jak niby miałby go rozpoznać?

Co ciekawe, nie było żadnych zdjęć Madejskiego w mundurze albo z innymi żołnierzami. To było trochę dziwne, lecz Marcin uznał, że pewnie znajdują się gdzieś w innym miejscu. Będzie musiał do tego wrócić. Przeglądał książki, dokumenty w języku polskim i angielskim, pamiątki z różnych miejsc; obszukał kieszenie marynarek i kurtek w szafach i powoli zaczął tracić cierpliwość. Tym bardziej, że narastała w nim też złość na nowego partnera. Przez ten cały czas nie odezwał się ani słowem, nawet nie zapytał, jak idzie.

Wreszcie Marcin był już tak zirytowany, że poszedł do salonu, gdzie aspirant siedział przy stole i przeglądał jakieś notesy i jeszcze inne albumy ze zdjęciami. Najwidoczniej Madejski z partnerką hołdowali starym zwyczajom i bardziej cenili zdjęcia wywołane na papierze i zgromadzone w albumach niż te w formie elektronicznej.

– Parol, ty masz ze mną jakiś problem? – Nawet nie ukrywał swojego nastroju i pytanie zabrzmiało zaczepnie.

Szawczak milczał przez chwilę, wreszcie zamknął notes i chyba po raz pierwszy, odkąd wyszli z komendy, spojrzął mu w oczy.

– Nie ma już Parola – powiedział nagle twardo. – Parol umarł wtedy, na podłodze w swoim pokoju. Pamiętasz, jak umierał?

Zabrzmiało to tak dziwnie, że Zakrzewski poczuł, jak irytacja przeradza się w złość. Zacisnął tylko szczęki i pięści.

– To kim teraz jesteś?

– Na imię mam Gotard.

Marcin zamilkł na chwilę, próbując wyobrazić sobie, jak zwraca się do Parola jego właściwym imieniem. I nie za bardzo mu wyszło. To było specyficzne imię i wcale się nie dziwił, że Szawczak, a przynajmniej jego poprzednie wcielenie, nienawidził tego imienia. Zresztą w szkole dzieci się z niego śmiały i nadawały mu różne głupie przezwiska. Więc kiedyś Szawczak przestał przedstawiać się z imienia, sam wymyślił sobie ksywkę i od tej pory został Parolem. Naprawdę lekarze coś spieprzyli mu w mózgu. No, może nie lekarze, tylko kula, która przeszła mu przez czaszkę.

– Nieważne – machnął ręką nadkomisarz. – Masz coś do mnie?

Szawczak wstał i odsunął się w stronę okna. Tym razem na jego twarzy pojawiła się złość, chyba pierwsze uczucie, jakie zarejestrował Marcin.

– Wystawiłeś mnie wtedy mordercy – padło nieoczekiwane oskarżenie. – Wszystko o nim wiedziałeś, współpracowałeś z nim, dlatego tak długo nikt go nie mógł złapać. Bo go kryłeś i wystąpiłeś przeciw niemu dopiero, gdy zaatakował twoją rodzinę. Nie mogłeś nic o nim nie wiedzieć, to było tylko takie kłamstwo, które powtarzałeś wszystkim wokół. Zawsze byłeś krok z tyłu? Bzdura, tak właśnie miało być. Zginął w płomieniach? Takie pierdolenie, bo miałaś nadzieję, że się z nim dogadałeś i znowu zniknie. Tylko że jemu już do reszty odwaliło i jednak nie zniknął. Przyszedł wtedy po ciebie, pamiętasz? A może on wcale nie chciał cię zabić?

Marcin patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Słowa Szawczaka nie miały najmniejszego sensu, to był stek bzdur szaleńca owładniętego manią. Zabrzmiały jednak tak sugestywnie, że przez chwilę zastanawiał się, czy on na pewno mówi o tym, co zdarzyło się przed laty. Tylko że wtedy wszystko było na odwrót.

– Co ty pierdolisz, Parol? Wtedy, jak cię postrzelił, ja po prostu się spóźniłem. Tak naprawdę ocaliłem ci życie!

– Życie to mi uratował tamten lekarz, który pojawił się szybko na miejscu. Miałem sporo czasu do namysłu i wiesz, co jest najgorsze? Nie wiem, czym ci się naraziłem. Byłem za dobry? Mogłem przyćmić genialnego śledczego, który zawsze wygrywa, jest najważniejszy i najmądrzejszy? Czuleś się zagrożony? Mogło się okazać, że jednak jest ktoś lepszy od słynnego komisarza Zakrzewskiego? No powiedz, jaka była prawda?

– Tobie naprawdę poprzestawiało się w głowie. – Zakrzewski pokręcił głową z niedowierzaniem. – Jak to możliwe, że jesteś znowu w policji. Jesteś szalony, uratowałem ci życie. A potem jeszcze raz, w szpitalu, zrobiła to Karina. Omal sama wtedy nie zginęła, a ty teraz pierdolisz mi tu jakieś bzdury. Majaczenia chorego umysłu.

Tym razem Szawczak przybliżył się o krok. Miał zaciśnięte pięści i taki wzrok, jakby chciał się na niego rzucić. Marcin odruchowo przygotował się

na ten atak.

– Karinę też wystawiłeś!

– Co?!

– Jakie szanse miała dziewczyna z patrolu w starciu z zawodowym zabójcą? Tylko że Karina okazała się twardsza, niż myślałeś. Nie dała się, uratowała mnie i siebie.

Szawczak dyszał ciężko, jak rozjuszony byk, i patrzył na Marcina z taką wściekłością w oczach, że można było naprawdę się przestraszyć. Zakrzewski jednak się nie przestraszył. Postąpił krok do przodu. Teraz rozdzielał ich tylko stół.

– Oszalałeś – wycedził przez zęby. – Konfabulujesz i widzisz wszystko na opak.

– Zobaczysz, jeszcze prawda wyjdzie na jaw – odwarknął Szawczak.

Z Zakrzewskiego nagle uszło całe powietrze, a złość powoli zaczęła się rozpraszać.

– Wiesz co? Wolę Parola niż Gotarda. Ty naprawdę mogłeś być świetnym gliniarzem. Miałeś nosa, byłeś bystry i miałeś to coś, czego brakuje większości ludzi z naszego wydziału. Chciało ci się, miałeś poczucie sprawiedliwości, dążyłeś do celu, nie bacząc na okoliczności. Nie wiem, co z tego teraz zostało, chyba niewiele. Bardzo żałuję, że tak to wszystko się potoczyło. Nie mogłem wtedy zrobić nic więcej. Nie wierzę, że stałeś się popaprańcem, który opowiada takie bzdury.

Zamilkli na moment, mierząc się wzrokiem. W postawie Szawczaka też coś się zmieniało, tylko nie wiadomo było, do czego ten proces doprowadzi. Marcin złapał się nagle na myśli, czy Szawczak ma przy sobie broń.

– Rzuciłeś na mnie fałszywe oskarżenia i co zamierzasz teraz z tym zrobić? – dokończył. – Złożysz w prokuraturze obciążające mnie zeznania? Sprzedasz temat do prasy? Żebyś się nie przeliczył.

Szawczak milczał, więc Marcin kontynuował.

– A może mnie zabijesz? Sprawiedliwości stanie się zadość! Nareszcie dokonasz tak długo oczekiwanego aktu zemsty, będziesz nareszcie

szczęśliwy i dostaniesz dożywocie w więzieniu o zastrzonym rygorze. Wiesz, jak tam traktują byłych gliniarzy? Naprawdę jesteś gotów zapłacić taką cenę?

– Nie – odpowiedział cicho. – Po prostu udowodnię, który z nas jest lepszy.

Zakrzewski zamilkł, znowu zaskoczony. Po raz kolejny Szawczak zabrzmiał naiwnie i idiotycznie. Albo był aż tak niestabilny, że popadał ze skrajności w skrajność, albo próbował nim manipulować. Jeszcze nie potrafił tego ocenić, lecz obie te rzeczy mu się nie spodobały.

– J-jasne – rzucił w swoim stylu po długiej pauzie. – Znalazłeś coś? Bo chyba czas już wracać.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z mieszkania. Na korytarzu zaczekał kilka sekund, aż Parol opuści lokal. Przekręcił klucz w zamku, nakleił zerwaną taśmę zabezpieczającą drzwi i obaj ruszyli do windy, znowu na siebie nie patrząc. Kiedy ruszyli z parkingu przed blokiem, przypomniał sobie dzisiejszą wizytę u naczelnika wydziału. Wtedy jego doświadczenie zawodowe podpowiadało mu kłopoty. Teraz musiał się z nim przeprosić. To nie były kłopoty, to był problem wielki jak masyw Kilimandżaro.

Przez następne godziny Marcin nie mógł się otrząsnąć po rozmowie z Szawczakiem. Nie bardzo wiedział, jak ma teraz zareagować. To już nie był ten sam człowiek co dawniej. Zmienił się diametralnie. Trudno było sobie nawet wyobrazić tak drastyczną zmianę osobowości. Może naprawdę miało na to wpływ uszkodzenie mózgu i jakiś szok z tym związany. Tylko że nigdy nie słyszał o takim szoku. Myślał nawet, czy nie zatelefonować do chirurga, który wtedy uratował Szawczaka, i nie zapytać, czy takie symptomy mogą ujawnić się po powrocie do zdrowia. Uznał jednak, że sam zaczyna zachowywać się nieracjonalnie i próbuje w jakiś sensowny sposób uzasadniać to, co dzisiaj usłyszał.

To był stek bzdur stworzonych w umyśle paranoika. Jak Szawczak zdołał wrócić do policji? Jak przeszedł testy psychologiczne? I jeszcze jedno: jak ma wyglądać ich wzajemna relacja akurat w momencie, kiedy zaczęli

współpracować przy tak trudnym śledztwie. Ujawnił się wielokrotny morderca, a on dostał za partnera świra, który prawdopodobnie nienawidzi go bardziej, niż mu się to dzisiaj niechcący ułało. Bo Marcin był pewien, że Parol nie powiedział wszystkiego. Wiele zdusił w sobie i było tylko kwestią czasu, kiedy eksploduje jeszcze mocniej. Co powinien w takiej sytuacji zrobić?

– Porozmawiaj z Łapickim – poradziła Karina, patrząc na niego poważnie, kiedy skończył opowiadać, co zaszło w mieszkaniu Madejskiego.

– I co mu powiem? Że Szawczak to świr, którego trzeba wysłać do psychiatry? Przypominam, że został przyjęty z powrotem do policji. Ktoś podpisał mu papiery, ma broń, w stosunku do innych zachowuje się normalnie. Obserwowałem go. Witał się ze starymi znajomymi, on się, cholera, zachowywał zupełnie normalnie. Jak zacznę na niego nadawać, to ja wyjdę na wariata i zadufanego w sobie dupka.

– Cholera, ale nie możemy tego tak zostawić. – Pokręciła głową. – On może ci nabruździć.

– Może być niebezpieczny, nie widziałaś tej nienawiści w jego oczach. Nie wiem, co robić.

Marcin nagle przypomniał sobie pytanie, które przebiegło mu przez głowę, kiedy stali naprzeciw siebie w kuchni Madejskiego. Czy Szawczak ma przy sobie broń? Teraz pojawiło się jeszcze jedno: czy mógłby jej wtedy użyć, gdyby nie powstrzymał swojej złości?

– Chyba po raz pierwszy jestem w takiej sytuacji – mruknął, pocierając dłonią kark.

Zielone oczy Kariny były wyjątkowo poważne. Znała go dobrze, może czasem lepiej niż on sam siebie.

– Udało mu się ciebie przestraszyć? – zapytała i to było celne pytanie.

– Raczej zaskoczyć – nie odpowiedział wprost i zamyślił się.

Jeszcze niedawno zareagowałby inaczej. Teraz miał coś do stracenia. Po raz pierwszy jego prywatne życie było w miarę poukładane, przewidywalne i bezpieczne. Chronił je przed demonami przeszłości. Myślał, że żaden już

się nie ujawni. Nic bardziej mylnego. Los właśnie taki jest. Kopie nas w dupę w momencie, kiedy czujemy się bezpieczni i zaczynamy tracić czujność. Szawczak mógł okazać się kolejnym demonem, który będzie próbował poprzestawiać mu życie.

– Może jednak pójdź do Łapickiego – poradziła policjantka.

– Nie wiem, czy na tyle mu już ufam – odpowiedział po namyśle. – Jest dobrym organizatorem, chodzi z wydziałem do knajpy, ale...

– To za mało, żeby zyskać zaufanie nadkomisarza Zakrzewskiego – dokończyła za niego.

– Coś w tym stylu.

W międzyczasie zaczęły napływać nowe informacje od śledczych. Podsumowano je na kolejnej krótkiej naradzie, odbywającej się na koniec dnia. Zidentyfikowano pozostałe dwa ciała znalezione w leśnej chacie. Stan, w jakim się znajdowały, pozwolił jedynie na wstępną identyfikację po rzeczach, w które były ubrane w chwili zaginięcia. Ostateczne rozpoznanie umożliwiły karty dentystyczne. Obie kobiety zagięły na początku stycznia tego roku. Na razie nie stwierdzono powiązań między kobietami. Nikt nie miał też pomysłu, gdzie szukać Klaudii Kani, choć wszyscy byli przekonani, że nie żyje. W bazie znaleziono jeszcze jednaście pasujących do profilu kobiet zaginionych w ciągu ostatnich dwóch lat.

Liczba zrobiła na wszystkich duże wrażenie i nawet tak doświadczeni gliniarze jak Góra czy Zakrzewski byli trochę wstrząśnięci. Dlaczego nikt wcześniej nie podejrzewał masowego zabójcy? Odpowiedź nasuwała się sama. Nie znaleziono ciał, więc kobiety ciągle miały status zaginionych, choć po dniu, w którym zagięły, nie było żadnych sygnałów, żeby ktokolwiek je widział. Telefony nie logowały się do sieci, karty kredytowe nigdzie się nie ujawniły, z nikim się nie kontaktowały. Po naradzie wszyscy rozchodzili się w jeszcze gorszych nastrojach niż przed południem.

Karina pojechała do domu, Szawczak już nie pokazał się w pokoju, Marcin usiadł za biurkiem, założył nogi na blat, ręce za głowę i odchylił się, prostując plecy. Krzesło zaskrzypiało ostrzegawczo, lecz nie zwrócił na to uwagi. Było nowe, powinno wytrzymać.

To był dla niego wyjątkowo trudny dzień. Zamiast skupić się na śledztwie, nie mógł otrząsnąć się po zdarzeniu z Parolem, a może raczej z Gotardem, jak teraz kazał do siebie mówić. Zakrzewski miał jednak pewne wyrzuty sumienia. Dlaczego o nim zapomniał? Oczywiście winna była praca. Wtedy nie liczyło się dla niego nic poza pracą. A jak jest teraz? Zastanowił się. Teraz jest inaczej. Nie ma już śledztwa non stop, potrafi się odciąć, znaleźć czas na życie osobiste i bardzo mu z tym dobrze. Ma dom, do którego wraca, jest ktoś, kto na niego czeka. Kobieta, której zaufał, i jest pewien, że nawet gdyby praca znowu upomniała się mocno o niego, ona na pewno będzie czekać i nie odejdzie bez słowa.

Z westchnieniem zmienił pozycję. Oparł się łokciami o blat i ukrył twarz w dłoniach. Cholerny Szawczak, pieprzone demony z przeszłości. Nie da się tak łatwo złamać, nie Parolowi, a tym bardziej demonom. Będzie mu patrzył na ręce i na pewno nadejdzie taki moment, że to właśnie Szawczak pęknie pierwszy. Zakrzewski jest już za stary, żeby dać się w ten sposób podejść. Jest jak stary głaz na pustyni. Może i kruszy się na zewnątrz, ale w środku ciągle jeszcze jest twardy i niezniszczalny.

Długo wpatrywał się w leżący przed nim telefon. Od powrotu do komendy zastanawiał się, czy wybrać ten numer. Jedno połączenie mogło mu dużo wyjaśnić, jednak do tej pory się nie zdecydował. Wreszcie odblokował ekran i w książce telefonicznej nacisnął literę B. Kontakt wyświetlił się od razu. Przyłożył aparat do ucha i czekał na połączenie. Wreszcie, po kilku sygnałach, w słuchawce rozległ się szorstki głos:

- Igor Brudny, słucham?
- Cześć! Marcin Zakrzewski z tej strony.

Na długie sekundy zapadła cisza. Kiedy Marcin już myślał, że Igor się rozłączy, padło pytanie:

- Z czym dzwonicz?
- Starszy aspirant Gotard Szawczak.
- I co z nim?

– Do Wrocławia przeniósł się z Zielonej Góry. Może wiesz o nim coś więcej?

Szczęknięta zapalniczka, zaskrzypiały drzwi i do Zakrzewskiego doleciały wyraźne odgłosy ulicy. Brudny pewnie wyszedł zapalić na taras.

– Julka z nim pracowała przy kilku sprawach – odezwał się, kiedy już dobrze zaciągnął się fajką. – Z tego co mi mówiła, to kawał sukinsyna, ale jest dobry.

– J-jasne.

– Facet chadza własnymi ścieżkami i nikt nie wie, co mu siedzi w głowie – kontynuował Igor. – Ja spotkałem go raz czy dwa i nie zrobił na mnie dobrego wrażenia.

Porywisty wiatr zazgrzytał w słuchawce. Tam też wiało jak jasna cholera. Brudny zaklął i jakość połączenia się poprawiła. Pewnie stanął tyłem do wiatru.

– Uważaj na niego, Zakrzewski.

– Dzięki!

– Nie ma sprawy.

Brudny zakończył połączenie, a Marcin siedział jeszcze długo przy biurku, błędząc spojrzeniem po suficie. Czy ta rozmowa naprawdę coś mu rozjaśniła? Może nie, ale przynajmniej ktoś potwierdził jego spostrzeżenia. To też było ważne.

11.

Komisarz Wiktor Wiktorski zatrzymał się w miejscu, gdzie w zniszczonym ogrodzeniu była kiedyś furтка, a teraz zostały po niej same zawiasy. Rozejrzał się po zapuszczonym podwórzu. Niekoszona trawa pozarastała od lat nieużywane maszyny rolnicze, kupy śmieci, sterty gałęzi i niepociętego drewna na opał. Stary traktor marki Ursus, stojący pod rozpadającym się dachem, też powoli poddawał się upływowi czasu i z roku na rok zmieniał barwę na bardziej rudą od zjadającej go rdzy. Obraz nędzy i rozpacz.

Wiktorski wiedział, że gospodarz od bardzo dawna już nie uprawia ziemi, ale przynajmniej mógł zrobić tu porządek. Gdyby wyremontować starą chatę i uprzątnąć teren, byłoby pięknie. Jego zdaniem dom położony był w najładniejszej części Kamiennej, nad strumieniem wijącym się pomiędzy starymi bukami. Tylko że Wasyl na starość zdziwaczał i nie dało się przemówić mu do rozsądku. No ale przecież miał powód, żeby zostać odлюдkiem.

Tym razem jednak stary policjant był tu w innej sprawie. Ruszył do drzwi, odruchowo wyciągnął rękę i jego dłoń trafiła tylko na gładką deskę. Kiedyś tu była kołatka, ale, jak wszystko wokół, zjadł ją upływający czas. Załomotał pięścią.

– Kogo tam diabli niosą!?! – Głos ze środka nie zabrzmiał zachęcająco, ale Wiktorski nie zamierzał odpuszczać.

– Policji chyba otworzysz, stary dziwaku! – odkrzyknął.

Po sekundzie drzwi się uchyliły i dziad Wasyl stanął w drzwiach. Popatrzył na gościa, najpierw przetaił łysą głowę, potem brodę, wreszcie wzruszył ramionami.

– Na władzę nie poradzę. Wchodź!

Komisarz usiadł na drewnianej ławie przy stole i rozejrzał się po izbie. Od dawna już tu nie był. Z zadowoleniem zauważył, że przynajmniej tutaj Wasyl stara się utrzymywać względny porządek. Paliło się w piecu, woda w starym czajniku szumiała i pewnie zaraz powinna zawrzeć. Było rześko. Pewnie ten cholerny wiatr, co nie chciał odpuścić, wdzierał się do środka przez szczeliny przy każdym podmuchu.

– Napijesz się czegoś? – zapytał Wasyl, stając przy kuchennej szafce.

– Zmarzłem jak cholera przez tę wichurę – mruknął policjant, rozciera-
jąc zgrabiałe dłonie. – Kurwa, tu już do ciebie dojechać nie można. Musia-
łem ze sto metrów dawać z buta. Skosiłbyś to pieprzone trawsko na dro-
dze.

– A na cholerę? – Gospodarz wzruszył ramionami. – Niewiele osób mnie odwiedza, to po jakiego diabła mam się męczyć? Kto ma sprawę, to dojdzie. Jak ty. Bo chyba masz jakąś sprawę? Inaczej byś nie przyszedł.

Wiktorskiemu zdawało się, że w jego głosie zabrzmiał wyrzut. No tak, Wasyl był od niego tylko kilka lat straszy, w młodości się przyjaźnili. Nawet jeszcze w czasach, kiedy Wiktorski szedł do szkoły milicyjnej. Wtedy Wasyl przejął gospodarstwo po ojcu i dobrze mu się powodziło. Tylko że potem wszystko się spieprzyło i już nie dało się tego naprawić. Jak to w życiu. I Wasyl wcale nie był wtedy jeszcze Wasylem, tylko nazywał się Józef Wasyluk.

Skończył zawodówkę o specjalizacji rolniczej, był wesołym i pozytywnie nastawionym do życia człowiekiem, pisał wiersze, podkochiwały się w nim dziewczyny, bo był przystojny, z burzą czarnych włosów na głowie. Nie tak jak teraz, kiedy osiwał, a włosy bardzo mu się przerzedziły. Zresztą nie dziwota, że osiwał po tym, co się stało, i po tym, co musiał przeżyć. Teraz w okolicy nazywali go dziadem, chociaż sześćdziesiąt lat wcale nie powodowało, że człowiek stawał się dziadem. Po prostu był zaniedbany i pomarszczony, jakby przybyło mu kolejne piętnaście lat. No i zachowywał się jak klasyczny złośliwy i zgorzkniały dziad. Wiktorskiemu nagle zrobiło się go szkoda, ale niczego nie dał po sobie poznać.

– To herbatę chcesz? Czy ugotować kawę? – rzucił gospodarz.

– Kawę, a do tego setkę tego twojego bimbru na rozgrzewkę. Masz go jeszcze?

– Co mam nie mieć?

Milczeli. Wiktorski zapalił bez pytania o pozwolenie. Smród papierosów pomieszany z dymem z pieca był doskonale wyczuwalny. Wasyl zalał kawę w blaszanym kubku wodą z czajnika, a potem jeszcze trochę gotował ją na płycie. Wreszcie przecedził przez szmatkę i postawił kubek przed policjantem. Najpierw jednak wytarł rękawem blat stołu. Usiadł naprzeciw, skrzył papierosa i też zapalił. Strzepywali popiół wprost na zaśmieconą podłogę.

Nagle gospodarz pacnął się w czoło, pokręcił głową i z drugiego pomieszczenia przyniósł zakorkowaną flaszkę i dwie literatki. Bimber wyglądał jak mocno rozcieńczone wodą mleko. Nalał po pół szklanki i wypili bez słowa. Wiktorski się skrzywił. Samogon nie był tej klasy co Marczaka, ale zrobił to, co powinien – rozgrzał.

– To co ode mnie chcesz? – burknął Wasyl.

– Pamiętasz tę noc, kiedy zaginął Bernatowicz?

– Co mam nie pamiętać? – najeżył się gospodarz. – Pewnie, że pamiętam.

– Ciągłe coś nie daje mi spokoju. Jak go szukaliśmy, ktoś pchnął młodego Makarewicza do bagna, stary Makarewicz też wpadł i oskarżał Grzegorzczaka. No i co się stało z doktorem?

Wasyl nalał sobie jeszcze jedną porcję alkoholu i wypił na raz.

– Była u mnie policja ze trzy razy. Potem jeszcze do miasta jeździłem na przesłuchanie. Wszystko, co pamiętałem, już dawno wam powiedziałem. Ale i tak ciągle mnie wszyscy o coś podejrzewają. Ja jestem spokojny człowiek i nic już więcej nie mam do dodania.

– Co się dziwisz? – Wiktorski wzruszył ramionami. – Masz taką przeszłość, jaką masz, więc cię podejrzewają.

Wasyl poczerwieniał na twarzy i walnął pięścią w stół.

– Swoje odsiedziałem i niech teraz wszyscy się ode mnie odpierdolą! Za niewinność żem siedział, bo wtedy nic tej dziewczynie nie zrobiłem. Nawet

mnie tam nie było. Ale trzeba było znaleźć kozła ofiarnego, to go znaleźliście.

– Józek, ślady wskazywały na ciebie, było uczciwe śledztwo i uczciwy sąd. Zostałeś uznany za winnego.

– Nawet teraz jesteś przekonany, że ja to zrobiłem. – Wasyl popatrzył na policjanta smutno. – No ale trudno, pogodziłem się z tym. Zmarnowane życie można jakoś poskładać i żyć dalej. Przyzwyczyłem się.

– Przychodzę teraz do ciebie jako przyjaciel.

– Dupa tam, przyjaciel – zachnął się Wasyl.

– Jako przyjaciel – powtórzył z naciskiem policjant. – Tylko mam świadka, co cię widział wtedy, jak szedłeś wzdłuż strumienia do miejsca, gdzie szukaliśmy doktora. Po co ty w tym deszczu wyłaziłeś z domu?

Wasyl skrzywił się i nalał samogonu. Tym razem nie pominął Wiktorskiego. Ten patrzył sceptycznie na swoją literatkę wypełnioną w dwóch trzecich i wspominał, jak wjechał wtedy po pijanemu radiowozem do rowu. Chciał odmówić, ale machnął ręką. Dziś jest lepsza pogoda i będzie ostrożniejszy.

– Teraz to się nagle świadkowie znajdują – odezwał się Wasyl, ale już bez żalu. – Przecież wiesz, jak to działa, Witek. Im więcej czasu mija, tym nagle jest więcej świadków i coraz to nowe historie się pojawiają. Byłem w sklepie, to słyszałem, co ludzie gadają. A to, że Bernatowicz się mafii naraził i utopili go z kamieniem u szyi. A to, że chciał nowe życie zacząć w ciepłych krajach, a to, że pieniądze z kliniki zdefraudował i musiał uciekać. I wreszcie, że kochanki miał i z żoną mu się nie wiodło. Takich świadków możesz teraz sobie w dupę wsadzić.

– Wychodziłeś wtedy w deszcz czy nie? – nie ustępował Wiktorski.

Wasyl pokazał, żeby wypili.

– Ano wychodziłem – przyznał niechętnie. – Chciałem zobaczyć, co się stało. Tylko krzyki słyszałem. Jak tam wreszcie doszedłem, to już po polu szliście do domu doktorów i nikogo nie było. To się pokręciłem i odszedłem.

– Ale policji tego nie powiedziałaś.

– Pewnie, że nie. Zaraz by się czepiali i w życiu bym się nie odgonił. A może nawet by mnie o coś znowu oskarżyli. Ja teraz ostrożny z psami jestem. Wtedy byłem naiwny i całą prawdę mówiłem, jak było. No i przez tę prawdę do pierdła mnie wsadzili. Tfu!

Splunął na podłogę i zapatrzył się w opróżnioną do połowy butelkę.

– Nieważne – rzucił Wiktorski. – Nie powiedziałaś, twoja sprawa, ja tam nic nie wiem. Jako przyjaciel przyszedłem, nie jako policjant. Powiedz mi tylko, może widziałeś coś dziwnego? Może kogoś? Pomyśl, Józek.

Wasył zamyślił się, a potem pokręcił przecząco głową.

– Pusto było – odpowiedział z namysłem. – Nawet chciałem za wami zawołać, ale zrezygnowałem, bo już po wszystkim było. Posłuchaj mnie, Witek, gdybym coś wtedy podejrzanego zobaczył, to pierwszy bym do ciebie przyszedł i ci o tym powiedział. Wiesz, że jestem ojcem chrzestnym Izy Bernatowicz? Nieba bym jej przychylił, nigdy bym nie skrzywdził jej ani jej rodziny.

– Rozumiem i wierzę. – Komisarz pokiwał głową. – Ale inny świadek widział, że wcześniej doktorowa biegła w kierunku twojej chaty wzdłuż strumienia. Była u ciebie?

– Kurwa, skąd ty tych świadków bierzesz? – Wasył zmarszczył brwi.

– Pierwsze się potwierdziło.

– Ale to drugie już nie – uciął gospodarz i zaczął skręcać papierosa, zawiązując tytoń w coś, co na pewno nie było bibułą. Posmutniał wyraźnie. – Ona już od lat do mnie nie przychodziła. Pewnie też myśli, że to ja wtedy tej dziewczynie krzywdę zrobiłem. Boli mnie to. Tyle lat bez przebaczenia. Zmarnowaliście mi życie, panie milicjancie.

Słowa zabrzmiały tak gorzko, że Wiktorski nie odważył się pytać dalej. Posiedzieli jeszcze kwadrans, wypalili po papierosie, wypili po jednym, komisarz dopił mocną jak sam szatan kawę i pożegnał Wasyła. Coś ścisnęło go w piersiach, kiedy przedzierał się przez trawy w kierunku swojego sa-

mochodu. Może Józef naprawdę był niewinny? Czy po latach można to jeszcze sprawdzić?

Jadąc wolno w kierunku asfaltowej drogi, Wiktorski doszedł do wniosku, że chyba można.

Izabela Bernatowicz źle spała tej nocy. Zawartość skrytki w szufladzie biurka wstrząsnęła nią i zburzyła kruchą równowagę, którą udało jej się zbudować w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Sparaliżowało ją i zablokowało. Musiała coś z tym zrobić, jednak nie miała siły na najmniejszą reakcję. Odłożyła to na później. Nie wiedziała jeszcze na kiedy – na później.

Wstała z uczuciem, jakby znowu wieczorem wypłała za dużo wina i teraz miała kaca. Tylko że tym razem nie piła wina. Dręczyło ją coś gorszego niż kac. Strach, przerażenie, zmieszanie. Czowała mdłości. Czy to na pewno były kochanki Jakuba? Kochankom nie zabiera się dowodów osobistych, kiedy następuje rozstanie. Musiało chodzić o coś innego i nawet nie chciała zgadywać o co.

Jak każdego poranka w ciągu ostatnich tygodni siedziała w kuchni tyłem do okna wychodzącego na podwórze i piła kawę. Jedną, czasem dwie, zanim wreszcie poczuła ssanie w żołądku i mogła coś w siebie wcisnąć. Schudła przez ten czas pięć kilo. Kiedyś walczyła o każdy kilogram, teraz stało się to niejako poza jej świadomością i wcale jej nie cieszyło. Stres niszczy człowieka i tak to należało rozumieć.

Pogrążona we własnych myślach nie usłyszała, jak na podwórze zajechało duże terenowe auto. Z zamyślenia wyrwał ją dopiero trzask drzwiczek, potem chrzęst kroków na ścieżce i sygnał przy drzwiach. „O nie” – jęknęła w duchu. Teraz nie miała ochoty na żadne wizyty, chciała być sama i sama przeżywać ten ból. Nie było jednak sensu udawać, że jej nie ma. Poszła otworzyć.

Spojrzała w ciemne oczy Dawida Bernatowicza, starszego brata jej męża, i nagle poczuła się o wiele lepiej.

– Cześć! – Dawid zmierzył ją ciepłym spojrzeniem, a na jego ustach błędził półuśmiech. – Mogę ci w czymś pomóc?

To było standardowe pytanie Dawida, kiedy się u niej zjawiał. Ona zawsze zaprzeczała, ale on i tak zostawał na kawę, czasem na obiad, i zawsze w czymś pomógł.

Już chciała odpowiedzieć mu tak samo, gdy nagle omal nie krzyknęła ze strachu. Cofnęła się o krok i zamarła z dłonią na ustach, wpatrując się w trzymaną przez mężczyznę siekiere. Skojarzenie miała jednoznaczne. Na szczęście to było tylko skojarzenie, ponieważ Dawid oparł siekiere o szafkę na buty i spojrzał na nią zaniepokojony.

– Coś się stało?

– Nie, nic – wyjąkała, próbując zamaskować przestach. – Właśnie piję kawę, zrobię ci.

– Bardzo chętnie.

Z mocno bijącym sercem uciekła do kuchni i zajęła się ekspresem. Dawid zdjął buty i poszedł za nią. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był zbudowany jak ciężarowiec.

– Siekiera leżała na trawniku przy drzwiach – powiedział, wchodząc. – Nie wolno jej tak zostawiać, bo na tej wilgoci zardzewieje.

Izabela wydała z siebie ciche westchnie ulgi.

– Tak, wiem – rzuciła.

Dawid usiadł przy kuchennym stole, ona postawiła przed nim filiżankę z kawą i usiadła na swoim miejscu.

– Pewnie Kamil zostawił – mruknął mężczyzna. – Muszę mu nagadać.

Izabela nie udało się ukryć przed nim rozkojarzenia. Pamiętała, że wczoraj sama odkładała siekiere na miejsce na półce z narzędziami. Szybko jednak ta myśl wyparowała jej z głowy. Pewnie się pomyliła.

Dawid patrzył na nią i zrozumiał jej zmieszanie inaczej.

– Brakuje ci Kuby, prawda? – zapytał cicho i pociągnął łyk kawy.

Kobiecie ścisnęło się gardło, nie wykrztusiła z siebie ani słowa, tylko opuściła głowę. Co ona, do kurwy nędzy, najlepszego robi? Zamordowała im brata, ukryła ciało, a teraz udaje, że nic się nie stało? Co więcej, coraz bardziej zaczyna lubić ich wizyty, coraz bardziej jej się podobają, zaczyna

o nich fantazjować. O obu, bez jednoznacznego wskazania. Gdyby nie była morderczynią, cała sytuacja mogłaby być nawet zabawna. Ale w tych okolicznościach nie jest zabawna, tylko tragiczna i bardzo niebezpieczna. I nie niosła ze sobą dreszczyku podniecenia, ale cały huragan dreszczy, nad którymi Izabela nie potrafiła zapanować. Były silniejsze od niej, sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

To dlatego wpadała w euforyczny nastrój, kiedy tylko któryś z nich ją odwiedzał. Obaj byli wolni. Z tego co wiedziała, Dawid miał kilka kobiet w życiu, lecz nigdy na dłużej, a Kamil rozwiódł się dwa lata temu. Obaj do wzięcia – podpowiadała jej diabelska strona, która ujawniała się w niej coraz wyraźniej.

– Nie przejmuj się – kontynuował najstarszy Bernatowicz. – Nie wierzę, że coś sobie zrobił. To do niego niepodobne. Myślę, że raczej sytuacja go przerosła i po prostu gdzieś wyjechał. Pewnie przemyśli swoje postępowanie i niedługo wróci. Gwarantuję, że tak będzie.

Popatrzyła mu smutno, a jednocześnie trochę zalotnie, w oczy.

– Dziękuję za dobre słowo – powiedziała cicho. – Od razu mi lepiej. Choć nie wiem, czy to jeszcze miałyby sens. On mnie zdradzał, Dawid.

– Bo był głupi – poruszył się niespokojnie. – Był głupi, że szukał wrażeń na mieście, kiedy w domu czekała na niego taka piękna kobieta. Gdybym wiedział, dostałby ode mnie w mordę, jak nic.

– Dziękuję – uśmiechnęła się. – Zawsze byłeś taki miły. Nie wiem, jak ja się wam teraz odwdzięczę. Tyle mi z Kamilem pomagacie. Sama w takim stanie pewnie miałabym problemy.

– To nic. Najważniejsze, żebyś doszła do siebie. Nic z Kamilem nie chcemy. To taki nasz obowiązek, w końcu jesteśmy rodziną.

– No tak. – Napila się kawy i nagle podjęła decyzję. – Powiedz mi, dlaczego w ostatnich latach nie utrzymywaliście ze sobą kontaktów? Teściowa mówiła, że kiedyś byliście nierozłączni. Coś się stało?

Brat jej męża dopił kawę i milczał kilka sekund. Już wiedziała, że nie powie prawdy.

– No wiesz, każdy zaczął żyć na własny rachunek. Kamil miał ciągle problemy w małżeństwie, Jakub rozwijał klinikę, ja jeździłem na misje za granicę. Jakoś nasze drogi się rozeszły. Okazało się, że każdy jest inny.

– No tak. – Udała, że uznaje jego słowa za szczerą odpowiedź. – A jaki był Jakub w dzieciństwie?

– Ale co chcesz wiedzieć?

– Jakim był chłopcem? Nigdy mi nie opowiadał o swoim dzieciństwie, jakby to był temat tabu. Zbywał mnie półsłówkami.

– Naprawdę? – Tym razem Dawid szczerze się zdziwił. – To bez sensu. Mieliśmy normalne dzieciństwo. Co prawda... – zamilkł nagle, jakby sobie coś przypomniał.

– Co?

– Jakub był w szpitalu – odparł po chwili.

– Miał jakiś wypadek, chorował na coś? – ponagliła go Iza, kiedy znowu się zawiesił.

– Nie w tym sensie, to był szpital psychiatryczny dla dzieci.

Iza wytrzeszczyła na niego oczy. Informacja tak ją zaskoczyła, że długo nie wiedziała, co ma powiedzieć. Nikt jej o tym nawet nie wspomniał, mimo tylu lat małżeństwa z Jakubem i jeszcze kilku narzeczeństwa wcześniej.

– Co się stało? – rzuciła.

– Właściwie nikt nie wiedział, co się stało. – Dawid bawił się filiżanką, nie patrząc na nią. – To się stało na początku szkoły podstawowej. Pod koniec wakacji Jakub zaczął dziwnie się zachowywać. Nic nie mówił, popadł w apatię, nie chciał jeść. Kiedy poszedł we wrześniu do szkoły, zrobił się agresywny. Nauczyciele nie mogli nad nim zapanować aż do tamtego feralnego dnia. Pamiętam nawet datę – piętnasty września. Napadł wtedy na kolegę i go pobił. Jezus, gdyby go wtedy inni nie odciągnęli, zatłukłby tego chłopaka na śmierć. Potem nagle zamknął się w sobie, jakby go w ogóle nie było. Zero kontaktu. Totalny stupor. No i wtedy wzięli go na miesiąc do

szpitala. Na szczęście z wolna dochodził do siebie, wrócił do szkoły, jakoś się uspokoił.

– Czy kiedykolwiek później tak się zachowywał?

– Nigdy. Chociaż, moim zdaniem, zmienił się po tym załamaniu.

– A co mogło być jego przyczyną?

– Nie wiadomo. – Dawid wzruszył ramionami. – Jakub też nigdy nic nie powiedział. Lekarze coś tam gadali, ale wiesz, jak wyglądała dziecięca psychiatria wiele lat temu. Na szczęście to było chwilowe.

Izabela poczuła się dziwnie, kiedy usłyszała tę opowieść. Niby nieistotny szczegół sprzed lat, jednak wyjątkowo ją zaintrygował. Czy po tym zdarzeniu Jakub zaczął miewać ten mrok w oczach, który ją tak niepokoił, a potem przeraził, kiedy się z nim szarpała w kuchni? Otrząsnęła się z rozmyślań, ponieważ Dawid szykował się do wyjścia.

– Wpadnę jeszcze – mówił, wkładając buty przy drzwiach. – Trzeba by było podwórze jeszcze raz posprzątać z tych cholernych gałęzi, które ostatnio naniósł wichury. W basenie mnóstwo tego leży.

– Dziękuję ci, Dawid. – Uśmiechała się do niego ciepło.

– Nie ma problemu. Przecież i tak całymi dniami siedzę sam w domu, więc czas mam, a i lubię... – zamilkł i zerknął na nią, jakby przestraszył się, że za dużo powiedział. – Ruch mi się przyda. Siekierę odłożę na miejsce.

Skinął jej głową, uśmiechnął się i wyszedł.

Izabela Bernatowicz stała przy kuchennym oknie i patrzyła na niego. Wielki facet, ale wydawał się taki łagodny i delikatny. Co przyniesie przyszłość? Czy można zacząć wszystko od nowa po takiej strasznej zbrodni, nie ponosząc jej konsekwencji? Czy życie po czymś takim może być lepsze od poprzedniego? Wydawałoby się, że nie, jednak ona miała nadzieję.

12.

Renatę Wieczorek obudził cudowny aromat kawy, który rozlał się z kuchni po całym mieszkaniu i wreszcie dotarł do sypialni. Nie otwierając oczu, przewróciła się na drugi bok i znowu zasnęła. Właściwie to nie do końca się obudziła. Śniła akurat bardzo przyjemny sen, którego pewnie nie będzie pamiętać, gdy już na dobre otworzy oczy. Z tą świadomością zagłębiła się w marzeniach.

Nie na długo jednak. Poczowała, jak łóżko się ugina, ktoś się nad nią pochylił, ciepłe palce odgarnęły jej włosy z policzka, a potem usta musnęły miękkie wargi.

– Wstawaj, śpiochu – szepnął jej do ucha męski głos. – Zrobiłem kawę, zaraz będzie śniadanie.

Zamruczała, przeciągając się jak kotka. Sięgnęła ręką, lecz jego już nie było. Zniknął w kuchni, a Renata otworzyła oczy. Już nie żałowała snu. Po raz kolejny pomyślała, że ma wspaniałego faceta.

Trudno było go zdobyć, był zamknięty w sobie i wydawał się niedostępny jak górski szczyt zimą, ale jej się udało. Wiedziała, że musi minąć trochę czasu, zanim uwierzy, że on też może żyć normalnie i nie czeka go kolejna życiowa katastrofa. Opierał się z troski o nią, nie chciał jej zawieść, nie chciał, żeby przez niego cierpiała, bo sam nie był pewien, czy praca pozwoli mu na związek. Jej podejście do niego sprawdziło się. Nie robiła mu wyrzutów, że ciągle jest w pracy, późno wraca albo wcale nie wraca, jest nieobecny duchem, kiedy prowadzi śledztwo, łatwo go zirytować i zamyka się w sobie. Tolerowała to. Przecież nie mogła go nagle zmienić. Faceci w jego wieku się nie zmieniają, trzeba ich przyjąć z całym bagażem dobrych i złych cech. Trzeba znaleźć dla siebie odpowiednie miejsce w ich życiu, tak żeby nigdy o swojej kobiecie nie zapomnieli. I trzeba było być cierpliwą. Upływający czas działał na korzyść takiego związku. Zresztą te same zasa-

dy dotyczyły obu stron. Ona przecież też miała dotąd jakieś życie i też była kobietą po przejściach.

Na początku wymagała od niego tylko jednego: żeby o niej nie zapomniał i zawsze do niej wracał, kiedy już praca mu na to pozwala. Długo był nieufny, jakby czekał, aż jej się to znudzi i zacznie od niego wymagać coraz więcej, a wreszcie zażąda, żeby wybierał: ona albo praca. Ale Renata była cierpliwa i ta cierpliwość była błogosławieństwem. Wreszcie jej zaufała i zmienił się nie do poznania. Otworzył się przed nią i pokazał swoje prawdziwe oblicze, już się nie obawiał, że ona kiedyś to wykorzysta przeciw niemu. Okazało się, że potrzebuje ciepła, stabilności, kogoś, z kim można porozmawiać, zwierzyć się. Brakowało mu miejsca, do którego może wracać i gdzie zawsze będzie czekać druga osoba. Tylko tyle i aż tyle. Niewiele później przeprowadził się do niej. Troszczył się o nią, dbał, ciągle pozytywnie ją zaskakiwał. Naprawdę ją kochał? Miała nadzieję, że tak właśnie jest, bo ona była w nim zakochana jak nastolatka.

Niedługo potem weszła do kuchni, starając się przyglądzić sterczące na wszystkie strony ciemne włosy, jeszcze z powiekami ciężkimi od snu, i usiadła na krześle, owijając się szczelnie białym szlafrokiem. Popatrzył na nią z lekko kpiącym uśmiechem na twarzy.

– Pięknie wyglądasz – rzucił, a coś w jego błękitnych oczach kazało jej myśleć, że nie żartuje.

– Nie gadaj tyle, Zakrzewski, tylko, skoro mnie już obudziłeś o tak barbarzyńskiej porze, lej kawę do dużego kubka – powiedziała i potarła oczy.

Zegarek na parapecie wskazywał szóstą czterdzieści pięć. Renata już na tyle poznała swojego faceta, że wiedziała, co się z nim dzieje. Miał problemy ze snem, kiedy prowadził trudne śledztwo i mu nie szło. Wtedy potrafił nawet pomieszać dzień z nocą. Napiła się pysznej kawy i spojrzała na Marcina. Stał bokiem do niej i smarował masłem kromki chleba. Na stole czekał już twarożek ze szczypiorkiem.

– Nie idzie? – zapytała, kiedy ugryzł kęs kanapki obficie posmarowanej twarogiem.

Znieruchomiał na moment, ale po chwili jego szczęki znowu podjęły pracę. Tak naprawdę nie miał apetytu, tylko odgrywał przed nią scenę normalności. Przełknął i odłożył kanapkę na talerz. Uśmiechnął się do niej smutno.

– Już tak dobrze mnie znasz?

– Tylko na tyle, na ile pozwoliłeś mi się poznać – odpowiedziała.

Nałożyła sobie twarożku na talerz, ugryzła chleb i spróbowała. Całość, jak dla niej, wyjątkowo dobrze pasowała do porannej kawy z mlekiem i Marcin też już wiedział, że ona wyjątkowo lubi takie śniadania.

– Masz rację, to jedna z dziwniejszych spraw, jaką dotąd przyszło mi się zajmować – oznajmił, wpatrując się w swoją kanapkę. – Nie wiem, od czego zacząć, nikt nie wie, kompletny chaos.

– Aż tak źle?

– Ale nie o to chodzi. – Jednak ugryzł kolejny kęs i dał sobie czas na przełknięcie. – Mam problem personalny. Wrócił do nas pewien kolega, z którym kiedyś współpracowałem. Nie wiem, co on planuje, ale zdaje mi się, że wypowiedział mi jakąś idiotyczną wojnę.

– Tylko tyle? – Renata parsknęła lekceważąco. – Nie poradzisz sobie z nim? Ty, nadkomisarz Zakrzewski?

Nie zareagował na tę ewidentną zaczepkę. Jadł w milczeniu i odezwał się dopiero, gdy przełknął ostatni kawałek kanapki:

– Z nim jest trochę inaczej. Czuję się wobec niego winny i mam wrażenie, że on to wie i bezwzględnie wykorzystuje do własnych celów. Jeszcze nie wiem, o co mu tak naprawdę chodzi.

– Dlaczego czujesz się winny?

Opowiedział jej, jak aspirant Gotard „Parol” Szawczak został postrzelony przez najemnego mordercę w swoim mieszkaniu, jak wcześniej zginęła jego matka, jak on się tam spóźnił kilkanaście sekund, ponieważ stał w tym czasie przed zamkniętym przejazdem kolejowym. A potem, jak Karina stoczyła krwawą walkę z tym samym mordercą, który przyszedł do Szawczaka do szpitala, żeby dokończyć robotę.

– Parol widział jego twarz, a on nie mógł sobie na to pozwolić – dokończył. – A ja mam wyrzuty sumienia, że się wtedy spóźniłem. Mogłem pojechać inną drogą, przez wiadukt na Chociebuskiej, a nie na ten cholerny przejazd na Żernickiej, który ciągle jest zamknięty. Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. A później porwała mnie ta cholerna robota i zapomniałem o Szawczaku, nawet się nie zainteresowałem, czy żyje. Mam wrażenie, że czasem niewykonanie drobnych gestów, które są bardzo łatwe do wykonania, prowadzi do niejednej życiowej katastrofy. Może gdybym się zainteresował, co się stało z Parolem, on teraz nie ziałby do mnie nienawiścią i nie oskarżał o zмовę z mordercą. Byłoby inaczej.

– Nie możesz się obwiniać, przecież to nie twoja wina.

– Czasem mam wrażenie, że trochę moja.

– Tym mordercą był Satyr, prawda?

Spojrzał na nią w taki sposób, że to wystarczyło za potwierdzenie. Sama się domyśliła. Znała dobrze historię Satyra i jego pojedynku z Marcinem. Kiedyś to ona, dzięki zebranych materiałom do pewnego artykułu na temat tragedii w domu dziecka w Miękini, popchnęła ich śledztwo do przodu i pomogła policji namierzyć zabójcę.

– Jak on śmiał zarzucić ci współpracę z Satyrem? – Nie mogła uwierzyć. – Jesteś pewien?

Pokiwał głową i powtórzył jej swoją rozmowę z Szawczakiem.

Renata odłożyła kanapkę, odstawiła kubek z kawą i zamyśliła się na długo. Wreszcie spojrzała na niego z niemym pytaniem w oczach.

– Tak – potwierdził, domyślając się, o co jej chodzi. – Dla mnie jego rozumowanie też jest bez sensu. Jakbym rozmawiał z paranoikiem, który przez lata budował sobie w głowie alternatywną rzeczywistość i wreszcie uwierzył w jej istnienie.

– Posłuchaj, Marcin, a może on to zrobił specjalnie?

– Nie bardzo rozumiem.

– A jeśli tą rozmową chciał odwrócić twoją uwagę?

– Też mi to przeleciało przez głowę, nie wiem tylko od czego.

W tej chwili odezwał się sygnał telefonu Zakrzewskiego. Kiedyś byłby to riff Jimmy'ego Page'a z Led Zeppelin i hit *Whole Lotta Love*, ale któregoś dnia Zakrzewski uznał, że to kolejna rzecz w życiu, którą trzeba zmienić. Kiedy zamieszkał u Renaty, zmienił sygnał na imitację dzwonka, jaki rozlegał się kiedyś w starych aparatach telefonicznych. Led Zeppelin nieśli ze sobą zbyt dużo traumatycznych wspomnień.

Marcin spojrzął na wyświetlacz – numer zastrzeżony. Odebrał z wahaniem.

Zakrzewski zauważył czarne audi z przyciemnianymi szybami, gdy tylko wyszedł z budynku. Stało na jednym z miejsc parkingowych przeznaczonych dla mieszkańców. Marcinowi źle kojarzyły się takie samochody, dlatego bardzo niechętnie podszedł do auta od strony pasażera i szarpnął za klamkę. Nachylił się i szybko zlustrował wzrokiem wnętrze.

Za kierownicą siedział postawny mężczyzna w jego wieku, z białymi jak śnieg włosami ściętymi na jeża. Już na pierwszy rzut oka wyglądał na żołnierza i to takiego z jednostek specjalnych, jak Jerzy Madejski. Czyli chyba mówił prawdę, zapraszając go telefonicznie na spotkanie. Był sam, dlatego nadkomisarz wsiadł do lekko nagrzanego wnętrza. Facet wyciągnął do niego wielką dłoń i przywitali się w milczeniu uściskiem. Marcin lubił męskie uściski dłoni i ten taki był. Jednak przez moment czuł się tak, jakby jego dłoń znalazła się w imadle, które w każdej chwili mogło mu pogruchotać kości, gdyby tylko właściciel miał taką ochotę. To sprawiło, że od razu poczuł do faceta spory respekt.

– Pułkownik Daniel Pasiński – odezwał się tamten.

– Nadkomisarz Marcin Zakrzewski.

– Niestety więcej nie mogę ci powiedzieć, choć wyglądasz na faceta godnego zaufania. Zresztą zanim do ciebie zadzwoniłem, rozpytałem o ciebie. Słyszałem same dobre opinie, a wiesz, że różnie się mówi o starych gliniarzach.

– J-jasne – mruknął policjant.

Pasiecki przeszedł od razu na ty bez zbędnych konwenansów, co akurat Marcinowi się podobało. Poza tym wyglądał na twardego faceta, który wie, czego chce, wie, co mówi, i nie nawykł do zbędnego mielenia ozorem. Wzbudził zaufanie. No tak, ale Madejski przy pierwszym przesłuchaniu też zrobił na Marcinie dobre wrażenie. Tylko później coś nie zagrało.

Dlatego pozostał zdystansowany.

Ruszyli wolno i włączyli się do ruchu na Wiejskiej, a potem stanęli na światłach do skrętu w Solskiego.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Zakrzewski.

– Pokręcimy się tu i tam i porozmawiamy – wyjaśnił enigmatycznie pułkownik. – Tylko dobrze by było wiedzieć, że nie mamy ogona.

Marcin odruchowo spojrzął we wsteczne, następnie w boczne lusterko. Zebrał się już za nimi sznur aut, ale żadne nie rzuciło mu się w oczy. Pasiecki najwidoczniej jednak wiedział, kogo ma wypatrywać, ponieważ rozluźnił się dopiero po kilku minutach, kiedy minęli Cmentarz Grabiszyński i skręcili w Hallera, w kierunku Powstańców Śląskich. Obrzucił Marcina ciekawym spojrzeniem.

– Przepraszam cię, nadkomisarzu, ale wolałbym, żeby nikt się nie dowiedział o naszym spotkaniu – wyjaśnił, znowu nie zagłębiając się w szczegóły.

Marcina zaczęły drażnić te uniki.

– A kto konkretnie? – rzucił.

Pułkownik Pasiecki po raz kolejny nie odpowiedział mu wprost. Za to zrobił się bardziej rozmowny.

– Posłuchaj, Zakrzewski. Byłem dowódcą plutonowego Jerzego Madejskiego, razem przeszliśmy przez niejedno piekło, o czym nie mam zamiaru ci opowiadać. Po pierwsze pewnie głównie cię obchodzą moje opowieści wojenne, a po drugie nie wolno mi za dużo powiedzieć. Mój oddział jest specyficzny. Oficjalnie nie ma go na stanie armii, co nie przeszkadza nam bywać od czasu do czasu w ciekawych miejscach na świecie, żeby walczyć ze złem albo ratować dupę komuś, kto znalazł się w niewłaściwym miejscu

i czasie. Nasze spotkanie mogłoby być źle odebrane przez moich zwierzchników, którzy trzęsą tyłkami, żeby nikt się o nas nie dowiedział.

– Ale czego konkretnie ode mnie chcesz?

– Każdego ze swoich ludzi traktuję jak syna. Ja ich wybrałem, ja ich wyszkoliłem i ramię w ramię przelewaliśmy krew. Nawet jeśli ktoś odszedł z oddziału, nadal jestem w dużej mierze za niego odpowiedzialny.

Stali w długim korku do świateł na Powstańców Śląskich. Godziny szczytu zawsze zapychały ulice miasta sznurami aut ciągnących nie wiadomo dokąd. Teraz sprawę utrudniały leżące na jezdni połamane gałęzie po kolejnej nocnej wichurze.

– Czyli twoi ludzie nie zawsze wychodzą do cywila w dobrym stanie psychicznym – powiedział wreszcie ostrożnie. – Mogą być mocno pokiereszowani i dlatego interesuje was, jak sobie radzą i czy nie narobią głupot.

– Mniej więcej tak to wygląda – potwierdził pułkownik. – W ekstremalnych sytuacjach mogą być bardzo niebezpieczni.

Marcin przypomniał sobie starcie w leśnej chacie, gdzie Madejski poraził siebie z kilkoma nieźle wyszkolonymi funkcjonariuszami, jednak nie skomentował. Teraz zaczynał rozumieć, dokąd zmierza ta rozmowa.

– W jakim stanie był Madejski, kiedy odchodził z wojska? – zapytał.

– Miał zdiagnozowaną silną traumę pourazową – rzucił oschle Pasięcki, zerknął szybko na policjanta i nagle zmienił ton głosu. – Na jego oczach pocisk rozerwał jego kolegę, drugi umierał przy nim przez godzinę, ponieważ we trzech znaleźli się pod silnym ostrzałem i nie mogliśmy się do nich przebić. W moim oddziale obowiązuje jedna podstawowa zasada. Nigdy nie zostawiamy swoich, zawsze wracamy, nawet po zabitych. Dlatego utrzymał pozycję, bo wiedział, że pomoc nadejdzie. Nie wiedział tylko, czy uda mu się do tego czasu przeżyć. Wytrzymał ponad cztery godziny. Wierz mi, to był niezły wyczyn. Z dwoma martwymi kolegami z oddziału tkwił w śmierdzącej dziurze kilka godzin. Najpierw go atakowali, a potem ostrzeliwali z moździerza. Każdy kolejny pocisk mógł trafić w niego, a on nic nie mógł zrobić. Wyobrażasz sobie siebie w takiej sytuacji? Ja nie wiem, czy bym nie zwariował. Na szczęście ten, co strzelał, to był tuman i nie po-

trafił dobrze wymierzyć. Po kilkunastu strzałach zaczęli oszczędzać pociski. Potem udało nam się przebić.

Zakrzewski spróbował sobie wyobrazić takie małe piekło. Jego wyobrażenia tego nie ogarniała.

– Do służby już nie wrócił, zapewniliśmy mu najlepszych psychologów, ale nawet ludzie bardzo dobrze wyszkoleni, którzy takie sytuacje mają wpisane w kontrakt, nie mogą sobie poradzić z psychiką. Puściliśmy go do cywila. Miał dziewczynę, chciał zacząć normalne życie, to była najlepsza terapia. Nigdy bym nie pomyślał, że to może tak się skończyć.

– Niby jak?

Pułkownik spojrzał na Marcina z ukosa, wtedy zmieniły się światła na zielone i audi wyrwało do przodu, silnik zamruczał delikatnie na wyższych obrotach.

– Zapoznałem się wczoraj z tym, co zgromadziliście na temat Madejskiego – oznajmił wojskowy.

– Nieźle. – Marcin pokiwał z udawanym uznaniem. – Masz aż tak dobre wejścia w wojewódzkiej?

– Nie, tylko znam kogoś, kto je ma.

– I co w związku z tym?

– Pewnie zastanawiasz się, czy taki facet jak Madejski mógłby popełnić samobójstwo.

Marcin nie odpowiedział, zapatrzony w jadące przed nimi auta.

– Pewnie wasz policyjny psycholog będzie wam truł dupę o traumie żołnierzy, którzy byli na prawdziwej wojnie, o trudnym powrocie do normalności, o nocnych koszmarach i takich tam pierdołach dla laików. Oczywiście wnioski, które wyciągnęliście, są prawidłowe. To był szantaż i Jerzy poświęcił się dla swojej dziewczyny. Porywacz zażądał życia za życie, więc nie miał innego wyboru. Zrobił to. Zabił się dla swojej ukochanej. Inna kwestia, że porywaczowi prawdopodobnie zależało na tym, żeby uśmiercić ich oboje, więc nie dotrzymał swojej części umowy. Wyjaśnienie, dlaczego tak się stało, to jest zadanie dla policji.

– Więc co mi chcesz powiedzieć, czego jeszcze nie wiem?

– Jak już wspominałem, w naszym oddziale panuje żelazna dyscyplina i zasada, że nie opuszczamy się wzajemnie w potrzebie. Zawsze wracamy po swoich, nawet jeśli są już martwi i sytuacja jest beznadziejna. Każdy jest w stanie poświęcić życie dla kolegi z oddziału.

Pułkownik zamilkł, dojeżdżając do kolejnych świateł, tym razem na placu Orłąt Lwowskich. Marcin zastanowił się nad sensem jego słów.

– Sugerujesz, że porywacz był pewien, że Madejski popełni samobójstwo, ponieważ znał wasze zasady? – upewnił się. – Wiedział, co ma przez ciebie wpojone, i nie zawaha się oddać życie za swoją narzeczoną? A jeśli tak, to znaczy, że jest albo był związany z twoim oddziałem?

– To właśnie chciałem ci powiedzieć i zaoferować pomoc.

– Dlaczego chcesz mi pomóc?

– Jeśli jest tak, jak powiedziałeś, to poniosłem porażkę przy weryfikacji kandydatów do swojego oddziału – odpowiedział bardzo poważnie Pasiecki. – Źle oceniłem stan psychiczny jednego ze swoich żołnierzy, przyjąłem na szkolenie psychola i wyszkoliłem go na bestię. Bardzo niebezpieczną bestię. Potrafi wtopić się w tłum, działać z zaskoczenia, robić dywersje, a do tego jest twardy, doskonale wyszkolony i nie zawaha się zabić. W bezpośrednim starciu nie miałbyś szans. Tylko ja mogę go wytropić i zneutralizować.

Zakrzewski zagryzł wargi i spojrzał niechętnie na oficera. Nie podobała mu się jego diagnoza. Nie ma na świecie superbohaterów, każdego można złapać, nikt nie jest odporny na kule, każdego można zranić i zabić. Było jednak w jego słowach trochę prawdy. Jeśli zabójca faktycznie był powiązany z jego oddziałem, jest byłym albo obecnym żołnierzem, to policji bardzo trudno będzie go znaleźć. Przecież podobno oficjalnie ten oddział nie istnieje. Kto może mu bardziej pomóc, jeśli nie jego dowódca?

– Mam obowiązek pomóc ci, nadkomisarzu, z tych właśnie dwóch powodów – kontynuował pułkownik. – Muszę się dowiedzieć, gdzie popełniłem błąd przy rekrutacji, żeby nigdy więcej go nie popełnić i wyeliminować be-

stię ze społeczeństwa. Przecież ty jesteś łowcą, tropisz i łapiesz drapieżniki polujące na bezbronnych.

Na te słowa Zakrzewskie drgnął. Nie spodobały mu się, chociaż często je powtarzał Karinie i sobie gdzieś w środku. Tak motywował się do pracy. Skąd ten wojskowy może o tym wiedzieć? Czyżby ktoś nie tylko grzebał w policyjnych aktach, ale też w jego życiu? Poczł duży dyskomfort.

– A skąd mogę mieć pewność, że to nie ty jesteś bestią? – zapytał. – Może odjechało ci na tle nerwowym, z permanentnego stresu, i w ten sposób odreagowujesz. Zabijasz kobiety, a teraz postanowiłeś sprowokować jednego ze swoich ludzi, bo cię zawiódł. Dał dupy na akcji czy może cię rozszyfrował i poczułeś się zagrożony, więc zmusiłeś go do samobójstwa. Jego dziewczynę też zabiłeś, bo mógł jej coś powiedzieć. Kto wiedziałby lepiej, jak zmusić Madejskiego, żeby założył sobie pętlę na szyję, od tego, kto go wyszkolił? Jaką mam pewność?

Pułkownik PasiECKi długo milczał, skupiony na prowadzeniu auta. Wreszcie roześmiał się, jakby do siebie.

– Nie masz takiej pewności – odpowiedział. – Słowo przeciw słowu. Ale tak praktycznie, szkoda na mnie tracić czasu. To nie ja.

– I co dalej? – rzucił Marcin.

Audi zaparkowało pod wejściem do Komendy Wojewódzkiej Policji na Podwalu, jakby kierowca doskonale przewidział koniec rozmowy. „Timing idealny” – pomyślał Zakrzewski. Pułkownik podał mu biały kartonik, na którym wydrukowano czarne napisy bez żadnych ozdób: „Daniel PasiECKi – specjalista do spraw bezpieczeństwa personalnego” i numer telefonu.

– Jak będę coś miał, zadzwonię. Gdybyś mnie potrzebował, wybierz ten numer. Mogę nie odebrać, ale na pewno oddzwonię. Czasem to może dłużej potrwać.

– J-jasne. Rozumiem, że jak znajdziesz bestię, to będzie wewnętrzna sprawa wojska, objęta państwową tajemnicą.

PasiECKi uśmiechnął się szeroko.

– Nie, Zakrzewski, to będzie wyłącznie moja sprawa, ale kto powiedział, że nieobjęta tajemnicą? Ale poinformuję cię, żebyś nie tracił niepotrzebnie czasu na szukanie.

– Czyli jeśli to ja go znajdę i aresztuję, to i tak nie stanie przed sądem cywilnym?

– Nie aresztujesz go, nadkomisarzu, jego można tylko zabić. – W głosie oficera zabrzmiały zdecydowane nuty.

Marcin pomyślał, że ten facet ma to, czego potrzebuje prawdziwy dowódca: postawę, głos i mimikę. Pewnie podwładni go i uwielbiają, i nienawidzą, co jednak nie przeszkadzałoby skoczyć w piekielne ognie, gdyby im rozkazał. Może wiedział, co mówił, kiedy twierdził, że bestię trzeba zabić. Nagle Zakrzewskiemu przyszło coś do głowy.

– Kurwa, ty już wiesz, kto to jest – stwierdził raczej, niż zapytał.

– Idź już, Zakrzewski, nie chcę, żeby ktoś zwrócił na nas uwagę. – Pułkownik po raz pierwszy spojrzał mu w oczy i wtedy dopiero Marcin zauważył, że jest zmęczony. Jakby wrócił z misji specjalnej w dalekim kraju i jeszcze nie zdążył odespać.

– Powiedz mi! – nalegał Marcin.

– Idź już, zadzwonię.

Wściekły Zakrzewski trzasnął drzwiami i długo patrzył za odjeżdżającym czarnym samochodem. Jeśli Pasiński myślał, że pójdzie mu z nim łątwo, to się mylił.

13.

Codzienna odprawa wydziału kryminalnego przebiegała w ponurej atmosferze. Mimo że noc w mieście była wyjątkowo spokojna, zanotowano jedynie kilkanaście rozbojów i żadnego zabójstwa, cała ekipa śledczych miała z tyłu głowy brak postępów w śledztwie w sprawie Madejskiego i zwłok znalezionych w leśnej chacie. Szef jak zwykle podsumował postępy w prowadzonych właśnie sprawach i rozdzielił te nowe, oszczędzając jedynie Zakrzewskiego i nadkomisarza Górę. Pewnie tylko dlatego, że noc była ulgowa. Mogli przez jeszcze jeden dzień skupić się na prowadzonych sprawach, nie rozpraszać się nowymi. Ze wskazaniem na tę jedną.

Przed zakończeniem spotkania Marcin dał znać Łapickiemu, że chciałby z nim porozmawiać na osobności. Oznaczało to, że zaprowadził szefa do swojego pokoju, zgarniając po drodze Norberta Górę. Karina i Szawczak też byli obecni przy rozmowie. Zakrzewski chętnie pozbyłby się Parola na ten czas, jednak uznał, że woli go mieć na oku. Poza tym ciągle oceniał jego zachowanie. Może czekał, aż Szawczak się odkryje i wszyscy zauważą, że jest niezrównoważony i nie nadaje się do pracy? Zastanawiał się, czy nie opowiedzieć Łapickiemu o jego oskarżeniach, lecz pamięć o dawnym Parolu zwyciężyła. Da mu szansę. Może w pracy okaże się tak dobry, jak był kiedyś. Igor Brudny potwierdził, że jest dobry.

Kiedy już wszyscy znaleźli dla siebie wygodne miejsca w niewielkim trzyosobowym pokoju, Marcin zamknął drzwi i odezwał się jako pierwszy.

– Chyba będziemy mieć problem – zaczął, po czym opowiedział o swoim porannym spotkaniu z pułkownikiem Pasiackim.

Gdy skończył, tylko Parol zachował kamienną twarz. Po jego ustach błąkało się nawet coś na kształt złośliwego półuśmiechu. Karina pstrykała nerwowo zapalniczką, Łapicki się zasępił, Góra poczerwieniał z wściekłości.

– Chcesz powiedzieć, że wojsko załatwi temat we własnym gronie i wszystko pozostanie ściśle tajne? – podsumował.

– Tak zrozumiałem tego faceta – przyznał Zakrzewski.

– Tak nie może być. – Norbert pokręcił głową. – Mamy trzy ciała zamordowanych kobiet, Klaudia Kania prawdopodobnie też nie żyje, wyselekcjonowaliśmy kilkanaście potencjalnych innych ofiar, a tymczasem wojsko zamiecie wszystko pod dywan. Przecież mamy największego seryjnego od wielu lat, i co? Zostaniemy z tym gównem?

– Muszę porozmawiać o tym z komendantem – odezwał się cicho Łapicki. – Norbert ma rację. To jest za duża sprawa, żeby mogła pozostać niewyjaśniona. Nawet jak ten skurwysyn nikogo już nie zamorduje, to ja nie mam zamiaru zostać kozłem ofiarnym. Przecież jeśli nie ustalimy sprawcy, w wydziale polecą głowy. Moja i wasze, więc jedziemy na tym samym wózku. Kurwa, tu nawet nie chodzi o stolki i zasługi, po prostu ten zwyrol powinien stanąć przed sądem i zostać skazany w uczciwym procesie.

– Marcin, jesteś pewien, że oni wiedzą, kto to jest? – Karina ostatni raz strzeliła zapalniczką i schowała ją do kieszeni kurtki.

– PasiECKi nie potwierdził, ale też nie zaprzeczył – odpowiedział Zakrzewski i zwrócił się do Łapickiego: – Szefie, może oni już znają jego nazwisko, ale jeszcze go nie mają. Czyli nie wszystko stracone, po prostu musimy dopaść go wcześniej.

– Nie można nie przyznać ci racji, ale potrafisz chyba realnie ocenić nasze szanse. – Góra pokręcił głową ze sceptyczną miną. – Oni znają jego nazwisko, adres zamieszkania i pewnie wiedzą o nim o wiele więcej, a my błądzimy po omacku. Do tego musimy trzymać się cholernych procedur. Wojsko może sprzątnąć gościa po cichu, a my co?

– To nie musi tak źle wyglądać – wtrącił się niespodziewanie Szawczak. – Jeśli nasz zabójca się ukrywa, to wojsko też może mieć problem, żeby go odnaleźć.

– Ale oni wiedzą, sami go wyszkolili. Wiedzą, jak i gdzie będzie próbował się ukryć.

– To nawet gorzej. Jeśli zabójca złamie schemat i będzie ostrożny, to mogą go sobie szukać. Nie zapominajcie, że to jest wojsko. Oni działają według schematów, są nawykli do wykonywania rozkazów, mogą mieć problem z kreatywnym myśleniem i działaniem.

Łapicki spojrzał na Szawczaka z uznaniem.

– W tym, co mówi Gotard, może być sporo racji – przyznał. – Być może nie jest tak źle. Rano dostałem informację od prokuratora Grabskiego. Wykorzystał swoje kontakty w armii i ustalił, że plutonowy Madejski służył w jakiejś małej jednostce na wybrzeżu. Na pewno to nie były jednostki specjalne. Na razie nie wiadomo nic więcej, dowódca jednostki odmówił podania szczegółów przebiegu służby Madejskiego.

– Czyli mamy pewność, że był specjalsem, do tego utajnionym – odezwała się Karina.

– Czyli potwierdzają się słowa tego pułkownika – wpadł jej w słowo Łapicki. – Zrobimy tak: działamy, jakby nic się nie stało.

– Może więcej ludzi? – rzucił nadkomisarz Góra.

– Nie. Przez ostatnie dni wszyscy latali przy tej sprawie. Macie furę raportów i potencjalnych śladów. Przesunę część ekipy do codziennej roboty. Zostajecie wy i kogo tam chcecie do pomocy.

Góra chciał zaprotestować, ale Zakrzewski poparł szefa.

– To ma sens. Mniejsze grupy są bardziej skuteczne.

To była jedna z zasad Zakrzewskiego. Po minie Góry widział, że akurat z tą jego zasadą on zgadza się najmniej. Pomimo wątpliwości zmilczał.

– Naświetlę komendantowi, jak wygląda sytuacja – kontynuował podinspektor. – Niech i on uruchomi swoje kontakty. Może uda się nawiązać współpracę z wojskiem. W normalnej sytuacji pewnie dałoby się to zrobić, ale skoro o tej jednostce wie tylko kilka osób w kraju, pewnie się nie uda. Mimo to niech próbuje. Marcin, zadzwoń do tego pułkownika i zaproponuj mu współpracę. Powiedz, że to twoja prywatna inicjatywa, o której wiem tylko ja. I że chcemy mieć pewność, że facet zostanie unieszkodliwiony. Oczywiście ścisła tajemnica.

– Ryzykowne – mruknęła Karina.

– Nie mamy wiele do stracenia.

– A jeśli to była prowokacja? – rzucił nagle Szawczak.

Obecni na spotkaniu spojrzeli na niego i zamilkli na chwilę.

– Ale po co? – zapytał Łapicki.

– Może to oni głównie wiedzą i chcą nas wykorzystać? Potem załatwią gościa po cichu, a my zostaniemy z ręką w nocniku.

– Tak też może być – przyznał Góra.

– No dobra, nie ma co gdybać, tylko trzeba działać – zdecydował Łapicki. – Podsumowując: działamy jak zwykle, ale jesteśmy ostrożni. Marcin próbuje dogadać się z wojskiem. Jeśli jest tak, jak mówi Gotard, będą chętni do współpracy, a wtedy zastanowimy się, jak nie dać się wydymać. Oczywiście obowiązuje was pełna dyskrecja. Ani pary z gęby, nikomu, nawet z dwoma promilami we krwi. U księdza w konfesjonale też gęba na kłódkę.

Po raz kolejny rozchodzili się z pracy z ponurymi minami. Marcin dogonił podinspektora Łapickiego na schodach. Zatrzymał go, poczekali, aż Góra zniknie za rogiem korytarza piętro niżej, i szef popatrzył na niego pytająco.

– Pułkownik Pasiński miał dostęp do wszystkich naszych akt, nawet tych najnowszych. Nie niepokoi cię to?

Łapicki zmierzył go twardym spojrzeniem. Chyba źle zrozumiał intencje Marcina i przyjął to pytanie jako zarzut do siebie.

– O co ci chodzi? Podejrzewasz mnie? – rzucił cierpko. – Wyluzuj, Zakrzewski, z zasady nie sram do własnego gniazda. Tym bardziej, że to ja pierwszy kładę głowę pod topór.

– Nie twierdzę, że to ty, ale dobrze by było wiedzieć, skąd poszedł przeciek.

– Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Nie podoba mi się Szawczak.

Łapicki podrapał się po łysej czaszce.

– Co z wami jest nie tak? Widzę, jak iskrzy – stwierdził.

– Kiedyś razem pracowaliśmy, ale to już nie ten sam facet – wyjaśnił Marcin. – Oskarżył mnie, że byłem w zмовie z zabójcą, który go postrzelił.

– To jakaś bzdura. – Podkomisarz wzruszył ramionami. – Wiem, jak wtedy było. Lubię wiedzieć, z kim pracuję.

– Ale on mi to powiedział wprost.

Poczekali, aż na schodach znowu zrobi się pusto.

– Będę go obserwował. Ucieszyłem się, że wraca do nas dobry gliniarz z zasadami, nie lubię konfliktów.

– Ja też. Mamy złapać zwyrodnialca, a nie skupiać się na prywatnych wojnach.

– Zostaw to mnie, Zakrzewski, rób swoje i nie zwracaj na niego uwagi.

Marcin patrzył na niego przez moment, wreszcie skinął głową z wyraźną niechęcią.

– Nawet jeśli to nie Parol, to dalej mamy problem do rozwiązania – powiedział.

– Wiem, o czym myślisz. Jeśli maczał w tym palce sam komendant wojewódzki, też mamy przesrane. Zanim wywalę mu temat, najpierw spróbuję wybadać, co o tym wie. Tak czy inaczej muszę z nim porozmawiać. Niezależnie poproszę zaufanego człowieka, żeby ostrożnie rozpytał, kto wyjątkowo mocno interesował się całością akt ze sprawy.

– Nie uważasz za podejrzane, że Parol przeniósł się do nas akurat teraz? Nie wiem, jak po takim urazie udało mu się wrócić do pracy w policji, nie wiem, kto za nim stoi i jaki ma cel. Telefonowałem do znajomego z Zielonej Góry i ostrzegł mnie, żebym na niego uważał. Pozwól mi prześwietlić Szawczaka.

– Masz moje błogosławieństwo, tylko zrób to delikatnie. Nie chcę stanąć w sytuacji, w której będę musiał wybierać: on czy ty.

– J-jasne. Ja też nie pracuję w kryminalnej od wczoraj.

Łapicki bez słowa ruszył schodami w górę.

– Szefie!

Podinspektor odwrócił się i spojrzał pytająco na Zakrzewskiego. Ten pokazał gestem, że ma jeszcze jedną sprawę i raczej nie chciałby być słyszalnym na dwa piętra. Łapicki wrócił niechętnie.

– Może na własną rękę spróbujemy znaleźć pułkownika Pasickiego? – zasugerował Marcin.

– Masz jakiś pomysł?

– Zwykle czynności operacyjne – rzucił Zakrzewski enigmatycznie, ale przecież to wystarczyło, żeby drugi gliniarz zrozumiał.

– Możemy spróbować.

Łapicki zrobił taki gest, jakby chciał odejść, ale Marcin chwycił go za ramię i zajrzał w oczy.

– Tylko nie chciałbym za to w przyszłości beknać – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Jeśli przez te działania wyląduję kiedyś w szambie, chciałbym mieć gwarancję, że mój szef wyciągnie do mnie rękę i nie pozwoli się utopić.

– Uczciwe – ocenił naczelnik. – Ale może się zdarzyć, że moja ręka będzie za krótka.

– To ty chodzisz na narady do komendanta wojewódzkiego, że o wspólnej wódce nie wspomnę.

Łapicki przez chwilę się zastanawiał, chociaż Marcin był przekonany, że decyzja została już podjęta. To był tylko teatrzyk na jego użytek. Nareszcie trafił im się naczelnik, który pracę operacyjną miał we krwi i nie bał się podejmować trudnych decyzji. Tylko czy weźmie na klatę ewentualne negatywne konsekwencje? Tego Zakrzewski nie mógł być pewien.

– Działaj, ale mam jeden warunek. Zapytaj mnie, zanim przyjdzie ci do głowy coś głupiego.

– Uczciwe – rzucił Zakrzewski, jak Łapicki przed chwilą.

Potem patrzył, jak szef wchodzi po schodach na piętro i znika mu z oczu. Zastanowił się jeszcze przez chwilę, po czym wyciągnął telefon

i wybrał właściwy numer z listy kontaktów. Cichocki od lat był jego przyjacielem i jednym z najbardziej zaufanych kolegów z policji. Zakrzewski uratował mu kiedyś życie i teraz Cichocki ciągle powtarzał, że ma u niego dług wdzięczności.

– Cześć Cichy – przywitał się. – Potrzebuję twojej pomocy.

Kilka minut później Marcin wrócił do swojego pokoju, gdzie zastał tylko Karinę pochłoniętą przeglądaniem stosu papierów. Ponownie wyciągnął aparat, a przed sobą na biurku położył biały kartonik od Pasickiego. Po długim wahaniu wpisał numer i wcisnął zieloną słuchawkę. Kobiety głos poinformował go, że połączenie nie może być zrealizowane, ponieważ nie można zlokalizować odbiorcy. Marcin zastanowił się, czy nie napisać wiadomości z prośbą o kontakt, ale zrezygnował. Miał dziwne wrażenie, że to był jego pierwszy i ostatni kontakt z tajemniczym pułkownikiem. Pozostawało jedynie pytanie: po co? Przecież Pasicki mógł tę sprawę załatwić po cichu i nikt by się nie dowiedział. Cholera, o co tu chodzi?

Musiał nieświadomie przekląć na głos, ponieważ Karina podniosła głowę i spojrzała na niego pytająco.

– Niepokoi cię motyw?

Miała rację, chociaż on w tej chwili myślał o czymś innym. Ustalenie motywu działania było jedną z podstawowych zasad prowadzenia śledztwa w sprawie zabójstwa. A co oni w tym przypadku mieli? Znowu zagadkę, której rozwiązanie było trudno znaleźć.

– To też – przyznał. – Masz jakieś pomysły?

– Czekamy na opinię psychologa, ale wiesz dobrze, o co mi chodzi. Mamy dwa wykluczające się motywy. Porwania i zabójstwa na tle seksualnym mieszają się z motywem wyrafinowanej zemsty. Tego się nie da połączyć. Seksualni maniacy nie działają w taki sposób, żeby wymusić na ofierze samobójca.

– Może się da? – mruknął.

– Jak?

– A jeśli to mistyfikacja? Wcześniejsze ofiary miały na celu odwrócenie naszej uwagi od zemsty na Madejskim. Być może miały też służyć zmyleniu tropów. Nie zapominaj, że jeśli sprawcą jest były lub obecny żołnierz z oddziału specjalnego, mógł wiedzieć, że będzie go ścigał dowódca, a kto wie, może i wszyscy koledzy.

– Brzmi mało wiarygodnie. To jest za skomplikowane, nie dałoby się tego zorganizować. – Pstryknęła zapalniczką.

– Niczego nie możemy wykluczyć. – Marcin założył ręce za głowę i odchylił się na krześle. Chętnie założyłby nogi na biurko, ale się powstrzymał. – Może plan był taki, żeby wojsko nigdy się nie dowiedziało, że na Madejskim mści się jego były kolega z oddziału. To miało szansę się udać.

– Marcin, kto gwałci i zabija trzy kobiety, żeby zemścić się na znienawidzonym koledze? Nie zapominaj, że mamy jeszcze inne zaginięcia, idealnie pasujące do jego schematu działania. Z trzech może zrobić się ponad dziesięć. Jakim trzeba być potworem, żeby tak działać?

– Wiesz, że największym potworem, jaki kiedykolwiek chodził po tym świecie, jest człowiek. Pomyśl, czy żołnierz jednostek specjalnych, który uczestniczył w wielu akcjach, widział, jak giną jego koledzy, sam pewnie zabijał bez namysłu, pasuje na psychopatę. Moim zdaniem idealnie. Zemsta na Madejskim może być efektem działania impulsywnego. Nigdy tego nie planował, ale nagle wpadł mu do głowy taki pomysł. Może zobaczył gdzieś Klaudię Kanię i okazało się, że jest dokładnie w jego typie. Ale żeby zyskać pewność, że w Madejskim nie będzie miał śmiertelnego wroga, który będzie go odtąd chciał zabić, zadział tak, żeby go wyeliminować.

– Dlaczego po prostu go nie zabił?

– Może się go bał albo wiedział o nim coś, czego my nigdy nie będziemy wiedzieć. Zauważ, że porwał Kanię zaraz, jak tylko wróciła do Polski. Może na to czekał?

Karina pstryknęła zapalniczką i spojrzała na niego z błyskiem w oku.

– Może sprawca już wcześniej był zakochany w Klaudii Kani i dlatego mordował kobiety do niej podobne? Potem skorzystał z okazji, że wróciła.

Zakrzewski pokiwał głową.

– Dobrze jest czasem wypowiedzieć na głos kilka hipotez – skwitował. – Tylko gdzie jest ukryte ciało Klaudii Kani?

– Mam nadzieję, że będziemy musieli długo czekać, zanim ktoś je znajdzie.

– Zobaczymy – mruknął Marcin i nagle coś przyszło mu do głowy.

Co powiedziała mu dzisiaj Renata o Parolu? Że swoim atakiem na Zakrzewskiego próbował odwrócić jego uwagę. Tylko od czego? Co Szawczak robił wtedy przy stole? Przeglądał jakiś notes albo kalendarz, a obok leżał album ze zdjęciami.

– Karina, są jakieś zdjęcia Madejskiego w aktach? – zapytał.

– Całe mnóstwo. Mieli dużo wywołanych, ale jeszcze więcej na dysku w komputerze. Wszystkie są załączone do akt.

Zakrzewski bez słowa zalogował się do policyjnej sieci, znalazł akta Madejskiego i rzeczywiście, w jednym z załączników był zbiór fotografii. Ponad setka zdjęć z prywatek i spacerów po Londynie. Otworzył pierwsze. Klaudia Kania stała na tle charakterystycznego budynku dworca King's Cross. Uśmiechała się zalotnie do osoby fotografującej. Poczul ucisk w piersiach. O co w tym wszystkim chodzi? Przeglądał zdjęcia, a jego myśli zaczęły krążyć po własnych orbitach. Oskarżenia Parola obudziły w nim dawno uśpione demony.

Znowu był w domu swoich rodziców, kiedy przyszedł tam zabójca. Znowu widział jego puste spojrzenie i wycelowaną w siebie broń. Wtedy na chwilę w tamtych oczach zobaczył ludzkie uczucia, ale to był moment i ktoś, kto na chwilę pojawił się w tych oczach, zniknął na zawsze. Został tylko bezwzględny zabójca, którego obraz nie opuści go do końca życia. Potem usłyszał wystrzał. Zacisnął oczy i przypomniał sobie ojca leżącego na ziemi z przestrzelonym barkiem i wściekły warkot psa w tle. I matkę, która patrzyła na całe zajście smutnym wzrokiem.

Matka zmarła ponad rok temu i została pochowana w miejscu, gdzie znajdował się symboliczny grób jego brata bliźniaka. Grób można było już

zlikwidować, a miejsce na pochówek zdawało się wtedy idealne. Żeby zatrzeć ślady przeszłości. Teraz, z perspektywy czasu, zmienił zdanie. Tamto miejsce na cmentarzu w Szczepanowie powinno już na zawsze pozostać puste. Ku przestrodze, aby pamięć o złych rzeczach nigdy nie zagięła. Jeśli zło zostaje zapomniane, szansa na to, że kiedyś wróci, jest bardzo duża. Dlatego trzeba pamiętać.

Jego ojciec uważał inaczej. On chciał pamiętać tylko swoją żonę i nic więcej, resztę wymazał z głowy. Mieszkał cały czas w domu na Lipnickiej, chodził na długie spacery z psem, a wieczorami pił wódkę. Może właśnie po to, żeby nie pamiętać. Marcin czasem go odwiedzał, ale próby poprawienia rodzinnych relacji się nie udały. Traumatyczne przeżycia z przeszłości zbudowały między nimi niedostrzegalny mur, na tyle trwały, że nie dało się go zburzyć. Kiedy ostatnio odwiedził ojca? Dawno. Obiecał, że przyjedzie z Renatą, lecz jakoś się nie złożyło. Pewnie gdyby bardzo chciał, dałoby się to zorganizować. Ale chyba podświadomie nie chciał. Zaczął z Renatą nowe życie, w którym nie było miejsca na cienie z przeszłości.

Nagle ocknął się z zamyślenia. Coś było w tych zdjęciach. Zobaczył to, ale w pierwszej chwili nie zrozumiał, co widzi. Jakiś bardzo istotny szczegół. Znamą twarz. Tak, chyba tak. Zaczął przewijać fotografie do tyłu, skupiając się bardziej. Cofnął przeglądanie o pięć zdjęć, potem o dziesięć i jeszcze kilka. Chińska restauracja, Downing Street 10, pałac Buckingham, tort urodzinowy z zapalonymi świecami. Nic, co by wywołało jego niepokój. Już chciał zrezygnować, ale kliknął jeszcze dwa razy i nagle zrobiło mu się gorąco.

To była grupowa fotografia z jakiegoś pubu. Dziesięć osób tłoczyło się wokół stolika z szerokimi uśmiechami na twarzach i drinkami w dłoniach. Marcin zwrócił uwagę na mężczyznę stojącego trochę z tyłu. Uśmiechał się, lecz nie tak szeroko jak inni. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Przetarł twarz dłonią i odchylił się gwałtownie na krześle. Karina od razu zwróciła na niego uwagę.

– Co się stało? – rzuciła zaniepokojona. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Zakrzewski odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, ponieważ przez głowę przegalopował mu tabun myśli. Jednak żadna nie okazała się na tyle istotna, żeby skupić na niej swoją uwagę.

– Chodź i sama zobacz. Tu. – Wskazał palcem osobę na fotografii.

Karina nachyliła się nad ekranem i wypowiedziała słowa, które mogły z powodzeniem kandydować do miana najpopularniejszego zwrotu w kraju:

– Kurwa mać!

14.

Wasył siedział w swojej chacie przy zniszczonym stole i palił papierosa za papierosem. Zanim zdążył skrócić drugiego, ten pierwszy łądował w słoiku po majonezie wypełnionym do połowy wodą. Siwy dym snuł się pod pożółkłym sufitem z łuszczącą się farbą, ale dziad na nic nie zwracał uwagi. Tylko na złe myśli w swojej głowie i na trudną do zwalczenia pokusę, która nagle zakiełkowała mu w duszy.

Myślał, że ma to już za sobą, że już nigdy do tego nie wróci. Do tragicznych wspomnień śmierci, cierpienia i swojego zmarnowanego życia. Od-siedział całą karę, wyszedł z więzienia jako inny człowiek. Józef Wasyluk, przystojny i wesoły chłopak z optymizmem patrzący w przyszłość, został już na wieki za kratą. Zastąpił go dziad Wasył, ponurak i dziwak ukrywający się przed całym światem w starej chacie po swoich rodzicach i stroniący od ludzi.

W Kamiennej nikt się temu za bardzo nie dziwił. Przecież musiał odpokutować za grzechy, szczególnie ten najcięższy, za który trafił na wiele lat do więzienia o zastrzonym rygorze. Bo podobno był groźny. Tak naprawdę jednak chodziło tylko o to, żeby się go pozbyć, żeby nikt nie zaglądał do akt tamtej sprawy, żeby Wasyluk zniknął, przepadł i nigdy nie wrócił. I tak po części się stało. Nie było już Józefa Wasyluka.

Nalał samogonu do szklanki i wypił od razu połowę, czując, jak płynna lawa wlewa mu się przez przetyk i pali żołądek. Miał wrzody, nie powinien pić alkoholu, ale jak tu nie pić na tym popierdolonym świecie, gdzie nic nie jest takim, jakim się wydaje, gdzie nic nie jest takie, jakie być powinno. Gdzie wygrywa kłamstwo, rządzi podłość, gdzie sprawiedliwość nie ma szans w starciu z układami i manipulacją, gdzie wszyscy są ofiarami. Ludzie myślą, że poniósł zasłużoną karę? Gówna wiedzą! W jego życiu wszystko było na odwrót. Odpokutował za grzechy, zanim je jeszcze pope-

łnił, a teraz nastał czas nierównowagi. Bo nie ma winy bez kary i kary bez winy, w dowolnej kolejności. Skoro odpokutował ciężki grzech, to teraz może go bezkarnie popełnić. Żeby świat się naprawił, a równowaga wróciła.

Wypił do końca alkohol, dolał sobie obficie kolejną porcję, sięgnął do szuflady i wyciągnął nóż. Ostrze było długie, lśniące i bardzo dobrze zastrzone, rękojeść z kości słoniowej bogato zdobiona. Ten nóż był w ich rodzinie od niepamiętnych czasów. Podobno jakiś pradziad Wasyluka dostał go w nagrodę za dzielną postawę w zapomnianej bitwie, w jakimś trudnym do zidentyfikowania powstańczym zrywie przeciw zaborcy. Taka przynajmniej była rodzinna legenda. Czas na zawsze zatarł ludzką pamięć. Teraz nóż napisze swoją nową historię. Na pewno krwawą, ale dzięki temu równowaga powróci do świata. Do świata Józefa Wasyluka, którego nazywano dziadem Wasylem, bo pewnie nikt w okolicy nie pamiętał już jego imienia i nazwiska. Bo przecież ktoś, kto popełnił tak straszną zbrodnię i zrujnował życie wielu osób, musi wreszcie ponieść zasłużoną karę, zapłacić krwią za przelaną krew. Takie są odwieczne prawa. Nie można pozostawać bezkarnym.

Kiedyś w więzieniu, kiedy jeszcze wierzył w Boga, wyznał prawdę księdzu. Kapłan stwierdził, że ludziom nie wolno samym wymierzać sprawiedliwości, to może tylko Pan Bóg na Sądzie Ostatecznym. Wtedy uwierzył, ale teraz nie zgadzał się z takim twierdzeniem. A jeśli Boga nie ma i nie będzie Sądu Ostatecznego? Kto wtedy wymierzy sprawiedliwość mordercy? Nikt, ten zły człowiek pozostanie bezkarny. A przecież za swoje czyny trzeba zapłacić. Skoro nie ma sędziego w niebiosach, musi znaleźć się sędzia na ziemi. I Wasyl w końcu dojrzał do tego, żeby takim sędzią zostać.

Może wcale by się nie zdecydował, bo w gruncie rzeczy i wbrew ludzkiemu gadaniu był dobrym i wrażliwym człowiekiem. Nigdy nie skrzywdziłby nawet muchy, jednak kiedy śmierć znowu zagościła w jego życiu, coś w nim pękło. Gdyby jego chrześnica nie zabiła swojego męża, pozostałoby tak, jak jest, już do końca jego nędznego życia, ale nie pozostanie.

Zastanowił się, czy jeszcze chce mu się żyć. Długo się zastanawiał. Całe dwa miesiące. I wreszcie doszedł do wniosku, że już mu się nie chce. Czyli jest wolny, niczym nieskrępowany i może dokonać zemsty. Pokusa stała się nie do zniesienia, nie pomagała wódka, papierosy i modlitwa do Stwórcy, w którego i tak przecież nie wierzył.

Już raz miał taką pokusę. Kiedy chłopcy ze wsi poszukiwały na bagnach doktora Bernatowicza. Obserwował ich, stojąc w strugach deszczu za krzakami. Patrzył, jak przygotowują się do poszukiwań, a potem jak świecą latarkami po bagnach. To wtedy przyszła ta pierwsza pokusa. Widząc, że wśród nich jest ten, który zrujnował mu życie, nie mógł się opanować. Idealny czas na zemstę, nikt w ciemnościach by nie zauważył, nikt by nawet go o to nie podejrzewał. Był dziwakiem, to fakt, był skazany, to też fakt, ale niczego by mu nie udowodnili. Zabiłby, a potem napił się bimbrowu i poszedł spać. To byłoby dobre alibi.

Poszedł do domu po nóż z rączką z kości słoniowej, zakradł się, kiedy nikt go nie widział, podskoczył do tamtego i... w ostatniej chwili dostrzegł pomyłkę. Nie było już odwrotu, więc pchnął tylko Janka Makarewicza w wielką kałużę wody i uciekł. Potem błogosławił ten przebłysk rozsądku, który kazał mu zatrzymać cios na sekundę przed uderzeniem. Zabiłby niewinnego człowieka, pomylił się, byłby już na zawsze przeklęty, nierównowaga na świecie zrobiłaby się jeszcze bardziej nieznośna. Dlaczego wtedy pomylił chłopaka z tamtym? Może zaślepiła go nienawiść, pokusa zagłuszyła zdrowy rozsądek i przyćmiła wzrok? Pewnie tak było. Pewnie też młody Makarewicz był trochę podobny z postawy do tamtego, kiedy on był jeszcze młody i zabił. Wszystko po trochu. Na szczęście nic złego się nie stało.

Teraz jednak pokusa wróciła, jeszcze silniejsza i jeszcze bardziej trudna do opanowania. Nie było już odwrotu, nic go nie powstrzyma. Dokona zemsty, a potem przecież już nie musi żyć. Swoje przeżył. Tragicznie, ale godnie.

Wreszcie skończyły mu się tytoń, samogon i przytomność, kiedy zasnął na stole, ściskając długi nóż z rzeźbioną rękojęcią.

– Na cholere grzebać w takich starociach!

Aspirant Roszyk rzucił na stół dwa grube tomy akt z takim impetem, jakby zamierzał wzniecić jak największy obłok kurzu. Komisarzowi Wiktorskiemu nie spodobała się złośliwość kolegi z komendy, który w ten sposób wyraził swoje niezadowolenie z tego, że musiał poświęcić czas i sprowadzić z magazynu akta ze śledztwa, które zakończyło się skazaniem Wasyluka.

– Z ciekawości – mruknął w odpowiedzi.

– Twoja ciekawość się trochę postarzała – rzucił młodszy kolega.

– Bo ja sam stary jestem.

Roszyk wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju. Wiktorski nie do razu otworzył pierwszy tom zapakowany w szarą kopertę, z dwoma pionowymi czerwonymi paskami, sygnaturą i nazwą, pod jaką funkcjonowała tamta sprawa: „Morderstwo w Kamiennej”. Jak tytuł jakiegoś kryminału. Chociaż widział już lepsze: „Bestia ze Środy” albo „Rzeźnik z Sudetów”. Oj, ten rzeźnik dał im się we znaki, chociaż na szczęście udało mu się zabić i poćwiartować tylko dwie ofiary. Sześć innych zdołało mu uciec z niewielkimi obrażeniami i dlatego sprawca dość szybko wpadł, mimo dużych problemów w tamtym śledztwie. Niektórzy koledzy nazywali go w żartach „Sierotą z Sudetów”, nie bacząc na to, czy takie żarty były w ogóle na miejscu.

Najpierw zrobił sobie kawę. Od lat pił tylko rozpuszczalną, mimo że wszyscy powtarzali mu, że zawiera śladowe ilości kofeiny, a znajdujące się w niej związki chemiczne zrujnują mu żołądek. No i co z tego, skoro on lubił kawę rozpuszczalną? Na coś, do jasnej cholery, trzeba umrzeć, a ten pieprzony świat jest tak skonstruowany, że wszystko, co sprawia człowiekowi przyjemność, jest szkodliwe dla zdrowia. Kawa, wódka, fajki, nie ma co sobie odmawiać.

Kiedy Józef Wasyluk został oskarżony o gwałt na swojej narzeczonej Janinie Owczarskiej, Wiktorski dopiero zaczynał pracę w Milicji Obywatelskiej. W małej gminnej komendzie układy były koszarne, on – jako nowy – znalazł się na samym końcu łańcucha pokarmowego i tak naprawdę nie

było osoby, która byłaby do niego nastawiona pozytywnie. Koledzy pomia-
tali nim, dostawał najgorsze służby, świątek, piątek czy niedziela, bo prze-
cież młody musiał sobie zasłużyć. Sam teraz nie wiedział, jak przeżył tamte
lata korupcji, polityki i totalnego olewania roboty przez przełożonych. Naj-
ważniejsze było, żeby napęlić kieszenie kasą i szybko łapać przestępców.
Co z tego, że czasem przed oblicze sądu trafiali niewinni na podstawie
spreparowanych dowodów? Jak mawiał mu wtedy jego przełożony: „Wszy-
scy tu, kurwa, są czemuś winni, więc co za różnica kogo posadzimy?”.

Sprawa Owczarskiej była jedną z jego pierwszych tak poważnych, w któ-
rych uczestniczył. Miał jeszcze głowę pełną ideałów, ufał doświadczonym
kolegom i jak oni powiedzieli: „winny”, to on w im wierzył. No i bardzo
szybko ustalili, że winnym jest Józef Wasyluk. On znalazł ciało, Janina była
jego dziewczyną, z którą ostatnio się kłócił, jak zeznali sąsiedzi z Kamien-
nej, i tenże Wasyluk nie potrafił sensownie wytłumaczyć, gdzie był i co ro-
bił w chwili popełniania przestępstwa. Komisarz pamiętał słowa jednego
ze starszych śledczych po pierwszym przesłuchaniu Wasyluka w kome-
ndzie, na chwilę przed jego aresztowaniem: „To na pewno on. Już się, chu-
jek, nie wywinie”. No i się nie wywinął. Pech chciał, że pobita podczas bru-
talnego gwałtu dziewczyna po dwóch dniach w szpitalu dostała krwotoku
wewnętrzznego i zmarła. Może gdyby zawieźli ją do Wrocławia, miałyby ja-
kieś szanse, ale wylądowała w cieszącym się złą opinią szpitalu w Środzie
Śląskiej. Lekarzowi się nie chciało, potem do ostatniej chwili zwlekali
z operacją, bo chirurg się spóźnił, i zakończyło się tragicznie. Prokurator
powiązał śmierć Owczarskiej z gwałtem i wtedy już nie było zmiłuj. Takie
były czasy, że gwałt nie był jakoś szczególnie surowo karany, sprawcy nie-
jednokrotnie umykali sprawiedliwości, korzystając z pobłażliwości
sędziów, jednak jeśli w grę wchodziła śmierć, kaliber sprawy był zupełnie
inny.

Wiktorski pamiętał przesłuchania Wasyla, które się wtedy zaczęły. Były
wyzwiska, straszenie, bicie, wymuszanie zeznań. Wasyluk się nie złamał
i do końca twierdził, że jest niewinny, tylko że było już za późno. Wszystko
wskazywało na niego. Tak przynajmniej wtedy słyszał Wiktorski. Sam nie

uczestniczył w końcowej fazie śledztwa, po aresztowaniu, był młody, więc ganił go do każdej pierdoły, do której nie chciało się jechać starszym kolegom.

To właśnie z tego powodu po rozmowie z Wasylem Wiktorski poczuł ucisk w żołądku i klatce piersiowej. W gruncie rzeczy był dobrym człowiekiem, który dla ludzi mieszkających w jego rewirze chciał jak najlepiej. To dlatego został w Środzie jako dzielnicowy, mimo że mógł awansować do województwa. I to dlatego jako jedyny z pracowników Komendy Powiatowej Policji w Środzie Śląskiej przeszedł pozytywnie weryfikację, gdy zmieniła się władza i Milicja Obywatelska stała się Policją. Był dobry, więc teraz zdławiły go nagłe wyrzuty sumienia.

Józef Wasyluk dostał wyrok wieloletniego więzienia w warunkach zastrzonego rygoru, jako więzień uznany za szczególnie niebezpiecznego. Odsiedział swoje i wbrew logice wrócił do Kamiennej. Mieszkańcy przyjęli go bardzo niechętnie, bali się go, straszili dzieci mordercą, była nawet nieskuteczna próba podpalenia jego domu. Wreszcie, kiedy zobaczyli, że stał się odludkiem i nikogo nie krzywdzi, przyzwyczaili się. Pewnie też dlatego, że rodzina Owczarskich w trakcie lat jego odsiadki wyprowadziła się do innej części kraju, dom został pusty i nie miał kto podburzać ludzi przeciw Wasylowi.

Wiktorski wyrzucał sobie, że przez ostatnie dekady nie pomyślał nawet o Wasyluku. Ot, odsiedział sprawiedliwy wyrok, wyszedł na wolność i żyje spokojnie, nie wadząc nikomu. Teraz, rozpamiętując ówczesną sytuację w MO, stracił pewność, że stała się sprawiedliwość.

Upił łyk gorącej kawy z czterema łyżeczkami cukru i otworzył stare akta. Zmusił się, żeby wrócić pamięcią do tamtych czasów. Janina Owczarska wracała z przystanku autobusowego. Kiedyś był taki na żądanie przed Brodnem, skąd szutrową drogą było najbliżej do Kamiennej. Był sierpniowy wieczór, ciepło i pogodnie. Mniej więcej w połowie drogi została napadnięta, pobita i zgwałcona. Znalazł ją Józef Wasyluk. Czekał na nią pod jej domem i zaniepokojony, że minęła już godzina od ostatniego pekaesu, a ona wciąż nie dotarła do domu, poszedł jej szukać. Była w szoku, półprzy-

tomna i krwawiąca. Zaraz wezwano pogotowie i milicję. Milicja zdołała Janinę przesłuchać tylko raz, zanim jej stan się pogorszył. Opowiedziała o tym, jak się pokłóciła z Wasylukiem, nie wiedziała, kto ją napadł, bo nic nie mówił. Był za to silny i dobrze zbudowany – jak Wasyluk.

Potem pojawili się świadkowie, którzy widzieli Józefa tamtego wieczora w okolicy drogi i przystanku autobusowego. Wiktorski ze zdziwieniem znalazł protokół z przesłuchania Marczaka. To on zeznał, że widział Wasyluka. Pojawiły się też zeznania innych, według których Wasyluk wyglądał tego dnia jak chmura gradowa i krążył po całej wsi bez celu, jakby szukał zaczepki. Sam podejrzany nie potrafił wyjaśnić tych rewelacji. Twierdził, że nie był w okolicach przystanku, po wiosce, owszem, chodził, ale nikogo nie zaczepiał, Janina była na niego obrażona, ale to nie było nic wielkiego, zgwałcić jej nie mógł, bo ją kochał, więc nie ma mowy, żeby zrobił jej krzywdę. Odgrażał się, że jak wyjdzie z aresztu i znajdzie prawdziwego sprawcę, to go zabije i sam się na milicję zgłosi, żeby nie robić im kłopotu, bo po śmierci dziewczyny dla niego życia już nie ma. Takie oświadczenia wcale mu nie pomogły, wprost przeciwnie.

Na miejscu przestępstwa nie zabezpieczono żadnych istotnych śladów. Bo to przecież chodziło o gwałt, a nie o zabójstwo. Zrobiono wizję lokalną z Wasylukiem, podczas której podobno pokazał, jak napadł Owczarską, ale nie podpisał się pod protokołem, więc pewnie cała wizja była milicyjną ustawką.

Gdy dzielnicowy czytał te akta, coraz bardziej był przekonany, że Józef Wasyluk został kozłem ofiarnym, a prawdziwy sprawca uniknął kary. Może nie do końca przekonany, tak pół na pół. Bo przecież było kilka zeznań świadków obciążających Józefa, jego niejasne wyjaśnienia, gdzie był i co robił, a doświadczenie Wiktorskiego też podpowiadało mu, że każdy oskarżony broniłby się tak samo jak Wasyluk.

Był jednak sposób na to, żeby uzyskać pewność. Wiktorski upchnął akta w szafce i wyszedł z komendy, rzucając zdawkowe pożegnanie młodemu mundurowemu w dyżurce. Było już dawno po godzinach pracy. Poszedł Wrocławską w dół do Biedronki wybudowanej kilka lat temu w miejscu

dawnego dworca PKS. Kupił flaszkę i poszedł dalej na Mostową, gdzie w jednym z czteropiętrowców mieszkał prokurator prowadzący tamto śledztwo.

To była właśnie zaleta małych miasteczek – stąd raczej nikt nie emigruje po przejściu na emeryturę. Tu się zostaje już do śmierci. A prokurator Kurzajski był bliski śmierci. Właściwie to był cud, że w wieku siedemdziesięciu jeden lat miał jeszcze trzustkę, wątrobę, żołądek, płuca, chociaż pewnie lekarz robiący mu USG musiałby się mocno namęczyć, żeby te organy dojrzeć. Lata nałogowego pochłaniania alkoholu wszelkiego gatunku, łącznie z tym najpodlejszym, spowodowały ich zanik. Miał tylko nadzieję, że Kurzajski wciąż ma kontakt ze światem zewnętrznym. Bardziej byłoby mu na rękę, żeby dawny prokurator był trzeźwy i bardzo chciało mu się pić. W jego stanie takie pragnienie było lepsze niż serum prawdy.

I na szczęście tak właśnie było.

Mieszkanie przypominało melinę. Kiedy żona Kurzajskiego jeszcze żyła, jakoś to wyglądało, jednak odkąd jej zabrakło, z roku na rok obracało się w ruinę. Teraz nie dość, że wyglądało na nigdy niesprzątane, to w dodatku śmierdziało stęchlizną i czymś jeszcze. Pewnie niezbyt przyjemnym, o czym Wiktorski nawet nie myślał.

Dawny prokurator wyglądał jak szkielet obciążony żółtym plastikowym workiem upstrzonym milionem starczych plam. Oczy miał jak mętne kulki żelowe, które w każdej chwili mogły wypłynąć z oczodołów, zaś głowę nierówno porastała siwa szczecina, jakby jakiś złośliwy chirurg plastyczny przeszczepił mu tam włosy ze szczotki do podłogi. Kurzajski nigdy nie był wysoki ani dobrze zbudowany, jednak komisarz pamiętał go z dawnych czasów jako eleganckiego mężczyznę w nienagannie skrojonym garniturze i dzierżącego czarną tęczkę ze skóry. Co prawda już wtedy tego popijał, ale takie były czasy. Kto wtedy nie pił?

Kurzajski zaprowadził go do kuchni, rękawem brudnego dresu przetarł jeden ze stołków i usiadł naprzeciw policjanta, nerwowo mierzwiąc włosy. Ten już widział ten błysk nadziei w jego żelowych oczach i uśmiechnął się w duchu. Lepsze niż serum prawdy.

– Mam trochę nieporządek – bąknął były prokurator na usprawiedliwienie.

– Nie szkodzi. Nie pracuję w sanepidzie.

Śmiech gospodarza zabrzmiał niczym drapanie pazurami po arkuszu zardzewiałej blachy.

– To czego chcesz?

– Pamiętasz sprawę Józefa Wasyluka z Kamiennej?

Kurzajski nagle spochmurniał.

– Jak przyszedłeś tu mącić mi spokój, to spierdalaj, nie mam czasu.

Wiktorski wyciągnął z reklamówki flaszkę, postawił ją na stole i, jak aktor w reklamie, strzepnął niewidzialny pyłek z etykiety. Postawa gospodarza nagle uległa przemianie. Niczym pies, który szczeka i warczy, a sekundę potem wdzieczy się, widząc w dłoni pana przekąskę.

– Jak było naprawdę? – zapytał policjant.

– Nie pamiętam już – rzucił Kurzajski na odczepnego, pożądliwie wpatrując się w butelkę.

– Jak sobie przypominisz, wódka jest twoja.

Blady język oblizwał spieczone wargi. Emerytowany prokurator przypominał teraz Golluma zapatrzzonego w pierścień.

– No, było jak było, czasem, kiedy sprawa była oczywista, można było pójść na pewne ustępstwa. Wiesz przecież, pracowałeś już wtedy w milicji.

Policjant nie odezwał się, więc jego rozmówca zaczął się wić jak piskorz.

– No, przecież wszyscy wiedzieli, że Wasyluk to zrobił. Sam się nie przyznał, ale było sporo świadków, niezbite dowody, to szybko zakończyliśmy postępowanie i akt oskarżenia poszedł do sądu. Prosta sprawa. Zresztą z tego co wiem, to już odsiedział i ma się dobrze.

– Przyklepaliście mu ten gwałt – stwierdził komisarz, chwytając za butelkę, jakby zamierzał ją zabrać.

– No tak. Liszowski naciskał, żeby w tym nie grzebać, bo jeszcze coś wygrzebię. – Były prokurator nareszcie zdecydował się mówić szczerze. – Nie

wiem, czy dobrze pamiętam, ale chodziło o jakiegoś znajomego albo kogoś z rodziny. No wiesz, powiedział, że nic złego go nie może spotkać, bo to sprawa honorowa jest, czy jakoś tak.

Wiktorski poczuł mdłości. Major Liszowski za komuny przez wiele lat rządził niepodzielnie tutejszą komendą. Był nie do ruszenia, mocno umocowany politycznie w Komitecie Wojewódzkim PZPR, uwikłany we wszystkie lokalne nieformalne układy i koterie. Był tak znienawidzony, że pierwszy wyleciał po zmianie ustroju. Były nawet plany, żeby szybko i skutecznie postawić go przed sądem za nadużycia, ale udało mu się wywinąć. Zamieszkał na cmentarzu komunalnym w Środzie Śląskiej, zanim postawiono mu zarzuty. Skutecznie uciekł sprawiedliwości, sukinsyn. Mówiono, że to był zawał, choć pojawiały się różne plotki. Według niektórych za dużo wiedział, dawni koledzy mu nie ufali i pomogli mu się przeprowadzić do nowej kwatery, sześć stóp pod ziemią. Tylko nikomu nic nie udowodniono, może nawet za bardzo nie dociekano, a kiedy go zabrakło, zostało po staremu. Stare lisy szybko się przefarbowały i dalej rządziły gminą, potem całym powiatem. Taka typowa postkomunistyczna rzeczywistość.

– Było więcej takich gwałtów? – zapytał przez ściśnięte gardło Wiktorski.
– Dzięki skazaniu Wasyluka mogliście odtrąbić sukces.

– No tak – niechętnie przyznał gospodarz. – Ale ja tam nic nie wiedziałem. Liszowski wszystkim trząsał. Ja wolałem robić, co mi każą, i się nie wychylać. Wiesz, jak twój były szef skończył. Na cmentarzu. Po co mi to było? Za dużo kwasów, złej krwi, a ja chciałem normalnie. No wiesz.

– Kurwa, wiem – powiedział twardo Wiktorski.

Wstał, szybkim ruchem zgarnął ze stołu butelkę i skierował się do wyjścia. Usłyszał za sobą błagalny okrzyk:

– Przecież powiedziałem!

Zawrócił, odstawił butelkę i wyszedł, trzaskając drzwiami. Miał nadzieję, że tym razem Kurzajski zapije się na śmierć, choć wiedział, że w życiu nie ma takich prostych rozwiązań dla trudnych sytuacji.

Szybkim krokiem wrócił do komendy, bez słowa przeszedł przed zdziwionym dyżurnym i zniknął w pokoju, który dzielił z dwoma innymi dziel-

nicowymi. Odpalił komputer i zalogował się do wewnętrznej sieci policyjnej. W zdigitalizowanej bazie niewyjaśnionych przestępstw wyszukał te, które interesowały go najbardziej. Między rokiem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym a tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym, kiedy zgwałcono Janinę Owczarską, było jeszcze kilka podobnych przestępstw. Pierwsze w Cesarzowicach, gdzie ktoś pobił i zgwałcił nastolatkę, potem bardzo podobny przypadek w Kobylnikach, rok później w okolicach Głoski podobny gwałt i pobicie, niestety ze skutkiem śmiertelnym, i jeszcze cztery w okolicach Środy Śląskiej. Być może było ich o wiele więcej, tylko czasy były specyficzne. Kobiety rzadko zgłaszały gwałt, bojąc się MO i reakcji społecznej. Wobec pokrzywdzonych zaraz pojawiały się oskarżenia, że sama dała dupy, a teraz chce się zemścić na kochanku, sama prowokowała ubiorem, zachowaniem, niepotrzebnie szlajała się po zmroku. Zresztą przez lata niewiele się w tej kwestii zmieniło i kobiety dalej się boją. Może w dużych miastach jest już inaczej, ale na wsiach i w małych miejscowościach podejście do ofiary niewiele się zmieniło. Wszystkie gwałty miały wspólne cechy: dokonywane były na bocznych drogach, łąkach, w lasach, często po zmroku, z dala od ludzi i ofiara zawsze była bita.

Komisarz Wiktorski czuł narastającą wściekłość. Cholerna komuna, cholerne układy, pieprzona milicja. Liszowski przez wiele lat krył gwałciela i mordercę, a potem, jak tylko nadarzyła się okazja, znalazł sobie koźła ofiarnego w osobie Wasyluka. Kogo krył ten skurwysyn? Przyjaciela, znajomego, może kogoś z rodziny?

Stary policjant już wiedział, że nie zazna spokoju, zanim nie dowie się, za kogo Wasyluk spędził piętnaście lat w więzieniu. Już wtedy pracował w firmie, więc w pewnym sensie czuł się winny. Nie będzie mógł spojrzeć staremu pustelnikowi w twarz, zanim nie rozwiąże tej zagadki. Co z tego, że gwałty się już przedawniły. Jeśli nie będzie mógł zajmować się tym w trakcie pracy, zrobi to w czasie wolnym. Przecież odkąd odeszła od niego żona, i tak nic konkretnego nie robi, poza oglądaniem telewizji z piwem w dłoni.

Miał dziwne przeczucie, że wskazanie Wasyluka na kozła ofiarnego nie było przypadkowe. Czy w takim razie gwałciciel pochodził z Kamiennej?

15.

Aspirant Gotard Szawczak siedział w pokoju przesłuchań Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu z miną, która mogła oznaczać wszystko tylko nie to, że czymkolwiek się przejmuje. Czasem nawet można było dostrzec przemykający po jego ustach cień uśmiechu, jakby był na wycieczce szkolnej po budynku policji i dla jaj usiadł na krześle dla przesłuchiwanym, a teraz cała klasa patrzy na niego przez weneckie lustro, ciekawa, czy się denerwuje. A może to właśnie nie był uśmieszek, tylko dziwny skurcz na wargach, spowodowany dawnym urazem głowy? Nadkomisarz Marcin Zakrzewski miał nadzieję, że tak właśnie jest i Szawczak zdaje sobie sprawę, że znalazł się w nieciekawej sytuacji. O jego dalszym losie w tym lepszym razie zdecyduje szef, a w tym gorszym prokurator, stawiając mu zarzuty. Po raz kolejny w ostatnich dniach nie mógł uwierzyć, co się z tym facetem porobiło. Może Karina miała rację, twierdząc, że podmienili go w szpitalu?

Prokurator Marek Grabski, siedząc naprzeciw aspiranta po tej właściwej stronie stołu, był mocno poirytowany. Nie dość, że dotychczasowe śledztwo niewiele posunęło się do przodu i okazało się, że do gry weszły jakieś utajnione struktury wojskowe, to jeszcze jeden ze śledczych ściągnął na siebie podejrzenia.

– Masz dwie minuty na złożenie oświadczenia – powiedział tak szorstko, jak tylko potrafił.

Parol najwyraźniej nie miał zamiaru niczego ukrywać, chociaż trudno było stwierdzić, czy mówi całą prawdę i tylko prawdę. Mógł być przygotowany na taką sytuację.

– Dwa lata temu odbyłem półroczne szkolenie zorganizowane przez brytyjską policję – mówił pewnie, jakby naprawdę wygłaszał spisane wcześniej oświadczenie.

„Przygotował się” – pomyślał Zakrzewski siedzący obok prokuratora.

– Podczas pobytu w Londynie poznałem kilka osób z tamtejszej Polonii. To przez nich trafiłem do mieszkania Jerzego Madejskiego i Klaudii Kani na prywatkę. Dlatego jestem na tej fotografii. I pewnie jeszcze na kilku innych. Osobiście ich dobrze nie znałem, zostaliśmy sobie tylko przedstawieni. Potem widywałem ich jeszcze u znajomych, ale nigdy dłużej nie rozmawialiśmy. Nasze relacje nie wyszły poza standardowe formułki grzecznościowe. Nie miałem pojęcia, że wrócili do kraju. Zobaczyłem ich dopiero na fotografiach w aktach sprawy, kiedy rozpocząłem tu pracę. Pierwszą na zdjęciu zobaczyłem martwą Klaudię Kanię i nawet jej nie poznałem. Dopiero kiedy zobaczyłem Madejskiego, skojarzyłem, że to ten facet z Londynu. Nie zgłosiłem szefowi, że znałem ofiary, ponieważ ich tak naprawdę nie znałem. Moim zdaniem nie miałyby to wpływu na dobro śledztwa.

– Dlaczego starałeś się ukryć tę znajomość? – zapytał Zakrzewski.

– Nie starałem się.

Marcin sięgnął do albumu z fotografiami zabranego z domu Madejskiego. Otworzył go w miejscu, gdzie brakowało zdjęcia.

– Specjalnie pojechałeś ze mną do mieszkania Madejskiego i Kani – mówił. – Pamiętam, że oglądałeś akurat ten album. Teraz brakuje tu dwóch zdjęć. Usunąłeś je.

– To jakaś bzdura! – prychnął Szawczak, a na jego twarzy odmalowała się złość. – Nie usunąłem żadnych zdjęć. Nie wrobiecie mnie w to.

– Rozmawiałem z policjantem, który przeszukiwał to mieszkanie i przeglądał albumy. Jego zdaniem nie brakowało żadnego zdjęcia, jest gotów powtórzyć to na oficjalnym przesłuchaniu.

– Słowo przeciw słowu. Kim jest ten geniusz, że zapamiętał taki szczegół?

– To uczciwy policjant, a to akurat nietrudno było zapamiętać. Poza tym to ty mataczysz, a nie on, więc wasza wiarygodność jest nieporównywalna.

Szawczak obrzucił Marcina nieprzyjaznym spojrzeniem, a potem spojrział na Grabskiego.

– Powtarzam: nie dam się zrobić. – oświadczył.

– Dlaczego uważasz, że chcielibyśmy cię zrobić? – Grabski uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Nadkomisarz Zakrzewski mnie nie lubi i wcale tego nie ukrywa – wyjaśnił Szawczak z kamienną twarzą. – Źle przyjął mnie już pierwszego dnia, potem było tylko gorzej. Kiedy byliśmy w mieszkaniu Madejskiego na ponownym przeszukaniu, szczerze mi o tym powiedział.

Tym razem to Marcin uniósł brwi.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– O incydencie w przeszukiwanym mieszkaniu – odpowiedział twardo Parol.

– Jakim incydencie?

– Panie prokuratorze – zwrócił się bezpośrednio do Grabskiego Parol, jakby wiedział, że takim zachowaniem łatwiej wyprowadzić Marcina z równowagi. – Dzisiaj w sekretariacie Komendanta Wojewódzkiego Policji złożyłem oficjalną skargę na nadkomisarza Zakrzewskiego. We wspomnianym przed chwilą zdarzeniu Zakrzewski próbował mnie zastraszyć. Najpierw wprost dał mi do zrozumienia, że zrobiłem błąd, wracając do Wrocławia, ponieważ on tu rządzi. Jest najbardziej doświadczonym i najlepszym śledczym w wydziale kryminalnym i nie ma tu miejsca na takich dupków jak ja. Następnie mi groził, że jak nie odejdę z własnej woli, zrobi wszystko, żeby mnie wyrzucili lub przenieśli dyscyplinarnie. Oskarżenie mnie o usunięcie tych fotografii wpisuje się w jego słowa. Wykorzystał po prostu sytuację, żeby mnie postawić w negatywnym świetle.

W pokoju przesłuchań zapadła cisza. Zakrzewski wpatrywał się z niedowierzaniem w nieruchomą twarz dawnego kolegi. Czy on właśnie odwrócił całą sytuację i oskarżył Zakrzewskiego? Na początku zaskoczenie było większe niż złość. Złość zaczęła narastać, w miarę jak w ciszy mijały sekundy.

Prokurator Grabski patrzył ponuro to na jednego, to na drugiego, po czym wstał i wyłączył kamerę rejestrującą przesłuchanie.

– Czy właśnie usłyszeliśmy oskarżenie w kierunku nadkomisarza Zakrzewskiego? – zapytał, siadając na swoim miejscu z westchnieniem.

Od lat biegał w maratonach aż do poprzedniego roku, kiedy poważna kontuzja kręgosłupa uniemożliwiła mu uprawianie biegów długodystansowych. Od tego czasu jego nienaganna sportowa sylwetka uległa naturalnej modyfikacji. Przybrał na wadze, twarz mu się zaokrągliła, pojawił się niewielki brzuszek. Kiedy biegał, mógł zjeść dużo, teraz ciężko było mu zmienić ten nawyk.

– Tak, oskarżam go o to, że wywierał na mnie presję, żądał, żebym zmienił miejsce pracy, groził mi poważnymi konsekwencjami, jeśli tego nie zrobię. Powiedział, że nigdy za mną nie przepadał i szkoda, że wtedy morderca nie posłał pocisku bardziej precyzyjnie i nie rozwalił mi porządnie łba.

Słyszając te słowa, Zakrzewski znowu poczuł się, jakby znajdował się w świecie równoległym, gdzie granica między logiką a nonsensem jest postawiona w zupełnie innym miejscu. Musiał poczerwieniec na twarzy, ponieważ nagle Grabski położył mu dłoń na ramieniu.

– Spokojnie – rzucił i zwrócił się bezpośrednio do niego. – Możesz odnieść się do słów aspiranta?

– To są brednie i pomówienia – wycedził wolno przez zęby. – Było odwrotnie. Odkąd aspirant pojawił się w naszym wydziale, czułem bijącą od niego niechęć. Nie patrzył na mnie i się do mnie nie odzywał, jeśli nie musiał. Pozwoliłem mu jechać ze sobą na przeszukanie, ponieważ chciałem wyjaśnić tę kwestię. Niestety, kiedy zacząłem rozmowę, usłyszałem dość niepokojące słowa.

Powtórzył oskarżenia Szawczaka mniej więcej w takiej formie, w jakiej padły wtedy z jego ust. Zakończył uwagą, że o wszystkim poinformował Karinę Buczko po powrocie do firmy.

– Słowo przeciw słowu – burknął Szawczak. – Napisałeś raport do naczelnika?

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł podinspektor Grzegorz Łapicki, a na progu stanął Norbert Góra. Szef miał dziwny wyraz twarzy, kiedy zwrócił się do Marcina:

– Zakrzewski, zapraszam do mnie, nadkomisarz Góra dokończy przesłuchanie.

Marcin szedł za nim korytarzem, nadal czując się nierealnie. O dziwo, złość na Szawczaka gdzieś zniknęła. Ile razy był już w takich trudnych sytuacjach? Sporo. Po tym, jak rzucił się z pięściami na jednego z poprzedników Łapickiego, już praktycznie żegnał się z pracą w policji. Tylko że wtedy dostał nieoczekiwaną pomoc. A jaki jest obecny szef, jak zareaguje na cały incydent?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, mierząc się wzrokiem. W końcu naczelnik zaproponował kawę, lecz Marcin odmówił. I tak miał już wystraszająco ściśnięty żołądek, jeśli wleje do niego jeszcze kawę, jak nic będzie się potem źle czuł.

– Zawieszę Szawczaka na czas postępowania wyjaśniającego – odezwał się nieoczekiwanie naczelnik. – Oddaję tę sprawę bez żalu wewnętrznym i nie mam zamiaru się tym teraz przejmować.

– J-jasne.

– Szawczak napisał na ciebie skargę, ale rano rozmawiałem z komendantem, między innymi o tym. Dał mi wolną rękę, więc nie będzie żadnych postępowań. Wrzucamy papier do twoich akt i zapominamy o temacie. Nie wiem, co między wami kiedyś zaszło, że reagujecie na siebie tak alergicznie, ale ja tu chcę mieć spokój. Mamy trudne śledztwo i nie chcę się rozpraszać. Szczerze mówiąc, nawet gdyby Szawczak nie napisał tego raportu, i tak bym go odsunął. Bardziej zależy mi na tobie niż na nim, poza tym straciłem do niego zaufanie. Wewnętrzni wyjaśnią, jakie były jego prawdziwe powiązania z Madejskim i Kanią. Zadowolony?

Marcin wzruszył ramionami. Decyzja była dla niego dobra i chyba naprawdę podyktowana troską o dobro śledztwa.

– Dla mnie w porządku.

– Prokurator Grabski zdecyduje, co zrobimy z Szawczakiem – kontynuował Łapicki. – Dobrze by było, gdyby miał mocne alibi na czas porwania Kani i pozostałych ofiar.

Sprawa Szawczaka nie zakończyła się szybko. Grabski gruntownie sprawdził, czy aspirant mógł mieć związek z zabójstwami. Góra telefonicznie rozmawiał z kilkoma znajomymi Madejskiego w Londynie. Ich zeznania nie były korzystne dla Szawczaka. Okazało się, że odkąd Parol poznał Klaudię Kanię, zaczął wykazywać w stosunku do niej niezdrowe fascynacje. Nękał ją telefonami, na imprezach chodził za nią krok w krok, narzucał się z rozmową. Ktoś nawet pamiętał, że Kania poskarżyła się koleżance, że Gotard to świr, mimo że jest z policji. Kiedy Madejski wreszcie się o tym dowiedział, wpadł w złość. Tak naprawdę nie wiadomo do końca, co między nimi zaszło, ale Parol odpuścił sobie Klaudię Kanię.

W związku z tymi rewelacjami druga część przesłuchania Szawczaka była o wiele ciekawsza. Aspirant miał motyw. Chciał zemścić się na Klaudii Kani za to, że został odrzucony, i na Madejskim za to, że pewnie potraktował go dość ostro. Teraz, kiedy nagle wypłynęły te fakty, Zakrzewski zaczął się zastanawiać, czy Renata Wieczorek nie miała racji. Parol wcale nie ma do niego żalu, tylko starał się za wszelką cenę odwrócić uwagę od zdjęć i ukryć znajomość z Londynu. Kiedy usunął fotografie z albumu, mógł być prawie pewien, że nikomu nie będzie się chciało przeglądać tych w folderze załączonym do akt. Tylko, jak zwykle, Zakrzewski okazał się zbyt podejrzliwy i dociekliwy.

Marcin obserwował przesłuchanie przez kilkanaście minut, chcąc wyrobić sobie własne zdanie. Patrzył na już nie tak hardą minę Szawczaka, kiedy starał się mówić tylko prawdę i nie pogarszać swojej sytuacji, i już wiedział, że nie taki był jego plan. On nie miał nic wspólnego z zabójstwami kobiet, zamordowaniem Kani i samobójstwem Madejskiego. Po prostu ich znał i być może naprawdę chciał pomóc w znalezieniu sprawcy. Zakrzewski upewnił się równocześnie, że chodzi o niego. Parol miał jakiś plan, tylko nie miał pojęcia jaki.

Nie usłyszał, kiedy za jego plecami stanęła Karina Buczko. Z zamyślenia wyrwało go pstryknięcie zapalniczki. Uśmiechnęła się do niego krzywo.

– Niestety Szawczakowi się dzisiaj upiecze – powiedziała.

– Co masz na myśli?

– Sprawdziliśmy jego alibi na czas porwania Kani i pozostałych kobiet. Nie było go we Wrocławiu i mało prawdopodobne, żeby mógł tu dojechać i wrócić do Zielonej Góry. Wiesz, że on tam ma narzeczoną?

Marcin nie odpowiedział, tylko spojrział na Parola. Zobaczył go w trochę innym świetle, jaśniejszym. Cholera, on go kiedyś naprawdę lubił i mimo kłopotów, jakich mu teraz przysporzył, złość ulatywała z Marcina za szybko.

– Nie wiedziałem – odrzekł.

– Ta narzeczoną razem z koleżanką wynajmują wspólne mieszkanie. Parol bywał u nich codziennie i zazwyczaj zostawał na noc.

Stała obok Marcina, który nie skomentował, zapatrzony w ludzi za szybą.

Przesłuchanie się przeciągało. Marcin spróbował jeszcze raz skontaktować się z pułkownikiem Pasięckim, podobnie jak poprzednio bezskutecznie. Napisał wiadomość i zaraz dostał informację zwrotną od operatora, że nie została doręczona. Na co czekał pułkownik? Aż złapią swojego człowieka odpowiedzialnego za zabójstwa? Skoro tak, to coś mu się ta specjalna operacja przedłużała. Był coraz bardziej przekonany, że jednak nie wiedzą, który z nich jest zabójcą.

Potem Zakrzewski jeszcze raz rozmawiał na ten temat z Łapickim. Komendant nic nie wiedział o wojsku i wycieku akt sprawy. Zirykował się i zarządził poufne dochodzenie, obiecał też, że popyta zaufanych ludzi w stolicy, kto to jest Daniel Pasięcki i czym się tak naprawdę zajmuje. Polecenie komendanta było jasne. Sprawa zamordowanych kobiet i Madejskiego miała absolutny priorytet.

Zakrzewski wrócił do pracy i zaraz otrzymał informację od dyżurnego, że nieoczekiwanie aktywował się telefon, z którego Nexus kontaktował się w ostatnich dniach z Madejskim. Kiedy organizowali na akcję oddział „kominarzy” Rafalskiego, nawet Karina była sceptyczna. To nie mogło być tak proste. Marcin w duchu przyznał jej rację. Jedną z niepisanych zasad Zakrzewskiego głosiła, że prostym rozwiązaniom nie należy zbyt ufać.

16.

– Kto buduje domy na takim zadupiu? – jęknęła Karina Buczko. – Przecież to proszenie się o kłopoty.

– W jakim sensie? – nie zrozumiał Zakrzewski.

– Napady, kradzieże, włamania – wyjaśniła krótko. – Gdyby właściciele wołali o pomoc, nikt z sąsiadów by nie słyszał. Bo tu nie ma sąsiadów.

Niewielki żółty domek zbudowany był na działce pod lasem, około stu metrów od głównej drogi. Z daleka wyglądał bardzo ładnie, z żywopłotem wzdłuż ogrodzenia, garażem i budynkiem gospodarczym. Szczególnie teraz, pod koniec lutego, kiedy wszystko jest szare i wydawało się brudne, sprawiał sympatyczne wrażenie. Do bramy trzeba było dojechać szutrową drogą prowadzącą przez pola. Był z tym problem, ponieważ z daleka widać było, że ktoś jedzie, dlatego oddział Rafalskiego i towarzyszący im policjanci musieli dostać się pod dom od strony lasu. Na szczęście na GPS-ie znaleźli leśną dróżkę, prowadzącą do małego stawu w środku lasu. Droga kończyła się na niewielkim parkingu nad jego brzegiem, skąd do żółtego domu zostało im tylko kilkadziesiąt metrów, tym razem wydeptaną ścieżką wijącą się pośród drzew. Po śladach poznali, że ścieżka była często używana. Może właściciel domu chodził tędy na ryby?

Kiedy już zainstalowali się na skraju lasu z tyłu domu, przez długie minuty obserwowali całą posesję. Nikogo nie zauważyli, nie było nawet psa pilnującego domostwa. Dom też wyglądał, jakby w środku nie było nikogo. Przez chwilę zwątpili, czy lokalizacja telefonu Nexusa jest prawidłowa. Niby dobre miejsce, żeby się ukryć, tylko czy tu w ogóle jest zasięg? Był, a technik zapewnił, że sygnał telefonu jest wyraźny i nie ma wątpliwości co do prawidłowości lokalizacji.

Dwóch antyterrorystów dostało się na podwórze, obeszlili dom i pomieszczenia gospodarcze, po chwili meldowali przez radio:

– Tu dwójka. Są ślady włamania. Z tyłu jest wybite okno. Wygląda świeżo.

Rafalski spojrzał na Marcina. Ten przyłożył krótkofalówkę do ust:

– Mówi zero zero. Ktoś jest w domu? – zapytał.

– Raczej nie. Chyba że włamywacz nie zdążył spierdolić i się przyczaił.

– Czekaj na decyzję.

We trójkę szybko się naradzili.

– Trzeba będzie wejść – zdecydował Zakrzewski. – Ale bez hałasu i wywalania drzwi.

Było cholernie zimno, od rana znowu wiał porywisty i lodowaty wiatr, na szczęście już nie taki jak w ostatnich tygodniach. Sine chmury wisiały nad ich głowami, zsyłając na świat szarość i smutek. Co jakiś czas spadało z nich kilka kropel deszczu, jakby same popłakiwały od tego smutku.

– Szkoda, moi ludzie lubią dobrą zabawę. – Rafalski wzruszył ramionami.

– Pobawicie się wieczorem w knajpie. Dziś jest piątek – ucięła temat Karina.

Zanim jednak Rafalski zdążył wydać polecenia, łączność zazgrzytała i znowu odezwał się ten sam głos:

– Mówi dwójka, ktoś tu jedzie. Osobowe auto skręciło właśnie w szutrową drogę.

Rafalski spojrzał na Marcina, a ten od razu skinął głową. W tym wypadku zrozumieli się bez słów. Rafalski uniósł krótkofalówkę do ust.

– Szóstka, bierz trzech ludzi i zaczajcie się na podwórzu. Jak będą wysiadać z auta, zgarnijcie ich. – Czterech „kominiarzy” natychmiast przeskoczyło przez ogrodzenie w miejscu, gdzie żywopłot od strony podwórza nie był zbyt gęsty. – Dwójka, ile osób jest w aucie?

– Chyba jedna.

– Bez odbioru.

Czekali chwilę w milczeniu, wreszcie usłyszeli cichy chrzęst opon na podjeździe, trzaśnięcie drzwiami i krzyki funkcjonariuszy:

– Nie ruszaj się!

– Na ziemię!

– Gleba!

Zakrzewski dłużej nie słuchał, już biegł z Kariną wzdłuż ogrodzenia do głównej bramy. Na podjeździe stała czerwona, wiekowa mazda, a obok niej leżał starszy mężczyzna, rozplaszczony jak żaba, przytrzymywany przez dwóch antyterrorystów.

– Czysty – rzucił ten, który skończył przeszukiwać leżącego.

Na ten widok Karina jęknęła, podskoczyła do nich i odepchnęła najpierw jednego, potem drugiego. Pomogła mężczyźnie wstać. Facet wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat i był tak przerażony, że nie potrafił zapanować nad drżeniem rąk ani wykrztusić słowa. Karina odprowadziła go dwa kroki w bok, żeby mógł oprzeć się o maskę swojego auta.

– Nic się panu nie stało? – zapytała z troską.

Drżały mu wargi. Głos wpadał w rezonans zgodny z tym drżeniem.

– Co wy tu robicie? – zapytał z szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

– To jest mój dom!

Zakrzewski zbliżył się, dołączając do koleżanki. Pokazał mężczyźnie dokument podpisany przez prokuratora.

– To jest prokuratorski nakaz przeszukania domu. Było włamanie – powiedział.

– Włamanie? – Facet wytrzeszczył oczy. – I dlatego będzie przeszukanie?

– Poproszę o pana dowód osobisty. – Marcin nie zwrócił uwagi na pytanie.

Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i podał mu dokument. Zakrzewski rzucił okiem na zdjęcie i dane personalne. Fotografia

prezentowała o wiele młodszą twarz niż ta, która teraz patrzyła na nich z przestraczem wolno zmieniającym się w złość.

– Pan Franciszek Wasyluk – powiedział głośno nadkomisarz i zabrzmiało to bardziej jak oświadczenie niż pytanie, jednak Wasyluk odpowiedział, jakby został zapytany.

– Tak, nazywam się Wasyluk, jestem właścicielem tego domu, chociaż ostatnio mieszkam u córki w Środzie Śląskiej.

Karina zbliżyła się do Wasyluka, spojrzała na niego z lekkim uśmiechem, kładąc mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Panie Franciszku, było włamanie do pana domu – powiedziała. – Mamy podejrzenie, że w środku ciągle ktoś może być. Proszę nam dać klucze, to nasza ekipa nie będzie musiała niszczyć drzwi.

Właściciel pokiwał głową i wręczył klucze policjantce. Karina natychmiast rzuciła je jednemu z „kominiarzy” i już za moment kilku funkcjonariuszy wślizgnęło się do środka. Wasyluk patrzył na to z dziwnym grymasem na twarzy. Kręcił głową, jakby nad czymś usilnie się zastanawiał.

– Chyba zatelefonuję do swojego prawnika – wyszeptał wreszcie.

– Nie ma takiej potrzeby – uspokoiła go Karina Buczko. – Nie zrobimy w domu żadnych szkód, ale będzie pan musiał poczekać, aż technicy zbiorą ślady włamywacza.

Starszy mężczyzna patrzył na nią długą chwilę, zastanawiając się, czy jej zaufać. Karina posłała mu szczery, sympatyczny uśmiech i chyba tym go w tej chwili przekonała. Popatrzył na nią, ciągle ostrożny, lecz nie sięgnął po telefon.

– Dobrze, poczekam chwilę – powiedział.

Tymczasem Zakrzewski odszedł na bok, tak żeby jego słowa nie doleciały do uszu Wasyluka. Wiatr gwizdał wszystkim w uszach, więc nie musiał iść daleko. Połączył się z dyżurnym, wpatrując się ciągle w plastikowy kartonik dowodu osobistego Wasyluka. Dyżurny zgłosił się niemal od razu, a Marcin nie tracił czasu na przydługie wstępy:

– Potrzebujemy tu techników, prawdopodobnie było włamanie. Tylko nie chcę tu czekać, aż mnie zmierzch zastanie. Mają być jak najszybciej.

– Zrozumiałem – potwierdził dyżurny.

– I jeszcze jedno. Sprawdź mi jednego faceta. Franciszek Wasyluk, urodzony szesnastego listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku. Też na cito.

Rozłączył się i czekał, rozglądając się wokoło. Las szumiał, wiatr wciąż gonił sine chmury po niebie, antyterrorysty przeszukiwali dom, a Karina starała się zagadywać Wasyluka. Najwidoczniej z marnym skutkiem, bo pstrykała w palcach zapalniczką i często zerknęła w kierunku Zakrzewskiego z niemym wyrzutem w oczach. Marcin nie zareagował. Dyżurny odzwoił już po minucie.

– Franciszek Wasyluk ma u nas kartotekę czystą jak łąza – rzucił zadowolony z siebie.

– Dzięki!

– Ale poczekaj, mam coś. Znalazłem za to w systemie jego młodszego brata. Józef Wasyluk, zamieszkały we wsi Kamienna w gminie Środa Śląska, był skazany za gwałt ze skutkiem śmiertelnym. Odsiedział piętnaście lat i wyszedł za dobre sprawowanie.

Marcin zastanowił się, czy ta informacja może im się do czegoś przydać. Wydawała się nieistotna, lecz z doświadczenia wiedział, że czasem o sukcesie decydują drobiazgi. Wieś Kamienna położona była tylko kilka kilometrów na zachód od miejsca, gdzie się znajdowali.

– Gdzie teraz mieszka? – zapytał szybko.

– Cały czas jest tam zameldowany. Kamienna 8.

– Dzięki!

Zakrzewski rozłączył się i zbliżył do Wasyluka i Kariny. Oddał mężczyźnie dowód.

– Mieszka pan u córki? – rzucił i uzyskał szybkie potwierdzenie w postaci skinienia głową. – Dlaczego pan dzisiaj tu przyjechał?

– Przyjeżdżam co tydzień, w piątki – odrzekł właściciel, panując już na drżeniem warg i głosu. – Dom stoi pusty, więc patrzę, czy wszystko w porządku, podlewam kwiatki, palę w piecu, żeby trochę zagrzać, i wieczorem wracam. Czasem, jak nie jest zbyt zimno, zostaję do niedzieli i chodzę na ryby. Tam, w lesie jest taki staw.

Policjanci wymienili między sobą znaczące spojrzenia.

– Przejeżdża pan mniej więcej o tej samej porze? – zapytała Karina.

– Tak, bo wcześniej odwożę córkę do pracy na popołudnie. Ona sprząta w hotelu w Środzie.

W drzwiach pojawili się antyterroryści, Rafalski przywołał ich gestem. Przeprosili Wasyluka, kazali mu się jeszcze stąd nie ruszać i podeszli do niego. Kapitan zdjął już hełm i drapał się teraz po głowie, patrząc na nich dziwnie.

– Powinniście to zobaczyć – mruknął tylko. I zaraz dodał: – Ktoś rzeczywiście włamał się od tyłu, wybijając okno, i zostawił wiadomość. Chyba dla was.

Zakrzewski skrzywił się i pierwszy poszedł schodami na górę. Karina ruszyła za nim, jakby z ociąganiem. Schody skrzypiały, choć wyglądały na nowe. Stojący na piętrze funkcjonariusz wskazał im wejście do jednego z pokoi. Zatrzymali się w progu i zajrzeli do środka. Po Zakrzewskim nie dało się nic poznać, ale Karina drgnęła niespokojnie.

– Kurwa, to on – jęknęła.

Marcin też nie miał wątpliwości, kto przygotował im ten pokaz. Na środku pokoju stał stół. Wcześniej przykryty białym obrusem, który teraz leżał obok na podłodze wraz ze zrzucenymi na podłogę książkami, czystymi kartkami i przyborami do pisania. Na stole leżał telefon komórkowy, obok stał włączony laptop. Na ekranie wyświetlała się właśnie finałowa scena z filmu Ridleya Scotta. Android klęczący w strugach deszczu wygłaszał swoją ostatnią kwestię. „Pora umierać” – zastygł i z jego dłoni wyswobodził się biały gołąb, odlatując gdzieś w przestrzeń. Za moment ta kilkuminutowa scena zaczynała się od nowa. Ktoś zapętlił nagranie.

Karina westchnęła przeciągle.

– Wiadomość od Nexusa – mruknęła. – Spodziewałeś się?

Zakrzewski nie odpowiedział. Myśli opadły jego głowę jak stado czarnych kruków i krakały, zagłuszając się wzajemnie. Z trudem nad nimi zapanował.

– Tylko co chce nam powiedzieć?

Godzinę później gnali w kolumnie pojazdów na północ. Pierwszy jechał samochód antyterrorystów, za nimi Karina z Marcinem w nieoznakowanym radiowozie, a jeszcze dalej dwa policyjne pojazdy, które dołączyły do nich na drodze numer 341, gdy tylko przejechali most na Odrze do Brzegu Dolnego. Miasto minęli z prawej strony nową obwodnicą i pojechali drogą numer 343 na Wołów. Wcześniej, przed wioską Piotroniowice, samochód prowadzony przez Rafalskiego zwolnił, po prawej stronie minęli tablicę: „Witamy w gminie Wołów” i kępę drzew, za którymi było widać zmarszczoną wiatrem taflę wody niewielkiego stawu. Prosta droga wiodła pod górę, ale nie dążyli się rozpędzić, ponieważ już skręcali w prawo przed tablicą przedstawiającą crossowy motocykl i napis: „MX-Park”. Musieli zwolnić jeszcze bardziej, gdy utwardzona droga zwężyła się do szerokości jednego auta.

Kilkaset metrów dalej znaleźli się na rozległym piaszczystym terenie, poprzecinanym siecią dróg, ścieżek, pagórków i ostrych zakrętów. Najwidoczniej przy dobrej pogodzie można tu było pojeździć terenowym autem, motocyklem albo kładem. Teraz nie było nikogo, teren sprawiał wrażenie postapokaliptycznego, tym bardziej że w oddali widniały dwa opuszczone magazyny. Jeden miał zawalony dach i jedną ze ścian, drugi jeszcze jakoś się trzymał, chociaż skośny, płaski dach pokryty papą straszył dziurami. Objechali cały teren i zatrzymali się przed zardzewiałą bramą, spiętą jeszcze bardziej zardzewiałym łańcuchem i wielką kłódką. Na bramie ktoś przymocował za pomocą zielonego drutu białą tabliczkę z czerwonym napisem ostrzegawczym: „Zakaz wstępu. Budynek grozi zawaleniem”.

Rafalski wyskoczył zza kierownicy samochodu i stanął przed bramą. Po chwili dołączyli do niego Marcin z Kariną. Karina pstrykała zapalniczką. Wiatr uderzył ich w plecy, poruszył niespokojnie bramę, a potem zadudnił o dach mniej zniszczonego magazynu. Przez chwilę myśleli, że dach zerwie się jak ptak do lotu, ale przetrwał podmuch, jak i te o wiele silniejsze sprzed kilku dni, kiedy nad Polską przewalały się największe wichury.

Rafalski zbliżył się do kłódki, obejrzał ją, ocenił stan ogrodzenia z siatki z jednej strony bramy, potem z drugiej. Wyglądało na nieuszkodzone, mimo że minęło dobrych kilka lub kilkanaście lat, odkąd tu stanęło. Szef antyterrorystów popatrzył na policjantów.

– Łańcuch to nie problem. Wchodzimy? – zapytał.

Zakrzewski zwrócił się do dwóch mundurowych stojących z tyłu:

– Jeden radiowóz zostawcie tutaj. Reszta niech jedzie za nami.

Po kilku sekundach łańcuch został przecięty i brama stanęła otworem. Wjechali na zaniedbany plac przed magazynem, lawirując między porośniętymi trawą stertami złomu. Jeśli kiedyś były to jakieś maszyny lub pojazdy rolnicze, teraz zatraciły swoje kształty i nie dało się ich zidentyfikować. Oddział natychmiast zajął pozycje przy wielkich dwuskrzydłowych drzwiach do magazynu. Widać było, że nikt ich od lat nie otwierał. Mocno się naszarпали, zanim wreszcie udało im się zrobić szparę, przez którą mogli się pojedynczo przecisnąć w pełnym rynsztunku bojowym.

– Tu nikogo nie było od lat – jęknęła Karina, wyciągając swojego walthera p99 i ważąc go w dłoni, jakby z wahaniem.

– Musimy sprawdzić – odrzekł Zakrzewski i ruszyli w ślad za Rafalskim i jego ludźmi.

Wcześniej, w domu Franciszka Wasyluka, szybko się zorientowali, po co było to całe przedstawienie z laptopem i filmem. Kiedy tylko technikowi udało się zatrzymać odtwarzanie ciągle tej samej sceny z filmu, na ekranie pojawiła się mapa Google z zaznaczoną czerwoną linią drogą i przypiętą na jej końcu pinezką. Po krótkiej naradzie i zapewnieniu sobie posiłków, w postaci dwóch radiowozów z Brzegu Dolnego, wyruszyli.

W środku panował półmrok, szeregi okien były zabite deskami i płytami wiórowymi, światło wpadało tylko przez rzędy powybijanych okienek i kilka dziur w dachu. Betonową podłogę pokrywał gruz i śmieci, jednak całe pomieszczenie było puste. Jeśli PGR kiedykolwiek z niego naprawdę korzystał, to ktoś potem musiał wszystko wywieźć.

Ludzie Rafalskiego rozeszli się po pomieszczeniu, przyświecając latarkami przy lufach karabinów. W ich świetle wirowały drobiny kurzu, który zaraz się podniósł mimo dużego zawilgocenia. Powietrze było tak stęchłe, jakby samo spleśniało, nieruchome od nie wiadomo jak długiego czasu. Przy każdym podmuchu wiatru dach wydawał z siebie podejrzane odgłosy, a strzępki pozrywanej papy szumiały niespokojnie. Zakrzewski stanął przy drzwiach, oddychając przez nos. Duszące wilgocią wnętrze zdawało się lepkie, czuł, że natychmiast osiadła na nim niewidzialna warstewka zgnilizny.

– Kurwa, idealne miejsce dla alergików – powiedziała Karina, a jej głos potoczył się echem i zaraz został zagłuszony kolejnym podmuchaem wiatru.

Marcin nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ rozległ się okrzyk jednego z „kominiarzy”.

– Tutaj!

Poszli pod przeciwległą ścianę. Były tu niewielkie drzwi ściągnięte z zawiasów, postawione na swoim miejscu i podparte kijem, żeby dać złudzenie nienaruszonych. Z zewnątrz można było przez nie wejść. Pewnie z tej drugiej strony, od ciągnących się na wiele kilometrów pól i lasów, osoba mogłaby pozostać niezauważona, nawet gdyby przyszła tu w ciągu dnia.

I rzeczywiście ktoś tu przychodził. Widać było wydeptaną ścieżkę, prowadzącą do metalowej kłapy w podłodze. Tu nie było żadnej kłódki ani zamknięcia. Wystarczyło szarpnąć. Kiedy ją unieśli, zobaczyli betonowe schody prowadzące w dół. Budynek był podpiwniczony. Równocześnie w nozdrza uderzył ich niemożliwy do opisanego, mdły odór śmierci i rozkładających się ciał. Dwóch funkcjonariuszy natychmiast puściło kłapę i odskoczyło kilka kroków w tył, żeby złapać oddech. Policjanci też odsunęli się ze wstrętem. Uderzenie kłapy o betonową podłogę rozbrzmiało w magazynie.

nie jak wystrzał z działa przeciwlotniczego. Wydawało się, że ten dźwięk trwał o wiele za długo, jakby unosił się w ciężkim powietrzu i nie mógł opaść.

– Co tu tak jedzie?! – wykrzyknął inny antyterrorysta, zakrywając usta i nos dłonią w rękawiczce.

Marcin spojrzał na Karinę, ona na niego. Już domyślali się, po co ktoś zostawił im informację wskazującą na to miejsce. Marcin przetrząsnął pamięć. Ile było tych zaginionych kobiet podobnych do Klaudii Kani i tamtych trzech? Jedenaście. Zrobiło mu się niedobrze, Karina pomyślała o tym samym, bo też pobladła, a jej zielone oczy świeciły wyjątkowo jasno, jakby łzawiły. Z trudem przetykała ślinę.

Do pewnych obrazów normalny człowiek nigdy się nie przyzwyczai. Choćby oglądał je po raz dziesiąty, dwudziesty, setny, coraz bardziej makabryczne i odrealnione, zawsze poruszą jakąś nową cząstkę w duszy, która dotąd pozostawała w uśpieniu. Nawet gliniarze z takim stażem jak Zakrzewski mieli z tym problem. Wielokrotnie widział kolegów, którzy w miejscach makabrycznych zbrodni, chodząc wokoło okaleczonych zwłok, przykrytych tylko czarnym workiem, dowcipkują i udają twardzieli. To była tylko poza, iluzja, fałsz. Wieczorem przychodził czas na odreagowanie. Zaczynało się chłanie wody szklankami, bicie żony, znęcanie się nad dziećmi, kłótnie, rozwody, ciężka depresja. Niejednokrotnie zaglądali do lufy służbowej broni z palcem na spuście, nie widząc dla siebie dalszej przyszłości. Niektórzy potrafili wyrwać się z tego zakłętego kręgu i zacząć nowe życie. Ale nie wszyscy mieli w sobie tyle siły, żeby przyznać się do własnych słabości, więc większość w tym trwała, przełamując własne granice makabry.

Zakrzewski wiedział, że on jest jednym z tych, którzy nie zdecydowali się odejść, tylko on odreagowywał traumę, niszcząc swoje życie osobiste. Teraz poczuł strach przed zejściem do piwnicy. W głowie eksplodowało mu pytanie: jak obrazy, które może tam zobaczyć, wpłyną na jego nowe życie? Czy znowu pojawi się tendencja do niszczenia i samozagłady? Czy znowu będzie musiało boleć, żeby było normalnie?

Rozejrzał się wokoło. Stał wraz z Kariną najbliżej kłapy i schodów do piwnicy, wszyscy inni odsunęli się o kilka kroków. Był tylko jeden sposób, żeby zapanować nad własną destrukcyjną podświadomością. Musi tam zejść, w pełni świadomy, co może zobaczyć, i zapanować nad tymi obrazami, żeby za mocno nie wgryzły się w mózg.

Wygrzebał z kieszeni kurtki dwie chusteczki higieniczne, które nosił tam od jakiegoś czasu, spojrzął na nie, jakby oceniał, czy są w stanie chociaż w niewielkim stopniu zwalczyć smród. Może tak, może nie, sam musi się przekonać. Wyciągnął rękę do tyłu, nie oglądając się za siebie.

– Dajcie latarkę – rzucił w przestrzeń.

Prawie natychmiast ktoś wcisnął mu w dłoń chłodny uchwyt latarki. Karina spojrzała na niego i chyba po raz pierwszy zobaczył w jej oczach popłoch.

– Nie idź tam, poczekajmy na techników – odezwała się nie swoim głosem.

– Musimy wiedzieć, po co ich wzywamy.

Nie odpowiedziała.

– Otwórzcie! – zarządził.

Dwóch ludzi podniosło klapę i odskoczyło, jakby z czarnego wnętrza miał ich zaatakować prehistoryczny stwór z zębami jak sztylety. Marcin przyłożył chusteczki do nosa i, świecąc latarką, poszedł w kierunku schodów. Już nie mógł się cofnąć. Pierwszy schodek, drugi, trzeci i promień światła wyłowił pierwszy kształt. Odór przeniknął przez mało skuteczną ochronę i wdarł się do gardła. Zakrzewski zmusił się do wstrzymania oddechu. Najgorsze było uczucie, że ten cholerny zapach oblepił go od stóp do głowy, jakby nagle zanurkował w szambie. Po momencie zawahania pokonał ostatnie schodki. Poświecił. Pomieszczenie miało kilka metrów kwadratowych, było zawilgocone i zagrzybione. Wytrzymał tylko kilka sekund i nagle zaczął się dusić. Płuca rozpaczliwie próbowały zaczerpnąć świeżego powietrza, on jednak im nie pozwalał. Nie mógł tego opanować. Zobaczył wystarczająco wiele.

Odwrócił się i wbiegł na górę. Czuł, że jest blady i drżą mu dłonie. Może nawet nie blady, ale zielonkawy, jakby wypił pół litra koktajlu z arszenikiem.

Nie patrząc na nikogo, poszedł w kierunku tylnych drzwi, przepchnął się między dwoma „kominiarzami”, stojącymi po drugiej stronie i ciekawie zaglądającymi do środka. Zrobił to ze złością i tak mocno, że jeden omal się nie przewrócił. Patrząc pod nogi, podszedł do ogrodzenia, chwycił się jedną ręką zardzewiałego słupka i nagle zwymiotował, jak nowicjusz. Oczy zasły mu łzami, stał pochylony, dysząc ciężko, ale żołądek więcej nie zaprotestował. Wytarł usta chusteczką, wystawił twarz na poryw wiatru i odechnął głęboko.

Karina Buczko dołączyła do niego i przyglądała mu się z powagą. Po chwili wyciągnęła dłoń z dwoma papierosami. Pewnie poczęstował ją któryś z funkcjonariuszy. Marcin bez wahania wziął jednego, w jej dłoniach pstryknęła zapalniczka osłaniana od wiatru i oboje zaciągnęli się dymem. Są takie chwile w życiu, że nikotyna naprawdę pomaga. Nie zrozumie tego nikt, kto nie palił papierosów.

– Ile ich tam jest? – odezwała się wreszcie Karina.

Najwidoczniej nikt poza nim nie zdecydował się zejść na dno piekielnej otchłani.

– Osiem – odpowiedział krótko.

Przekląła pod nosem i chyba jeszcze bardziej zaszklily jej się oczy.

Zwyrodnialec usadowił swoje ofiary pod ścianami. Żeby zapobiec rozpadowi ciał podczas procesów gnilnych, owinał je szczelnie i grubo bandażami, które nie były już białe. Teraz piwnicy strzegły upiorne mumie rodem z najgorszych koszmarów. Bo to życie pisze najbardziej makabryczne scenariusze, a nie pisarze i filmowcy. Jedno ciało było niezabandażowane i leżało z rozłożonymi rękami na środku podłogi. To była prawdopodobnie Klaudia Kania, chociaż nabrzmiała, prawie pozbawiona rysów twarz nie pozwalała tego ustalić ponad wszelką wątpliwość.

17.

Bar Pod Torami na ulicy Bogusławskiego to było klimatyczne i specyficzne miejsce. Trzeba było się przyzwyczaić do tego, że co chwilę przewalają ci się nad głową wążące setki ton pociągi, jadące od strony położonego kilkaset metrów dalej dworca Wrocław Główny lub tam zmierzające. Bar znany był z tego, że policjanci z wydziału kryminalnego z wojewódzkiej wpadali tu często leczyć stresy i traumy mocnym alkoholem.

– Karina ci powiedziała? – zapytał nadkomisarz Zakrzewski, kiedy do jego stolika dosiadła się Renata Wieczorek.

– Tak, dzwoniła do mnie i powiedziała, że raczej trudno będzie cię stąd dzisiaj wyciągnąć o normalnej porze i lepiej, żebym po ciebie przyjechała.

– Słusznie. – Pokiwał głową i pociągnął whisky ze szklaneczki.

Renata poszła do baru, po chwili przyniosła szklanekę i nowy kubek z lodem. Wlała do szklanki porządną porcję alkoholu, wrzuciła kilka kostek lodu, potem obsłużyła Marcina.

W butelce ciągle było więcej płynu niż powietrza. Jeśli policjant zamierzał się dzisiaj urznąć, to kiepsko mu szło. Zresztą nie wyglądał na wstawionego. Co prawda oczy mu świeciły jak dwie błękitne latarnie morskie, ale raczej nie z powodu alkoholu.

– Myślałem, że nie lubisz whisky – rzucił.

– Z tobą mogę napić się wszystkiego. – Posłała mu delikatny uśmiech.

Jasna cholera! Kiedy zobaczył, że siada przy jego stoliku, od razu zrobiło mu się lepiej na duszy. Ktoś na niego czekał, a on nie będzie wracał do pustego mieszkania, jak przez ostatnie lata. Tylko tyle i aż tyle.

– Przyjechałam taksówką – wyjaśniła. – Coś czułam, że będę musiała się z tobą napić.

– To się napijmy.

Stuknęli się szkłem i pociągnęli mocno. Tego wieczoru ruda na myszach miała wyjątkowo ostry smak, ale może to i lepiej? Zabijała smród rozkładających się zwłok, który ciągle czuł w nosie, ustach, gardle, na ubraniu i we włosach. Myślał już nawet, czy po powrocie do domu nie wyrzucić ubrań do śmieci.

– Co się stało? Karina nie chciała mi nic powiedzieć.

– Nie mogła, tajemnica śledztwa.

– Nie wkurzaj mnie, Zakrzewski. Jeśli te tajemnice zaburzają nasze życie, to chcę wiedzieć.

Opowiedział jej więc o ośmiu ciałach zamordowanych kobiet, rozkładających się w piwnicy pod opuszczonym magazynem. Wspomnił o smrodzie i obrzydzeniu, a także o poczuciu bezsilności, żądzy zemsty i bezgranicznej wściekłości, jakie w nim buzowały. Opowiedział nawet o tym, jak po raz pierwszy w swojej karierze zwymiotował na widok martwych ciał. Musiał jej o tym wszystkim opowiedzieć, żeby zrozumiała, dlaczego nagle dopadł go syndrom ucieczki od świata i wyłądownął tutaj. Odkąd byli ze sobą, to była pierwsza sprawa, która wstrząsnęła nim do tego stopnia, dlatego musiała wiedzieć.

– Nie musisz już uciekać – zapewniła go, kręcąc głową. – Tamte czasy minęły.

Napił się, skrzywił i potrząsnął kostkami lodu w szklance.

– Mam wrażenie, że im jestem starszy, tym gorzej to znoszę – zaczął cicho i zamilkł na moment.

Począł, aż nad ich głowami przewali się kupa żelastwa tocząca się po żelaznych szynach. Podjął, kiedy dudnienie przycichło w oddali:

– Kiedyś podchodziłem do tego bardziej na zimno. Makabryczne widoki i zbrodnie nie działały na mnie tak mocno jak teraz. I chyba wiem dlaczego.

– Tak?

– Nie miałem nic do stracenia, praca była całym moim życiem, nie liczyło się nic innego. Teraz jest inaczej... – urwał i pociągnął ze szklanki.

Nie przerywała, dając mu się wygadać.

– Ostatnio coraz częściej się zastanawiam, co ja bym zrobił na miejscu Madejskiego. Kiedy ktoś by ciebie porwał i mnie szantażował. To był straszny szantaż, żadne wyjście nie było dobre, za każdym stała tragedia. Jedyne, co czuję, kiedy o tym myślę, to strach. Teraz mam ciebie i bardzo mi na tobie zależy. Czasem strach, że mógłbym cię w ten sposób stracić, mnie paraliżuje.

Uścisnęła mu dłoń i zmusiła, żeby spojrzał jej w oczy.

– Dlaczego uważasz, że ktoś chciałby zrobić mi krzywdę? – zapytała. – Marcin, takie rzeczy w normalnym życiu zdarzają się wyjątkowo rzadko. Prawdopodobieństwo takiej sytuacji jest tak niewielkie, że nikt go nie bierze na poważnie. Gdyby było inaczej, świat byłby pełen przestraszonych paranoików, którzy baliby się wychodzić z domu albo nie wypuszczaliby swoich najbliższych za próg.

– Rita, ale ze mną jest inaczej. – Specjalnie użył jej ksywki funkcjonującej wśród znajomych motocyklistów. – Zabójstwa, pobicia, gwałty i porwania są dla mnie codziennością w pracy. Do tego dochodzi ból bliskich ofiar, cierpienie poszkodowanych, makabra. Ja to mam na porządku dziennym, takie jest moje życie, więc pewne granice mam ekstremalnie poprzesuwane. Do tego pochodzę z rodziny, która przeżyła traumę. Mój brat bliźniak w dzieciństwie zniknął nagle na trzydzieści lat. Żyliśmy z tą traumą i nie poradziliśmy sobie. Przestaliśmy tworzyć rodzinę, każde z nas żyło tylko dla siebie, a kiedy okazało się, że brat żyje, było jeszcze gorzej. Prawda nas zabiła. Lepiej było myśleć, że on nie żyje. Chyba dlatego ciężko mi było do tej pory stworzyć prawdziwy związek, udało się tylko dzięki twojej cierpliwości i zaangażowaniu. Ja nie umiem nic tworzyć, ja umiem tylko rujnować.

Napili się, po czym Marcin podjął wątek:

– Nie umiałem stworzyć prawdziwej rodziny i nie wyobrażam sobie, jak z takim bagażem złych doświadczeń mógłbym kiedykolwiek mieć dzieci. Nie byłbym dobrym ojcem, wszędzie widziałbym zagrożenia, zło czające się za każdym rogiem, każdy menel na ulicy byłby dla mnie potencjalnym

zabójcą. Nie potrafiłbym przejść nad tym do porządku dziennego. Obawiam się, że byłbym strasznie złym rodzicem.

– Nie potrafisz spojrzeć na świat jak na cud tworzącego się bez przerwy nowego życia – odezwała się.

– Jak mam to zrobić, kiedy ja widzę tylko śmierć, cierpienie, brudy i zgniliznę? – Uśmiechnął się gorzko. – Ta fala mnie zalewa, nie potrafię być optymistą. Dzisiaj widziałem osiem martwych ciał. Pomijając okoliczności i to, w jakim stanie się znajdowały, to kiedyś były piękne dziewczyny, które miały życie, plany, pewnie patrzyły w przyszłość optymistycznie. Wystarczyła chwila, żeby zwyrodnialec je tego pozbawił. A światu pozostały po nich tylko cierpienie i ból najbliższych i znajomych. Czasem myślę, że właśnie taki świat jest prawdziwy. Na co dzień żyjemy w iluzji, którą sami sobie tworzymy, żeby przykryć prawdę. Udajemy szczęśliwych, kiedy coś nas boli, uśmiechamy się, kiedy kłamiemy, snujemy plany na przyszłość, gdy dopada nas śmiertelna choroba. Taka jest prawda o świecie.

Oczy Renaty Wieczorek nagle posmutniały, a ona zapadła się w sobie, jakby nagle przybyło jej kilka lat. Puściła jego dłoń i wypila resztkę ze szklanki, krzywiąc się. Chwilę się wahała, wreszcie odezwała się lekko, podnosząc głos, żeby przebić się przez odgłosy kolejnego pociągu nad ich głowami.

– Mylisz się, Marcin. Jest dokładnie odwrotnie, niż mówisz. Ludzie stworzyli dobry świat, chcą szczęścia, pokoju, miłości i dobra. Tylko czasem zdarzają się zakłócenia. To tak, jakby w tafłę wody spokojnego jeziora ktoś wrzucił kamień. Jest plusk, a potem we wszystkie strony rozchodzą się fale. Ale one po pewnym czasie znikają. Tak właśnie wygląda zło w naszym życiu. Każde nieszczęście wywołuje takie złe fale na naszym życiu. Najpierw nam się wydaje, że nie wytrzymamy tego bujania, ono nigdy nie zniknie, zostanie z nami na zawsze, lecz w miarę upływu czasu fale ustają, zapominamy i żyjemy jak dawniej. – Zajrzała mu w oczy, jakby nagle nabrała wielkiej odwagi i zdecydowała się mówić. – I nie mów mi, że nie wiem, co to znaczy ekstremalne cierpienie. Straciłam dziecko.

Zakrzewski drgnął i spojrzał na nią szybko zaskoczony.

– Jak to?

Renata zacisnęła mocno oczy i tak trwała kilka sekund. Widać było, jak grają jej pod skórą mięśnie żuchwy. Kiedy otworzyła oczy, po jej policzkach spłynęły dwie łzy. Wytarła je szybko wierzchem dłoni i posłała mu nieśmiały uśmiech.

– Przepraszam, rozkleiłam się. Już dawno mi się to nie zdarzyło.

– Nigdy mi o tym nie powiedziałaś.

– Nie chciałam o tym mówić, to odeszło, nie ma, nie wróci.

– Ale teraz mi powiesz.

Skinęła głową, ale nie odezwała się od razu. Rozlał kolejną porcję whisky do szklanek, dopełnił je lodem. Wziął swoją i stuknął w szklaneczkę Renaty. Wypili i oboje skrzywili się podobnie. Zacisnęła dłonie w pięści i dopiero wtedy zaczęła mówić:

– Wspominałam ci, że jestem rozwiedziona. Ze Stefanem byliśmy małżeństwem prawie sześć lat, wcześniej razem studiowaliśmy, długo ze sobą chodziliśmy. To był w sumie fajny facet, było mi z nim dobrze. Zaszłam w ciążę i urodziłam syna, Pawła. Wiesz, Stefan nie lubił tej mody na dziwne imiona dla dzieci, był raczej tradycjonalistą, a mnie to nie przeszkadzało. Byliśmy szczęśliwi aż do chwili, gdy w wieku trzech lat Pawełek zachorował. Trafił do szpitala, gdzie zdiagnozowano sepsę, a po trzech dniach zmarł.

Przy stoliku zapadła cisza. Renata zamilkła, mierząc się z bólem, który nagle o sobie przypomniał, a Marcin milczał, ponieważ bał się pytać. Po drugiej stronie pubu trójka podchmielonych młodych ludzi coś sobie opowiadała i co chwilę wybuchała głośnym śmiechem. Wreszcie Renata też uśmiechnęła się gorzko.

– Wtedy nasz związek się rozpadł. Niby nie chcieliśmy się rozstawać, staraliśmy się wzajemnie wspierać, a jednak każde z nas podświadomie chciało wszystko zniszczyć. Tak jak u ciebie w rodzinie. To było silniejsze od nas. I zniszczyliśmy, lecz nic nowego nie udało się wybudować na tych zgliszczach i musieliśmy się rozstać. Nie chcieliśmy się rozstawać, a jednak

się rozstaliśmy. Dziś Stefan ma nową rodzinę i dwójkę dzieci, a ja od dziesięciu lat jestem sama.

Nagle popatrzyła mu w oczy.

– Kurwa, Zakrzewski, kiedy teraz naprawdę zakochałam się drugi raz w życiu, nie dam ci tego zniszczyć, rozumiesz?

Marcin poczuł nagle, jak wszystko z niego spływa: stres, napięcie nerwowe, znikają gdzieś złe obrazy. Chyba właśnie za to ją lubił. Czuł się przy niej bezpiecznie i chciał, żeby ten stan trwał jak najdłużej. Patrzyli sobie przez chwilę w oczy, a potem uśmiechnęli się do siebie prawie jednocześnie. Może nie były to uśmiechy totalnej radości, ale uśmiech zawsze pozostaje uśmiechem.

– Nie zamierzam niczego niszczyć – powiedział.

– Jedziemy do domu?

Popatrzył z żalem na resztę alkoholu w butelce.

– Szkoda zostawiać. – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Jutro będziesz miał kaca – ostrzegła.

– Jutro jest sobota. – Wzruszył ramionami.

– I tak idziesz do pracy, prawda?

– J-jasne. Ale w sobotę mogę iść do pracy na kaca.

Pokiwała głową, jakby przekonała ją jego argumentacja.

– To rozlej, pomogę ci.

18.

Ulica Kolejowa w Środzie Śląskiej była pewnego rodzaju fenomenem. Ciągnęła się prawie przez cztery kilometry, od Rynku aż do dworca PKP. Jak na standardy miasteczka liczącego niespełna dziesięć tysięcy mieszkańców była nieprawdopodobnie długa. Na szczęście Ewa Bujak mieszkała w bloku na Kolejowej bardzo blisko centrum i ulicy św. Andrzeja, gdzie mieściła się Komenda Powiatowa Policji.

Komisarz Wiktorski spędził kilka godzin, przeglądając stare akta. Niby nie znalazł w nich nic ciekawego. Normalna praca śledczych jeszcze z czasów MO i ustroju socjalistycznego oraz wynikający z tych dwóch okoliczności burdel, brak zaangażowania i wyciąganie wniosków innych, niż nakazywałyby zdrowy rozsądek. Wiedział jednak, że większość z tego, co tu się znajdowało, była robiona na sztukę, w jednym konkretnym celu – żeby udupić Józefa Wasyluka. I tak to teraz odbierał. Skoro prokurator Kurzajski przyznał szczerze, że to wszystko lipa, Wiktorski zaczął się zastanawiać, czy coś podejrzanego nie rzuci mu się w oczy, czy uda się po latach wytypować prawdziwego sprawcę. Nie był jasnowidzem, nawet nie nazywał się Jackowski, więc po zapoznaniu się z dokumentacją śledztwa myślaniami był ciągle w tym samym punkcie co kilka godzin wcześniej. Na nic ciekawego nie wpadł. Mimo to nie poddawał się tak łatwo.

Pierwszy trop, który podrzucił mu stary prokurator, już sprawdził. Kurzajski powiedział, że major Liszowski krył znajomego lub kogoś z rodziny. Z pomocą koleżanki w urzędzie stanu cywilnego oraz wyszukiwarki Google sprawdził rodzinę majora. Nie natknął się na żadne znane sobie nazwisko z Kamiennej lub okolic. Biorąc pod uwagę, że Liszowski w tamtych czasach znał wszystkich i wszyscy znali jego, poszukiwanie wśród znajomych miało się z celem. Na razie dochodzenie Wiktorskiego do prawdy

trafiło na pierwszą poważną mieliznę. Wycofał się i spróbował popłynąć w inną stronę.

W aktach było wiele zeznań, które w mniejszym lub większym stopniu obciążały Wasyluka, jednak dwa z nich szczególnie rzuciły mu się w oczy. Postanowił pójść teraz tym śladem. Tylko że wtedy wezwał go Komendant Powiatowy, podinspektor Wrzesień i oświadczył, że nie podoba mu się rozgrzebywanie starych spraw i ma nadzieję, że Wiktorski nie robi tego w godzinach pracy. Czyli jakiś kolega – lizusowska menda – zdążył donieść szefowi o jego zainteresowaniach. A że z Wrześniem nie przepadali za sobą i tak był zdziwiony, że reprimenda odbyła się w tak delikatny i zawołowany sposób. Ale dzisiaj była sobota, miał wolne, więc nic komendantowi do tego, czym się zajmuje.

Pierwszym było zeznanie Marczaka z Kamiennej, który powiedział, że tamtego wieczoru widział Wasyluka w pobliżu miejsca przestępstwa. W drugim dokumencie przeciw Józefowi zeznawał jego własny brat. Franciszek Wasyluk był od niego o kilka lat starszy, ale nigdy Wiktorskiemu nie obilo się o uszy, że są ze sobą skonfliktowani. Przynajmniej w tamtych czasach, bo kiedy Józef trafił do więzienia, Franciszek oficjalnie się go wyrzekł. Kilka razy przy świadkach powiedział, że już nie ma brata.

Franciszek wybudował się niedaleko Środy Śląskiej, na działce pod lasem, skąd do najbliższych zabudowań mieszkalnych miał kilkaset metrów. Miejsce na odludziu, gdzie psy dupami szczekają, ale Wiktorski słyszał o nim różne dziwne opinie. Najłagodniejsza nazywała go dziwakiem, ale były i bardziej drastyczne określenia. Starszy z Wasyluków mieszkał tam wiele lat, wreszcie względy zdrowotne zdecydowały, że przeniósł się córki, do Środy. Córka nazywała się Ewa Bujak i mieszkała na Kolejowej w bloku pod numerem szóstym.

– A, to pan. Proszę wejść – powiedziała, gdy ujrzała Wiktorskiego na progu.

Był już tyle lat gliniarzem, że w mieście i okolicach znali go wszyscy. Gospodyni nie wyglądała na zaskoczoną jego sobotnią wizytą. Zaprosiła go do

kuchni, gdzie zaproponowała kawę, jakby już kilka dni wcześniej umówili się na sympatyczną pogawędkę przy filiżance i ciastku.

Ewa była kobietą koło trzydziestki, odrobinę zaniedbaną. Komisarz nawet się nie dziwił wiecznemu wyrazowi zniechęcenia na jej twarzy. Sprawa Józefa Wasyluka mocno dotknęła też jego rodzinę, stygmatyzując ich niesprawiedliwie. Może dlatego Ewa nie potrafiła ułożyć sobie życia? Była trzy razy mężatką, nie miała dzieci, po każdym rozwodzie zostawiała sobie nazwisko męża. Teraz nazywała się Bujak, ale nie było pewności, czy tak zostanie. Wbrew zasłyszonym opiniom Wiktorski uważał ją za dobrą dziewczynę, która po prostu miała życiowego pecha. Zresztą jakby się nad tym głębiej zastanowić, może i ona była pośrednio ofiarą tamtej zbrodni sprzed lat?

Usiedli przy stole, każde z dużym kubkiem kawy. Ciastko też się znalazło.

– Przepraszam, że cię tak nachodzę w dzień wolny – zaczął, lecz mu przerwała.

– Pan zawsze jest tu mile widziany, panie Wiktorze – powiedziała, uśmiechając się szczerze. – Pewnie ojciec miałby inne zdanie na ten temat, ale na szczęście go nie ma.

Wiktorski trochę się stropił. Przyszedł właśnie do jej ojca, a nie do niej.

– Chciałem z nim porozmawiać. Kiedy wróci?

– No masz! Pewnie nieprędko, bo podobno ktoś włamał mu się do domu, była policja i duże zamieszanie. – Machnęła ręką.

– Włamanie? Nic o tym nie wiem. – Uniósł brwi w wyrazie zdziwienia.

– Bo to była policja z Wrocławia.

Wiktorski zastanowił się, ale nie skomentował. Jej nie robiło różnicy, skąd przyjechali policjanci, ale jemu już tak. To był rejon ich komendy, włamanie podlegały ich jurysdykcji, co tam robiła wojewódzka? Postanowił, że zbada to głębiej. Na razie zapytał:

– A mówił, co właściwie się stało?

– No masz! Ktoś wybił szybę, podrzucił mu jakieś telefony i komputery – wyjaśniła. – Pewnie kradzione, dlatego zrobiła się z tego taka afera. Podobno nawet antyterrorysty byli, ale na szczęście staruszka mi za mocno nie poturbowali.

– Aresztowali go? – Wiktorski jeszcze bardziej się zdziwił. – Ewa, twój stary jest w coś zamieszany?

– A gdzie tam! Już wszystko wyjaśnione, tylko został tam, żeby szybę załatać i posprzątać.

– Rozumiem – mruknął policjant, choć niewiele z tego zrozumiał. Antyterrorysty w domku pod lasem? To musiała być gruba afera!

– Zapali pan? – Ewa Bujak rzuciła na stół paczkę marlboro. – Palę w domu tylko, jak nie ma ojca, jemu to przeszkadza.

Zapalili, Ewa upiła trochę kawy i rozgadała się, jakby to ona przyszła w odwiedziny do komisarza sprzedać najnowsze hity z podwórka. Opowiedziała mu, co tam w pracy, co u koleżanek, skomentowała sytuację polityczną, skrytykowała władze powiatu, że niby nic nie robią, i powróciła do starego jak świat tematu sprzedanego i zlikwidowanego szpitala, którego teraz tak brakuje, ale podobno znowu będzie. Potem nieoczekiwanie oświadczyła:

– Właściwie to ja się do pana wybierałam na komendę w pewnej sprawie. Chodzi o mojego wujka.

– Józefa? Dziada Wasyla? – upewnił się i nadstawił uszu.

– No masz! Tego samego. Martwię się o niego.

Wiktorski nie skomentował. Rodzina zerwała kontakt z Wasylukiem chwilę po tym, jak został oskarżony. Po wyjściu na wolność nie miał już rodziny. Więc skąd teraz taka troska?

– Bo ojciec nic o tym nie wie – zaczęła wyjaśniać Ewa. – Zresztą nikt o tym nie wie, ale ja często odwiedzam wujka. Nigdy nie wierzyłam, że to on zgwałcił tamtą dziewczynę. Dlatego olałam ojca i resztę rodziny i cały czas utrzymuję z nim kontakt. Chyba tylko ja i Iza Bernatowicz do niego chodzimy. To jest jej ojciec chrzestny, wiedział pan? Ona zresztą ma blisko.

– Często do niego chodzisz? – Wiktorski zarejestrował pewną nieścisłość. Wasyluk mówił mu niedawno, że Iza nie odwiedzała go od lat. Zresztą, zgodnie z jego słowami, nikt go nie odwiedzał.

Zanim odpowiedziała, uchyliła lufcik w oknie i firanka zafalowała pod naporem silnego wiatru. Chmura dymu pod sufitem trochę się rozwiała.

– Co tydzień, a czasem i częściej – wyjaśniła.

– A jak to możliwe, że nikt cię nie widział?

– Doktorowa wie, ale ona nic nie powie. Zatrzymuję auto pod domem Owczarków w Kamiennej i idę przez podwórze i krzaki. Tam jest taka wydeptana ścieżka. Pewnie zwierzęta tam chodzą. No i tak się stało, że nikt chyba nie widział.

Zgasła papierosa i patrzyła na niego z uśmiechem samozadowolenia. Wiktorski chwilę trawił te informacje.

– No i się o Józka martwisz?

– No masz! Bo on się ostatnio bardzo zmienił.

– Jak się zmienił?

Kobieta napiła się kawy z głośnym siorbnięciem.

– Pan pewnie rzadko z nim gadał, to muszę zacząć od początku. Jeszcze niedawno wujek Józek wyglądał na zadowolonego z tego, jak mu się w tej starej chacie żyje. Ja wiem, że to głupio może zabrzmieć, bo ludzie uważają go za pustelnika, dziwaka i jakiegoś złoczyńcę, ale prawda była zupełnie inna. On był zawsze wesoły, często się uśmiechał, żartował ze mną, zapraszał mnie na zapiekankę ziemniaczaną z pieca. Widać było, że z losem się pogodził i czerpie radość z tego, że żyje sam, z dala od ludzi. Pod koniec roku coś się z nim złego porobiło. Chyba po tym zaginięciu doktora Bernatowicza. Jakby przygasł, posmutniał, a od początku roku to już zupełnie. Zaczął nagle mówić, że on się już swoje nażył i zmęczony jest. Jakby się do śmierci przygotowywał. Najpierw pomyślałam, że sobie coś złego chce zrobić, ale nie. Podpytywałam go delikatnie, ale on się ze swoimi myślami nie zdradził. Ale ja taka głupia nie jestem i powiedziałam, żeby mnie tym bimbrem poczęstował, bo rowerem przyjechałam. Jak bocznymi drogami wró-

cę, to nikt nie zauważy. Bo przecież policja na bocznych nie łapie. – Puściła do Wiktorskiego oko, ale widząc, że nie złapał dowcipu, mówiła dalej: – No i jak wujo sobie podpił, a żeby pan wiedział, ile on potrafi wypić, to ja już bym dawno się porzygała i pod stołem zasnęła.

– No i co? – ponaglił ją zaciekawiony policjant.

– Jak już był pijany, to zaczął o wyrównywaniu rachunków mówić. Że za długo czekał, a sprawiedliwość być na świecie musi. Mówił coś o jakiejś równowadze, ale niewiele z tego bełkotu zrozumiałam. Powiedział, że tam, gdzie była wina, to musi być i kara. Szczerze mówiąc, przestraszyłam się trochę, bo to zabrzmiało złowrogo. Jakby chciał kogoś zabić, nie przymierzając. Nietrudno było mi się domyślić, że pewnie chce się na kimś zemścić. Może za to, że tyle lat w więzieniu przesiedział niewinnie? Bo jak już mówiłam, ja w jego winę nie wierzę.

– A na kim niby miałby się zemścić? – Wiktorski zapalił jeszcze jednego papierosa.

Gospodyni skorzystała z okazji i też zapaliła. Wiatr uderzył w szybę, jakby tylko na to czekał, i wydał firankę.

– A skąd mam wiedzieć? Ale przestraszyłam się, że znowu sobie biedy napyta i chciałam do pana na komendę pójść, żeby powiedzieć, jak jest, i żeby może pan z nim porozmawiał, bo mnie już nic nie chce powiedzieć więcej.

– A pytałaś go?

– No masz! Następnym razem, jak był trzeźwy, pytałam, ale zbył mnie. Nieszczery przy tym był. Na pewno. Ukrywa coś, dusi w sobie. Pogada z nim pan? Pan ma posłuch nawet u niego. Nie przyzna się do tego, ale ja to wiem.

– Dobrze, że mi to mówisz – pokiwał głową policjant. – Porozmawiam z nim.

– A wtedy jeszcze, jak zasnął przy stole, to rozejrzałam się po tej jego izbie i w szufladzie w stole znalazłam nóż.

– Nóż? Co w tym dziwnego?

– To nie taki zwyczajny nóż. Ma ponad sto lat, taka pamiątka rodzinna. Myśleliśmy, że gdzieś zaginął, a to wujek go ma. Ten nóż był ostry jak brzytwa. Przestraszyłam się, jak go tam znalazłam. Ani śladu rdzy, ani jednej plamki, jakby gotowy do użycia. Dzięki Bogu, może przemówi mu pan do rozsądku. – Nagle zamilkła i spojrzała uważnie na komisarza. – Zagadałam pana, a pan pewnie z ważną sprawą do ojca przyszedł. Dopiero jutro wieczorem przyjedzie, ale jakby pan chciał, to przecież tylko kilka kilometrów, może go pan jeszcze dzisiaj odwiedzić.

– Nie omieszkam, ale skoro już tak szczerze rozmawiamy, mogę cię o coś zapytać?

– No masz! Pewnie!

Wiktorski zastanowił się, jak zacząć, ale Ewa Bujak była z nim szczerą do bólu, więc on też postanowił nie owijać w bawełnę.

– Wiesz, że twój ojciec zeznawał przeciwko Józefowi w tamtej sprawie?

– Nie wiedziałam. – Pokręciła głową, marszcząc czoło. – Co wtedy naga-
dał?

– Zeznał, że jego młodszy brat jest porywczy, często wpada w gniew, w złości mógłby skrzywdzić, często się bili w dzieciństwie, widział, jak Józek dręczył zwierzęta, i w ogóle zły człowiek z niego był.

– Pierdolenie! – Ewa uderzyła pięścią w stół, ale nie za mocno.

– Szczerą prawdą, właśnie czytałem zeznania potwierdzone własnoręcznym podpisem. Mówił, że z tą Janiną Owczarską często się kłócili, właściwie mieli się rozstać, że był zazdrosny. Podobno ona zwierzała się twojemu ojcu, że chciałyby zakończyć ten związek, ale się bała, że Józek wpadnie w gniew i ją skrzywdzi. Takie zeznania w sytuacji oskarżenia o pobicie i gwałt zakończony zgonem to był gwóźdź do trumny. Wtedy nie było jednoznacznych dowodów winy twojego wujka, sądzili go właściwie na podstawie zeznań świadków. Wiele osób wtedy zeznawało przeciw niemu.

Ewa Bujak kręciła głową z niedowierzaniem, jakby nie mogła się pogodzić z tym, co usłyszała.

– No masz! – jęknęła. – Już babka Karolka mi o tym mówiła. Wie pan, babcia ze strony mamy, co w Bukówku mieszkała. Pamięta ją pan?

Wiktorski potwierdził.

– Ona mnie wychowywała, bo mama zmarła przy porodzie. Ojciec się do tego nie nadawał. Ona dużo wiedziała i opowiadała mi czasem różne historie. O tym też, ale nie wiedziałam, że aż tak źle o nim mówił. To dlatego od tamtego czasu ze sobą nie rozmawiali, jakby rodzonymi braćmi nie byli. Ale z drugiej strony wcale mnie to nie dziwi.

– Dlaczego?

– Przecież mój ojciec podobno też smażył cholewy do tej zabitej wtedy dziewczyny. Nie wiedział pan?

Wiktorski pokręcił głową.

– Obaj byli w niej zakochani, tylko mój ojciec był od niej dużo starszy i dlatego ona go nie chciała. Spotykała się z wujkiem, a ojciec się wściekał. Pewnie stąd wzięły się te ich wszystkie nieporozumienia. Jak ta dziewczyna zmarła, musiał być rozgoryczony i dlatego tak zeznawał. Pewnie teraz żałuje, tylko nigdy się do tego nie przyzna. To dlatego tak szybko się potem ożenił z mamą, a kiedy ona zmarła, nie zajął się mną, tylko coraz bardziej izolował się od świata. Wie pan, on do dzisiaj jest dzikusiem, który unika ludzi, i trudno jest do niego dotrzeć.

Wiktorski dopił zimną już kawę, a jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Dobrze, że wpadł na pomysł, żeby tu dzisiaj przyjść, dobrze, że Ewa Bujak była taką gadułą i waliła prosto z mostu. Dzięki temu miał zupełnie inny obraz tamtych wydarzeń. Wielowymiarowy, a nie tylko płaski, suchy i pozbawiony emocji, jaki wylaniał się z papierów. Czy Franciszkowi Wasylukowi mogło zależeć na tym, żeby zemścić się na bracie? Jeśli nienawiść była szczera, a mogła być, bo kiedy braterska wielka miłość zmienia się w nienawiść, to i ona jest wielka, a jeśli w grę wchodzi zawiść, żal i poczucie własnej krzywdy, wtedy staje się gigantyczna. Musi wszystko jeszcze raz przemyśleć.

– Dziękuję ci, Ewo – powiedział szczerze. – Bardzo mi pomogłaś.

– No masz! To ja też się cieszę.

Zaczął zbierać się do wyjścia.

– Szkoda, że nie może pan porozmawiać z babką Karolką, ona wszystko wiedziała, ja niewiele z tego zapamiętałam.

Komisarz Wiktor Wiktorski postanowił, że z Franciszkiem porozmawia później. Czuł, że w tym wszystkim jest jakieś drugie dno.

– Wiesz, że coraz częściej się uśmiechasz?

Kamil Bernatowicz przekrzywił śmiesznie głowę, jak pies, który próbuje zrozumieć słowa swojego właściciela, i posłał jej urocze spojrzenie. Wyglądał przy tym tak komicznie, że Izabela Bernatowicz nie mogła się opanować i znowu uśmiechnęła się szeroko. Zaraz jednak zgaśniła się za ten zbyt szeroki uśmiech. Przecież była pogrążona w rozpacz, zaginął jej mąż, może już nie żyje, a ona się szczerzy jak głupia nastolatka do jego młodszego brata. Jeżeli prosiła się o poważne kłopoty, to wybrała najprostszą z możliwych dróg. Mimo takiej myśli nie potrafiła być w tym momencie poważna. Lubiła Kamila za jego bezpośredniość, poczucie humoru, uwielbiała z nim rozmawiać i zanim się spostrzegła, już z nim flirtowała.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytała cicho i nareszcie udało jej się zetrzeć z ust ten kretyński uśmiech.

Jej twarz spochmurniała, wbiła spojrzenie w blat stołu, ramiona trochę opadły. Niezły teatrzyk, Kamil oczywiście dał się nabrać. On też spoważniał i odchylił się na krześle.

– Iza, przecież nie możesz się gnębić do końca życia – powiedział. – Stało się, co się stało, nie można żyć w niepewności, szkoda życia na zadręczanie się, może warto pójść krok do przodu i zostawić za sobą tragiczne zdarzenia.

„Żebyś wiedział, jak prawdziwe są twoje słowa” – pomyślała gorzko i dalej grała swoją rolę cierpiącej żony. Kamil tymczasem kontynuował cicho. Czują na sobie jego wzrok i było jej z tym dobrze.

– Kuba był głupi. Miał taką piękną i mądrą kobietę w domu, a uganiał się za innymi. On na ciebie nie zasłużył, głupi patafian. Nie wiem, co mu odwaliło, nie wiem, gdzie zniknął, ale za to, co ci zrobił, nie powinnaś się tym przejmować. Skrzywdził cię, a teraz dalej cię krzywdzi, mimo że go tu nie ma. Obiecuję, że jak wróci, to tak mu wpierdolę, że go rodzona matka nie pozna. Za całokształt.

– Przestań. – Pokręciła głową, chciała coś jeszcze dodać, lecz umilkła nagle, gryząc się w język.

„Milcz, głupia” – skarciła się w myślach. Prawdę mówiąc, gdyby nie wizyty Kamila i Dawida, na które tak czekała i które były dla niej jak światło w mroku, pewnie by zwariowała. Zadręczyłaby się, zagryzła, żyła w strachu. Na pewno nie z powodu wyrzutów sumienia.

W ostatnich dniach wreszcie zebrała się na odwagę i wyjęła ze schowka w szufladzie dowody osobiste przechowywane tam przez Jakuba. Zaczęła od mediów społecznościowych, przecież większość ludzi ma teraz profil na Facebooku czy Instagramie. A jeśli nawet nie, zawsze gdzieś w sieci człowiek zostawia ślad. Szukała kobiet, wpisując imiona i nazwiska w różnych wyszukiwarkach, dopóki nie pokonał jej strach, a potem butelka wina wypita zdecydowanie za szybko, żeby ten strach pokonać. Tych kobiet nie było. One nagle zniknęły. Z narastającym przerażeniem i gulą w gardle czytała posty na Facebooku, w których rodzina i znajomi prosili wszystkich o pomoc w ich znalezieniu. Opisane było, w co były ubrane w chwili zniknięcia, gdzie były ostatni raz widziane, potem były apele o pomoc. Fotografie też były. Roześmiane ładne dziewczyny na imprezach, w parkach, z koleżankami, z mężami i chłopakami. Te same, które patrzyły na nią ze zdjęć w dowodach osobistych. Wszystkie znajdowały się na policyjnej liście poszukiwanych. Itaka, specjalizująca się poszukiwaniu osób zaginionych, też miała kilka z nich w swoich bazach. O co w tym wszystkim chodziło? Co się z nimi stało? Co miał z tym wspólnego jej mąż?

Następnego dnia rano, lecząc kaca i z nadzieją spoglądając w okna w oczekiwaniu na któregoś z braci, spojrzała wreszcie prawdzie w oczy. Jakub Bernatowicz je zabił i ukrył ciała. Nie miała co do tego żadnych wątpli-

wości, chociaż długo się oszukiwała. Pamiętała ten mrok w jego oczach, kiedy ją zaatakował. Był pierdolonym seryjnym mordercą. No bo jak to sobie inaczej wytłumaczyć? Pewnie i ją by wtedy zabił, tylko go uprzedziła. Żyła tyle lat pod jednym dachem ze zwyrodnialcem, bestią w ludzkiej skórze, potworem bez żadnych uczuć. Kiedy sobie uświadomiła, że być może była tylko jego alibi, dzięki niej uchodził wśród innych ludzi za normalnego faceta z domem i kochaną żoną, zrobiło jej się niedobrze i zwymiotowała. Dzięki niej wszyscy uważali go za zwykłego, sympatycznego mężczyznę, jakich tysiące na świecie. Prawda była jednak inna, był potworem.

Kiedy wreszcie opanowała torsje, przyszła kolejna refleksja. To ona uratowała przed nim świat. Kto wie, ile kobiet dzięki niej nie zostało zamordowanych? Być może uratowała nawet życie tej jego najnowszej kochance, Annie K., tylko ta głupia zdzira nie miała o tym pojęcia. Takie myśli sprawiły, że poczuła pewien rodzaj ulgi. Usprawiedliwiła swoją zbrodnię, zracjonalizowała ją, oswoiła. To była obrona konieczna, no bo kto mógł ocalić inne kobiety przed bestią, jeśli nie ona, jego żona? Poczuła się z tym o wiele lepiej. Nawet jak policja kiedyś wpadnie na jej ślad, miała asa w rękawie w postaci plastikowych kartoników, imion i nazwisk oraz zdjęć. Przecież działała w obronie własnej, tak naprawdę jej czyn był szlachetny. Będą mieli tyle odwagi, żeby ją skazać? Ofiarę męża psychopaty, która odkryła prawdę i zabiła go, walcząc o życie? Czy media dadzą jej zrobić krzywdę? Na pewno nie: będzie ofiarą i bohaterką.

To dlatego udało jej się zdusić w sobie wyrzuty sumienia. To dlatego planowała zacząć nowe życie i z taką niecierpliwością oczekiwała wizyt Kamila i Dawida. Co z tego, że byli braćmi potwora? Oni też o niczym nie wiedzieli, byli normalni. A co najważniejsze, podobali się jej, a ona podobała się im. Nie potrafiła teraz jednoznacznie powiedzieć, który jej się bardziej podoba, ale nie przejmowała się tym. Na wszystko przejdzie czas.

– Jaki Jakub był w dzieciństwie? – zapytała znienacka.

Kamil zmarszczył czoło, zaskoczony pytaniem.

– Normalny był. – Wzruszył ramionami. – Mimo różnicy wieku trzymaliśmy się razem. W szkole było trudniej, bo chodziliśmy do różnych klas, ale

na podwórku byliśmy nierozłączni. Był jeszcze jeden taki kolega. Nawet nauczyciele się śmiali, że to był nasz czwarty brat.

– A ten szpital?

– A to... – strapił się Kamil. – Rzeczywiście Kuba miał taki incydent. Coś mu się w głowie pokiełbasiło i trafił na psychiatrię dziecięcą do Wrocławia. Szybko z tego wyszedł, ale nasza paczka braci i niebraci rozpadła się. Nie było już tak jak dawniej. Kiedyś słyszałem, jak rodzice o tym rozmawiali. Podobno lekarz im powiedział, że to mogło być związane z jakąś traumą. Wiesz, ktoś Jakuba porządnie nastraszył albo coś mu zrobił. Tylko że on nigdy się do tego nie przyznał.

Iza wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie kilkanaście dowodów osobistych spoczywających w skrytce w biurku jej męża. Czy właśnie wtedy stał się bestią?

Nagle coś mignęło jej za oknem. Drgnęła i utkwiała wzrok za plecami Kamila. Nic nie dostrzegła, choć wydawało jej się, że ruch był wyraźny, jakby w głębi ktoś się poruszył. Po chwili nad podwórzem przeleciały ptaki. Uspokoila się, to był ten niepokojący ruch. Wstała i zebrała kubki po kawie ze stołu. Podeszła do zmywarki i wkładała je ostrożnie. Kątem oka dostrzegła, że Kamil też wstaje, ale nie kieruje się do wyjścia, tylko zbliża się do niej. Poczula miły dreszcz na skórze, kiedy delikatnym gestem odgarnął jej włosy z twarzy. Znieruchomiała, wstrzymując oddech. Dłoń Kamila przesunęła się po szyi i powędrowała na jej kark. Patrzył na nią z tym błyskiem w oku, którego nie da się z niczym pomylić.

– Zawsze zazdrościłem Kubie, że ma ciebie, i byłem na niego zły, kiedy nie potrafił tego docenić. Gdybym mógł ci to jakoś wynagrodzić, zrobiłbym to. To był niby mój brat, a jednak szuja.

– Był? – szepnęła.

– Mam nadzieję, że już nigdy nie wróci...

Nagle pochylił się w jej stronę i ją pocałował. Najpierw ostrożnie, ale kiedy nie poczuł oporu, jego usta i język zrobiły się bardzo śmiałe. Iza poczuła, jak zaczynają płonąć jej policzki.

– Kamil... – Spróbowała się odsunąć, ale jej nie pozwolił.

– Nie bój się. – Ich usta znowu się złączyły, tym razem bardziej namięt-
nie.

W tej chwili rozległ się dzwonek przy drzwiach. Izabela odskoczyła od szwagra, przestraszona. Widziała wielki zawód w jego oczach, lecz już za moment na jego ustach wykwitł normalny uśmiech. Poszła do drzwi, czując, że ma nienaturalnie zaczerwienione policzki.

Na widok Dawida zamarła w bezruchu i jeszcze bardziej się zaczerwieniła. To on mignął jej przez okno? Widział, jak całowała się w kuchni z Kamilem? To była jej pierwsza myśl. Druga, jaka na dłużej zagościła w jej głowie, była tak samo zła. Nawet jeśli ich nie widział, to po tym, jak teraz idiotycznie się zachowuje, on pewnie zrozumie, że coś między nimi zaszło. Przecież nie był głupi, a na złodzieju czapka gore. Ona cała płonęła wstydem, zaskoczeniem i przestraszeniem.

– Cześć. – Zmierzył ją uważnym spojrzeniem i od razu dostrzegł jej zmieszanie. – Coś się stało?

– Cześć. Nie, w porządku. – Nawet jej głos był drewniany i słychać w nim było fałsz.

– Widzę, że jest tu mój brat... – zaczął Dawid i zamilkł.

Spojrzał ponad jej ramieniem na wychodzącego z kuchni Kamila.

– Cześć, braciszku! – rzucił tamten z nonszalanckim uśmiechem. – Wpadłeś na kawę? To się dobrze składa, bo ja właśnie wychodzę i nie będę wam przeszkadzał.

Kamil włożył buty, minął w progu Dawida, który górował nad nim wzrostem i był co najmniej dwa razy szerszy w barach, pomachał Izie na pożegnanie, klepnął brata w ramię i rozkołysanym krokiem poszedł w kierunku auta zaparkowanego na podjeździe. Dawid odprowadził go wzrokiem, po czym spojrzał na Izę. Ona ciągle nie potrafiła się otrząsnąć i zapanować nad sytuacją.

– Wejdz – powiedziała cicho.

Dawid wszedł z wahaniem. Zaprowadziła go do kuchni i stanęła do niego tyłem przy ekspresie, żeby dać sobie dodatkowy czas na uspokojenie. Może chociaż zniknie ta cholerna czerwień z policzków. Była na siebie wściekła. Zareagowała jak nastolatka przyłapana przez ojca na całowaniu się z chłopakiem pod bramą. Niech to jasna cholera! Coś ścisnęło ją w środku. Zależało jej na Dawidzie, tak samo jak na Kamilu. Może nawet bardziej i dlatego teraz nie wiedziała, co ma zrobić.

– Napijesz się kawy?

Zaniepokoiło ją jego milczenie, dlatego się odwróciła. Stał w progu. Miał kamienną twarz, jak zwykle, tylko w jego oczach było coś nie tak. On się chyba domyślił, co zaszło. No dobrze, ale co niby zaszło? Nic wielkiego. Żeby tylko nie wyobraził sobie zbyt wiele, przecież faceci mają tendencję do wyolbrzymiania i konfabulacji.

– Dawid?

– Nie, tak tylko wpadłem zobaczyć, czy wszystko u ciebie jest OK – powiedział sucho. – Ale jak był Kamil, to chyba pojedę.

– Szkoda – stwierdziła szczerze, w jej głosie wybrzmiał zawód. On to usłyszał i trochę jakby złagodniał.

– Jutro przyjadę – zapewnił.

Podeszła z nim do drzwi, a potem odprowadzała go wzrokiem, kiedy szedł przez podwórze, wsiadał do samochodu i odjeżdżał. Nagle Izabela poczuła strach. Co ona właściwie robi? Zabiła męża, a teraz jego bracia rywalizują o nią. Najgorsze jest to, że ona bardzo ich polubiła i zaczyna jej na nich zależeć. I do tego nie wie, który jej się bardziej podoba. Jak z tego wybrnąć? Mieszanka wybuchowa, która eksploduje, kiedy najmniej będzie się tego spodziewać. Jak to w życiu. Igranie z losem, idealny scenariusz na klasyczną tragedię.

Długo siedziała w fotelu w salonie, z sercem trzepoczącym się w pierśsiach. Ze strachu, ale też z podekscytowania. Bała się i jednocześnie czuła dziwną euforię. To się nie mogło dobrze skończyć.

19.

Pomimo ostrzeżeń Renaty na drugi dzień nie miał kaca. Cierpiał tylko na lekki ból głowy, który przeszedł jak ręką odjął, kiedy tabletkę popił mocną kawą. Karina wyglądała o wiele gorzej, mimo iż wczorajszego wieczora wypła dużo mniej niż on i szybko pojechała do domu. Dał o sobie znać stres i przez pół nocy nie mogła zasnąć. Obejrzała w tym czasie cały film Scotta. Nie poczuła się jednak ani odrobinę lepiej.

Poranna narada przypominała stypę po śmierci ojca chrzestnego mafii. Niby nastąpił przełom i teraz wszystko powinno potoczyć się w innym kierunku, ale większość policjantów miała obawy, czy nie wpieprzą się na jeszcze większą minę. Nadkomisarz Góra użył określenia, które Zakrzewskiemu bardziej przypadło do gustu. Nie przełom, tylko trzęsienie ziemi, po którym najpierw trzeba posprzątać i ocenić, jakie są zniszczenia, a dopiero potem planować co dalej.

Marta Mickiewicz wraz z technikami analizowała ślady zebrane w domu Wasyluka i w miejscu odkrycia zwłok. Piwnica była zawilgocona, zagrzybiona i zabrudzona, więc nie spodziewali się fajerwerków. Bardziej obiecująco wyglądały aparat telefoniczny i laptop. Na aparacie znaleźli niezbyt dobrze wytarty odcisk palca, podobnie jak na obudowie laptopa. Więcej znalazło się pod klawiaturą. To jest miejsce bardzo trudne do wyczyszczenia, a gromadzą się tam zanieczyszczenia, które są szczególnie interesujące dla policji. Fragmenty naskórka i włosy.

Technicy zabezpieczyli je i teraz pracowali pełną parą. Podobnie jak patomorfolog w zakładzie medycyny sądowej. Po rozwinięciu zwłok z bandaży okazało się, że denatki są ubrane. To były ciągle te same ubrania, które zostały opisane w protokołach zaginięcia, dlatego można było je zidentyfikować. Większość z nich odzyskała już swoje personalia. Technicy poszukiwali na ubraniach śladów zabójcy. Wstępne ustalenia z sekcji zwłok były do

siebie bardzo podobne. Każda z zamordowanych została wcześniej zgwałcona, a potem uduszona. Zwyródnialec nie zatroszczył się nawet o opróżnienie im kieszeni

Policyjny informatyk przejrzał dyski telefonu i laptopa. Stwierdził, że są dokładnie wyczyszczone i była to raczej robota profesjonalisty.

Pod koniec narady podzielono zadania. Nadkomisarz Norbert Góra postawił słuszną hipotezę, że zabójca nie działał pod wpływem impulsu, tylko starannie dobierał ofiary. Dlatego większość śledczych skupiła się na rodzinie i znajomych denatek, a także na odtworzeniu ze szczegółami ich ostatnich dni przed zaginięciem. Osobny zespół badał powiązania między ofiarami. To była żmudna praca, wymagająca dokładności, skupienia i czujności. Bardzo łatwo było coś przeoczyć. Na celowniku policji był też klub zarządzający terenem do motocrossu przy magazynach.

W dyskusji na koniec, co było do przewidzenia, padły oczywiste pytania: dlaczego ten psychol akurat teraz postanowił ujawnić policji zwłoki i dlaczego w ten sposób? Natychmiast pojawiły się klasyczne teorie, że każdy seryjny morderca chce być złapany i bardziej lub mniej świadomie do tego dąży. Ostatecznie albo sam daje się złapać, albo staje się tak nieostrożny, że wreszcie policja wpada na jego trop.

Zakrzewski zawsze się denerwował, kiedy słuchał takich opinii wygłaszanych przez doświadczonych gliniarzy. Oczywiście, były takie pojedyncze przypadki, jeśli sprawca cierpiał na pewien rodzaj zaburzenia psychicznego. Oczywiście, bywało, że stawał się mniej ostrożny, ale tylko jeśli działał pod wpływem środków odurzających lub od początku nie przejmował się śladami zostawianymi na miejscu zbrodni. Czy Ted Bundy, Robert Hansen i jeszcze kilku innych zwyródnialców chcieli zostać złapani albo nie dbali o usunięcie śladów swoich zbrodni? To była gównem prawda, szczególnie w tym przypadku, gdy morderca postarał się o tak efektowny spektakl, jak włamanie do domu Wasyluka i pozostawienie telefonu i laptopa z fragmentem filmu. On wcale nie chciał być złapany. Z krzywego uśmiechu, jaki posłała mu Karina Buczko, wywnioskował, że podziela jego

zdanie. Nikt też nie potrafił powiedzieć, co miał znaczyć fragment filmu *Blade Runner* na powitanie policji.

Podobno policyjny psycholog pracował już nad profilem sprawcy. Zakrzewski, podobnie jak inni śledczy, czekał na ten oficjalny dokument, lecz bardziej interesowała go nieformalna opinia, czyli cały konglomerat niepewnych wniosków, które pojawiły się w trakcie opracowywania opinii, ale ostatecznie nie trafiły do oficjalnej wersji. Postanowił zadzwonić do Arlety Wierzbickiej. Już знаła jego metody, więc nie powinno być problemu z udzieleniem mu informacji.

Zakrzewski miał własną teorię na temat sprawcy, lecz postanowił wygłosić ją w jak najwęższym gronie. Podczas rozdzielania zadań na koniec narady dostał wolną rękę i mógł zająć się tym, co akurat wydało mu się najważniejsze. Zdawał sobie sprawę, że taki układ może sprowokować konflikt na najwyższym szczeblu w ich grupie specjalnej, po naradzie zaprosił więc nadkomisarza Górę do swojego pokoju. Parol Szawczak został zawieszony i jego dalsze losy pozostawały w rękach prokuratora, więc było wolne biurko. Siedzieli we trójkę, pijąc kawę z ekspresu.

– Szczerze mówiąc, wciąż nic mi w tej układance nie pasuje. Nie przekonują mnie teorie, które przed chwilą usłyszeliśmy, dlatego swoje wątpliwości wypowiem na głos jeszcze raz – mówił Marcin.

To była jedna z zasad Zakrzewskiego, ale Góra nic nie powiedział. Wszyscy się już przyzwyczaili, że Marcin chadza własnymi ścieżkami.

– Po pierwsze, dlaczego zabójca wskazał nam miejsce ukrycia zwłok? Przecież nikt by ich tam nie znalazł przez długie lata. Brak zwłok znacznie skomplikowałby nam śledztwo. Teraz nasze szanse wzrosły, a jego zmalły. Nie wiem, jaki to miało sens.

Góra napił się kawy i pozwolił, żeby pierwsza odezwała się Karina Buczeko.

– To koniec. Klaudia Kania było ostatnią ofiarą i teraz zabójca rozplynie się jak poranna mgła. Co z tego, że mamy zwłoki, skoro on się wycofa. I tak go nie złapiemy.

– Prawdopodobne – potwierdził Góra.

– Po drugie, w jakim celu zrobił tę inscenizację?

Tym razem Norbert pytanie wziął do siebie.

– Uważasz, że ta scena z filmu powinna być dla nas wskazówką?

– Powinniśmy się nad tym poważnie zastanowić – potwierdził Marcin. – To było zbyt skomplikowane i niebezpieczne, żeby nie miało znaczenia. Jest jakiś ukryty sens, którego jeszcze nie potrafimy dostrzec. I wreszcie, po trzecie, dlaczego w tym miejscu?

Góra odstawił kubek, jakby kawa przestała mu smakować. Spojrzał na Zakrzewskiego pytająco.

– Być może miejsce też ma znaczenie, przecież ten telefon mógł włączyć gdziekolwiek. I tak byśmy go namierzyli.

– Ja twierdzę, że miejsce ma znaczenie – oświadczył Marcin.

– Tylko jakie?

Tym razem Zakrzewski pociągnął łyk ze swojego kubka. Kawa jak zwykle szkodziła mu na żołądek, ale cudownie rozjaśniała myśli.

– Według mnie to jest symboliczna pętla. Zakończył swoją działalność tam, gdzie ona się rozpoczęła – powiedział.

Ani Karina, ani Góra nie nadążali za jego tokiem rozumowania.

– Tylko że w domu Wasyluka nie było żadnego morderstwa – rzucił Góra.

– Spójrz na to szerzej. Może jest jakieś zdarzenie z przeszłości, które tak mocno wpłynęło na sprawcę, że do dzisiaj nie może sobie poradzić z traumą. Morduje, żeby odzyskać równowagę i spokój, żeby normalnie funkcjonować. Przecież wiecie, że w historii wielu seryjnych morderców są takie punkty zwrotne, które zmieniają ludzi, robią z nich bestie.

– Brat Franciszka Wasyluka, Józef, zgwałcił i zamordował kobietę – przypomniała sobie Karina. – Tylko że to było wiele lat temu.

– Mógł wtedy być nastolatkiem, a trauma często wraca po latach.

Nadkomisarz Góra pokiwał głową.

– Dobrze. Zajmiecie się sprawą Wasyluka, musimy sprawdzać wszystkie tropy. Sprawdźcie też rodzinę tej zamordowanej dziewczyny.

Następne dwie godziny spędzili na poszukiwaniach w bazie policji i ewidencji ludności. Karina żmudnie śledziła każdą osobę blisko spokrewnioną z zamordowaną Janiną Owczarską. Okazało się, że jej rodzice sprzedali dom w Kamiennej i przeprowadzili się do małej wsi na Podlasiu. Jeśli miało to być lekarstwo na traumę po stracie córki, to naprawdę musieli bardzo to przeżywać. Wyprowadzka na drugi koniec Polski, gdzie nie mieli żadnej rodziny, gdzie praktycznie zaczynali życie od nowa, wyglądała na coś w rodzaju samobiczowania. Zdaniem Kariny, jeśli naprawdę chcieli wyjechać z Kamiennej tylko po to, żeby każdy dom i każda ulica nie kojarzyły im się z nieżyjącą córką, mogli przenieść się do innej miejscowości na Dolnym Śląsku.

Oni tymczasem zachowali się tak, jakby chcieli ukarać też siebie i dwóch młodszych braci Janiny. I tak też potoczyło się ich nowe życie – jak pokuta. O ile dotąd w Kamiennej byli uważani za dobrych ludzi, w nowym miejscu nie potrafili znaleźć porozumienia z sąsiadami. Kłócili się, potem sędzili o pierdoły, coraz częściej w ich nowym domu pojawiał się alkohol. Dwa lata później stary Owczarski po dwóch tygodniach tegoż picia zasnął i już się nigdy nie obudził. Karina dotarła do policyjnych akt tej sprawy w Białymstoku. Policja musiała mieć jakieś podejrzenia, bo było całe postępowanie w sprawie jego śmierci. Według raportu z sekcji zwłok przyczyną śmierci była niewydolność krążeniowo-oddechowa.

Karinie udało się dotrzeć do dzielnicowego, który wieś Owczarskich miał w swoim rewirze. Starszy mężczyzna, od dawna na emeryturze, był bardzo rozmowny i pamiętał dobrze Owczarskich, ponieważ problemy we wsi zaczęły się właśnie od czasu, kiedy kupili tam dom. Owczarska, zdaniem policjanta, zaniedbywała gospodarstwo. Jej synowie, nie mając dobrych wzorców, też źle skończyli. Jeden za rozboje trafił do więzienia, a potem jako recydywista był częstym mieszkańcem zakładów penitencjarnych. Ostatni raz więzienie opuścił około dwa tysiące dziesiątego roku i od

tej pory ślad po nim zaginął. Drugi coraz więcej pił, aż wreszcie w wieku trzydziestu dwóch lat po pijanemu wpadł pod ciężarówkę i zmarł w szpitalu.

Niby takich historii z pracy w policji Karina знаła wiele, lecz ta wyjątkowo nią wstrząsnęła. Czy na świecie naprawdę nie ma sprawiedliwości, a to, co uważamy za wymierzanie sprawiedliwości, jest tylko jej namiastką? Śmierć dziewczyny zniszczyła życie jej rodzicom, braciom, odbiła się negatywnie na sąsiadach. Narobiła tyle zła, że przez wiele lat nie da się tego naprawić. Równowaga świata, gdzie powinno być tyle samo dobra co zła, została mocno zachwiana.

Karina podzieliła się swoimi spostrzeżeniami z Zakrzewskim, kiedy wyskoczyli na obiad. Marcin, przegryzając hamburgera i zapijając go kawą, jak miał to w zwyczaju, popatrzył na nią, jakby zobaczył ją pierwszy raz.

– Gratuluję – rzucił drwiąco. – Tyle lat pracy w firmie i ciągle zachowałeś ideały wpojone ci jeszcze w szkole. Naprawdę jestem pod wrażeniem.

– Za to ty masz wszystko w dupie – zachnęła się i nieoczekiwanie zdenrowowała na niego. – Jeśli tak, to dlaczego nie jesteś na zasłużonej emeryturze, nie uprawiasz ogródka, nie zażywasz relaksu na słoneczku i nie popijasz zimnego browara? Twardziel się, kurwa, znalazł.

– Dlaczego akurat ogródek? – Wyglądał na naprawdę zainteresowanego.

– Twoi rodzice mieszkali na wsi – wyjaśniła.

– Tam chyba nigdy się nie przeprowadzę – odrzekł wyjątkowo poważnie.

– Mógłbym obudzić za dużo wspomnień.

– Czas leczy rany.

– J-jasne.

Przez chwilę jedli w milczeniu, wreszcie Marcin wytarł usta chusteczką i łyknął czarnej kawy.

– Mam wieści, które nie poprawią ci nastroju – odezwał się. – Józef Wasyluk odsiedział swoje i teraz jest wolnym człowiekiem. Nawet mieszka blisko miejsca napadu na Owczarską, w tej samej wsi.

Pokręciła tylko głową, a z ruchu jej warg, kiedy szeptała pod nosem, można było się domyślić, że jest to długa wiązanka popularnych przekleństw.

– W sumie to była prosta sprawa – mówił dalej Marcin. – Można by powiedzieć, że za prosta. Z tego, co trafiło do archiwum w postaci elektronicznej, wynika, że Wasyluka aresztowano prawie od razu, a potem wszyscy mieszkańcy wioski zeznawali przeciw niemu.

– Zmowa?

– Chyba nie. – Pokręcił gwałtownie głową. – Może ludzie tego Wasyluka nie lubili? Wystarczyło, żeby jeden sąsiad na niego coś powiedział, to potem poszło już falą. Nikt nie chciał być gorszy. Skoro milicja go aresztowała, musiał być winny, no i każdy dołożył cegiełkę. Nawet rodzony brat.

– Ale były jakieś dowody?

– Jakies były. – Wzruszył ramionami. – Wtedy wystarczyły. Teraz wzięłyby sobie dobrego papugę, który rozniósłby oskarżenie prokuratury w strzępy.

– Tylko teraz mamy badania genetyczne. Jeśli byłby winny, dowód jest niepodważalny.

– Pewnie masz rację.

Zapłacili, potem z ociąganiem wyszli na ulicę i natychmiast uderzył w nich zimny wiatr, rzucając jeszcze w twarz garść kropel deszczu. Karina narzuciła na głowę kaptur, Zakrzewski postawił kołnierz skórzanej kurtki i wcisnął ręce głęboko w kieszenie. Niewiele to dało. Wiatr wciskał się wszędzie. Minęli kamienice Jaś i Małgosia, przeszli skrajem Rynku, potem na skos przez Plac Solny. W Zaułku Solnym usłyszeli klasyczny dzwonek telefonu.

Marcin nie zareagował od razu. Utwór Led Zeppelin, który przez lata informował go o połączeniach przychodzących, tak się mocno zakorzenił w jego świadomości, że miał czasem problem ze zrozumieniem, że odzywa się jego aparat. Wreszcie Zakrzewski wygrzebał telefon z kieszeni, rzucił tylko okiem na Karinę i powiedział:

– To Renata, poczekaj chwilę.

Wrócił na Plac Solny i zniknął jej z oczu za rogiem. Buczko stała, walcząc z pokusą zapalenia papierosa. Takie przyzwyczajenie, fajka po jedzeniu. Zwyczaj zakorzeniony w głowie jak stary sygnał telefonu Zakrzewskiego. Tylko że trudniejszy do zwalczenia.

Zakrzewski odszedł kilka kroków, zanim odebrał. To nie była Renata Wieczorek, a on nie chciał pakować Kariny w niepotrzebne kłopoty. Przecież nie dałaby się przekonać i nie odpuściła.

– Zakrzewski, słucham?

Głos pułkownika Daniela Pasickiego zabrzmiał obco, jakby Zakrzewski słyszał go po raz pierwszy. Nawet przez chwilę zastanowił się, czy to na pewno on.

– Dobijał się pan do mnie, panie nadkomisarzu.

– Pomyślałem, że przydałaby się wam moja pomoc.

– W czym? – Pułkownik nawet nie krył uśmiechu w głosie.

– Pułkowniku, obaj jesteśmy poważnymi ludźmi. Po co udawać, że jest inaczej, skoro obaj wiemy, jak jest.

– A jak jest?

Zakrzewski rozejrzał się, sprawdzając, czy nie ma w pobliżu Kariny. Naprawdę nie chciał, żeby słyszała tę rozmowę.

– Długo się zastanawiałem, po co chciałeś się ze mną spotkać na osobności i po co wam był potrzebny wgląd w akta, skoro wiedzieliście, kto jest Bestią. Mogliście go zlikwidować po cichu i nikt by się nie zorientował. My byśmy powęszyli jeszcze jakiś czas, ale jeśli nie pojawiłoby się więcej ofiar, kiedyś sprawa by przycichła. Nie można by jej było umorzyć, ale działania policji byłyby pozorne. Po to komendant wydaje kasę na śledztwo, żeby mieć szybko wyniki. Nikt nie dowiedziałby się o problemach w ramach tajnej jednostki wojskowej.

Zakrzewski świadomie zrobił długą pauzę, jakby czekał na reakcję Pasickiego. Kiedy się jednak nie doczekał, mówił dalej:

– Prawda jest taka, że nie macie wytypowanego sprawcy. U osób wtajemniczonych u mnie w wydziale ścierają się dwie teorie: jedni mówią, że gów-

no wiecie, inni, że macie podejrzanego, ale brakuje wam pewności i nie chcecie go spłoszyć.

– A ty co myślisz?

– Nie macie pojęcia, kto u was jest Bestią. Dlatego potrzebujesz mojej pomocy. Tak nieoficjalnie, między nami, żeby twoi przełożeni o niczym się nie dowiedzieli. Nikt nas wtedy nie śledził, prawda?

Wojskowy chrząknął, jakby dla potwierdzenia.

– Ktoś ci powiedział, że nie boję się działać solo, czasem poza procedurami, dlatego przyszedłeś do mnie. Bo niby po co było to spotkanie?

– Niestety, mylisz się, Zakrzewski. – PasiECKI cedził słowa wyjątkowo wolno, jakby nie chciał powiedzieć ani jednego za dużo. – Już wiem, kto jest Bestią. Pracujemy nad tym, żeby mordercę wyeliminować i żeby już nikogo nie skrzywdził. Spotkałem się z tobą w poczuciu, jeśli mogę tak powiedzieć, obywatelskiej odpowiedzialności. Chciałem, żebyście wiedzieli, że Bestia nie skrzywdzi już nikogo. Jak byście się czuli, gdyby sprawa sama ucichła, tak jak to przedstawiłeś przed momentem? Wiem, jak wygląda takie rozczarowanie. Jestem dobrym człowiekiem i nie chciałem żebyście musieli to przeżywać.

– Myślisz, że twoja informacja o likwidacji Bestii poprawi nam nastroje?

– Na pewno będziecie rozczarowani, ale koniec końców o to przecież w tym wszystkim chodzi. Sprawiedliwość ma zatriumfować. Nieważne, czy w sposób formalny, czy mniej formalny.

Marcin przypomniał sobie rozmowę z Kariną przy obiedzie i jej wątpliwości. Co to, kurwa, właściwie jest sprawiedliwość? Byt ulotny, dla każdego inny, zmieniający się wraz z punktem widzenia. Ale w słowach PasiECKiego było sporo racji.

– Oddzwaniaasz, żeby mi to powiedzieć? – Z trudem ukrył rozczarowanie i narastającą złość w głosie.

– Chciałem ci zrobić dzień, Zakrzewski. – Wojskowy się roześmiał.

– Pierdol się, pułkowniku – powiedział twardo i rozłączył się.

Spojrzał na wyświetlacz aparatu. Rozmowa trwała wystarczająco długo, żeby były jakieś efekty pracy techników. Odczekał jeszcze chwilę, lecz jego telefon milczał. Wrócił do Kariny, która stała oparta o barierkę schodów i patrzyła na niego podejrzliwie.

– Poflirtowałeś już? – rzuciła cierpko.

Obdarzył ją jednym ze swoich uroczych uśmiechów, lecz wiedział, że jej nie uda mu się oszukać.

– Wiesz, nie jesteśmy ze sobą długo. Ciągle jeszcze czuję motyle w brzuchu i te sprawy. Nie pamiętasz już, jak to u ciebie było na początku?

– Ja-ja-jasne! – burknęła, przedrzeźniając jego powiedzonko.

Po powrocie do firmy Marcin kilkadziesiąt minut spędził nad papierami, starając się zachowywać normalnie. Z trudem tłumił napięcie po rozmowie z Pasiackim. Po kilku minutach Karina wyszła, nie mówiąc mu, dokąd idzie, aż wreszcie do pokoju zajrzał dyżurny, Janek Zadra. Prywatnie Zakrzewski lubił tego wiecznie uśmiechniętego funkcjonariusza i cenił go za życiową dewizę: „nie ma rzeczy niemożliwych”. Zadra usiadł przy jego biurku, nie kryjąc zadowolenia.

– Namierzyliśmy ten telefon. Logował się na ulicy Sobótki, obok kościoła na Oporowie. Zniknął dopiero kilka minut po tym, jak zakończyliście rozmowę. Uważam jednak, że właściciel telefonu nadal przebywa w tych okolicach. Wysłałem tam patrol i rozpoznali samochód. Czarne audi z przyciemnionymi szybami. Numery rejestracyjne, które podałeś, się zgadzają. Kazałem im kręcić się po okolicy. Dadzą znać, jakby coś się działo. Na razie spokój.

– Dobra robota. – Zakrzewski pokiwał głową z uznaniem.

Zadra uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Numer jest zastrzeżony. Sprawdziłem za to auto. Należy do jakiejś jednostki wojskowej stacjonującej na Podkarpaciu. Uznałem, że takie ogólniki cię zainteresują.

– Słusznie. Dzięki, dobra robota – odpowiedział Marcin. – Tylko zgodnie z umową. Na razie nikt o tym nie powinien się dowiedzieć.

– Nie ma problemu, gdybym był jeszcze potrzebny, daj znać.

Zadra wyszedł, a Marcin zatelefonował do podinspektora Grzegorza Łapickiego. Słyszał niechęć w głosie szefa, kiedy po kilku sygnałach wreszcie odebrał.

– Namierzyliśmy to czarne audi – rzucił krótko Marcin.

Łapicki nie odezwał się od razu. Jakby początkowo nie zaskoczył, o czym Marcin mówi. Tak naprawdę jednak szybko analizował możliwe konsekwencje.

– Zakrzewski, tylko nie zrób niczego głupiego – odezwał się wreszcie ostrożnie.

– Postaram się, ale nie po to dzwonię, żeby wysłuchiwać twoich dobrych rad. Chcę potwierdzenia tego, o czym już rozmawialiśmy. Potwierdzasz, że jak będzie z tego chryja, staniesz po mojej stronie?

– Masz to jak w banku, ja nie rzucam słów na wiatr.

– To możesz już dzwonić do komendanta, bo ja właśnie wychodzę i będę dyskretnie obserwował nasz obiekt.

– Niech cię cholera, to zabrzmiało jak ostrzeżenie.

– To nie jest ostrzeżenie, docień, że ci zaufałem.

Podinspektor tylko prychnął ze złością i rozłączył się. Zakrzewski zadzwonił jeszcze do domu i poinformował Renatę, że będzie późno albo wcale. Miał zabrzmieć beztrąsko, a zabrzmiało tak samo jak w rozmowie sprzed kilkunastu sekund – ostrzegawczo. Czuł, że Renata trochę się zaniepokoiła. Zapewnił więc, że to nic niebezpiecznego i nie ma zagrożenia. Zresztą jeszcze zadzwoni. Nie powiedział jej, że będzie kilkaset metrów od jej domu na Wiejskiej.

Potem siedział przy stole, zbierając myśli. Sprawdził swojego walthera. Wszystko było w porządku, pełen magazynek i pocisk w lufie. Tylko że broń nigdy go nie uspokajała. Jeśli ktoś mówił, że dotyk chłodnej rękojeści

pistoletu go uspokaja, pieprzył głupoty. Wyciągnięta broń była zapowiedzią wojny i niebezpieczeństwa. Nie mogła uspokajać, wprost przeciwnie.

Wreszcie podjął decyzję. Dopił kawę, włożył skórzaną kurtkę i wyszedł z pokoju. Przez całą drogę do wyjścia wypatrywał Kariny, ale na szczęście się nie spotkali. To się dobrze składało. Nie zostawił jej wiadomości, a jak zadzwoni, to powie, że pojechał do domu. Nie chciał jej w to wciągać, a na pewno nie dałaby się spławić.

Przeszedł obok bramek, minął funkcjonariusza w dyżurce i przed drzwiami zatrzymał się jeszcze na moment. Upewnił się, że ma kluczyki do służbowego auta i wyszedł z budynku. Przeszedł tylko kilka kroków i stanął zaskoczony.

Aspirant Karina Buczko stała oparta o maskę auta. Patrzyła na niego z krzywym uśmiechem. Przeklął w myślach i zbliżył się. Domyślał się, co zaraz usłyszy.

– Zakrzewski, jeśli myślisz, że wszystko załatwisz sam, to się grubo pomyliłeś – warknęła.

– Nie rozumiem.

– Nie wkurzaj mnie, tylko wsiadaj. O szczegółach powiesz mi po drodze.

Nie było sensu dyskutować. Kiedy włączyli się do ruchu na ulicy Kościuszki, był już nawet zadowolony, że nie jedzie sam. Cholera, jak człowiek się zmienia na starość! Kiedyś byłby zły, jeszcze kilka lat temu uważałby, że sam zrobi wszystko lepiej. Teraz cieszył się, że nie jest sam. Ktoś jest w stanie to zrozumieć? Na pewno nie on.

20.

Ściemniało się. Wraz z zachodem słońca wiatr trochę osłabł, za to zaczął padać deszcz. Krople spływające po przedniej szybie rozpuściły świat, zacierając jego kontury i rozmywając obraz. Trzeba było mocno wyteżać wzrok, żeby cokolwiek zobaczyć. Widoczność poprawiła się dopiero, gdy deszcz przybrał na sile i zmył przysłaniające widok krople. Teraz woda po prostu spływała po szybie.

Nie odzywali się od kilkunastu minut. Tematy im się skończyły, wkradło się znużenie, a nawet senność. Marcin pewnie by zasnął, z głową opartą o zagłówek, gdyby nie regularne pstrykanie zapalniczki w dłoni Kariny. Odniósł nawet wrażenie, że ona to robi specjalnie. Zadra podał im bezbłędną lokalizację. Czarne audi znaleźli zaparkowane nieopodal kościoła na Sobótki.

Na początku trochę krążyli po okolicy, szukając dobrego miejsca do zaparkowania, wreszcie szczęście się do nich uśmiechnęło. Zwolniło się jedno miejsce kilka aut za audi. Od tego czasu przez ostatnie godziny, nic się nie działo. Ciągle jednak zachowywali maksymalną ostrożność.

W międzyczasie Zadra sprawdził, do kogo należą domy w ich otoczeniu. Sami prywatni właściciele, których nazwiska nikomu nic nie mówiły. Wszystkie wyglądały na zamieszkane. Ten trop odpadał, ponieważ nie byli nawet pewni, na który skierować swoją uwagę. Audi mogło tu stać, bo gdzie indziej nie było miejsca.

Dopiero kilka minut po dwudziestej coś zaczęło się dziać. Najpierw obok nich wolno przejechał granatowy passat, przyhamował trochę przy audi. Czerwone światła stopów odbiły się smugami na mokrym asfalcie. Passat zaraz wyrwał do przodu i skręcił w prawo. Było to jednak na tyle interesujące, że Marcin natychmiast się obudził. Po kilkunastu sekundach znowu zobaczyli światła we wstecznym lusterku. Ulica o tej porze była cicha i spo-

kojna, więc można było podejrzewać, że wraca ten sam passat po pokonaniu pętli osiedlowymi ulicami. Jak na komendę pochylili głowy, kiedy ich ponownie mijali. Tym razem volkswagen zatrzymał się w tym samym miejscu, w którym poprzednio zwolnił. W tej samej chwili otworzyła się furтка i na ulicę wyskoczył wysoki mężczyzna. Bez wahania szarpnął klamkę od strony pasażera i wskoczył do środka. Przednie koła ślizgały się po mokrej nawierzchni, kiedy kierowca wcisnął mocno pedał gazu.

– Jasna cholera! – warknął Zakrzewski, przekręcając kluczyki w stacyjce.

Nie spodziewał się, że wszystko potrwa мгnienie oka. Służbowa kijanka też wyrwała do przodu. Kiedy za kościołem skręcili w lewo, passat już był na Alei Piastów. Marcin musiał mocno przyspieszyć, żeby go nie zgubić. Na szczęście przy skrócie w Solskiego było czerwone. Zaraz zwolnił i toczył się, czekając, aż błysnie zielone. Nie chciał rzucać się tamtym w oczy, stając im tuż za tylnym zderzakiem.

– To był Pasiectki? – zapytała dopiero teraz Karina.

– Chyba tak.

Skręcili w Solskiego. Na skrzyżowaniu Marcin rzucił jeszcze okiem w lewo, w Wiejską i na dom Renaty, a potem skupił się na prowadzeniu. Został daleko w tyle.

– Jak jechałem wtedy z Pasiectkim, sprawdzał, czy nie jest śledzony – powiedział.

– Cholera, na razie mają nas jak na tacy.

Karina miała rację. Musieli jechać bezpośrednio za passatem. Na szczęście auto przed nimi jechało szybko, więc mogli trzymać się za nim z daleka. Po chwili jednak dwa samochody włączyły się do ruchu i odgrodziły ich od śledzonego pojazdu. Ciągle padał deszcz, co chwilę stawali na światłach i Marcin musiał prowadzić uważnie, żeby nie zgubić pułkownika i jego ludzi. Gdyby kierowca z przodu zaczął coś podejrzewać, odjechałby bardzo łatwo. Wystarczyło przyspieszyć na Hallera, wyprzedzić kilka aut i przejechać na późnym żółtym lub wczesnym czerwonym, w zależności od fantazji. Nic takiego jednak się nie stało.

– Widziałaś, ilu ludzi było w środku? – zapytał, wycierając spocone dłonie o spodnie.

– Na pewno dwóch – odpowiedziała i zaraz dodała z mniejszą pewnością siebie: – Albo trzech.

– Dużo.

– Masz pomysł, dokąd jada?

– Pułkownik wspominał, że niedługo wyeliminują Bestię – odrzekł, siląc się na spokój.

– Cholera!

Karina wyciągnęła z kabury pod pachą pistolet i sprawdziła broń, podobnie jak wcześniej zrobił to Marcin. Przez długie minuty utrzymywali się z tyłu. Kiedy jechali Buforową, stało się jasne, że kierują się za miasto. Deszcz przestał padać, jednak wiatr nie ustawał. Na drodze wyjazdowej z Wrocławia znowu zrobiło się tłoczniej. Kiedy dojeżdżali do ronda przy torze kartingowym, Karina sprawdziła trasę w mapie Google.

– Najpierw będzie Jagodno, potem Żerniki Wrocławskie. Mamy jakiś plan?

– Będziemy improwizować.

– Uwielbiam twoje plany – mruknęła ponuro.

Śledzone auto pojechało jeszcze dalej, aż do miejscowości Turów. Dopiero tu zobaczyli w oddali błysk czerwonych świateł stopu i kierunkowskaz w prawo. Karina rzuciła okiem na ekran telefonu.

– Skracamy w Lipową – poinformowała.

Marcin zwolnił i też zasygnalizował skręt. Droga w prawo zaczynała się zaraz za zaniedbanym budynkiem wyglądającym na nieużywaną stodołę, z dwoma wielkimi, drewnianymi wrotami i poobijanym tynkiem. Po lewej stronie mignął im kierunkowskaz „Sulimów 5”. Zanim skręcili, Zakrzewski wyłączył światła w ich aucie. Jechali teraz wolno, wpatrzeni w tył auta, które zdążyło już się oddalić od nich na odległość kilkuset metrów. Nagle znowu błysnęły stopy i wszystko zgasło. Marcin zjechał na pobocze drogi, zaciągnął hamulec i zgasił silnik. Po chwili oboje z Kariną wyskoczyli z kijanki.

Ulica nie była oświetlona, z lewej strony rosły wysokie drzewa, które szumiały na wietrze, zagłuszając wszystkie dźwięki. Kilkadziesiąt metrów przed śledzonym samochodem zatrzymali się na skraju drogi między drzewami. Minęła dłuższa chwila, zanim w aucie otworzyły się drzwi i wysiadło trzech mężczyzn.

– Trzech. – W głosie Kariny zabrzmiała lekka ulga.

– Ktoś mógł zostać w środku.

Mężczyźni wymienili między sobą kilka zdań i nagle się rozbiegli. Jeden pobiegł prosto, dwóch skręciło w ulicę w lewo.

– Teraz – rzucił Marcin.

Pobiegli skrajem drogi, starając się nie rzucać w oczy. Ale tamtych już nie było. Jeden, w którym Zakrzewski rozpoznał Pasickiego, zniknął za ogrodzeniem domu po lewej stronie, za skrzyżowaniem Lipowej z boczną uliczką. Dwóch pozostałych też musiało dostać się na tę posesję, tylko z innej strony.

Dobiegli do passata. Marcin wyszarpnął walthera i przebiegł na drugą stronę, schował się za autem i pociągnął za klamkę w tylnych drzwiach. Drzwi ani drgnęły. Karina przyklękła obok.

– Samochód zamknięty – ściszył mimowolnie głos.

Mieli stąd dobry widok na dom, który był celem wieczornej wycieczki Pasickiego i jego ludzi. Teraz nikogo nie było już widać. Wokół ogrodu rosły wysokie chaszczki, na podwórzu było widać kilka dachów komórek, może garażu i pewnie jeszcze innych budynków gospodarczych. Dom był ponemiecki, chociaż ktoś w ostatnim czasie włożył trochę pieniędzy w remont. Dach i elewacja wyglądały na nowe. Pewnie kiedyś było tu gospodarstwo rolne, lecz teraz najwyraźniej właściciel nie zajmował się uprawą ziemi. W domu nie paliło się żadne światło, co samo w sobie było dość dziwne. Najwidoczniej nikogo nie było w środku, bo o tej porze nikt nie kładzie się spać.

Poczekali, aż miną ich światła przejeżdżającego wolno samochodu. Przez moment oboje myśleli, że wraca właściciel, ale auto po chwili znik-

nęło w oddali. Gdzieś niedaleko rozszczękał się pies.

– Musimy coś wymyśleć – odezwała się. – Nie możemy tak tu siedzieć. Mogą zaraz wrócić.

Zakrzewski wahał się chwilę.

– Chciałbym zobaczyć, co oni tam robią – powiedział. – Ja pójdę za Pasięckim, ty mnie ubezpieczaj. Na razie obserwujemy z ukrycia i nie wchodzimy na podwórze. Chyba że to będzie konieczne.

– A jak wyciągną właściciela z domu?

– Wtedy wchodzimy i ich zdejmujemy.

– A jak wyjdą z budynku sami?

– Nie ruszamy ich, tylko obserwujemy. Nie zapominaj, że to żołnierze sił specjalnych. Mielibyśmy małe szanse w starciu.

– Chyba ty – rzuciła kpiąco.

Zakrzewski nie widział, czy mówi poważnie, chociaż wiele na to wskazywało. Wiedział, że Karina trenuje sztuki walki, była nawet dwa razy wicemistrzynią polskich policjantek, ale nigdy nie widział jej w takiej akcji. Tym bardziej nie potrafił jej sobie wyobrazić w starciu z wielkim facetem z klatką piersiową jak trzydrzwiowa szafa.

– Bez zbędnej brawury – ostrzegł ją. – Nie wiemy, do czego są zdolni.

Przebiegli na drugą stronę drogi i pod osłoną drzew dobiegli do skrzyżowania. Na tablicy na ogrodzeniu zobaczyli napis: „Ogrodowa”. Marcin poszedł dalej w kierunku głównej bramy na posesję, Karina została z tyłu. Stracili się z oczu.

Wiatr znowu uderzył z wielką siłą, szarpiąc krzakami za ogrodzeniem i syjąc Marcinowi w twarz połamanymi gałęziami i resztkami zeszłorocznych liści. Wraz z wiatrem uderzył deszcz. Zaklął i szybko ocenił sytuację. Na ulicy przed ogrodzeniem był widoczny jak na dłoni. Równie dobrze mógłby sobie do pleców przypiąć tarczę ze strzelnicy. Ktoś zainteresowany mógłby go spokojnie zastrzelić z dużej odległości, a przy tym sprawdzić, czy trafił jednocześnie w dziesiątkę. Podszedł do krawędzi ogrodzenia i przesadził je jednym skokiem. Zaraz też przykucnął w rogu, w miejscu,

gdzie było dostatecznie ciemno, żeby skryć jego sylwetkę. Tylko że stąd słabo było widać dom i wejście. Odczekał długie dwie minuty, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, potem wstał, ukrył się za gęstym krzewem i uważnie zlustrował podwórze. Nieopodal, przy ścianie jednego z budynków gospodarczych, znajdował się mały boks na drewno. Teraz był w połowie pusty, porąbane drewno ułożone było tylko z jednej strony. Druga strona, ukryta w mroku, kusiła teraz Zakrzewskiego swoim przytulnym wnętrzem. Nikt go tam nie zobaczy, a sam będzie miał doskonały widok na dom i resztę podwórza.

Długo nie mógł się zdecydować. Planował dostać się tam w trzech skokach. Najpierw do drugiego krzaka, potem kilka palet ułożonych jedna na drugą i ostatni etap, do boksu. Jeszcze raz się rozejrzał i nadstawił uszu. Czy oni na pewno też tu weszli? Nikogo nie było widać, do uszu dobiegał tylko szum wiatru, dom nadal pozostawał ciemny. Weszli do środka czy ukryli się gdzieś tutaj? Pewnie byli od niego o niebo lepsi w kamuflażu. Lepiej chyba zostać tu, gdzie jest. No dobrze, ale przecież nic stąd nie widzi.

Zacisnął zęby i skoczył bezszelestnie. Jeden krzak, nikt nie zauważył, w porządku. Znowu skoczył i przyczaił się za paletami. Już widział boks.

Nagle coś szcęknęło mu przy uchu i poczuł bolesne szturchnięcie w tył głowy. Równocześnie usłyszał niezadowolony szept pułkownika Pasięckiego:

– Rozczarowujesz mnie, Zakrzewski. Mówiłem ci, żebyś nie wtrącał się w nie swoje sprawy.

Dlaczego wciąż tak szybko robi się ciemno? Szczególnie kiedy nisko nad ziemią wiszą deszczowe chmury. Wtedy podwórze i najbliższa okolica domu nie wydają się tak piękne jak w maju, kiedy wybucha zieleń i pobliska łąka pokrywa się kolorowymi kwiatami. Teraz, gdy jest ciemno i wieje wiatr, robi się strasznie i pojawiają się dziwne dźwięki. A to coś stuka w dachu nad garażem. Coś szumi w kącie podwórza, jakby ktoś ciągnął po ziemi zwłoki, ogrodzenie wpada w wibracje i wydaje z siebie metaliczny od-

głos, czasem puszcza zepsuty zamek w furtce od strony Kamiennego Lasu i wiatr trzaska nią niemiłosiernie, jakby ciągle ktoś wchodził i wychodził.

Jeszcze niedawno Izabela Bernatowicz nie bała się tych odgłosów. Prawdę mówiąc, nie zwracała na nie uwagi, nie wiedziała, że istnieją w całej swojej rozmaitej gamie. Tylko wtedy jeszcze nie zamordowała męża, nie mieszkała sama i nie miała koszmarnych snów o jego powrocie. Nie wiedziała też nic o zaginionych kobietach, które – jak podejrzewała – zamordował, a ciała utopił w bagnie. Czy dlatego bagna w Kamiennym Lesie są takie strasznie ponure i zdradzieckie, bo skrywają w sobie przerażające tajemnice? Bała się nawet o tym pomyśleć. Zresztą bała się ostatnio każdego samotnego wieczoru.

Dzisiaj po raz pierwszy od tygodnia wyszła na taras i usiadła na bujanym fotelu, ubrana w gruby polar i czapkę naciągniętą na głowę dla ochrony przed chłodnym wiatrem. Wolno sączyła wino z kieliszka, od czasu do czasu paliła cienkie papierosy i czekała, aż zapadną zupełne ciemności. Zanim to się stało, zapaliła światło na tarasie i siedziała zamyślona. Gdy wraz ze zmrokiem wiatr się nasilił, wsłuchiwała się w te dziwne odgłosy, próbując je zidentyfikować. Wkrótce zaczął padać deszcz. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że w świetle jest doskonale widoczna nawet z daleka. Widzą ją żerujące na polach dzikie zwierzęta, obcy ludzie, którzy mogliby tu zbłądzić, oraz zjawy i upiory z bagien. Prawie wyobraziła sobie szkaradne stwory z obnażonymi zębami, śliniące się na myśl o chłeptaniu jej ciepłej krwi z rozerwanego gardła. Dreszcze na plecach nie były już spowodowane tylko chłodem.

Wstała i zgasiła światło. Lepiej. Zaraz też jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i zaczęła dostrzegać na podwórzu znajome kształty. Basen, wiatra obok ścieżki, trawniki, krzewy czekające z niecierpliwością na wiosnę, drewnutnia, ogrodzenie, zamknięta brama wjazdowa. I nawet kawałek drogi dojazdowej do pierwszych drzew rosnących po obu jej stronach.

Nagle znieruchomiła z papierosem przy ustach. Podobnie jak wcześniej, kiedy odwiedzili ją bracia Jakuba, wydało jej się, że kątem oka dostrzegła ruch. Gdzieś w okolicach drewnutni, gdzie było dużo krzewów.

A może to tylko kolejny powiew wiatru szarpiący gałęziami spowodował to złudzenie? Tylko że wiatr akurat trochę przycichł.

Wysłuchała się w odgłosy. Daleki pomruk lasu, szum deszczu, krople bębniące w blaszany dach zabudowań obok garażu, śpiew deszczówki w rynnach i... zamarła. Czy to były kroki? Chrzęst podeszew butów na utwardzonych grysem ścieżkach?

Zerwała się i uciekła do środka domu, zamykając za sobą drzwi na taras. Siedziała przestraszona w fotelu w salonie, oddychając ciężko. Z wolna się uspokajała. Wpada w paranoję. To tylko nerwy, które ostatnio ma napięte do granic wytrzymałości. Nikt nie chodzi wokoło domu, szczególnie upiór jej męża. Upiory nie istnieją. Nawet gdyby istniały, nie byłyby tak straszne jak żywi ludzie, którym przyjemność sprawia krzywdzenie i zadawanie śmierci swoim bliźnim. Tak, ludzie są gorsi niż najstraszniejsze upiory z powieści grozy. Może zadzwonić do Dawida albo Kamila? Mogliby tu przyjechać w ciągu kilku minut. Pewnie zrobiliby to bardzo chętnie, ona poczułaby się bezpieczna, mogłaby spędzić przyjemny wieczór, który mogłby zakończyć się jeszcze przyjemniej. Tylko do którego chciałaby zadzwonić? Do obu nie mogła, a taka możliwość bardzo by ją uradowała. Lubiła obu, chyba nawet tak samo. Za bardzo.

Nic w życiu nie trwa wiecznie, nawet fantazjowanie o przyjemnych chwilach. Może wręcz takie marzenia trwają jeszcze krócej. Tak jak w tym momencie. Nie wiedziała dokładnie, co przywróciło ją do realu. Jakiś niepokojący dźwięk? Strach powrócił wraz z myślą eksplodującą pod czaszką. Drzwi wejściowe! Nie zamknęła drzwi wejściowych. Zerwała się i pobiegła do korytarzyka. Przekręciła wszystkie trzy zamki i oparła głowę o gładką powierzchnię, chłodząc rozpalone niepokojem czoło. Głupia, kto miałby tu przyjść? Duchy, zjawy i upiory? Odwróciła się i nagle poślizgnęła na płytkach podłogowych korytarza. Gdyby nie przytrzymała się stojaka na płaszcz, na pewno wywinęłaby orła. Pstryknęła włącznikiem światła i zmartwiła.

Płytki na podłodze były mokre. Na zewnątrz padał deszcz. Mokre, zaniżające ślady prowadziły do schodów i zniknęły. Duchy nie zostawiają śla-

dów. To musiał być żywy człowiek. Zanim pomyślała, skąd się mogły wziąć, gdzieś nad jej głową skrzypnęła podłoga. Ktoś tam był.

Zakryła usta dłonią, żeby nie krzyczeć z przerażenia.

– Cholerny deszcz – jęknął komisarz Wiktor Wiktorski, zatrzymując auto przed zniszczonym przez czas domem Owczarskich w Kamiennej.

Tu dawno już nikt nie przyjeżdżał, polna ścieżka zarosła i trudno było mu się przedrzeć. Po drodze dwa razy myślał, że stanie i tak skończy się jego szalona wycieczka w przeszłość. Przejechał, ale teraz zaczął padać deszcz i zwątpił, czy uda mu się wrócić. Niecałe dwieście metrów, a tak daleko w czasie deszczu. Ale co ma być, to będzie.

Uchylił okno i zapalił papierosa. Wydmuchiwał dym na zewnątrz, ale wiatr wpychał go do środka, więc otworzył okna na przestrzał. Pomogło. W międzyczasie patrzył na dom. Żałosny widok. Dlaczego właściwie nikt w nim nie zamieszkał? Niby remont miał się zacząć, na podwórzu pod przykryciem leżały materiały budowlane. Leżały tak od lat i może już się do niczego nie nadawały.

Wyrzucił papierosa, westchnął i stwierdził, że szkoda czasu. Pogoda i tak pewnie się nie poprawi. Wysiadł, włączył latarkę, obszedł dom wokół. Na tyłach trafił na wydeptaną ścieżkę, prowadzącą przez dziurę w ogrodzeniu na łąkę, a potem... Nie wiedział, dokąd można nią dojść, ale na pewno prowadziła w stronę gospodarstwa Józefa Wasyluka. Ciekawe, kto ją wydeptał. Dzikie zwierzęta czy te na dwóch nogach? Pewnie ludzie. Może młodzież przychodzi tu zapalić papierosa albo napić się wina? „Zaraz, wróc” – poprawił się. Młodzież teraz pali maryškę, a nie fajki, i nie pije wina, tylko piwo albo coś mocniejszego. Ech, parszywych czasów dożył i coraz mniej je rozumie.

Przyjechał tu z ciekawości. Wcześniej rozpytał o dom Owczarskich we wsi i ludzie poczęstowali go kolejną porcją intrygujących informacji. Na pewno ktoś tu przychodził, często widywano tu światło latarki, ale nie było odważnych, żeby sprawdzić, kto odwiedza opuszczony dom. Podobno widywano także dym z komina.

Nieuczciwe skazanie Józefa Wasyluka za zgwałcenie i śmierć Janiny Owczarskiej wyzwoliło w starym policjancie poczucie buntu. Musiał się dowiedzieć, jaka była prawda. Może nawet mniej dla Wasyluka, który swoje i tak odsiedział, czasu się przecież nie cofnie, a bardziej dla spokoju swojego sumienia. Jeśli w Kamiennej do dzisiaj żyje gwałciciel, to on musiał go znaleźć i napiętnować. Taki zboczeniec nie może żyć wśród uczciwych ludzi jak gdyby nigdy nic. Pewnie nie da się go skazać, ale chociaż spojrzeć mu w oczy i powiedzieć: „Ja wiem, skurwysynu!”. Bezcenne.

Ścieżka wśród zarośli prowadziła prosto do bocznych drzwi domu. Wiktorski wszedł do środka i obszedł cztery izby na dole. Nie było nawet tak brudno, jak się spodziewał. Znalazł za to ślady bytności człowieka lub kilku ludzi na przestrzeni ostatnich lat. Puste butelki, narąbane drewno na opał, gazeta sprzed kilku miesięcy. Ktoś tu był, a wytarty, stary stół i krzesło podsunięte pod sam blat wskazywały na to, że ktoś tu lubił przesiadywać. Tylko kto?

Policjant usiadł na tym krześle, zgasił latarkę i czekał, choć sam nie wiedział na co. Pewnie na łut szczęścia. Zapalił papierosa, wpatrując się w słabą poświatę wpadającą zza brudnych szyb, nasłuchiwał odgłosów padającego deszczu. Wiatr wył złowrogo w szczelinach. Wkrótce odgłosy grubych kropel pojawiły się w środku domu. Dach był pewnie nieszczelny. Minuty zmieniały się w kwadransy, zsumowane kwadransy utworzyły godzinę i szczęście się do niego uśmiechnęło.

Usłyszał kroki. Ktoś zbliżał się od strony łąki tą samą ścieżką, którą przyszedł tu Wiktorski. Długo jednak nie wchodził, jakby się zastanawiał albo nabrał podejrzeń. Nie, nieznajomy nic nie podejrzewał, po prostu palił papierosa przed wejściem. Przez nieszczelne drzwi w nozdrza policjanta uderzył znajomy ostry zapach tytoniu. Tylko jedna osoba paliła taki tytoń. W następnej chwili ktoś wszedł do środka i poznał znajomą postać.

Wasyluk nie od razu go zauważył. Szedł po omacku, jakby doskonale znał rozkład pomieszczeń. I pewnie tak było.

– Cześć, Józek! – Wiktorski włączył latarkę i strumień skierował tamtemu w twarz.

Wasyłuk drgnął, przez chwilę się wahał, jakby zastanawiał się nad ucieczką, lecz nagle oklapł. Poznał Wiktorskiego.

– Aleś mnie przeraził – jęknął, przysłaniając dłonią światło. – Mało zawału nie dostałem. Co tu robisz?

– O to samo mogę zapytać ciebie – rzucił policjant.

– Zgaś to żółtko – warknął Wasyłuk, machając ręką. – Tylko oślepiasz. Co tu robię, nic ci do tego. Na spacer wyszedłem i złapał mnie deszcz.

– Pierdolisz, Józek.

Policjant wyłączył latarkę. Przybysz długo milczał, czekając, aż przed oczu znikną mu powidoki i znowu będzie lepiej widzieć w ciemnościach.

– A ty co tu robisz? – odbił piłeczkę.

– To samo co ty: spacer, deszcz. Wiesz, jak jest – odpowiedział ironicznie komisarz.

– Komendancie, teraz ty pierdolisz!

– To zamiast się ze mną spierać, bierz krzesło i siadaj przy stole. Pogadamy jak normalni ludzie. Przecież mówiłem, że ja ci nie wróg.

– Dupa tam, nie wierzę.

Mimo to Wasyłuk znalazł inne krzesło, wytarł je łokciem i usiadł po drugiej stronie stołu. Mierzyli się ponurymi spojrzeniami. „Powinna być wódka” – pomyślał nagle Wiktorski. „Przy wódce lepiej się rozmawia o trudnych sprawach”.

– Wiem, że nie zgwałciłeś i nie zabiłeś Owczarskiej – rzucił zmęczonym głosem. – Wiem już, że cię wrobili, bo nikomu nie chciało się w tym grzebać. Było przestępstwo, był podejrzany, więc wszystko się zgadzało.

– Tylko fakty się nie zgadzały – warknął Wasyłuk. – Ale nie dla milicji, papier wszystko przyjmie, nawet kłamstwo.

– Takie były czasy.

– Dupa tam, czasy! To o ludzi chodzi. Kiedyś byli podli i nic się od tego czasu nie zmieniło. Ale mnie to już coraz mniej obchodzi. Stary jestem i swoje przeżyłem. Nie wiem, czy mi się chce więcej.

– Bzdury gadasz – obruszył się policjant. – Sprawiedliwość musi być na wierzchu. Pomóż mi znaleźć prawdziwego gwałciciela, on pewnie ciągle żyje w Kamiennej.

– A niby jak mam ci teraz pomóc? – W oczach Wasyluka błysnęły niechęć i złość.

„Wódka by się przydała, bez dwóch zdań” – pomyślał Wiktorski.

– Opowiedz, jak wtedy było – poprosił. – Ja też już swoje wiem. Może razem coś złożymy do kupy.

– Komu to teraz potrzebne?

– Mnie jest potrzebne. I tobie – powiedział z naciskiem policjant. – Nawet jak nikomu innemu już potrzebne nie jest, to dla nas samych. A my tu jesteśmy najważniejsi. Pieprzyć wszystkich!

Wasyluk milczał, zamyślony.

– Znowu mam do tego wracać? To jakby serce nożem kroić po starych bliznach.

– Ostatni raz!

Dziad Wasyl podrapał się po łysinie, przyglądził siwą brodę, po czym sięgnął za pazuchę i wydobyl woreczek z tytoniem. Powoli skręcał fajkę, komisarz czekał, już paląc. Wiatr dalej gwizdał, zimne strugi powietrza, wpadające przez szczeliny, atakowały ich ze wszystkich stron, deszcz bębnił po dachu, z sufitu w kilku miejscach kapały grube krople. Wreszcie Wasyluk zapalił i odezwał się:

– Już wiesz, jak było. Z Jasią się kochaliśmy, planowaliśmy wspólną przyszłość, tylko ona bała się swojego starego. Bała się go jak ognia, a ja się strasznie denerwowałem. Mogła już dawno od niego uciec, zamieszkać ze mną, przecież dorosła była, to się denerwowałem. I przez to się kłóciliśmy, ale tak naprawdę się kochaliśmy i dobrze nam było ze sobą. Mówiłem jej, żeby uciekła do mnie, ale ona tak się bała tego swojego starego, że aż się trzęsła ze strachu, no i jeszcze: co ludzie powiedzą. Młody byłem, silny, pracy się nie bałem, z jej ojcem też bym sobie poradził, jakby przyszło do zwady. A ona ciągle się opierała.

Zaciągnął się i zamyślił na wspomnienie tamtych czasów.

– I te nasze kłótnie też były dowodem przeciw mnie, że niby chciała ze mną zerwać, a ja ją nachodziłem i w końcu napadłem z zazdrości. Tfu! Większej bzdury nie słyszałem. Ot i cała opowieść, kurwa jego mać! Coś chciałeś więcej usłyszeć?

Wiktorski patrzył na jego postać ledwo widoczną w mroku. Tylko oczy mu świeciły prawie tak jasno jak żar w papierosie.

– Dlaczego twój brat złożył zeznania obciążające? – zapytał cicho komisarz.

– E tam – westchnął Wasyluk. – Tak naprawdę Franek wcześniej się zakochał w Jaśce. Smalił do niej cholewy, ale jej się nie podobał. Pewnie dlatego, że był od niej dużo starszy, a ona nie chciała takiego wapniaka na facecie. Franek poprosił mnie kiedyś, żebym przekazał jej kwiaty i liścik od niego. Nieśmiały byłem, to się nie chciałem zgodzić. Wreszcie mnie przekonał. W ostatecznym rozrachunku wyszło nieporozumienie. Pomyślała, że kwiaty są ode mnie, liścik wylądował w śmieciach, a my się w sobie zakochaliśmy. Ukradłem ją Frankowi i on mnie znienawidził. Nie rozmawialiśmy ze sobą nigdy od tamtych czasów. Nie mam mu tego za złe. Kto wie, co ja bym zrobił na jego miejscu? Tak, widać, miało być. Los mnie i Jaśce zgotował to, co zwykle: najpierw chwile szczęścia, pod górkę i w przepaść. Na samo dno, kurwa jego mać!

Rzucił niedopałek w kałużę wody, która zdążyła uformować się na podłodze. Wiktorski się zastanowił.

– Franciszek mógł ją zgwałcić? – zapytał.

– Ten frajer? Zapomnij. To dupa, nie facet.

– To kto ją zgwałcił?

Wasyluk zamilkł i spuścił wzrok.

– Pewnie masz swoje podejrzenia – naciskał policjant. – Przecież wiedziałeś, jak było naprawdę.

– Gównu tam, wiedziałem! – wybuchnął Józek. – Żebym wtedy wiedział to, co teraz, to Jaśka by żyła i byłaby moją żoną. Prędeż jej ojciec wylądo-

wałby na cmentarzu, a tak jeszcze sobie pożył, skurwysyn.

– Co ty gadasz!

– Chcesz znać prawdę? To poczekaj.

Wasyłek zerwał się z krzesła i pobiegł do sieni. Odchylił część zawilgotniałej boazerii i włożył dłoń w szczelinę. Po chwili znowu usiadł przed policjantem i rzucił na stół garść starannie złożonych poźółkłych kartek.

Zdziwiony komisarz włączył latarkę i rozwinął jedną z nich. Damskie piśmo, pewnie ołówkiem, ponieważ pomimo lat wcale nie wyblakło. Treść sprawiła, że Wiktorski nagle poczuł dojmujący chłód.

„12 czerwca. On znowu był u mnie w nocy. Dotykał moich piersi i sapał. Chciałam krzyknąć, ale powiedział, że jak gębę otworzę, to do najmłodszego brata pójdzie i zrobi mu to samo. Całą noc płakałam”.

Kolejna karteczka:

„3 maja. Dotykał mnie tam, a drugą ręką się masował. Potem trysnął, a smród był taki, że zrzygałam się na podłogę. Nie chcę już żyć”.

I kolejna:

„W sobotę nie zamknęłam się w łazience. Wszedł do środka, patrzył na mnie i robił sobie dobrze. Potem wyszedł, a ja obiecałam sobie, że to był już ostatni raz”.

Wiktorski rzucił kartki na stół, jakby nagle zaczęły go parzyć. Zaraz jednak przejrzał jeszcze kilka wpisów. Nie było wątpliwości. Owczarski przez wiele lat molestował swoją córkę, a ona była tak zastraszona, że nikomu nie zdradziła.

– Jakbym wtedy o tym wiedział, zabiłbym skurwysyna – szepnął Wasyłek, paląc kolejnego papierosa. – Ale nie wiedziałem. Ona mi wtedy powiedziała, że jakby coś jej się stało, to w sieni za tymi deskami ukryty jest jej pamiętnik. Żebym go przeczytał. No, ale ja wtedy byłem tak w niej zakochany, że na nic nie zwracałem uwagi, i zapomniałem. Przypomniałem sobie kilka lat temu, znalazłem te karteczki. Tam była taka szczelina i ona je tam wrzucała, pewnie przez całe lata. To było jej wołanie o pomoc. Kiedy je przeczytałem, to jakbym umarł na nowo. Pytasz się, po co tu przychodzę?

Zamilkł i palił, jak gdyby cały świat miał się zaraz skończyć.

– Bo je czytam i nie mogę przestać. Nie mogę sobie darować. Umarwiam się, przeklinam i chyba to mnie jeszcze trzyma przy życiu – dodał po chwili. – No i jeszcze coś.

Mózg Wiktorskiego po chwilowym zawieszeniu ponownie zaczął działać. Z wolna otrząsał się z pierwszego szoku. Nic nie jest w życiu takie, na jakie wygląda. Zazwyczaj jest jeszcze drugie, trzecie i kolejne dno. Tylko najtrudniej się przebić przez znowu milczenia. Najpierw taka blokada prawdy doprowadziła do śmierci młodej Owczarskiej, a potem posłała jej narzeczonego na wiele lat do pierdła za niewinność. Kurwa mać, chyba już nie mogło być gorzej. Westchnął przeciągle, wygrzebał kolejnego papierosa z paczki, ale podmuch wiatru zgasił mu płomień w zapalniczce. Trzymał więc tylko fajkę w ustach.

– Czy stary Owczarski mógł zgwałcić córkę? – wypowiedział na głos kołatające mu się pod czaszką pytanie.

– Po co? – wzruszył ramionami Wasyluk. – Przecież miał ją w domu, co wieczór, bez problemów, bez stresu. Mógł sobie na niej używać, ile tylko chciał.

– Nie chciała się do ciebie przeprowadzić, bo bała się, że ojciec zacznie molestować jej młodszych braci. Poświęciła się.

– Brawo, twój tok rozumowania świadczy, że inteligencja policjantów nie odstaje zbyt od średniej krajowej – mruknął złośliwie Józef i podsunął mu ogień ze swojej zapalniczki na benzynę.

– Ty wiesz, kto mógł ją zgwałcić – stwierdził w kłębach dymu Wiktorski.

Odpowiedź przyszła po kilku sekundach namysłu, jakby od innego człowieka. Bardziej zdecydowanego, pewnego i zdeterminowanego.

– W tamtych czasach miałem najlepszego przyjaciela. Wszystko robiliśmy razem. Jemu też podobała się Jaśka. Mówił mi to wiele razy, nawet się raz na niego wkurzyłem i prawie się pobiliśmy. Po prostu powiedział kilka słów za dużo, co to by jej nie zrobił, gdyby mógł. I wiesz co, gliniarzu? Tylko ten mój najlepszy przyjaciel wiedział, że Janina przyjedzie ostatnim auto-

busem i będzie szła dokładnie o tej porze z przystanku. Milicja się tym wtedy nie zainteresowała, nikt nie zadał takiego pytania, a ja byłem tak skołowany, że też o tym nie pomyślałem. Olśnienie przyszło niedawno. Tylko on wiedział, że ona będzie wracać o tej porze po zmroku, rozumiesz?

Komisarz zacisnął szczęki, podekscytowany. Musiał jednak zadać jedno zasadnicze pytanie.

– Józek, takich gwałtów w okolicy było więcej. Wiedziałeś o tym?

– Pewnie, że wiedziałem – zachnął się. – Wszystkie w odległości, którą tam i z powrotem można przejechać rowerem w krótkim czasie. Nikt by nawet nie zauważył. A ten mój przyjaciel miał nowy rower, model Jubilat. Szybko na nim jeździł, nigdy za nim nie nadążałem. Bo lubił jeździć.

– Kto to był?

– Wiesz, co mnie jeszcze trzyma przy życiu? – mówił Wasyluk, jakby go nie usłyszał – Pragnienie zemsty.

– Kto? – powtórzył policjant twardo.

– Marczak.

– Ale...

To było ostatnie słowo, które zdążyło wydobyć się z ust Wiktorskiego. Nagle coś eksplodowało mu w głowie, zobaczył tylko białe światła, poczuł słabość i zwałił się nieprzytomny z krzesła na brudną i mokrą podłogę. Zauważył tylko, że Wasyluk wykonał szybki ruch ręką. Twarda i gruba noga od stołu roztrzaskała się policjantowi na głowie.

21.

Jaki właściwie był plan? Nie było żadnego planu.

Odkąd Zakrzewski zniknął jej z oczu, aspirant Karina Buczko gorączkowo zastanawiała się, co robić. Szła wolno wzdłuż ogrodzenia, za którym prawdopodobnie zniknęli pułkownik Pasiński i jego dwóch żołnierzy. Starła się wyglądać jak normalna spacerująca kobieta, ale okoliczności były, jakie były. Kto w taką pogodę wybiera się na spacer bez parasola, w miejsce, gdzie psy dupami szczekają i można co najwyżej dostać w łeb albo zostać zgwałconym. Przecież od razu rzucała się w oczy. Kiedy doszła do końca ogrodzenia, nagle zza jego rogu wyłoniła się barczysta postać.

„Kurwa mać!” – jęknęła w duchu, zła, że dała się tak podejść. On pewnie widział ją już z daleka, może nawet widział ją w towarzystwie Marcina. Pewnie nie ma na tyle wyobraźni, żeby się domyślić, kim jest i po co tu przyjechała, ale na pewno będzie podejrzliwy i być może niemiły. Karina nagle się wściekła. Nie da się osiłkowi. Po prostu mu się nie da.

– Co tu robisz? – warknął przytłumionym głosem.

Najwidoczniej on był tak samo zaskoczony jej widokiem jak ona jego. W tym dostrzegła swoją szansę. Wyciągnęła z kieszeni rękę i strzeliła zapalniczką. Co z tego, że padał deszcz? Liczyło się zaskoczenie. Na usta przywołała najpiękniejszy z uśmiechów i nawet postarała się być lekko uwodzicielska. Jak w marnym filmie sensacyjnym, ale, o dziwo, to działało. Jednak scenarzyści dobrze znali reakcje facetów na widok ładnych dziewczyn. Nawet w tak niecodziennym miejscu i czasie.

– Cholera, fajki mi się skończyły – powiedziała miękko. – Nie masz może?

Jeszcze raz pstryknęła zapalniczką. Zbliżył się do niej na dwa kroki. Przez rozpięte poły kurtki pod pachą błysnęła kabura z bronią. Dałaby gło-

wę, że pod swetrem ma kamizelkę kuloodporną. Czyli facet, którego szukali, naprawdę był niebezpieczny.

– Nie chodź tu, jak nie chcesz kłopotów – rzucił twardo.

– Podobam ci się? – Poczuli się jak kretyńka, ale zareagował prawidłowo.

Pozwolił jej zbliżyć się do siebie na krok. To wystarczyło. Kopnęła go w krocze, a kiedy się zgiął z jękiem, poprawiła kopnięciem w udo. Skurcz mięśnia czworogłowego uda jest cholernie bolesny. Czasem powodował chwilową utratę przytomności. Nie liczyła na taką skuteczność ataku, więc kiedy zgiął się przed nią, chwyciła go za głowę i uderzyła kolanem w twarz. Był nawet przystojny, więc postanowiła nie łamać mu nosa. Uderzyła w ucho. Kiedy leżał nieprzytomny na trawie, obszukała go. Nie miał przy sobie dokumentów. Słusznie, w końcu ich akcja pewnie była tajna. Zabrała mu pistolet, włożyła do kieszeni, a potem pchnęła bezwładne ciało. Rów miał może metr głębokości, był suchy, więc nic mu się nie stanie, a nikt go z daleka nie zobaczy.

Zostawiła nieprzytomnego żołnierza i pchana wściekłością przeskoczyła ogrodzenie. Po drugiej stronie zamarła i szybko oceniła sytuację. Cisza, spokój, nie licząc deszczu i wiatru. To nawet lepiej. Szum zagłuszał różne inne dźwięki.

Obeszła jedną trzecią podwórza, nie wyciągając broni, i wtedy dostrzegła tego drugiego. Stał przy ścianie domu pod małym balkonem na piętrze. Po budynku aż do samego dachu pięła się winorośl, rozpięta na drewnianej kratownicy. Doskonale ułatwienie dla potencjalnego włamywacza. Wspięcie się na balkon w takich warunkach nie powinno stanowić problemu. Właśnie to planował zrobić drugi z ludzi pułkownika. Rozglądał się jeszcze i sprawdzał, czy krata dobrze trzyma się ściany. Nie zdążył się wspiąć.

Karina w kilku długich krokach była przy nim. Coś musiał usłyszeć, bo już się odwracał, ale potężnym kopnięciem pod kolana zbiła go z nóg. Aż sama poczuła przeszywający ból w stopie i zaczęła się obawiać, czy czegoś nie złamała. Zaskoczony żołnierz zwałił się na bok. Kopnięcie w udo sparaliżowało go, tak jak niedawno jego kolegę. Nawet nie drgnął, gdy skuwała mu kajdankami ręce na plecach. Ciągle klęcząc przy obezwładnionym

mężczyźnie, rozejrzała się. Nic się nie zmieniło. Deszcz, szum wiatru i atmosfera jak na cmentarzu po zmroku. Wzdrygnęła się.

– I tak masz lepiej niż twój kolega – powiedziała cicho, nie patrząc na skrepowanego. – Twarz masz nienaruszoną. Szczęściarz z ciebie.

Odwróciła się na pięcie, przywarła do ściany, przesunęła się za róg domu i wyjrzała ostrożnie. Gdzie, do cholery, jest Zakrzewski?

– I co zastrzelisz mnie?

Głos nadkomisarza Marcina Zakrzewskiego był spokojny, a nawet lekko kpiący. Mężczyzna, który właśnie przyłożył mu lufę pistoletu do karku, nic nie odpowiedział. Cisza się przedłużała. Znowu mocno powiał wiatr i w krople padającego deszczu wmieszała się krupa śnieżna. Chłód jakby się pogłębił.

– Pułkowniku, nie ma sensu ciągnąć tego dłużej. Pogadajmy wreszcie jak ludzie. Przecież mamy wspólny cel.

Marcinowi przez głowę przeleciała myśl, że być może, gdyby znajdowali się gdzieś w górach Afganistanu, w ciemnych zaułkach Bagdadu albo na pustyni w Syrii, PasiECKI mógłby pociągnąć za spust. Może już nawet tak robił. W jego zawód wpisane było zabijanie. Jednak nie tu, w kraju. Zresztą był przekonany, że naprawdę chodzi im o to samo.

– Przyznam ci, Zakrzewski, że jesteś irytujący i pewna pokusa jest – powiedział pułkownik, jakby na potwierdzenie myśli Marcina.

Wtedy niespodziewanie z tyłu, blisko rozległ się inny głos:

– Rzuć broń! Jeden ruch i rozwalę ci łeb!

Dawno nie słyszał, żeby Karina Buczko była taka wściekła. Napór lufy na jego kark zniknął, pistolet uderzył o ziemię.

– Łapy na kark!

Marcin odwrócił się i spojrzał ciekawie na rozgrywającą się za nim scenę. Karina miała mokre włosy, które przykleiły się jej do policzka, i wyglądała na wyjątkowo zdeterminowaną. Gdyby była potrzeba, na pewno rozwaliliby PasiECKIEMU łeb jednym pociągnięciem za spust. Nie patrzyła-

by na to, że nie jest w Afganistanie ani w Iraku. Za to pułkownik pozostał spokojny. Założył ręce za kark i obejrzał się z podziwem do tyłu.

– Jeden zero dla policji – rzucił ironicznie Marcin.

– Gdzie moi ludzie? – zapytał Pasiński z troską.

– Unieszkodliwieni.

Na twarzy wojskowego pojawił się wyraz szczerego podziwu. Pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem.

– Żyj! – rzuciła jeszcze Karina. – Nasze metody pracy są bardziej humanitarne od waszych.

Pasiński parsknął krótkim śmiechem.

– Naprawdę szczerze gratuluję. Jacek i Michał są dobrzy. Można powiedzieć, że to jedni z najlepszych i najbardziej zaufanych w oddziale. Gdybyś tylko miała ochotę na zmianę pracy, biorę cię w ciemno.

– Wolę spokojną robotę – odgryzła się Karina.

Zakrzewski wyprostował się nagle i przetarł mokrą od deszczu twarz. Kurtka mu przemokła i zaczynała marznąć.

– Dobra, dość tego cyrku – powiedział ostro. – Karina, opuść broń. Pułkownik, możesz opuścić ręce.

Podniósł broń wojskowego i podał mu rękojęścią do przodu. Była nieodbezpieczona.

– Co ty robisz? – spięła się Karina.

– Już mówiłem, pułkownik to nasz przyjaciel.

Pasiński zdjął dłonie z karku, odebrał od Marcina broń i wsadził ją sobie za pasek od spodni. Karina stała w bezruchu dłuższą chwilę, zanim wreszcie opuściła walthera i trochę się rozluźniła.

– Wyjaśnię ci, a jak będę się mylił, pułkownik mnie poprawi – kontynuował Marcin. – Kiedy jego dowódcy dowiedzieli się, że Bestia może wywozić się z jego oddziału, kazali ją znaleźć i zlikwidować. Bestia nie mogła trafić do nas. Za dużo wiedziała. Zresztą gdybyśmy go aresztowali, i tak zaraz przejęliby go smutni panowie. Tylko że wtedy dowództwo miałoby kłó-

pot. Bestię należałoby postawić przed sądem. Oczywiście mógłby strzelić samobójca w celi aresztu, ale po takim numerze zawsze zostaje smród na lata. Łatwiej by było, gdyby Bestia zniknęła. Nawet gdyby kiedyś znalazło się ciało, byłoby już po sprawie. Prawda, pułkowniku?

Pasiecki pokiwał tylko głową, lecz na razie nie zaprzeczył żadnemu słowu Zakrzewskiego. Dlatego ten mówił dalej:

– Pułkownik dostał rozkaz, ale się z nim nie zgadza. Uważa, że Bestia powinna stanąć przed sądem. W tajemnicy przed przełożonymi spotkał się ze mną, zainteresował mnie, a potem okazał się wyjątkowo nieostrożny. Użył operacyjnego lokalu położonego bardzo blisko Wiejskiej, gdzie mieszkam, zadzwonił do mnie z normalnego telefonu i dał się namierzyć. Zwabił nas tutaj, tylko jeszcze nie wiem dlaczego.

Pułkownik ponownie nie zaprzeczył. Za to zwrócił się do Kariny:

– Nie chcę, żeby moim ludziom coś się jednak stało. Mają być dzisiaj w pełni sił.

– To może być trudne, ale zobaczę, co da się zrobić. – Rzuciła mu pełen samozadowolenia uśmiech i zniknęła w mroku.

Przez tę chwilę, kiedy jej nie było, milczeli. Śnieżna krupa ustała, deszcz jeszcze trochę siąpił, za to wiatr hulał w najlepsze po okolicy. To cud, że jeszcze nie zniszczył rzędu starych komórek przy bocznej ścianie domu. Zakrzewski skostniał z zimna. Przy każdym oddechu z ust wydobywała mu się para wodna, jakby wokoło leżało pół metra śniegu, a temperatura spadła poniżej dziesięciu.

Cała trójka wróciła milcząca i pochmurna. To znaczy mężczyźni mieli ponure miny, za to Karina wyglądała, jakby dobrze się bawiła. Zameldowali się pułkownikowi, zerkając na nią spod oka. Jeden z szacunkiem, drugi z nieskrywaną złością. To był ten, który wyraźnie utykał na jedną nogę przy chodzeniu. Pewnie jeszcze nigdy nie dostali takiego łomotu od kobiety.

– Podejrzewam, że w tym domu ukrywa się Mariusz Bednarz – odezwał się Pasiecki. – To nasza Bestia. Później zdradzę wam szczegóły, teraz i tak obawiam się, że zbyt długo czekaliśmy i efekt zaskoczenia szlag trafił.

– Dom wygląda na opuszczony – mruknął Marcin.

– On tu jest, wierz mi. Obserwujemy ten dom od tygodnia. Nigdy nie zapala wieczorem światła i nie wychodzi na zewnątrz. Ukrywa się. Plan jest taki: wchodzimy we trzech, skujemy Bednarza, a potem znikamy i radźcie sobie sami.

– Nie ma mowy. – Zakrzewski pokręcił głową. – Wchodzimy z wami.

– Tylko ostrożnie, ten facet może być bardzo groźny – zgodził się po chwili wahania pułkownik.

– J-jasne.

Jeden z ludzi Pasickiego, ten, który mniej utykał, wspiął się po drewnianym stelażu przytrzymującym winorośl i już po chwili okno balkonowe było otwarte. Pasicki z drugim żołnierzem, za pomocą wytrychów, weszli przez główne drzwi. Początkowo Karina z Marcinem zostali na zewnątrz, ale kiedy przez następne kilkadziesiąt sekund nic się nie zdarzyło, tak jak to ustalili wcześniej, też weszli do środka.

Znajdowali się w długim korytarzu prowadzącym najprawdopodobniej do kuchni. Pasicki już tam był, Michał wszedł do pokoju po lewej stronie, a Marcin z Kariną do tego po prawej. Tak jak przypuszczali, znaleźli drzwi prowadzące dalej. Najpierw jednak zaczekali, aż z piętra zjedzie Jacek. Mężczyzna zdążył już spenetrować górę i teraz, stojąc u podnóża schodów, pokazywał, że jest czysto.

Marcinowi nie podobał się bezruch panujący w domu. Ani jednego szmeru, jakby nikogo nie było albo... No właśnie. Miał jakieś dziwne przecucie, co tu mogą znaleźć. Całym sobą jednak nie chciał takiego rozwiązania. To byłoby zbyt proste, banalne i niesprawiedliwe. Jeśli Bednarz naprawdę zabił te wszystkie kobiety, a Madejskiego zmusił do samobójstwa, musiał ponieść zasłużoną karę. Nie mógł się tak łatwo wywinąć sprawiedliwości. Co prawda pewnie trafiłby do piekła na wieczne męczarnie, ale to było niewielkie pocieszenie. A jeśli piekło nie istnieje?

Po chwili pozostało im tylko jedno pomieszczenie. Po obu stronach drzwi przyczaili się Marcin z Kariną z pistoletami gotowymi do strzału. Poczekali, aż Pasicki i Jacek przygotują się do wejścia. Obaj w jednej dłoni

trzymali pistolet, w drugiej punktowe latarki. Porozumieli się wzrokiem z policjantami. Przyklękli w pewnym oddaleniu i dali znak Karinie. Ta sięgnęła do klamki, nacisnęła i jednym pchnięciem otworzyła drzwi na całą szerokość. Uderzyły o ścianę z głuchym łoskotem i tak zostały. Mijały sekundy i nic się nie działo. Wreszcie promienie latarek obu żołnierzy zaczęły się ruszać, omiatając pomieszczenie.

– Niech to szlag trafi! – krzyknął nagle pułkownik.

Teraz wszyscy mogli zajrzeć do tamtego pokoju oświetlonego przez żółtą poświatę. Marcin pomyślał przez chwilę, że jego obawy jednak się spełniły. Mariusz Bednarz wymknął się sprawiedliwości. Tylko czy na pewno? Spojrzał przelotnie na Karinę Buczko i widział, jak jej usta się poruszają.

– Kurwa mać – odczytał z ruchu warg.

Żyrandol w ostatnim pokoju był odkręcony, a na haku wystającym z sufitu wisiał nieruchomo mężczyzna. W półmroku trudno było dostrzec jego twarz, ale po minach wojskowych widział, że chodzi o tę osobę, której szukali. Jacek z Michałem przeklinali Bednarza pod nosem, Pasiiecki zwrócił się do Zakrzewskiego.

– No, to mamy go. Ja swoje zadanie wykonałem, reszta należy do was.

– Pasiiecki, może i jesteś dobrym dowódcą, ale na śledczego to ty się, kurwa, nie nadajesz – wycedził Marcin przez zaciśnięte zęby.

– O czym ty mówisz? – Pułkownik spojrzał na niego prawie wrogo.

– Przyjrzyj się swojej Bestii – powiedział.

Zdziwiony Pasiiecki stanął na progu pokoju, popatrzył i nadal nic nie rozumiał.

– Jak myślisz? Jak on się sam powiesił? – zapytała Karina. – Kurwa, to jakiś magik musiał być.

Dopiero po kilku sekundach wojskowi zrozumieli, o co policjantom chodzi. Nigdzie na podłodze pokoju nie było podnóżka, na którym samobójca musiałby stanąć, żeby założyć sobie pętlę na szyję.

Pierwsza myśl – ucieczka!

Izabela Bernatowicz odwróciła się i już jedną dłonią chwyciła za klamkę, a drugą sięgnęła do zamka, gdy nagle znieruchomiała. Duchy, zjawy, upiory. Nic takiego nie istnieje. To tylko bajki wymyślane przez jednych, żeby śmiertelnie przerazić drugich. Za wszystkim stoją realni ludzie, a ona ludzi boi się o wiele mniej niż demonów. Uspokoila oddech, poczekała, aż serce przejdzie z galopu w stępa, i pomyślała realnie. Nie będzie uciekać na oślep przed siebie, w ciemność. Jeśli ten ktoś chciałby jej zrobić krzywdę, napaść, zabić, zgwałcić, już dawno by to zrobił. Nie próbowałby jej straszyć. Być może to jest po prostu włamywacz. Musi wezwać pomoc.

Otworzyła znowu wszystkie zamki w drzwiach. Gdyby jednak musiała uciekać, nie chciała później tracić czasu. Na razie nasłuchiwała. Nad głową wyraźnie usłyszała trzy kroki i znowu zapadła cisza. Jakby ten ktoś na piętrze również stał i słuchał.

Iza ściągnęła ze stóp kaptcie i boso, na palcach, poszła do kuchni w poszukiwaniu telefonu. Musi wezwać pomoc. Wyśle wiadomość do Kamila i Dawida, oni na pewno przyjadą, najszybciej jak to tylko możliwe. Nie zapalała światła, po omacku obszukała blaty, stół i zmarła. Telefon był na górze. Wcześniej czytała książkę w łóżku i zostawiła go na nocnym stoliku. Musi tam pójść. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, który ciągle podpowiadał ucieczkę, ruszyła wolno schodami. Jeden schodek, drugi, ósmy, szczyt schodów. Tu zatrzymała się, nie bardzo wiedząc, co dalej. Znowu słuchała. Przez długie sekundy nic się nie działo. Już nawet myślała, że uległa psikusowi własnej podświadomości. Tak długo śniła koszmary z Jakubem w roli głównej, że odgłosy ze snów zaczęła słyszeć nawet na jawie.

Wtedy, w najbardziej oddalonym od schodów pokoju, który służył jej mężowi jako gabinet, gdzie w biurku znalazła dowody osobiste tamtych kobiet, rozległ się stuk a potem inny dźwięk. Ktoś odsunął krzesło od biurka. Omal nie wpadła w panikę i nie rzuciła się na ślepo w dół, byle tylko wydostać się z domu. Zaraz się jednak opanowała.

Sypialnia, gdzie był telefon, znajdowała się naprzeciw niej. Poruszała się bezszelestnie. Jeśli tam ktoś jest, nawet się nie dowie, że weszła na górę. Przeszła do sypialni, znalazła telefon i szybko wystukała wiadomość tek-

stową: „Ratunku! Ktoś jest w domu! Boję się!”. Wybrała dwa pierwsze numery zapisane w książce telefonicznej i nacisnęła przycisk Wyślij.

Poszło. Trochę jej ulżyło. Wycofa się, zejdzie na dół, wymknie się z domu, schowa gdzieś na podwórzu i poczeka, aż przyjedzie któryś z braci. Odwróciła się do drzwi i wtedy to do niej dotarło. Kroki na korytarzu. Niespieszne, ale zdecydowane. Zbliżały się do drzwi do sypialni, a im były bliżej, tym ona wpadała w coraz większe przerażenie. Cofała się, wreszcie dotknęła plecami lustrzanych drzwi do wielkiej szafy z ubraniami.

Nagle wszystko umilkło. Słyszała tylko serce tłukące jej się w piersiach. Nieoczekiwanie drzwi do sypialni zaczęły się zamykać. Przyspieszały, aż wreszcie z głuchym szczęknięciem zamek się zatrzasnął. Aż podskoczyła na ten dźwięk. Czyżby nie miała racji? Demony i zjawy jednak istniały i miały wpływ na materialny świat? Pojawiły się teraz, żeby ją pognębić? Nie, musi być inne rozwiązanie tej zagadki.

Cichy śmiech zza drzwi omal nie spowodował jej omdlenia. Aż nogi się pod nią na chwilę ugięły. Tak, jest jeszcze inne rozwiązanie tej zagadki. Jeśli Jakub nie zjawił się tu jako upiór, to przyszedł jako realna osoba. Ona go wtedy wcale nie zabiła, tylko zraniła. Tylko jak on zdołał się wykopać z płytkiego grobu nad strumieniem i wyzdrowieć? A teraz jest tu, żeby się na niej zemścić w straszliwy sposób. Nie wiedziała, co zrobił tamtym kobietom. Podejrzewała tylko, że nic dobrego. Podświadomie czuła, że nie chciałyby umrzeć w taki sam sposób. Tylko czy miała na to wpływ?

Tym razem coś zaskrobało w drzwi. Paznokcie na gładkiej drewnianej powierzchni. I znowu ten śmiech, tym razem głośniejszy i jeszcze bardziej złośliwy. Jakby pojawiał się w gardle szaleńca. Była na skraju hysterii, nie myślała, było tylko śmiertelne przerażenie. Znowu skrobanie w drzwi. Klamka poruszyła się. Tego już było dla niej za dużo. Otworzyła drzwi do szafy, weszła do niej i schowała się za wiszącymi tam sukienkami. Wstrzymała oddech.

Nie wiedziała, jak długo tak siedziała. Śmiechy ustały, skrobanie w drzwi i poruszanie klamką również. Płakała i drżała na całym ciele. On wrócił. Jej mąż naprawdę wrócił, żeby się na niej zemścić. Co zrobił dziad Wasyl?

Może to on pomógł Jakubowi? Tylko dlaczego działał przeciw niej? Dlaczego mu pomógł, a jej nic nie powiedział? Płakała bezgłośnie i powoli traciła rachubę czasu.

Wreszcie, kiedy myślała, że prześladowca odszedł, usłyszała wyraźnie szcęk drzwi, a potem kroki. Ktoś chodził po sypialni, w końcu stanął przed szafą. Po sekundzie zdecydowanym ruchem przesunął drzwi. Wcisnęła sobie pięść do ust, żeby nie krzyknąć. Ktoś nad nią stał, lecz nie miała w sobie dość odwagi, żeby podnieść wzrok. Bała się zobaczyć trupa umazanego krwią i błotem.

Komisarz Wiktor Wiktorski ocknął się na podłodze. Do przytomności pomogły mu wrócić krople wody spadające z sufitu wprost na jego policzki. Kap, kap, kap, w rytm młota bólu walącego mu w czaszkę. Łup, łup, łup. Może właśnie zimna woda sprawiła, że natychmiast odzyskał zdolność racjonalnego myślenia. Ból głowy był koszmarny, pewnie ma paskudną ranę na czaszce i sińca wielkości kalarepy. Miał tylko nadzieję, że kość wytrzymała, a wstrząśnienie mózgu pozwoli mu normalnie funkcjonować. Spróbował się podnieść. Po chwili stał, dysząc ciężko i przytrzymując się stołu. Przez ból czaszki nie mógł otworzyć oczu.

Pierdolony Wasyluk. Już on mu pokaże, jak tylko go dorwie. To on przyszedł do niego jak do przyjaciela, próbował pomóc, znaleźć gwałciciela sprzed lat, a ten go tak potraktował. Postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość? Niedoczekanie jego. Tu Wiktorski jest dzielnicowym, on troszczy się o bezpieczeństwo Kamiennej i jej mieszkańców, on wymierza sprawiedliwość, a nie jakiś były skazaniec. O nie, nigdy do tego nie dopuści.

Ból trochę zelżał; komisarz otworzył oczy, wróciła normalna ostrość widzenia, nie musiał już przytrzymywać się stołu. Dobrze, że Wasyluk nie miał nic twardszego pod ręką. Stara noga od stołu była naruszona przez korniki i nie tak groźna. Ile czasu był nieprzytomny? Wydawało mu się, że raptem mgnienie oka.

Rozejrzał się. Nic się nie zmieniło, nawet kałuże były takie, jak je zapamiętał. Może naprawdę to nie trwało zbyt długo i jeszcze zdąży do Marcza-

ka, zanim wydarzy się tragedia. Wymacał w kaburze pistolet. Jest, czyli dobrze. Już miał ruszyć do wyjścia, lecz jeszcze przystanął. Szybko zebrał kartki pisane przez Owczarską i wcisnął je do kieszeni. Musiał je dokładnie przeanalizować. Może napisała coś o innym potencjalnym zagrożeniu? To byłby prawdziwy chichot losu. Taka zemsta po latach, zza grobu. Życie to dopiero pisze niesamowite scenariusze.

W progu się zachwiał. Nogi były dziwnie słabe, a do tego było zimno, ciągle padał deszcz i wiał nieprzyjemny wiatr. Zaciśnął zęby i z jedną ręką na głowie ruszył jak najszybciej przed siebie. Ból omal nie rozwalił mu czaszki.

Po chwili był przy samochodzie. Uruchomił silnik i, nie włączając świateł, próbował zawrócić. Niestety, zakopał się w błocie do reszty. Klnąc, wyciągnął pistolet i truchtem ruszył w stronę domu Marczaków. To nie było daleko, może jeszcze zdąży. W tym stanie na dogonienie Wasyla nie miał chyba szans. Na szczęście w Kamiennej wszędzie było blisko. Nawet jak drogą jest dalej, istnieje wiele ścieżek na szagę, które znacznie skracają odległość.

Dom Marczaków był oddalony o dobrych kilkaset metrów, jednak policjant idąc po łące, polu a potem przez brzezinę, dotarł tam dość szybko. Niestety Wasyluk na pewno znacznie go wyprzedził. Kiedy Wiktorski wszedł na podwórze, panowała wyjątkowa cisza. Milczał nawet ten cholerny pies, który zawsze darł mordę na wszystko, co się ruszało za płotem.

Wyszarpnął pistolet i poszedł w kierunku oświetlonego okna. Zajrzał do środka. Zasłony były podniesione, ale w izbie nikogo nie było. Postanowił jednak wejść. Był już jedną nogą na progu, gdy od strony szopy dobiegł go jakiś odgłos. Coś jakby okrzyk. Przypomniał sobie, co w szopie trzyma Marczak. Pewnie Wasyluk zastał go podczas produkcji. Ruszył biegiem, z pominięciem o bolącej głowie, i wpadł do szopy z pistoletem gotowym do strzału.

W środku panował półmrok, ale od razu zauważył dwóch mężczyzn na klepisku. Walczyli, wydając tylko krótkie, gardłowe pomruki. Wasyluk przytrzymał Marczaka kolanami i właśnie sięgał po leżący nieopodal

nóż z długim ostrzem. Najwidoczniej nie udało mu się dopaść Marczaka z zaskoczenia albo wcześniej chciał z nim szczerze porozmawiać i tak to się skończyło.

– Zabiję cię... skurwysynu... – dyszał Wasyl, a jego dłoń była coraz bliżej rękojeści noża.

Marczak oddychał ciężko, jakby już nic nie mógł zrobić.

– Nikogo nie zabijesz! – krzyknął Wiktorski, podnosząc broń.

Wasyluk obejrzał się na niego, ale tylko zacisnął zęby, intensyfikując wysiłek.

– Wasyluk, będę strzelał.

Brak reakcji. Komisarz nie strzelił, tylko klnąc, w dwóch skokach był przy walczących, odtrącił nóż w kąt i kopnął Wasyluka z taką siłą, że ten stracił na chwilę oddech.

– To za moją głowę – warknął przy tym policjant.

Ta chwila wystarczyła, żeby Marczak strząsnął z siebie napastnika i zerwał się na nogi. Stanął obok, chwiejąc się, i z trudem łapał oddech. Twarz miał zakrwawioną. Policjant chwycił go za ramię.

– Wszystko w porządku?

Odpowiedział mu twierdzący ruch głową. Wiktorski przyklęknął przy Wasyluku i zakuł go w kajdanki na plecach. Dziad leżał teraz na brzuchu z twarzą na brudnej podłodze i dyszał. Policjant oparł się o jeden z trzech mauzerów o pojemności tysiąca litrów pełnych zacieru, z którego Marczak pędził tu bimber, i osunął się do pozycji siedzącej, ulegając wreszcie słabości i bólowi głowy. Obmacał sobie czaszkę i przeklął, widząc krew na palcach. Był cały przemoczony i było mu zimno.

– Ale mnie załatwił, skurwysyn – jęknął. – A przyszedłem do niego jak do przyjaciela, kurwa jego mać! Co tu się stało?

Marczak, na pierwszy rzut oka twardy jak skała i szorstki w obejściu, teraz stał i drżał na całym ciele. Z trudem wypowiadał słowa.

– Przyszedł i chciał mnie zabić – odezwał się cicho. – Nie miałem już siły się bronić.

– To widzę – warknął policjant. – Wytłumaczysz mi dlaczego? To ty zgwałciłeś wtedy Janinę Owczarską?

– No co ty, komendancie... – zachnął się mężczyzna.

Też oparł się o pojemnik z zacierem i osunął się po nim obok Wiktorskiego. Drżącą dłonią przyjął papierosa i zapalili w milczeniu. Wasyluk patrzył na nich z klepiska jednym przekrwionym okiem.

– To nie ja zrobiłem krzywdę Jasi – mówił dalej Marczak. – Byliśmy wtedy z Józkiem najlepszymi przyjaciółmi. Owszem, dziewczyna mi się podobała, ale przecież nie zrobiłbym jej takiej krzywdy. I Józkowi też nie.

– Ale zeznałeś przeciw niemu. Widziałem papier.

Marczak poszarzał na twarzy i nie odpowiedział.

– Rozkuj go, komendancie – powiedział za to. – On już ochłonął i nie będzie robił głupot.

– Wasyluk, to prawda?

Przymknięcie oka wystarczyło jako potwierdzenie.

Policjant zdjął kajdanki, a Wasyluk przewrócił się z jękiem na plecy. Leżał, oddychając ciężko z zamkniętymi oczami. Najwidoczniej też już stracił ochotę na walkę. Wiktorski, stojąc nad nim z pistoletem w jednej dłoni i papierosem w drugiej, spojrzał na Marczaaka.

– Bimbru byś polał, bo zapalenia płuc dostanę – powiedział.

– Chodźcie do kuchni. – Marczak podniósł się, a potem pomógł wstać Wasylukowi.

Przytrzymując się wzajemnie, jak przyjaciele wracający po nocy z mocno zakrapianej imprezy, a nie jak śmiertelni wrogowie sprzed kilku minut, przeszli przez podwórze, nie zwracając uwagi na padającą znowu śnieżną krupę. W kuchni usiedli przy stole, Marczak zakręcił się po pomieszczeniu, postawił przed nimi duże kryształowe kieliszki i flaszkę. Sam usiadł i nalał. Zanim jednak wypili, w drzwiach stanęła jego żona i patrzyła na nich z przerażeniem.

– Co tu się narobiło?! – krzyknęła. – Był jakiś napad czy może wojna wybuchła?

Marczak machnął tylko ręką, a im pokazał, żeby wypili. Zaraz nalał po jeszcze jednym. Alkohol był mocny, ale teraz tego było im trzeba. Dla rozgrzewki, jasności myśli i uspokojenia nerwów.

– Takie męskie sprawy do wyjaśnienia – rzucił żonie Marczak i dodał: – Kanapki byś jakie zrobiła, bo wódka mocna i zaraz pod stół powpadamy.

Marczakowa zakrzętnęła się przy kanapkach, zerkając co chwilę na policjanta i jego rozbitą głowę, i na Wasyluka z twarzą czarną jak ziemia. Zaproponowała nawet, że jednego opatrzy, a drugiemu przyniesie miskę z wodą, ale obaj machnęli rękami zniechęcająco. Wreszcie postawiła przed nimi talerz z kanapkami z szynką, kiełbasą, żółtym serem i jajkiem. Sięgnęli brudnymi rękami i zakąsili przed wypiciem kolejnego kieliszka. Wasyluk jadł, pił, skręcił sobie nawet papierosa, lecz wpadł w jakieś straszliwe przygnębienie i nie odzywał się. Nawet na nich nie patrzył. Kiedy podjedli i wypili po czwartym, Marczak zwrócił się bezpośrednio do niego:

– Józek, to był mój największy błąd w życiu. Chciałem cię przeprosić już wiele lat temu, ale ty nie chciałeś ze mną rozmawiać. Bardzo żałuję tego, co wtedy się stało.

Wasyluk milczał i nadal na niego nie patrzył.

– Zmarnowałem ci życie, wiem – ciągnął Marczak. – Nawet dzisiaj przez chwilę pomyślałem, że jakbyś mnie zabił, to nawet byłoby sprawiedliwie. Życie za życie. Byliśmy w końcu najlepszymi przyjaciółmi, a ja cię zdradziłem. Ale wtedy coś takiego dziwnego się ze mną porobiło. Jakbym nie był sobą. Wzięli mnie na to przesłuchanie, omamili, postraszyli, dostałem w kilka razy w mordę i spanikowałem. Potem chciałem odwołać te zeznania, ale milicjanci powiedzieli, żebym spierdalał i nie grzebał przy tym, bo nieznani sprawcy mogą na przykład z dymem puścić dom moich rodziców albo przejechać mi brata autem. Przestraszyłem się.

Wypili następną kolejkę.

– Józek, byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Jasia Owczarska mi się podobała, ale w życiu nie zrobiłbym jej krzywdy. Ja zboczeńcem nie jestem, przecież wiesz.

– Więc to nie ty?

Wasyłuk odezwał się po raz pierwszy. Jego głos brzmiał jak chrzęst zardzewiałego łańcucha ciągniętego po betonie.

– To nie ja. Było więcej takich gwałtów, tylko wtedy się o tym nie mówiło.

– To kto? – wtrącił się Wiktorski.

– Nie wiem. – Marczak pokręcił głową. – Może ktoś z innej wioski.

– Nie. – Policjant był stanowczy. – Gwałty zdarzały się zawsze wokoło Kamiennej. To musi być ktoś stąd.

Milczeli długą chwilę, lecz żaden nie wpadł na dobry pomysł. Wreszcie Wiktorski sięgnął do kieszeni i wysypał na stół karteczki pisane przez Janinę Owczarską. Marczak przeczytał kilka i pobladł jeszcze bardziej.

– Nie miałem o niczym pojęcia – jęknął. – Zresztą w tamtych czasach nikt o czymś takim nie mówił.

– Nikt nie wiedział. – Dziad Wasył napiął mięśnie zuchwy tak, że omal nie eksplodowały. – Dowiedziałem się niedawno, przypadkiem.

Z podrapanego policzka spłynęła mu krew na długą, siwą brodę, zakrzepła i teraz z brudną twarzą wyglądał jak prawdziwy dziad z horroru dla niegrzecznych dzieci. Policjant po kolei rozwijał kartki i układał je na stole. Szukał tej jednej, która już wcześniej rzuciła mu się w oczy. Wreszcie ją znalazł. Kilka zdań zupełnie innych niż reszta.

„Sierpień. Śmieszni są ci chłopcy. Powiedzieli, że nic mi się nie może stać. Od tamtej chwili wszędzie za mną łążą i mnie pilnują. Słodkie to jest, chociaż trochę denerwujące. Ale słodkie. Chwila normalności w złym życiu. Ciekawe, kiedy im się znudzi”.

– W połowie sierpnia Janina została napadnięta. Kim mogą być ci chłopcy? To wy?

– No co ty, komendancie. – Marczak wzruszył ramionami. – My byliśmy dorośli, o niczym nie wiedzieliśmy i nie chodziliśmy za nią, żeby jej pilnować. To naprawdę musieli być chłopcy.

Józef wyglądał, jakby dopiero bimber wyrwał go z mroków, które pchnęły go do próby zabójstwa dawnego przyjaciela, i zmusił do logicznego myślenia.

– Jezu, może oni coś wiedzieli, może ktoś za nią chodził? – jęknął. – Przecież nie pilnowaliby jej bez powodu.

– Nic ci wtedy nie mówiła? – upewnił się Wiktorski.

Tym razem Wasyluk sięgnął do butelki i rozlał resztkę. Marczak zaraz przyniósł z szafki kolejną flaszkę. Wypili.

– Nic nie wiedziałem, nic nie zauważyłem – jęknął Józef. – Wtedy, na początku sierpnia, byliśmy trochę powadzeni i boczyła się na mnie, ale to taki tylko kobiecy foch był. Może dlatego przegapiłem, że coś się działo złego.

– Może chcieli bronić ją przed ojcem – podsunął Marczak.

– Ojciec krzywdził ją w domu, jak wynika z reszty karteczek – sprecyzował Wiktorski. – A oni za nią chodzili wszędzie i pilnowali. Kim mogli być ci „chłopcy”?

Mężczyźni przy stole pograżyli się w zadumie. Każdy z nich wspominał dawne czasy, ale jakoś nie doznali objawienia. Wasyluk nie pamiętał, czy były wtedy w Kamiennej jakieś dzieci, komisarz mieszkał wówczas w Szczepanowie i niewiele osób tu znał, tylko Marczak coś kojarzył.

– Kojarzę tylko córkę i syna Jaceniów, ale oni to zupełne dzieci jeszcze wtedy byli, Witek Tryński był nastolatkiem, Ruciaki mieli małe dzieci, Feliks Grzegorzycy był mały, no i mój brat Michał miał chyba ze dwanaście lat. Pasowałby jako chłopiec. Cholera, może moja będzie coś więcej pamiętać? Kobiety zawsze bardziej się dziećmi interesują. Ale to niekoniecznie z Kamiennej mogli być. Do Brodna jest rzut beretem, do Rzeczycy blisko, do Zakrzewia. Wtedy rowerami wszyscy jeździli. Pamiętam, jak całe bandy nastolatków na łąkach w piłkę grały albo się w podchody bawiły czy kąpały się w stawie. I nawet na bagna chodzili, mimo że starsi gonili. Pamiętasz, Józek, tego chłopaka z Brodna, co na bagnach dwa dni spędził, zanim go znaleźli?

– Pamiętam. Szczęście miał, że jakiegoś drzewa się chwycił. – Wasyluk pokiwał głową. – Bo by się utopił.

– Była taka sytuacja? – zdziwił się komisarz.

– A bo to jedna? Na milicję nie wszystko się od razu zgłaszało. Brak zaufania był.

– Ano tak, i został do dzisiaj.

Józef Wasyluk nagle drgnął na krześle, aż spojrzeli na niego z niepokojem. Wyglądał, jakby podjął jakąś ważną decyzję. Policjant na wszelki wypadek położył pod stołem dłoń na kaburze z bronią. Kto wie, co temu staremu wariatowi jeszcze strzeli do łba?

– Przepraszam cię, Marczak – powiedział nieoczekiwanie Wasyl. – Byłeś moim przyjacielem. Co było potem, to było, ale nie powinienem cię o gwałt na Jaśce oskarżać.

– To ja cię przepraszam. Przeze mnie do pierdła na tyle lat poszedłeś. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Wypili z intencją zapomnienia o tragicznej przeszłości.

– Nie tylko przez ciebie, Marczak – sprecyzował komisarz. – Milicja tak zrobiła, że wszyscy przeciw Józkowi zeznawali. Nawet jego brat, Franek.

– Ot, sucz! – jęknął gospodarz. – Jak ty tam wytrzymałeś, ty porządny zawsze byłeś?

– Z głupoty pewnie.

Dokończyli butelkę, po czym wyszli w mrok nocy. Wiatr ciągle wiał, lecz opad trochę ustał. Było mokro, przeraźliwie zimno i nieprzyjemnie, jednak alkohol skutecznie ich rozgrzewał. Poszli do auta policjanta, wypchnęli je z błota i Wiktorski mógł wolno pojechać do głównej drogi. Kiedy skręcał w lewo, tył auta niebezpiecznie zarzuciło na mokrym asfalcie, ale udało mu się nie wjechać do przydrożnego rowu. Jechał wolno, ale bez stresu. W drogówce miał kolegów. Nikomu z nich nie chciałoby się przyjeżdżać w taką pogodę, w nocy, w takie miejsce. „Na bocznych nie łapią” – przypomniał sobie słowa Ewy Bujak. Święta prawda.

Kiedy jechał wolno przez las, walcząc z opadającymi na oczy powiekami, pomyślał, że musi porozmawiać z mieszkańcami Kamiennej, którzy wtedy byli nastolatkami. Kto wie? Może dowie się czegoś ciekawego? Nagle przyszło mu do głowy, że wszyscy tak naprawdę są ofiarami tamtego zdarze-

nia. Starzy Owczarscy, ich synowie, Marczak, Wasyluk, jego starszy brat. Wszyscy, których życie po tamtej nocy się zmieniło i popłynęło innym nurtem.

22.

– Iza, to ja...

Bardzo dobrze znała ten głos. Otworzyła szeroko oczy w przypiływie nadziei. Kamil Bernatowicz pochylał się nad nią z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Nic ci się nie stało?

– Kamil!

Wyskoczyła z szafy, przytuliła się do niego i nagle zaszłochała gwałtownie. Tulił ją, na razie pozwalając się wypłakać. Odezwał się dopiero, kiedy poczuł, że płacz trochę ustaje.

– Odebrałem twoją wiadomość, użyłem zapasowych kluczy. Nie mogłem cię znaleźć, bałem się o ciebie. Co się stało?

– On... tu był – wyszeptała z trudem, wciąż wstrząsana spazmami. – Jakub tu był. Chciał mnie nastraszyć.

Odsunął ją od siebie gwałtownie.

– Widziałaś go? – zapytał, a ona nie potrafiła powiedzieć, czy w jego głosie była nadzieja czy rozczarowanie.

– Nie, ale kto inny mógł tu wejść i mnie straszyć?

Opowiedziała mu, co się stało. Sprowadził ją do kuchni, posadził przy stole i wstawił wodę na herbatę. Widać było po nim, że po tym, co powiedziała, czuje się niepewnie.

– Dawid zaraz przyjedzie – powiedział. – On jest zawodowym wojskowym, niech coś poradzi.

Jakby na potwierdzenie jego słów okna kuchni liznęły światła reflektorów auta parkującego na podwórzu. Po chwili usłyszeli ciężkie kroki. Dawid wpadł do kuchni jak burza, ciężko dysząc. Włosy miał w nieładzie,

kurtka była mokra, jakby przebiegł kilkaset metrów w deszczu i wietrze. A przecież przyjechał samochodem. Nie było jednak czasu na takie rozważania. Izabela powtórzyła mu słowo w słowo to, co wcześniej usłyszał Kamil.

Dawid, tak jak mówił to brat, natychmiast objął dowodzenie. Miał to we krwi. Kazał im czekać w kuchni, a sam sprawdził dokładnie dom, zamek w drzwiach i posesję. Wrócił po kilku minutach, ciężko zwałił się na krzesło i łyknął wystygłej już trochę herbaty. Kamil i Iza patrzyli na niego pytająco.

– Ktoś tu rzeczywiście był – przyznał. – Są ślady w korytarzu, ktoś próbował się włamać do garażu. Ale mu się nie udało.

– Ale kto to mógł być? – zapytała cicho Iza.

– Włamywacz? – rzucił Kamil.

Dawid popatrzył na nich uważnie.

– Nie wiem, sprawdzaliście, czy w domu nic nie zginęło?

Iza pokręciła głową, trochę zawstydzona, że wcześniej o tym nie pomyślała.

– Trzeba sprawdzić – zdecydował starszy z braci.

– Sama nie pójdę na górę – zaprotestowała.

– Pójdziemy razem. Kamil, zostań tu.

Dawid szedł pierwszy, Iza o stopień za nim, mocno ściskając go za rękę. Dotyk jego zimnej, twardej i mocnej dłoni uspokajał ją. Nagle poczuła się dziwnie. Zdawało jej się, że jest nastolatką i starszy kolega prowadzi ją za rękę na pierwszą szkolną zabawę. Zrobiło jej się głupio, kiedy ciepło zmieniło się w coś na kształt podekscytowania a nawet lekkiego podniecenia. Co się z nią działo? Czy w głowie wolno rozwijało się szaleństwo? Która kobieta w takich okolicznościach czułaby takie przyjemne dreszcze na plecach? Z trudem zachowała spokój.

Obeszli pomieszczenia na górze, Iza sprawdzała, czy wszystkie cenne rzeczy, które w tej chwili przychodziły jej do głowy, są na swoich miejscach. Wyglądało na to, że nic nie zginęło.

Nagle podniecenie zmieniło się w strach. A może Jakub albo ktoś zupełnie inny, kto tu był jeszcze kilkadziesiąt minut temu, wiedział, po co przychodzi? Czy chodziło mu o dowody osobiste tamtych kobiet? Podeszła do biurka, wysunęła wszystkie szuflady, przyglądając im się uważnie. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś w nich grzebał. Nie mogła jednak sprawdzić zawartości skrytki ze względu na Dawida, który obserwował ją, a oczy mu dziwnie błyszczały, jak gdyby i jemu udzielił się jej nastrój sprzed chwili. Kiedy go mijala, kierując się do drzwi, poczuła jego dłoń na ramieniu. Zdrętwiała, lecz nie uwolniła się. Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Najpierw delikatnie, potem mocniej. Serce załomotało jej nagle w piersiach, pompując mocniej krew. Aż zadrżała, czując mocne ciało Dawida i ciepły oddech na czubku głowy. Zdrowy rozsądek musiał stoczyć ciężką bitwę, zanim zwyciężył. Odsunęła się z ociąganiem, spojrzała w jego płonące oczy i szepnęła:

– Musimy wracać...

Po chwili byli już na dole, ale Kamila nie było w kuchni. Zastali go w salonie, gdzie przy zgaszonym świetle obserwował podwórze. Odwrócił się i wszyscy troje usiedli znowu przy stole w kuchni.

– Co teraz zrobimy? Iza nie może tu zostać – odezwał się Kamil.

– Jutro zdecydujemy, co robić, dzisiejszej nocy będziemy tu pełnić dyżury – zdecydował Dawid i zaraz dodał: – Przecież nie może zostać sama.

Izabela Bernatowicz popatrzyła na niego z nadzieją, jednak, ku jej rozczarowaniu, Dawid nawet na nią nie spojrzał, jakby tam na górze nic się nie wydarzyło. Rozczarowanie wzrosło, kiedy padły kolejne słowa:

– Kamil, zostaniesz z Izą jako pierwszy. Ja zmienię cię około trzeciej w nocy i zostanę do rana.

– Dobrze – zgodził się Kamil. – Ty tu rządysz, braciszku.

– Iza. – Dawid tym razem zajrzał jej głęboko w oczy. – Nie bój się. Nie damy ci zrobić krzywdy. Jutro na spokojnie ułożymy jakiś sensowny plan.

Skinęła głową.

Dawid włożył kurtkę i wyszedł, Kamil przekręcił klucz w zamku, po chwili zobaczyli światła auta ginące w mroku za ogrodzeniem. Zapadła cisza. Iza ciągle nie mogła się pozbierać po burzy uczuć, które w niej wezbrały, gdy przytulała się do brata jej nieżyjącego męża. Nawet nie zwracała uwagi na siedzącego naprzeciw niej Kamila, choć jego wzrok zdawał się przewiercać ją na wylot. Wreszcie ocknęła się z zamyślenia i popatrzyła na niego. Uśmiechnął się nieśmiało.

– Niezła jazda, nie? – zapytał jak nastolatek po pierwszej przejażdżce rollercoasterem.

Nie spodobało jej się takie pytanie. Ona ostatnich zdarzeń nie odebrała jak dobrej zabawy, dlatego nie skomentowała. Po chwili krępującego milczenia powiedziała:

– Jestem zmęczona, chyba się położę.

– Oczywiście. Idź na górę, ja tu będę czuwał – zapewnił szybko.

Pomyślała nagle o dowodach osobistych w skrytce w biurku. Wiedziała, że trzeba sprawdzić, czy nadal tam są, jednak na samą myśl o tym poczuła mdłości.

– Zwariowałeś? Nie pójde sama na górę. Położę się na sofie.

Bez słowa poszła do salonu i wyciągnęła się na sofie, przykrywając kocem. Myślała, że nie zaśnie, jednak po chwili zaczęła z wolna odpływać. Przez przymknięte powieki widziała, jak Kamil gasi światło w kuchni i przenosi się na fotel do salonu. Kiedy znowu otworzyła oczy, stał przy oknie, patrząc na deszcz padający na skraj tarasu i wielkie drzewa za ogrodzeniem szarpane wiatrem. W końcu zasnęła.

Musiło minąć tylko kilka minut, ponieważ nie zdążyła zagłębić się w marzeniach sennych, gdy ktoś siadł obok i pochylił się nad nią. Poczowała muśnięcie palców na policzku a potem delikatny pocałunek. Tłumione pożądanie eksplodowało jak bomba wodorowa, sięgnęła po Kamila rękami, przyciągnęła go do siebie i oddała pocałunek. Długo, namiętnie, z żarem. Cała oddała się tej chwili. Kiedy byli już nadzy, a on wszedł w nią delikatnie, na moment odwiedził ją przebłysk zdrowego rozsądku. Pomyślała, że od zamordowania męża sieje wokół siebie coraz większy chaos, składający

się z nierozważnych uczynków, zakazanych uczuć i żądz. Wiatr robił się z tego coraz większy, a jak wiadomo, kto sieje wiatr, ten w końcu doczeka się burzy. Niekiedy odnosiła wrażenie, że taka gwałtowna burza z piorunami nadciągała. Teraz też ją zobaczyła. I jeszcze jedno uczucie przemknęło przez nią i zgasło. Że ktoś w tej chwili może ich obserwować przez okno z zewnątrz.

Ale to były tylko dwie samotne myśli, które zgasły, zdmuchnięte przez narastającą rozkosz.

Światło latarki omiotło wiszącego na haku mężczyznę i kiedy dotarło do jego twarzy, Karina Buczko wzdrygnęła się. Miał półprzymknięte powieki i zdawał się patrzeć prosto na nich. Nie pomogła nawet świadomość, że facet jest martwy. Wrażenie pozostało.

Zgasła latarkę i popatrzyła na Zakrzewskiego. Stał z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie spodni, miał zaciśnięte usta i mokre włosy. Jedna kropla spłynęła mu na plecy i rozmyła się na skórzanej kurtce. Ona też była przemoknięta i przemarznięta. Wcześniej tego nie czuła, lecz teraz chłód wyraźnie ścisnął ją za gardło. Zadrżała.

– Ktoś musiał dokonać prywatnej zemsty przed nami – zawyrokował Pasięcki.

– Możemy zostać sami? – W głosie Zakrzewskiego było słycać nadchodzącą burzę z piorunami.

– O co ci chodzi? – Pasięcki też to wyczuł i chyba mu się nie spodobało.

Marcin postąpił ku niemu dwa kroki, jakby chciał wyzwąć go na pojedynek na pięści, chociaż pewnie nie miałyby większych szans.

– Posłuchaj, być może jesteś w niektórych dziedzinach najlepszym specjalistą w swoim fachu. – Miał matowy głos wyprany z wszelkich emocji. – Ale gównie znasz się na prowadzeniu śledztwa. Zostaw tę sprawę nam.

– Chyba właśnie zakończyliśmy śledztwo – odpowiedział pułkownik, lecz już mniej stanowczym głosem.

– Muszę z tobą porozmawiać bez świadków – powtórzył Marcin.

Pasiecki wahał się przez moment, a potem gestem pokazał swoim ludziom, żeby wyszli. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, jeszcze przez moment panowała cisza. Karina wiedziała, że to chwila, od której wiele będzie zależeć. Na usta cisnęło jej się kilka pytań, jednak zmilczała, zostawiając rozmowę koledze.

– Kto to jest? – zapytał Marcin.

Pasiecki się zawahał.

– Chcieliście odstrzelić faceta, który prawdopodobnie też jest tylko ofiarą twojej Bestii. Nie daje ci to do myślenia? Ten zwyrodnialec potrafi lepiej się zakamuflować, niż podejrzewałeś. Wiesz, jak działają takie jednostki? Potrafią się doskonale ukryć w społeczeństwie. Na co dzień dla innych są normalnymi ludźmi, przyjaciółmi, są perfekcjonistami w pracy lub na służbie, bez trudu oszukają każdy psychologiczny test. Rzadko można ich wskazać, obserwując zachowanie. Swoją dysfunkcję pokazują dopiero w domowym zaciszu, kiedy mają pewność, że nikt nich nie widzi i nie obserwuje. Dlatego trzeba umieć szukać takich skurwysynów. Ty nie umiesz, więc zostaw to nam. My już złapaliśmy niejedną taką bestię.

Pułkownik milczał, patrząc to na Marcina, to na Karinę. Oceniał te słowa i policjanci mieli nadzieję, że wykaże się inteligencją wykraczającą poza utarte wojskowe schematy myślenia i funkcjonowania. Pewnie trudno było mu się w tej chwili przyznać do porażki, dlatego Zakrzewski poszedł za ciosem.

– Seryjny zabójca, poza nielicznymi wyjątkami, gdy w grę wchodzi zaawansowana choroba psychiczna, ujawnia swoją prawdziwą naturę dopiero w sytuacji zagrożenia, kiedy policja depta mu po piętach albo po zatrzymaniu i przedstawieniu niezbitych dowodów. Wcześniej jest normalny. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– To ty czegoś nie rozumiesz, Zakrzewski... – zaczął Pasiecki, lecz Marcin zaraz mu przerwał.

– Nie. – Jego głos stwardniał. – Zabijając tego człowieka, twoja Bestia wystawiła się na strzał. Teraz jesteśmy już bardzo blisko. Jest na naszej krót-

kiej liście. Tylko ty musisz nam pomóc go zidentyfikować. Daj nam listę byłych i obecnych żołnierzy z twojego oddziału.

– Kurwa, chyba nie wiecie, o czym mówicie! – prychnął Pasiiecki.

– Kurwa, ty dalej niczego nie rozumiesz – warknął nadkomisarz. – I tak go złapiemy, ale do tego czasu mogą być kolejne ofiary. Jeśli dasz nam te nazwiska, zidentyfikujemy go o wiele szybciej. Tylko na tym nam zależy. Gównu nas interesuje polityka, jej tajne wojny i cały ten pierdolony świat. Interesuje nas tylko złapanie śmiertelnie groźnego drapieżnika ukrywającego się wśród normalnych ludzi.

– Jesteś idealistą, gliniarzu – odpowiedział Pasiiecki z krzywą miną. – A ludzi ze szczytów polityki takie ideały nie interesują. Są nie do zaakceptowania w zderzeniu z interesem całego kraju, regionu, NATO i utrzymaniem kruchej międzynarodowej równowagi. Tych kilka zamordowanych kobiet nic dla nich nie znaczy. Oni grają o dużo większą stawkę, w której chodzi o dobro milionów ludzi. W takim zestawieniu nikt nie zaryzykuje ujawnienia tajemnic państwowych. Musicie poradzić sobie sami.

– Ciebie też to nie interesuje? – rzuciła Karina. – Jesteś takim samym skurwysynem jak oni?

Pułkownik Pasiiecki spochmurniał.

– Licz się ze słowami, koleżanko – odwarknął. – Wiesz, co to jest tajemnica wojskowa albo państwowa? Ślubowałem służyć temu krajowi i dochować tajemnicy. Zwolnić z tajemnicy może mnie tylko mój bezpośredni przełożony. I nie patrz na mnie w ten sposób. Nie jestem pozbawionym uczuć sukinsynem. Ty służysz swojemu krajowi w taki sposób, a ja w inny. Każde z nas składało inne ślubowanie, ale w sumie chodzi o to samo. O nasze wspólne dobro, tylko rozumiane na innych poziomach.

Słuchając jego słów, Karina Buczko zaczęła pstrykać zapalniczką, co nie zwiastowało niczego dobrego.

– I tak zadziałałem bez wiedzy dowództwa. Dużo zaryzykowałem, żeby znaleźć Bestię. Tak jak mówiłem, czuję się odpowiedzialny za jego działania. Ja go wyszkoliłem i puściłem w świat. Czuję się winny za to, co zrobił, chociaż nie powinienem tak się czuć.

Marcina zaczynały męczyć te przepychanki słowne w obecności wisielca drwiąco spoglądającego na nich spod przymkniętych powiek. Sytuacja była absurdalna i groteskowa. Gdyby nie był psem, być może Pasięcki wcisnąłby mu te bajki o wyższym dobru, dla którego władza może poświęcić życie kilkunastu obywateli. Oczywiście nieoficjalnie, bo nikt nigdy głośno by się do tego nie przyznał. Dla niego jednak to były ofiary jednej z najgroźniejszych bestii, jaka pojawiła się w przeciągu ostatnich lat. Bestii, która jak najszybciej powinna zostać wyeliminowana. Zresztą tak naprawdę krąg ofiar był o wiele większy. Nie tylko Madejski, Kania, trzy kobiety w chacie w lesie i te kolejne z piwnicy w starej hali, ale też ich rodziny, przyjaciele i znajomi. Tak jak powiedziała mu w barze Renata, zło wznieca fale, które zataczają coraz większe kręgi. Może kiedyś znikną, ale miał wrażenie, że teraz ciągle są coraz większe i wyrządzają nieodwracalne szkody. Zdławił więc w sobie wściekłość. Musieli teraz wyciągnąć od Pasięckiego jak najwięcej, a nie bawić się w oceny moralne.

– Próbowaleś zlikwidować Bestię – powiedział łagodniejszym głosem. – Nie udało ci się, więc pomóż teraz nam. My go musimy złapać.

Karina przestała strzelać zapalniczką i spojrzała na niego nachmurzona. Ciągle jeszcze była nastawiona konfrontacyjnie.

Pułkownik spojrzał na wisielca. Może i trudno mu było przyznać się do porażki, na szczęście on też był w stanie stłumić w sobie niepotrzebne uczucia.

– Pytajcie.

– Jak on się nazywa? – zapytał Zakrzewski, wskazując głową denata, lecz nie patrząc w tamtą stronę.

– Mariusz Bednarz. Był u mnie plutonowym, rok temu zakończył kontrakt i od tej chwili ślad po nim zaginął. Z trudem go znaleźliśmy, jakby się ukrywał.

– To nie dowód, że jest Bestią – rzuciła oschle Karina.

– Na podstawie przebiegu służby i opinii innych żołnierzy nasz psycholog przeanalizował profile kilkunastu żołnierzy, którzy zakończyli już służbę. Bednarz najbardziej pasował do profilu sprawcy.

Pasiecki zrobił pauzę, policjanci przyglądali mu się chłodno.

– Zrobiliśmy małe śledztwo – kontynuował. – Okazało się, że Bednarz w przeszłości był oskarżony o gwałt, jednak jakimś cudem udało mu się to zachować w tajemnicy przy rekrutacji. Potem jego zachowanie w stosunku do kobiet było dziwne. W gronie kolegów o kobietach wypowiadał się bardzo negatywnie. Raz nawet omal nie doszło do bijatyki, kiedy wyraził swój pogląd, że wszystkie kobiety to brudne dziwki i będą kiedyś smażyć się w piekle. To się chłopakom nie spodobało, ale on tylko się nakręcał. W grę weszły tematy religijne, na których był nieźle zafiksowany. Nie doszło do bijatyki tylko dlatego, że jeden z dowódców wykazał się rozsądkiem i przerwał dyskusję. To między innymi była przyczyna przedwczesnego rozwiązania z nim kontraktu. Był dobrze wyszkolonym żołnierzem, na którym w akcji można było polegać, jednak w życiu był dysfunkcyjny. Z nikim się nie przyjaźnił, był zamknięty w sobie, z rzadka się odzywał, ale jak już się odezwał, to zawsze było coś kontrowersyjnego. Jego obsesją były dziwki i seks. Na początku może było zabawnie, lecz potem zrobiło się nieprzyjemnie.

– Sam mówiłeś, że to elitarna jednostka. Dlaczego nie zareagowałeś wcześniej? – dopytał Zakrzewski.

– Nie bądź naiwny, gliniarzu. Żołnierze wszędzie zachowują się tak samo. Starsi trzymali ze sobą sztamę i niewiele docierało do dowódców średniego szczebla. Dopóki ich problemy nie miały wpływu na ich sprawność bojową, nie było tematu. Tylko że po kilku takich tekstach stracili do Bednarza zaufanie i zgłosili jego dziwne poglądy. Kiedy raport trafił do mnie, decyzja była podjęta niezwłocznie.

– Jak on to przyjął? – zapytała Karina.

– Był rozczarowany, ale wtedy wydawało mi się, że rozumie.

– Przecież on był zaburzony – jęknęła Karina. – Jak znalazł się w elitarniej tajnej jednostce?

– Tak jak mówiliście, potrafił się doskonale maskować i dzięki temu przeszedł testy psychologiczne.

– No dobrze, był popierdolony, ale, jak widać, on też stał się ofiarą. To nie on zabijał – wzruszyła ramionami Karina, wywołując swoim stwierdzeniem irytację wojskowego.

– Skąd teraz o nim tyle wiecie? – zapytał szybko Marcin, żeby zażegnać nadchodzącą nieprzyjemną wymianę zdań.

– Mamy duże możliwości – odpowiedział szybko Pasiiecki. – Dotarliśmy do dokumentów z różnych miejsc, a także rozpytaliśmy o niego byłych i obecnych żołnierzy.

– I tym samym skazaliście go na śmierć – prychnęła Karina i pstryknęła zapalniczką.

– O czym ty mówisz?

– Jeszcze tego nie złapałeś? Wśród osób, z którymi rozmawialiście, jest nasz psychopata. Ten Bednarz musiał coś o nim wiedzieć, więc poczuł się zagrożony i postanowił wdrożyć działania wyprzedzające. No i mu się udało, sądząc z tego, w jakim stanie znaleźliśmy Bednarza.

Pasiiecki po raz kolejny zamilkł na dłuższą chwilę. I znowu udało mu się opanować gniew. Marcin w pewnym sensie podziwiał go za to, jak potrafi zachować spokój po kolejnym kopniaku, który otrzymał od nich podczas tej rozmowy.

– Posłuchaj, pułkowniku. – Karina schowała zapalniczkę do kieszeni. – Na liście byłych lub obecnych żołnierzy masz seryjnego zabójcę kobiet. Możemy go odnaleźć i zapuszkować w ciągu kilku dni. Podaj nam nazwiska.

Znowu wrócili do początku rozmowy.

– Obowiązuje mnie tajemnica służbowa, nie ma takiej opcji – odpowiedział Pasiiecki twardo.

– Co Bednarz miał wspólnego z Madejskim? – zapytał Zakrzewski.

– Opowiadałem ci już o pewnej naszej akcji, w której on i dwaj inni żołnierze kilka godzin siedzieli w jakiejś dziurze na pustyni ostrzeliwani z moździerza?

– J-jasne.

– Madejski wyszedł tego bez szwanku, chociaż ta sytuacja mocno odbiła się na jego psychice.

– Co to ma wspólnego z naszym wisielcem?

– Ten rozerwany pociskiem był jego kolegą.

– Przed chwilą mówiłeś, że Bednarz nie miał kolegów – zauważyła aspirant Buczko.

– Później nie miał – sprostował Pasiński. – Wcześniej kolegował się z tym poległym.

– Jaki kryptonim miała wasza akcja? – zapytała nieoczekiwanie Karina.

– Nexus.

Zakrzewski przeklął pod nosem, znowu wcisnął ręce w kieszenie spodni, odwrócił się do nich tyłem i stanął na progu pokoju z wisielcem. Po chwili Karina stanęła obok niego. Było jej coraz bardziej zimno. Z trudem panowała nad drżeniem rąk.

– Teoretycznie wszystko pasuje – odezwała się cicho – Nasz wisielec mógł być Bestią.

– To dlaczego tu wisi?

Po jego minie widziała, że znowu się zaciął i nie trafią do niego żadne argumenty. Mimo to spróbowała. Zawsze lepiej wypowiedzieć swoje teorie na głos.

– Ktoś znalazł go wcześniej niż pułkownik ze swoimi ludźmi – powiedziała. – Jeśli był Bestią, wielu ludzi mogło na niego polować. Może nawet jakieś państwowe służby, o których nie wiedział Pasiński. On za dużo wiedział, żeby mógł stanąć przed sądem.

– Karina, nic mi w tej historii nie pasuje. Brakuje mi tego cholernego stołka, z którego mógłby skoczyć. Zastanów się. Gdyby dopadł go prawdziwy zabójca, dlaczego nie zostawił tego krzesła? Przecież cała jego wina spadłaby na Bednarza i nikt by go już nie ścigał. Wymarzona sytuacja. Morderstwo doskonałe. Dlaczego nie skorzystał z okazji?

– Nie pomyślał o tym?

– To nie to – pokręcił głową. – To jest bardzo inteligentny seryjniak, nie przepuściłby takiej okazji.

– Jeszcze nie skończył zabijać – podsunęła.

– Jeśli Bednarz był Bestią, sprawa ma się podobnie. Dlaczego nie zasugerował nam samobójstwa? Wojsko chciało, żebyśmy grzebali w jego życiu i odkryli, że był w jednostce specjalnej? Tylko po co?

Karina odwróciła się do Pasickiego i, wskazując głową na drzwi, za którymi zniknęli kilka minut temu jego ludzie, zapytała:

– Jesteś ich pewien?

– Na sto procent.

– Szczęśliwy człowiek z ciebie, skoro tak ufasz innym. – Odwróciła się do Marcina. – Co robimy dalej?

– Dzwonź po techników. Może tu jednak coś znajdą.

– A skąd my się tu wzięliśmy?

– Anonimowe zgłoszenie. – Marcin wzruszył ramionami. – Łapicki wie, prokuratorowi Grabskiemu powiem, żeby się tym za mocno nie interesował. Nie było was tu, pułkowniku, prawda?

Pułkownik Pasicki pokiwał tylko głową i wyszedł z pokoju bez pożegnania, starannie zamykając za sobą drzwi. Karina Buczko jeszcze raz dokładnie przyjrzała się wiszącemu mężczyźnie. Tym razem nie mogła już powstrzymać drżenia. Była przemoknięta, zmarznięta i marzyła tylko o ciepłym łóżku. W ciągu najbliższych godzin nie zapowiadało się jednak na takie luksusy.

Myśli Marcina krążyły po innych orbitach. Zastanawiał się, ile będzie jeszcze ofiar, zanim rozchodzące się wokoło fale zła wreszcie znikną.

23.

Starszy aspirant Gotard Szawczak wysypał na szklany blat stolika trochę białego proszku, brzegiem karty kredytowej uformował z niego prostą linię, a potem za pomocą lufki do papierosów sprawnie wciągnął całość do płuc. Poczul pieczenie w gardle, które zaraz zniknęło. Resztkę kokainy wytarł palcem i wtarł ją sobie w dziąsła. To był naprawdę dobry towar, wart swojej ceny. Czuł przyjemną falę spokoju rozlewającą się po całym ciele, mózg natychmiast wskoczył na wyższe obroty. To najbardziej lubił. Kiedy myśli nagle stawały się doskonale precyzyjne, kiedy zaczynał dostrzegać powiązania, których wcześniej nie był w stanie dostrzec, gdy wpadał w stan hiperwydajności logicznej i nie było dla niego spraw nie do rozwiązania.

– Nie boisz się? – zapytał siedzący naprzeciw niego szpakowaty mężczyzna w ciemnym garniturze. Wszyscy mówili do niego „Szefie”, więc on też tak się do niego zwracał.

– Czego? – spojrzał na niego, udając, że nie rozumie.

Tak naprawdę doskonale rozumiał. Umysł pracował na najwyższych obrotach. Był w stanie przewidzieć pytania Szefa, zanim tamten zdążył je wypowiedzieć na głos.

– Że wpadniesz. Przecież twoi koledzy mają dobrze rozpracowane środowisko dilerów.

– Dlatego nie kupuję u leszczy, tylko u ciebie – odpowiedział, starając się poukładać w głowie różne myśli, które nagle eksplodowały niczym światełko do nieba w trakcie Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

– Ale kupujesz dużo, więc pewnie sam sprzedajesz. Gliniarze znowu leczą stresi kokainą? Myślałem, że przerzucili się na wódkę.

– Ja nie pytam, skąd kupujesz towar, więc nie chciałbym, żebyś pytał, komu ja sprzedaję – rzucił Szawczak, uśmiechając się przy tym niezbyt przyjemnie.

– Pewnie, pewnie. – Szef podniósł otwarte dłonie w uspokajającym geście. – Tak tylko zapytałem. Chwilowy przebłysk ciekawości. Już mi przeszło.

Szawczak bez słowa wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów i pchnął po blacie stolika. Szpakowaty sprawnie je złapał i, nie licząc, schował do stojącej obok krzesła skórzanej torby. Co prawda w tym niebezpiecznym biznesie nie wolno było nikomu ufać, jednak obaj byli ze sobą tak mocno związani, że nie mieli wyjścia. Czasem informacje wiążą ze sobą bardziej niż więzy rodzinne. Tak było w tym przypadku. Byli w klinczu. Każdy wiedział o drugim wystarczająco dużo, żeby porządnie mu zaszkodzić. Dlatego w stanie idealnej równowagi pojawiło się zaufanie.

Wymienili jeszcze kilka nic nieznaczących uwag, Szawczak wsunął paczuszkę z białym proszkiem do kieszeni marynarki i włożył kurtkę. W klubie pokręcił się jeszcze chwilę wśród gości, sprawdzając się. Na razie nie zauważył, żeby ktoś za nim chodził, ale licho nie śpi. Nie byłby zdziwiony, gdyby po awanturze z Zakrzewskim i jego zdjęciem z Madejskim wewnętrzni dali mu ogon. Wciąż mogli go podejrzewać, chociaż cała ta afera była tylko cholernym zbiegiem okoliczności. Życie czasem lubi płać takie złośliwe figle, które później rozrastają się do monstrualnych problemów. Nie udało mu się ukryć tych zdjęć. Ten cholerny Zakrzewski jak zwykle był zbyt dociekliwy i drażył, aż znalazł. Zresztą Szawczak znał go na tyle, żeby podejrzewać, że nie wykręci się z tego. Dlatego postanowił przeprowadzić działania wyprzedzające. Przynajmniej narobił Zakrzewskiemu kłopotów. Może ktoś nareszcie spojrzy na niego trochę inaczej. Nie jak na bardzo dobrego śledczego, a jak na gościa, który od lat jedzie na farcie. Był dobry, bo zawsze miał bardzo dobrych współpracowników. Solidnych gliniarzy, którzy znali się na swojej robocie, odwalali za niego najgorszą pracę. Podsuwali pomysły, a on na końcu tak potrafił zamieszać, że większość zasług spływała na niego. Cholerny szczęściarz, pieprzony dupek.

Postanowił, że więcej Zakrzewskiemu już się nie uda. Nie z nim, nowym Szawczakiem. Tylko że najpierw ma jeszcze jedną ważną sprawę do załatwienia. Zemsta jest rzeczą świętą i dłużej nie może czekać. Teraz jest najodpowiedniejsza chwila.

Wyszedł z klubu na ulicę i trafił w objęcia bardzo zimnej nocy. Poszedł wolno, nie rozglądając się, i zaraz trafił na Rynek. Ograniczenia liczby gości związane z pandemią mocno zniechęciły ludzi do wążsania się po centrum Wrocławia, ale i tak mimo chłodu było ich całkiem sporo. Dobrze, że to gówniane zamieszanie związane z wirusem już się kończy i świat wraca do innej rzeczywistości. Na pewno już nie tej sprzed zarazy, ale może jeszcze bardziej gorzkiej. W cholernych lockdownach stanęła nawet sprzedaż kokainy. Można było kupić inne świństwo w postaci tabletek i zioła do palenia, ale jego to nie interesowało. Na szczęście miał zawsze zapas dobrego towaru, więc jakoś to przeżył. Wreszcie, niedawno, kanały dystrybucyjne się odbudowały i na rynek znowu trafił dobry towar.

Kluczył kilkanaście minut po Rynku i okolicach, ciągle się sprawdzając. Wreszcie, kiedy na sto procent upewnił się, że nie ma ogona, nawiedziła go ciekawa myśl. A co teraz robi Zakrzewski?

Odnalazł auto zaparkowane w jednej z bocznych uliczek. Czekał już przy nim szczupły mężczyzna ubrany w elegancki płaszcz zarzucony na drogą marynarkę. Porozmawiali chwilę, przekazując sobie ważne informacje, po czym mężczyzna odszedł, a Szawczak wsiadł do samochodu i pojechał w stronę Oporowa.

Nie wciągał kokainy dla przyjemności. Kiedy w szpitalu we Frankfurcie, dokąd zabrała go siostra, dochodził do siebie po ciężkim postrzale w głowę, znikąd pojawiły się bóle fantomowe. W życiu czegoś takiego nie czuł. Wydawało mu się, że jego czaszka znalazła się w prasie hydraulicznej, której gładkie powierzchnie coraz mocniej napierają, aby ją rozgnieść na miazgę. Najpierw były mdłości spowodowane bólem, potem za każdym razem rzygał godzinami, aż do utraty przytomności. Innym razem w jego skronie równocześnie z obu stron waliły młoty kowalskie. Przy każdym uderzeniu

głowa rozpadała się na milion kawałków i tak w kółko, tysiące razy. Nie do zniesienia, nie do wytrzymania, nie do życia.

Badali go najlepsi neurologowie w Niemczech i nie potrafili odpowiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Być może była to pozostałość po uszkodzeniu mózgu przez pocisk, który strzaskał mu czaszkę po rykoszecie. Żadne środki przeciwbólowe nie skutkowały. Lekarze zastanawiali się, czy nie wszczepić mu do mózgu czegoś, co neutralizowałoby bóle, ale wcześniej zaproponowali mu medyczną marihuanę. Ulga była niewielka, lecz podsunęła Szawczakowi lepszy pomysł. Kokaina.

Spróbował i to był strzał w dziesiątkę. Bóle ustępowały, a mózg wchodził w wyższy stan świadomości, co znacznie podnosiło komfort jego normalnego funkcjonowania. Był w stanie normalnie żyć i planować powrót do policji.

Załąpał się do komendy w Zielonej Górze, gdzie spędził całe dwa lata, zanim zdecydował się wystąpić o przeniesienie z powrotem do Wrocławia. No i trafił na najgorszy moment. Sprawa Madejskiego i został udupiony. Ale nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre. On sobie zawsze poradzi. Przecież chodzi mu o zemstę. Nie tylko na Zakrzewskim. On jest dopiero na drugim miejscu jego krótkiej listy. Tego pierwszego nazywali Satyr.

Cichocki był zbyt doświadczonym policyjnym wywiadowcą, żeby taki leszcz jak Gotard Szawczak mógł go wypatrzyć. Przyszedł za nim do klubu, potem obserwował, jak Parol znika na zapleczu na długie kilkanaście minut. Wiedział, co tam robi. Wiedział już o nim całkiem sporo, jak na kilka dni obserwacji. Bo Szawczak był beczelnie pewny siebie. Cichocki miał różnych klientów pod obserwacją. Zazwyczaj każdy z nich starał się zachowywać środki ostrożności, kiedy kupował narkotyki od dilerów w klubach czy na ulicy. Tylko Szawczak robił to prawie na beczelnego, jakby prosił się o wpadkę. Przecież policja swoje wie i obserwuje cały czas rynek i dilerów, żeby dotrzeć do grubych ryb w tym interesie.

Wyciągnął telefon i wcisnął się w najdalszy kąt, żeby być jak najdalej od dudniącej muzyki. Wybrał właściwy numer.

– Cichy, ty nie masz za grosz sumienia – jęknął głos po drugiej stronie. – Wiesz, która jest godzina?

– Powtarzasz się, Parkitny. – Musiał mówić głośniej, żeby kolega z wydziału narkotyków go usłyszał przez łomot tej piekielnej muzy. – Wywahałem coś. Jak mi sprawdzisz jednego człowieka, może dostaniesz coś fajnego w zamian.

Komisarz Parkitny jęknął jeszcze raz, ale Cichy wiedział, że już jest na nogach, gotowy do działania.

Cichy opowiedział mu o dilerach w klubie Paradise, którzy prawdopodobnie mają błogosławieństwo właściciela lokalu. Komisarz od narkotyków zainteresował się tematem i po krótkiej wymianie zdań rozłączyli się.

Potem jechał za Szawczakiem w kierunku Oporowa, myśląc intensywnie. Znał tego gościa, któremu Parol przekazał paczkę z białym proszkiem na parkingu przy swoim aucie. Tylko na razie nie mógł sobie przypomnieć, skąd go znał. Był jednak spokojny. Miał dobrą pamięć do twarzy, trzeba było tylko dopasować imię i nazwisko do oblicza. Wszystko w swoim czasie.

Cichocki zaczął się denerwować, kiedy zorientował się, dokąd jedzie Szawczak. Co, do cholery, łązi mu po tym zaćpanym mózgu? Odruchowo sprawdził, czy pistolet jest na miejscu. Oczywiście, że był, taki głupi odruch. Nie mógł zgubić broni w dobrze przypiętej kaburze pod pachą. Może dlatego, że nienawidził ćpunów? Pod wpływem narkotyków byli nieobliczalni. Przekonał się o tym na własnej skórze. Jeszcze trochę, a nie byłoby go w tym miejscu, jego córka i żona pewnie też spoczywałyby na cmentarzu. To było jak z koszmaru. Dwóch zaćpanych meneli zaskoczyło ich we własnym mieszkaniu. Mieli pistolet i maczetę, po której Cichocki miał teraz długą bliznę na prawej łopatce i plecach. Żeby nie Zakrzewski, pewnie nie przeżyliby tego napadu. Dlatego teraz jest dożywotnim dłużnikiem nadkomisarza.

Aspirant Gotard „Parol” Szawczak stał w rogu parkingu, oparty o rozłożyste dąb i obserwował dom, w którym mieszkał Zakrzewski. Przyjechał tu

bez specjalnego celu, chciał tylko poczuć ten specyficzny klimat nadchodzącej zemsty. Czym innym było planować, a czym innym być w miejscu, gdzie mieszkała znienawidzona osoba. Można było poczuć atmosferę, zaciągnąć się zapachem. Mózg wspomagany kokainą pracował na wysokich obrotach, myśli były jasne i precyzyjne. Napawał się doskonałym planem, który stworzył, żeby wreszcie to wszystko efektownie zakończyć. Raz na zawsze.

Nagle drgnął. Było bardzo późno, więc nie spodziewał się, że uda mu się spotkać Zakrzewskiego. To był nieoczekiwany bonus od losu. Znak, że nic nie jest w stanie powstrzymać go od działania, które zakończy się tylko w jeden możliwy sposób – sukcesem.

W pierwszej chwili nie poznał wysokiego mężczyzny towarzyszącego ciemnowłosej kobiecie z psem na smyczy. Kiedy dotarło do niego, że patrzy na Zakrzewskiego i jego kobietę, serce załomotało mu w piersi. Może to jest właśnie zesłana przez los doskonała okazja na wyrównanie rachunków? Nie było już żadnych świateł w oknach domu, żadnych ludzi na parkingu, nikt nie szedł chodnikiem za wysokim parkanem, nawet auta jeździły rzadziej. Skończy to tu i teraz. Każdy genialny plan musi być prosty. Zbyt dużo szczegółów to zakłócenia i kłopoty.

Sięgnął ręką za pazuchę, gdzie za paskiem spodni miał zdobytą nielegalnie broń. Była w policyjnych kartotekach, strzelano z niej podczas kilku napadów, od kuli zginął człowiek. Broń trafiła do policyjnego archiwum, skąd przed laty w dziwny sposób zniknęła wraz z dowodami w tamtej sprawie. Nigdy nie wyjaśniono, jak to się stało. Kupił ją od handlarza z Czech właśnie z powodu jej historii. Broń z przeszłością zawsze sprawia śledczym większy problem niż czysta. Nigdy nie ma pewności, czy ta przeszłość nie ma wpływu na teraźniejszość.

Zważył pistolet w dłoni. Smith&Wesson kaliber 9 mm. Dobra broń, celna i skuteczna. Jednak nie wycelował. Zawahał się. Nie, to chyba nie był dobry pomysł. Nie może dać się ponieść emocjom. Cierpliwość jest cechą bogów. Zemsta wyczekana smakuje lepiej i daje o wiele większą satysfakcję.

Schował broń. Patrzył, jak Zakrzewski z kobietą i psem znikają w bramie. Odczekał jeszcze kilka minut, poczekał, aż światło w kuchni na ostatnim piętrze zgaśnie, i odszedł do swojego auta zaparkowanego kilka ulic dalej.

Cichocki z ulgą wypuścił powietrze. Widząc, że Szawczak odchodzi, wolno schował pistolet do kabury. Było blisko. Był pewien, że nie zawahałby się strzelić bez ostrzeżenia, gdyby Parol wycelował w Marcina i Renatę. Z trudem opanował przyspieszony oddech i poszedł za oddalającym się Szawczakiem. Robiło się nieprzyjemnie. Zakrzewski nie może chodzić niczego nieświadomy. Musi z nim porozmawiać.

CZĘŚĆ TRZECIA

ZABÓJCA

24.

Ostatnie dni to był amok. Do poszukiwania zabójcy kobiet skierowane zostały wszystkie siły, jakimi w tym momencie dysponowała policja. W miasto ruszyli śledczy z poszczególnych komisariatów, rozpytując o ofiary.

Już pierwszego dnia po identyfikacji zwłok przez rodzinę i najbliższych znajomych mieli wszystkie nazwiska. Na biurka policjantów trafiały akta z postępowania przeprowadzonego po zgłoszeniu zaginięcia, dzielnicowi z wolna docierali do coraz szerszego kręgu znajomych ofiar, rozpytując o ostatni okres w ich życiu. Raporty spływały na biurko nadkomisarza Góry, który robił wstępną weryfikację. Bardziej interesujące tropy konsultował z Zakrzewskim i zlecał dalsze działania.

Sprawdzali wszystko: sytuację rodzinną, znajomych, odtwarzano, co robiły ofiary na kilkanaście dni przed zaginięciem, sprawdzano bilingi z ich telefonów, określano, gdzie się logowały w sieci, analizowano paragony ze sklepów, policjanci odwiedzali każde miejsce, w którym płatności następowały kartą płatniczą, zabezpieczali nagrania z monitoringu. Działania były prowadzone bardzo szeroko i z godziny na godzinę spływało coraz więcej danych. W ich analizowanie trzeba było włączyć coraz więcej osób, a i tak istniało niebezpieczeństwo, że coś w tej masie im umknie.

Statystycznie rzecz biorąc, przy takich sprawach bardzo często decydował przypadek. Niejednokrotnie zabójca wzbudzał zainteresowanie policji, ale z jakiejś przyczyny zostawał odrzucany we wstępnej fazie śledztwa. Trzeba było dopiero drugiej albo i trzeciej analizy zebranych materiałów, żeby do niego wrócić. Bywało, że jego nazwisko pojawiała się z nieoczekiwanej strony i dopiero wtedy elementy układanki zaczynały ze sobą współgrać.

Zakrzewski znał tę teorię i uważał ją za słuszną. W prowadzonych przez niego śledztwach w sprawie zabójstw też występowały przypadki, że na-

zwisko mordercy pojawiało się już w pierwszych raportach z przesłuchań, dlatego teraz czytał je szczególnie uważnie.

Tyle że teraz było trochę inaczej. Nie wiedział jeszcze, czy ten fakt będzie pomocny, czy nie. Kobiety nie były ze sobą powiązane, więc gdyby w kontekście co najmniej dwóch z nich pojawiło się to samo nazwisko, to mogłoby znaczyć tylko jedno – że z dużym prawdopodobieństwem wytypowali sprawcę. W przeciwnym przypadku śledztwo będzie coraz bardziej się komplikowało.

Próbował nawiązać kontakt z pułkownikiem PasiECKim, lecz odbił się od komunikatu operatora o niedostępności abonenta. Zdenerwowany zaprzestał w końcu dalszych prób. Nie potrafił nic poradzić na to, że przysięgi, jakie składali w związku ze swoim zawodem, znaczą teraz coś innego dla nadkomisarza i pułkownika. Taki cholerny zgniły świat, który chyba nadaje się już tylko do tego, żeby litościwy Pan Bóg nacisnął w końcu przycisk z napisem „Reset”. Oczywiście gdyby tylko to było takie proste.

Sami sprawdzili powieszzonego w Tyńcu byłego żołnierza oddziału dowodzonego przez pułkownika. Facet był dziwakiem i odludkiem, co zdaniem policyjnego psychologa mogło być następstwem przeżytych w wojsku traum. Bardzo dobrze pasował do profilu potencjalnego sprawcy, ale nie było na niego żadnych dowodów. Sekcja wykazała, że chwilę przed śmiercią użył dużej ilości kokainy. Lekarz wyraził nawet przypuszczenie, że był nieprzytomny, w chwili gdy zabójca ciągnął go na stryczku. Technicy ujawnili obecność osoby trzeciej w domu Bednarza, lecz zebrane ślady nie przyniosły przełomu. Podobnie jak kilka ostatnich tygodni życia żołnierza. Znowu, podobnie jak w przypadku Madejskiego, nie dało się ustalić, gdzie służył. Ślad urywał się w małej jednostce wojskowej na Pomorzu, w której wszystkie zapytania z zewnątrz tonęły w odmętach tajemnicy wojskowej, niczym Titanic w Pacyfiku.

O wiele szybciej niż zwykle Zakrzewskiego dopadło zniechęcenie. Instynktownie czuł, że zmierzają w niewłaściwą stronę, ale takie były procedury. Musieli metodycznie sprawdzić każdy trop, aby go ostatecznie odrzucić lub przyjąć za prawdopodobny i działać dalej. Na razie tylko odrzu-

cali. Karina myślała podobnie jak Marcin, bo już po porannej kawie wyraziła swoje wątpliwości, czy po tej gruntownej selekcji coś im zostanie w rękach, czy będą musieli zaczynać od nowa. Dlatego Zakrzewski ucieszył się, kiedy dyżurny poinformował go, że zgłosiła się koleżanka jednej z zamordowanych. Takie strzały potrafiły czasem ruszyć wszystko do przodu, o wiele dalej niż codzienna żmudna dłubanina.

Niedługo potem w ich pokoju siedziała lekko przestraszona dziewczyna. W miarę jak omiatała wzrokiem pomieszczenie, jej przerażenie widocznie narastało. Marcin miał tylko nadzieję, że nie ma klaustrofobii i nie dostanie nagle ataku. Warunki pracy śledczych pozostawiały dużo do życzenia i znacznie odbiegały od standardów pokazywanych w popularnych serialach. Czasem żartowali, że powierzchnia pokoju przypadająca na jednego policjanta była znacznie mniejsza od tej zapisanej w Ustawie o Służbie Więziennej. Coś w tym niestety było.

– Jak się pani nazywa? – odezwała się jako pierwsza Karina, posyłając kobiecie ciepły uśmiech.

Marcin był jej za to wdzięczny. On mógłby zacząć tę rozmowę o wiele mniej fortunnie, a od tego wiele zależało. Widząc ostrzegawcze spojrzenia koleżanki, natychmiast sięgnął do mocno wyczerpanych pokładów własnej cierpliwości. Teraz się przydadzą.

– Justyna Więckowska – zaczęła cicho kobieta, ale rozkręcała się z każdym słowem. – Mam dwadzieścia sześć lat, mieszkam we Wrocławiu na Pełczyńskiej i jestem... – zawahała się. – Byłam przyjaciółką Moniki Jadwisiak, która zaginęła w październiku, a teraz...

Głos jej się na chwilę załamał, musiała przetrzeć chusteczką nos i oczy. Marcin dopiero teraz zauważył, że ma zaczerwienione oczy, jakby długo płakała. Wyszukał jej nazwisko w policyjnej bazie danych i natychmiast wyświetlił mu się raport z rozpytania przez jednego z dzielnicowych, gdzie padło jej nazwisko.

– Przykro nam – powiedziała Karina. – Szukamy zabójcy. Każda informacja może być dla nas na wagę złota.

– No właśnie, dlatego postanowiłam przyjść.

– Rozmawiała pani z policjantem – stwierdził raczej, niż zapytał Marcin.
– Czy chce pani coś dodać?

– Tak. – Pokiwała gorliwie głową.

Równocześnie skrzyżowała ręce na piersiach, zamykając poły długiego, brązowego płaszcza. Założyła nogę na nogę, prezentując obcisłe dzinsy i eleganckie skórzane kozaki na dość wysokim obcasie. „Postawa zamknięta” – pomyślał Marcin. „Albo nie powie całej prawdy, albo nas okłamie. W takim razie, po co tu przychodziła?”

Zanim jednak Więckowska się odezwała, zmieniła pozycję. Odchyliła się na krześle, opuszczając ramiona wzdłuż ciała. A więc tylko była zdenerwowana.

– Monika kogoś miała – oświadczyła nagle.

Pewnie dużo kosztowało ją to wyznanie, ponieważ nie użyła większej liczby słów, poza absolutnym minimum potrzebnym do zrozumienia wypowiedzi.

– Ma pani na myśli mężczyznę? – doprecyzowała Karina.

– Tak. – Ciągle jeszcze trudno było jej powiedzieć coś więcej.

– Monika Jadwisiak była w stałym związku? – zapytała policjantka, ale dla pewności rzuciła jeszcze okiem na monitor komputera.

– Tak, miała chłopaka, Krystiana. Przyjaźniłam się z nią i nie zauważyłam, żeby coś między nimi było nie tak. Jednak, tak jak wspominałam, na początku października coś się z nią stało. Była rozkojarzona i jakby nieobecna. Po moich usilnych pytaniach wreszcie zdradziła, że kogoś poznała. Zapytałam, co z Krystianem, ale ona powiedziała tylko, że to nie jest tak, jak myśle. Z Krystianem wszystko OK, a ta nowa znajomość to tylko przyjaźń.

Justyna Więckowska popatrzyła najpierw na Karinę, potem na Marcina, jakby szukała w ich twarzach potępienia dla postępowania przyjaciółki. Nic takiego nie znalazła.

– Czy Monika powiedziała pani coś więcej o tym przyjacielu? – zapytał Zakrzewski.

– Ona mi go pokazała.

Policjanci wymienili szybkie spojrzenia. To już było naprawdę coś.

– Proszę nam o tym opowiedzieć.

Więckowska opowiedziała, jak umówiła się kiedyś z Moniką na skraju parkingu przed jednym z supermarketów na Bielanach Wrocławskich. Siedziała w samochodzie i obiecała nie wychodzić. Widziała, jak do niebieskiego volkswagena poło przyjaciółki, zaparkowanego trzy auta dalej, podchodzi wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, wita się z Moniką, zamieniają jeszcze kilka zdań, śmiejąc się, po czym wsiadają do jej auta i odjeżdżają.

– Byłam trochę zaskoczona, bo on... – zawahała się na moment. – No, był przystojny, ale był od Moniki starszy. Dużo starszy i to było widać.

– Dobrze go pani widziała? – upewniła się Karina.

– Tak, byli zupełnie blisko, miałam dobry widok – zapewniła szybko Justyna.

Zakrzewski nachylił się do niej nad biurkiem z poważną miną.

– Proszę mnie posłuchać, pani Justyno – powiedział. – To jest bardzo ważne. Czy byłaby pani w stanie sporządzić wraz z naszym grafikiem portret pamięciowy tego mężczyzny?

– No nie wiem... – Pokręciła głową. – Ja go dobrze pamiętam, ale nie wiem, czy będę umiała...

Marcin przerwał jej gestem dłoni.

– Proszę się tym nie stresować – uspokoił ją. – Nasz grafik doskonale sobie poradzi. Taki portret bardzo by nam pomógł.

– Dobrze – zgodziła się szybko.

– Czy Monika wspominała, jak on ma na imię? – pytała dalej Karina.

– Być może, ale byłam wtedy w takim szoku, jak go zobaczyłam, że zapomniałam o wszystkim, co mi o nim opowiadała.

– A co opowiadała?

– W sumie to niewiele... To nawet było dziwne. Mówiła, że jest inteligentny, wygadany, dowcipny.

– Co ją w nim zafascynowało? – drążyła policjantka.

– No właśnie nie wiem. – Justyna pokręciła bezradnie głową. – Był przystojny, ale był za stary. Wyglądał na czterdzieści lat albo i więcej.

– Wspominała, że był żołnierzem?

– Nie. – W oczach Więckowskiej błysnęło zaskoczenie.

– To zanim pani pójdzie do grafika, proszę nam wszystko opowiedzieć jeszcze raz.

Ostatecznie Justyna Więckowska, nowy świadek w sprawie, spędziła z nimi jeszcze prawie półtorej godziny. Opowiadała wszystko ze szczegółami jeszcze dwa razy, odpowiadała na masę naprowadzających pytań, przypominała sobie szczegóły, potrafiła nawet powiedzieć, w co był ubrany ten tajemniczy mężczyzna, jednak nie przypominała sobie innych istotnych szczegółów. Wreszcie dostała kawę od Kariny i z kubkiem w dłoni poszła do policyjnego grafika, który już na nią czekał.

Odprowadzała ją Karina, Marcin przez ten czas przeglądał zeznania dotyczące innych zamordowanych kobiet, jednak nie było tam mowy o nieznanym. Za to Marta Mickiewicz, do której zatelefonował, przypominała sobie, że na jednym z nagrań z monitoringu z Żabki na Świdnickiej widziała wysokiego, dobrze zbudowanego bruneta. Kamery zarejestrowały inną ofiarę zabójcy, Katarzynę Majcher, zaginioną w listopadzie. Na tydzień przed zaginięciem wraz z koleżankami próbowały w Żabce kupić alkohol po godzinie dwudziestej drugiej. Nie wiedziały, że w obrębie wrocławskiego Rynku oraz w pasie aż do fosy miejskiej jest zakaz sprzedaży alkoholu po tej godzinie. Sprzedawca wysłał je do Żabki naprzeciw domu towarowego Renoma. Zapamiętał dziewczyny, ponieważ były wyjątkowo rozbawione. Marta chwilę później podała mu to nagranie.

Przez kilka następnych minut Zakrzewski uporczywie wpatrywał się w niezłej jakości obraz ze sklepu. Dziewczyny wychodziły, a zaraz za nimi do sprzedawcy podchodził wysoki facet. Kupował puszkę napoju energetycznego. Zapłacił gotówką i wyszedł. Był jeszcze trzysekundowy zapis

z kamery na zewnątrz, która uchwyciła, jak oddała się w kierunku Podwa-
ła.

Marcin zaklął pod nosem. Na żadnym z nagrań nie było widać jego twa-
rzy, skutecznie zasłaniały ją ciemne okulary i opuszczony daszek czapki.
Marcin poczuł przyjemne podniecenie. Uwielbiał takie momenty. Wraz
z nowymi śladami pojawiały się nowe możliwości dla śledczych.

Omówił je szybko z nadkomisarzem Górą, którego zaprosił do siebie na
krótką rozmowę. Ten stary pies gończy od razu poczuł wyraźny trop. Pew-
nie teraz jeżyły mu się włosy na karku i też czuł to przyjemne uczucie
w środku głowy. Góra też był psem z krwi i kości.

Uzgodnili, że dzielnicowi jeszcze raz odwiedzą rodziny i znajomych za-
mordowanych kobiet i zapytają o mężczyznę. Portret pamięciowy i kilka
zdjęć sylwetki z monitoringu mogły spowodować u świadków nagłe olśnie-
nia. Łatwiej jest sobie coś przypomnieć na podstawie obrazu, niż polegać
jedynie na wspomnieniach. Mieli też zajrzeć jeszcze raz do wszystkich
sklepów po drodze i spróbować dotrzeć do innych kamer, w tym jeszcze
raz do monitoringu miejskiego. Może coś przeoczyli. Technicy ponownie
przeglądali filmy, które już mieli.

Dwie godziny później, kiedy zadania były już rozdzielone, siedząc we
trójkę i popijając świeżo zaparzoną kawę, pozwolili sobie na małe odpręże-
nie.

– Myślicie, że to on? – zapytała aspirant Buczko.

Marcin był ostrożny.

– Jeśli zobaczymy go jeszcze na jednym nagraniu, być może odpowiem
ci twierdząco.

– Cały Zakrzewski! – zachnęła się. – A gdzie twój policyjny nos?

– Ma się dobrze – odgryzł się.

Nadkomisarz Góra wpatrywał się w świeżo wydrukowany portret pami-
ęciowy sporządzony przez technika. Patrzył na niego mężczyzna w śred-
nim wieku z czarnymi, dość krótko ściętymi włosami i brązowymi oczami.
Miał mocno zarysowany podbródek i kilkudniowy zarost.

– Z twarzy podobny zupełnie do nikogo – zacytował kwestię z Misia Ba-rei i wzruszył ramionami. – Ale myślę, że go mamy. Teraz tylko trzeba wykonać jeszcze jeden mały krok do przodu. Ustalić, kto to jest.

– To nie jest mały krok, Norbert – zaprotestował Marcin.

Góra jednak niespodziewanie był bardzo pewny siebie.

– Myślę, że już nam się nie wywinie.

Zakrzewski zrobił zdjęcia portretu, wysłał go jako MMS-a na numer pułkownika Pasickiego z pytaniem: „Znasz go?”. Po chwili przyszła informacja, że wiadomość nie została dostarczona. Trudno.

Dopili kawę i ustalili zadania dla siebie. Zakrzewski z Kariną mieli zająć się znajomymi Madejskiego i Kani, Góra zdecydował, że jeszcze raz po-grzebie w życiorysie Bednarza. Marcin nawet się z tego ucieszył. Jego poli-cyjny nos, o którym wspomniała Karina, podpowiadał mu, że akurat tam Norbert nic nie znajdzie. Większą szansę na odnalezienie twarzy z portre-tu pamięciowego mieli pośród znajomych i przyjaciół Madejskiego. Było sporo zdjęć do przejrzenia.

Kiedy szedł za Kariną do auta zaparkowanego na policyjnym parkingu, przez głowę przemknęła mu niezwykle optymistyczna myśl, że może na-prawdę są już bardzo blisko Bestii. Przecież na fotografiach Madejskiego i Kani znalazł już jednego znajomego. Może ten drugi też tam jest.

25.

Mieszkanie było pogrążone w ciemnościach.

Cichocki siedział na sofie w salonie i czekał. Miał nadzieję, że właściciel mieszkania wkrótce wróci. Z tego co zdążył się zorientować, dla sąsiadów był spokojnym, miłym młodym człowiekiem, który zawsze się uśmiechał i kłaniał wszystkim starszym paniom w windzie. Tyle wystarczyło, żeby zapracować sobie na opinię chodzącego ideału. A ideałem na pewno nie był. Sąsiedzi pewnie nigdy by nie uwierzyli, gdyby się dowiedzieli, że ten uprzejmy młody człowiek jest jednym z najlepszych w kraju hakerów, ma na koncie niezliczoną liczbę włamań do banków, prywatnych firm i instytucji państwowych, odsiedział już za to dwa lata w więzieniu i ciągle ryzykuje złamaniem warunków przedterminowego zwolnienia z konsekwencją kolejnych trzech lat bezwzględnej odsiadki. Jak na jego wiek niezły wynik.

Cichy wiedział, że w końcu przypomni sobie, skąd zna człowieka, któremu Szawczak przekazał paczkę z kokainą na parkingu w centrum. Musiał tylko trochę pomyśleć i wreszcie wymyślił. Policjoni wywiadowcy monitorujący pewne kręgi półświatka wiedzieli, kim był Mirek Borek, bardziej znany pod pseudonimem Mrok.

Wykorzystując swoje kontakty, szybko namierzył to mieszkanie w kamienicy na Powstańców Śląskich. Nie miał problemów z dostaniem się do środka. Drzwi co prawda były solidne, z ciężkiego drewna i wcale by się nie zdziwił, gdyby były jeszcze ponemieckie. Zamki też wyglądały na solidne, ale nie aż takie jak drzwi. Wystarczyło mądrze przy nich pogrzebać i stały otworem.

Najpierw się rozejrzył. Salon urządzony w dawnym stylu nie zdradzał, kto tu mieszka. Stary telewizor stał na jeszcze starszej szafce, obok odtwarzacz płyt CD i dwie kolumny, szafa, sofa i stół na środku. No i jeszcze półka z książkami, głównie z dziedziny informatyki, w kilku językach. Jeśli

Mrok rzeczywiście je przeczytał, to Cichy w kilka sekund nabrał do niego wielkiego szacunku. Facet był naprawdę zdolny.

Kuchnia też nie zrobiła na Cichym wielkiego wrażenia, chociaż panował w niej wyjątkowy, chorobliwy wręcz, porządek. Jak w szpitalu na sali operacyjnej, ani drobinki kurzu, kropelki tłuszczu, nawet sztućce w szufladzie wyglądały jak narzędzia przygotowane dla chirurga.

W podobnie wysprzątej łazience Cichy znalazł paczkę kokainy od Szawczaka. Za mocno się nie wysilił. Można nawet powiedzieć, że skrytka była klasyczna. Opakowane w nieprzemakalny plastikowy worek narkotyki znajdowały się w spłuczce. Wystarczyło tylko zdjąć pokrywę, która nawet nie była odpowiednio zabezpieczona. Marna kryjówka, jak na możliwości takiego geniusza.

Największą niespodziankę stanowiła jednak sypialnia. Wiatraki czterech wielkich komputerów spiętych ze sobą płataniną kabli i urządzeniami, o których przeznaczeniu Cichy miał mglistą lub żadną wiedzę, szumiały jednostajnie. Na dużym biurku przy ścianie przeciwległej do tej z łóżkiem stały dwa laptopy, wyglądające, jakby zostały skradzione z bazy NASA, i trzy wielkie monitory z profilowanymi ekranami. Krzesło też wyglądało jak te dla pilotów w myśliwcach F-16. Cały ten zestaw robił duże wrażenie. Cichy nie zdziwiłby się, gdyby Borek miał tu kopalnię kryptowalut. Ciekawe, jakie płacił rachunki za prąd? A może nadwyżkę regulowali za niego niczego nieświadomi sąsiedzi emeryci, psiocząc przy tym na rząd obiecujący, że dla nich będzie tanio?

Okolo dwudziestej trzeciej zazgrzytały klucze w trzech zamkach po kolei. Wrócił Mirek Borek. Zapalił światło w przedpokoju, zsuł buty, ściągnął płaszcz, elegancką marynarkę i odwiesił ją na wieszak. Przeszedł przez pograżony w mroku pokój i zaczął krzątać się po kuchni. Cichocki słyszał, jak stawia czajnik na kuchence i robi sobie kanapkę. Upłynęły długie minuty, zanim wszedł do salonu. Widząc niespodziewanego gościa, znieruchomiał z resztką chleba w ustach.

– Nie próbuj uciekać – powiedział spokojnie Cichy, drapiąc się równocześnie lufą trzymanego w dłoni pistoletu po boku głowy. – Jakiś nerwowy

jestem ostatnio. Może za mało magnezu? Jak myślisz?

Mirek Borek szybko przystosował się do nowej dla niego sytuacji. Przełknął ostatnie kęsy, ale nie ruszył się z miejsca.

– Kim jesteś? – zapytał trochę niepewnie.

– Nie bój się, jestem tylko gliną.

Cichy pokazał mu paczuszkę z białym proszkiem. Borek wyraźnie pobladł.

– Ale nie martw się, nie pracuję w narkotykach.

Nie wiadomo, czy ta deklaracja w jakiś sposób uspokoiła gospodarza. Milczał i nawet nie drgnął.

– Borek, coś mi się wydaje, że ty masz ostatnio jakieś duże problemy finansowe – mówił tymczasem policjant. – Kopiesz kryptowaluty, handlujesz koką?

– Nie kopię kryptowalut, mam za mało sprzętu, to by się nie opłacało – odpowiedział natychmiast haker.

Znaczące było to, że nie zaprzeczył w temacie narkotyków.

– Wiesz, co mówią o tobie na mieście? – Cichocki nachylił się, łowiąc jego spojrzenie. – Mówią, że Mrok się zepsuł. Odkąd zaczął mieć kłopoty z policją, stał się niebezpieczny, bo łatwo się pruje i sypie kolegów hakerów. Podobno nie umie kłamać. Wystarczy go trochę podejść i nie jest w stanie utrzymać gęby na kłódkę. Dlatego dla braci jest sporym kłopotem. Słyszałeś takie opinie?

Mrok patrzył na doświadczonego policjanta ponurym wzrokiem. Wreszcie jego usta się poruszyły.

– Ostatnio nauczyłem się trochę kłamać – oświadczył nieoczekiwanie.

Cichocki z trudem zapanował nad twarzą, żeby nie pokazać, jak bardzo go to rozbawiło. W tym zdaniu zawierała się kwintesencja kłopotów Borka związanych z jego zaburzeniem. Miał problem z właściwą oceną stosunków międzyludzkich i zawsze mówił prawdę. Nie tylko policji. Nie miał wyczucia i walił szczerze prosto z mostu, nawet gdy wypadało zachować takt i milczenie. On tego nie łąpał i przez to wpadał w kłopoty. Deklaracja, że

nauczył się kłamać, była do bólu szczerą i prawdziwą, przez co jego kłamstwa z góry skazane były na niepowodzenie. Cichocki miał zamiar bezwzględnie to wykorzystać.

– Gratuluję, czasem w życiu trzeba trochę nakłamać – powiedział życzliwym tonem. – Kłamstwo w pewnych sytuacjach daje duże korzyści. Zazwyczaj krótkoterminowe, ale zawsze. Skąd więc masz ten proszek?

– Znalazłem na parkingu.

Cichy prychnął, a potem zaniósł się śmiechem. Wreszcie spoważniał i popatrzył hakerowi w twarz.

– Kłamać to ja, a nie mnie – powiedział twardo. – Jak się nauczyłeś kłamać, to możesz teraz bajerować laski albo swoich kolegów po fachu. Ja jestem starym gliną, uczulonym na mówienie nieprawdy. Od razu tracę dobry humor.

– Słabo wyszło? – zapytał Mirek, krzywiąc usta.

– Do dupy. Zacznę jeszcze raz. Za co Parol Szawczak dał ci narkotyki?

Mrok wahał się tylko chwilę.

– Pomogłem mu załatwić lewe dokumenty.

– Wiesz, ile warta jest ta paczka? – Cichy podrzucił ją w dłoni. – Za kasę ze sprzedaży tego proszku mógłbyś przerobić dokumenty piłkarzy Śląska Wrocław tak, żeby od nowego sezonu byli zawodnikami Legii Warszawa. Chociaż może nie, Legia ostatnio strasznie dołuje. Co jeszcze zrobiłeś?

– Pomogłem mu rozpracować pewien system – powiedział niechętnie Borek.

– To brzmi lepiej – ucieszył się Cichy. – Przynieś mi popielniczkę, siadaj na krześle i opowiadaj.

Potem policjant palił, a Mrok opowiadał. W miarę upływu czasu Cichocki coraz szerzej otwierał oczy ze zdziwienia. Z tego, co usłyszał, Szawczak szykował jakiś większy numer, ale jeszcze nie bardzo wiedział, na czym to wszystko miałyby polegać. To miała być zemsta na Zakrzewskim? Bez sensu, co to ma wspólnego z Marcinem? Jeszcze tego nie wiedział, ale posta-

nowił się dowiedzieć. Mirek Borek mu tego nie wyjawiał, bo na pewno nie wiedział nic więcej. Szawczak był ostrożny.

Po kilku minutach Cichocki szykował się do wyjścia. Mirek odprowadził go do drzwi. Na progu policjant się zawahał, a potem niechętnie oddał mu kokainę.

– Udaję, że tego nie widziałem – powiedział poważnie. – Ale tylko ten jeden raz.

Na twarzy hakera odmalowała się wielka ulga.

– Ale nie rób tego więcej – ostrzegł Cichy. – Za to idzie się do pierdła na dłużej niż za usługi informatyczne, które wyświadczasz różnym ludziom. I siedzi się w innym towarzystwie. Na pewno nie z facetami niepłacącymi alimentów albo drobnymi oszustami grającymi w trzy karty na bazarze. Zrozumiałeś aluzję?

– Tak.

– To dobrze zapamiętaj moje słowa.

Schodząc wolno po schodach, Cichy poczuł nagłe współczucie dla Mroka. Musi być ciężko, kiedy nie umie się kłamać. Świat nie został stworzony dla ludzi prawdomównych.

– Skąd ja wiedziałam, że będziesz chciał ze mną rozmawiać? – Głos policyjnej psycholog Arlety Wierzbickiej miał zabrzmieć wesoło i dowcipnie, lecz zabrzmiał jeszcze inaczej. I chyba nie miał nic wspólnego z dobrym nastrojeniem.

– Bo jesteś dobrym psychologiem? – odpowiedział pytaniem.

Dopiero teraz na jej ustach pojawiło się coś na kształt szczerego uśmiechu i zaraz zgasło. Nadkomisarz Marcin Zakrzewski dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak popsuty się ich relacje w ostatnim czasie. Przeklął w duchu, ale przecież nic nie mógł zrobić. Odkąd kiedyś wyskoczyli na kawę do jednej z kawiarni w Leśnicy, pani psycholog chyba zaczęła oczekiwać po tym spotkaniu czegoś więcej niż tylko przyjemnej rozmowy na prywatne i zawodowe tematy. W każdej możliwej sytuacji zaczepiała go, sugerowała po-

nowne wyjście na kawę, raz wspomniała mu, że jest jej winien dobrego drinka za pomoc w czasie polowania na psy. Stawiała go w niezręcznej sytuacji. On był już z Renatą i nie chciał komplikować sobie relacji w domu, poza tym Arleta nie była w jego typie. Była ładną kobietą, na pewno podobała się facetom, ale akurat nie jemu. Poza tym jemu bardziej podobały się brunetki niż blondynki. Nawet nie wiedział, że te kilka jego wykrętnych odpowiedzi na jej konkretne propozycje tak popsuło ich relacje. Dopiero teraz sobie uświadomił, że w ostatnim czasie ona go po prostu unikała.

– Nie rozśmieszaj mnie, Zakrzewski – powiedziała, a jej uśmiech zgasł jak zdmuchnięty przez wiatr znicz na nagrobku. – Czegoś ode mnie chcesz i ja wiem czego.

Stali na korytarzu komendy, za nimi z sali konferencyjnej wychodzili z ponurymi minami uczestnicy jakiejś narady. Marcin odprowadził ich wzrokiem, zanim znowu się odezwał.

– Masz rację – przyznał. – Chciałem porozmawiać o twoim profilu sprawcy.

– Wszystko masz w raporcie.

Zrobiła taki gest, jakby chciała odejść, ale ją zatrzymał.

– Przecież wiesz, że chciałbym porozmawiać o tym, czego w raporcie nie ma – powiedział. – Na pewno podczas pisania wpadły ci do głowy szalone pomysły i takie teorie, których nie można pokazać oficjalnie.

Przyglądała się mu chwilę w milczeniu. Kiedy już miał nadzieję, że ulegnie, ona nagle się uśmiechnęła. To był jeszcze inny uśmiech, trochę cyniczny. Zmanipulowała go i sprawiło jej to przyjemność.

– Nie wiem, jak pracował twój przyjaciel, Krzysiek Pawlicki. Może jemu do głowy przychodziło wiele hipotez, może miał takie przemyślenia, których nie ujmował w raporcie. Ze mną jest inaczej. Ja pracuję bardziej metodycznie i precyzyjnie. Wszystko, co najważniejsze, jest w raporcie.

Wreszcie go ominęła i ruszyła w kierunku schodów. Zakrzewski nie dawał za wygraną i poszedł za nią. Już kilka razy jej profilowanie sprawcy było bardzo pomocne. Cenił jej opinie. O tym, że Bestia może być oficerem

oddziałów specjalnych wiedziały tylko cztery osoby w wydziale kryminalnym. Naczelnik nie zgodził się udostępnić Arlecie tej informacji, ale ona, analizując sposób działania zabójcy, i tak doszła do wniosku, że może być blisko związany ze służbami mundurowymi i może być byłym żołnierzem. Zaimponowała tym Zakrzewskiemu. Jednak jej stwierdzenie, że przyczyną działania sprawcy był motyw seksualny, nie do końca go przekonywało.

– Chciałem porozmawiać o motywie – rzucił.

Zatrzymała się i znowu spojrzała na niego niechętnie.

– Nie odczepisz się, prawda? – zapytała.

– Mówiłem, że jesteś dobrym psychologiem.

Pokręciła z rezygnacją głową. Pokazała, żeby stanęli pod oknem, i popatrzyła na niego pytająco.

– Nie przekonuje mnie motyw zabójstw – powiedział prosto z mostu.

– Może to ty powinieneś zająć się profilowaniem?

– To są lata doświadczeń ze zwyrodnialcami – wzruszył ramionami.

– Doświadczenie też jest ważne – przyznała. – Wiem, do czego zmierzasz. Do motywu seksualnego nie pasuje zabójstwo Jerzego Madejskiego. Zdaję sobie z tego sprawę, lecz uważam, że mamy tu do czynienia ze świadomym działaniem sprawcy. Klaudia Kania miała być jego ostatnią ofiarą. Opus magnum. Miała zwieńczyć dzieło jego życia i zbrodni. Zauważ, że do tego momentu policja nawet nie wiedziała, że on morduje kobiety. Były zgłaszane zaginięcia, jednak nikt nie powiązał tego w jedną całość, nikt nawet się nie domyślił działania seryjnego zabójcy. To dało mu przekonanie o bezkarności. Czuł się już na tyle bezpiecznie, że zabawił się z Madejskim w tak przerażający sposób.

Marcin milczał przez chwilę. Nieudostępnienie jej informacji o wojsku i powiązaniach Madejskiego wypaczyło opinię. „Cholera” – jęknął w duchu. „Kto wie, do jakich trafnych wniosków mogłaby dojść, gdyby znała całe okoliczności. Teraz już za późno”.

– Twierdzisz, że wyszukiwał ofiary, które najbardziej pasowały do obrazu jego idealnej kobiety? Uważasz, że to mogła być jego matka, siostra albo

pierwsza miłość? Nieważne.

– Tak twierdzą. – Nagle stała się skupiona, jakby spodziewała się ataku.

– A gdyby to Klaudia Kania była tym ideałem? – zapytał Marcin. – Może zabójca znał Kanię i Madejskiego? Oni mieszkali na Wyspach i dlatego on tu mordował. Kiedy wrócili, mógł dopaść Kanię. Może znał ich tak dobrze, żeby się bać, że Madejski czegoś się domyśli. Może chciał, żeby cierpiał? Może to jednak miała być forma zemsty na nim?

Arleta Wierzbicka zapatrzyła się w jakiś punkt za szybą. Długo milczała, wreszcie na znak rezygnacji pokręciła głową.

– No dobrze – powiedziała cicho. – Taka opcja działania sprawcy narzuca się sama. Wiem, że to było jedno z waszych głównych założeń w śledztwie. Jednak jak dla mnie motyw jest za prosty, a równocześnie zbyt nieprawdopodobny. Nie wiem, czy wiesz, co mam na myśli.

Mina Zakrzewskiego świadczyła o tym, że faktycznie nie wiedział.

– Profilowanie jest sztuką – wyjaśniała profilerka – w której istnieje duża dowolność. Możemy wychodzić poza schematy, jednak one istnieją i są ściśle zdefiniowane. Ta teoria o Madejskim jak dla mnie jest zbyt daleko idącą swobodną interpretacją faktów.

– J-jasne. Ale możemy puścić wodze fantazji? – zapytał Marcin.

Znowu długo nie odpowiadała. Wreszcie spojrzała na niego dziwnie. Jakby przepaść niechęci, jaką odgrodziła się od Zakrzewskiego, nagle się pogłębiła. Przynajmniej on odniósł takie wrażenie.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie wciągniesz mnie w takie dyskusje.

– To dla mnie bardzo ważne – nalegał.

Nieoczekiwanie zrobiła krok w jego stronę i zajrzała mu głęboko w oczy.

– Posłuchaj mnie, Zakrzewski – ściszyła głos. – Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby profil był jak najbardziej wiarygodny. Nie wymagaj jednak ode mnie cudów w przypadku, kiedy twój szef zataja przede mną ważne fakty. Pewnie ty też maczałeś w tym palce.

A więc wiedziała! Marcin zagryzł wagi i uciekł wzrokiem w bok.

– Nic o tym nie wiem – mruknął bez przekonania.

– Jak już dwa razy stwierdziłeś, jestem dobrym psychologiem – rzuciła złośliwie. – Musisz się bardziej postarać, żebym uwierzyła w twoje kłamstwo. Przepraszam cię, ale mam dużo roboty.

Odwróciła się na pięcie i oddaliła się pospiesznie. Stukanie jej obcasów o podłogę jeszcze długo niosło się echem. Zakrzewski równie długo kłął pod nosem. Nie wiedział, dlaczego Łapicki aż tak mocno utajnił wątek wojskowy, że nie powiedział o tym nawet policyjnemu profilerowi. Takie rzeczy i tak wyciekają, co widać było na załączonym obrazku.

Potał dłońią czoło. Chciał zadać Arlecie Wierzbickiej jeszcze inne pytanie, które od jakiegoś czasu dziwnie do niego wracało w różnych sytuacjach. A jeśli motyw seksualny pomieszał się sprawcy z potrzebą zemsty? A co, jeśli to nie kobieta z przeszłości Bestii była tym ideałem, do którego przyrównywał ofiary? Co, jeśli nie była nim nawet Klaudia Kania, tylko ktoś zupełnie inny?

Kilka chwil stał z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni i patrzył na lutową szarość, wciąż okrywającą świat swoim całunem. Wreszcie wolno poszedł do siebie. Musiał się napić mocnej czarnej kawy, nie bacząc na protesty własnego żołądka. Musiał pomyśleć, a kofeina zawsze mu w tym pomagała.

26.

– Szawczak zniknął.

Zakrzewski spojrzał na Cichego zdziwiony.

– Jak to zniknął?

– Normalnie. – Cichocki wzruszył ramionami. – Był, a teraz go nie ma.

– Do rzeczy, Chichy – jęknął Marcin.

Siedzieli w samochodzie Cichego zaparkowanym na Podwalu, przy fosie miejskiej, bliżej placu Orłąt Lwowskich. Śnieżna krupa znowu na przemian z deszczem waliła w karoserię, jakby atakowało ich stado wściekłych owadów. Cichocki wyglądał na zmęczonego, głowę Zakrzewskiego zaprzętały teraz inne sprawy. Szawczak wydawał mu się tylko mglistym wspomnieniem, które zniknie wraz z pierwszym wiosennym słońcem. Dlatego z trudem dał się namówić na to spotkanie. Wolałby inny termin i inne miejsce, chociaż jego kolega pewnie by go nie wyciągał z roboty, gdyby nie odkrył czegoś ciekawego. Jednak zniknięcie Szawczaka chyba nie było zbyt ciekawe.

– Wiedziałeś, że twój były kolega z wydziału jest narkomanem i chyba zajmuje się też rozprawdaniem koki po znajomych informatykach?

Tego Marcin się nie spodziewał, chociaż i w tym przypadku wielkiego zaskoczenia nie było.

– Jego matka była zaawansowaną narkomanką – odpowiedział powoli. – Kupował jej narkotyki, kasę miał z gier komputerowych. Chyba mnie nie dziwi, że i on wpadł w szambo.

– Nadałem sprawę Jarkowi Parkitnemu – ciągnął Cichy. – Być może znalazłem przez Szawczaka bardzo ciekawy trop. Rozmawiałem też z pewnym hakerem. Parol zapłacił mu prochami za kilka hakerskich programów, dane i dostęp do fałszerzy dokumentów.

– Chce się ukryć, zmieniając tożsamość? – zdziwił się Marcin.

– Być może, ale ci fałszerze nie tylko podrabiają fizyczne dokumenty. Potrafią namieszać w bazach danych i stworzyć dla nowej tożsamości niezłą legendę. No wiesz, preparują kupę śladów w sieci i wtedy naprawdę można zacząć życie od nowa.

Zakrzewski się skrzywił.

– Przepraszam, że cię w to wciągnąłem, Cichy – powiedział. – Zostaw Szawczaka, niech płynie z prądem. Jeśli jest tak, jak mówisz, w końcu wpadnie na rafę i nasi od narkotyków go zwiną. W tym biznesie nic nie jest wieczne.

– Ten haker, z którym rozmawiałem, twierdzi, że Szawczak interesuje się szpitalem psychiatrycznym w centralnej Polsce.

– Ośrodek dla bestii w Gostyninie? – W oczach Marcina nareszcie błysnęło zainteresowanie, ale zaraz zgasło, kiedy usłyszał odpowiedź.

– Nie, w jakiejś innej miejscowości.

Nadkomisarz sięgnął dłonią do klamki i przesunął się na siedzeniu, zbierając się do wyjścia.

– Dzięki, Cichy – powiedział. – Przepraszam, że przeze mnie zmarnowałeś tyle czasu. Zostaw tego gnojka, niech tapla się we własnym błocie. Cześć!

Trzasnęły drzwiczki, Cichocki widział przez mokre szyby rozmytą postać kolegi oddalającą się szybkim krokiem w kierunku komendy wojewódzkiej i budynku sądu na skrzyżowaniu z Sądową. Był na niego zły. Nie za to, że stracił czas na rozpracowanie Szawczaka, a teraz jego odkrycia nie zainteresowały Marcina, ale za to, że nie chciał go nawet wysłuchać do końca. Bo przecież nie zdążył powiedzieć mu najważniejszego. O tym, że Szawczak go obserwował. Zresztą kontakt z fałszerzami dokumentów też nie był przypadkowy. Był częścią jakiegoś większego planu Parola. Cichy na robocie wywiadowczej zjadł zęby. Miał nosa, który teraz podpowiadał mu, że coś wisi w powietrzu i w końcu runie jak sterowiec Hindenburg.

Wysiadł z auta, mimo padających wciąż śnieżnych drobinek oparł się o maskę i zapalił papierosa, osłaniając żar dłonią. On się nie da tak łatwo spławić. Sprawy za daleko zaszły. Po chwili wyciągnął telefon i wybrał numer do przyjaciela.

Zakrzewski wracał do budynku komendy z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie i z postawionym kołnierzem skórzanej kurtki. Był na siebie zły. Może nie na siebie, tylko na tę całą sytuację, a jeszcze bardziej na Szawczaka. Zjawił się nagle, nie wiadomo skąd i nie wiadomo po co, zamieształ i zniknął, pozostawiając po sobie skiszoną atmosferę. Los po raz kolejny dawał Marcinowi znak, żeby nie był zbyt pewny siebie. Nie można się za bardzo przyzwyczaić do normalności, bo wtedy oczywiście zdarza się coś nieprzewidzianego i całą misterną układankę życiową szlag trafia. Szawczak przeleciał po jego nieboskłonie i zniknął. Nie chciał już o nim więcej słyszeć. Musi zapomnieć, pogodzić się z tym, że zdarzenia z przeszłości tak negatywnie wpłynęły na jego życie, nie mieć wyrzutów sumienia. Każdy ma wybór. Może być dobry albo zły. Jeśli Szawczak wybrał ten drugi kierunek, krzyżyk mu na drogę. Ta ścieżka prowadzi tylko w jedno miejsce, tam, gdzie nikt nie chce trafić. Chciał już zapomnieć o dawnym koledze, chociaż podświadomie wyczuwał zbliżające się kłopoty. To się tak łatwo nie skończy. Trzeba będzie wypić kielich goryczy do dna, nie zważając na to, czy jest wypełniony po brzegi, czy tylko kilka kropeł zgromadziło się na dnie.

Przez szum wiatru, odgłosy przejeżdżających samochodów i dudnienie opon na mokrej kostce z trudem przebił się nowy sygnał jego telefonu. Wygrzebał aparat z kieszeni i odebrał. Karina była zniecierpliwiona:

– Trzy razy do ciebie dzwoniłam – powiedziała na powitanie.

– Nie słyszałem.

– Mamy powiązanie między dziewczynami. – Teraz w jej głosie zabrzmiały nuty samozadowolenia.

Zakrzewski aż przystanął tuż przed przejściem przez Sądową, mimo że akurat było zielone światło.

– Co to jest? – rzucił.

– Wszystkie były pacjentkami jednej kliniki ginekologicznej.

– J-jasne!

Nie trzeba było ani słowa więcej. Taki trop to nie były ledwo widoczne ślady stóp odcisnięte w leśnej ściółce, tylko wysypana żwirem ścieżka. Miał nadzieję, że na końcu tej ścieżki znajduje się dom Bestii.

Przebiegł na czerwonym świetle, nie zważając na trąbienie nadjeżdżającego auta.

27.

Poranek był taki sam jak kilkanaście poprzednich. Zimny wiatr szarpał koronami drzew, gwizdał w uszach, złośliwie rzucał w twarz mokrymi liśćmi. Nic nie zapowiadało zmiany pogody, lecz przynajmniej nie zanosilo się na deszcz.

Zegarek w nieoznakowanej policyjnej kijance wskazywał szóstą trzydzieści trzy. Nadkomisarz Zakrzewski siedział za kierownicą z kubkiem kawy z pobliskiego Orłenu. W aucie było zimno, kawa szybko stygła i coraz mniej mu smakowała. Jednak potrzebował kofeiny do pobudzenia mózgu. Niewiele to jednak dało. Może naprawdę w dzisiejszej kawie jest coraz mniej kofeiny? Tej nocy śledczy z ich wydziału prawie nie spali. Do późna zbierali dane, a potem układali plan działania na następne dni.

Zaraz po telefonie od Kariny, kiedy tylko Marcin dotarł do budynku komendy, zaczęła się narada kierownictwa ich grupy. Odkrycie powiązania między wszystkimi ofiarami, w tym Klaudią Kanią, było dla nich nie lada zaskoczeniem. Karina wściekała się, że policjanci wcześniej analizujący dane nie zwrócili na to uwagi. Dopiero kobieta dostrzegła te związki. Wszystkie ofiary były pacjentkami Kliniki Ginekologicznej Bernatowicz i Wspólnicy spółka komandytowa, z siedzibą na ulicy Jesionowej w starej części dzielnicy Krzyki. Natychmiast zaczęli zbierać dane o klinice, jej właścicielach i pracownikach.

Niemal od razu natknęli się na kolejną zagadkę. Jeden z trzech właścicieli, ten którego nazwisko znajdowało się w nazwie kliniki, doktor Jakub Bernatowicz, zaginął i do dzisiaj go nie odnaleziono. Nie zostawił żadnych śladów, jakby zapadł się pod ziemię. Informacja była dla nich jak ostateczny dowód w sprawie. Nikt już nie miał wątpliwości, że Bernatowicz jest zamieszany w zabójstwa kobiet, o ile sam nie jest Bestią. Jego zniknięcie mogło być próbą ucieczki. Tylko że trochę nie zgadzały się daty. Bernatowicz

zaginał pod koniec listopada. Potem były jeszcze dwa morderstwa, porwanie Kani i wymuszenie samobójstwa na Madejskim. Według teorii Góry to on był sprawcą. Upozorował własne zaginięcie, żeby dokonać ostatniego zbrodniczego dzieła jako Nexus, a teraz po wszystkim pewnie wyjechał gdzieś na kraniec świata, gdzie ciężko go będzie znaleźć. Nieniekajony przez policję, miał dużo czasu, żeby przygotować się do takiego wyjazdu. Z tego, co zdążyli się zorientować, pieniędzy mu nie brakowało.

Góra i paru innych kolegów obstawali za taką wersją wydarzeń. Co prawda nie zgadzało się kilka bardzo istotnych faktów, jednak Norbert z dużą pewnością siebie twierdził, że ich wyjaśnienie jest tylko kwestią czasu. Klocki są już na kupce, trzeba je tylko odpowiednio dopasować. Zakrzewski jak zwykle miał wątpliwości. Do tej sytuacji idealnie pasowała jego dewiza, że prostym rozwiązaniom nie należy zbyt ufać. To byłoby za proste.

Doktor Jakub Bernatowicz zniknął po awanturze z żoną, w przedziwy sposób. Podobno poszedł na pobliskie bagna i ślad po nim zaginał. Jeśli chciał upozorować własną śmierć, pomysł był diabelsko przebiegły. Na bagnach nie zostają żadne ślady, a ciało może już nigdy nie zostać znalezione. Jednak i tu Marcinowi coś nie pasowało.

Zapoznał się z aktami zaginięcia. Dzielnicy ze Środy Śląskiej, komisarz Wiktor Wiktorski, odwalił kawał dobrej roboty. Nie było się do czego przyczepić. Żona Bernatowicza przez przypadek odkryła, że mąż ją zdradza i zrobiła mu dziką awanturę. Po tej awanturze niespodziewanie Jakub postanowił popełnić samobójstwo. Jaki był w tym sens? Człowiek sukcesu, który ma wszystko, podoba się kobietom, używa życia, często zmienia kochanki, idzie utopić się w bagnie? Marcin nie mógł się zgodzić z taką opcją.

Poza tym Bernatowicz był lekarzem, nie miał nic wspólnego z wojskiem. Gdyby on był Bestią, całe zamieszanie z pułkownikiem Pasiackim mogli sobie o kant dupy rozbić. Czy Pasiacki mógł się aż tak pomylić i rozpętał tak wielką aferę bezpodstawnie? Zakrzewskiemu nie chciało się w to wierzyć. No i było jeszcze ciało Mariusza Bednarza. Denat miał obite żebra, sporo obtarć i siniaków, do tego został powieszony. Może nie tak jak Madejski,

ale podobieństwa narzucały się same. Może te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego, a jemu włączył się kompilator i zaczął wszystkie zderzenia podciągać pod jednego sprawcę? Na razie Zakrzewski miał wielki mętlik w głowie i kofeina nie pomagała. Nadal był zamulony brakiem snu i wątpliwościami.

Kolejne dopadły go, kiedy zobaczył zdjęcie żony doktora Bernatowicza, Izabeli. Najpierw nie mógł zaskoczyć, o co chodzi, wreszcie przyszło olśnienie. Miała trzydzieści sześć lat i była bardzo ładna. Była brunetką, miała proste włosy, ciemne oczy i brwi, na zdjęciach z jej profilu na Facebooku często czarowała otoczenie swoim szerokim i radosnym uśmiechem. Sprawiała wrażenie kobiety spełnionej, zadowolonej z życia, szczęśliwej w związku. Na fotografiach z wakacji, wycieczek czy nawet z odpoczynku przy basenie nie szczędzili sobie czułości. Idealna para. No właśnie, idealna.

Kiedy uświadomił sobie, że wszystkie ofiary Bestii są do niej bardzo podobne, poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach. Najpierw myślał, że jego zmęczony umysł zaczyna go w bezczelny sposób oszukiwać i wszędzie dopatrywać się podobieństw. Przecież Karina też była brunetką, miała proste włosy, ładnie się uśmiechała, ale czy była podobna do zamordowanych kobiet? Zdecydowanie nie. A Izabela Bernatowicz miała właśnie to „coś”. Potwierdzali to wszyscy, którzy porównywali jej fotografię do zdjęć reszty kobiet. Czy Zakrzewski się mylił, podejrzewając, że to nie Klaudia Kania jest tym idealnym wzorcem, zgodnie z którym Bestia wybiera swoje ofiary? Jeśli zabójcą był Jakub Bernatowicz, taka opcja była bardzo prawdopodobna.

Przez chwilę zaczął nawet podejrzewać Izabelę Bernatowicz. Czy zabijała podobne do siebie kochanki swojego męża, a potem przy pierwszej sposobności pozbyła się i jego? Zaraz zganił się za ten głupi pomysł. Jednak coś go nadal gryzło. Ten cholerny instynkt starego psa, który wtrącał się w najmniej odpowiednim momencie. Wydawałoby się, że zupełnie bez sensu. A jednak!

Było już po północy, kiedy wezwał do siebie nowego pracownika ich wydziału, młodszego aspiranta Huberta Burzyńskiego. Facet wyglądał na roz-

sądneho i jeszcze nie zatracił cechy, która w pracy w kryminalnej była bardzo ważna. Jeszcze mu się chciało. Zlecił mu zebranie wszystkiego, co tylko się da, na temat Izabeli Bernatowicz, łącznie z dyskretnym rozpytaniem o nią znajomych. Kto wie, może chłopak odkryje coś ciekawego?

No i była jeszcze jedna sprawa, która przeorała ich dotychczasowy sposób myślenia. Bernatowicze mieli dom w miejscowości Kamienna. Małej wiosce tuż nad Odrą, między Brodnem a Rzeczycą, niedaleko od Szczepanowa w gminie Środa Śląska. Niby nic, a jednak aż tyle. Zabójca zostawił laptop ze wskazówkami dotyczącymi miejsca ukrycia zwłok kobiet w domu Franciszka Wasyluka. Jego brat w Kamiennej przed wielu laty zgwałcił dziewczynę. Nie za dużo zbiegów okoliczności?

– Im jesteśmy bliżej, tym bardziej wszystko nam się rozłązi – mruknęła aspirant Buczko, przeciągając się na fotelu pasażera.

Miała podkrążone oczy. Marcin myślał, że się zdrzemnęła, więc się nie odzywał, ale ona najwidoczniej myślała o tym samym.

– Myślisz, że jesteśmy blisko? – rzucił.

– Bardzo blisko, tylko musimy być ostrożni, żeby nie dać gdzieś dupy. Bestia czai się w mroku. Nie możemy jej spłoszyć.

Takie było główne założenie planu działania, który opracowali późno w nocy. Nie spłoszyć Bestii. Po pierwsze mieli objąć dyskretną obserwacją miejsca zamieszkania Jakuba Bernatowicza i pozostałych dwóch współników kliniki. Łapicki ostrzegł policjantów, że tu nie może być żadnej fuszerki. Jeśli będą paradować przed bramami domów, parkować auta na rogu ulicy albo w jakikolwiek sposób się zdekonspirują, to nogi im z dupy powyrywa. Marcin wiedział, jak wygląda wioska Kamienna ze swoją rzadką zabudową i był ciekawy, w jaki sposób funkcjonariusze poradzą sobie z obserwacją. Będą mieli problem, ale to ich sprawa.

Po drugie sprawdzali pracowników kliniki. Po trzecie wreszcie zaplanowali wkroczenie do kliniki zaraz po jej otwarciu. Mieli nakaz przeszukania od prokuratora i wszystkie inne konieczne dokumenty. To dlatego teraz tkwili w samochodzie zaparkowanym sto metrów od budynku. Na sąsiednich ulicach czekały też inne policyjne auta. Ekipa z ich wydziału do prze-

szukania, informatyk w celu zabezpieczenia sprzętu komputerowego i technicy kryminalistyczni. Potem w przeszukaniu mieli im pomóc mundurowi, ale na razie nie było w pobliżu radiowozów, żeby nie rzucać się w oczy.

Pięć minut przed siódmą, kiedy przed drzwiami do kliniki czekały już dwie osoby, pewnie pracownicy, zjawiła się elegancko ubrana kobieta z pękiem kluczy i otworzyła drzwi. Po chwili w przebudowanej starej willi powoli zapalały się światła w oknach. W ciągu następnych trzydziestu minut przyszły jeszcze inne osoby. Policjanci, zgodnie z planem, czekali do godziny ósmej. Musieli mieć pewność, że do pracy przyjadą wszyscy, włącznie ze współnikami, którzy byli lekarzami i przyjmowali pacjentki. Właśnie pacjentki zaczęły być problemem około ósmej. Pewnie miały wizyty umówione na tę godzinę i zjawiały się jedna po drugiej. Dwie po ósmej Zakrzewski przez krótkofalówkę zarządził początek operacji.

W niecałe pół minuty przed budynkiem zaparkowało kilka policyjnych aut, blokując ulicę i wejście. Marcin z Kariną weszli do środka jako pierwsi. Na lewo od drzwi wejściowych znajdowała się recepcja. Przestraszona pracownica właśnie podnosiła się z krzesła, żeby zorientować się, o co chodzi. Zanim zdążyła coś powiedzieć, Marcin już przy niej stał, pokazując legitymację policyjną. Karina stanęła pół kroku z tyłu, wieszając sobie równocześnie policyjną odznakę na szyi. Recepcjonistka, mało atrakcyjna kobieta w okolicach trzydziestki ze zbyt mocnym makijażem na twarzy, spojrzała w bok na mijających ich innych policjantów.

– Panowie, tak nie można! – krzyknęła piskliwym i przestraszonym tonem.

Zakrzewski jej się nie dziwił. Policjanci z wydziału zabójstw po cywilnemu niewiele różnili się od członków zorganizowanej grupy przestępczej z serialu o dzielnych policjantach. Ubrani w skóry, niektórzy łysi, z ponurymi spojrzeniami, uzbrojeni. Pewnie dlatego zrobili na kobiecie większe wrażenie niż Zakrzewski z Kariną.

Marcin musiał nacheilić się do niej przez blat i pokazać legitymację.

– Nadkomisarz Marcin Zakrzewski z wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu – powiedział głośno, zmuszając ją do skupienia uwagi na sobie.

Spojrzała na niego rozbieganym wzrokiem, jakby nie do końca wiedziała jeszcze, co się dzieje. Marcin pokazał jej nakaz przeszukania.

– Ale my tu mamy dzisiaj pacjentki – wyjąkała. – Nie można tak...

Karina straciła do niej cierpliwość.

– Pani nie musi nic robić – warknęła. – Proszę zawołać właściciela, pana Jacewicza.

Po chwili pojawił się niski, łysawy mężczyzna. Przeszli do jego gabinetu, gdzie mężczyzna usiadł za swoim biurkiem, nerwowo zaciskając palce. Nie wskazał im miejsc do siedzenia, więc Zakrzewski sam przysunął sobie stojące z boku krzesło, Karina stanęła w drzwiach, opierając się o framugę. Doskonały sposób, żeby jeszcze bardziej zdenerwować rozmówcę. Zabarykadować drzwi i spowodować uczucie uwięzienia i zagrożenia.

Doktor Jacewicz był zadbanym mężczyzną po czterdziestce, choć jeszcze bardziej nieatrakcyjnym niż jego pracownica. Koszula wyraźnie opinała się na brzuchu, niski wzrost sprawiał, że rękawy były trochę za długie, zapięcie guzika pod szyją też było zadaniem z rodzaju *mission impossible*.

Doktor miał zaczerwienioną twarz i najwidoczniej nie zamierzał poddać się bez walki. Zareagował bardzo nerwowo i od razu postraszył policjantów telefonem do swojego prawnika. Zakrzewskiemu udało się go przekonać, że wizyta prawnika nie ma sensu, ponieważ sprawa dotyczy zabójstwa, a oni mają wszystkie dokumenty prawidłowe i też nie zamierzają odpuszczać. Zresztą czekają na prokuratora, który zaraz będzie. Dopiero subtelna groźba zmusiła go do rozważenia podjęcia współpracy. Oburzał się, że klinika poniesie straty, ponieważ musi dzisiaj odwołać ponad sto wizyt. Na to Zakrzewski odpowiedział, że jak nie będzie z nimi współpracował, mogą tu siedzieć tydzień. Liczby musiały podziałać na wyobraźnię lekarza.

– Wniosem zażalenie na działania policji – spróbował jeszcze, ale już bez większego przekonania.

– Szkoda prądu, panie doktorze – odpowiedział zimno Zakrzewski. – W tej chwili nasze działania mają dla policji i prokuratury absolutny priorytet. Pana skarga trafi do kosza. A nawet gdyby udało się dowieźć ją do sądu, sędzia nam przyzna rację.

Chyba dopiero w tym momencie Jacewicz zrezygnował z walki. Milczał długo, wpatrując się w Zakrzewskiego oraz od czasu do czasu rzucając pełne niepokoju spojrzenia na blokującą drzwi Karinę. Zasada złego i jeszcze gorszego policjanta znowu zadziałała. Karina nawet nie musiała się odzywać.

– Czego chcecie? – zapytał wreszcie doktor.

– Listy pacjentek doktora Jakuba Bernatowicza – powiedział bez zastanowienia Marcin.

– Obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

– Nie mam zamiaru zaglądać w dokumentację medyczną – rzucił szybko Zakrzewski. – Interesują mnie tylko imiona i nazwiska. Poza tym chcę mieć dostęp do gabinetu Bernatowicza i prywatnych danych z jego komputera.

Jacewicz otworzył szerzej oczy.

– Podejrzewacie go o coś? – zapytał.

Zakrzewski spojrzał mu w oczy.

– Panie doktorze, my tu jesteśmy od zadawania pytań – powiedział zdecydowanym, ale niezbyt złośliwym tonem. – Trzymajmy się tej zasady. Pana obowiązuje tajemnica lekarska, mnie obowiązuje tajemnica śledztwa. Chyba pan to rozumie.

Oparta o framugę drzwi Karina zaczęła strzelać zapalniczką, co najwyraźniej przeszkadzało Jacewiczowi. Spoglądał to na nią, to na Marcina.

– Żeby nie narażać pana na straty dłużej niż jeden dzień, pokręcimy się tylko po klinice, a wszystko, co wyda nam się ważne, zabierzemy do analizy. Myślę, że tak możemy panu pomóc.

– Dobrze. – Jacewicz był nie tylko lekarzem, ale też biznesmenem, szybko potrafił zrobić rachunek zysków i strat.

Wezwał jedną z pielęgniarek, starszą kobietę z obojętną twarzą, i kazał jej udostępnić wszystko, czego będzie żądać policja. Po chwili kobieta odeszła z jednym z młodszych śledczych. Jacewicz poprosił recepcjonistkę, żeby przyniosła im kawę. Czekali całe pięć minut, w absolutnym milczeniu. Karina dobrze się w tym czasie bawiła, strzelając złośliwie zapalniczką, Marcin zaś obserwował doktora Jacewicza kątem oka. Dla niego te minuty musiały się ciągnąć, jakby były umazane w smole. Na łysej czaszce pojawiły się kropelki potu.

Wejście nieładnej recepcjonistki, która była bardziej zdenerwowana niż jej szef, nieco uspokoiło lekarza. Filiżanki na tacy głośno brzęczały, kiedy kobieta stawiała je na biurku. Opuściła pomieszczenie, jakby goniło ją stado biesów mających niecne zamiary.

Marcin spojrzał znacząco na Karinę, a ta tylko skinęła głową. Zamknęła starannie drzwi i oparła się o jedną z szafek. Zakrzewski łyknął kawy. Była bardzo dobra. Gdyby recepcjonistka chciała ich otruć, dosypując do filiżanek cyjanku, nawet by się nie spostrzegli. Zasmuciła go ta myśl. Cholerna praca! Wszędzie widzi zbrodnie i potencjalnych zbrodniarzy.

– Proszę nam opowiedzieć, jak poznał pan Jakuba Bernatowicza? – odezwał się, odstawiając filiżankę na spodek.

Tak jak przypuszczał, kilka minut milczenia było dla Jacewicza ciężkim przeżyciem, więc gdy tylko pojawiła się możliwość, z jego ust popłynął potok słów.

Znali się jeszcze ze studiów, przyjaźnili, wtedy postanowili, że klinika ginekologiczna będzie bardzo dobrą metodą na zarobienie pieniędzy. Udało im się dopiero kilka lat później i pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Bardzo szybko rozwinęli działalność i wszystko doskonale się kręciło aż do jesieni zeszłego roku, kiedy to nagle Bernatowicz zniknął. Opowieść była przydługa, okraszona nic niewnoszącymi dygresjami, nudnymi szczegółami. Gdyby Jacewicz prowadził wykłady na uczelni, niewielu studentów by w nich uczestniczyło. Mówił nieciekawie i chaotycznie. Może po prostu był lepszym lekarzem niż mówcą. Pewnie też znał się na prowadzeniu interesów i zarabianiu pieniędzy. Policjanci widzieli najnowszy model BWM,

którym przyjechał do pracy. Wreszcie Zakrzewski zaczął się wtrącać, zadając mu pytania naprowadzające.

– Wspólników jest więcej – rzucił niby obojętnie.

– No tak – przyznał doktor. – Mamy jeszcze dwóch komandytariuszy, którzy wyłożyli pieniądze na przystosowanie budynku i wyposażenie kliniki, ale oni się do nas nie wtrącają.

– Jakub Bernatowicz był dobrym lekarzem?

– Oprócz nas zatrudniamy jeszcze sześciu lekarzy. Jakub jest najlepszy.

Policjanci zwrócili uwagę, że powiedział „jest” zamiast „był”. Może nie przyjmował do wiadomości, że wspólnikowi mogło się coś stać, albo wiedział więcej, niż powiedział.

– A jakie było jego podejście do kobiet? – wtrąciła Karina.

Jacewicz jakby na moment się zawahał.

– Jest bardzo dobrym lekarzem i chyba właśnie dlatego pacjentki bardzo go cenią. Zawsze było tyle chętnych, że trudno było się do niego dostać. Można powiedzieć, że jest lokomotywą napędową kliniki. Poza tym jest cenionym specjalistą. Inni lekarze często zasięgają u niego opinii, czasem też publikował artykuły w prasie branżowej.

To nie była odpowiedź wprost na zadane przez Karinę pytanie.

– Znaliście się jeszcze ze studiów – stwierdził Marcin. – Jaki miał stosunek do kobiet? Było w nim coś szczególnego?

– No pewnie. – Twarz doktora rozjaśnił przelotny uśmiezek. – Był przystojny, czarujący, grzeczny, adorował kobiety. Pewnie dlatego wzdychała do niego co druga koleżanka ze studiów. I pewnie z tego powodu miał tyle pacjentek.

– A czy w tych relacjach z kobietami zauważył pan coś niepokojącego, odbiegającego od normy?

– Czyli jednak podejrzewacie go o coś? – Jacewicz zmrużył na moment oczy.

– Ustaliliśmy już, że to my zadajemy pytania. – Zakrzewski ze spokojem dopił kawę. – Słucham.

Lekarz zagryzł tylko wargi.

– Nie, niczego nie zauważyłem. Miał słabość do kobiet i w dawnych czasach często ulegał, że tak powiem, pokusom...

– A teraz? Miewał kochanki? – Karina pociągnęła temat.

– Nie... – zawahał się lekarz. – Nic mi o tym nie wiadomo.

Nadkomisarz Zakrzewski uśmiechnął się ironicznie. Kłamać też trzeba umieć, szczególnie przed policją. Ich rozmówca nie miał takiego talentu.

– Panie Jacewicz, jak pan tak chce, to zawsze możemy wezwać pana na przesłuchanie do nas. Mamy o wiele lepsze warunki do takiej rozmowy.

– Nie rozumiem...

– Dobrze panu radzę, kłamstwo nie jest dobrym pomysłem.

Jacewicz przygryzł wargi, zastanowił się, wreszcie potwierdził niechętnie.

– Miewał romanse, ale jego życie prywatne naprawdę mnie nie interesowało – zastrzegł.

Karina nie zamierzała odpuszczać. Ten temat był dla niej szczególnie drażliwy i zawsze wywoływał w niej złość.

– Zna pan dobrze Izabelę Bernatowicz – wycodziła przez zęby. – Spotykaliście się pewnie prywatnie.

Zakrzewski przerwał jej uniesioną dłonią i ostrym spojrzeniem.

– To Stwórca jest od ocen moralnych, jeśli ktoś wierzy w jego istnienie – powiedział. – My jesteśmy tylko gliniarzami i interesują nas fakty.

– Na początku często spotykaliśmy się prywatnie z Bernatowiczami, mieliśmy nawet taką grupę zaufanych przyjaciół związanych z kliniką, jednak w ostatnich dwóch latach sporo się zmieniło.

– Co mianowicie?

– Zauważyłem, że Jakub zaczął się od nas oddalać. Stał się bardziej zamknięty w sobie, nie był zainteresowany utrzymywaniem stosunków prywatnych w dawnym kształcie. Jakby zmykał się w sobie. Oczywiście nadal poświęcał się dla kliniki, jednak odnosiłem wrażenie, że częściej był nie-

obecny duchem, jakby interesowało go coś innego. Myślałem nawet, że ma problemy małżeńskie spowodowane przez kobiety, jednak zbył mnie, kiedy o to zapytałem.

– To jak było z tymi kochankami? Romansował z pacjentkami? – drążyła Karina.

Lekarz poprawił się w fotelu i przetarł chusteczką czaszkę, na której zgromadziły się już całe oddziały kropelek potu, a wcale nie było gorąco.

W tej chwili drzwi do pokoju otworzyły się i do środka zajrzał jeden ze śledczych.

– Mam listę pacjentek Bernatowicza – powiedział, wymachując plikiem kartek.

– Wracaj do firmy, wrzucić nazwiska na bęben, może coś wyskoczy – odpowiedział szybko Marcin i zatrzymał go jeszcze gestem. – Jak idzie technikom?

– Mówią, że jeszcze dwie godziny.

– A informatyk?

– Coś tam grzebie, ale sam go zapytaj, czy coś wygrzebał. – Mężczyzna skrzywił się i drzwi się za nim zamknęły.

Nawet policyjny informatyk posługiwał się branżowym slangiem i był kompletnie niekomunikatywny. Marcin westchnął i skoncentrował spojrzenie na Jacewiczu.

– Na początku istnienia kliniki, kiedy byliśmy dopiero na dorobku, zdarzyło mu się mieć romans z pacjentką – odezwał się lekarz, jakby z ociąganiem. – Wtedy mieliśmy poważną rozmowę i obiecał, że to był ostatni raz. Wie pan, w grę wchodziła reputacja kliniki.

– J-jasne – mruknął Zakrzewski. – Dotrzymał słowa?

– Tak.

– Ale miał inne kochanki? – drążyła Karina.

– Z tym pytaniem już nie do mnie, proszę. – Lekarz spojrzał Karinie twardo w oczy. – Ja się w jego życie prywatne nie wtrącałem.

– W porządku. – Zakrzewski pokiwał głową. – Co pan myśli o zaginięciu Bernatowicza jesienią zeszłego roku?

– Kompletnie zaskoczenie. – Nagle w głosie ginekologa pojawiła się pewność siebie. – Policja była tu kilka razy w tej sprawie, składaliśmy obszerne zeznania. Zarówno ja, jak i personel nie potrafiliśmy nic powiedzieć. Jakub nie dawał nam żadnych podstaw do podejrzeń.

– Powiedział pan, że zachowywał się inaczej w ostatnich miesiącach. Zamykał się w sobie.

– Potwierdzam, ale takie jest życie. Każdy się zmienia. Nasze drogi towarzyskie akurat zaczęły się rozchodzić, to normalne.

Zakrzewski znowu nachylił się w kierunku Jacewicza.

– Rozumiem, że Jakub Bernatowicz nie kontaktował się z panem od dnia zaginięcia i nie wie pan, co się z nim stało albo gdzie aktualnie przebywa? – zapytał z naciskiem.

– Nie mam pojęcia. – Lekarz bezradnie rozłożył ręce.

– Ale mówiąc o nim, użył pan zwrotu „jest dobry lekarzem” zamiast „był dobrym lekarzem”. Dlaczego?

Zmierzyli się wzrokiem. Marcin uznał, że tym razem jego rozmówca jest szczery.

– Ciągle mam nadzieję, że on po prostu przechodzi jakiś kryzys i wróci, kiedy dojdzie ze sobą do ładu. Nie dopuszczam do siebie myśli, że... może już nie żyć.

– J-jasne. Na razie panu dziękuję, chcielibyśmy jeszcze porozmawiać z personelem.

28.

Kto sieje wiatr, ten prosi się o burzę. Wielką nawałnicę z piorunami, niszczącym wszystko deszczem i gradobiciem. Iza Bernatowicz widziała już zarys tej niszczycielskiej siły na horyzoncie, który wyglądał coraz bardziej złowrogo, gdy rozmyślała nad sobą i nad swoim postępowaniem.

– O czym myślisz, lilijko?

No właśnie. O czym ona myślała, idąc z Dawidem do łóżka? Ale teraz było już za późno.

Leżeli nadzy w jej małżeńskim łóżku w sypialni na piętrze i odpoczywali po intensywnym seksie. Było jej cudownie. O ile Kamil był dla niej łagodny i delikatny, Dawid wprost przeciwnie. Kiedy się kochali, obudziła się w nim bestia, której nigdy by się po nim nie spodziewała. Był stanowczy, zdecydowany, czasem brutalny, lecz nigdy nie przekroczył granicy i nie zadał jej bólu. Za to, kiedy ją zdominował, rozkosz była nieziemską.

– Lilijko? – zaśmiała się. – Co to za określenie?

– Nie podoba ci się? – Dawid znowu był sobą, delikatnym, taktownym i czułym mężczyzną, jakby kryły się w nim dwie osoby. – Jak będziesz chciała, będę cię tak nazywał.

– Lilia – zastanowiła się. – Ładnie, może być.

Chciała, żeby tak było, jednak pomruki nadchodzącej burzy były coraz groźniejsze. Kiedy tu dotrze, nic już nie będzie takie samo. Ale chyba już nie miała na to wpływu, więc jedyną myślą, jaka w tej chwili kołatała jej się w głowie, było zawołanie: „Chwilo trwaj!”. Nieważne, że za kilka minut świat się może skończyć. Jej świat. Przecież nie można żyć w zakłamaniu, wreszcie pieprznie i nadejdzie czas burzy.

Wtuliła się mocniej w jego ramię. Pomyślał, że zrobiło jej się chłodno, więc nakrył ich kocem. Tak naprawdę chciała poczuć jego umięśnione ciało

i chociaż na moment być bezpieczna, zapomnieć, zasnąć bez koszmarów i nigdy się już nie obudzić. Miała cudowny mętlik pod czaszką, więc nie myślała.

– Dlaczego milczysz? – spytała.

Odpowiedział po dłuższej chwili.

– To nie było rozsądne.

– Masz wyrzuty sumienia? Nie było ci dobrze?

– Było wspaniale, nigdy nie przypuszczałem, że będzie aż tak miło, ale...

– Tak?

– A jeśli Jakub w końcu wróci?

Przekręciła się na brzuch, dłoń zanurzyła w jego gęstych włosach na klatce piersiowej i oparła się o nią brodą. Patrzyła na niego trochę ze smutkiem, trochę z drwiną.

– Już mnie nie obchodzi Jakub – powiedziała. – Choćby to miało się nigdy nie powtórzyć, ja nie żałuję. Życie składa się z takich pięknych chwil, oby przydarzały się nam jak najczęściej.

– I co teraz będzie? – pytał jak zagubione dziecko we mgle, naiwnie i bezradnie. Pewnie chciał, żeby pomogła mu zagłuszyć wyrzuty sumienia i kaca moralnego, który nieoczekiwanie go dopadł. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, on zapytał znowu:

– A co powiemy Kamilowi?

Po plecach przebiegł jej nieprzyjemny dreszcz. On nie wiedział, że Kamil był pierwszy, nawet nie przypuszczał, że tak samo lubi ich obu, najchętniej nic by nie mówiła i ciągnęła tę sytuację jak najdłużej. Tylko że burza już nieuchronnie nadchodziła.

– On chyba też lubi cię bardziej niż szwagier powinien lubić żonę swojego brata – ciągnął, nieświadomie psując nastrój chwili i przywołując nieszczęście.

– To mu nic nie mów. – Z trudem stłumiała złość, a że nie wyszło jej za dobrze, musiała szybko coś zrobić, żeby tego nie zauważył.

Zamknęła mu usta pocałunkiem, a potem położyła na nich palce, kiedy chciał coś jeszcze powiedzieć.

– Mam ochotę na mocną kawę. – Uśmiechnęła się. – Ty robisz bardzo dobrą, a ja w tym czasie pójde pod prysznic.

– Naprawdę musimy już wstawać? – udał rozczarowanego.

– Tak – zaśmiała się. – Kto powiedział, że tu jeszcze nie wrócimy?

Wstała, podeszła do szafy, w której jeszcze niedawno się ukrywała, wyciągnęła jeden ze szlafroków Jakuba i rzuciła mu. Był wyższy, lepiej zbudowany, miał szeroką klatkę piersiową, więc wyglądał dość śmiesznie. Jakby włożył ciuchy młodszego brata. Właściwie tak było. Izabela znowu poczuła dreszcz niepokoju. Czy już nigdy się od tego nie wyzwoli? Zmora Jakuba w głowie będzie o sobie przypominać przy każdej nadarzającej się okazji?

Dawid zszedł do kuchni, ona w łazience stanęła pod gorącym strumieniem wody. Zamarła na chwilę, patrząc przez małe okienko w łazience. Widać z niego było pole, a za nim Kamienny Las szarpany przez lodowatą wichurę. Na szczęście w domu było ciepło. Już kilka dni temu o kilka stopni podniosła temperaturę, do jakiej miały być ogrzewane wszystkie pokoje w domu. Rachunek za prąd pewnie dla odmiany spowoduje efekt mrozący, ale co tam! Chwilo trwaj.

Zakręciła wodę i sięgnęła po ręcznik, kiedy nagle kącikiem oka zarejestrowała ruch za oknem. Zamarła i wyteżyła wzrok. Wydawało jej się, że w oddali między drzewami na bagniskach widzi szarą postać. Jakby ktoś stał i obserwował dom. Dostrzegła nawet bladszy owal twarzy. Znowu poczuła się dziwnie, niepokój powrócił. Czy to było kolejne widziadło jej męża, które mamiło jej mózg, pojawiając się w najmniej spodziewanych miejscach i czasie? Czy może ktoś realny naprawdę tam stał? Jakub? Nie, on nie może żyć. Pamiętała, jak ostrze grubego śrubokręta wchodziło mu głęboko w ciało, niejeden raz. Ciągłe za zamkniętymi oczami widziała płynącą krew, czuła jej ciepło na dłoni. A jednak ktoś tam był. Na pewno.

Wytarła się pobieżnie, owinęła w ręcznik i prawie wybiegła z łazienki. Musi powiedzieć Dawidowi, że ktoś ją obserwuje. On na pewno coś poradzi. Jest mądry, zdecydowany, przy nim czuła się bezpiecznie.

Na dole już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, lecz na widok rozgrywanej się tam sceny zamarła. Tak, zdecydowanie nadszedł w końcu czas nawalnic i gradobicia. Nie wiedziała, jak się zachować. Po prostu stała nieruchomo i chciała być w tym momencie gdzieś indziej. Może sto kilometrów od tego miejsca, a najlepiej tysiąc.

Na progu kuchni stał Kamil, który pewnie wszedł do domu bez zapowiedzi, używając zapasowych kluczy. Pewnie chciał jej zrobić niespodziankę, bo w jednej ręce trzymał butelkę czerwonego wina, a w drugiej bukiet czerwonych róż. Był blady i miał na twarzy wyraz, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziała. Dotąd zawsze uśmiechnięty i pełen optymizmu. Teraz wypełniał go ten sam mrok, który już kiedyś widziała u Jakuba, kiedy rozpoczęła z nim awanturę o kochankę.

Ten mrok jeszcze bardziej ją sparaliżował. Prawie przestała oddychać. Dawid stał na środku kuchni w zbyt małym szlafroku i nie wyglądał już śmiesznie, tylko strasznie. W kuchni unosił się mocny aromat kawy, lecz w tym momencie nie był taki jak zwykle. Dusił ją i powodował problemy z oddychaniem.

Obaj bracia taksowali ją złymi spojrzeniami, które przenikały do wnętrza jej duszy. Na pewno widzieli całe mieszkające w niej zło. Może już domyślili się, że to ona zamordowała Jakuba. Pewnie zdążyli zamienić ze sobą kilka zdań. O czym rozmawiali? Czy właśnie wszystko w jej życiu znowu legło w gruzach?

Kamil pierwszy otrząsnął się z kilku sekundowego bezruchu. Rzucił kwiaty na podłogę, pod jej stopy, odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami. Po chwili usłyszeli chrzęst żwiru pod kołami jego auta. A potem zapadła cisza.

– Dawid, to nie jest tak, jak myślisz. – Można w takiej chwili powiedzieć coś głupszego? Chyba nie.

Mięśnie zadrgały na jego twarzy, poczerwieniał a potem powiedział podniesionym głosem:

– Jak mogłaś!?! Spałaś z Kamilem. Kurwa, wszystko spierdoliłaś!

– Dawid, nie...

– Zamknij się! Kurwa, teraz już nic nie będzie tak jak dawniej! Spierdoliłaś wszystko. Zakpiłaś ze mnie! Jesteś z siebie zadowolona?

Poczuła, jak łzy rozpaczły spływają jej po policzkach. Nie wiedziała, co zrobić, jak ratować sytuację. Ale chyba już nie było czego ratować. Chciała, żeby Dawid wykrzyczał swoją złość, może nawet ją uderzył, żeby się na niej wyładował. Może wtedy ta złość mu przejdzie i jeszcze da się z tej ruiny coś uratować. Chociaż odrobinę normalności.

Kiedy na nią ruszył, zacisnęła mocno powieki i oczekiwała uderzenia. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Otworzyła oczy, kiedy był już prawie na szczycie schodów. Potem słyszała, jak chodzi po sypialni, szukając swoich rzeczy, ubiera się, czasem przeklina i mówi coś do siebie. Nie minęła minuta, gdy zbiegł, minął ją, nawet nie spojrzawszy, trzasnął drzwiami i już go nie było. Nasłuchiwała jeszcze odgłosu silnika jego auta, lecz wiatr skutecznie zagłuszył wszystkie dźwięki.

Koniec i bomba, kto spierdolił, ten trąba. Idiotyczne słowa kołatały się Izie pod czaszką. Walczyła z zawrotami głowy. Chciała pójść na górę, ale zsunęła się z dwóch pierwszych stopni schodów. Umysł coraz bardziej odpływał w świat iluzji i imaginacji. Koniec i bomba, kto spierdolił, ten trąba! Kiwała się na boki, wreszcie na jej twarzy pojawił się złowieszczy uśmiešek.

– Nikt mnie tak łatwo nie pokona – powiedziała, przeciągając sylaby we wszystkich słowach. – Nikt, nawet ty!

Wskazujący palec prawej ręki skierowała na stojącego w kącie kuchni zakrwawionego Jakuba. Zmora tkwiła nieruchomo i tylko patrzyła na nią pożądliwie. Miała oczy jak dwa żarzące się węgle wyciągnięte z diabelskiego paleniska. Bardzo dobrze!

– Patrz, co straciłeś! – krzyknęła do niego. – Patrz, czego już nie możesz dotknąć, czego już nie możesz mieć! Na wieki stracona!

Zrzuciła ręcznik i płaśała nago wokoło stołu w kuchni. Obracała się, wrowała z rozłożonymi ramionami, śmiejąc się przy tym dziko.

– Patrz! – krzyczała.

A zmora patrzyła, ale jej oczy zaczęły gasnąć. W miarę, jak Izie zaczynało się kręcić w głowie, Jakubowe widmo rozplywało się coraz bardziej. Przystanęła i znowu skierowała w niego oskarżycielski palec.

– Kurwa, nie uciekaj teraz! Masz patrzeć!

Znowu zawirowała wokół stołu, wściekła, że jego już nie było. Wreszcie jeszcze szybciej niż ciało zawirował jej umysł, straciła równowagę, rąbnęła barkiem i udem w futrynę drzwi i upadła na plecy na twarde kafelki podłogi. Ból przywrócił jej przytomność.

Leżała, ciężko oddychając, i ogarnęło ją nagłe przygnębienie. Objęła się ramionami i zastygła w pozycji embrionalnej. Drżała na całym ciele, z oczu potoczyły się łzy. Po chwili łzy przerodziły się w niepowstrzymany szloch. Burza była już nad jej głową i wciąż nabierała mocy. Nic już tego nie powstrzyma. Nikt nie ma takiej siły sprawczej, żeby cofnąć czas i zatrzymać tak długo pielęgnowaną nawałnicę.

Smak krwi w ustach przywrócił ją do rzeczywistości. Przestała płakać, otarła łzy i wrócił rozsądek. Mózg opornie, wolno, ale niepowstrzymanie zaczął myśleć inaczej. Już nie jak chory, tylko bardziej realnie. Dzięki temu do głowy wpadła myśl o tabletkach na jej szaleństwo. Małe, białe pigułki, które sprawiały, że chociaż przez ten krótki okres ich działania była normalna. To było straszne, że dopiero, gdy mózg dostawał porządnego chemicznego kopa, choroba się cofała i mogła być w miarę normalna. Od kiedy nie brała leków? Pamiętała ten moment bardzo dokładnie. Kiedy zaczęli ją częściej odwiedzać Kamil z Dawidem. Wtedy pomyślała – a może to jej choroba pomyślała – że jeśli będzie brała pigułki i będzie normalna, nigdy nic między nią a braćmi Jakuba się nie zdarzy. Jeśli będzie normalna, na pewno sobie nie pozwoli na romans z jednym czy z drugim. A już na pewno nie z dwoma naraz. Wtedy, zamiast popić lekarstwo poranną kawą, wyrzuciła tabletkę do zlewu i zapomniała o nich.

Teraz zrozumiała, że to był bardzo zły pomysł. Ta myśl była jak błysk geniuszu. Poczuli się jak Archimedes zanurzony w wannie pełnej wody, dokonujący wiekopomnego odkrycia. Tabletki będą dobre na wszystko. Tyl-

ko że nie cofnie czasu, nie naprawi błędów, które popełniła, nie spowoduje, że burza zniknie. Ale przynajmniej pozwoli jej normalnie myśleć.

Z trudem podniosła się z podłogi, w szafce z napoczętego blistra wyłuskała białą pigułkę i popiła ją wodą z kranu. Potem wzięła ręcznik i ruszyła w kierunku schodów. I znowu poczuła czyjeś spojrzenie na plecach. Odwróciła się gwałtownie. Tak, coś na pewno poruszyło się na podwórzu i nie był to tylko wiatr szarpiący koronami drzew. Ktoś ją obserwował? Ten sam facet, którego dostrzegła na granicy Kamiennego Lasu? Nie mógł tak szybko zniknąć. Przecież jest środek dnia, gdyby obserwował jej okna z podwórza, na pewno by go teraz zobaczyła. „Nie” – powiedziała sobie w duchu. „To moja choroba”. Przecież takie były jej objawy. Kiedy zapadała się w nią głębiej, widziała rzeczy i osoby, których tak naprawdę w jej otoczeniu nie było, chociaż dla niej były realne. Tak przynajmniej mówił ten lekarz, do którego zabrał ją Jakub. Chciała mu wierzyć i chyba uwierzyła, bo jak tylko zaczęła łykać każdego poranka małą białą pigułkę, coś się wokół niej zmieniło.

W sypialni ubrała się ciepło. Zeszła do kuchni i siedziała przy stole, śledząc palcem słoje w polakierowanym drewnie. Od jednego krańca stołu do drugiego i od nowa. Jeśli uznała, że popełniła błąd, zaczynała wodzić palcem po tej samej nitce jeszcze raz, aż do skutku. Potem wybierała następną nitkę i powtarzała całą czynność od początku. To ją uspokajało. Przestała zwracać uwagę na otoczenie i na upływający czas. Tylko że teraz chemia przeniknęła szybko z żołądka do krwioobiegu i dotarła do mózgu, w pewnym momencie wstrzymując palec. Potem już tylko wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w deski stołu. Reakcje chemiczne zachodzące w jej głowie normowały się. I kiedy zabrzmiał natarczywy, powtarzający się kilkakrotnie dzwonek do drzwi, była już prawie normalna.

Kogo licho niesie? Kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła przed sobą wysokiego mężczyznę o intensywnie niebieskich oczach, ciemnowłosą kobietę o pięknym zielonym spojrzeniu i jeszcze kilka innych osób za nią, zrozumiała, że oto burza uderzyła z pełną mocą. Mówili coś do niej, kiedy poka-

zywali jej policyjne odznaki, potem jakieś papiery, ale ona długo nie potrafiła ich zrozumieć.

Przesłuchanie pracownicy recepcji kliniki było strzałem w dziesiątkę. Zresztą od razu zwrócili uwagę na jej, mimo wszystko, nieadekwatne do sytuacji zachowanie. Można się zdenerwować na widok policji, jednak po kilku czy kilkunastu minutach uczciwy człowiek wraca do stanu równowagi. Chyba że ktoś ma coś mrocznego na sumieniu. Policjanci śledczy są doskonałymi obserwatorami, już po chwili są w stanie z dużym prawdopodobieństwem wytypować osoby podejrzane po samym ich zachowaniu, słowach, gestach. A na zachowanie Moniki Cenckiewicz każdy zwróciłby uwagę.

Kiedy Karina i Marcin wzięli ją na przesłuchanie do jednego z gabinetów, gdzie normalnie lekarz przyjmuje pacjentki, była tak spanikowana, że pomyliła się, odpowiadając na pierwsze zadane jej pytanie. O imię i nazwisko. W pierwszej wersji podała nazwisko panięńskie. Nie zdążyli przejść do kolejnych pytań, bo wypaliła, wprawiając policjantów w osłupienie:

– On tu przychodził jeszcze niedawno, w nocy.

Zakrzewski spojrzał znacząco na Karinę.

– Kto przychodził? – zapytała policjantka.

– No ten mężczyzna, ten od doktora Bernatowicza.

Na kilka sekund zapadło milczenie. Pracownica recepcji wpatrywała się w nich szeroko otwartymi oczami, w których widać było przestrasz. Musiała być dobrym i kompetentnym pracownikiem, skoro została zatrudniona na najbardziej reprezentacyjne miejsce w klinice, mimo niezbyt atrakcyjnego wyglądu. Była pierwszą osobą, do której trafiały pacjentki. Marcin pomyślał, że przecież to jest klinika ginekologiczna, mężczyźni raczej tu nie przychodzą, więc uroda osoby na recepcji nie ma najmniejszego znaczenia.

– Pani Moniko, proszę się nie denerwować – odezwał się łagodnym tonem. – Takie przesłuchanie to standardowa policyjna procedura. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Patrzyła na niego, jakby nie rozumiała, o czym do niej mówił.

– Proszę zacząć od początku – wpadła Zakrzewskiemu w słowo Karina. – My po prostu chcemy się jak najwięcej dowiedzieć o doktorze Bernatowiczu. Wie pani, jego zaginięcie do dzisiaj nie zostało wyjaśnione. Jeśli może nam pani pomóc...

– Oczywiście. Ja bardzo lubiłam doktora Bernatowicza – odpowiedziała szybko. – Kiedy zaginał, długo nie mogłam dojść do siebie.

Zaraz też się okazało, że powód jej zdenerwowania jest jeszcze inny.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć. – Spuściła wzrok na mocno zaciśnięte dłonie. – Miałam umowę z doktorem Bernatowiczem. On nie dałby mi zrobić krzywdy, ale teraz go nie ma. Boję się, że jak to wszystko wyjdzie na jaw, stracę pracę. Ja lubię tu pracować. Może zarobki nie są najwyższe, ale jest bardzo miła atmosfera. Rozumieją państwo...

– Pani Moniko, nas interesuje prawda – odpowiedział wolno Zakrzewski. – Chcemy wiedzieć, co tu się naprawdę działo.

– Rozumiem. – Pokiwała głową i zaczęła opowiadać. – To zdarzyło się na początku wakacji. Szefowie byli na urloпах, a w nocy w klinice włączył się alarm. Przyjechała grupa interwencyjna, a pierwszą na liście do zawiadomienia w takich przypadkach, po szefach, jestem ja. Więc jak do mnie zadzwonili z ochrony, przyjechałam. Razem z grupą interwencyjną obeszliliśmy budynek, lecz na szczęście nie było śladów włamania. Potem obejrzeliliśmy monitoring. I tu zobaczyliśmy coś dziwnego. Na nagraniu z kamery przed drzwiami zobaczyliśmy mężczyznę. Pierwsze drzwi otworzył kluczem, potem stanął przed panelem alarmu i wpisał kod. Miałam wrażenie, że zna ten kod i wpisywał go już nieraz, tylko teraz się pomylił i uruchomił alarm. Kiedy to się stało, spokojnie się wycofał, zamknął pierwsze drzwi na klucz i po prostu odszedł.

– Rozpoznała pani tego mężczyznę? – zapytał Marcin.

– Nie. Był wysoki, barczysty, w czapce i w ciemnych okularach. Pierwszy raz go wtedy widziałam. – Kobieta popatrzyła na policjantów poważnie. Jej zdenerwowanie już się trochę ulotniło. Nawet rozprostowała palce.

– Obcy.

– Tak, na pewno nie pracował w klinice ani raczej z nią nie współpracował. Z racji stanowiska osobiście znam wszystkich naszych dostawców i podwykonawców.

– J-jasne, proszę mówić dalej.

– Wtedy umówiłam się z ochroną, że patrole będą częściej tu zaglądać, i poczekałam, aż doktor Bernatowicz wróci z urlopu. Powiedziałam mu, co się stało, ale on zareagował... dziwnie.

– To znaczy jak? – dociekała Karina.

– Jakby o tym wiedział. Wziął mnie wtedy na rozmowę i poprosił o dyskrecję. Miałam nikomu nie zdradzić, w szczególności panu Jacewiczowi, że jeden z przyjaciół Jakuba, to znaczy doktora Bernatowicza, ma dostęp do kliniki i czasem przychodzi tu w nocy na kilka godzin. Za jego zgodą i wiedzą, ma się rozumieć. Doktor wymógł na mnie przysięgę, że nikomu o tym nie powiem. Z firmą ochroniarską też pewnie się dogadał, bo sprawa przycichła.

– Zapłacił pani? – domyślił się Zakrzewski.

Monika Cenckiewicz spuściła wzrok i spłonęła rumieńcem.

– Tak, kupił moje milczenie za sporą kwotę – przyznała niechętnie i zaraz zaczęła się usprawiedliwiać: – Nie zarabiam tu wiele, jestem matką samotnie wychowującą dwójkę dzieci. Pieniądze są mi potrzebne. A ja go wcale o nie nie prosiłam, on sam mi zaproponował, więc przyjąłem. Od tego czasu często dostawałam duże premie. Wiedziałam za co. Aż do chwili, kiedy doktor Bernatowicz zaginął.

Zakrzewski spojrzał na Karinę. Miała w dłoni zapalniczkę, lecz ani razu jeszcze nie strzeliła iskrą. Po jej minie widział, że jest tak samo podekscytowana jak on. Przed nalotem na klinikę liczyli na wiele, jednak to, co właśnie opowiadała im pracownica recepcji, wyglądało na prawdziwy przełom.

– Wróćmy jeszcze do początku – powiedział wolno. – To był czerwiec czy lipiec?

– Koniec czerwca, ale rozmowa z Jakubem, to znaczy z doktorem, odbyła się w pierwszych dniach lipca.

– Jak on się wtedy zachowywał? – spytała tym razem Karina.

– Odniosłam wrażenie, że chyba był zdenerwowany. Może nawet nie zdenerwowany, ale właściwie zmieszany, jakbym nakryła go z kochanką.

Pewnie użyła takiego porównania nieświadomie, ale to był kolejny temat, o którym policja chciała z nią rozmawiać. Na razie jednak drążyli kwestię tajemniczego mężczyzny.

– Czy w jakiś sposób próbował panią zastraszyć, czuła się pani przez niego zagrożona, czy bała się pani zwolnienia w tamtych dniach? – Zakrzewski przejął zadawanie pytań.

– Nie, absolutnie! – Pokręciła pewnie i energicznie głową. – Nie odczułam z jego strony żadnej presji. Zarówno wtedy, jak i później. Może tylko potem częściej się do mnie uśmiechał, zagadywał, pytał o dzieci. Cały czas sympatycznie, jakbyśmy byli powiernikami wspólnej tajemnicy.

– Pani Moniko, pani jest inteligentną kobietą. Przecież pani tego tak nie zostawiła, prawda?

Pytanie trafiło w cel. Kobieta znowu spuściła wzrok i potwierdziła:

– Obiecałam Jakubowi, że nie będę się interesowała nocnymi wizytami, ale nie dotrzymałam słowa. Też przez zupełny przypadek – zastrzegła zaraz. – Zaszłam do jego gabinetu po dokumenty, które miał podpisać, i zobaczyłam, że jego komputer jest włączony. Spojrzałam na ekran. To był plik z dokumentacją jednej z pacjentek.

– Pamięta pani nazwisko?

– Niestety nie, ponieważ co innego mnie wtedy zaintrygowało. Komputer był inaczej zalogowany do sieci. Nie na doktora Bernatowicza, ale na kogoś innego. Właściwie nie na osobę, tylko na nieznanego mi użytkownika. Zresztą ta nazwa ciągle jest na liście użytkowników w naszym systemie. To było jedno słowo: Lilie. Sprawdziłam to, ponieważ zastanowiło mnie, że na pulpicie nie było żadnych ikonek poza tą jedną.

– Słucham? – Marcin aż się uniósł w fotelu.

– Lilie. Tak jak nazwa kwiatów.

Zakrzewski milczał, czując podniecający dreszcz na karku, który pojawiał się zawsze, kiedy trafiali na przełomowy moment w śledztwie. Teraz przed oczami stanęła mu wiadomość tekstowa, którą Nexus wysłał do Jerzego Madejskiego. Lilie. Już wiedział, że trafili idealnie i są blisko. Teraz tylko trzeba było umiejętnie poskładać fakty, choć w ich strukturze ciągle były białe plamy. Zerknął na Karinę. Ona też wiedziała.

– Czyli ten tajemniczy nocny gość logował się do waszego systemu. Co jeszcze robił? – zapytał szybko.

– Na moim stanowisku znajduje się monitor, na którym wyświetlane są obrazy z kamer wewnętrznego monitoringu – mówiła dalej Cenckiewicz. – Dwa czy trzy razy przeglądałam archiwalne zapisy i widziałam, co robi ten mężczyzna. Właściwie nie robił nic niezwykłego. Czasem przez wiele minut po prostu chodził po korytarzach, a czasem zachodził do pokoju Jakuba i siedział tam dwie albo trzy godziny.

– I Bernatowicz nigdy nie powiedział, po co on przychodzi do kliniki?

– Nigdy.

– Na początku powiedziała pani, że on dalej przychodził, nawet po zaginięciu doktora – przypomniała Karina.

– Tak, był jeszcze dwa razy. W grudniu i w styczniu. Zapisy z monitoringu samoczynnie kasują się po miesiącu, ja jednak przegrałam zapis z tych dwóch dni do siebie na komputer. Na wszelki wypadek, nigdy nic nie wiadomo. Jakuba już wtedy nie było.

Zakrzewski poruszył się na krześle.

– Wciąż ma pani te nagrania? – upewnił się.

Kobieta skinęła głową.

– Proszę nam pokazać – zażądała Karina.

Kilka minut później policyjny informatyk, Rafał o dziwnym nazwisku, którego nikt nie potrafił zapamiętać, siedział przy komputerze w recepcji. Pochylali się nad nim Karina, Marcin i nadkomisarz Góra. Informatyk może i był trudny w kontakcie werbalnym, jednak okazał się fachowcem.

Dwie minuty zajęło mu wyciągnięcie z systemu kliniki danych o użytkowniku Lilie. Okazało się, że został utworzony przez Bernatowicza prawie dwa lata wcześniej. Hasło, którym się posługiwał, też brzmiało: lilie. Przez ten czas logował się do systemu siedemnaście razy, głównie w nocy, na kilka godzin, niekiedy tylko na kilka minut. Po chwili mieli wydruk wszystkich logowań i dzięki temu wiedzieli, kiedy nieznajomy odwiedzał klinikę.

Teraz w skupieniu wszyscy troje obserwowali nagrania, na których wysoki i dobrze zbudowany facet w czapce i w ciemnych okularach wędrował, jakby bez celu, po klinice. Na głównych korytarzach i na klatce schodowej zamontowane były czujniki ruchu, dlatego światło zapalało się samoczynnie. Pozornie pozbawione sensu wędrówki tajemniczego mężczyzny, zapalające się i gasnące światła działały Zakrzewskiemu na nerwy. Nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło.

Po wielu minutach oglądania nic niewnoszących do sprawy obrazów nieznajomego wyszli przed budynek kliniki na szybką naradę.

– Chyba nareszcie coś mamy. – Karina pstryknęła zapalniczką.

– Technicy weszli do gabinetu Bernatowicza, ale od razu mówią, że sprawa jest raczej przegrana – mówił Góra. – Gabinet jest regularnie sprzątany, a klawiatura komputera to istny pierdolnik: części naskórka i włosów. Trudno będzie coś w tym znaleźć.

– J-jasne – mruknął Zakrzewski, jeszcze bardziej wciskając dłonie w kieszenie kurtki i wciskając głowę w postawiony kołnierz skórzanej kurtki. Było mu zimno. Mogli znaleźć lepsze miejsce na naradę.

Nic mu się tu nie zgadzało, więc milczał. Za to Góra wypowiedział na głos teorię, która wyjaśniała przynajmniej większość zagadek. Marcin nie lubił takich nachalnie narzucających się rozwiązań, ponieważ zwykle w tej najważniejszej części okazywały się fałszywe i zawsze skrywały drugie dno. Jednak na ten moment nie było wiadomo, czy tak będzie tym razem.

– Ten facet z monitoringu szantażował doktora Bernatowicza i dlatego dostał dostęp do kliniki i do systemu komputerowego. Być może to właśnie jest nasz zabójca. Wybierał sobie kobiety, które najbardziej pasowały mu do wzorca, a potem je zabijał.

Po minie Kariny widział, że i ona ma co do tego spore wątpliwości.

– Może Bernatowicz był jego współnikiem? – rzuciła.

– Tego też nie możemy wykluczyć – przyznał Góra. – Coś między nimi poszło nie tak i nasz zabójca zlikwidował doktora.

– Tylko współnikiem w czym konkretnie? – Karina zadała kolejne trafne pytanie.

– Historia kryminalistyki zna przypadki seryjnych zabójców działających w zмовie.

– Marcin?

Karina szturchnęła go w ramię, lecz on nic nie odpowiedział, pogrążony we własnych myślach. Widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, wyraziła kolejną wątpliwość:

– Bernatowicz miał setki pacjentek. Jak niby miał wybierać ofiary podobne do wzorca? Przecież w kartotekach nie było ich zdjęć.

– Może potem szukał w mediach społecznościowych?

– To byłoby dość trudne, nazwiska się powtarzają, czasem nie ma fotografii, za dużo komplikacji.

– Czyli Bernatowicz podsuwał mu ofiary. – Norbert wzruszył ramionami.

– W takim razie, po co przychodził nocą do kliniki? Ryzyko było wielkie. Marcin?

Zakrzewski nadal nie zwracał uwagi na ich szybką wymianę zdań, tylko patrzył nieruchomo gdzieś w przestrzeń. Karinę zawsze irytowało takie jego zachowanie, lecz już się nauczyła, że wtedy zawsze wpada na jakiś dobry pomysł. Po prostu tak działał. Nie wiedziała, czy Góra jest tego świadom, lecz przez długą chwilę milczeli, jakby w oczekiwaniu aż jego umysł wróci z dalekiej podróży. I w końcu wrócił.

– To go podnieca – powiedział nagle Zakrzewski, spoglądając na nich z dziwnym błyskiem w oczach.

– Co go podnieca? – zachnął się nadkomisarz Góra.

– Samo przebywanie w tym miejscu – wyjaśnił Marcin. – On chodzi nocą po pustych korytarzach i się przy tym podnieca. Wyobraża sobie różne rzeczy. Przecież to jest klinika ginekologiczna, codziennie na badania przychodzą setki kobiet. On po prostu chłonie atmosferę tego miejsca. To go niesamowicie kręci.

Może coś w tym było. Karinę zemdliło na samą myśl o takim zbrodniarzu, ale wiedziała, że Marcin może mieć rację. Nie mogła oceniać seryjnego zbrojcy przez pryzmat własnych odczuć. Norbert też milczał, analizując te słowa.

– No i jeszcze lilie – ciągnął dalej Marcin. – To jest słowo-klucz. Musimy się dowiedzieć, co dla niego znaczy. Ja zatelefonuję do prokuratora Grabskiego po nakaz przeszukania domu Bernatowiczów w Kamiennej, a ty, Norbert, załatw kilku funkcjonariuszy z prewencji.

Godzinę później kawalkada pięciu aut jechała drogą numer 94 w kierunku Środy Śląskiej. Pierwsze auto prowadziła Karina. Co chwilę zerknęła na pogrążonego w milczeniu Marcina, wreszcie nie wytrzymała:

– A jeśli Jakub Bernatowicz żyje?

Marcin przeciągnął się i podrapał po karku.

– Nie możemy tego wykluczyć – potwierdził. – Może to on przychodził nocą do kliniki?

Karina skupiła się na prowadzeniu samochodu. Wiatr wiał im prosto w przednią szybę, niosąc ze sobą drobinki deszczu i lodu. Widoczność była słaba, a ruch na drodze duży. Zwolniła przed tablicą z nazwą miejscowości. Błonie. Już niedaleko.

– Też o tym pomyślałam – przyznała. – Tylko że ten facet z nagrań wydaje się wyższy i mocniej zbudowany.

– Nie analizowaliśmy tego. Mógł się w ten sposób maskować. Nie mógł pozwolić, żeby ktoś z kliniki go poznał.

– To bez sensu. – Pokręciła gwałtownie głową. – Gdzieś robimy błąd w rozumowaniu. On był lekarzem ginekologiem. Chodził w nocy i się podniecał? A w dzień?

Zakrzewski długo nie odpowiadał. Nie miał dobrego wyjaśnienia dla jej wątpliwości. Sam zmagał się z gonitwą myśli pod czaszką. Żadna z nich nie tłumaczyła niczego. Być może byli już na dobrej drodze, ale ciągle mogli pobłądzić we mgle.

– Znasz tego komisarza ze Środy Śląskiej, który prowadził sprawę zaginięcia Bernatowicza? – zapytała nagle.

– No, znam – przyznał niechętnie Marcin.

– Coś z wami nie tak? – Zerknęła na niego szybko.

– Nie wiem, lata ze sobą nie rozmawialiśmy – Wzruszył ramionami.

– To twój krajan, pochodzi ze Szczepanowa, jak ty.

– Tak, Wiktor Wiktorski. To był dobry policjant, ale odkąd odeszła od niego żona wiele lat temu, popadł w alkoholizm. Ludzie w komendzie w Środzie go lubią, więc tuszują jego alkoholowe wpadki i namawiają do przejścia na emeryturę. Nie wiem, jak długo to potrwa, w końcu wywinie taki numer, że go wywalą.

– Zadzwonisz do niego?

Zakrzewski wysupłał z kieszeni kurtki telefon i długo wpatrywał się w ekran z wahaniem. Wreszcie podjął decyzję.

– Masz rację, ściągnę go do Kamiennej, on o Bernatowiczach wie więcej od nas – powiedział i wybrał numer.

Kiedy skończył rozmowę, jechali już Kolejową w Środzie Śląskiej w kierunku dworca kolejowego.

29.

W drzwiach stała bardzo ładna brunetka z długimi włosami. Na początku Zakrzewski wzdrygnął się na jej widok. Była tak podobna do Klaudii Kani, że przez moment miał wrażenie, że się pomylili i ona cały czas żyje. Otrząsnął się dopiero, kiedy się zorientował, że Izabela Bernatowicz ich nie słucha. Ma nieobecne spojrzenie, jakby była w zupełnie innym czasie i miejscu. Bardzo wolno dochodziła do siebie, wreszcie zaczęła reagować. Musiała być na lekach albo po mocnym drinku, skoro trzeba było trzy razy powtórzyć pytanie o imię i nazwisko.

– Tak, to ja. – Miała miły głos, pewnie mogłaby pracować w radiu.

Zakrzewski jeszcze raz powtórzył wszystko od początku. Przedstawił ich, pokazał nakaz przeszukania domu i poprosił o wpuszczenie do środka.

– Tak, oczywiście – powiedziała i odsunęła się.

Nadkomisarz Góra wraz z policjantami z prewencji wypytał ją o pomieszczenia na piętrze i na parterze. Odpowiadała już przytomnie, jakby czekała na tę chwilę od dawna. Norbert rozdzielił zadania i ostrzegł funkcjonariuszy, żeby nie zrobili bałaganu. Kilku mężczyzn i dwie kobiety po cywilnemu rozeszli się po domu.

Iza Bernatowicz stała ciągle przy drzwiach, jakby nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Karina Buczko ujęła ją za ramię.

– Możemy porozmawiać na osobności? – zapytała i, nie czekając na reakcję, poprowadziła ją do kuchni.

Usiedli przy stole z dębowych desek. Marcin dał jednemu ze swoich ludzi znak, że chcą być sami. Izabela zaproponowała im kawę, a potem usiadła tyłem do okna, wkładając dłonie pod uda. Jeśli to nalot policji tak na nią wpłynął, to właśnie wracała do siebie.

– Czy jesteście tu w sprawie mojego męża? – zapytała.

– Można powiedzieć, że tak – przyznał Marcin. – Sprawa dotyczy zabójstwa.

Izabela Bernatowicz wyraźnie pobladła.

– Zabójstwa mojego męża? – zapytała cicho.

– Pozwoli pani, że to my będziemy zadawać pytania.

Takie zdanie zawsze ustawiało rozmowę i służyło przejęciu inicjatywy. Nie uspokoiło kobiety, ponieważ przestraszona na jej twarzy był aż nadto widoczny. Szepnęła coś pod nosem o burzy, lecz policjanci nie zrozumieli sensu tej wypowiedzi. Karina spojrzała znacząco na Marcina. On też dostrzegł, że żona doktora zachowuje się dziwnie. Nawet zajrzał jej w oczy, żeby ocenić stan źrenic, ale oczy miała mętne i załzawione, więc niczego podejrzanego nie dostrzegł.

– Tak, oczywiście – powiedziała już głośniej.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panią o mężu, Jakubie. Czy kontaktował się z panią po zaginięciu?

– Nie, przecież utopił się na bagnach.

– Skąd ta pewność?

– Przecież mówił, że idzie się utopić. Dlaczego miałabym mu nie wierzyć? Może choć raz mnie nie okłamał?

Karina tylko chrząknęła, a Marcin podrapał się po karku.

– Czy niedługo przed zaginięciem zauważyła pani u niego zmianę zachowania? – pytał dalej.

– Nie. – Najwyraźniej z każdą odpowiedzią nabierała pewności siebie. – Nie zmienił się. Tak samo pieprzył swoje kochanki jak w poprzednich latach.

Kątem oka Marcin widział, że siedząca obok Karina z trudem powstrzymuje śmiech. No tak, Izabela Bernatowicz waliła prosto z mostu i bez żadnego skrępowania. Zresztą dlaczego miałyby być inaczej?

– Jakie było jego podejście do kobiet?

Wyciągnęła w końcu dłonie spod ud i położyła je na stole. Marcin zwrócił uwagę na zaniedbane paznokcie, jakby z nerwów często je obgryzała. Zresztą to też nie było w tym przypadku niczym szczególnym. Ostatnie miesiące pewnie jej nie rozpieszczały.

– W stosunku do mnie zawsze był kochającym, troskliwym i czułym mężem. – Na jej ustach wykwitł złośliwy uśmiech, w którym odsłoniła zęby jak kobra zęby jadowe przed zadaniem ofierze ostatecznego ciosu. Marcin ciągle nie mógł jej rozgryźć, ciężko przychodziło mu zadawanie pytań, a Karina na razie nie zamierzała go w tym wesprzeć. – Przez wszystkie lata małżeństwa wydawało mi się, że jest chodzącym pierdolonym ideałem. Myślałam, że jestem szczęściarą i złapałam pana Boga za nogi. No i tamtego tragicznego dnia znalazłam w jego telefonie obleśne zdjęcia, które wysyłali sobie z kochanką, umawiając się na seks analny. Po jego śmierci pewne osoby życzliwie ujawniły mi prawdę o moim doskonałym mężu, kurwiarzu. A że uczyniły to post factum, nie mam już zbyt wielu znajomych, jeśli w ogóle was to interesuje.

– Dlaczego mówi pani o mężu jak o osobie zmarłej? – Karina nareszcie dała Marcinowi chwilę do namysłu. – Nie znaleziono jego ciała.

– Mam nadzieję, pani porucznik...

– Aspirant.

– Pani aspirant, że chociaż raz w życiu ten skurwysyn mnie nie okłamał. – Izabela cedziła słowa przez zaciśnięte zęby. – A tutejsze bagno bardzo rzadko zwraca światu ciała, które pożera.

– Czy znała pani przyjaciół męża? – Zakrzewski nie spuszczał z niej badawczego spojrzenia.

Nagle rozległ się głośny stuk dochodzący z piętra, potem szybkie kroki i wymiana zdań między funkcjonariuszami, które jednak były dla nich nieczytelne. Wszyscy troje spojrzeli w górę i słuchali, dlatego gospodyni odpowiedziała z opóźnieniem:

– Tak jak już wspomniałam. Kiedyś wydawało mi się, że tak, ale chyba byłam w błędzie. Trzymał mnie na tym zadupiu, bo tak było mu wygodnie. Stąd nie miałam możliwości odkryć jego prawdziwego oblicza. Byłam taką

owcą hodowaną na rzeź, głupią domową cipą. Wiecie, że to on namówił mnie, żebym rzuciła pracę w pracowni architektonicznej? Byłam dobrze zapowiadającym się architektem. Sama zaprojektowałam ten dom i otoczenie. A on ze mnie zrobił kurę domową i trzymał tu na złotym łańcuchu, mamiąc i oszukując.

– Czy odwiedzali go koledzy, przyjaciele?

– Kiedy go mieli odwiedzać, przecież jego ciągle nie było w domu? – zachnęła się i jej głos stwardniał. – Oficjalnie miał tyle pracy w klinice. Ciągle rozwijał firmę, żeby zarabiać coraz więcej pieniędzy, żeby mnie mieć bogactwem. Teraz już wiem, jaka była prawda. Czasem zapraszał tu na grilla współpracowników i zaufanych pracowników z kliniki, ale ostatnimi czasy chyba uznał, że nie musi dbać o pozory.

– A teraz panią ktoś odwiedza? – wtrąciła Karina.

– Tak. Bardzo często odwiedzają mnie bracia mojego męża, Kamil i Dawid. Czasem ciężko jest samotnej kobiecie utrzymać taki wielki dom i rozległy teren. Potrzeba męskiej ręki. Pomagają mi. Mieszkają niedaleko.

– Co robią bracia męża? – zainteresował się Marcin.

– Kamil pracuje w hurtowni materiałów budowlanych. Nie wiem, co robi Dawid. Chyba jest na emeryturze. Sami najlepiej wiecie, że mundurowi mogą przejść wcześniej na emeryturę.

– Mundurowi? – Karina uniosła brwi.

– Tak, Dawid był chyba żołnierzem, ale niewiele o tym opowiada.

Zakrzewski zacisnął szczęki i spojrzał znacząco na koleżankę. Potem wstał i rzucił do zdziwionej Izabeli:

– Na razie dziękujemy za rozmowę. Pewnie jeszcze do niej wrócimy.

Iza Bernatowicz patrzyła zdziwiona, jak policjanci zrywają się z krzeseł i prawie wybiegają z kuchni. Czy powiedziała coś złego? Starła się brzmieć zdecydowanie i wykreować się na kobietę skrzywdzoną, która ma wielki żal do męża. Myślała, że to zadziała i odsunie podejrzenia od jej osoby. Trochę się zdenerwowała, szczególnie kiedy drzwi się otworzyły i do środka weszła inna policjantka po cywilnemu. Stała się i posłała jej uspra-

wiedliwiający uśmiech. Pilnowali jej. Z jednej strony obawiali się, żeby sobie czegoś nie zrobiła, jak ta polityk na Górnym Śląsku przed wielu laty, z drugiej pewnie pilnowali, żeby nie zechciała uciec. A ona przecież by nie uciekła, tym bardziej nie zrobiłaby sobie nic złego. To ona była ofiarą.

Gdy tylko zamknęły się drzwi do kuchni, Zakrzewski natychmiast wybrał numer. Młodszy aspirant Waldemar Patys zgłosił się po kilku sygnałach.

– Jeszcze sprawdzam te osoby z listy Bernatowicza – powiedział od razu.
– Na razie nie mamy nic ciekawego.

– Dlaczego nikt nie sprawdził braci Jakuba Bernatowicza? – zapytał ostro Marcin.

– Sprawdzaliśmy. – Patys się zawahał. – Kamil i Dawid, ale oni są czyści.

– Dawid był zawodowym żołnierzem, wiedziałeś o tym?

– No nie dotarliśmy do tej informacji. – Patys się wyraźnie zmieszał. – Nie było jej w żadnych oficjalnych dokumentach.

– Zostaw na razie te nazwiska. Idź do Łapickiego. Niech użyje swoich kanałów i sprawdzi, w której jednostce służył Dawid Bernatowicz. Jasne?

– Tak jest!

Zakrzewski przerwał połączenie i spojrział na stojącą obok Karinę.

– Myślisz, że go mamy? – zapytała.

– Nie wierzę w aż takie zbiegi okoliczności. Dzwonź do prokuratora Grabskiego. Zapytaj, czy da się załatwić na cito nakaz przeszukania domu Dawida Bernatowicza. Jeśli nie będzie do tego podstaw, sami do niego pojedziemy większą grupą, porozmawiać.

Karina tylko skinęła głową i wyszła do salonu z telefonem przy uchu. Marcin został w korytarzu i próbował zebrać w jedną całość rozbiegane myśli. Dopiero teraz poszczególne elementy układanki zaczynały do siebie pasować. Był prawie pewien, że Dawid Bernatowicz służył w tajnej jednostce specjalnej u pułkownika Pasickiego. Pasicki pomylił się, typując Bestię spośród swoich byłych i obecnych żołnierzy. Nie wiadomo, jakimi kryteriami się kierował, ale pominął Dawida Bernatowicza. To jest Bestia. Być

może zawsze był zafascynowany żoną swojego brata, fantazjował o niej i jej pożądał do tego stopnia, że popadł w manię. Szukał kobiet jak najbardziej do niej podobnych, a potem je zabijał. Marcin nie wiedział jeszcze, dlaczego Jakub Bernatowicz mu w tym pomagał. Na pewno mu pomagał, wyszukując mu coraz to nowe ofiary, pozwalając mu na nocne wizyty w klinice. Dlaczego to robił? Może Dawid go szantażował, a może był taką samą bestią jak brat i podniecało go uczestniczenie w zbrodniczym procederze. Zakrzewski zawsze powtarzał, że życie pisze o wiele straszniejsze i bardziej nieprawdopodobne scenariusze, niż są w stanie wymyślić sami ludzie. Czasem życiowej makabry nic nie jest w stanie prześcignąć.

Dawid Bernatowicz też mógł uczestniczyć w tamtej feralnej operacji pod nazwą „Nexus”, w której Madejski popełnił błąd kosztujący życie jednego z żołnierzy. Może nawet ten zabity był dla niego obojętny. Po prostu Klaudia Kania była bardzo podobna do jego szwagierki, a przy okazji Dawid postanowił ukarać Madejskiego za tamtą operację. Mógł mieć po prostu takie chore poczucie sprawiedliwości.

Włamanie do domu pod lasem, należącego do Franciszka Wasyluka, też zgrabnie wpisywało się w tę układankę. On przecież był z tych stron. Wiedział, że brat Wasyluka był skazany i odsiedział wieloletni wyrok. Albo chciał zakpić z policji, albo zagmatwać śledztwo, albo po prostu wykazać ich niekompetencję. Przecież komisarz Wiktorski przez telefon powiedział, że to była ustawka i z dużym prawdopodobieństwem sprawcą jest ktoś inny. Może Dawid Bernatowicz? Szybko policzył, ile on mógł mieć wtedy lat. Miał osiemnaście albo dwadzieścia lat? Wszystko pasowało. Musi porozmawiać z Wiktorskim.

– Panie nadkomisarzu!

Zakrzewski niechętnie ocknął się z zamyślenia. Karina jeszcze rozmawiała przez telefon, wołał go mundurowy z prewencji stojący na szczycie schodów.

– Co tam?

– Musi pan to zobaczyć!

W trzech skokach był na górze. Funkcjonariusz wskazał mu drzwi do gabinetu Jakuba Bernatowicza. Na biurku leżała szara koperta, wokół której rozsypane były dowody osobiste. Pochylał się nad nimi nadkomisarz Góra, a technik kryminalistyczny najwidoczniej zdążył już ściągnąć odciski palców, bo teraz na laptopie sprawdzał je w policyjnej wyszukiwarce.

Marcin stanął przy biurku, czując jak serce gwałtownie mu przyspiesza. Czy to pasowało do układanki, która właśnie ułożyła mu się w głowie? Pasowało. Potwierdzało nawet tezę, że bracia ze sobą współpracowali. Nie było jednej Bestii, tylko dwie. Poczul nagle zimny dreszcz na plecach. Był jeszcze trzeci brat – Kamil. Czy on też w tym uczestniczył, też był Bestią? Cała sfora nieludzkich bestii grasująca w społeczeństwie i mordująca dla zaspokojenia własnych żądz. Prawdopodobne? Jak najbardziej. O scenariuszach, jakie pisze życie, też już przed momentem myślał.

– Ile ich jest? – zapytał szybko.

– Pięć więcej niż ciał – odpowiedział szybko Góra.

– Kurwa mać! – Znowu ten nieprzyjemny dreszcz na plecach.

Dlaczego nikt wcześniej nie powiązał ze sobą tych zaginięć? Był wściekły na system, na policję, na siebie. Jakies mechanizmy nie zadziałały, coś jak zwykle poszło nie tak, nikt nie skojarzył, komuś nie chciało się sprawdzić, systemy ewidencji nie są ze sobą kompatybilne i nie ma automatycznego porównywania tych samych danych. A teraz muszą ścigać się z kolejną bestią, żeby nie było więcej ofiar.

– Dokumenty znaleźliśmy w tej kopercie w skrytce za szufladą – wyjaśnił Góra. – Standard, nic wymyślnego.

– J-jasne. Macie odciski palców? – Marcin zwrócił się do technika.

– Były wyczyszczone, ale pojedyncze wyraźne odciski znalazłem – wyjaśnił technik. – To tak, jakby ktoś po wyczyszczeniu przeglądał te kartoniki.

– Mamy te odciski w bazie?

– Właśnie znalazłem w bazie ewidencji ludności. – Technik uśmiechnął się od ucha do ucha i odwrócił ekran laptopa w kierunku śledczych.

Wystarczył rzut oka.

– Nie ma zaskoczenia, co? – zapytał jeszcze retorycznie technik.

Zakrzewski go już nie słuchał. Włożył na prawą dłoń lateksową rękawiczkę, a potem zgarnął dowody osobiste do koperty, odwrócił się napięcie i ruszył do kuchni. Po drodze spotkał Karinę.

– Na razie nie będzie nakazu przeszukania – oznajmiła. – Musimy mieć twarde dowody, a nie tylko podejrzenia. Musimy tam pojechać sami, mam adres w Szczepanowie.

– J-jasne. Chodź ze mną, jest sprawa.

Izabela Bernatowicz siedziała w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawili. Może tylko wyglądała na bardziej zmęczoną. Gryzła palce, siedząc bokiem do okna, i obserwowała plamki w rogu sufitu. Spojrzała na nich niechętnie. Pilnująca jej policjantka wycofała się dyskretnie i zamknęła za sobą drzwi.

– Może nam pani to wytłumaczyć? – Zakrzewski rzucił na stół szarą kopertę.

Izabela wyraźnie pobladła, zagryzła wargi i znowu wcisnęła dłonie pod uda.

– Nie wiem, co to jest – odpowiedziała.

Marcin wysypał zawartość koperty na stół. Ze zdjęć spojrzęło na nich kilka tętniących życiem twarzy. Tylko to była już przeszłość, teraz tych twarzy już nie ma, zostaną jedynie w ludzkich wspomnieniach i na takich fotografiach.

– A teraz pani poznaje?

– Pierwszy raz widzę. – Izabela pobladła jeszcze bardziej.

– Kłamie pani – powiedział szorstko Zakrzewski. – Na wszystkich dowodach osobistych są wyłącznie pani odciski palców. Może nam to pani wyjaśnić?

W pomieszczeniu zapadła cisza. Słyszeć było tylko auto odjeżdżające z podwórka, głosy policjantów na zewnątrz i chrzęst żwiru pod ich stopami. No i oczywiście szum tego cholernego wiatru w tle.

– Znalazłam je niedawno – skapitulowała w końcu. Mówiła cicho, ze wzrokiem wbitym w blat stołu. – Nie wiem, po co Jakub kradł dowody osobiste swoim kochankom. Może na pamiątkę?

– Proszę na mnie spojrzeć, pani Izo! – rozkazał Marcin.

Kiedy podniosła na niego błyszczące oczy, powiedział dobitnie:

– Te wszystkie kobiety zostały zamordowane.

Nie uciekła wzrokiem. Długo patrzyła na nadkomisarza, a jej usta otwierały się i zamykały, nie wydając żadnego dźwięku.

– Jakub je zabił? – zapytała wreszcie cicho.

– Tego jeszcze nie wiemy. Jak pani myśli, jak dokumenty mogły się tu znaleźć?

– Nie wiem, Jakub je przyniósł do domu.

– W jakim celu?

– Nie wiem. Myślałam, że to jego kochanki... Przyniósł na pamiątkę?

– Dlaczego pani tego nie zgłosiła? – wtrąciła się Karina.

– Byłam już wystarczająco upokorzona przez tego skurwysyna. – Izabela Bernatowicz patrzyła jej twardo w oczy i znowu, jak poprzednio, wyciągnęła dłonie spod ud i ułożyła je równo na stole. – Myślałam, że nikt ich nigdy nie znajdzie.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani Dawida Bernatowicza? – Zakrzewski chciał ją trochę zaskoczyć, lecz ku jego rozczarowaniu ani drgnęła. Tylko przeniosła na niego spojrzenie.

– Dwie, trzy godziny temu – odpowiedziała, jakby z namysłem. – Często wpada do mnie rano na kawę i pyta, czy czegoś mi nie potrzeba. Czasem pyta, jak się czuję, rozmawiamy, jest bardzo miłym facetem, myślę, że nigdy nie zrobiłby swojej kobiecie takiej krzywdy, jaką jego brat zrobił mnie.

Policjanci spojrzeli na siebie szybko.

– Zresztą Kamil też mnie odwiedza – ciągnęła Iza. – Narąbał i przyniósł drzewa do kominka, zrobił mi zakupy. Oni przyjeżdżają na zmianę, a czasem obaj.

Kiedy wypowiadała te słowa, Marcin dałby głowę, że kobieta odjechała myślami gdzieś bardzo daleko i specjalnie się nie odezwał, żeby poczekać, co jeszcze powie. Ona jednak zamilkła i spojrzała na niego zupełnie przytomnie.

– Co pani wie o Dawidzie? – zapytał.

Wyraźnie się zawahała, długo namyślała i wreszcie powiedziała tylko:

– Jest miły, uprzejmy, przystojny.

– Czy ma kogoś?

– Chyba nie. – Spojrzała na niego wyraźnie zaskoczona. – Nie wiem.

– Gdzie pracuje?

– Nie wiem, chyba nie pracuje...

– W takim razie z czego się utrzymuje?

– Nie wiem...

– To co pani o nim wie? – nie wytrzymała policjantka.

Izabela spojrzała na nią przeciągle.

– Chyba nic...

Zakrzewski wstał i spojrzał na nią z góry.

– Proszę jeszcze tu zostać – powiedział stanowczo. – Niedługo kończymy.

Zebrał dowody osobiste do szarej koperty i razem z Kariną wyszli, a do kuchni wślizgnęła się natychmiast ta sama policjantka.

Za drzwiami czekał już nadkomisarz Góra. Marcin oddał mu kopertę.

– Znaleźliście coś jeszcze? – zapytał.

– Dom jest raczej czysty – stwierdził Góra. – Ale jeszcze nie skończyliśmy.

Kiedy Góra zniknął w salonie, Karina odciągnęła go jak najdalej od kuchennych drzwi.

– Jestem przekonana, że ona kłamie – powiedziała. – Robi to doskonale. Nie wykonuje zbędnych gestów, nie ucieka wzrokiem w bok, nie poci się, ale kłamie. Nie czujesz tego?

– Na pewno stara się nas zmanipulować – skinął głową. – Może wie o wiele więcej, niż nam mówi?

– Myślisz, że Dawid Bernatowicz jest Bestią?

Przez chwilę jakby się wahał, ale odpowiedział już bardzo zdecydowanie.

– Jeśli okaże się, że Dawid służył w małej jednostce w Bieszczadach albo na Pomorzu i nic więcej nie da się od wojskowych wyciągnąć, to będzie ostateczny dowód, że on jest Bestią. Musimy tylko ustalić, jak w to wszystko uwikłany był Jakub i czy ich trzeci brat też jest w zмовie z Dawidem.

Karina nie wyglądała na przekonaną.

– Może spróbujemy skontaktować się z pułkownikiem Pasiackim?

– Nie, musimy poradzić sobie sami. Zadzwoń do chłopaków, żeby sprawdzili tego Kamila, dowiedz się, co wiedzą już o Dawidzie. I zadzwoń jeszcze do Grabskiego. Potrzebujemy bilingów z numerów telefonów całej trójki Bernatowiczów i Izabeli. Przydałyby się informacje, gdzie ostatnio logowały się telefony Dawida i Kamila. Powiedz Norbertowi, żeby wysłał kogoś do dyskretnej obserwacji domów Dawida i Kamila. Tylko żeby nie paradowali im przed oknami w mundurach.

– A ty?

– Ja pogadam z Wiktorskim.

Starego policjanta znalazł pod wiatą przy basenie. Wiktorski siedział na ławie, nonszalancko założył nogę na nogę, jakby czekał w kolejce do lekarza. Zresztą wyglądał na chorego. Marcin nie widział go już parę lat. Wiktorski postarzał się, trochę schudł, przez co na twarzy pojawiły się nowe bruzdy zmarszczek, widać było po nim lata nadużywania alkoholu. Mimo to nadal w spojrzeniu miał ten szelmowski błysk, który Zakrzewski pamiętał z czasów, kiedy widywali się częściej.

– Mój słynny kolega – rzucił na powitanie Wiktorski.

– J-jasne.

Uścisnęli sobie dłonie, Marcin przysiadł obok niego i tak jak on zapatrzył się przed siebie. Zaraz za basenem było ogrodzenie, a dalej pole i ciemny

las. Marcin domyślił się, że to te bagna cieszące się złą sławą, na których rzekomo zaginął Jakub Bernatowicz.

– Czego chcecie od doktorowej? – odezwał się dzielnicowy.

– Właściwie nie od niej, tylko od jej męża. – Zakrzewski wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru niczego przed starszym kolegą ukrywać. – Mamy mordercę kobiet. Wszystkie są podobne do Izabeli Bernatowicz i były pacjentkami jej męża. Zresztą teraz w jej domu znaleźliśmy dowody osobiste zamordowanych.

W skrócie opowiedział Wiktorskiemu o pościgu za Madejskim, samobójstwie, Nexusie, lilijkach, o znalezieniu ciał w starym magazynie i dziwnym powiązaniu ze sprawą Franciszka Wasyluka. Komisarz Wiktorski zastygł na długą chwilę z papierosem przy ustach.

– Cholera jasna, nic nie wiedziałem – powiedział wreszcie, szczerze zaniepokojony. – Bernatowicz miałby być mordercą?

– To raczej wykluczam. Moim zdaniem mordował ktoś inny, a Bernatowicz mu tylko pomagał. Szukałeś go wtedy na bagnach. Opowiedz, jak było naprawdę.

Wiktorski opowiedział ze szczegółami o nocnej wyprawie na bagna. Nie pominął żadnych szczegółów, wspominał o Janku Makarewiczu i o nieporozumieniu między jego ojcem a Feliksem Grzegorzakiem.

– Wiesz co? Im dłużej teraz nad tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że wtedy to nie było tak, jak wszyscy myśleli – podsumował, rzucając niedopałek na kostkę brukową i dokładnie rozcierając butem.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Marcin.

– Wiesz, na początku podejrzewałem Izabelę, że zamordowała męża i ukryła ciało. Byłem nawet na skraju tych cholernych bagien z łopatą i rozkopałem miejsce, gdzie moim zdaniem naruszona trawa była. Oczywiście niczego nie znalazłem. Ale teraz im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do przekonania, że Bernatowicz po prostu gdzieś uciekł. Jeśli mówisz, że mógł być współnikiem w zabójstwach, może po prostu

uciekł przed konsekwencjami. Nikt go tu potem nie widział. Kamień w wodę.

– Dlaczego podejrzewałeś Izabelę? – dopytywał Zakrzewski.

– Rozmawiałeś z nią dzisiaj? – Dzielnicowy odpowiedział pytaniem. – To miła kobieta, pewnie nieszczęśliwa, zdradzana przez męża, ale jest też w niej coś dziwnego i mrocznego. Jej nastroje zmieniają się jak wykres z sejsmografu podczas trzęsienia ziemi. Raz twardo stąpa po ziemi, a raz jest odjechana, jakby napaliła się jakiegoś zielska. Trudno za nią nadążyć.

– No tak, z koleżanką odnieśliśmy wrażenie, że nie mówi całej prawdy – przyznał Marcin. – Jej zachowanie też odbiega od standardów. Miała jakieś poszlaki, że mogła zabić swojego męża?

– Nic. – Starszy policjant wzruszył ramionami. – Miała na ciele ślady po pobiciu i duszeniu, co potwierdziła potem autopsja, ale nic więcej.

– Jaki był Bernatowicz?

– Chodzący ideał – zaśmiał się głośno Wiktorski. – Idealny kandydat na seryjnego mordercę.

– Znasz jego brata Dawida?

– Pewnie, że znam. Trochę dziwny, zamknięty w sobie, prawy i uczciwy aż do bólu. Na księdza by się nadawał.

– Dlaczego? – zdziwił się Zakrzewski.

– Bo z wierzchu święty człowiek, a pod sutanną wychodzi z niego diabeł.

– Co masz na myśli?

– Tak tylko mówię. – Wiktorski zapalił kolejnego papierosa. – Nie może być taki święty, za jakiego uchodzi. Każdy ma jakieś mroczne tajemnice.

– A on ma?

Wiktorski zaciągnął się dymem i zamyślił się, jakby sobie coś przypominał. Wreszcie skrzywił się zniecierpliwiony, więc pewnie sobie nie przypominał.

– Kiedyś, ktoś chlapanął, że Dawid jest podoficerem w wojskach specjalnych. Jeździł na jakieś misje do Afganistanu, Iraku, ponoć był też na wojnie

na Bałkanach. Nie pamiętam tylko, skąd to wiem. Wydaje mi się, że to ktoś z Kamiennej po pijanemu powiedział i się rozniosło, jak każda sensacja. Ale ja tam Dawida nie pytałem. Jego sprawa. Raz tylko doszło do mnie, że po pijanemu wpadł w szal i mało swojej poprzedniej kobiety nie zabił.

Zakrzewski nadstawił uszu.

– Możesz powiedzieć coś więcej? – zapytał.

– Nie było zgłoszenia, więc to kolejna plotka. Ale jak wiadomo, musi być jakieś ziarenko prawdy. Odeszła od niego wtedy. Spakowała się ponoć do jednej walizki i ślad po niej zaginął.

– Jak to zaginął? – Zakrzewski drgnął.

– Nie tak, jak myślisz – zarechotał Wiktorski. – Do matki wróciła.

– Coś jeszcze wiesz o Dawidzie?

– Mówią, że nową kobitę ma. Zresztą on z tych, co często wymieniają na młodsze egzemplarze. – Dzielnicowy nagle zmierzył śledczego uważnym spojrzeniem. – Co ty się bardziej Dawidem niż doktorem interesujesz?

– Mam swoje powody – zbył go Zakrzewski.

Wiktorski długo się nie odzywał. Dopalił papierosa, a potem zatarł zmarznięte dłonie.

– Nie mówisz, nie pytam – powiedział wreszcie, lecz w jego głosie nie było rozczarowania.

Zakrzewski pokazał las za polem.

– To tam zginął Jakub? – zapytał.

– Tak, tam są te cholerne bagna.

Zakrzewski nagle zmienił temat.

– Józef Wasyluk. Ponoć swoje odsiedział w pierdlu. Znasz gościa?

– Znam – potwierdził, a potem wskazał na kępę drzew trochę na lewo od Kamiennego Lasu. – Tam mieszka, w takiej cholерnej ruderze. Prywatnie zajmuję się jego sprawą.

– Jak to prywatnie?

Wiktorski opowiedział Marcinowi o wątpliwościach związanych ze skazaniem Wasyluka, o prokuratorze z PRL, który wprost powiedział, że Wasyluka wrobili, o poszukiwaniach na własną rękę gwałciciela i mordercy sprzed lat. I o tym, że najprawdopodobniej jakiś układ w milicji go wtedy chronił. Opowiedział o rozmowie z Wasylukiem w dawnym domu Owczarskich i o karteczkach ukrytych za starą boazerią.

Zakrzewski słuchał z zainteresowaniem. Co zabójca chciał im wtedy przekazać w domu Franciszka Wasyluka? Czy to był tylko przypadek?

– Jaki jest ten Józef Wasyluk? – zapytał zaciekawiony.

– Facet odsiedział swoje, a wiesz, jak ciężkie więzienie zmienia człowieka. Teraz jest złamanym przez życie i zgorzkniałym starym dziadem, który chciałby pewnie wiedzieć, jaka była prawda. Kto go wrobił i dlaczego, kto naprawdę zamordował dziewczynę, którą kochał. Wiesz, że to ojciec chrzestny pani Izy?

Zakrzewski drgnął.

– Nie są ze sobą spokrewnieni – mówił dalej dzielnicowy, już bez żadnej zachęty. – Po prostu przyjaźnił się z ojcem Izabeli. Kiedy ten w wieku siedemnastu lat wpadł z szesnastoletnią sąsiadką, nie było mowy o żadnej aborcji czy czymś takim. Było dziecko, musiał być ślub, ot takie były czasy. I nawet to było zgodne małżeństwo, tylko matka Izy jakaś taka dziwna była. Ciągle smutna chodziła, miała chandry, przez długie tygodnie z domu nie wychodziła. Wreszcie popełniła samobójstwo. Ojciec ją tak kochał, że po roku czy dwóch umarł ze zgryzoty i Iza została sierotą.

– Kto ją wychował?

– Dalsza rodzina, źle z nimi nie miała. Tylko Wasyluk kiedyś chlapnął, że to on Izę powinien wychowywać jako ojciec chrzestny, ale już w więzieniu siedział. Ponoć uwielbiał swoją chrześnicę. I chyba tak do dzisiaj zostało.

Marcin szybko ocenił, czy ta informacja będzie mu do czegoś przydatna. Na razie chyba nie, skoro podejrzenia skierował na Dawida Bernatowicza. Zanotował tylko w myślach, żeby porozmawiać z Wasylukiem, jak tylko będzie okazja.

– Masz jakieś podejrzenia, kto naprawdę zgwałcił?

Dzielnicowy pokręcił głową.

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Powiedz mi, jak po tylu latach znaleźć ducha w starych aktach. Nawet nie wiem, czy są kompletne.

– Mówisz, że milicja chroniła kogoś stąd?

– Usłyszałem to od prokuratora, który wsadził Wasyluka do pierdła.

Zakrzewski nagle wstał i podrapał się po karku. Był cały zeszywniały z zimna.

– Kamienna nie jest wielka, prawda? Jeśli MO kogoś chroniła, to pewnie jego zeznań nie będzie w aktach – powiedział.

Kolega Zakrzewskiego parsknął śmiechem.

– Dobra rada nie zawada – zarechotał. – A jeśli są zeznania wszystkich?

– To twój problem. – Marcin wzruszył ramionami. – Mam prośbę. My zaraz się zwijamy. Zagląдай do Izabeli, kiedy tylko będziesz mógł. Jakby zjawili się tu bracia Jakuba, daj mi niezwłocznie znać.

– Nie ma sprawy. I tak tu trochę jeszcze powęszę.

Marcin odszedł szybkim krokiem w kierunku Kariny, która niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę na tarasie i patrzyła na niego znacząco. Wiktorski zapalił papierosa i spojrzał za Zakrzewskim w zamyśleniu. „Cwaniak” – pomyślał. „Żeby to wszystko było takie proste, jak mu się wydawało”. Tak czy inaczej nie miał nic innego do roboty. Posiedzi tu przez chwilę, a potem zajrzy do Izabeli jeszcze ze dwa razy do wieczora.

Karina nie miała dla Marcina dobrych wieści. Telefon Dawida Bernatowicza zniknął z sieci dzisiaj przed południem, a ostatnim miejscem, gdzie się logował, była Kamienna. Pewnie wyłączył aparat zaraz po tym, jak wyszedł z jej domu. Tylko dlaczego? Czyżby zaczął coś podejrzewać? Może ona nie mówi im wszystkiego? Jego dom w Szczepanowie na Osiedlowej wygląda na pusty, na podwórku nie ma auta. Być może Dawid, wyszedłszy od Izabeli, nie wrócił do domu. Nie wiadomo, gdzie pojechał. Patrole dostały już jego zdjęcie, markę i numery rejestracyjne auta. Na razie nie było żadnych meldunków.

Inne informacje o Dawidzie były dość ciekawe. Tak jak podejrzewał Marcin, służył w tej samej jednostce co Madejski. Byli w tym samych oddziale, miał co do tego pewność. Inne dane o Dawidzie Bernatowiczu wciąż spływały, jednak było ich bardzo niewiele. Nawet nie ustalili jeszcze, czy obecnie miał jakąś kobietę. Na razie policjanci nie zrobili rozpytania w terenie, żeby go nie spłoszyć. Góra postawił na dyskretną obserwację. Jednostka Rafalskiego pozostała w stałej gotowości na wypadek, gdyby Dawid gdzieś się pojawił.

– Myślisz, że to on? – po raz kolejny zapytała Karina, kiedy już wracali z Kamiennej do Wrocławia. – Trochę dziwne, że nagle zniknął.

– Spłoszyliśmy go, tylko nie wiem jak – mruknął Zakrzewski.

– Marcin, nie czujesz, że coś tu ciągle nie gra? – zirytowała się nagle.

– Może masz rację – przyznał. – Jeśli nie Dawid, to kto? Masz jakiś pomysł? Tylko on idealnie do tej mozaiki pasuje.

Nie miała. Resztę drogi do Wrocławia spędzili w milczeniu, porządkując w głowie natłok informacji, które tego dnia od rana sypnęły się szerokim strumieniem.

30.

Policjanci odjechali. Od dwóch kwadransów w domu panowała złowroga cisza, nawet ten przekłety wiatr pukający w ściany, szarpiący za rynny i stukający w szyby nie był w stanie jej zagłuszyć. Była tylko cisza, rozlewająca się po pomieszczeniach jak zaraza w średniowieczu, nieubłaganie i bezwzględnie. Wreszcie dopadła Izę, wślizgując się podstępnie do kuchni i infekując jej mózg.

Czuła jej lepkość i szarość. Cholera, jedna malutka pigułka codziennie rano. Tak niewiele, a jednak chemia była dla niej bramą do całego normalnego świata. Jej brak przez długi czas znowu spowodował ciąg katastrof i nieszczęść. No i burzę, której nadejścia oczekiwała od samego początku. Nie brała pigułki i siała wiatr, a kto sieje wiatr...

Pigułka szczęścia, pigułka uśmiechu, pigułka normalności i pigułka sensu. Dlaczego teraz nagle poczuła, że te zaginione na kilka miesięcy uczucia znowu się w niej pojawiły, zastępując szaleństwo? No bo ich potrzebowała.

Piła już chyba czwartą albo piątą kawę i ciągle jeszcze jej się chciało. Co teraz z nią będzie? Czy ten wysoki policjant o przenikliwym błękitnym spojrzeniu zdążył przeczytać wszystko to, co ukrywała przed światem za maską obojętności i wściekłości skierowanej pod adresem zaginionego małżonka? Czy on już wie, że to ona zabiła Jakuba? Nie, to tak nie działa. Nie może wiedzieć. Nikt nie czyta w duszach innych ludzi. Tylko jej się tak wydaje, kiedy w żyłach nie krąży odpowiednie stężenie chemii z małych białych pigułek. Może ją podejrzewać, ale między podejrzewaniem i oskarżeniem jest jeszcze wielka dziura, którą trzeba zasypać twardymi dowodami. A takich dowodów nie ma. Przynajmniej ona ich nie dostrzega. A jeśli gdzieś popełniła błąd?

Znowu kątem oka zarejestrowała jakiś ruch za oknem. Przestraszyła się, że to wróciła policja. Może właśnie znaleźli miejsce, gdzie popełniła ten je-

dyny błąd, i wrócili, żeby ją aresztować. Albo dalej pytać. Już nie wiedziała, co byłoby gorsze. Kiedy jednak długo nikt nie naciskał dzwonka przy drzwiach, wstała i poszła do korytarza. Od razu dostrzegła złożoną na pół białą kartkę, którą ktoś tu podrzucił. Tylko jak? Poczowała niepokój. Czyżby gnębiąca ją w ostatnich tygodniach zmora Jakuba powróciła w bardziej realnej formie? Przecież kartki nie da się wcisnąć pod drzwiami, a zamki były przekrecone. Zresztą może kartkę zgubił jeden z policjantów? Tylko że na podłodze przy drzwiach niczego nie było, kiedy zamykała za nimi drzwi.

Schyliła się, ale kartka w ostatniej chwili wyślizgnęła jej się z palców i przesunęła się metr dalej. Zła, skoczyła za nią i kiedy wreszcie spojrzała na kilka wydrukowanych na niej zdań, już wiedziała, że prawdziwy sztorm dopiero teraz zapukał do jej drzwi.

Komisarz Wiktor Wiktorski był zawiedziony. Zakrzewski nie tylko nie zaangażował go w konkretne działania w domu Bernatowiczów, ale jeszcze kazał mu czekać na rozmowę. Cholera, jakby był królem Anglii i trzeba było czekać kilkanaście minut, aż łaskawie udzieli audiencji. Z rozmowy też nie był zadowolony. Dziwne, pobieżne pytania, które według niego do niczego nie prowadziły, sam Zakrzewski rozkojarzony, jakby przez głowę w jednej chwili przelewały mu się całe strumienie myśli. Albo jakby tymi myślami był już gdzieś sto kilometrów dalej i ciężko mu było zerkać do tyłu. Generalnie stracone popołudnie.

Wiktorski pił rozpuszczalną kawę nad aktami ze śledztwa w sprawie gwałtu na Owczarskiej i z trudem panował nad irytacją. Jego bardziej znany kolega z Wrocławia w ogóle nie zainteresował się sprawą Wasyluka. Zaraz jednak odwiedziła go bardziej przytomna myśl. Ale czy powinien się zainteresować? Ścigał seryjniaka, z tego co się zorientował stary policjant, chyba był już blisko i stąd takie a nie inne jego zachowanie. Te ślady w domu Franciszka Wasyluka to musiał być zupełny przypadek, no bo jak poskładać tak odległe od siebie w latach zdarzenia w jedną całość? Nierealne.

Około szesnastej stary policjant dopił kawę, zamknął papiery, schował je do szuflady i wyszedł, machając do dyżurnego. Po drugiej stronie ulicy przy kościelnym murze wsiadł do swojego auta patrolowego i pojechał w kierunku Szczepanowa. Co ten Zakrzewski jeszcze powiedział? Chronili tego, którego oficjalnie nie przesłuchali. Tylko że zeznania wszystkich były na swoim miejscu. Każdy z ówczesnych dorosłych mieszkańców Kamiennej zostawił swój ślad w papierach. Nikogo, sukinsyny, nie pominęli.

Kilka minut później zaparkował przed bramą domu Bernatowiczów. Tak jak obiecał Zakrzewskiemu. Będzie miał na doktorową oko. W końcu jest dobrym gliniarzem. No i miał wyrzuty sumienia, że ją podejrzewał. Zdradzaną i nieszczęśliwą kobietę. Skąd mu to przyszło do głowy?

Zanim doszedł drzwi i zadzwonił, zdążył w trzech pociągnięciach wypalić papierosa. Rzucił niedopałek, który odfrunął wraz z wiatrem kilka metrów dalej. Klnąc, pobiegł za nim, przydeptał go na trawniku i nagle zniechęcił. Furtka do ścieżki na bagna była uchylona i zablokowana kamieniem, żeby nie trzaskał nią wiatr. Kiedy stąd odjeżdżał, dałby sobie głowę uciąć, że była zamknięta. Wzruszył ramionami i wrócił pod drzwi.

– Przepraszam – powiedział, kiedy w szparze drzwi ukazała się doktorowa. – Chciałem się tylko zapytać, czy wszystko w porządku. Takie zamieszanie było dzisiaj. Nie wiem, czego oni u pani szukają.

Bernatowiczowa była wyjątkowo blada, miała trochę rozbiegany wzrok, jakby się czegoś bała.

– Myślę, że Jakub zamordował te dziewczyny? – zapytała odruchowo. – Te od dowodów osobistych.

– Tak. A jak pani myśli?

Nie otworzyła drzwi, nie wpuściła go do środka, nie zaproponowała kawy albo herbaty, jak zwykle. Ale chyba nie powinien być zbyt zdziwiony.

– Myślę, że tak. – Oczy nienaturalnie jej się rozszerzyły, prawie nie mrugała. – Może mógł to zrobić. Nie znałam go wcale.

Najwyraźniej była w szoku. Nikt normalnie by nie zareagował na takie podejrzenia. Czy przez tyle lat żyła w jednym domu z mordercą? Nie bardzo mógł w to uwierzyć, w końcu znał Jakuba od szczeniaka. Czy taka bestia mogła powstać w ich spokojnej okolicy? Niemożliwe.

– Pani Izo, to tylko hipoteza. Na pewno wszystko się wyjaśni.

– Przepraszam.– Wyraz jej twarzy się nie zmienił. – Muszę odpocząć.

Niespodziewanie zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i przekręciła trzy zamki. Wiktorski stał jeszcze chwilę. Najwyraźniej dzisiejszy dzień nie wpłynął na nią dobrze. Niech się wyśpi, a on przyjdzie tu jutro z samego rana. Może doktorowa już się trochę otrząśnie z tego szoku. Nie odjechał od razu. Podszedł do otwartej furtki i oparł się o nią, paląc kolejnego papierosa, smagany wiatrem po plecach. Patrzył na Kamienny Las i miał dziwne wrażenie, że z jego wnętrza też ktoś go uważnie obserwuje.

– Kurwa! – sapnął, zgasił papierosa i szybkim krokiem wrócił do samochodu.

Bzdury! To miejsce chyba naprawdę było przeklęte i wszyscy, którzy postanawiali tu zamieszkać, dziwaczeli. Jemu też już na mózg padło.

Dojechał do głównej drogi, ale nie skręcił w lewo, tylko w prawo. Przejechał kilkaset metrów i znowu skręcił w prawo na drogę prowadzącą do Kamiennej od drugiej strony. Po chwili minął gospodarstwo Marczaka, potem zarośniętą uliczkę prowadzącą do ruiny domu Owczarskich i zaparkował przy ogrodzeniu Bernatowiczów za gęstymi krzakami. Nie było szans, żeby ktoś go mógł w tym miejscu zobaczyć ze środka domu. Tym bardziej, że zapadał zmrok.

Kilka słów wydrukowanych na kartce przeraziło ją:

„Zabiłaś Jakuba. Widziałem to. Chcę tylko porozmawiać. Przyjdź w to samo miejsce o 18:00”.

Sto razy czytała te słowa i za każdym razem nic się w nich nie zmieniło, mimo że usilnie tego pragnęła. Były takie same. Niosły ze sobą tę samą treść. Bezwzględnie, jak katowski topór.

Najpierw Iza wpadła w histerię. Była już nawet na górze i zaczynała pakować walizkę. Przez chwilę ucieczka była dla niej najlepszą opcją. Ochłoneła dopiero po długich minutach. Nie może uciekać przed burzą. Musi stawić czoła nadchodzącej nawałnicy.

Potem przyszedł ten cholerny policjant. Nie wpuściła go, z trudem zachowywała się normalnie, chociaż pewnie nie bardzo jej wyszło, potem siedziała w ciemnym salonie na fotelu i kiwała się w przód i w tył. Kim on mógł być? Szantażysta. Nie, nie szantażysta. On chce tylko porozmawiać. No dobrze, ale o czym? Pewnie o pieniądzach, a to przecież będzie szantaż.

Za kwadrans osiemnasta wyszła z ciemnego salonu do przedpokoju i zaczęła się ubierać. Mocne kozaki, żeby nie wpaść w błoto, džinsy, ciepły sweter, ciepła kurtka i czapka.

Kto mógł ją wtedy widzieć? Nikt, do jasnej cholery! Może to naprawdę policja zostawiła tę kartkę? Taki test, żeby ją sprowokować. Jeśli tam pójdzie, potwierdzi, że jest winna. Tylko czy to będzie jakiś dowód? Gównno, nie dowód. I tak nic jej nie będą mogli zrobić.

Wyszła z domu, zamknęła drzwi tylko na jeden zamek, a klucze wcisnęła do kieszeni kurtki. Przystanąła na chwilę. Mogła wziąć nóż albo inne narzędzie do obrony. Na przykład śrubokręt. Nie! Nie chce już nikogo zabić. Jeden trup wystarczy.

Furtka była już otwarta i zablokowana kamieniem. Ten skurwysyn był tu wcześniej, wszystko przygotował. Nagle przypomniała sobie, ile razy wydawało jej się, że widzi ruch na podwórzu, ile razy wydawało jej się, że ktoś ją obserwuje. Często, zdecydowanie za często. A więc cały czas była obserwowana. Czy jak kochała się z Kamilem, a potem z Dawidem, też ktoś ją podglądał? Poczula mdłości, ale już było za późno. Równo o osiemnastej uruchomiła małą latarkę i, kierując światło pod nogi, żeby nie wpaść w żadną dziurę, ruszyła na spotkanie z przeznaczeniem.

Dziad Wasyl wyszedł z domu Owczarskich i ruszył ścieżką przez dziurę w płocie, a potem przez pole i brzezinę do domu. Wiatr ponaglał go, popychając w plecy, ale stawiał opór. Nic już nie miało sensu. Jego podejrzenia

w stosunku do Marczaka upadły, teraz już nie wiedział, na kim miałby się mścić. Życie straciło dużo ze swojego sensu, był już zmęczony i gdzieś w duszy kołatała mu się myśl, że już swoje w życiu przeżył i dalej mu się nie chce. Chodził co wieczór do domu Owczarskich, ale i to straciło sens. Policjant zabrał karteczki pisane ręką Janiny. Może to i dobrze, przynajmniej nie będzie się już katował, przeglądając je co wieczór. Chyba czuł się lżejszy. Oczywiście chęć zemsty ciągle dokładała kilogramów do jego zmarwień, ale już nie w takim stopniu jak do niedawna. Co ma być, to będzie. Może nareszcie trzeba zdecydować, co dalej z jego życiem.

Kiedy był w połowie drogi przed lasem, nagle po prawej stronie na polu zobaczył błysk światła. Zatrzymał się i zmrużył oczy. Było za daleko i za ciemno, żeby zobaczyć postać, która oświetlała sobie drogę, jednak uchwycił w niej coś znajomego. Czy to była Izabela Bernatowicz? Wpatrywał się w nią przez kilka sekund. Jeśli to była ona, po co idzie po zmroku do Kamiennego Lasu, bagna i do miejsca tragedii? Ogarnął go strach. Dlaczego? Po co? Musiało stać się coś niedobrego, skoro Iza tam wraca.

Krzyknął, lecz jego głos zniknął w przestrzeniach, przez które wiatr gnał ze świstem. Chciał pobiec w tamtym kierunku przez pole, lecz już po dwóch krokach zapadł się w rozmięklej ziemi zaoranego na zimę pola aż po kostki. Tędy nie da rady. Musi wrócić do domu i pójść ścieżką wzdłuż strumienia. To była długa trasa i bał się, że cokolwiek ma się tam stać, on nie zdąży. Mimo wszystko pobiegł, ale to już był bieg starca, a nie taki jak kiedyś. Utykał, sapał i kłął na bezwzględna starość.

Już po kilkudziesięciu metrach zrozumiał, że może nie zdążyć.

Komisarz Wiktorski siedział zamyślony w samochodzie. Czyich zeznań nie było w papierach? Po raz kolejny upewnił się, że byli wszyscy. Cholerny Zakrzewski i jego teorie. Dopiero po jakimś czasie wrócił do rzeczywistości i uświadomił sobie, że w domu Bernatowiczów nie pali się żadne światło. Czyżby Izabela poszła spać? Wysiadł z samochodu i zajrzał na podwórze. Nie natknął się na nic niepokojącego. Żeby kamienie nie chrzęściły pod jego stopami, przeszedł trawnikiem pod same drzwi i nasłuchiwał chwilę.

Musiał się wycofać, ponieważ wszedł w zasięg czujnika ruchu oświetlenia przy drzwiach. Ale i tak było jakoś za spokojnie. Może Iza naprawdę już śpi? Wrócił do samochodu, kiedy nagle sobie coś uświadomił i zdrętwiał.

Iza przeszła przez podmokłą łąkę i minęła linię drzew. Potem poszła jeszcze trochę w lewo i znalazła się na małej łączce przy strumieniu, gdzie zakopła swojego męża. Serce tłukło jej się w piersiach. Poświeciła w tamto miejsce. Nawet jeśli kiedyś można byłoby dostrzec naruszoną trawę, teraz deszcze zmyły ślady. Miejsce wyglądało na nietknięte. Kto napisał te słowa na kartce? Może jednak Jakub zwabił ją tu, żeby się zemścić. Chyba nawet by się nie dziwiła, gdyby on nagle się tu zjawił jako sypiący iskrami z ust upiór z jej snów. Bardziej by się przestraszyła, gdyby był żywy. To żywych trzeba było się bać, nie umarłych.

Stała chwilę, nasłuchując. Nie usłyszała nic prócz gwizdu wiatru w koronach drzew i bulgotania dochodzącego od strony bagien. Najpierw zgasła latarkę, żeby oczy przyzwyczyły się do ciemności, ale nagle się przestraszyła. Włączyła światło, powoli omiatała teren wokół i raptem drgnęła. Omal nie wypuściła latarki z dłoni, jeszcze moment, a nogi by się pod nią ugięły i upadłaby zemdlona. Udało jej się jednak ustać.

Zobaczyła Jakuba, ale nie takiego, jak sobie wyobrażała. Z trudem stłumiła krzyk przerażenia w gardle.

Wasyłuk dotarł wreszcie do drogi tuż przy swoim domu i nagle się zawałał. Wbiegł na chwilę na podwórko, a potem wyszedł stamtąd z siekierą w dłoni. Było jeszcze daleko, a jemu już jasne plamy wirowały przed oczami. Po co ona tam poszła? Z każdym krokiem strach o Izę narastał.

Trup Jakuba patrzył na nią pustymi oczodołami i uśmiechał się upiornie białymi wyszczerzonymi zębami. Widok był tysiąc razy gorszy od tego z jej koszmarów. Latarka drżała jej w dłoni, zaciśniętą pięść w drugiej ręce prawie wepchnęła sobie do gardła, żeby zdławić wrzask przerażenia rosnący jej w piersiach.

To przecież niemożliwe. Trup nie mógł sam tu przyjść, nie mógł stanąć pod drzewem w oczekiwaniu na zabójczynię – żonę. Nie ma żywych trupów, to nie głupi film o zombie, to realne życie, w którym nie zdarzają się takie rzeczy. A jednak się zdarzyły. Czekala teraz, aż truchło jej męża zacznie na nią szarżować, dopadnie ją na środku polanki i zatopi szponiaste palce w jej szyi. Być może wyżre jej mózg, a wtedy i ona zostanie żywym trupem i zamieszka z nim na bagnach.

Nic się jednak nie stało. Po bardzo długiej chwili, kiedy jej mózg poddał się szaleńczemu strachowi i stanął, nareszcie coś zaczęło do niej docierać. Jakub nie mógł tam sam stać. Dopiero teraz zobaczyła opaskę ze sznura na jego czole, przytrzymującą głowę. Na wysokości piersi opasywały go inne sznury i przytwierdzały w pozycji stojącej do drzewa. On nie mógł przyjść tu sam. Ktoś musiał się natrudzić, żeby zorganizować taką inscenizację.

Instynktownie poczuła, że ktoś za nią stoi. Zanim zdążyła wrzasnąć, silna dłoń zacisnęła jej się na ustach. Drugie ramię ją unieruchomiło. Ktoś wysoki, bardzo dobrze zbudowany i piekielnie silny przyciskał ją plecami do swojej piersi. Poczuła jego ciepły oddech na karku. Znowu omal nie zemdlała z przerażenia. Napastnik syknął jej do ucha:

– Ciiiiii... Nie wrywaj się. To nie ma sensu.

Znieruchomiała, oddychając ze świstem przez nos. Serce osiągnęło swoje maksimum, tłukąc się w piersi. Była bez szans w starciu z takim przeciwnikiem i szybko sobie to uświadomiła. Czas zapłacić za grzechy.

– Teraz zdejmę dłoń z twoich ust – kontynuował miły głos szepczący jej do ucha. – Tylko nie wrzeszcz, pomyśl rozsądnie. Nikogo tu nie ma, nikt tu nie przyjdzie, jesteśmy tu tylko we trójkę.

Kiedy usłyszała ostatnie słowa, znowu chciała wrzeszczeć z przerażenia, lecz uspokoiła się z trudem.

– Zrozumiałaś?

Pokiwiała gorliwie głową.

– Ale nie oszukuj mnie. Nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

Nacisk na jej piersi i usta na moment się wzmocnił, jakby napastnik chciał jej uświadomić, że z łatwością może skruszyć jej żebra albo skręcić kark. Znowu skinęła głową.

Dłoń opadła z jej ust. Nieznajomy mężczyzna objął ją drugą ręką na pierśiach tak jak pierwszą i stali tak, jakby zamienili się w kamienne posągi. Czowała ciepło jego ciała emanujące przez ubrania. Musiał być rozpalony jak piec. Nieznajomy? Przecież ona chyba zna ten głos. Tylko przerażenie jej nie pomaga w identyfikacji. Była bardzo blisko, jednak nie umiała połączyć głosu z twarzą.

– To dla twojego dobra – mówił uspokajającym szeptem, który w jej uszach brzmiał jak groźby. – Nie można już dłużej tak się szarpać. Spójrz na niego.

Silna dłoń chwyciła ją za nadgarstek i skierowała światło latarki na trupa.

– On już się do niczego nie nadaje. A ma takich przystojnych braci, prawda?

Kolejna fala przerażenia popłynęła po ciele Izy, jakby serce zamiast krwi zaczęło nagle pompować lodowatą wodę z bagna. Oddychała chrapliwie i bała się cokolwiek powiedzieć.

– Wybierz brata za brata – mówił dalej napastnik. – Dobrze ci radzę. Po co masz męczyć siebie, ich i... mnie. No bo Jakuba już mniej. Jemu już wszystko jedno, popatrz.

Światło latarki znowu skierowało się na przerażającą, zdeformowaną rozkładem twarz.

– Wybierz brata za brata. Nie dręcz już nikogo.

To było czyste szaleństwo, mężczyzna był szaleńcem, to, co robił i mówił, było upiornie przerażające. To nawet nie była projekcja najstraszniejszych koszmarów Izy, tylko coś o wiele gorszego.

Nagle, kiedy wydawało jej się, że on dalej będzie coś do niej mówił, a dla niej nie ma już ratunku, gdzieś z oddali usłyszała krzyk. Ktoś wołał ją po

imieniu. Gardło jej się nagle odblokowało, nadzieja wstąpiła w serce i odkrzyknęła:

– Ratunku!

Wiktorski uświadomił sobie, że widział światło na bagnach. Gdzieś na granicy Kamiennego Lasu ktoś chodził, a przecież w wiosce nie ma takiego szaleńca, który by się tam zapuścił po zmroku, na dodatek przy takiej pogodzie. Czy to była Izabela Bernatowicz? Jeśli tak, to co tam robiła? Przestraszył się, że chce ze sobą skończyć. Ze schowka w aucie wyciągnął latarkę, wysiadł i, nawet nie zamykając drzwi, ruszył biegiem w tamtym kierunku. Był dopiero na środku podwórza, kiedy od strony bagien dobiegł go rozpaczliwy krzyk. Kobięcy głos wzywał pomocy.

– Ratunku!

Myślała, że ten krzyk, który wbrew ostrzeżeniu napastnika wyrwał jej się z gardła, będzie jej ostatnim dźwiękiem w życiu. Facet zabije ją za to, że go nie posłuchała. On jednak nagle puścił ją i odszedł. Jakby rozplynał się w powietrzu. Stała chwilę, kiwając się, aż wreszcie nogi się pod nią ugięły i upadła na kolana w mokrą trawę. Najpierw opuściła głowę, żeby zaraz unieść twarz do nieba i wybuchnąć płaczem. Tylko że to nie był zwykły płacz. To było nieludzkie wycie śmiertelnie przerażonej kobiety. Takie, jakie z jej gardła wyrывa się tylko wówczas, kiedy przeżywa niewyobrażalną tragedię. Donośne, powodujące dreszcze przerażenia, zwierzęce.

Kiedy wycie wybrzmiało, zostały tylko szloch i łzy spływające po policzkach. Od strony, skąd usłyszała krzyk, ktoś nadbiegał. Po chwili dziad Wasyl upadł obok niej na kolana, opierając się o siekiere.

– Iza, dziecko! Co się stało? – Był naprawdę przejęty i przestraszony.

Była jego ukochaną chrześnicą, oczkiem w głowie i nie dałby jej skrzywdzić. Nigdy, przenigdy!

Nie odpowiedziała, tylko płakała, tym razem bezgłośnie. Gdzieś w środku powinna pojawić się ulga, ale pozostała jedynie bezgraniczna rozpacz. Wskazała mu promieniem latarki zwłoki przywiązane do drzewa.

– Chryste Miłosierny! – wykrzyknął i zerwał się na nogi. – Co tu się stało? Kto?

Wasyłuk wpatrywał się w przywiązane do drzewa zwłoki i ciężko oddychał. Nie mógł sobie wyobrazić, jak to się stało, że Jakub Bernatowicz nie spoczywa metr pod ziemią w miejscu, gdzie go wtedy zakopał, poprawiając po Izie. Bezradnie poświecił latarką w tamtym kierunku. Miejsce było nie-naruszone, jakby nic się nie stało. Tak właśnie miało być, tak wtedy uprzątnął ślady. Przez chwilę nie wiedział, co ma o tym myśleć. Patrzył na płaczącą na kolanach Izę i poczuł, jak ściska mu się serce. Co ona teraz musi przeżywać? Tamto zabójstwo miało już zostać dawno zapomniane. Zresztą oficjalnie nie było żadnego zabójstwa. Odnalezienie zwłok Jakuba stawia cały świat na głowie. Ktoś wie, że to Iza jest zabójcą, i w każdej chwili może donieść na policję.

Siekiera wysunęła się z ręki Wasyla i upadła w trawę.

– Córeczko, nic ci nie jest? – zapytał jeszcze raz, z troską w głosie.

Nie wiedział, co ma teraz robić. Może wszystko da się jeszcze jakoś odkręcić.

Poświecił na trupa przy drzewie i nareszcie zaczął wyciągać właściwe wnioski. On wcale nie wyglądał, jakby niedawno został wykopany spod ziemi. Jej ślady już dawno zaschły i skruszyły się. Musiał leżeć przez długi czas w suchym i chłodnym miejscu, które spowolniło proces rozkładu. Nie znał się na tym za bardzo, ale można było nawet powiedzieć, że ciało zmieniało się w coś w rodzaju mumii. To znaczyło, że Jakub musiał zostać wykopany zaraz po tym, jak zakopała go Iza, a potem Wasyłuk poprawił i posprzątał. Trup został wykopany i gdzieś przeniesiony zaraz po śmierci. Może następnego dnia, a może nawet i tej samej nocy.

Poczuł lodowate dreszcze na plecach. Nie tylko on z ukrycia obserwował poszukiwania doktora na bagnach. Był jeszcze jeden obserwator, który był tu o wiele wcześniej. Widział, jak Iza wbija mężowi ostrze w piersi. Być może potem cały czas tu był i widział, co zrobił Wasyłuk. To było takie paskudne miejsce, że w ciemnościach bardzo łatwo można było pozostać niezauważonym.

Jezus Maria! Co teraz będzie z Izą? Ona nie może pójść do więzienia. Wasyluk był w więzieniu dla morderców i wie, jak tam jest i jakie tam panują zwyczaje. Rządzi strach i przemoc. Iza sobie z tym nie poradzi. Nie przeżyje tego. Ale najpierw on spróbuje nie dopuścić do tej tragedii. Dlaczego ona tu przyszła? Pochylił się nad nią i potrasnął za ramię:

– Iza, dziecko, jak to się stało? Skąd ty się tu wzięłaś? Skąd on się tu wziął?

Otworzyła usta, lecz zaraz zamknął je kolejny spazm płaczu. Miała opuchnięte oczy, czerwone policzki skąpane we łzach i chyba była w szoku, ponieważ nie reagowała prawidłowo. Potrasnął ją jeszcze raz.

– Czy ktoś tu wcześniej był? – pytał dalej.

Wreszcie udało jej się wypowiedzieć cicho jedno zdanie:

– Wybierz brata... za brata...

– Co ty mówisz?! – zdumiał się Wasyluk.

– On tak mówił... – szepnęła prawie bezgłośnie.

Pochylił się i prawie przyłożył ucho do jej ust.

– Kto tu był? – ponaglił.

Zanim jednak odpowiedziała, usłyszeli szybkie kroki, a potem zatrzymał się na nich snop światła z innej latarki. Kiedy Wasyluk usłyszał głos komisarza Wiktorskiego, nagle pomyślał, że już wszystko stracone. Zaraz potem nieoczekiwanie do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Przecież on już swoje przeżył.

– Wasyluk, co tu się dzieje? – Policjant był autentycznie poruszony. – Co wy tu, do cholery, robicie?!

– Nic takiego, komendancie – odpowiedział spokojnie Wasyluk i sięgnął po leżącą nieopodal siekiere.

Podniósł ją, po czym zważył w dłoni, jakby szykował się do pracy przy wyrębie drzewa. Wiktorski nagle zauważył ciało przywiązane do drzewa.

– Kurwa mać! – krzyknął. – Kto to jest?! Bernatowicz?!

On jeszcze nic nie rozumiał, ale Wasyluka mało to obchodziło. Widział ciemną postać policjanta, który kierował teraz światło w inną stronę. Był w mundurze, więc miał przy sobie broń.

– Teraz, komendancie, to już nie ma żadnego znaczenia – powiedział i ostatni raz spojrzął w zachmurzone niebo, po którym wiatr nadal gonił szare chmury.

– Pani Izo, wszystko w porządku? – dopytywał gorączkowo Wiktorski, kiedy dotarł do niego sens słów Wasyla. – Co ty gadasz, Józek?!

Wasyluk miał nadzieję, że wyszarpnął już pistolet z kabury.

– Wiesz, to ja zabiłem doktora Bernatowicza – mówił spokojnie Wasyluk, postępując nieznacznie krok do przodu.

– Co ty pierdolisz?! Rozum postradałeś?

– Nie postradałem. – Wasyluk był już blisko klęczącej i płaczącej kobiety, która w szoku najwyraźniej nie bardzo rozumiała, co się wokoło niej dzieje.

– Wiesz, że jestem ojcem chrzestnym Izy? Kocham ją jak własną córkę, chociaż zawsze byłem złym ojcem. Nigdy jej nie pomagałem, bo sam miałem wieczne problemy.

– Do rzeczy Wasyluk! – Wiktorski krzyknął zniecierpliwiony. – O co ci chodzi?

– Kiedy dowiedziałem się, że mąż ją zdradza, zabiłem skurwysyna. Tak chciałem jej pomóc.

Latarka znowu skierowała się Wasylukowi w twarz. Promień drżał lekko.

– Byłem pod ich domem, słyszałem awanturę, więc zwabiłem go na bagna i zabiłem – kontynuował dziad.

– W życiu nie uwierzę w te bzdury, oszalałeś Wasyluk – warknął komisarz. – To skąd to ciało na drzewie?

– Ktoś mi go wtedy ukradł. Ale teraz, kiedy Jakub znowu się znalazł, muszę zakończyć, co zacząłem.

Wraz z kolejnym krokiem siekiera uniosła się nieznacznie. Tak naprawdę dopiero teraz przestraszony Wiktorski wyszarpnął z kabury broń.

– To, co mówisz, nie ma sensu! – krzyknął.

– Tak ci się tylko wydaje, komendancie. – Wasyluk nadal był wyjątkowo spokojny. – Iza jednak nie jest szczęśliwa sama. Myślę, że chyba będzie jej lepiej z mężem. Małżeństwa nie powinno się rozdzielać nawet po śmierci.

Powoli unosił siekierę nad głową Izabeli.

– Strzele! – ostrzegł policjant. – Rzuć siekierę, bo strzele.

– Strzelaj. – Wasyl zdobył się jeszcze na krzywy uśmiech.

Huk wystrzału przetoczył się po okolicy i zaraz zniknął, stłumiony przez bagno.

– Tylko na tyle cię stać?

Siekiera uniosła się jeszcze wyżej. Kolejny strzał był już celny. Kula roze-
rwała Józefowi biceps i musiał przytrzymać siekierę drugą ręką.

– Nie wtrącaj się, Wiktorski! – wrzasnął. – To się musi zakończyć tu i te-
raz.

– Ostrzegam cię, Wasyluk!

Druga kula trafiła go w udo i noga załamała się pod nim jak zapałka. Z grymasem bólu na twarzy wstał, opierając się na siekierze. Potem znowu uniósł ją jak do ciosu. Zaraz rozległ się trzeci strzał i tym razem kula utkwiała w piersi. Józef Wasyluk upadł na plecy powalony nagłym bólem i uczuciem słabości. Wiktorski podbiegł do niego, odrzucił siekierę w bok i przypadł do Izabeli.

– Nic się pani nie stało? – zapytał.

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła szklanym wzrokiem na oddychającego ciężko Wasyluka, a po jej twarzy płynęły wielkie krople łez. Nic nie mówiła, nie miała już siły.

Upewniwszy się, że nic jej nie jest, policjant upadł na kolana przy Wasyluku, wypuścił broń z dłoni, zerwał z głowy czapkę i cisnął nią z wściekłością o ziemię.

– Ty cholerny skurwysynu! – krzyczał. – Co ty zrobiłeś? Co ty, kurwa, zrobiłeś?

Wasyłuk wyszczerzył do niego zęby w krwawym uśmiechu, a potem znieruchomiał z tym grymasem na twarzy, wpatrzony w płynące po niebie stalowe obłoki. „Uśmiech śmierci” – pomyślał policjant i wiedział, że ta scena będzie go nawiedzać w snach już po wsze czasy.

31.

Zakrzewski słuchał opowiadania Wiktorskiego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Obok stała ta jego ciemnowłosa koleżanka z twarzą zastygłą w grymasie złości. A może to było rozczarowanie?

– Posłuchajcie, on naprawdę chciał zabić panią Izabelę. Musiałem strzelić. Żeby padł po pierwszym strzale, ale on, kurwa, cały czas wstawał. No i za trzecim razem zadrżała mi ręka. Dostał w pierś. – Stary policjant powtarzał te słowa po raz kolejny.

Nie tak samo. Za każdym razem mówił o tym inaczej, lecz ciągle chodziło o to samo. Usprawiedliwiał się, chciał, żeby mu uwierzyli i przyznali rację. Tak, nie było innego wyjścia. Postąpiłeś słusznie. Jednak żaden ze śledczych z Wrocławia nic takiego nie powiedział. Nie znaczyło to, że mu nie wierzą. Nie znalazł w ich wzroku podejrzliwości, tylko współczucie.

– To były ułamki sekund. Musiałem podjąć decyzję. Nie miałem czasu się nad niczym zastanowić.

Marcin pokiwał głową i spojrzał na Karinę.

– Spokojnie, komisarzu Wiktorski – powiedziała. – Musi pan trochę ochłonąć. Trzeba złożyć oficjalne zeznania.

– Tak, rozumiem. – Wiktorski nagle przygasł i w jego dłoni pojawił się kolejny tego wieczoru papieros.

Musiał złożyć zeznania, musi poukładać sobie fakty w głowie. Jeszcze nigdy, nikogo nie zabił. A teraz ten pieprzony Wasyluk. Żeby chociaż mógł się teraz napić samogonu. Rozjaśniłby myśli.

Zakrzewski odszedł z Kariną na bok. Stanęli przy basenie pod wiatą, przy tym samym stole, przy którym tamtego listopadowego dnia Wiktorski organizował poszukiwania Bernatowicza. Oparł się dłońmi o blat i zwiesił

głowę, zmuszając się do intensywniejszego myślenia. Każdy sposób na pobudzenie był w tej chwili dobry, nawet tak bezsensowny.

– Czy ty coś z tego rozumiesz? – zapytał wreszcie.

Wokoło migały kolorowe światła policyjnego koguta, włączonego w aucie zaparkowanym przed bramą. Rozpraszały go. Czy ktoś może to wyłączyć, do cholery? Rozejrzał się, lecz nikogo nie zobaczył. Zerknął w kierunku Kamiennego Lasu. Miejsce, w którym rozegrała się dzisiejsza tragedia, a może raczej finałowy akt tej tragedii sprzed prawie trzech miesięcy, oświetlały lampy rozstawione przez techników. Nawet stąd było widać groteskowo wielkie cienie ludzi zabezpieczających miejsce zbrodni.

Potem wzrok skierował na dom. Izabela siedziała w salonie w towarzystwie dwóch policjantów, tak jak wróciła z lasu: potargana, umazana błotem i zapłakana. Tylko że łzy zaschły już na policzkach, za to w oczach pojawiła się nienaturalna obojętność. Znowu przeżyła koszmar. Miał nadzieję, że będzie w stanie z nimi porozmawiać.

Wiktorski zatelefonował do niego prawie trzy godziny wcześniej. Pierwsi dotarli tu funkcjonariusze z komendy w Środzie Śląskiej, wojewódzka zaczęła się zjeżdżać po ponad trzech kwadransach. Nieoczekiwany zwrot akcji zaskoczył ich, przecież byli tu nie dalej niż kilka godzin temu. O co w tym wszystkim chodzi, do cholery?

– Nie bardzo. – Karina tylko raz strzeliła zapalniczką i zaraz schowała ją do kieszeni kurtki.

Pomyślała, że jak zrobi to jeszcze raz, to się złamie i popędzi do funkcjonariuszy przy bramie po papierosy. Widziała przecież dwa ogniki jarzące się w mroku za płotem.

– Co już wiemy? – zapytał Marcin.

– Izabelę Bernatowicz wywabiły z domu światła w tym lesie przy bagnach. Poszła tam i znalazła ciało swojego męża przywiązane do drzewa. Potem zjawił się Wasyluk z siekierą. Nie spodziewała się po nim agresji, ale on chciał ją zabić. Wtedy przyszedł Wiktorski i ją uratował.

– No i Wasyluk przyznał się do zabicia Jakuba Bernatowicza – dodał Marcin. – Chciał się na nim zemścić za krzywdę swojej córki chrzestnej.

– Wiesz, jak to brzmi? Do dupy.

Marcin w pełni się z nią zgadzał.

– Panie nadkomisarzu!

Na tarasie domu stał jeden z ratowników medycznych z karetki pogotowia. Jego dwóch kolegów poszło do lasu przy bagnach, on zajął się Izą.

– Pani Iza chce z panem rozmawiać!

– Jak ona się czuje? – zapytał Zakrzewski, zbliżając się do niego.

– Ciągle jest jeszcze w szoku, ale to twarda kobieta – odpowiedział szybko ratownik. – Możecie z nią porozmawiać. Tylko nie za długo.

– J-jasne.

Izabela Bernatowicz siedziała w fotelu, obejmując się ramionami. Patrzyła w sufit. Na dźwięk ich kroków ręce jej opadły, a wzrok przestał śledzić imaginacje w przestworzach i skupił się na tu i teraz.

Usiedli na sofie naprzeciw niej i czekali, aż sama się odezwie. Długo nie mogła wykrztusić słowa, wreszcie zdecydowała się mówić. Brzmiała normalnie, jakby dopiero co wypita kawę w miłym towarzystwie. Tylko drzenie palców sugerowało ciężkie przeżycia ostatnich godzin.

– Nie powiedziałam wam prawdy – zaczęła. – Tam był ktoś jeszcze.

Policjanci wymienili między sobą szybkie spojrzenia. Dlatego fakty im się nie kleiły. Nie odezwali się jednak.

– Tak naprawdę tam był jeszcze jeden mężczyzna – mówiła wolno, skupiając się na każdym słowie. – Tylko że ja go nie widziałam. Zniknął, jak nadchodził dziad Wasyl.

– Proszę nam o tym opowiedzieć.

– Już mówiłam o światłach. Poszłam tam, bo myślałam, że znowu coś się stało. Tylko kiedy tam doszłam, wydawało mi się, że nie było już nikogo. Zanim się przestraszyłam, ktoś zaszedł mnie od tyłu i unieruchomił. Po-

tem oświetlił ciało Jakuba przywiązane do drzewa. Przeraziłam się. On coś do mnie mówił, zanim nie spłoszył go dziad Wasyl.

– Pamięta pani co? – rzuciła szybko Karina.

– Pamiętam tylko, że mam wybrać brata za brata. Powtórzył to kilkakrotnie.

Marcin zmarszczył brwi.

– Pani rozumie, o co mu chodziło? – zapytał.

– Tak.

– Proszę nam opowiedzieć.

– Bracia Jakuba często tu przychodzili i podobają mi się. Miałam sobie wybrać któregoś w zamian za Jakuba.

Marcin podrapał się po karku, a Karina pokręciła głową.

– Jest pani pewna, że o to chodziło? – upewniła się policjantka.

– Tak. Ja... – zawahała się Izabela. – Miałam z nimi romans.

Zakrzewski opadł na oparcie sofy. Omal się nie roześmiał. Nie byłby to jednak śmiech wynikający z rozbawienia, tylko z coraz większej absurdalności wydarzeń, których byli świadkami. Karina pozostała poważna i opamnowana.

– Spała pani z nimi? – zapytała bardzo poważnie.

– Tak, najpierw z jednym, potem z drugim – odpowiedziała cicho.

– A jak się pani wydaje, czy napastnik mógł o tym wiedzieć?

– Tak myślę.

Zakrzewski wreszcie wziął się w garść.

– Dlaczego pani nam o tym wcześniej nie powiedziała?

– Bo chyba wiem, kto to był. Poznałam go.

– Kto?

– Dawid Bernatowicz.

32.

– Uważasz, że to on jest Bestią?

Marcin, skupiony na prowadzeniu samochodu, nie odpowiedział od razu. Jechali do domu Dawida Bernatowicza w Szczepanowie na Osiedlowej. Las był ciemny, asfalt śliski, droga kręta. W tych warunkach trzeba było zachować szczególne środki ostrożności. Mimo to radiowóz za nimi został daleko z tyłu.

– Tak – odpowiedział krótko. – Jest byłym wojskowym, służył w tej samej jednostce co Madejski. Poza tym pasuje do portretu pamięciowego sporządzonego na podstawie zeznań koleżanki tej zamordowanej Moniki, pasuje postawą do nagrań z kamer monitoringu ze sklepów, jest bardzo podobny do faceta z nagrań z kliniki Jakuba. Mógł być w zмовie z bratem. Tym można łatwo wytłumaczyć, dlaczego miał dostęp w nocy do kliniki i skąd się wzięły dowody osobiste ofiar w biurku Jakuba. No i Iza go dzisiaj rozpoznała.

– Nie była pewna, wycofała się trochę z tych zeznań – zastrzegła Karina.
– Już nie jest tego na sto procent pewna.

– Poza tym Józef Wasyluk na chwilę przed śmiercią przyznał się Wiktorowskiemu do zamordowania Jakuba i powiedział, że ktoś wykradł jego ciało. Kto to mógł zrobić, jeśli nie brat Jakuba, związany z nim jakąś patologiczną więzią? Jednostki silnie zaburzone, dwaj psychopaci współpracujący ze sobą. Posłuchaj, zabójstwo Jakuba pokrzyżowało Dawidowi plany. Pewnie długo nie wiedział, co ma w takiej sytuacji zrobić, ale zaryzykował jeszcze dwie wizyty w klinice. Szukał nowych ofiar i je znalazł. Nie wiemy, na ile działał według starych wskazówek brata, czy sam je znalazł. Dość, że wykorzystał te dziewczyny do zemsty na Madejskim i zabił jego dziewczynę, już sam. Nie wiem, dlaczego mścił się na Madejskim, nie jestem jasnowidzem.

– Marcin...

– Poczekaj – nie dopuścił jej do słowa. – Wszystko się doskonale ze sobą zązębia. Może Dawid wiedział, że to Wasyluk zabił Jakuba? To dlatego urządził w domu Franciszka Wasyluka to przedstawienie z filmem i miejscem znalezienia zwłok. Chciał przypomnieć sprawę zabójstwa Owczarskiej i wskazać Józefa Wasyluka. Masz inne wytłumaczenie?

Karina milczała, analizując jego słowa, więc po pauzie Marcin mówił dalej:

– Gwałcił i mordował brunetki, ponieważ był zakochany w żonie brata. To Iza Bernatowicz była wzorcem, nie Klaudia Kania albo jakaś inna nieznaną nam kobieta. Dawid to kompletny świr. Pewnie Jakub nie pozwalał mu zbliżyć się do swojej żony, ale w zamian pomagał mu wyszukiwać podobne kobiety, żeby brat mógł zaspokoić swoje mordercze żądze. Kiedy Jakuba już nie było, Dawid mógł nareszcie legalnie zbliżyć się do Izy. Kiedy ona się z nim przespała, on nie potrafił poradzić sobie ze swoimi emocjami. Nie potrafił powiedzieć jej wprost, że darzy ją uczuciem, więc zrobił tę szopkę z ciałem brata. On chciał, żeby Jakub słyszał propozycję, którą złożył Izie: „Wybierz brata za brata”. Tylko totalnie odjechana mieszanka patologicznych uczuć mogła dać taki efekt. „Wybierz brata za brata” – w domyśle: „Wybierz mnie, Jakub musi się z tym zgodzić”.

– Marcin, to brzmi nieprawdopodobnie. Nie słyszałam jeszcze tak popierdolonej historii zabójstwa, miłości, zemsty. Zdajesz sobie sprawę, jak ciężko będzie to udowodnić, jeśli Dawid pójdzie w zaparte?

– Masz inny pomysł?

Wyjechali z lasu na prostą, po prawej stronie minęli osiedle domków jednorodzinnych Stogi. Zbliżali się do Szczepanowa.

– To nie może być tak pokręcone. Nikt nie wymyśliłby takiej historii.

– To życie pisze takie scenariusze i tylko posługuje się nami jak pionkami na szachownicy.

Karina nadal kręciła głową, pełna wątpliwości.

– Co Dawid musiałby mieć w głowie? To kompletny świr i szaleniec!

- Do tego śmiertelnie niebezpieczny – uzupełnił Zakrzewski.
- Jakub też musiał być tak samo chory jak on, skoro mu pomagał.
- Może tylko chronił swoją żonę przed bratem psychopatą – rzucił Marcin.
- Nie zgłosił tego na policję, wiedział, co Dawid robi z tymi kobietami, miał ich dokumenty, czyli był takim samym popaprańcem. Nikt normalny tak się nie zachowuje.

Dojechali już do początku Osiedlowej i od dłuższego czasu stali na placu przy ogrodzeniu cmentarza ze zgaszonymi światłami. Radiowóz zaparkował za nimi, a policjanci czekali. Do domu Dawida było stąd niedaleko.

– Jest jeszcze Kamil Bernatowicz – przypomniała sobie Karina. – A jeśli on też w tym wszystkim w jakiś pośredni sposób uczestniczył?

– Najpierw musimy dorwać Dawida.

Wysiedli z auta i wraz z dwoma mundurowymi z radiowozu poszli Osiedlową, mijając po prawej stronie ciąg domów, aż doszli do uliczki odchodzącej w lewo tuż przed domkami powodzian. Szczekanie psów niesło się po całej okolicy, jednak o tej porze na wsi psy zawsze szczekają i nikt nie zwraca na to uwagi. Późna pora i paskudna pogoda nie zachęcały do wychodzenia z domów, więc po drodze nikogo nie spotkali. Pierwszym człowiekiem przed domkami dla powodzian był policjant, dyskretnie obserwujący dom Dawida. W swoim mniemaniu dyskretnie. Jeśli policjanci sterczą w tym miejscu na zmianę przez całą dobę, to cała okolica już wiedziała, że coś jest na rzeczy.

Porozmawiali chwilę z funkcjonariuszem. Okazało się, że stoją tu dopiero od zmroku, a wcześniej kręcili się nieoznakowanym samochodem po okolicy razem z drogówką. Łapali pijanych rowerzystów, sprawdzali kierowców, a wszystko pod pretekstem poszukiwań skradzionych aut. Może ktoś mógłby nawet się nabrać na taką legendę. Policjant szybko zdał relację z ostatnich godzin. Dawid Bernatowicz nie pojawił się w domu, nikt z sąsiadów go nie widział, bo i ich rozpytywali pod pretekstem przesyłki ekspresowej. To rozpytanie przyniosło trudny, na razie, do oszacowania efekt. Podobno Dawid Bernatowicz miał kochankę i często u niej nocował,

kiedy jej mąż wyjeżdżał do pracy za granicę. Ponoć znali się od czasów podstawówki, a ostatnimi czasy się zesзли. Plotki już były, więc i mąż w Wielkiej Brytanii się o tym dowie, i awantura gotowa. Tylko kto zdecydowałby się stawić czoło Dawidowi w takim starciu? Może Pudzianowski, ale jego to raczej nie obchodziło.

Naradzili się. Marcin zatelefonował do prokuratora Grabskiego. W międzyczasie status poszukiwań Dawida trochę się zmienił. Prokurator wydał nakaz aresztowania i kiedy Dawida nie znajdą, pewnie wystawi za nim list gończy. Z Grabskim uzgodnili, że wejdą do domu Bernatowicza na przeszukanie, ale na razie poczekają na wsparcie oddziału Rafalskiego. Pamiętali, co zrobił Madejski w lesie, nie mogli ryzykować.

Tymczasem Karina ustaliła szybko adres domniemanej kochanki Dawida. Okazało się, że mieszka w pobliżu stacji kolejowej Środa Śląska, niecałe dwa kilometry dalej. Pojechali tam we dwójkę.

Budynek dworca kolejowego i perony były jasno oświetlone, ale rogatki akurat się zamykały, więc zatrzymali się w oczekiwaniu na pociąg. Jednostajnie mrugały światła, z którymi zupełnie nie współgrał sygnał dźwiękowy. Przez moment światła i gong pracowały zgodnie, żeby zaraz się rozmiąć, tworząc w szczytowym momencie irytującą dysharmonię. I tak w kółko. Ktoś ze słuchem absolutnym mógłby się nabawić stresów.

Karina milczała, analizując hipotezę Marcina. Szukała w niej ewidentnych dziur, ale na razie nie potrafiła takich wskazać. Nawet jak coś było mocno pokręcone i mało prawdopodobne, to jednak wpisywało się w jakiś sposób w całość. Na przykład wiadomość zostawiona w domu Franciszka Wasyluka. Niby strasznie naciągane, a jednak jak pogrzebali głębiej, to pojawiło się nazwisko jego brata. Może i Zakrzewski nie lubił prostych rozwiązań, ale to nie mogło być aż tak skomplikowane. Trzeba to jakoś uprościć. Może gdyby jednak wyciąć kilka niepotrzebnie zamieszanych w to przez Zakrzewskiego osób, całość dalej zostałaby w kupie, tylko szkic sytuacyjny mieściłby się na kartce A4, zamiast na mapie Polski w dużej skali. Na razie jednak nie potrafiła tego uprościć. To nie matematyka i ułamki. Chociaż

gdyby z dwóch potencjalnych zabójców, Jakuba i Dawida, zrobić jednego? Zastanowiła się nad takim rozwiązaniem.

Tymczasem na stacji zatrzymał się pociąg Kolei Dolnośląskich z Wrocławia i kilka osób wysypało się na peron. Cześć z nich szybko wsiadła do aut stojących na parkingu przy torach, kilka zniknęło w ciemnościach i Karina nawet nie zdążyła zarejestrować, co się z nimi stało. Kiedy pociąg odjeżdżał, na peronie w przeciwnym kierunku spostrzegła ciemną postać. Jakiś mężczyzna siedział na ławce. Rzucił jej się w oczy, ponieważ nikogo więcej na peronie nie było.

Zaraz o nim zapomniała, ponieważ ruszyli i przejechali przez tory. Kilkanaście metrów dalej skręcili w lewo, w brukowaną ulicę biegnącą wzdłuż torów do budynku dworca, który teraz był ciemny i, mimo że z zewnątrz odmalowany, wyglądał jakby od lat stał pusty. Pewnie tak właśnie było. Blok, w którym mieszkała kochanka Dawida, stał naprzeciw dworca, po drugiej stronie ulicy. Weszli przez metalową furtkę w betonowych przesłach ogrodzenia i na domofonie znaleźli trójkę.

– Słucham? – Głos był przyjemny, niepewny, w końcu pora była już późna.

– Pani Anna Rogowska? Nadkomisarz Marcin Zakrzewski i starsza aspirant Karina Buczko z policji. Może nam pani otworzyć?

– Policja? Do mnie? – Wydawała się przestraszona.

– Tak, chcielibyśmy z panią porozmawiać.

Wpuściła ich, ale przed drzwiami mieli większy problem. Musieli podać jej swoje legitymacje przez szparę w drzwiach, ponieważ trudno jej było uwierzyć w wizytę prawdziwej policji. Analiza dokumentów trwała dość długo. Czekali spięci, z rękami na kolbach pistoletów. Dawid Bernatowicz mógł tu przecież być. Wreszcie Rogowska wpuściła ich do środka. Wszedł tylko Marcin, Karina została na progu w pełnej gotowości.

– Przepraszamy za tak późną porę, ale czy zastaliśmy może Dawida Bernatowicza? – zapytał Zakrzewski.

Rogowska była ładna, zadbana, miała około czterdziestu lat i faceci pewnie oglądali się za nią na ulicy. Miała przesympatyczny uśmiech. Z wyrazem przestachu i zakłopotania, jakie zagościły teraz na jej twarzy, też zrobiłaby karierę wśród męskiej części społeczeństwa.

– Kurwa, życzliwi już donieśli. – Pokiwała głową z cierpkim uśmiechem na ustach. – Niech to szlag trafi.

Przekleństwo zupełnie nie pasowało do jej wizerunku, jednak każdemu mogło się wymyślić.

– Czy Dawid Bernatowicz jest teraz u pani? – Głos Zakrzewskiego stwardniał.

Najwyraźniej się wahała.

– Proszę mnie posłuchać. – Jej niezdecydowanie zaczęło irytować Marcina. – Nie interesuje nas, co mówią ludzie ani w jakich stosunkach jest pani z Dawidem. Po prostu musimy z nim pilnie porozmawiać w sprawie zaginięcia jego brata Jakuba.

– Rozumiem. – Pokiwała głową. – Ale nie ma go tutaj.

– Kiedy był ostatni raz?

– Wyszedł godzinę temu. Możecie sprawdzić – dodała widząc, że wymieniają między sobą spojrzenia.

Mieszkanie było małe, więc nie było problemu z szybkim i dokładnym sprawdzeniem. Anna Rogowska nie kłamała. Karina natychmiast wyciągnęła telefon i wybrała numer do jednego z policjantów pod domem Dawida na Osiedlowej, żeby ostrzec, że może wrócić. Marcin kontynuował rozpytanie:

– Dokąd wyszedł?

– Chyba do domu.

– A jeśli nie do domu, to gdzie?

– Naprawdę nie wiem – strapiła się Rogowska. – Prawdę mówiąc pokłóciliśmy się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– O co?

– O jego szwagierkę, Izę. Kazałam mu wybierać: albo ona, albo ja. No i chyba wybrał ją. Trudno, pies z nim tańczył.

Po minucie byli przy samochodzie. Już mieli wsiadać, kiedy znowu usłyszeli dźwięk zamykających się rogatek na przejeździe i Karina przypomniała sobie o mężczyźnie na peronie. Pobiegli tam. Żeby wejść na peron, trzeba było okrążyć budynek dworca z lewej strony. Na peronie się rozejrzeli. Od strony Legnicy nadjeżdżał pociąg. Właśnie z lasu wyłoniły się jego światła. Miał jeszcze kilkaset metrów do stacji. Oczekującym był tylko jeden mężczyzna. Stał daleko, bokiem do nich, z plecakiem zarzuconym na ramię.

Ruszyli w jego kierunku, a za ich plecami narastał huk zbliżającego się pociągu. Wreszcie rozległ się pisk hamulców, kiedy maszynista rozpoczął procedurę zatrzymania. Kiedy pociąg już ich minął, wytracając gwałtownie prędkość, mężczyzna na nich spojrzał i po raz pierwszy mogli ujrzeć jego twarz. Karina wyszarpnęła pistolet i wycelowała.

– Stój! Ani kroku! – wrzasnęła, lecz mógł jej nie usłyszeć.

Marcin też wyszarpnął broń i wystartował w jego kierunku. Dawid Bernatowicz spokojnie poczekał, aż drzwi się otworzą, i wskoczył do środka składu. Z innych drzwi wysypali się pasażerowie i Marcin na chwilę stracił go z oczu. Nie zastanawiając się, też wskoczył do pociągu i zaczął iść do przodu, przepychając się między pasażerami. Pociąg był pełen ludzi. Niektórzy patrzyli na niego niezadowoleni, inni pospiesznie robili mu miejsce. Pistolet schował pod kurtkę, żeby nie siać dodatkowej paniki.

Karina na peronie dopadła do konduktorki, zbliżając legitymację policyjną do jej twarzy.

– Policja! – krzyknęła. – Proszę na chwilę wstrzymać odjazd pociągu!

Młoda dziewczyna w mundurze z emblematami Kolei Dolnośląskich patrzyła na nią ze strachem w oczach.

– Ale ja tak nie mogę! – zaprotestowała.

– Właśnie do pociągu wsiadł groźny przestępca – mówiła twardo policjantka. – Ścigamy go. Wstrzymaj skład na dwie minuty!

Nie czekając na odpowiedź zaskoczonych konduktorki, odwróciła się i pobiegła w kierunku drzwi, za którymi zniknął Bernatowicz. Wskoczyła za nim i rozejrzała się. Zakrzewski właśnie też tu dotarł. Drzwi po drugiej stronie wagonu były rozsunięte. Ludzie patrzyli na nich ze strachem. Młody mężczyzna wykazał się największą bystrością i opanowaniem.

– On wyskoczył z drugiej strony – poinformował szybko Zakrzewskiego.

Wyskoczyli z wagonu i stanęli na kamieniach na pasie oddzielającym tory, rozglądając się gorączkowo. Z lewej strony na oświetlonym parkingu pod stacją nie było nikogo, z prawej strony była tylko ciemność i mroczny zarys drzew w oddali. Nikogo nie dostrzegli. Bernatowicz rozpląnął się, z nim zdążyli go zlokalizować.

– Co tu się dzieje?!

Inny konduktor, postawny mężczyzna, wychylał się do nich z otwartych drzwi. Zakrzewski zbliżył się do niego i pokazał legitymację.

– Policja! Proszę już jechać.

Konduktor zagryzł wargi, ale pewnie nie chcąc robić sobie kłopotów, zamknął drzwi i po chwili skład ruszył. Poczekali, aż pociąg się oddali, i jeszcze raz się rozejrzeli. Znowu nic.

– Musimy zarządzić obławę – powiedziała Karina.

– Obawiam się, że nie mamy wielkich szans. On zna tu każdą dziurę i potrafi się ukrywać.

Wyszli z powrotem na peron i równocześnie sięgnęli po telefony komórkowe.

33.

Noc była paskudna i wcale nie chodziło o pogodę.

W miarę szybko zorganizowali obławę na Dawida Bernatowicza. Wszystkie drogi w okolicy zostały zablokowane, patrole jeździły po całej wsi, odwiedzając nawet rzadko uczęszczane dróżki. Mimo późnej pory śledczy przesłuchiwali znajomych Dawida, Karina jeszcze raz rozmawiała z Anną Rogowską. Zajęło jej dwie godziny, zanim upewniła się, że wycisnęła z kobiety wszystko, co było można. Była niechętna do współpracy, ale kiedy policjantka wspomniała jej, że Dawid podejrzewany jest o zabójstwa, wreszcie zrozumiała, że nie ma innego wyjścia. Opowiedziała wszystko jak na spowiedzi, tylko było tego niewiele, a konkretów jeszcze mniej.

Wolno upływały nocne godziny, a oni dreptali w miejscu. Nad ranem wrócili do Wrocławia i w komendzie złapali dwie godziny snu. Od świtu znowu koordynowali akcję poszukiwania Dawida. Sprawdzali listy wykupionych w ostatnich godzinach biletów w Intercity, u przewoźników autobusowych, wreszcie na lotnisku. Nic im się nie rzuciło w oczy. Prześledzili zgłoszenia dotyczące kradzieży aut z zeszłej nocy lub dziwnych zdarzeń zgłoszonych policji, lecz na razie bez sukcesów. Społeczeństwo dopiero budziło się do życia.

Rozszerzono krąg poszukiwań na cały Dolny Śląsk. Po dworcach kolejowych i autobusowych chodziły wzmożone patrole ze zdjęciami Dawida, na głównych drogach policja sprawdzała auta, fotografie Dawida trafiły też do osób z monitoringów miejskich, wszystkich komend i komisariatów. Nie pozostawało nic innego tylko czekać.

Okolo dziewiątej na przesłuchanie do Komendy Wojewódzkiej we Wrocławiu trafił Kamil Bernatowicz. Był tak przestraszony, że trudno mu było się wysłowić, gubił się, zaprzeczał sam sobie. Widząc, że na razie nie będzie z jego zeznań żadnego pożytku, Zakrzewski dał mu godzinę, żeby

się uspokoił. Po wznowieniu przesłuchania było już bardziej rzeczowo. Opowiadał o dzieciństwie braci, wspominał o pobycie Jakuba w szpitalu psychiatrycznym, o ich dzieciństwie i o tym, jak z wolna tracili ze sobą kontakt i potem żyli każdy sobie. Niewiele wiedział o służbie wojskowej Dawida, wiedział tylko, że często go nie było w kraju, więc podejrzewał, że bywał za granicą. Raz po powrocie do kraju trafił na dłużej do szpitala, więc podejrzewał, że został ranny. Jednak w czasie nielicznych ich spotkań Dawid nic nie zdradził. Nie wiedział, gdzie Dawid może teraz przebywać, nie znał jego znajomych, wspominał tylko o tym, że miał wiele kobiet, z którymi nigdy się na dłużej nie wiązał, a teraz chodziły plotki o jego romansie z Rogowską. W sumie nie powiedział nic istotnego, a przynajmniej nic, czego by już nie wiedzieli.

Jeszcze więcej opowiedział o tym, co działo się od zniknięcia Jakuba, o Izabeli, i wreszcie przyznał się do romansu z nią. Widać było, że szwagierka bardzo mu się podoba i facet ma nadzieję na coś więcej. Kamil ze szczegółami opowiedział o tym, co wiedział o Jakubie, i przyznał się, że jakoś specjalnie nie przeżył jego zaginięcia. Strapił się dopiero, kiedy Zakrzewski powiedział mu o śmierci brata, a zaniemówił na długo, kiedy dowiedział się, że prawdopodobnie zamordował go Wasyluk, a w całą sprawę może być zamieszany jego brat. To były dwa nokautujące ciosy, po których Kamil nie wstał. Widać było, że chce pomóc, jednak nic nie wie. Po paru godzinach Marcin go zwolnił z zastrzeżeniem, żeby nie opuszczał przez jakiś czas miejsca zamieszkania i żeby zatelefonował, jeśli przypomni sobie coś istotnego.

Bez przerwy trwało przeszukanie domu na Osiedlowej, jednak na razie bez większych rezultatów, co nie bardzo Marcina dziwiło. Uważał Dawida za bardzo inteligentnego zabójcę, który głupio by się nie narażał, przetrzymując dowody zbrodni w domu. Ani Karina, ani prokurator Grabski nie byli do końca przekonani, czy Bernatowicz jest Bestią. Pracowali już kilka godzin i nadal nie znaleźli dowodu.

Przeglądali zapis historii logowania się telefonu Dawida w ostatnich miesiącach i nic się w tym nie zgadzało. Rogowska i inni znajomi też ze-

znawali, że w co najmniej czterech przypadkach w dniu zaginięcia kobiet Dawida nie mogło być w pobliżu. Raz był za granicą, a raz gdzieś w kraju, w interesach. Szukano już hoteli, w których mógł nocować. Mimo to Zakrzewski ciągle był przekonany, że Bernatowicz po prostu jest inteligentny i zabezpieczył się dobrym alibi na każdą ze zbrodni. Jego zdaniem pośrednim dowodem obciążającym Dawida było to, że nie miał alibi na żadną z nocnych wizyt w klinice. Poza tym, zdaniem Zakrzewskiego, Bernatowicz idealnie pasował do wizerunku mężczyzny z monitoringu z Żabki i z portretu pamięciowego sporządzonego na podstawie zeznań Więckowskiej.

Po południu uśmiechnęło się do nich szczęście. W Oleśnicy patrol zatrzymał Dawida. Były żołnierz nie był zaskoczony, nie stawiał oporu i nawet chyba specjalnie się nie ukrywał. Do Oleśnicy pojechał rano ze znajomym ze Szczepanowa, który dojeżdżał tam do pracy, cały dzień spędził, włócząc się po mieście, a został zatrzymany w jednej z restauracji w centrum, gdzie jadł właśnie obiad. Wyglądało to tak, jakby czekał, aż zostanie zatrzymany, choć on sam twierdził, że było to dla niego zupełne zaskoczenie.

Kiedy dwie godziny później siedział w pokoju przesłuchań, wśród śledczych trwała narada nad tym, jaką metodę zastosować. Zakrzewski, wnioskując z jego zachowania, uważał, że ciężko będzie z niego cokolwiek wyciągnąć. Skoro jest spokojny i cały czas twierdzi, że nie wie, dlaczego został zatrzymany, to znaczy, że jest bardzo dobrze przygotowany. To z kolei oznacza, że działa ostrożnie i nie zostawił śladów. Ciężko będzie cokolwiek z niego wyciągnąć, będzie grał na czas i zbywał ich, dopóki nie przedstawią twardych i niepodważalnych dowodów.

Psycholog Arleta Wierzbicka, którą poproszono o konsultację w tej sprawie, po części zgadzała się z Marcinem. Ona radziła prowadzić przesłuchanie spokojnie. Według niej Bestia zakończyła już swoje dzieło i teraz psychicznie powinna być w euforii. Cały misterny plan się udał, zabójca czuł się genialny i jedyny w swoim rodzaju. Trzeba było podczas przesłuchania zagrać w tę nutę. Przesłuchiwać go spokojnie, podkreślając, że nawet poli-

cja podziwia go za taki genialny plan i wykonanie. Można raz czy dwa rzucić uwagę, że jeszcze nie było tak inteligentnego zabójcy. Trzeba było go po prostu podpuścić, żeby z czymś się zdradził, popełnił jakiś błąd, nabrał pewności, że naprawdę jest jedyny i niepowtarzalny, dlatego nic nie może mu się stać. Nawet policja nie jest w stanie mu niczego udowodnić. On jest zawsze zwycięzcą. Taka taktyka miała szanse powodzenia, trzeba było po prostu być cierpliwym. Jeśli śledczy pójdą z Bestią na ostro, to nic nie da. On jest przyzwyczajony do ekstremalnych sytuacji i doskonale się w nich odnajduje. Więc zamknie się w sobie, będzie konfrontacyjny i będzie się kontrolował.

Prokurator Grabski miał marsową minę, jakby nie był przekonany, że właściwa osoba czeka teraz na przesłuchanie. Można było nawet zrozumieć jego zdenerwowanie. Na razie nie miał wystarczających dowodów, żeby zwrócić się do sądu o tymczasowe aresztowanie Bernatowicza. Będą go przesłuchiwać, a cała machina śledcza komendy wojewódzkiej będzie szukać dowodów. Mieli szczątkowe odciski palców z laptopa pozostawionego przez zabójcę, ale to na pewno nie były odciski Dawida, mieli włosy i naskórek, który mógł należeć do zabójcy, jednak analiza tego materiału zajmie trochę czasu. A czasu, wbrew pozorom, było bardzo niewiele.

– Mamy czterdzieści osiem godzin – powiedział Grabski na ostatniej naradzie przed przesłuchaniem. – Do tego czasu musimy mieć dowody na Bernatowicza, na podstawie których sąd wyda nakaz aresztowania, albo będziemy musieli go zwolnić. Nie mam zamiaru iść do sądu z badziewiem w papierach. Nie ma takiej opcji.

Policjanci pokiwali głowami ze zrozumieniem. Nie chodziło o kradzież z włamaniem albo pobicie. Tutaj dowody od początku musiały być mocne, żeby podczas procesu nie wykorzystano tego obrona do podważenia oskarżenia albo do wniosku o odesłanie sprawy do prokuratury i wznowienie postępowania. Musieli zakładać, że zwolnią Bernatowicza po upływie czterdziestu ośmiu godzin, ale na razie nikt się tym nie przejmował. Takie zdarzenie nie wpłynie na zakończenie śledztwa. Po prostu będą pracować dalej, a Dawid znajdzie się pod ścisłą policyjną obserwacją. Sama świado-

mość, że jest się obserwowanym, negatywnie wpływała na psychikę podejrzanego. Istniała szansa, że po kilku lub kilkunastu dniach z nerwów zacznie robić głupoty i da policji podstawę do aresztowania i postawienia w stan oskarżenia. Oczywiście Bernatowicz wydawał się przeciwnikiem z innej ligi i na to nie można było za bardzo liczyć. Jednak różnie w życiu bywało i niczego nie można było z góry wykluczyć.

Przesłuchanie rozpoczęli Grabski z Zakrzewskim. Było już kilka minut po osiemnastej, kiedy usiedli przy stole naprzeciw Bernatowicza, włączyli kamerę, a prokurator wypowiedział standardową formułkę. Zaczęli na miękko, jak radziła Wierzbicka. Czyli była kawa, kilka zdań o pogodzie i dopiero potem rozpoczęły się pytania. Czekala ich kolejna ciężka noc.

Czas wolno mijał, a oni ciągle niczego nie wiedzieli. Może poza tym, że strategia Arlety się nie sprawdziła. Przesłuchiwany nie dał się sprowokować, był rzeczowy, konsekwentny, nie dał się wciągnąć w żadną niepotrzebną wymianę zdań. Na pytania o braci odpowiadał wyczerpująco, ale sucho i beznamietnie. Niczego nie ukrywał, opisując ich wzajemne relacje w czasach szkolnych, wspominał o pobycie Jakuba w szpitalu pewnego roku, opowiadał, że mieli serdecznego kolegę, którego nazywali nawet czwartym bratem. Potem zanalizował, dlaczego braterskie relacje się rozpadły. W końcu przyszła pora na konkretniejsze pytania.

– Po co przychodził pan nocami do kliniki brata?

Dawid doskonale udał zaskoczenie. W innych okolicznościach można by było je uznać za autentyczne.

– Nie chodziłem do kliniki Jakuba. Tym bardziej nocą.

– Mamy pana na filmach z monitoringu.

– To jakieś nieporozumienie, to nie mogę być ja. Nigdy tam nie bywałem, nawet w dzień.

Marcin położył przed nim kadry z nagrań monitoringu.

– To nie pan?

Najstarszy z Bernatowiczów rzucił okiem na wydruki.

– To jakaś bzdura, to nie ja.

– Wie pan, że przez ostatnie dwa lata ktoś mordował pacjentki pana brata?

– Nie wiem.

– W biurku pana brata znaleźliśmy dowody osobiste wszystkich ofiar.

Zakrzewskiemu wydawało się, że Dawid po raz pierwszy drgnął, jakby ta sytuacja zupełnie go zaskoczyła.

– Nie wie pan, skąd tam się wzięły? – kontynuował.

– Nie wiem, to chyba jakaś pomyłka.

Na biurku wylądowały kolejne fotografie, tym razem z monitoringu w Żabce.

– Kto według pana jest na tym zdjęciu? – Tym razem po raz pierwszy od dłuższego czasu odezwał się prokurator Grabski.

– Nie znam faceta – padła szybka odpowiedź.

– Jest dziwnie podobny do pana.

– Nie widać jego twarzy. Każdy tak może wyglądać w czapce.

– Wie pan, że pana brat Jakub został zamordowany? Do morderstwa przyznał się Józef Wasyluk.

Dawid znieruchomiał, wpatrując się w nich w napięciu. Ta informacja była dla niego jak strzał snajpera w głowę. Totalne zaskoczenie i ból. Opuścił głowę i długo nie odpowiadał. Wreszcie, kiedy znowu na nich popatrzył, usta miał zaciśnięte w wąską kreskę. Żeby zaskoczenie i ból tak doskonale zagrać w tak trudnej i stresującej sytuacji, to chyba byłoby trzeba wcześniej skończyć szkołę aktorską z wyróżnieniem.

– Nie wiem, co tam się naprawdę stało – powiedział.

– Doprawdy? – Prokurator zrobił długą pauzę. – Przecież pan o tym dobrze wie. Wykradł pan ciało, a wczoraj pokazał je pan Izabeli Bernatowicz. Zeznała, że to był pan.

Tym razem Dawid pobladł, jakby snajper ponownie pociągnął za spust i znowu trafił go w jakiś czuły punkt.

– Co? Wczoraj byłem u Ani, nie mogłem... To jakiś absurd!

– Sprawdzamy. Pani Rogowska jest już przesłuchiwana przez naszych ludzi w Środzie Śląskiej. Uczestniczył pan w operacji o kryptonimie Nexus, prawda?

Twarz Dawida jeszcze bardziej stężała. Patrzył na nich, oceniając, jak dużo wiedzą. Wreszcie uznał, że tym razem w lufie mieli ślebaka.

– Te informacje objęte są tajemnicą wojskową.

– Rozumiem – pokiwał głową Grabski. – Znał pan plutonowego Jerzego Madejskiego?

– Nie pamiętam.

– Jak to? Przecież w tym samym czasie służyliście w tej samej jednostce. Nie mógł go pan nie znać.

– W wojsku poznałem wielu żołnierzy. Jeśli znacie jego pseudonim, na pewno skojarzę. – Patrzył zimno i pewnie.

Nie znali ksywki Madejskiego z wojska, więc Zakrzewski zmienił temat rozmowy.

– Jak dobrze pan zna Izabelę?

– To moja szwagierka, żona Jakuba.

– Pytałem, czy dobrze się znacie.

Bernatowicz namyślał się przez chwilę. Może zastanawiał się, jak wiele wiedzą, i wreszcie zdecydował się na kłamstwo.

– O tyle o ile. – wzruszył ramionami – Mówiłem już, że więzi w naszej rodzinie w ostatnich latach mocno się rozluźniły.

– Lubi ją pan?

– Tak, to miła dziewczyna.

– Tylko tyle? – Grabski podniósł brwi w udawanym zdziwieniu. – Przecież ma pan z nią zupełnie świeży romans. Zawsze pan tak mówi o kobietach, z którym chodzi pan do łóżka? Że to miłe dziewczyny?

– Spałem z wieloma kobietami. – Dawid znowu wzruszył ramionami. – Z Izą też, ale nie mam wyrzutów sumienia. To się stało już po... zaginięciu Jakuba.

Wyraźnie się zawahał. Być może chciał powiedzieć, że po śmierci Jakuba. Marcin postanowił pociągnąć ten wątek.

– Pani Iza jest pewnie w pana typie. Długie, ciemne, proste włosy, ciemne oczy, jasna cera. Bardzo ładna kobieta, niejeden facet obejrzałby się za nią na ulicy. Pan też?

Nagle okazało się, że Bernatowicz, jako były żołnierz jednostki specjalnej, też potrafi doskonale operować karabinkiem snajperskim. Strzelił celnie i bardzo skutecznie.

– Przez lata znałem ją jako blondynkę – odpowiedział, patrząc na nich uważnie. – Zafarbowała się na czarno dwa, trzy lata temu. Nie wiem, jaki był tego powód.

Zakrzewski spojrział mimowolnie na prokuratora, a potem jeszcze długo przeklinał w myślach. Nie sprawdzili tego. W dowodzie osobistym Izabela była ciemną brunetką, nie zwrócili uwagi na jej zdjęcia z ostatnich lat.

– Dlaczego na dworcu pan przed nami uciekał? – zaatakował jeszcze Marcin.

– Jestem zawodowym żołnierzem. Źle reaguję, jeśli ktoś na mnie krzyczy, a w rękę ma pistolet.

– Krzyczeliśmy, że jesteśmy z policji.

– W tym huk? Pan wybaczy, panie nadkomisarzu, nie słyszałem.

Wrócili do neutralnych pytań i rozmawiali jeszcze ponad godzinę, zanim zrobili przerwę. Zaproponowali Dawidowi wodę albo kawę. Przystał na obie propozycje i siedział zgarbiony na krześle, jakby postarzał się w czasie tego przesłuchania o dziesięć lat.

W salce konferencyjnej zrobili szybką naradę. Arleta Wierzbicka, która przez większą część przesłuchania uważnie obserwowała i słuchała Bernatowicza, nie miała dla nich dobrych wiadomości.

– Jest wyjątkowo dobry – powiedziała z uznaniem. – Albo tak genialnie kłamie i się maskuje, albo naprawdę jest niewinny.

Marcin popatrzył na nią ponuro, ale ona tylko uśmiechnęła się do niego krzywo.

– Miałam być szczerą – przypomniała. – Jego reakcja na wiadomość o śmierci brata była jak najbardziej normalna. Nie wiem, jak każdy z nas zareagowałby, gdyby dowiedział się o śmierci jednego z członków rodziny w trakcie przesłuchania w sprawie wielokrotnego morderstwa. On jest z natury skryty i opanowany, ale ta wiadomość trafiła go w punkt. Nie przyznał się do romansu ze szwagierką, bo chciał chronić jej reputację. Dowody osobiste to dla niego jakieś absurdalne bajdurzenia. On nawet na moment nie dopuścił do siebie myśli, że jego brat mógłby zabijać kobiety.

– Ja też mam wrażenie, że nas rozegrał – przyznał Grabski. – Coś już mamy?

– Nic wprost. – Nadkomisarz Góra też nie miał dobrej miny. – Ta Anna Rogowska dała mu alibi na zeszły wieczór, podobnie zresztą jak na kilka ważnych dat z tego roku. W opinii znajomych i sąsiadów Bernatowicz to kobieciarz, ze szczególną słabością do mężatek. Nieraz już miał z tego powodu kłopoty. W domu nic nie znaleźliśmy. Dwa hotele potwierdziły, że spędził w nich noc wtedy, kiedy dochodziło do porwań. Nasi ludzie już tam jadą ze zdjęciem, wypytać o szczegóły.

– Sprowadźcie tę kobietę od portretu pamięciowego – zarządził Marcin. – Jako jedyna go widziała na parkingu z Moniką Więckowską. Może go rozpozna. Najlepiej zaraz, spojrzysz sobie przez szybę. Będzie miała dużo czasu i nie będzie się stresować konfrontacją.

– Podsumowując, mamy duże kłopoty – odezwała się po raz pierwszy Karina.

W miarę upływu czasu ich kłopoty narastały. Świadek nie rozpoznał Bernatowicza, ciągle nie znaleźli żadnych dowodów łączących go z zabójstwami, śledztwo w tym kierunku im się posypało. Tak naprawdę zostały im tylko słowa Izabeli, która podobno rozpoznała Dawida wtedy w lesie, przy bagnach, chociaż nie widziała jego twarzy. Zresztą już częściowo się z tego wycofała.

Po czterdziestu ośmiu godzinach Dawid Bernatowicz wyszedł wolny z budynku komendy z ogonem na plecach. Obie strony wiedziały, że tak będzie, więc obserwujący go policjanci nie kryli się zbyt, a on udawał, że

ich nie widzi. Na razie jedyną konsekwencją zatrzymania był zakaz opuszczenia miejsca zamieszkania bez powiadomienia policji.

34.

Była jeszcze jedna ważna sprawa do załatwienia, zanim stąd wyjedzie i będzie starał się zacząć od nowa. Dawid Bernatowicz długo się zastanawiał, nim wreszcie zdecydował się pojechać do brata, do Środy Śląskiej. Po powrocie z komendy najpierw długo brał prysznic, żeby zmyć z siebie brud aresztu, a przede wszystkim fałszywych oskarżeń. Czuł się nimi umazany jak górnik wracający z przodka pyłem węglowym. Trochę to trwało, zanim woda przyniosła ulgę. Spał długo, więc była już prawie pierwsza, kiedy zasiadł do śniadania i gorącej kawy. Zrobił sobie jajecznicę na boczku i zjadł z apetytem. W zamknięciu nie był w stanie nic przełknąć, do tego w gardle ciągle czuł smak obrzydliwej kawy z automatu, jaką serwowali mu śledczy.

Trudniej był mu zapomnieć o bracie. Jeśli Jakub naprawdę był mordercą albo współpracował z jakimś zwyrodnialcem mordującym kobiety – bo tyle zrozumiał z zadawanych mu pytań i komentarzy policjantów – to okazywało się, że zupełnie go nie znał. Jak w rodzinie mógł wyrosnąć taki psychopata i nikt tego nie zauważył? Może to pokłosie jakiejś traumy z dzieciństwa, może właśnie dlatego Jakub trafił kiedyś do szpitala? Albo po prostu on taki był od urodzenia, tylko dobrze się maskował. Nie mógł uwierzyć, że Iza przez tyle lat niczego nie zauważyła. A może wiedziała, tylko żyła pod jego wpływem, była zastraszona i dlatego cały czas milczała. Rzeczywiście, jak się teraz zastanowił, to zawsze wydawała mu się jakaś przygaszona, zawsze robiła to, co Jakub jej kazał, i nigdy nie powiedziała słowa sprzeciwu. Skąd, do cholery, u ludzi bierze się taka ślepotą, że nie potrafią dostrzec wokoło siebie zła i ludzkiego cierpienia? Pewnie robią to dla własnej wygody.

On teraz był zły na siebie, że dla własnej wygody niczego nie chciał widzieć. Może przeszkadzały mu w tym liczne wyjazdy, trwające czasem długie miesiące, po których długo dochodził do siebie. Stres leczył alkoholem,

marihuaną i kobietami. Miał tyle romansów, że nie potrafiłby ich zliczyć. No i dlatego teraz jest sam i pewnie tak pozostanie. Przez chwilę znowu żył w iluzji, że Iza będzie tą jedyną, ale życie szybko zweryfikowało tę piękną imaginację. Iza była taka sama jak kobiety, z którymi chodził do łóżka. Robiły to, mimo że żyły w szczęśliwych związkach, miały poukładane życie, wychowywały dzieci. Szambo i zgnilizna, która zawsze powodowała u niego niesmak. Więc je wykorzystywał bez względu na konsekwencje i zostawiał z kłopotami. To była taka jego zemsta. Iza też taka była. Spała z Kamilem, a potem bez zmrużenia oka oddała się jemu. Ciągle czuł gorycz w gardle, taką samą, jak w chwili, kiedy się o tym dowiedział. I to była właśnie sprawa, którą musi natychmiast rozwiązać. Dla własnego spokoju.

Około czternastej wsiadł do swojego terenowego auta i pojechał do Środy. Przez całą drogę w lusterku widział podążający za nim nieoznakowany policyjny samochód. Gównu go to obchodziło. Nie bał się, że jest podejrzany. Nie było na niego dowodów, bo był niewinny. Prawda zawsze się obroni. Najwyżej będzie trzeba jej trochę pomóc, wynajmując dobrą kancelarię prawniczą. W ostateczności zatelefonuje do pułkownika Pasickiego. Ich stary to był porządny dowódca, on swoich ludzi nigdy nie zostawiał. Nawet wtedy, gdy robili głupoty, przez które ginęli inni żołnierze. Jak Madejski, przez którego zginęli ich koledzy. Ale nawet wtedy Pasicki go nie zostawił.

Zaparkował na podjeździe starej willi z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, na ulicy Wrocławskiej. Policjanci stanęli przy ulicy, wjeżdżając dwoma kołami na chodnik. Wysiadając, zmierzył ich ponurym spojrzeniem i poszedł do drzwi.

Kamil otworzył po dłuższej chwili. Był w szlafroku, miał potargane włosy, pewnie odsypiał nocną zmianę. Trudno, czas najwyższy, żeby się obudzić, trzeba szybko dorosnąć i podejmować męskie decyzje. Z trzech braci Kamil był najbardziej miękki. Jakby już na zawsze został nastolatkiem. Żona przez wiele lat kręciła nim jak trzylatek bączkiem, a on nigdy stanowczo nie zaprotestował. Rozwiódł się dopiero, kiedy okazało się, że ma już

takie rogi, że mógłby przy każdym kroku zdzierać farbę z sufitu. Dobrze, że zachował dom po dziadku ze strony matki.

– Cześć, brat! – powiedział zdziwiony.

– Wpuścisz mnie? Musimy pogadać.

– Pewnie, wchodź.

Kiedy już zamknęły się za nimi drzwi, Kamil zapytał:

– Napijesz się czegoś?

– Nie. – Dawid prawie na niego warknął. – Musimy porozmawiać o Izie. Siadaj w fotelu i się skoncentruj.

Usiedli naprzeciw siebie w dużym pokoju. Dzielili ich spora przestrzeń, Kamil zerkał na brata niespokojnie.

– Podoba ci się Iza, prawda? – Dawid szybko przeszedł do rzeczy.

– No tak.

– Poszłicie do łóżka, tak?

– No tak, ale ty jej się bardziej podobasz – zaczął Kamil i zająknął się. – Ona tobie też się podoba, przecież to widać na kilometr. Wiesz, może niech ona zdecyduje. Może niech wybierze brata za brata.

– Co ty pieprzysz, Kamil? – nie wytrzymał Dawid. – Dlaczego od razu się wycofujesz? Myślałem, że chociaż raz zachowasz się jak mężczyzna, a nie jak dupa wołowa. Zawalcz o nią, a nie tak od razu odpuszczasz! Powiedz mi, żebym się pierdolił.

– Pierdol się, Dawid!

– No, już lepiej. – Starszy z braci uśmiechał się szeroko. – Nie będzie żadnego wybierania brata za brata, nie wiem, skąd ci takie pomysły przychodzą do łba. Ja wyjeżdżam, jak chcesz dalej spotykać się z Izą, to ja ci nie będę przeszkadzał. Ona jednak nie jest w moim typie. Takich kobiet miałem na pęczki i mam tego już dość. Jak powiedziałem, wyjeżdżam, jak tylko pozwoli mi policja. Sprzedam dom i przeniosę się do Hiszpanii. Zawsze lubiłem ciepło, a nie te cholerne wichury.

– Przesłuchiwali cię? Mnie też. O co w tym wszystkim chodzi, bo ze strachu za bardzo nie rozumiałem?

– Chodzi im o naszego szczęśliwe nieżyjącego braciszka, Jakuba. Mieliśmy w rodzinie psychopatę. Udawał takiego grzecznego doktora od cipek, a chyba był zwyrodnialcem, który mordował młode dziewczyny.

– Jezus Maria! – Kamil teraz dopiero naprawdę pobladł. – Chyba nie mówisz poważnie?

– Jak najpoważniej. Jestem podejrzany o to, że byłem jego współnikiem. Zatrzymali na cztery-osiem, bez przerwy przesłuchiwali, wreszcie wypuścili z braku dowodów.

– Nie boisz się?

– Czego? Przecież jestem niewinny. Co mogą na mnie znaleźć, jak ja nawet tych dziewczyn na oczy nie widziałem.

– Żeby cię nie wrobili, były już takie przypadki.

Dawid wstał i skierował się do wyjścia.

– To nie takie proste – rzucił, a w drzwiach dodał jeszcze: – Opiekuj się Izą, gdy wyjadę, i niech wam się ułoży. Ale teraz wybacz, muszę odpocząć od ciebie i od niej.

Zamknął drzwi, nie czekając na odpowiedź, i poszedł do auta. W drodze do domu znowu miał ogon, ale teraz przynajmniej czuł się o wiele lepiej. Czasem trzeba o niektórych rzeczach powiedzieć głośno i wyraźnie. Czasem trzeba z czegoś zrezygnować, żeby znowu było dobrze i życie ruszyło do przodu.

– Ciągle podejrzewasz Dawida Bernatowicza?

Karina wyciągnęła zapalniczkę, lecz pod wpływem zirytowanego spojrzenia Marcina zaraz ją schowała.

Nie odpowiedział, pogrążony we własnych myślach, więc kontynuowała:

– Wierzbicka twierdzi, że facet mówi prawdę, inni też odnieśli takie wrażenie, nigdzie w zeznaniach się nie pomylił ani sobie nie zaprzeczył. Nie chlapanął też niczego niepotrzebnego, w domu nic nie ma, ma alibi na

czas większości zabójstw, nawet na jedną nocną wizytę w klinice Jakuba, nie mamy na niego żadnych dowodów. Odpuść. Skup się na innych hipotezach.

– Skupiam się – odburknął. – Co nie przeszkadza mi pomyśleć jeszcze trochę nad Bernatowiczem.

– Jesteś najbardziej upartym facetem, jakiego znam – zdenerwowała się.

– Znasz niewielu facetów – odciął się.

Obrzuciła go złym spojrzeniem.

– Dzisiaj jesteś miły jak jasna cholera!

Milczeli chwilę, wreszcie Zakrzewski westchnął.

– Przepraszam, ale odpuść już – powiedział. – Może i czepiłem się Dawida, ale jakoś idealnie mi pasuje do tej historii i nie bardzo mam pomysł, kto inny mógłby za tym stać.

Zanim odpowiedziała, rozległo się krótkie pukanie, a potem do ich pokoju zajrzał jeden z młodych śledczych, który przyszedł do wydziału już za czasów obecnego naczelnika. Szczupły, wysoki blondyn o wesołym spojrzeniu niebieskich oczu. Zakrzewski ciągle nie mógł zapamiętać, jak ma na imię, co zawsze wprawiało go w zakłopotanie.

– Wejdz, Hubert – rzuciła Karina, zerkając kpiąco na Marcina, jakby od razu przejrzała jego myśli.

Czy ona naprawdę już tak dobrze go zna? Czasem go zaskakiwało, że wie o nim więcej niż jego partnerka Renata, ale chyba w tym nie powinno być nic dziwnego. Tak naprawdę spędzał z Kariną więcej czasu w ciągu doby niż z Renatą.

Gość usiadł na miejscu zwolnionym przez Szawczaka i wyciągnął notes. Marcin przypomniał sobie, że pracownicy ich wydziału nazywali go niezbyt odkrywczo Burzą. Dopiero pod wpływem tej myśli przypomniał sobie jego nazwisko – Burzyński.

– Kilka dni temu Marcin do mnie telefonował, żebym zebrał jak najwięcej informacji o niejakiej Izabeli Bernatowicz – zaczął Burza.

Zakrzewski poprawił się w fotelu i spojrzał na niego sceptycznie. Jakie nowe informacje facet mógł wygrzebać o Izabeli? Kiedy jednak Hubert zaczął mówić, okazało się, że zebrane przez niego informacje sporo zmieniają. Już pierwsze zdanie sprawiło, że nawet Karina zmarszczyła brwi i cicho gwizdnęła.

– Wiecie, że Izabela Bernatowicz jest poważnie chora?

Nie wiedzieli.

– Ma raka? – rzucił Marcin.

– Nie. – Burza uśmiechnął się od ucha do ucha. – To zupełnie inna choroba.

Komisarz Wiktor Wiktorski leczył poważnego kaca rozpuszczalną kawą z mleczkiem, czterema łyżeczkami cukru i butelką zimnego piwa.

Śmierć Wasyluka tąpnęła nim bardzo mocno. Czuł się, jakby zderzył się czołowo z pędzącą lokomotywą albo przywaliły go tony kamieni z osuwiska na zboczu góry. Nie mógł sobie z tym poradzić. To zdarzenie wykraczało daleko poza jego filozofię życiową i przeczyło wszelkim założeniom bycia dzielnicowym. Przecież on tak naprawdę całe swoje dorosłe życie nie pracował, tylko pełnił misję. Misję ochrony mieszkańców swojego rewiru, dbania o nich i pomocy w trudnych sytuacjach. A tu nagle zastrzelił jednego z tych mieszkańców. Na dodatek gościa, któremu współczuł popieprzonego życia i tak naprawdę lubił tego starego zgreda. Co mu przyszło do głowy, że zabił doktora Bernatowicza? Nawet jego zdrady nie mogły być powodem zabójstwa z premedytacją. Stary Wasyluk był jednak popierdolony.

Konsekwencją zdarzeń w Kamiennym Lesie był oczywiście przymusowy urlop i postępowanie Biura Spraw Wewnętrznych. Wiedział, że Izabela jeszcze tego samego wieczoru złożyła korzystne dla niego zeznania. Wasyluk ją też chciał zabić i Wiktorski nie miał innego wyjścia, tylko go zastrzelić. Pewnie nic mu za to nie zrobią, ale obawiał się, że to jego koniec w firmie. Komendant wykorzysta okazję i zmusi go do przejścia na emeryturę. Nawet mu się nie będzie dziwił. Jeden problem z głowy. Nie będzie już musiał kryć alkoholowych przygód komisarza. Tylko co on będzie robił na

emeryturze, kiedy nagle zmieni się cały jego świat, dotychczasowe życie na zawsze odejdzie? Zapije się na śmierć.

Na wspomnienie tego, co zostało z prokuratora Kurzajskiego po latach chlania, natychmiast poczuł potrzebę życia w trzeźwości. Nie doprowadzi się do takiego stanu, nie stoczy się na dno, przecież lubi życie i chce jeszcze żyć. Znajdzie sobie jakieś zajęcie. Będzie czytał książki, jak się zrobi cieplej, będzie chodził na długie spacery, może wróci do wędkowania? A i dobrych seriali w telewizji też już od lat nie oglądał. Teraz są większe możliwości niż kiedyś, świat jest zupełnie inny, niż kiedy on zaczynał pracę, jeszcze w milicji.

Żeby odgonić ponure myśli, zaczął przeglądać akta ze sprawy Owczarskiej. Wziął je nielegalnie do domu i na razie nie oddał. Odda, jak to całe zamieszanie się zakończy. Przeglądał je bezmyślnie. Nie ma sensu dalej nad tym siedzieć. Józef Wasyluk nie żył, nie było kogo oczyścić z zarzutów, a prawdziwego gwałciciela pewnie już nigdy nie znajdzie. Przecież upłynęło tyle lat. Zresztą komu to teraz potrzebne.

Cmoknął, napił się kawy, która zdążyła już ostygnąć, popił piwem i zastanowił się. Czegoś mu w tych aktach brakowało. Podstawowej informacji, która powinna być dokładnie opisana i sfotografowana. Zdjęć nie było, więc chociaż opis. Tylko że opisu też nie było. Długo się zastanawiał, kto jeszcze pamięta tamto śledztwo, i nagle przypomniał sobie pewnego znajomego dziennikarza piszącego wtedy dla „Wieczoru Wrocławia”. Przypomniał sobie, że była nawet afera z nim związana. Chciał coś wtedy napisać o tych gwałtach, był nawet na miejscu zdarzenia z Owczarską, robił zdjęcia, lecz nic oficjalnie nie ukazało się drukiem. Tylko jak ten dziennikarz się nazywał?

Dopiero pół godziny później, wykonując wcześniej pół tuzina telefonów do dawnych znajomych, udało mu się ustalić personalia dziennikarza. Michał Michałowski – bardzo ciekawe imię i nazwisko, raczej trudne do zapamiętania niż do zapamiętania, zwłaszcza w jego wypadku. Ech, stary już jest. Może naprawdę czas już odpocząć na emeryturze. Po kolejnych kilku

minutach telefonował do Michałowskiego, który też był emerytem i mieszkał gdzieś pod Wrocławiem, ale w kierunku Opola.

Dziennikarski emeryt odebrał telefon i okazał się sympatycznym człowiekiem, chętnym do współpracy. Może się nudził i z przyjemnością wspominał dawne, lepsze czasy.

– Panie komisarzu, wtedy, jak pan wie, zablokowali mój artykuł – mówił, kiedy po kilku minutach luźnej pogawędki o dawnych czasach i znajomych policjant wyłuszczył, z czym dzwoni. – Ale oliwa sprawiedliwa. Po kilku latach uzupełniony i o wiele lepszy tekst wydrukowała „Gazeta Wyborcza”.

– A wie pan, jak wtedy Owczarska była ubrana? – zapytał Wiktorski. – Nie mam tego teraz w aktach, nie jest też wspomniane, gdzie była. Podejrzewam, że to były istotne wiadomości i dlatego ktoś je usunął.

– Czy istotne? – Michałowski się zastanowił. – Nie wydaje mi się, ale ja nie jestem policjantem. Ona działała w harcerstwie. Wracała pekaesem ze Środy Śląskiej ze zbiórki. Była jakąś wyższą druhną, teraz już nie pamiętam. Była ubrana w mundur harcerski.

Policjant po drugiej stronie słuchawki westchnął, trochę rozczarowany. Rzeczywiście, ta informacja chyba w niczym mu nie pomoże.

– Ale teraz przypominam sobie, że jest z tym związany pewien ciekawy szczegół – dodał zaraz dziennikarz.

– Tak?

– Przy mundurze nie było lilijki.

– Nie rozumiem. – Wiktorskiemu zaschło trochę w gardle i szybko łyknął piwa z butelki.

– No, wie pan, symbolem harcerstwa, czy w ogóle ruchów skautów na całym świecie, jest lilia. Harcerze też mieli takie lilijki na czapkach. No i brakowało lilijki na berecie. Nie wiadomo, czy odpięła się w czasie napadu, może wcześniej, może zabrał ją sprawca. Tego nigdy nie ustalono, chociaż przeszukano miejsce zdarzenia i wypytano świadków z harcerstwa i z autobusu. Podobno miała lilijkę.

– Rzeczywiście ciekawe, chociaż nie wiem, czy teraz do czegoś mi się przyda. – Policjant poskrobał się po głowie.

Porozmawiali jeszcze chwilę, wreszcie się rozłączyli po zapewnieniach, że jakby coś jeszcze było potrzebne, to na pewno któryś z nich zatelefonuje.

– Czyli głównie – szepnął komisarz samymi wargami, ale zaraz przypomniał sobie lilijkę z rozmowy z Zakrzewskim.

Czasem zdarzają się takie dni, kiedy człowiek ma wyłącznie dobre pomysły, i taki dzień miał właśnie Wiktorski. Jakby los chciał mu chociaż po części wynagrodzić traumę, której nabawił się w czasie tragicznych zdarzeń na bagnach sprzed trzech dni. Komisarz nagle przypomniał sobie słowa Marcina Zakrzewskiego. Jeśli milicja przed laty starała się kogoś chronić, to jego zeznań nie będzie w aktach. Wiktorski sprawdził, że w aktach są zeznania wszystkich, i odpuścił sobie temat. Tylko że teraz przypomniał sobie jedną bardzo ważną rzecz. Była jedna rodzina, w której dorosły syn miał tak samo na imię jak jego ojciec. Czyli powinny być dwa protokoły z przesłuchań – jeden ojca, a drugi syna. Był tylko jeden. Szybko znalazł pisane odręcznie kartki i spojrzał na nagłówek. Wiek przesłuchiwanego 67 lat. Czyli nie było protokołu z przesłuchania jego syna.

Zerwał się z fotela i zaczął krążyć niespokojnie po pokoju. Czyżby ta cholerna uwaga nadkomisarza Zakrzewskiego, która go wtedy tak zirytowała, była jednak celna? Irytacja, którą czuł wtedy do kolegi z Wrocławia, gdzieś się ulotniła.

Postanowił to natychmiast sprawdzić. Nie, przecież wypił dzisiaj dwa albo trzy piwa, nie może prowadzić auta. Jest na urlopie, wewnątrzni prowadzą w jego sprawie postępowanie, jak pojedzie po alkoholu, to może napytać sobie jeszcze większej biedy. Sprawdzi jutro. Jednak dzień dobrych pomysłów zsyłanych przez los jeszcze się nie skończył.

Wiktorski usiadł z powrotem na fotelu i dopił piwo. Kawy nie ruszył, na samą myśl poczuł mdłości. Tylko po co major Liszowski miałby chronić syna jednego z mieszkańców Kamiennej? Przecież nic ich nie łączyło. Naprawdę nic? Nazwisko panięńskie matki majora brzmiało Paliszewska. Takie zestawienie dwóch nazwisk coś mu mówiło.

Szybko sięgnął na półkę z książkami. Anastazja Rudnicka była lokalną pisarką, opisującą dzieje rodzin wołyńskich, które w ramach repatriacji po drugiej wojnie światowej trafiły na Dolny Śląski i w okolice Środy Śląskiej. Nie pamiętał już, dlaczego zainteresował się tą książką, być może chodziło o to, że dotyczyła przodków – jego własnych oraz ludzi, za których on teraz odpowiadał jako dzielnicowy. Z tego powodu przeczytał ją dwa razy, a potem wielokrotnie do niej zaglądał. W książce wspomniała te dwa nazwiska. Wiktorski szybko znalazł ten fragment. 17 listopada 1943 roku we wsi Moczulanka doszło do wielkiej bitwy, w której polscy i radzieccy partyzanci pokonali duże zgrupowanie banderowców, którzy mieli w planach spalenie okolicznych wsi i wymordowanie ich polskich mieszkańców. W bitwie dziad obecnego mieszkańca Kamiennej uratował życie dziadowi żony majora Liszewskiego – Paliszewskiemu. Ten przysiągł mu wdzięczność po wieczne czasy. Czy przez opacznie rozumianą rodzinną wdzięczność major chronił gwałciciela i mordercę? Tak mogło być. Czy dlatego wrobił w gwałt Józefa Wasyluka?

Podeksytowany Wiktorski sięgnął po jeszcze jedno piwo. Jutro pojedzie do Kamiennej i uda się do źródła, teraz może się jeszcze w spokoju się napić dla poprawy samopoczucia.

Do wieczora Kamil Bernatowicz nie mógł sobie znaleźć miejsca w domu. Bolała go głowa, jakby problemy całego świata właśnie się na niego zwały. No i tak właśnie było. Jego brat Jakub jednak został zamordowany, teraz policja podejrzewa, że był jednym z seryjnych zabójców. Co gorsza drugim miałby być Dawid. Czy on mógłby kogoś zabić? Na pewno na misjach zabił niejedną osobę. Przez lata jeździł przecież w najbardziej zapalne punkty świata, gdzie trwała wojna. Bynajmniej nie jeździł tam dla przyjemności, był wysyłany właśnie na wojnę, żeby zabijać. Może psychicznie był już tak wypaczony, że mordowanie kobiet było dla niego rozrywką? Czy w ten sposób odreagowywał stresy, a Jakub mu w tym pomagał?

Kamil ze zdziwieniem stwierdził, że mógłby w to uwierzyć. Milczący, zamknięty w sobie, poukładany do bólu Dawid nadawał się na psychopatę.

Nie zdziwiłby się, gdyby zabójcą okazał się właśnie on. Wtedy Iza będzie jego. Tylko czy naprawdę tego chciał? Ciągłe wydawało mu się, że ona bardziej lubi Dawida, i dzisiejszego ranka dostał tego potwierdzenie. Czy nadal chce się z nią spotykać?

– Chcę – powiedział głośno, po długim namyśle.

Dopił koniak i w tej chwili rozległ się sygnał przy drzwiach. Pewnie znowu policja. Szurając kapciami, poszedł otworzyć.

To jednak nie była policja.

– To ty? – zapytał zdziwiony, widząc wysokiego dobrze zbudowanego mężczyznę na progu. – Czego chcesz?

– Pogadać.

Kamil zawahał się. O czym znowu chciał rozmawiać? Pewnie o Izabeli.

– No dobra, wejdz – powiedział i wpuścił mężczyznę do środka.

Poszedł przodem i w drzwiach kuchni odwrócił się. Chciał zapytać, czy nie napije się kawy, ale wzdrygnął się, kiedy zobaczył go dwa kroki z tyłu. Szedł za nim, a na twarzy miał coś takiego, że Kamil się go przestraszył.

– O co ci znowu chodzi? – zdążył zapytać, lecz nie usłyszał już odpowiedzi.

Potężne uderzenie pięścią w żołądek pozbawiło go oddechu. Zgiął się w pół, a oczy wyszły mu z orbit, kiedy zaczął się dusić. Co on wyprawia, do cholery!?! To była jego ostatnia myśl. Dostał jeszcze pięścią w twarz, za moment drugi raz, pociemniało mu w oczach i zwałił się nieprzytomny na podłogę.

Wysoki mężczyzna stał nad nim jeszcze chwilę, chwiejąc się na nogach. Potem poszedł do salonu, wszedł na krzesło i zdjął żyrandol. Do haka przy-mocował linę wyciągniętą spod kurtki, pętlę założył na szyję Kamila. Za-nim pociągnął, przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę.

– Chciałem, żeby Izabela wybrała brata za brata – powiedział jakby do siebie. – Na szczęście doszedłem do wniosku, że to jednak był głupi pomys-ł. Nie zasługujesz na nią. Twoje miejsce jest w piekle, jak tych wszystkich dziwek przed tobą i tego skurwysyna Madejskiego.

Mocno szarpnął za linę.

Ból przywrócił Kamila na chwilę do przytomności, ale było już za późno. Szarpał się, wisząc pod sufitem. Może nawet nie zdążył się przestraszyć, zanim umarł z wywalonym językiem i wytrzeszczonymi w niemym przerażeniu oczami. Żałosny dupek.

Świat bez niego na pewno będzie o wiele lepszy.

Mężczyzna wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

35.

Izabela Bernatowicz wiedziała, że burza, którą sprowokowała, wcale nie odeszła. To, co się stało, było tylko preludium. Najgorsze dopiero ją czekało. Czy przyjdzie za miesiąc, tydzień czy za godzinę, nie ma większego znaczenia. Przyjdzie nieubłaganie i nie ma ratunku. Trzeba ponieść konsekwencje swojego postępowania. Los wystawia rachunek, a potem brutalnie ściąga należność z konta, które nazywa się życie. Pozostaje tylko pytanie, czy po tej windykacji coś na rachunku jeszcze zostanie, czy saldo spadnie poniżej zera.

Żeby się nie zadrećczać myślami, żeby znowu nie otworzyć butelki wina i nie pić do wieczora, żeby nie siedzieć, wpatrując się w kuchenne okno i nie wyczekiwać burzy, tego dnia od rana zajęła się pracami domowymi, które leżały odłogiem do kilku tygodni. Nastawiła wreszcie pranie, potem drugie, odkurzała, ścierała kurze, myła podłogi. Poszło jej wyjątkowo szybko i gładko. Chciała wziąć się za mycie okien, lecz pogoda na zewnątrz i wiatr skutecznie ją do tego zniechęciły. Koło południa, kiedy była już porządnie zmęczona, zjadła wreszcie śniadanie i usiadła, tak jak lubiła, w kuchni przy filiżance mocnej kawy.

Niedługo potem usłyszała nadjeżdżający samochód. Znajoma dwójka policjantów wysiadła z auta i przez chwilę kontynuowała rozmowę rozpoczętą jeszcze w czasie jazdy. To wyglądało na sprzeczkę. Wreszcie policjantka wzruszyła ramionami i poszła do wiaty nad basenem. Ten wysoki policjant z dłuższymi włosami i cudnie błękitnymi oczami ruszył w kierunku drzwi. Był przystojny, może nawet ucieszyłaby się, że widzi go po raz kolejny, gdyby nie świadomość, że to on właśnie jest posłańcem burzy, która pewnie jest już tuż za rogiem. Jeszcze moment i usłyszy pierwsze wyładowania atmosferyczne.

Przymknęła oczy i po chwili je usłyszała. Dzwonek do drzwi poniósł się echem po całym domu. Trudno, trzeba spojrzeć nawałnicy w oczy. Komornik już zajmuje rachunek, czas zapłacić za grzechy. Może to nawet lepiej, że tak szybko.

Otworzyła i spróbowała się uśmiechnąć jak gdyby nigdy nic. Przecież to nie jego wina, że jest posłańcem. Pewnie nawet o tym nie wie.

– Dzień dobry, pani Izo – powiedział poważnie. – Chciałem z panią porozmawiać w cztery oczy. To poważna sprawa.

Kolejne groźne pomruki zbliżającej się nawałnicy.

– Zapraszam pana do kuchni. Właśnie zrobiłam kawę, napije się pan?

– Bardzo chętnie.

Poszła przodem, wysoki policjant poszedł za nią. Usiadł naprzeciw, przy kuchennym stole. Wyglądał na zmęczonego.

Po chwili oboje sączyli w milczeniu kawę i spoglądali na siebie raz po raz. Gdyby nie policjantka przy basenie, Iza czułaby się jak na pierwszej randce z nieśmiałym chłopakiem. Ach, gdyby to była prawda, byłoby cudownie.

– Od jak dawna pani choruje, pani Izo?

Pytanie zmroziło ją i przywróciło do rzeczywistości. Burza, grzmoty, błyskawice, tuż za rogiem. Posiała tyle wiatru, że nadszedł wreszcie czas burzy. Czy jest sens kłamać? Chyba nie. Kłamstwa nie sprawią, że rzeczywistość stanie się lepsza. Mogą ją co najwyżej jeszcze bardziej zepsuć.

– Od kilku lat – odpowiedziała cicho, spuszczać wzrok, zawstydzona.

– Choroba postępuje, prawda?

– Tak.

– Teraz bierze pani lekarstwo?

– Tak.

– Ale robiła pani sobie długie przerwy?

– Tak, biorę znowu pigułkę dopiero od kilku dni.

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski patrzył na siedzącą przed nim kobietę i tak do końca nie wiedział, co ma o niej myśleć. Z jednej strony był na nią wściekły, z drugiej było mu jej żal. Była bardzo ładną kobietą, skończyła dobre studia, robiła karierę, pewnie była szczęśliwa w małżeństwie i nagle wszystko się skończyło. Postanowił trochę zablefować, lecz uznał, że ona niczego nie zauważy. Przecież lekarz nie zdradziłby mu przebiegu jej choroby.

– Pani Izo – powiedział, udając zatroskanie, i zajrzał jej głęboko w oczy. – Rozmawiałem z pani lekarzem. Mówił, że bardzo dawno pani go nie odwiedzała. Choroba postępuje, lekarstwo, które pani bierze, nie jest już tak skuteczne jak kiedyś, a poza tym uodporniła się pani na nie.

– Nie chcę do niego iść – zaprotestowała słabo, jakby to jego oświadczenie ostatecznie ją złamało. – Nie chcę brać nowych tabletek, to przecież niczego nie zmieni. Odmiana schizofrenii, na jaką cierpię, jest nieuleczalna. Postępuje i w końcu żadne lekarstwo nie będzie skuteczne.

– Lekarz wspominał mi o objawach. Bez lekarstw zaczyna pani żyć w świecie swoich urojeń, powoli przestaje pani rozróżniać, co jest prawdą, a co imaginacją pani umysłu. Czy tak jest?

Potwierdziła mrugnięciem oczami. Na jej ustach zagościł lekki uśmiešek.

– Wie pan, komisarzu, to czasem bywa przyjemne – rzuciła.

– To przez chorobę musiała pani odejść z pracowni architektonicznej. Była pani dobrze zapowiadającym się architektem.

– Tak. To ja zaprojektowałam ten dom. Potem sama nadzorowałam jego budowę, to było dzieło mojego życia. Odeszłam z pracy i nigdy więcej niczego nie zaprojektowałam.

Zakrzewski znowu spojrzał jej w oczy, a potem dopił kawę. Ona nie piła, tylko bawiła się do połowy napelnioną filizanką, czasem stukając nią o podstawkę.

– Coś pani opowiem – powiedział. – W sierpniu zeszłego roku od dłuższego czasu nie brała pani już tabletek. Przypomniała sobie pani o kole-

dze z dawnej pracy, Jarosławie Szymańskim. Przystojny facet, czarne włosy, ciemna karnacja. Umówiła się z nim pani na kawę, a potem nawiązała pani z nim romans, nie bacząc na to, że jest szczęśliwym mężem i ojcem trójki dzieci. Szybko jednak dała o sobie znać pani choroba. Wyobraziła pani sobie, że jest w nim szalenie zakochana, a i on za panią szaleje. Przez dwa miesiące wydzwaniała pani do niego, pisała SMS-y, maile, chodziła pani za nim po mieście. Może na początku Szymański robił sobie jakieś nadzieje związane z pani osobą, lecz szybko się zorientował, że jest pani psychicznie chora. Kiedy powiedziała mu pani, że na przeszkodzie do waszego szczęśliwego związku stoi pani mąż i ma pani plan, żeby go zabić, facet spanikował. Zerwał z panią wszystkie kontakty, zmienił numer telefonu, adres mailowy, zablokował panią na Facebooku i Instagramie. Nie chciał mieć z panią nic wspólnego. Przestraszył się pani. Czy powiedziała pani Jarkowi o planach zabicia męża?

Długo się nie odzywała, wsłuchując się w odgłosy nawałnicy nad jej głową. To dziwne, że ten policjant w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Dopiero po chwili zrozumiała. On jest zdrowy, a burza jest jednym z objawów jej choroby. Oglądnęła się przez ramię na stojącą przy basenie policjantkę. Tym razem była odwrócona przodem w kierunku domu i patrzyła wprost w okno, za którym siedzieli. Pstrykała zapalniczką, a wiatr cierpliwie gasił jej płomień. Przeszkadzała Izie, denerwowała ją, rozpraszała. Gdyby jej tam nie było, na pewno inaczej rozmawialoby się jej z tym niebieskookim policjantem. Na pewno znaleźliby jakieś wspólne tematy, może nawet przenieśliby się na sofę w salonie. Tak, to mogłoby być nawet przyjemne.

– Pani Izo!

Głos z trudem przedarł się przez obrazy produkowane przez jej wyobraźnię. No tak, burza trwała tylko w jej głowie, taka imaginacja, jej wewnętrzny świat, do którego już nigdy nikogo nie wpuści. Zaprojektuje sobie duży dom z ogrodem i basenem, jeszcze ładniejszy niż ten, i będzie sobie żyła z dala od innych, i tam nie będzie miejsca na żadne burze i wichry.

– Pani Izo!

Ocknęła się. Spojrzała na niego nieprzytomnie, lecz jej wzrok powoli odzyskiwał ostrość. Po chwili była tu i teraz. Nawet pamiętała, co powiedział.

– Moim zdaniem to pani zabiła swojego męża – kontynuował Zakrzewski. – Nie mam na to jeszcze dowodów, ale jestem o tym przekonany. Wiele poszlak na to wskazuje, między innymi zeznanie Szymańskiego. Powiedziała mu pani nawet, kiedy ma zamiar to zrobić. I powiem pani coś jeszcze. Odkrycie zdrady męża i wywołanie awantury było naprawdę świetnym pomysłem. Tylko że pani od dawna wiedziała o jego romansach. Jeszcze gdy pracowała pani jako architekt, opowiadała pani o tym koleżankom i kolegom w biurze. Nawet informowała pani ich o tym, kiedy zmieniał kochanki. Więc ten doskonały plan na zabicie męża zaczyna się pani sypać.

Patrzyła na niego nieruchomym, smutnym wzrokiem, jak ktoś, kto przepłynął kilka razy wszystkie oceany i już tylko marzy, żeby dopłynąć do bezpiecznego portu. Milczała.

Zakrzewski niczym się nie przejmował i jeszcze śmieiej ubarwiał opowieść, blefując.

– Co prawda do zbrodni przyznał się Józef Wasyluk, ale to można by podważyć. Człowiek w stresie wygaduje czasem różne rzeczy i zachowuje się nieracjonalnie. Myślę, że prokurator mógłby wytoczyć pani proces poszlakowy. Oczywiście dobry adwokat pewnie by panią wybronił, jednak sąd mógłby skierować panią na obserwację psychiatryczną, a po niej raczej nie wróciłaby już pani do tego pięknego domu na odludziu.

Po raz pierwszy wydało mu się, że w jej oczach błysnął strach.

– Nie kochała pani wcale Szymańskiego, prawda? – zmienił nagle temat.

– Nie.

– Ani braci pani męża.

– Tak.

– Teraz zdaje pani sobie sprawę, że to była imaginacja?

– Tak, teraz potrafię oddzielić realny świat od moich wyobrażeń – potwierdziła. – Czego pan ode mnie chce?

Zakrzewski nie odpowiedział od razu. Popatrzył przez okno na Karinę spacerującą tam i z powrotem po podwórku. Jej włosy szarpał wiatr.

– Podejrzewamy, że Dawid Bernatowicz jest seryjnym mordercą kobiet – powiedział wreszcie twardo. – Pani mąż Jakub mu w tym pomagał, więc jest tak samo winny. Dlatego przymkniemy oko na to, że pani go zabiła, w zamian za przysługę.

– Jaka to przysługa?

Policjant położył na stole nadajnik zamocowany na pasku, którym można było sobie opasać piersi i ukryć urządzenie pod ubraniem,

– Zaprosi pani do siebie Dawida, a potem tak pokieruje rozmową, żeby przyznał się do zabicia tych kobiet. Czasem zdarza się tak, że zabójca nagle się otwiera i dużo mówi. I proszę się nie bać, będziemy w pobliżu i jeśli uznamy, że usłyszeliśmy wystarczająco wiele, wkroczymy.

– Kiedy miałyby się to odbyć?

– Dziś wieczorem.

Kiedy Marcin wyszedł przed dom, aspirant Karina Buczko stała nieruchomo, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie kurtki. Miała taką minę, jakby przed momentem doznała jasnowidzenia i zobaczyła, że w najbliższej przyszłości czekają ich cholerne kłopoty. Miała rację, choć myliła się w jednym zasadniczym elemencie. Kłopoty, jakie ich spotkały, były o wiele większe, niż mogli to sobie wyobrazić.

36.

Zmierzchało, kiedy komisarz Wiktorski wreszcie uznał, że zawartość alkoholu w jego krwi zbliżyła się do magicznej granicy zera i może spokojnie wsiadać za kółko. Ciągłe nie czuł się najlepiej po wielu butelkach piwa, które wlał w siebie jako antidotum na kaca. Tylko że przedawkowane antidotum na truciznę też staje się trucizną i potem jest tylko gorzej. Na szczęście ciekawość i podekscytowanie związane z odkryciem, jakiego dokonał, były na tyle silne, żeby przeczłonić pokusę.

Pojechał wolno, jakby wybierał się na wycieczkę krajobrazową szlakiem pięknych widoków charakterystycznych dla połowy lutego w dolnośląskim klimacie. Szaro, buro, brudno i zimno. Dobrze, że wiatry trochę się uspokoiły.

Przed domem w Kamiennej zaparkował kilka minut później. Wysiadł i z trudem rozprostował kości. Cholerna starość! Chyba już zaczynał przyzwyczajać się do myśli, że do policji nie wróci. Dom był zaniedbany, jakby ostatni remont elewacji wydarzył się jeszcze za Gierka, do tego fachowcy nie byli odpowiedni, ponieważ teraz tynk odchodził od cegieł płatami. Nawet okien nie wymienili na nowe. Pewnie gwizdało w środku przy takiej pogodzie jak przez ostatnie dwa tygodnie.

Furtka zaskrzypiała. Nierówna brukowana ścieżka z czasów remontu domu prowadziła do ażurowego ganku i drzwi wejściowych. Odetchnął głęboko i załomotał. Potem jeszcze raz i jeszcze. Walił tak, że zbudziłby umarłego. Czy otworzy mu umarły czy żywy, gównu go to obchodziło, najważniejsze, żeby ktoś był. I na szczęście po chwili rozległ się okrzyk i głośne kroki, jakby gospodarz chodził w podkutych kapciach.

– Kogo tam licho niesie!?

Szczęknął zamek i Wiktorski stanął twarzą w twarz z Witalijem Makarewiczem.

– A to ty, komendancie. – Witalij od razu się rozluźnił. – Wejdz, miałem sobie właśnie bimberku nalać, ale kulturalniej będzie w zacnym towarzystwie mordę zamoczyć.

Komisarz bez słowa poszedł za nim do kuchni, gdzie przysiedli przy stole. Makarewicz sięgnął po butelkę, lecz Wiktorski wstrzymał go gestem dłoni.

– Nie piję dzisiaj – powiedział, czując, jak w sekundę wysychają mu wszystkie śluzówki. Musiał mlasnąć językiem, żeby całkiem nie zaschły.

– To co cię do mnie sprowadza? – Makarewicz patrzył na policjanta spokojnie.

Wiktorski rozejrzał się po mieszkaniu.

– Sam jesteś?

– Stara pojechała na zakupy do miasta, a Janek jak zwykle gdzieś polazł, łązega jedna.

– To dobrze, bo i porozmawiać można spokojniej.

– Ale o czym? – Gospodarz nadal nie wyglądał na zaniepokojonego.

– Pamiętasz sprawę Józka Wasyluka?

– Co mam nie pamiętać. Dziewczynę zgwałcił, ona zmarła, to i odsiedział swoje.

– A jak to nie on zgwałcił?

– E tam, gadanie! – Makarewicz machnął ręką. – Sąd uznał za winnego, znaczy się winny był.

– Wszyscy wtedy zeznawali przed milicją. – Komisarz popatrzył na niego przeciągle. – Tylko twojego zeznania nie było. Nawet twojego staruszka ciągała.

– Nie było? Pewnie zaginęło w tych przekształceniach. Ile to filmów było, że esbecja akta paliła?

– Makarewicz, nie pierdol mi tu! – warknął policjant i nachylił się do niego przez stół. – Wiem o tym, co zdarzyło się w czasie wojny na Wołyniu, w tej bitwie pod Moczulanką. Wiem, że twój ojciec uratował życie staremu Paliszewskiemu, który był dziadkiem żony komendanta milicji w Środzie. I dlatego komendant cię chronił. Nie było twojego zeznania, bo nikt cię nie przesłuchiwał. Nikt tego nie zauważył, bo twój ojciec miał tak samo na imię jak ty, Witalij. Kurwa, to ty byłeś wtedy gwałcicielem! Ty cholerny skurwysynu!

W przypiływie wściekłości policjant sięgnął, chcąc złapać Witalija za koszulę, lecz ten zerwał się na równe nogi i poczerwieniał na twarzy. Wiktor-ski też podniósł się wolno.

– To ty gwałciłeś tamte dziewczyny – mówił dalej przez zaciśnięte zęby, aż kropelki śliny przyskały na boki. Nigdy nie czuł tak wielkiej złości; gdyby Makarewicz dał mu pretekst, to rzuciłby się na niego z pięściami. I Witalij dał, ale dopiero za moment. – Używałeś sobie, pieprzony zbrodźcu, a kiedy milicja wreszcie mogła wpaść na twój ślad, poprosiłeś żonę majora o pomoc. Niby w imię dawnej przysięgi na śmierć i życie. Ty jesteś cholerny ścierwo, nie człowiek! Przez ciebie Wasyluk miał zmarnowane życie.

Twarz Makarewicza nagle się zmieniła. Zniknął spokój, a pojawił się na niej złośliwy grymas okraszony paskudnym uśmieszkiem.

– I co mi teraz zrobisz, komendancie? – zapytał. – Gównno! Tyle lat mi-
nęło, że to już nikogo nie interesuje.

– Mnie interesuje!

– Nawet Wasyluk już smaży się w piekle!

– Ty będziesz się smażył razem z nim!

– Wątpię. – Złośliwy uśmiech jeszcze się poszerzył. – Ja nie wierzę w bajki o niebie i piekle. Masz z życia tyle, ile sobie tu na ziemi poużywasz, potem jest tylko wieczna ciemność. I wiesz, ja sobie poużywałem, komendancie. Pod nosem zasranej milicji, wśród bogobojnych sąsiadów, poużywałem sobie z dziewczynami i w niczym się nie ograniczałem. Pewnie połowa z nich do dzisiaj wspomina, jaki to wspaniały seks im się przytrafił.

To był właśnie ten powód. Wiktorski nie wytrzymał, podskoczył do Makarewicza i zdzielił go pięścią w twarz. Chciał zetrzeć mu ten paskudny uśmiezek, jednak się nie udało. Witalij zatoczył się na ścianę, ale szybko odzyskał równowagę i dalej uśmiechał się zakrwawionymi wargami. Potem nagle jego twarz zmieniła się w twarz szaleńca.

– Wynoś się stąd! Wypierdalaj! – wrzasnął. – Gównno możesz mi zrobić!

Wiktorski nie spodziewał się ataku przeprowadzonego z taką furią i szaleństwem. Przyjął dwa ciosy, jeden na szczękę, drugi na korpus, i prawie się przewrócił. Na szczęście poszedł w zwarcie i przeczekał krótki okres oszołomienia. Potem już pomogło mu policyjne szkolenie. Błyskawicznie powalił Makarewicza na podłogę, usiadł na nim i z wielką satysfakcją zdzielił go kilka razy pięścią. Mężczyzna na podłodze nagle przestał się szarpać, zwiotczał i tylko oddychał szybko, aż na rozbitym nosie pojawiły się bąbelki krwi. Zaraz też się zakrztusił i zaczął kaszleć.

Wiktorski przycisnął go do podłogi.

– To jak to było naprawdę z Janiną Owczarską? – zapytał. – To była córka twoich sąsiadów, skurwielu!

– Odpier... – Makarewicz nie dokończył, bo zabrakło mu tchu.

– Skąd wiedziałeś, kiedy będzie wracać?

– Powiedzieli mi...

– Kto?

– Jakub Bernatowicz i ten jego starszy kolega, skurwysyn... łazili za nią... wiedzieli...

Wiktorski przypomniał sobie nagle kartę z pamiętnika Owczarskiej, tę o dwóch chłopcach, którzy chodzili za nią, żeby ją chronić. Poczował, że robi mu się niedobrze. Klocki układanki zaczęły mu się nagle składać w głowie.

– Oni widzieli, jak gwałcisz Janinę, tak? I nie zareagowali? Gadaj! – Mocniej przycisnął Makarewicza do podłogi.

– Powiem... – wycharczał. – Widzieli. Ten starszy myślał, że ona nie żyje... uklęknął przy niej... Był podniecony, wymacał ją po piersiach i cip-

ce... Odpiął jej nawet lilijkę z beretu. Potem się przestraszył, jak otworzyła oczy, i uciekli. Bernatowicz zsikał się w majtki ze strachu.

Wiktorski myślał i coraz więcej z tego rozumiał.

– To dlatego go tak nienawidziłeś i sądziłeś się z nim o ziemię – powiedział. – I dlatego tak szybko się dogadaliście, bo on cię postraszył.

– Tak...

– Kurwa, on był wiele lat w oddziałach specjalnych – jęknął policjant. – Wrócił na stałe do Kamiennej niedawno.

Puścił Makarewicza i skoczył na równe nogi, jak oparzony.

– Jezu, to on jest zabójcą kobiet!

Zapomniał o leżącym na podłodze Makarewiczu, wybiegł na podwórze i gorączkowo zastanawiał się, co ma teraz robić. Drżącymi palcami wybrał numer do Zakrzewskiego. Odezwała się poczta głosowa. Gorączkowo zastanawiał się, co ma robić. Chciał zatelefonować do dyżurnego, jednak się rozmyślił. A jeśli nierozważne działania powiatowej komendy spłoszą seryjnego mordercę? Tylko czy on naprawdę jest seryjnym mordercą? Wszystko na to wskazywało.

Pobiegł w kierunku swojego auta, a potem przejechał kilkaset metrów główną ulicą. Zaparkował przy kępie krzaków, z dala od domu numeru sześć. Dalej musi przejeść pieszo pod osłoną ciemności.

Obserwował policjanta z głębi podwórza. Ból w brzuchu nasilił się, więc przysiadł na starej studni, z której Makarewicz bierze jeszcze wodę dla zwierząt i do polewania ogródka. Pieprzony Wiktorski! Nie uwzględnił go w swoich planach. Nie spodziewał się, że ten zapijaczony glina będzie na tyle inteligentny, żeby w końcu trafić do Makarewicza. Słyszał, że krzyczeli na siebie i się bili, pewnie Makarewicz wszystko mu wyśpiewał. Dlatego komisarz jest teraz taki zdenerwowany. Ciekawe, co robi? Naprawdę obserwował go z wielkim zainteresowaniem. „No, komendancie” – pomyślał, nazywając go tak jak wszyscy w Kamiennej. „Pokaż jaja. Pójdź tam, a ja zaraz do ciebie dołączę”.

Tylko ten cholerny obezwładniający ból. Rak jest dla człowieka bezlitosny, szczególnie ten nieleczony, o raku trzustki nie wspominając. Tak, wszystko ma gdzieś tam swój kres. I on właśnie docierał do tego kresu, gdzieś dalej jest już tylko pustka i cisza. Miał nadzieję, że nie będzie tam bólu, chociaż jako wyszkolony i twardy jak skała żołnierz nie przejmował się znanym bólem.

Przez chorobę musiał przerwać zabawę. No i przez tego idiotę, Bernatowicza, który wyszukiwał mu ofiary w bazie danych kliniki. Długowłose brunetki o ciemnych oczach, szczupłe, podobne do tamtej zgwałconej przez Makarewicza harcerki. Ciągle jeszcze czuł dreszcze podniecenia na wspomnienie tego, jak ją dotykał. Potem już nigdy nie było tak samo. Było nawet coraz gorzej, coraz mniej podniecająco, coraz bardziej pospolicie. Może by ciągnął to jeszcze, ale Jakub dał się w tak głupi sposób zabić swojej pierdolniętej żonie. Banał i wstyd, no bo jak można się dać zabić głupiej cipie?

Z drugiej strony nawet jak go teraz szybko złapią, to przecież rak i tak go zabije, zanim ruszy proces, więc co to za różnica? Najważniejsze, żeby się dobrze bawić. Coraz większy problem z brakiem podniecenia przy ostatnich zabójstwach spowodował, że wpadł na świetny pomysł. Zemścił się na tym dupku, przez którego nigdy nie zrobił kariery w wojsku. Madejski był zawsze przed nim, nigdy nie pozwalał mu rozwinąć skrzydeł, więc nienawidził go z całego serca. A że przy okazji jego narzeczona była brunetką? Dodatkowy bonus. Wyszło genialnie! Ciągle jeszcze uśmiechał się na samo wspomnienie. Tak jak teraz. Tylko że teraz jego uśmiech psuł grymas bólu.

Nagle od strony domu Makarewiczów dobiegł głośny wystrzał z dubeltówki. Aż drgnął, zaskoczony. Czyżby Janek w końcu się odważył? Musiał to zobaczyć.

Po wyjściu Wiktorskiego Makarewicz długo zbierał się z podłogi. Gdy wreszcie udało mu się zwalczyć zawroty głowy, rękawem wytarł sobie krew z nosa i warg. Cholerny gliniarz. Usiadł przy stole i starał się zapanować nad krwawieniem z nosa, ściskając jego nasadę palcami. Bolało jak diabli. Pewnie złamany.

Nie od razu zauważył postać w progu.

– Co ty tu robisz? – warknął do syna.

Janek był blady, w rękach trzymał dwulufową strzelbę, której Witalij używał kiedyś do kłusowania. Oba kurki były odciężone.

– Odłóż to, bo sobie zrobisz krzywdę – powiedział pogardliwie.

– Wszystko słyszałem – mówił cicho Janek. – Jesteś mordercą i gwałcicielem.

– Gównu cię to obchodzi, smarkaczu!

– A właśnie, że mnie obchodzi! – Janek nagle podniósł głos. – Jesteś zbrojcem, najpierw gwałciłeś dziewczyny, a potem gwałciłeś mnie.

Po twarzy młodego Makarewicza zaczęły płynąć łzy. Wyżej podniósł lufę strzelby.

– Spierdalaj, ale już! – krzyknął Witalij. – Żeby nacisnąć na spust, trzeba być facetem, a nie takim miękkim chujem.

I wtedy Janek pociągnął za spust. Rozległ się huk, odrzut omal nie złamał mu barku, ale było za blisko, żeby nie trafić. Janek odrzucił strzelbę. Stał nad zakrwawionym ciałem swojego ojca i płakał. Nawet nie zauważył, że ktoś stanął za jego plecami. Dopiero, kiedy sznur zaciskał mu się na szyi, krzyknął z przerażenia, ale to był ostatni odgłos, jaki wydobył się z jego gardła.

Zabójca spojrział mu w oczy, zmierzwił mu czuprynę, jakby zegnał się z młodszym bratem, który wyjeżdża na obóz młodzieżowy. Potem jeszcze bardziej zacisnął pętlę i czekał, aż życie wycieknie z młodego ciała. Potem powiesił ciało Janka na haku po zdjętym żyrandolu, obok przewrócił krzesło. Chłopak nie wytrzymał molestowania. Zastrzelił ojca, a potem sam się powiesił. Jaka tragiczna historia, ale za to jaka prawdziwa.

Wyszedł na podwórze i ruszył w kierunku swojego terenowego auta. Teraz czas na tego cholernie wścibskiego policjanta.

Wiktorski obszedł wokół dom oznaczony numerem sześć. Zaglądnął nawet do szopy i pomieszczeń gospodarczych. Wszędzie panował idealny po-

rządek. Nie ma co, właściciel domu musiał być przednim gospodarzem. Czy był też tak samo dobrym zabójcą kobiet? Cechą psychopatów często jest nadmierna dbałość o porządek i szczegóły.

Wyglądało na to, że w domu nie ma nikogo. Stał przed drzwiami i nacisnął na klamkę. Drzwi niespodziewanie ustąpiły. Wiktorski, czując dreszcz podniecenia, wszedł do ciemnego wnętrza. Uruchomił latarkę w komórce. Wszędzie panowały spokój i cisza, gdzie nie spojrzeł, w oczy rzucał się doskonały porządek, jakby ktoś tu codziennie sprzątał.

Nie zastanawiając się długo, zrobił obchód pomieszczeń. Miał porównanie do domów Wasyluka, Marcza i Makarewicza. Tam śmierdziało stęchlizną, wilgocią i starym kurzem, tu wszędzie w powietrzu wisiał lekki zapach kwiatowych odświeżaczy powietrza. Jednak po kilkunastu sekundach komisarza zemdliło i zaczął tęsknić za tamtymi, swojskimi zapachami. Przynajmniej były naturalne, człowiek przywykł do nich od wieków, a nie chemiczne i sztuczne.

W pokojach zaglądał do starych kredensów, szuflad, przejrzał nawet szafki w kuchni, jednak niczego nie znalazł. Zawiedziony ruszył do wyjścia, kiedy nagle światło padło na drzwi do komórki pod schodami. Były zamknięte tylko na skobel. Zajrzał tam, spodziewając się półek z przetworami, lecz bardzo się pomylił. To wyglądało jak prywatny gabinet właściciela domu.

Zaraz przy drzwiach stało biurko z krzesłem, a na ścianach dostrzegł fotografie. Wszedł, zamknął za sobą drzwi i odważył się zapalić małą lampkę na biurku. To, co zobaczył, przyprawiło go o mdłości. Zachwiał się i omal nie upadł. Chciało mu się równocześnie zapalić i wypić dużą szklankę samogonu.

Ze ściany patrzyły na niego twarze martwych kobiet. Wszystkie do siebie podobne i na pewno już martwe. Na środku ściany przypięta była mała harcerska lilijka.

Wtedy gdzieś w głębi domu Wiktorski usłyszał jakiś dźwięk. Zmartwił.

Ten bezczelny, cholerny, zapijaczony glina był na tyle głupi, żeby samemu się do niego włamać. Tym gorzej dla niego. Wszedł bocznym wejściem, przez spizarkę dostał się do kuchni i stanął w ciemnościach, nasłuchując. Gdzieś z oddali biła mała poświata. Gliniarz trafił do skrytki pod schodami. Bystry jest, jak na takiego ochlaptusa. Da mu się jeszcze chwilę napatrzeć, niech ma przed śmiercią.

Jego myśli znowu cofnęły się w czasie. Od dawna obserwował Izabelę, widział, jak zabija męża, potem widział, jak Józef Wasyluk maskuje miejsce ukrycia zwłok, a potem jako pierwszy przyjechał pomóc w poszukiwaniach Jakuba. Wrócił tam następnego dnia. Wykopał ciało cichego współnika. Mimo wszystko nie zasłużył, żeby spocząć gdzieś pod krzakiem. Od tamtego zdarzenia ze zgwałconą dziewczyną Jakub śmiertelnie się go bał i był bardzo podatny na szantaż. Więc go przez lata szantażował, aż wreszcie zmusił do wyszukiwania mu dziewczyn, a nawet wymusił na nim dostęp do kliniki. Biedny głupiec.

Jego ciało przechowywał w chłodnej piwnicy, a potem pokazał je Izabeli. Chciał dobrze. Pomyślał, że zanim zabije go rak trzustki, zrobi coś dobrego. Skojarzy ją z którymś z braci Jakuba, bo przecież jej się też od życia coś należy. Tylko że ona była głupia i nie wybrała żadnego. Dlatego ich też zabije. Kamila już się pozbył, jak tylko zlikwiduje policjanta, pójdzie do Izy i też wymierzy jej sprawiedliwość. Nie wiedział tylko, co robi z Dawidem. Dawid był jego mentorem w wojsku. Wciągnął go do elitarnej jednostki pułkownika Pasickiego i służyli razem na wielu misjach. Nie było między nimi przyjaźni, ale darzył Dawida szacunkiem. No i teraz trochę się go bał. On przecież nie jest już tak sprawny jak kiedyś. Dawid mógłby go załatwić jedną ręką. Czy spróbuje go zabić? Zastanawiał się. Tak, chyba tak. On też zasłużył, żeby zabrać go ze sobą do piekła. Zastrzelili go. Tak jak Wiktorskiego.

Sięgnął pod zlew, gdzie pod dnem kosza na śmieci trzymał nowiutką berrettę APX – jego ulubiony pistolet będący na wyposażeniu służb specjalnych. Niezawodna broń, doskonale leżąca w dłoni.

Ruszył cicho przed siebie. No tak, drzwi do skrytki pod schodami były uchylone, lampka się świeciła. Ten cholerny Wiktorski tu trafił.

Pchnął drzwi i znieruchomiał. Poczłł nagle, jak zalewa go fala wściekłości. Wiktorskiego nie było.

37.

Dużo wysiłku kosztowało Izabelę Bernatowicz, żeby porozmawiać z Dawidem. Przez cały dzień nie odbierał od niej telefonów. Odpisał na któryś z kolei SMS: „Nie dzwoń”. To nie był dobry komunikat. Przez chwilę spaniowała. Wyobrażała sobie, jak ludzie w białych kitlach zabierają ją z domu i umieszczają w przerażającym miejscu, w którym nie ma klamek, za to są kraty, setki twarzy i malujący się na nich obłęd. Jej uszy rozdzierały przeraźliwe wrzaski, jakby to nie był szpital psychiatryczny, tylko gułag gdzieś na dalekiej Syberii, a w białych kitlach po korytarzach nie spacerowali pielęgniarze, tylko kaci wybierający ofiary do tortur.

Z trudem powróciła do rzeczywistości. Długo jeszcze trzęsła się ze strachu. Ten policjant wyglądał na takiego, który zrobi to z nią bez mrugnięcia okiem. To był właśnie taki kat w białym kitlu, z utęsknieniem wypatrujący słabszych, żeby ich pognębić.

Przeraziła ją jeszcze jedna okoliczność. Jak dotąd jej imaginacje były ciepłe, kolorowe i rozkoszne. Pokazywały życie, jakie sobie wyobrażała. Koszmar przyszedł po raz pierwszy. Czy tak będzie już zawsze? Nie chciała tego. Musiała sięgnąć do domu Dawida. To był dla niej jedyny ratunek.

Wreszcie pojechała do niego na Osiedlową. Nie spodziewał się jej, ponieważ od razu otworzył i długo patrzył na nią zaskoczony. Wyglądał źle. Podkrążone i zmęczone oczy, ciemna szczecina na policzkach i trochę zmierzwiłone, krótkie włosy. Odegrała przed nim najlepszą scenę melodramatyczną, jakiej nie powstydzilaby się Katharine Hepburn. Do tego doskonale zrównoważoną w przekazie. Trochę kobiety zakochanej, trochę tęskniącej, nieszczęśliwej i szczypta smutnej. Dał się na to nabrać i obiecał, że po południu przyjedzie na pożegnalną kawę, ponieważ zamierza wyjechać z kraju, jak tylko policja mu na to pozwoli. Nie zamierzał wracać.

Telefonicznie umówiła się z tym wysokim policjantem, którego nazwiska nie mogła zapamiętać, że przyjadą do jej domu zaraz za Dawidem. Ona ma włączyć nadajnik, jak tylko on pojawi się na podwórzu. Wszystko będzie nagrywane, a ona będzie bezpieczna. W razie potrzeby będą w stanie zainterweniować w ciągu kilku sekund. Trochę się bała, lecz nie miała wyjścia. Zastanowiło ją tylko, dlaczego jest tak mało policji, ale potem nie drażyła tego tematu.

– Zakrzewski, jak to nie wyjdzie, będziemy mieli ciepło pod dupą – powiedziała Karina Buczko, prowadząc auto w sporej odległości od świateł jadącego przed nimi auta Dawida, które co chwilę znikwały za leśnymi zakrętami i pojawiały się na długich prostych.

Była zdenerwowana i wcale tego nie ukrywała. Pistolet położyła sobie na kolanach, jakby szykowała się na wojnę.

– Wezmę to na siebie – mruknął.

– A ja to niby jak się wytłumaczę? Że na grzyby przyjechałam?

– Mówiłem, żebyś się w to nie pchała.

– Jasna cholera! – wykrzyknęła, uderzając dłonią w kierownicę. – Jak on jej coś zrobi, to będzie jeszcze gorzej.

– Przecież nie wierzysz, że to on jest Bestią. – Wzruszył ramionami. – Skąd takie obawy?

– Zamknij się już, dobrze?

– To ty zaczęłaś.

Umilkli, a ponieważ zbliżali się już do zjazdu na Kamienną, Karina zwolniła i poczekała, aż światła wozu Bernatowicza znacznie się od nich oddalą, potem wyłączyła światła w ich aucie i wolno skręciła. Dokładnie w chwili, kiedy w oddali Dawid wjeżdżał na podwórko przed dom. Karina trochę przyspieszyła. Nagle auto podskoczyło na poziomym uskoku. Omal nie uderzyli głowami o sufit. Pistolet poderwał się z jej kolan, stuknął o kierownicę i spadł gdzieś pod siedzenie. Zakląła i zwolniła.

– Zaparkuj tu. – Zakrzewski wskazał miejsce przy dużym kasztanowcu rosnącym kilkadziesiąt metrów od bramy domu Izabeli. Zatrzymała się bez słowa. Otworzył drzwiczki i ruszył szybkim krokiem w kierunku domu, manipulując przy słuchawce w uchu.

– Już ich słyszę, pospiesz się.

– Idź, zaraz będę. – Zanurkowała pod siedzenie kierowcy w poszukiwaniu pistoletu i jęknęła. – Kurwa mać, pech!

Pistoletu nigdzie nie było. Zakrzewski zniknął już w bramie, a ona nadal nie mogła wymacać swojego walthera. Zaczęła się pocić ze zdenerwowania. W pewnym momencie usłyszała nadjeżdżający drogą samochód. Wyraźnie było słychać, jak amortyzatory jęknęły na tym samym uskoku, na którym spadł jej pistolet. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie widzi świateł tego auta.

Kiedy Iza otworzyła drzwi, Dawid wyglądał już zupełnie inaczej. Ogolony, uczesany, pachnący kremem po goleniu i drogimi perfumami. Nawet worki pod oczami były mniejsze, jakby zastosował jakieś magiczne środki maskujące. Strach ją usztywnił. Miała nawet problem z opanowaniem drżenia w głosie. To minie, wszystko da się zrzucić na karby tremy przed pożegnalnym spotkaniem.

– Wyglądasz ekstra – powiedziała niespodziewanie dla samej siebie.

Dawid uśmiechnął się ciepło i dobrotliwie. Tylko że ten uśmiech teraz zupełnie przestał na nią działać. Ona nic do niego nie czuła, to wmówiła jej choroba i być może nawet mężczyzna w to uwierzył.

– Wpuścisz mnie czy będziemy tak stali?

– Pewnie, wejdź – zmieszała się.

Poszła przodem do kuchni, słyszała, jak zdejmuje kurtkę, buty, a potem idzie za nią. Nie odwróciła się, stojąc przed ekspresem do kawy.

– Napijesz się kawy?

– Bardzo chętnie.

Drgnęła przestraszona. Stał tuż za nią, czuła, że znajduje się bliżej, niż wynosi jej strefa komfortu. Jego słodki zapach uderzył ją w nozdrza. Patrzył na nią bardzo poważnie ciemnymi oczami.

– Przestraszyłeś mnie. – Uśmiechnęła się blado.

– Przepraszam. – Odsunął się od niej na dwa kroki i pokazał butelkę czerwonego wina, którą trzymał w dłoni. – Przyniosłem wino.

– Świetnie! Otwórz, wiesz, gdzie są kieliszki.

Czy Izie tylko się zdawało, czy Dawid też był wyjątkowo spięty? Szkło za-brzęczało w dłoni niepokojąco. Postawił kieliszki na stole, po kuchni roz-szedł się aromat świeżo zmielonej kawy, a gość zabrał się do otwierania butelki. Po chwili wino oddychało, oni zaś w milczeniu pili kawę, zerkając na siebie niepewnie. Początkowy strach Izy przerodził się w smutek. Da-wid nie wyglądał na bezwzględного mordercę. Seryjny zabójca nie ma ta-kiego spojrzenia, nie ma tak wyraźnie wypisanej szczerości na twarzy. A może policja ma rację i to jest tylko taka maska mająca wzbudzić zaufa-nie?

– Dokąd wyjeżdżasz? – zapytała.

– Jeszcze nie wiem, mam wielu znajomych za granicą. – Wzruszył ra-mionami i spróbował zażartować. – Zawsze ktoś mnie przygarnie.

Miał coś jeszcze powiedzieć, lecz nagle usłyszeli uderzenie, potem chrzęst metalu i wycie silnika. Izabela miała tylko jedno skojarzenie – wy-padek drogowy. Ale tutaj, na drodze, gdzie nie da się pojechać szybciej niż czterdzieści na godzinę? Popatrzyła pytająco na Dawida i w tej samej chwili za oknem usłyszała dwa wystrzały z pistoletu.

Karina podniosła się spod przedniego siedzenia i spojrzała na zbliżający się szybko terenowy samochód w momencie, gdy był już tuż przy jej aucie. Zanim zdążyła zareagować, rozległ się straszliwy huk, a potem jęk zgniata-nych blach, który trwał i trwał, i zdawał się nie mieć końca. Z przerażeniem obserwowała, jak przestrzeń wokoło niej zaczyna się kurczyć. Na plecy na-pierają plastiki ze skrytki po stronie pasażera, kierownica wbija jej się w kark. Manetka zmiany biegów próbuje przebić bok. Miała wrażenie, że

zaraz umrze, zgnieciona w środku auta. To było tak przerażające, że otworzyła usta do krzyku, lecz zanim dźwięk wydobył jej się z gardła, wszystko ustało. Zapanowała złowroga cisza, rwana tylko pojedynczymi odgłosami rozprostowujących się fragmentów karoserii i szumem chłodziwa z instalacji klimatyzacyjnej. Potem w jej nozdrza uderzył ostry zapach benzyny.

Zakrzewski stał w cieniu przy basenie, słuchając rozmowy Izy i Dawida w kuchni. Co chwilę zerkał w stronę bramy. Gdzie, do cholery, zniknęła Karina? Powinna już tu być. Kiedy jeszcze raz zerknął w tamtą stronę zniecierpliwiony, do jego uszu doleciał odgłos zderzających się ze sobą samochodów. Nie od razu pojął, co się dzieje. Dopiero po długich sekundach, podczas których jego mózg z niedowierzaniem analizował, jak mogło dojść do wypadku, zląkł się o partnerkę. Podbiegł w kierunku drogi. Zrobił tylko kilka kroków, kiedy tuż przed nim zamajaczyła ciemna sylwetka, a potem zobaczył dwa błyski ognia. Nawet nie usłyszał odgłosu wystrzału. Pierwszy pocisk, uderzając w bok, wyhamował jego bieg, a drugi, trochę wyżej, odrzucił go do tyłu. Było zaskoczenie, piekielny ból i ciemność.

Feliks Grzegorzczak zatrzymał się i zlustrował otoczenie. Nie było innych gliniarzy na podwórku. Pewnie ten tchórz Wiktorski uciekł i jeszcze nawet nie zawiadomił psów o swoim odkryciu. Pobiegł dalej. Tylko zerknął na leżącego nieruchomo wysokiego policjanta. Nie musiał sprawdzać. Szkolił się u pułkownika Pasickiego. Strzały z beretty, nawet w pełnym biegu i z dużej odległości, zawsze trafiały w cel. Tak było i tym razem.

Pułkownik Pasicki szukał go już wcześniej niż policja. Rozmawiali telefonicznie, pułkownik wypytywał o Mariusza Bednarza. Bednarz to był świr na punkcie religijnym, jednak Grzegorzczak się przestraszył, że kiedy go zwiną, może ujawnić pewne fakty z jego życia. A to mogło naprowadzić Pasickiego na jego trop. Dlatego złożył Bednarzowi wizytę trochę wcześniej i się zabezpieczył. Tak naprawdę był wdzięczny byłemu dowódcy za to, że go ostrzegł.

Za moment był przy oknie kuchennym domu Bernatowiczów. Ile razy już tu zaglądał od listopada i śmierci Jakuba? Wiele. Prawie codziennie. Obserwował, jak na początku Izabela upija się winem co wieczór, a potem zaczyna flirtować z braćmi. Składał jej nocne wizyty, ale tylko raz czy dwa pozwolił, żeby go usłyszała. Tak było bardziej podniecająco. Widział, jak przespała się z tym frajerem Kamilem, który teraz wisi na haku i pewnie jeszcze nikt go nie znalazł. Był na podwórzu, kiedy pieprzyła się z Dawidem. To wtedy wymyślił, żeby wybrała brata za brata. Miał słabość do Dawida. Uważał, że w takim przypadku wybrałaby właśnie jego. Ale wtedy wszystko się zesrało przez tego Wasyluka i gliniarza pijacynę. Dlatego nie chciał już ulepszać świata, marzył, żeby go zniszczyć. Zabić wszystkich, którzy wejdą mu w drogę, Dawida Bernatowicza też. Zabrać ich ze sobą do piekła. Zabijać, dopóki i jego nie zabije ten przeklęty rak.

Stanął przy oknie i zobaczył, że Dawid wstaje, zaniepokojony dźwiękami, po czym podchodzi do okna. W jasno oświetlonej kuchni stanowił doskonały cel. I Grzegorzycyk wykorzystał okazję, pociągając dwa razy za spust. Tym razem odgłosy wystrzałów zlały się z brzękiem tłuczonych szyb.

Dawid dostał dwie kule w pierś.

– Nic ci nie jest?

Głos docierał do niej z zewnątrz i w zgniecionym jak puszka samochodu brzmiał głucho, jakby dochodził z daleka. Poruszyła się. Za mało miejsca, żeby zrobić jakikolwiek ruch. I ta benzyna.

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Nie ruszaj się. – Teraz poznała ten głos. To był ten tutejszy policjant, Wiktorski. – Zaraz spróbuję cię uwolnić, tylko muszę jakoś otworzyć te drzwi.

Najpierw cały wrak się poruszył, szarpany przez mężczyznę. Potem usłyszała jęczenie blachy, jeszcze coś, jakby kopnięcia i nagle narkotyzujący zapach benzyny zelżał. Do środka wdarło się świeże powietrze. Wiktorski chwycił ją za ramiona, chcąc wyszarpnąć z pogniecionego wnętrza.

– Jakby coś bolało, to mów – usłyszała jego głos nad głową.

Bolało jak cholera, ale tylko, kiedy różne części jej ciała tarły o plastiki i blachy. Zacisnęła zęby i nic nie powiedziała. Przy ostatnim odepchnięciu ręką poczuła pod dłonią rękojeść walthera p99. Odruchowo zacisnęła na nim palce i już była na zewnątrz. Upadła na wilgotny, dziurawy asfalt i odychała ciężko.

– Masz coś złamane?

Poruszała rękami i nogami, obmacała się, po czym dźwignęła z trudem na nogi. Wiktorski jej pomógł.

– Chyba nie – powiedziała.

Spojrzała na wielki terenowy samochód wbity w ich policyjną kijankę. Ktoś próbował zgnieść ich auto z nią w środku. Poczuła wściekłość. Tak tego nie może zostawić.

– To Feliks Grzegorzycy – mówił szybko Wiktorski. – On jest mordercą kobiet, znalazłem zdjęcia w jego domu i harcerską lilijkę.

Karina popatrzyła na niego zdziwiona.

– Kto to, kurwa, jest Grzegorzycy? – jęknęła.

– Też był żołnierzem w jednostkach specjalnych – powiedział Wiktor. – To ci chyba powinno wystarczyć.

– Kurwa mać!

I znowu usłyszeli dwa strzały od strony domu Bernatowiczów.

Izabela Bernatowicz patrzyła na to jak we śnie. W pierwszym momencie nie pojęła, co się właściwie stało. Na pierwszy plan wybił się brzęk tłuczonego szkła, dopiero kiedy Dawid poleciał do tyłu jak kopnięty przez konia, usłyszała też ten dominujący dźwięk i go poznała. Zaczęła krzyczeć. Dawid, jak w zwolnionym tempie, przechylał się na piętach, aż wreszcie runął jak długi na plecy, zahaczając o stół i odsuwając krzesło. Na jego wyprasowanej modnej koszuli natychmiast zaczęły wykwiatać dwie czerwone róże w miejscach, gdzie kule utkwily w ciele. Róże rosły i rosły, aż nie przypominały już róż, zmieniły się w bezkształtne plamy szkarłatu.

Kiedy Iza myślała, że on już nie żyje, najstarszy z braci nagle podniósł głowę, przetoczył się, podciągnął na rękach i usiadł pod ścianą. A było z nim naprawdę źle. Z ust i nosa sączyła się krew. Mimo to patrzył na nią przytomnie.

– Nic do mnie nie czujesz, prawda? – zapytał nieoczekiwanie.

Nie mogła wydobyć z gardła głosu, więc tylko pokiwała głową.

Feliks Grzegorzycy zwalczył ból w trzewiach. Z fascynacją patrzył, jak Dawid upada z dwoma kulami w piersiach. Może ktoś mógłby go jeszcze uratować, ale na to zadupie karetka przyjedzie najwcześniej za godzinę. Przecież był żołnierzem. Wiedział, jakie są szanse przy tego typu postrzałach. Bez szybkiej pomocy – żadne. On też pewnie o tym wiedział.

Wszedł do domu i po chwili był w kuchni. Dawid zdołał oprzeć się o ścianę. Twardziel. Izabela patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Tak, to ja – powiedział i zakaszłał, krzywiąc się z bólu. Co ten cholerny rak robi mu z wnętrznościami? – Nie spodziewałaś się?

– Dlaczego? – zapytała cicho.

– Wiesz, że kiedyś przyjaźniłem się ze wszystkimi braćmi Bernatowiczami? – zapytał Feliks. – Nawet nazywali mnie czwartym bratem. Tak, twój mąż mi pomagał. Szukał mi fajnych dziewczyn, kiedy miałem taką fantazję. Ale nie myśl o nim źle. On się prostu bał. To był tchórz. Żadnej nie zabił. On tylko pieprzył wszystko, co nie uciekało na drzewo. Może tak odreagowywał stresy?

– Ty skurwysynu – jęknął Dawid.

– Zamknij się. Nie grzesz przed śmiercią, mówiąc brzydkie wyrazy. Byłem waszym czwartym bratem? No to teraz rozwiązałem wasze problemy rodzinne. Została mi jeszcze Iza.

Podniósł pistolet i wycelował w skamieniałą z przerażenia kobietę.

– Gdzie strzelić? – zapytał, ale to było pytanie skierowane do samego siebie. – W piersi czy może zakończyć wszystko strzałem w tę piękną główkę? Mój ulubiony pistolet nie chybia.

Wtedy nagle coś poruszyło się w korytarzu.

– Policja, rzuć broń!

Nie zamierzał reagować na polecenia. Naciskał już spust, kiedy nagle z innego kierunku niż głos, od strony okna, padł strzał. Grzegorzycyk dostał w ramię, w którym trzymał pistolet. Beretta potoczyła się z metalicznym odgłosem po kafelkach na podłodze.

Przecież nie był ranny. To niespodziewany podwójny paroksyzm bólu był przyczyną chwilowej utraty przytomności. Ta myśl sprawiła, że nadkomisarz Zakrzewski natychmiast postanowił się ocknąć. Do tego przyszło jeszcze delikatne szarpanie.

– Marcin, gdzie dostałeś? – Zielone oczy pochylonej nad nim Kariny były przepełnione bezgranicznym lękiem.

Wciągnął gwałtownie powietrze do płuc i ból w boku znowu na chwilę go sparaliżował. Ale był już zdecydowanie do wytrzymania.

Sięgnął ręką i podciągnął do góry sweter.

– Ty cholerny szczęściarzu! – warknęła Karina na widok dwóch pocisków tkwiących w kamizelce kuloodpornej. – Kurwa, ty jesteś jak kot! Masz siedem żyć.

– Kilka już wykorzystałem – wycharczał. – Pomóż mi wstać.

Jakieś męskie ręce chwyciły go i uniosły. Marcin poznał Wiktorskiego. Szybko wytłumaczyli mu, co się dzieje. Palcem wcisnął słuchawkę, która przy wstrząsie wysunęła mu się z ucha. Słyszał jakiś obcy głos, ale przez szum w uszach nie bardzo rozumiał, o co tamtemu chodzi. Jedno było pewne i nagle uświadomił to sobie z całą bolesną otoczką. Pomylił się i to chyba była najbardziej fatalna pomyłka w całej jego policyjnej karierze. Zawiodł go psi instynkt, zawiodło go doświadczenie, zachował się jak twardogłowy głupek, obstając przy Dawidzie. A prawdziwa Bestia była na wyciągnięcie ręki, tylko że on nigdy nawet nie spojrzał w tamtą stronę.

Tylko że teraz było za późno na podsumowania. Trzeba było ratować, co się jeszcze da.

Wyszarpnęła pistolet i pobiegł chwiejnie do domu Bernatowiczów. Karina została przy rozbitym oknie, oceniając, co się dzieje w środku. Widziała zwalistą postać Grzegorzycy, który mierzył do Izabeli. Zakrwawiony Dawid chyba już nie żył. Musiała strzelić. To była jedyna szansa, żeby ocalić kobietę. Kiedy Zakrzewski krzyknął w środku, ona od razu pociągnęła za spust. Nie chybiła. Trafiony w ramię Grzegorzycy wypuścił z dłoni pistolet.

Marcin, widząc chwilową przewagę, wbiegł do kuchni z pistoletem wycelowanym w napastnika.

– Policja! – krzyczał. – Na podłogę! Już!

Wtedy stało się coś dziwnego. Grzegorzycy wykonał jakiś taneczny piruet i zanim Zakrzewski zdążył nacisnąć na spust, już był przy nim. Wykręcił mu rękę, rozbijając go, potem przyciągnął do siebie i uderzył głową. Na szczęście Marcin był na tyle przytomny, że zrobił unik, ale to wszystko, na co było go stać. Grzegorzycy, nie zważając na ból w brzuchu i nawet nie zauważając mocno krwawiącego postrzału w ramię, rzucał policjantem jak szmacianą lalką. Marcin był ciągle między nim a Kariną, która tylko czekała, żeby strzelić.

Wreszcie, widząc, że Marcin nie da rady świetnie wyszkolonemu żołnierzowi, klnąc jak szewc, pobiegła do wejścia do domu. Grzegorzycy tylko na to czekał. Odepchnął Marcina i rzucił się na nią, nie pozwalając jej wystrzelić. Rozgorzało gwałtowne starcie jeden na jeden. Grzegorzycy był silny jak tur, jednak Karina była szybsza i zwinniejsza. Przez lata trenowała sztuki walki. Teraz te umiejętności mogły ocalić nie tylko jej życie. Uchyliła się, prześlizgnęła się między jego ramionami, znalazła się z boku, gotowa do zadania dwóch szybkich ciosów pięścią. Ale nie poszło tak łatwo. Grzegorzycy sparował i nagle ona dostała potężne uderzenie w ramię. Gdyby nie refleks, cios byłby nokautujący. Ból na chwilę ją sparaliżował. Odskoczyła, żeby zyskać na czasie, ale były żołnierz wcale nie podążył za nią. Skoczył na środek kuchni i podniósł swoją berettę.

Odtrącił Zakrzewskiego jak natrętną muchę a potem wycelował w siedzącą ciągle w bezruchu Izabelę.

Całe starcie trwało tylko sekundy. Grzegorzycy zachowywał się jak dobrze naoliwiona maszyna do zabijania. Może już trochę uszkodzona, ale wciąż skuteczna w osiągnięciu bojowych celów. Chciał zabić Izabelę i zrobił to, choćby nie wiadomo jak się starali. W tej jednej sekundzie przez głowę przemknęło jej kilka myśli, lecz żadna nie była tą niosącą rozwiązanie. Zakrzewski dopiero podnosił się z podłogi. Wiktorski nie miał broni, więc został na zewnątrz.

Karina godziła się z myślą, że przegrali, a wtedy stało się coś, czego chyba nikt z aktorów finałowej sceny dramatu nie przewidział. Ciężko ranny Dawid w ostatnim zrywie zebrał wszystkie swoje siły, wstał i zanim Grzegorzycy nacisnął na spust, skoczył. Tylko nie skoczył na niego, a na Izabelę. Zasłonił ją własnym ciałem i trzy kule trafiły go w plecy. Pchnięty odrzutem poleciał bezwładnie na Izę, strącając ją z krzesła i nakrywając własnym ciałem na podłodze.

Grzegorzycy strzelił jeszcze raz, lecz teraz Karina była naprawdę wściekła.

– On jest mój! – wrzasnęła do Marcina i już była przy Bestii.

Wytrąciła mu pistolet, a potem zaczął się śmiertelny pojedynek na pięści, kolana i stopy. Cios, blok, powtórka, unik, jeden w celu, zachwianie, zmiana punktu ciężkości, kopnięcie, blok, obrót, kopnięcie, potem balans ciała i dwa szybkie uderzenia pięści w twarz. Grzegorzycy się zachwiał, z ust i nosa popłynęła mu krew, lecz patrzył jeszcze wyjątkowo przytomnie, do tego z wyraźną obawą. Słabł z każdym ruchem, już nawet nie atakował, tylko się bronił. Dwa uderzenia na korpus, potem odskok do dystansu, szybkie kopnięcie w bok. Napastnik poleciał, tracąc równowagę, i z całej siły wyrznął w drzwi tarasowe, wybijając przy tym szyby. Kilka ostrych odłamków mocno go pokaleczyło. Zanim się pozbierał, mocne kopnięcie w plecy sprawiło, że drzwi otworzyły się, a on poleciał razem z nimi. Wisiał chwilę na tych drzwiach, wreszcie zaczął się osuwać na taras. Zanim upadł, dostał kopnięcie kolanem w twarz. Wtedy oczy zaszły mu mgłą i to był koniec krótkiego i brutalnego starcia.

Karina stała nad nim, ciężko dysząc. Wierzchem dłoni otarła krew z rozciętego łuku brwiowego, lecz nawet nie zwróciła na to uwagi. Była tylko wściekłość. Ten skurwysyn znęcał się dla zabawy nad kobietami, a potem je zabijał. Wiele razy zastanawiała się, co zrobi, kiedy wreszcie dorwie Bestię. Kopnęła go jeszcze raz, dla pewności, lecz on już nie zareagował, patrząc szeroko otwartymi oczami prosto w niebo i oddychając ciężko.

Karina wróciła do kuchni, odpychając Zakrzewskiego. Nigdy jej nie widział w takim stanie, chciał o coś zapytać, ale nic nie powiedział. Szukała na podłodze swojego pistoletu. Marcin obserwował ją uważnie, mówiąc równocześnie do stojącego w drzwiach bladego jak ściana Wiktorskiego:

– Sprawdź, jak się czuje pani Iza.

Karina znalazła pistolet, zważyła go w dłoni, a potem ze zdeterminowaną miną ruszyła na taras, gdzie jęczał Grzegorzczyk.

Wiktorski w tym czasie przewrócił martwe ciało Dawida Bernatowicza na plecy i zastygł na chwilę w bezruchu.

– Nie ma jej – powiedział wreszcie.

– Co? – Zakrzewski rzucił na niego okiem rozkojarzony, ponieważ całą uwagę skupiał na Karinie Buczko.

Jakieś przeczucie kazało mu skoczyć za nią.

– Karina, nie! – krzyknął, lecz było już za późno.

Karina przykładła właśnie lufę pistoletu do skroni Feliksa Grzegorzczaka. Sekundę potem rozległ się wystrzał. Szybko rozszedł się po okolicy i zaraz zgasł, jak zdmuchnięta przez wiatr świeca na nagrobku.

38.

– Iza!

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski biegł ścieżką wzdłuż miedzy, w kierunku Kamiennego Lasu, klnąc głośno między kolejnymi haustami chłodnego powietrza zasysanymi do płuc. Cholerne śledztwo! Cholerny pech! Wszystko się posypało, nie da się już tego w żaden sposób odkręcić. Jak mógł być taki głupi? Przypomniawszy sobie, co mówiła przed laty Paulina Czerny, kiedy była porządnie zdenerwowana tym, w jaki sposób prowadzi śledztwo.

Cholerny twardogłowy Zakrzewski!

Tym razem wszystko poszło nie tak. Niepotrzebnie tak się upierał przy Bernatowiczu. Rozwiązanie było inne, tylko trzeba było zastosować zasadę Zakrzewskiego, która była znana nawet początkującym pracownikom wydziału śledczego. Nie wolno ufać prostym rozwiązaniom. Rozwiązanie z Dawidem było proste. Zbyt proste, nachalne, zbyt się narzucało. On podążył za nim jak stary, głupi osioł. No i teraz jest, gdzie jest, stało się, co się stało. Nad głową Zakrzewskiego gromadziły się gradowe chmury. Kto wie, czy to nie będzie koniec jego kariery. Może go nie wywalą, tylko łaskawie pozwolą przejść na emeryturę.

– Pani Izo! – krzyknął po raz kolejny i głos zaraz został stłumiony przez wszechobecną wilgoć i przeraźliwy ziąb ciągnący od bagien.

Izabela Bernatowicz wyczołgała się spod ciała swojego szwagra i poszła na bagna. Kiedy Wiktorski ją zobaczył, była już na granicy lasu. Zakrzewski ruszył za nią wyposażony w latarkę Wiktorskiego. Stary policjant coś do niego mówił, ale on go już nie słuchał. Musiał coś uratować z tego burdelu, w który się wpakował. Musiał sobie udowodnić, że nie wszystko poszło nie tak.

Może Szawczak w pewnym stopniu miał rację. Może Marcin Zakrzewski wcale nie był takim dobrym śledczym, za jakiego był uważany, i po prostu leciał na fardzie? Może naprawdę otaczał się doskonałymi współpracownikami i to oni za niego odwalali czarną robotę? Gdzie byłby teraz, gdyby wcześniej nie pracował właśnie z Pauliną Czerny, potem z Wilczkowskim czy Iloną Marzec, a teraz z Kariną Buczko. Tak naprawdę już sobie nie wyobrażał prowadzenia śledztwa bez niej. Kurwa, a ona teraz też będzie miała cholerne kłopoty i nie wiadomo, czy się z tego wywinie. Niech to wszystko jasny szlag trafi! Swoim głupim uporem spierdolił wszystko koncertowo.

– Iza! – wrzasnął i jakby znowu coś pożarło jego głos.

Na skraju bagna zatrzymał się i poświecił. W blasku latarki dostrzegł drobną zgarbioną postać grzęznącą w błocie prawie po kolana. Tak jak się obawiał. To było świadome samobójstwo. Izabela Bernatowicz szła przed siebie, czekając, aż trafi na zdradliwe miejsce, które ją po prostu wessie. A takich miejsc jest tu bez liku.

O nie! Nie pozwoli na to. Tylko musi działać szybko. Z rozpędu wbiegł po ledwo już widocznych śladach kobiety i zaraz sam zapadł się w błocie. Było lodowate i cuchnęło stęchlizną, aż łzawiły oczy. Iza nie miała już sił, więc szybko ją dogonił. Najpierw złapał ją za ramię, a potem udało mu się ściśnąć w swojej dłoni jej dłoń. Latarka leżała obok, na kępie zgniłych traw, zanurzona do połowy w błocie. Jeszcze świeciła, emitując o wiele mniej blasku niż normalnie. W jej świetle Zakrzewski widział wyraźnie zakrwawioną twarz kobiety. To nie była jej krew. Gdzieś z oddali dobiegały ich bardzo stłumione odgłosy policyjnych syren. Zakrzewski jednak skupił się na tu i teraz. Jedną ręką trzymał kobietę, drugą przytrzymał się rachitycznego drzewa z powykrzywianym pniem.

– Puść mnie – powiedziała łagodnym głosem.

Marcin z przerażeniem zdał sobie sprawę, że ona tonie. Jakaś piekielna siła wciąga ją nieubłaganie w głębiny. Na razie mógł jeszcze ją utrzymać, lecz wyraźnie słabł. Jakby tonęła w przeręblu przy dziesięciu poniżej zera, a on leżał na lodzie i nic nie mógł zrobić, bo sam zamarzał. Przerazające

uczucie końca wszystkiego. Ale takiego, po którym nie będzie już żadnych początków. Limit się wyczerpał.

– Nie pozwolę ci tak odejść – wysapał, patrząc jej w oczy. – To przeze mnie to całe zło. Dawid mógłby żyć, może bylibyście szczęśliwi, gdybym się nie wtrącił. Podejrzywałem go bezpodstawnie.

– To nie tak. – Pokręciła głową, była w bagnie już prawie po pas. – To ja zaczęłam zło. Zabiłam Jakuba i zbudziłam uśpione od lat zło, które się tu wokoło czai. Zło bagien z Kamiennego Lasu. Ono się budzi raz na pokolenie, syci się śmiercią i nieszczęściem, a potem zapada w sen. Nie czujesz tego. Już jest senne. Jeszcze tylko ja i znowu zaśnie. Posiałam wiatr o zmierzchu, więc zebrałam burzę o świcie.

– Nie ma żadnego zła... – zaczął i nagle umilkł, gdy uświadomił sobie, że i jego wciąga w otchłań niehumanitarna i bezmyślna siła. Drzewko, którego się chwycił, zaczęło się wyginać. Ostatkiem sił zdołał wyszarpnąć z bagna jedną nogę, potem drugą. Napór zelżał, kiedy leżał na brzuchu na powierzchni bagna. Izie już nie można było pomóc. A jemu? Czy zdoła wrócić na brzeg? Co mówiła Karina? Że nadkomisarz Zakrzewski ma siedem żyć, jak kot. Zaczął pospiesznie liczyć, ile z tych żyć już wykorzystał. Za każdym razem wychodził mu inny wynik, ale bardzo zbliżony do limitu. Teraz może mu się nie udać.

– Nie ma żadnego abstrakcyjnego bytu, który nazywa się zło – mówił dalej. – To ludzkie czyny mogą być dobre albo złe. I na szczęście jest jeszcze przebaczenie winy. Nawet jeśli ktoś czynił zło, zawsze może czynić dobro i będzie miał odpuszczone.

– To nawet nie chodzi o zło – powiedziała, zapadając się coraz głębiej. – Ja jestem chora, panie policjancie. Jest ze mną coraz gorzej. Kiedy nie biorę tabletek, nie kontroluję swojego życia. Żyje za mnie ktoś inny, ktoś inny podejmuje decyzje, ktoś inny planuje przyszłość. To nie ja, to choroba. Wiesz, jakie to jest przerażające, kiedy nagle się budzę i widzę, ile rzeczy napsułam, ile zła zrobiłam, ilu ludzi skrzywdziłam, dając im złudną nadzieję?

– Będziesz brała tabletki i możesz żyć normalnie.

– Nigdy tak się nie stanie. – Pokręciła głową. – Choroba tak długo będzie mi szeptać, że już nie muszę ich brać, aż w końcu ulegnę i wszystko zacznie się od nowa. A ja nie chcę trafić do szpitala jak wariatka i spędzić tam reszty życia. Wolę odejść na własnych warunkach, nawet w ten sposób. To ja decyduję, jak mam dalej żyć.

Zapadła się w bagnie po piersi. Patrzyła błagalnie na Marcina, który ciagle trzymał ją za rękę.

Najpierw wybuchł w nim bunt. To się tak nie może skończyć. Musi ją uratować. Potem trafiły do niego jej słowa i zastanowił się. Po chwili puścił dłoń Izabeli. Uśmiechnęła się do niego cudownie, radośnie i przerażająco smutno zarazem.

– Dziękuję – wyszeptała jeszcze. – Mam nadzieję, że Kamil ułoży sobie jakoś życie, a Dawida może zaraz spotkam, tam po drugiej stronie. Jeśli jakaś druga strona istnieje.

To były jej ostatnie słowa. Po chwili jej twarz zanurzyła się w bagnie, na powierzchnię wydostało się tylko kilka bąbli powietrza i kobieta odeszła na zawsze, wyciągnięta z tego świata przerażającymi siłami natury i przeznaczenia. A może też siłami sprawiedliwości?

Zakrzewski długo leżał, wpatrując się w miejsce, w którym otchłań zamknęła się nad jej głową, i drętwiał z zimna. Wreszcie oczy zaczęły mu się zamykać. Było mu dziwnie błogo, wszystkie problemy stały się nieistotne i odpłynęły w dal. Tylko rozkoszny spokój. Jego świadomość do końca wiedziała, że to strasznie złudne uczucie i śmiertelnie niebezpieczne, jednak było już za późno.

Powieki coraz bardziej mu ciążyły.

Ile jeszcze zostało mu żyć z tych siedmiu? Czy teraz też się uda?

Zapadł w odrętwiający letarg.

Koniec.

Miał świadomość, że ktoś go szarpie, potem ciągnie po błocie, próbował nawet otwierać oczy i pomagać. Chciał coś powiedzieć, lecz lodowaty chłód, jaki zawładnął jego ciałem, spowodował, że tylko szcząkał zębami. W jego głowie zabrzmiało to jak walenie w dzwony na wieżach katedry Notre Dame, w połączeniu z wibracją telefonu komórkowego.

– Panie nadkomisarzu, już w porządku.

Jakaś obca, brodata twarz pochylała się nad nim z wyrazem zatroskania. Wokoło było więcej osób. Potoczył po nich nieprzytomnym spojrzeniem i dłużej zatrzymał się na Wiktorskim.

– Trochę... zzzmarzłem... – zdołał wyjęczeć.

– Na to się poradzi.

Brodacz przyłożył mu do ust butelkę. Samogon potoczył się do żołądka niczym strumienie lawy, zapalając wszystko wokoło. Zakrzewski się rozkaszał, ale od razu zrobiło mu się zdecydowanie lepiej. Sam chwycił butelkę zgrabiętymi dłońmi i pociągnął jeszcze dwa łyki. Rozmarzał. Mocny alkohol pobudził krążenie, nagle mrowienie ogarnęło jego członki. Na szczęście miał w zapasie jeszcze jedno życie. Być może ostatnie.

Godzinę później siedział na tarasie domu Bernatowiczów z wielkim kubkiem gorącej herbaty w dłoniach. Wziął gorący prysznic, a potem skorzystał z ubrań Jakuba. Jemu i tak już się nie przydadzą. Na szczęście Wiktorski dostał się do bagażnika ich zniszczonego auta i wyciągnął stamtąd kurtkę z napisem „Policja” na plecach. Zamieszanie wokoło domu dopiero się zaczynało. Technicy zabezpieczali ślady, robili zdjęcia, dokumentowali całe zajście. Na miejscu był już komisarz Tomaszewicz z Wydziału Spraw Wewnętrznych i zapoznawał się z przebiegiem zdarzeń. Prokurator Marek Grabski był tu tylko pięć minut i zaraz odjechał w towarzystwie dwóch policyjnych aut, ale z wyłączonymi kogutami. Brakowało tylko najważniejszych gości.

Karina przysiadła obok Marcina w miejscu, gdzie Izabela siedziała tamtej nocy, gdy trwały poszukiwania jej męża na bagnach. Tylko oni o tym nie wiedzieli, a Wiktorski był na tyle dyskretny, żeby nic nie mówić. Podała Zakrzewskiemu zapalonego papierosa i długą chwilę siedzieli w milczeniu,

zaciągając się dymem. On już dawno rzucił palenie, ona była ciągle na odwyku, ale czasem dym pomagał dojść do równowagi i wiele upraszczał.

– To moja wina – powiedział. – Pomyliłem się.

– Każdy się myli – wzruszyła ramionami.

– Ale przeze mnie zginęli ludzie.

– Akurat nie przez ciebie. Słyszałeś, co mówił Wiktorski? To raczej on sprowokował Bestię do ujawnienia się i wprowadzenia w życie dawno napisanego scenariusza. My znaleźliśmy się w tym miejscu przez przypadek.

– I w sumie niczemu nie zapobiegliśmy – wpadł jej w słowo. – Tylko zginął Dawid.

– On też był na liście Bestii.

– Marne pocieszenie.

– Niczemu nie zapobiegliśmy? – Karina pstryknęła niedopałkiem w ciemność. – Unieszkodliwiliśmy Bestię.

Zakrzewski nie odpowiedział. Zamyślony, wpatrywał się w grę świateł policyjnego koguta na drzewach, dachach, ścianach i ogrodzeniach. Dlaczego nikt nie powiedział temu kretynowi, żeby wyłączył tę dyskotekę?

– Pomyliłem się – powtórzył.

Karina spojrzała na niego z ukosa. Już nie ciągnęła tematu. Zdążyła go już poznać. Musiał sam to przetrwać i poukładać w środku. Wiedziała też, że im był starszy, tym trudniej mu to przychodziło. Każda rana krwawiła bardziej i zablizniała się dłużej.

Spojrzała w dal. Od głównej drogi jechało w ich kierunku kilka samochodów.

– Już są goście – wycedził przez zęby Marcin, a Karina tylko się skrzywiła.

Po kilku sekundach czarne limuzyny z impetem zajechały na podwórze przy domu, zablokowały bramę wjazdową i wysypało się z nich kilku facetów w czerni, a na końcu z jednego z aut wysiadł pułkownik Daniel Pasiecki w połowym mundurze z dystynkcjami. Wysoki smutny pan o władcym spojrzeniu bez wahania skierował się w ich kierunku.

– Nadkomisarz Marcin Zakrzewski? – zapytał nieprzyjemnym głosem.

– To ja. – Zakrzewski spojrzał na niego do góry, nie wstając.

Facet podał swoje imię, nazwisko i stopień w ABW, ale ani Marcin, ani Karina później nie mogli sobie przypomnieć, jak się nazywał. Pokazał im też dokument udekorowany państwowymi pieczęciami i zamaszystym podpisem, lecz policjanci tylko na niego zerknęli.

– To jest decyzja Prokuratora Generalnego Rzeczypospolitej nakazująca przejęcie podejrzanego Feliksa Grzegorzcyka i przekazanie sprawy do 8 Wydziału do Spraw Wojskowych Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Marcin spojrzał na stojącego nieco z tyłu Pasickiego. Po jego twarzy błąkał się półuśmieszek. Zerknął na Karinę.

– Znasz jakiegoś Grzegorzcyka? – zapytał.

– Nie kojarzę.

Funkcjonariusz ABW stracił nieco pewności siebie.

– Proszę sobie ze mną nie pogrywać, nadkomisarzu, bo to się dla pana źle może skończyć. Gdzie jest Grzegorzcyk?

Karina szturchnęła Marcina łokciem pod żebro w siniaka, aż syknął z bólu.

– Panu funkcjonariuszowi chodzi o Bestię – wyjaśniła.

– To zmienia postać rzeczy – przyznał Marcin i spojrzał pod nogi faceta, gdzie kula z pistoletu Kariny utkwiała w kafelku i pogruchotała go. – Niestety, mam dla was złe wieści. Bestia, albo inaczej Grzegorzcyk, jak wy go nazywacie, utopił się na bagnach w trakcie ucieczki. Ścigaliśmy go, ale niestety się nie udało.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem z facetem z ABW, wreszcie ten odwrócił się na pięcie i nakazał swoim ludziom przeszukanie terenu. Przez następny kwadrans cała horda facetów w czerni przetrząsała dom i obejście. Rozpytywali też wśród policjantów i techników, lecz wszyscy zgodnie wskazywali na majaczący w ciemnościach w oddali Kamienny Las. Wreszcie smutny facet zarządził odwrót i kawalkada czarnych limuzyn zbierała

się do odjazdu. Sporo czasu im zajęło, zanim zdołali wymanewrować na małym terenie, jak na tyle aut.

– Nawet nie przyszedł się pożegnać – rzuciła Karina.

– Ale za to kto inny idzie.

Pułkownik Pasiński stanął w tym samym miejscu co człowiek z ABW. On spojrzał pod nogi i kopnął czubkiem buta odłamki kafelka.

– Uważaj na tego gościa, Zakrzewski – powiedział. – Może ci narobić kłopotów, to cholernie pamiętliwy sukinsyn.

– Nie wiem, o czym mówisz, Pasiński. – Marcin wzruszył ramionami.

– Przecież macie Grzegorzycyka. – Uśmiechnął się pułkownik. – Nie chcecie być pominięci, kiedy będą przyznawać za to medale.

– W dupie mam wasze medale – burknął Marcin. – Ja po prostu chcę, żeby było sprawiedliwie, a nie politycznie. Rozumiesz subtelną różnicę?

– Prawie. Ostrzegałem cię. Rób, co chcesz.

– Złapałibyśmy go szybciej, gdybyś chciał współpracować – dorzuciła Karina.

– Wy macie swoją służbę, a ja swoją, już to ustaliliśmy.

– Niepotrzebnie zginęli ludzie.

Pasiński spojrzał na nią nieprzyjemnie.

– Łatwo się oskarża innych – odpowiedział dobitnie. – Może gdybyście nie popełnili tylu błędów, ci ludzie wciąż by żyli?

Zakrzewski nagle wstał i spojrzał wojskowemu w oczy. Był trochę wyższy, ale nie tak dobrze zbudowany.

– Pierdol się, Pasiński, ze swoimi dobrymi radami – powiedział.

Jabłko Adama uniosło się, a potem opadło. Pułkownik opanował nerwy, wzruszył ramionami, odwrócił się na pięcie, wsiadł do ostatniego auta i odjechał w kierunku głównej drogi, za innymi.

Marcin długo wpatrywał się w kulę tkwiącą w podłodze tarasu, wreszcie spojrzał na Karinę.

– Co ci przyszło wtedy do głowy, żeby strzelić? – zapytał.

– Chciałam sprawdzić, czy dam radę – odpowiedziała szybko.

– I jak wypadła próba?

– Chyba jednak się do tego nie nadaję. Ręka drgnęła.

Marcin przypomniał sobie moment, kiedy Karina przyłożyła Grzegorczykowi lufę do skroni, lecz zanim nacisnęła na spust, przesunęła ją trochę w prawo i pocisk przeszedł obok i strzaskał kafelek.

– To znaczy, że ta robota nie zabiła w nas ludzkich uczuć – stwierdził.

– Chyba nie – przyznała.

– Muszę ostrzec Grabskiego.

Zakrzewski wybrał numer prokuratora i ostrzegł go, że cała kawalkada smutnych panów już pewnie jedzie do komendy we Wrocławiu, żeby zabrać mu Feliksa Grzegorczyka. Zostało mu niewiele czasu. Grabski poinformował go, że Grzegorczyk jest wyjątkowo rozmowny. Opowiada bez zbędnych pytań, a wszystko rejestruje kamera. Informatyk spiął ją w taki sprytny sposób ze swoimi komputerami, że w różnych miejscach tworzą się od razu dwie kopie. Na wypadek nieprzewidywanych sytuacji.

– Wiesz, że on podobno ma nieleczzonego raka trzustki? – zapytał Grabski na koniec.

– No to się nam wywinie – powiedział Marcin po chwili.

– Wszystkim się wywinie, nie tylko nam.

Zakrzewski rozłączył się i poszedł w kierunku basenu. Woda na zimę nie była spuszczone, wiatr nawiał tam liści i drobnych gałęzi. To już nie wyglądało jak basen, tylko jak bajoro, które, niesprzątane przez kolejne dziesięć lat, ma szansę przekształcić się w następne bagno w okolicy.

Stał na brzegu basenu z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni. Nadal było mu zimno, w ustach czuł nieprzyjemny posmak papierosa i samogonu.

Karina stanęła obok i pokazała mu coś na otwartej dłoni. To był odbiornik i słuchawka, przez którą mieli usłyszeć przyznanie się do winy Dawida Bernatowicza.

– Co masz zamiar z tym zrobić? – zapytał.

Bez chwili namysłu wrzuciła urządzenie do basenu. Zniknęło w mętnej wodzie.

– Nikt o tym nie wiedział – odezwała się po chwili. – To była nasza samowola. Reszta zestawu jest na dnie bagna razem z Izabelą. Nikt się nie dowie, a ze zgubienia takiego drobiazgu jakoś się wytłumaczymy.

Westchnął, podrapał się po policzku, splunął, wreszcie się odezwał:

– W sumie może tak być.

Spojrzał w niebo, na którym po raz pierwszy od dawna widać było gwiazdy. Dobrze, że ten cholerny wiatr w końcu ustał.

Początek. *Dwa miesiące później*

Było kilka minut przed trzecią w nocy. To był taki dziwny czas, kiedy ludzie, którzy lubią późno chodzić spać, już się położyli, a budziki tych, którzy musieli wstawać, jeszcze się nie odezwały. Kilkadziesiąt minut prawdziwej nocy w środku wielkiego miasta. Było cicho, świat skrzył się nocnym przymrozkiem.

Nadkomisarz Marcin Zakrzewski wysiadł z samochodu pośrodku placu otoczonego ciągiem dziesięciopiętrowych bloków na jednym z Wrocławskich osiedli. Zatarł ręce z zimna, po czym wcisnął je głęboko w kieszenie kurtki.

– Dobrze, że pan przyjechał, nadkomisarzu – powiedział policjant z patrolu. Z jego ust wraz z każdym słowem wydobywała się biała mgielka. – Musi pan to zobaczyć.

Wskazał Marcinowi auto zaparkowane kilka metrów dalej w sznurze innych aut, wzdłuż osiedlowej drogi. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, widać było zwisającą bezwładnie rękę. Podeszedł tam i poczuł, jak nogi się pod nim uginają, a serce zaczyna gwałtownie pompować krew. Aspirant Gotard Szawczak miał wielką dziurę w skroni po strzale z bliskiej odległości. Jego otwarte oczy wpatrywały się w sufit. Był martwy.

Zakrzewski długo próbował zebrać myśli, wreszcie wyciągnął rękę do mundurowego.

– Masz fajki? Daj jedną – powiedział.

Kiedy w jednej dłoni trzymał papierosa, a w drugiej zapalniczkę, rozległ się staroświecki dzwonek jego telefonu komórkowego. Wsadził papierosa między wargi i wyciągnął aparat. Nieznany numer. O tej porze? Czuł, że musi odebrać.

– Tak?

Męski głos w słuchawce był zniekształcony przez modulator głosu. Brzmiał jak terminator ze znanego filmu.

– Jak ci się podoba mój prezent dla ciebie, Zakrzewski?

Serce jeszcze przyspieszyło.

– Kim jesteś?

– Jestem twoim aniołem stróżem. Postanowiłem zabijać wszystkich, którzy zatruwają ci życie i nie pozwalają spokojnie pracować. Jesteś dobrym śledczym, musisz ścigać przestępców ze spokojnym umysłem. Dlatego postanowiłem ci pomóc.

Zakrzewski odszedł kilka kroków od auta, policjantów i martwego Szawczaka.

– Kim jesteś? – powtórzył, czując suchość w ustach.

– Już mówiłem. Będę ci pomagał. Na początek ta mała gnida Szawczak. Podoba ci się?

– Nie potrzebuję twojej pomocy. – Marcin znowu włożył papierosa między wargi.

– Nie pal, Zakrzewski. Nie słyszałeś, że nikotyna szkodzi?

Marcin rzucił papierosa pod nogi.

– Tak lepiej. – Zaśmiał się tamten zgrzytliwie. – Do następnego razu!

Połączenie zostało zerwane.

Był obserwowany, to było pewne. Stał pośrodku pogrążonego w ciemnościach osiedla. Wielopiętrowe bloki patrzyły na niego ciemnymi oczodołami okien. Tylko nieliczne były oświetlone, ale miał pewność, że jego tam nie ma. Jego samozwańczy anioł stróż czaił się gdzieś bliżej. Może nawet bardzo blisko?

Żółć zebrała mu się w gardle. Splunął i jeszcze raz omiótł wzrokiem panoramę osiedla. Ciemny plac zabaw, na którym widać było zarysy fantastycznych konstrukcji, zamknięty na kłódkę box na kubły na śmieci, kwadratowy trawnik, kilka ławek i ciągi aut zaparkowanych gęsto przy osiedlowych drogach. Gdzie?

– Panie nadkomisarzu! – Głos dzielnicowego wyrwał go z zamyślenia.

– Już idę – odpowiedział.

Jeszcze raz ogarnął wzrokiem najbliższe otoczenie. Chyba właśnie dopadły go kolejne problemy. Jak to mawiał słynny prywatny detektyw Philip Marlowe? „Kłopoty to moja specjalność”. Powoli zaczynał się oswajać z myślą, że on też zaczyna specjalizować się w tej dziedzinie.

Niech to jasny szlag trafi!

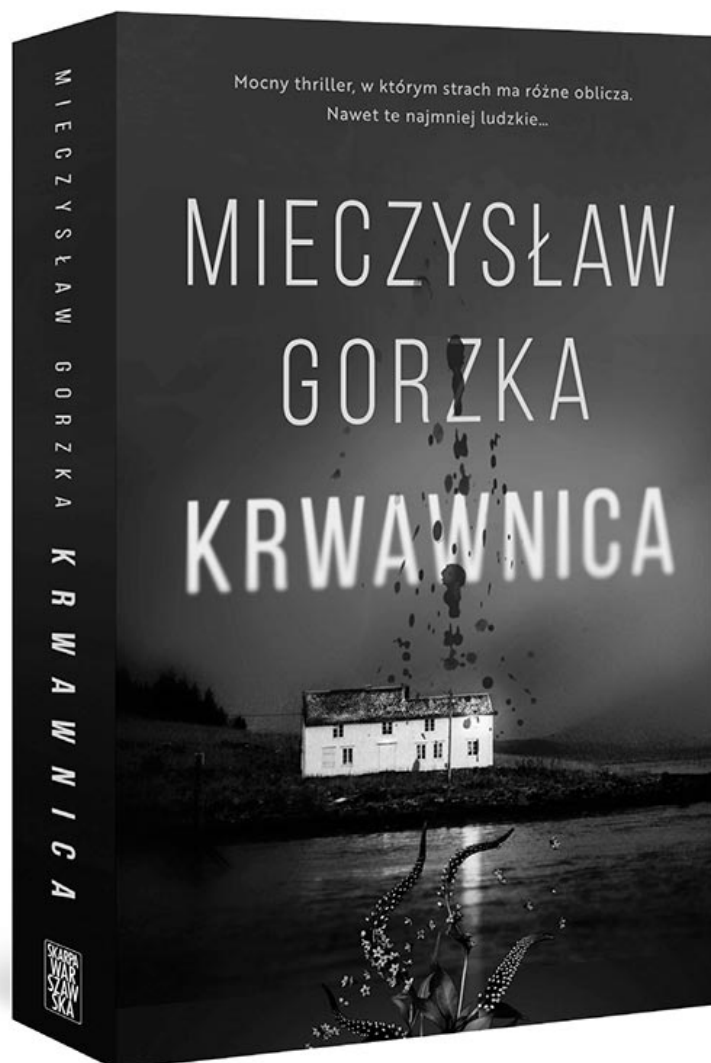
KONIEC

Wrocław–Szczepanów – marzec/lipiec 2022

[1](#) *Łowca androidów* (Blade Runner), reż. Ridley Scott, USA-Hongkong, 1982

POLECAMY RÓWNIEŻ:

KRWAWNICA



Wciągający thriller, w którym strach ma różne oblicza.

Nawet te najmniej ludzkie...

Uciekając od trudnej przeszłości, były policjant Rafał Dzikowski wraz z żoną Weroniką przeprowadza się do świeżo wyremontowanego domu nad Jeziorem Chobienickim we wsi Bagniska.

Mieszkańcy wsi nie wydają się być przychylnie nastawieni do nowych przybyszów, a na ścianie domu ktoś pisze sprayem słowo Krwawnica.

Wkrótce na podwórzu wykopane zostają zwłoki dwóch kobiet. Gdy w Bagniskach dochodzi do kolejnych niepokojących zdarzeń, które uderzają bezpośrednio w małżeństwo, Rafał postanawia wziąć sprawy w swoje ręce.

Jakie tajemnice skrywają mieszkańcy wioski? Kim były kobiety, których zwłoki zakopano na podwórzu? Czy klucz do rozwiązania zagadki leży w przeszłości Rafała i Weroniki?

**Mieczysław Gorzka zabiera nas w mroczny świat kłamstw i szaleństwa,
w którym nic nie jest tym, czym się wydaje...**